III, I, 8, 11

BRANDENBURG

KRAINA SŁOWIAŃSKICH MOGIŁ

KSIĄŻNICA NARODOWA
pod redakcją
D-ra St. PAZURKIEWICZA.

Tom V.

LUDWIK STASIAK

BRANDENBURG

KRAINA SŁOWIAŃSKICH MOGIŁ

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA — — — — — — — 1926.

LUDWIK STASIAK

BRANDENBURG

KRAINA SŁOWIAŃSKICH MOGIŁ

PRZEDMOWĄ ZAOPATRZYŁ
DR. ST. PAZURKIEWICZ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA — — — — 1926.
Printed in Poland

Zakłady Graficzno-Papiernicze
w Częstochowie, Kościuszki 30.

PRZEDMOWA.

Głośne było w ostatnich latach przed wojną światową nazwisko Ludwika Stasiaka, jako wymownego obrońcy polskości Wita Stwosza. Szereg jego studjów — jak „Rewindykacja własności naszej", „Polska plastyka średniowieczna", „Prawda o Piotrze Vischerze", „Wit Stwosz źródłem natchnień Albrechta Dürera" — owoc wieloletniej pracy i żmudnych badań, musiał wtedy zaimponować śmiałem wystąpieniem przeciw niemieckim uczonym, przywłaszczającym sobie Wita Stwosza, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli sztuki w XV wieku. Te boje Stasiaka o polskość Stwosza, twórcy słynnego ołtarza w prezbiterjum kościoła Marjackiego w Krakowie i grobowca Kazimierza Jagiellończyka w katedrze na Wawelu, wywołały szereg protestów ze strony naszej, nie wspominając już o niemieckiej, nauki (np. „Ze studjów nad Witem Stwoszem i jego rodziną" Jana Ptaśnika, badacza średniowiecznej kultury, lub „Stwosz w świetle krytyków i pseudokrytyków" Tadeusza Szydłowskiego), które, prawdę powiedziawszy, nie zachwiały właściwie twierdzeniami a nawet hipotezami, znajdującemi się chociażby w „Rewindykacjach własności naszej".

A to odważne wystąpienie Stasiaka w chwili, gdy nauka polska milcząco zgadzała się na decyzję niemieckich historyków sztuki — poparte bardzo skrzętnie zgromadzonym materjałem źró-

ności zmienić się w wojowniczy i zawzięty z powodu ustawicznego niebezpieczeństwa ze strony Niemców. Bo oto pamiętali, że niedawno jeszcze Henryk Ptasznik podbił słowiańskich Hawelów, zdobył ich stolicę Branibor a tysiące obrońców kazał pozbawić życia w imię krzewienia chrześcijaństwa i cywilizacji. Ówczesny kronikarz niemiecki, nieżyczliwie, oczywiście, usposobiony dla Słowian, napisał wyraźnie o swym królu, że „na czele legjonu łotrów" mordował bez litości Słowian, a później wydał prawo, że „wypuszczonym z lochów rozbójnikom i oderżniętym od szubienicy mordercom wolno swobodnie chodzić po świecie, byleby oszczędzali domy swych rodaków, za co mogą na słowiańskim chłopie, jakie tylko chcą, zbrodnie i łotrostwa czynić". Po Henryku Ptaszniku kontynuował jego plan krwiożerczy margrabia Gero, który zapewne prześcignął go w morderstwach i pożogach.

Te zdarzenia pamiętali jeszcze zbyt dobrze Słowianie, aby się nie mieć na baczności. Niebora, uosobienie nieustraszonego męstwa i głębokiej miłości ojczyzny, mówi tak w powieści Stasiaka: „Cichy byłem jak gołąb, dopóki Niemców w słowiańskiej ziemi nie było". Pamiętali jeszcze wszyscy, jaka krzywda spotkała kapłana Zdzieszkę, któremu Gero kazał zabić wszystkie dzieci. Zdzieszko oszalał z bólu i począł bluźnić przeciw Jessemu, którego był kapłanem, że nie uratował jego dzieci. „Odezwij się Jesse, jeśli jesteś! Patrz—tłum ludzi pyta mnie, kapłana Twego, czy Ty jesteś? A ja, tłumiąc burzę, która rwie mojem sercem, mówię: jest. A mówiąc to, kłamię. Kłamię, bo nie mam pewności. A ten, co mówi, że ma pewność, kłamie. Kwiat dziewanny mówi, że jest sprawca, który jej krzak utkał cudnie i złotem wyhaftował. Zwój liści bluszczowych mówi, że jest budowniczy, który ich wieńce na sosnę przerzucił. Migocące gwiazdy mówią, że jest rachmistrz, który ich biegi obliczył. A usta matki, której jedynaka wojska wrogów zabiły, mówią, że Cię niema. A widok tego, który od urodzenia sparaliżowany gnije, mówi, że Cię niema. A rychotanie szatana, którem odpowiadasz na łzy i prośby ludzkie, mówi, że Cię niema. Przemów! Czy jesteś o Jes-

se?!“ Mimowoli przychodzą na myśl piękne rapsody i ballady Józefa St. Wierzbickiego o krwawych walkach Słowian z Germanami, przypomina się też „Królewska pieśń“ Kazimierza Glińskiego o dziejach Leszka, syna Wisza i o bohaterskim Mszczuju.

Tylko książęta obotryccy Mieczysław i Mściwój nie chcą pamiętać tych krzywd, a nawet łączą się z wrogami i biorą udział w wyprawie Ottona II, który — jako mąż księżniczki bizantyńskiej — rościł sobie pretensje do Włoch południowych. Uczestniczą także w bitwie pod Basantello, gdzie Otton poniósł zupełną klęskę od Arabów z Sycylji i połączonych z nimi Greków. Od tej chwili rozpoczynają się pełne licznych cierpień i trudów przygody obu braci, którym wreszcie pozwala los wrócić do ojczyzny, aby mogli przekonać się, że już niema dla nich szczęścia na ziemi: Mieczysław ginie z rąk swej żony Edyty, a Mściwoj, po odniesieniu wielu zwycięstw nad Niemcami, umiera w obłąkaniu.

W powieści swej przedstawił Stasiak dzieje męczeństwa i bohaterskich walk Słowian z Niemcami, związawszy je z niejednokrotnie występującą osobą Mieszka I. Umiłowanie tych czasów, pogłębione gruntownem poznaniem źródeł historycznych, stworzyło piękny utwór literacki, którego aktualność jest również dzisiaj bardzo wyraźna.

Jak w pracach naukowych prowadzi Stasiak zacięty bój z nauką niemiecką o polskość Wita Stwosza, tak w „Brandenburgu” walczy równie zaciekle i piętnuje zaborczość i okrucieństwo Niemców. „Idź tam, gdzie grają surmy zwycięskie, idź tam, gdzie triumfuje Brandenburg, Potsdam, Berlin! Idź i słuchaj... W szumie trzcin na bagnach Braniboru dosłyszysz echa słowiańskiej pieśni, szelest kosaćców na błotach Haweli opowie ci o narodzie, który umarł. Wicher jesienny wyje głosem mordowanych przed tysiącem lat ludzi... Brandenburg, kraj nad Łabą, to wielki grób narodu, który wymarł. Mogiły z narodu pozostały

i prochy... Gliniane łzawnice i kości... Niech powstanie z kości jego mściciel".

Powieść Stasiaka powinna się cieszyć u nas wielką popularnością.

I.

To grobowisko narodów.
Całe narody wymarły.
Język ich i pieśń ich umarła.
Nawet pamięć po nich umarła.

Gdy bogaty mieszczanin miljonowego miasta, rozkopując fundamenty swego domu, natrafił na czaszkę z amuletem* i na urnę runiczną**) nie wie, że dom jego stoi na wielkiem uroczysku***), które nosiło imię: Berlin; nie wie, że tam chowano władyków i wodzów Słowiańszczyzny.

Obcy zapomnieli i swoi zapomnieli.

Lecz w szumie trzcin na bagnach Braniboru dosłyszysz echa słowiańskiej pieśni, szelest kosaćców na błotach Haweli opowie ci o narodzie, który umarł.

Na tem olbrzymiem słowiańskiem cmentarzysku, w śpiewie słowika dzwoni rzewna nuta smutku, wicher jesienny wyje głosem mordowanych ludzi. Łka wicher i płacze, po raz tysiączny sypie żółte liście na słowiańskie mogiły. Letnim porankiem kwiecie na łąkach pokrywa się perłami łez wytępionego do szczętu narodu.

Nad brzegami i jeziorami Braniboru, plątające się tumany mgieł, mają kształty zakutych w jarzmo niewolników.

Widzisz jak się sosny na brzegu Łaby, na polach łęczyńskich o zachodzie słońca czerwienią? Jakby je kto krwią oblał! One korzeniami swemi do dziś nie mogły wypić wszystkiej krwi setek tysięcy Słowian, które tam w obronie swej ziemi poległy.

---

*) Amulet—talizman, przedmiot, chroniący rzekomo człowieka przed nieszczęściem.

**) Urna—naczynie do przechowywania popiołów zmarłych osób. — Runiczny—pokryty runem t. j. znakami piśmiennemi dawnych ludów.

***) Uroczysko—cmentarz.

Dziś jeszcze krwią się ich pnie barwią, choć tysiące lat mordu minęło.

I Łaba się krwawi, a morze przy ujściu Mży, Trawny, Swartawy i Renu huczy tak smutno, jak smutną była pieśń ludu, który tu niegdyś mieszkał.

* * *

Krzyż zwyciężył.

Królowie rzymscy byli zawsze krzewicielami cywilizacji i apostołami wiary Chrystusowej.

Król Henryk Ptasznik wymordował pod Łęczyną dwieście tysięcy słowiańskiego chłopstwa.

Pojmanych bezbronnych jeńców i obrońców zdobytej Łęczyny w pień wycięto.

Co w Lubuszu swych domów bronili wybici, miasto z ziemią zrównane, kraina Milczan w pustynie zamieniona.

Podbił Henryk Hawelów, a warowną moczarami stolicę ich Branibor, zdobył głodem, żelazem i mrozem.

Po rzezi zatknięto na twierdzy braniborskiej krzyż. Ci co go ciosali, mieli ręce poplamione krwią bliźnich.

Był on urągowiskiem i parodją*) krzyża, na którym skonał Bóg miłości, Bóg przebaczenia.

Zapłakał tam na szczytach gwiazd, gdy na pogorzeli Braniboru zwycięzcy przyjmowali Ciało i Krew Pańską i śpiewali „Kyrie elejson", klęcząc przed krzyżem, który na tle płonącego częstokołu twierdzy w oparach krwi ludzkiej się bielił.

Gdy wojownicy polegli, gdy starców zabito, a dziewice poszły w niewolę, zaczęło się na ziemi słowiańskiej panowanie zwycięzców.

Ksiądz Thietmar pisze, że jeśli król srogi dla pogan „na czele legjonów łotrów" nielitośne na Słowianach czynił łupiestwa, „tedy Bóg łaskawy mu to przebaczy".

Tak pisze ksiądz Thietmar, nazywając swoje własne wojska legjonem łotrów.

I ustanowił Henryk także prawo, że wypuszczonym z lochów rozbójnikom i oderżniętym od szubienicy mordercom wolno swobodnie chodzić po świecie, byleby oszczędzali domy swych roda-

*) Parodja—ośmieszenie, nieudolne naśladownictwo.

ków, za co mogą na słowiańskim chłopie, jakie tylko chcą zbrodnie i łotrostwa czynić.

Umarł wreszcie ten krwawy Sas i leży w krypcie w Kwedlinburgu, a w portrecie na pieczęci z wyłupionego jego straszliwego oka wyczytasz okrucieństwo i łakomstwo na krew ludzką.

Zgasł Henryk, ale nie zgasła z nim żądza podboju, łupiestwa i zbrodni, podszyta nikczemnie pod święty znak Chrystusowej wiary. Nastali jeszcze gorsi mordercy, niosący w świętokradzkiej dłoni sztandar świętego Kościoła.

Mówią, że idą nawracać, a zabijali.

Mówili, że idą uczyć miłości, a łupili, podpalali.

Mówiła o cywilizacji ta barbarzyńska, krwawa horda, idąc nawracać cichy, spokojny, łagodny słowiański lud. Zapanował nad Słowianami markgraf Gero, lis chytry i przebiegły, okrutnik i krzywoprzysiężca.

Ten postanowił wygubić do szczętu plemię słowiańskie.

Zaprosił na ucztę trzydziestu książąt słowiańskich, którzy zawierzyli jego chrześcijańskiemu rycerskiemu słowu i w gościnę w jego progi przybyli. Pił z nimi i jadł i o przyjaźni swej zapewniał, zachęcając do wina i kielicha. Gdy upojeni trunkiem ręką już nie władali, rzucił się na nich wraz z rwymi siepaczami i wymordował do jednego.

Zgotowawszy wojskom słowiańskim straszną nad Radską klęskę i zabiwszy naczelnego wodza, księcia Stoigniewa, wyciął w pień pojmane chłopstwo. Rzeź trwała do późnej nocy. Nazajutrz na wzniesionym krzyżu zawisła odcięta głowa poganina Stoigniewa na znak triumfu kultury i chrześcijaństwa. U stóp krzyża zamordowano siedmset starszyzny bez litości.

Choć w głęci serca wielkiego markgrafa rzekomo była litość.

Wszak doradcę Stoigniewa puścił, jako przebaczający chrześcijanin, wolno... wyłupiwszy mu tylko oczy i wydarłszy język...

— I napełniła się ziemia słowiańska kościołami, księżmi, i Bogu poświęconych panieństwem—mówi kronikarz.

Sam Gero wystawił klasztor dla zakonnic wraz z kościołem.

Ofiara ta dla Pana Boga wypadła mu bardzo tanio, bo pieniądze na nią ukradł i złupieżył w chatach, opolach*) i grodach słowiańskich.

*) Opole—grupa gmin, odpowiadająca solidarnie za bezpieczeństwo i porządek.

II.

Orze rolnik ziemię sochą drewnianą.

Rola to bujna, nie potrzebuje wielkich zachodów i pracowitej uprawy.

Późną jesienią odarł korę ze spodu drzew, drzewa nie zazieleniły się na wiosnę i uschły. Podpalił je wtedy, resztkę zaś pni i korzeni wykarczowali niewolnicy słowiańscy.

Ziemia znawożona popiołem nie wymaga żelazem kutego pługa lub stalowej brony. Byleby ją tylko sochą przewrócić, wyda plon bujny.

Sochy nie ciągną konie ani woły. Za konia i wołu trzeba zapłacić dziesięć, dwadzieścia denarów.

Taniej wypada niewolnica słowiańska.

Na targu w Swierzynie dostanie ją za dwa denary. Jeśli król jeszcze raz do ziemi Lutyków*) wpadnie, dziewka lutycka kosztować będzie denar, może mniej.

Niewolnice ciągną sochę rączo i wytrwale, tak, że nawet bata mało się używa. Na to je Pan Bóg stworzył, żeby chrześcijaninowi służyły. Dalej! Wstecz! Stój!

Niewolnice, których nagość ledwie strzępek łachmanu okrywa, stanęły i poprawiały jarzma, patrząc w szarzejące na horyzoncie domy Braniboru, na lasy gniewkowskie, na bagna i mokrzyska, które się ciągły daleko aż do Szczyglic, aż do Berlina.

Patrzały w dal, jakby w niej odszukać chciały domy ojców i opole rodzinne i krewnych swoich.

Pierwsza, lejcowa, była córką władyki z Jasieniec.

Druga ta, co ma czarne włosy i złotawe ciało, jest wdową po wojowniku, który poległ przy oblężeniu Kostrzynia.

Trzeciej wzięto męża w niewolę i zabito go w jej oczach. Zabito tam pod lasem dobierzyckim, niedaleko.

Przez kilka dni pędzona w pole do orki, widziała pod sosnami stado kruków, siedzących na zabitym. Potem i kruków już nie było, bieliły się tylko kości... Że miała śliczne, jasne włosy i oczy modre, że miała pierś kształtną i gładką, że miała usta malinowe, musiała zostać poniewolną żoną chłopa, który ją kupił za dwa denary. Broniła się, ale ją bito batem, bardzo batem bito.

---

*) Lutycy albo Wilki—plemię słowiańskie

— Dalej! jazda! Socha na prawo! Nastąp się! Hee! Ruszcież, bo walę batem!

— Chryste wam pomagaj—krzyknął jakiś rycerz na koniu—który od strony Haweli do orki przycwałował.

— Dopomóż Boże!

— Co siać będziecie gospodarzu?

— Jęczmień dostojny panie.

— Co kosztują te poganki?

— Dałem, najdostojniejszy panie, półszósta denara za wszystkie trzy.

— Toście przepłacili.

— Pewnie, że to drogo. Gdyśmy ze Szwabi szli, mówiono nam, że tu u wilków mlekiem i miodem opływać będziemy. A tu wszystko trza kupić za drogie pieniądze. Sochę i rydel...

— Po co macie kupować? Zrabować lepiej u Słowian. Pan Jezus się ucieszy, gdy takiego łotra poganina obedrzecie.

— Niema już z nich co drzeć, dostojny panie, tak ich wojsko nasze już obłuskało...

— Pokażcie no te dziewki!

— Hawelanki! He! Pokażcie się jasnemu panu.

— Co chcecie za te jasną?

— Tej nie sprzedam, bo jestem z niej kontent...

— A ta naręczna? Dajno ją tu bliżej! Czy to jeszcze dziewka?

— Dziewka, jeszcze młoda, bardzo młoda.

— Dam ci za nią trzy denary.

— Mało najdostojniejszy panie.

— Przecież dałeś niecałe dwa.

— Tak, ale ja muszę coś zarobić. Chodziłem piechotą na targ do Świerzyna.

— Masz cztery.

— Dodaj najjaśniejszy panie jeszcze kilka kaczek błotnych. które ci wiszą u troka.

— Masz. Dostaw mi ją jutro wykąpaną i świeżo obleczoną, zwrócę za przyodziewek.

— Dostawię.

— A słuchaj, żebym ją dostał nieskrzywdzoną, bo cię zaćwiczę kańczugiem, ty rudy złodzieju.

— Jak rozkazałeś najdostojniejszy.

— Chryste elejson.

— Kyrie elejson!

Najdostojniejszym, który zaszczycił szwabskiego osadnika rozmową i zakupnem dziewki, był sam Bernard, książe saski, zabawiał się przez cały ubiegły dzień strzelaniem ptactwa wodnego na błotach Haweli.

Był to mąż olbrzymiego wzrostu i tuszy, szerokich pleców, czerwonej twarzy, otoczonej długą, jasną brodą i spadającemi w lokach na barki włosami.

Okryty był szatą niebieską, przepasaną na biodrach szerokim, suto złotemi gwoździami nabijanym rzemieniem. Miał czapkę bobrową, którą dwa orle skrzydła po bokach zdobiły. Na szyi wisiał ciężki złoty łańcuch, w którym odbite zachodzące słońce mieniło się i migotało.

Koń jego jak i giermka, który w odległości kilku kroków za panem jechał, obładowany był dzikim ptactwem, upolowanym na błotach. Giermek łapał tylko na sokoła, książę zaś nierzadko sam schodził z konia, oddawał cugle giermkowi i szedł w bród, aby stado gęsi podejść lub czaple na rzuty strzały dostać. Na niebieskiej jego bogatej szacie były zeschłe grudy i plamy błota puch tataraku i ostre listowia roślin, bujających na moczarach. ,

Wyraźnie już było widać częstokół i białe obronne wieże Braniboru, gdy giermek zbliżył się do księcia i rzekł:

— Zdaje mi się przezacny panie, że konny człowiek cwałem do nas z Braniboru jedzie. Nie widzę dobrze pod słońce, chwilami jednak myślę, że to do was umyślny posłaniec. O! pędzi lotem wyrzuconego oszczepu...

— Nowego coś w twierdzy zajść musiało. Popędźmy konie. Może przyjechał w gościnę ktoś znaczny, może ktoś zachorował.

W kilka mgnień oka spotkał się zdyszany konny z księciem Bernardem.

— Markgraf Dietrich, jasny mój pan, a krewny wasz, wzywa was, przezacny. Mówił, abyście pędem koni przybyli. Jutro przed ranną jutrznią wyprawa zbrojna.

— Przeciw komu?

— Nie wiem przezacny. Markgraf braniborski, biskup i dostojny wasz krewny radzą ze sobą zamknięci od chwili, gdy przybył goniec z Dziewina.

— Z jakiego Dziewina? Król polecił to miejsce nazywać odtąd Magdenburgiem—rozumiesz pachołku?

— Ja nie wiedziałem tego najdostojniejszy. Przebacz mi,

— Jednak może wiesz, co się stało i jakie wieści przyniósł?

— Nie wiem. Jestem sługą.

— Pędem!

— Pogańska hydra*) dźwiga się na nowo. Niebora, ów łotr i wróg Chrystusów błąka się po opolach i buntuje lud przeciw nam. Szpieg magdeburski przyniósł wieść, że kryje on się teraz w opolu gniewkowskim, w chacie władyki Cichosta. Ma tam być wraz z nim wysłannik księcia polskiego Mieszka, który podobno zdradził wiarę i krzyż święty, a z pogany przeciw nam spiski knuje.

— Nie wydaje mi się możliwym, aby to Mieszek mógł uczynić.

— Sam tak do dziś dnia myślałem. Teraz jednak mamy w rękach niezbite dowody, prawie poszlaki, że Mieszek nas zdradza.

— Czy ja wam tego nie mówiłem? Od dwóch lat powtarzam, że Mieszek, jako przyjaciel króla rzymskiego, jest zdrajcą, który czycha, aby nas w pole wywieść i wygubić. Chrzest jego jest wielkim kłamstwem i obłudą. Przyjął go, abyśmy stracili w Rzymie prawo napadania na polskie włości. W przewrotnej jego duszy jest całe piekło nienawiści przeciw wszystkiemu, co niepolskie i chrześcijańskie. Rozmawiałem z nim niedawno w Gnieźnie. Był wylanym i szczerym i przysięgał przyjaźń dla rzymskiego króla.

— Jak cię kocham, Bernardzie—mówił—tak jestem szczerym waszym sprzymierzeńcem. Oszust! Żmija! W tej chwili, gdy ze mną mówił, posłowie jego byli w Bawarji podjudzać do wojny domowej, aby się bratnia krew nasza rozlała. On i jego przyjaciel, czeski Bolesław, chcieli nas w proch zetrzeć. Popatrzcie tylko w chytre Mieszka oczy, jaki tam jadowity żar płonie, jak wężowy wyraz ich nie zgadza się ze słodkiemi słowami o przyjaźni, które mu z ust płyną? Przyjaźń? On jest o tyle naszym przyjacielem, o ile coś na nas urwać może. On oszukał samego króla, który w jego przyjaźń wierzy.

— Cóż więc począć mamy?

— Za każdą cenę dostać do rąk wysłańca Mieszkowego. Uda nam się wtedy, gdy całą buntowniczą bandę osaczymy w opolu.

— Żeby Bóg dał mi dostać w ręce tego łotra Nieborę i raz

*) Hydra—smok.

uwolnić się od zmory, która mnie całe życie prześladuje. Dzięk tobie, przezacny margrabio, żyję jeszcze, tyś mnie wyrwał z rąk pogańskiego antychrysta.

— To on was chciał, najprzewielebniejszy, powiesić?

— Jakto chciał? Przecież ja już na suchej wierzbie wisiałem, już przeszedłem mękę konania i straciłem przytomność, gdy mnie margrabia ze zbrojnymi od haniebnej śmierci uwolnił.

— Kto się targnął na waszą świętą osobę?

— Uczynił to Msta i Niebora. Msta jest w naszych rękach i już żywcem od nas nie wyjdzie, Niebora uciekł i z podwójną zaciekłością lud przeciw nam buntuje.

— Jestem zdania, że nie powinniśmy zwlekać ani chwili. Jedźmy w noc, złapiemy ich wspólnie.

— Nie pozwolę na to, przezacni goście moi. Przyjechaliście do domu mego nie po to, aby znosić trudy wojenne i wyprawy podejmować, lecz ducha przyjacielską rozmową, a ciało kielichem pokrzepić. Wyślę stu knechtów i dam im chorążego w przewództwo. Ci buntowników złapią i żywcem nam tu dostawią. Jutro, nim słonko na szczytach niebios stanie, będą już tutaj w naszej mocy.

— Przenigdy, markgrafie. Zbyt to rzecz ważna, abyśmy mieli ją pachołkom i żołnierstwu powierzać. Jedźmy sami na czele zbrojnych. Tu się rozchodzi i o sprawę krzyża. Bóg przebaczy nasz trud i nagrodzi nas za to. Jeszcze jedno. Jutro o świcie zapowiedziałeś markgrafie, polowanie na niedźwiedzie. Czyż nam to nie wszystko jedno, polować na zwierza, lub na wrogów Chrystusowych?

— Zaprawdę, dobrze on i mądrze mówi. Ruszajmy sami.

— Ruszajmy zaraz!

— To szaleństwo, na noc się puszczać w tak daleką drogę. Zabłądzimy w lasach barniewskich lub, nie znając drogi, potopimy się w bagnach Rupina.

— Słusznie mówisz. Wyruszymy przed wschodem słońca.

— Gdy pierwszy kur zapieje.

* * *

Na ruńskich błotach słońce wschodzi. Zaróżowiły się blaskiem wschodu zielenice wodne, trzęsidła czerwone i ramienica, której wątłe gałęzie po wodzie pływają.

Zajaśniały trzęsawiska blaskiem swej bogatej roślinności,

całą urodą złotego kwiecia, które chwieje się na łodygach. Na widok słońca roztoczył swe prześliczne liście kosaciec, a chłód ranny obsypał go perłami rosy, w których słońce djamentowym błyska ognikiem. Na szerokich, leżących na wodzie liściach, pływa grzebień i lilja wodna, a jaskrawe, żółte gwiazdy grądziela odrzynają się jasną barwą od zielonych odmętów mokrzyska.

Płytsze miejsca nakropione są żółtym jaskrem i przekwitłą już kwiecią błotną o liściu zielonym, co bukietami i girlandami stroi brzegi i wysepki ziemne bagniska. U brzegu rosną łany wodnego sitowia, przerywane gdzieniegdzie mieczykami trzciny, łodygami szuwaru. Tam na środku całe lasy tataraku i rogoży błotnej bujają, kryjąc w swym gąszczu gniazda ptasie i roje małych karasi, które się przed szczupakiem w ten matecznik*) kryją.

Tam od czasu, jak Bóg te ziemie stworzył, nigdy ludzka noga nie postała. Tam żyje tylko czubata czajka, bekas z długim dzióbem i kurka wodna, tam w sitowiu wije swe gniazdo łyska i kaczka krzyżowa, której chmary ciągną wieczorem z jeziora na jezioro, z trzęsawiska na trzęsawisko wrzaskliwą drużyną, mającą kształt żeleźca od strzały. Zrzadka jawi się tłusta gęś, zrzędząca chrapliwym głosem. Wyśmiewają się z jej lenistwa i barwy, przedrzeźniają jej głos chichocące się mewy, które szybciej od strzały, szybciej od kamienia rzuconego z procy, nad wodą szybują.

Z dalekiej zagrody kmiecej przybywa tu bocian, aby dla dzieci złapać brzankę lub lina, aby odwiedzić żałobną czaplę, która zaspana i smutna, jakby z kamienia wykuta, na jednem miejscu nieruchoma stoi.

Nie dojrzy tam nigdy oko ludzkie żórawia. Samotnik ten w niedostępnej błotnej kniei, na gęstej wiklinie z zielonych szabel tataraku, suchego listowia i miękkiej wyschłej trawy gniazdo dla swych dzieci wiesza.

Zanim ranna jutrznia zagasła na niebie, odezwało się życie wśród wodnej drużyny. Gdy pierwsza złota chmurka zabłysła na horyzoncie, kipiało już tu i wrzało w królestwie wodnego ptactwa. Kaczki i czajki szybowały w lasach szuwaru, a chmury kurek przelatywały od wikliny do wikliny.

Walka o byt zawrzała w najlepsze.

Niebieska panna wodna zjadła trawkę, pannę wodną zjadł

*) Matecznik—miejsce niedostępne, kryjówka.

karasek, karasia zjadł szczupak, a szczupaka połknął żóraw. Jako mędrszy z całej błotnej gromady, nie wyścibi on głowy z bagna, bo wie, że w lesie i w czarnym polu mógłby go zjeść sęp, lub rozdrapać orzeł.

Słonko spiło już część rosy, która srebrnej księżycowej nocy spadła na ziemię, a wodna gromada wyległa na groble, aby się w słonku zagrzać i pióra rozprostować. Zaczął się sejm ptasi.

Prym*) tu trzymają czajki, te krzykacze i rozbójniki wód słowiańskich. Hałas, krzyk. gwar, jęk, pisk, gęg, zgrzyt, chrzęst i chichot trząsł kolbami tataraków i delikatnym listowiem żółtych i białych kosaćców.

Wtem stało się coś nadzwyczajnego.

Łomot straszny, jakby świat walił. Zadudniło, jakby kawał kawał skały oderwał się ze szczytu gór i leciał w przepaść.

Dziesiątki tysięcy skrzydeł załopotało, gromada ptactwa wzbiła się w powietrze, zakryła na chwilę chmurą słońce i wpadła jak kamień do wody. Szklana tafla wody rozprysła się na tysiące kółek i kółeczek, które falowały, zmniejszały się, a wreszcie znikły.

Na groble najechała gromada zbrojnych jeźdźców. Mieczyki ich i hełmy lśniły w słońcu stalą piór dzikiej kaczki, w tarczach ich przejrzały się złote chmurki, w które strojne było jasne oko słońca.

— Czy daleko jeszcze mamy?

— Za moczarem na prawo leży wieś Rutnik. Obok na lewo gniewkowskie lasy. W małe pół godziny będziemy na miejscu.

— Stójcie! Musimy się za groblą rozłączyć. My pojedziemy brzegiem ruńskiego jeziora, objedziemy wieś i uderzymy na Gniewków od strony Wielic. Knechty obstawią las z obydwóch stron, a w ten sposób żywa nam dusza nie ujdzie. Gdyby ktoś z pogan chciał uciec, to pozostanie mu chyba skoczyć do jeziora, którego wpław przejść człowiek nie jest w stanie. Zachowywać się cicho, tak jak wydałem rozkazy.

Gniewkowskie opole rozrzucone było wśród nieprzebytych lasów i borów, na pograniczu między lutycką a hawelańską ziemią. Gdybyś na te bory spojrzał okiem ptaka, zobaczyłbyś tu

*) Prym—pierwszeństwo.

i owdzie wśród puszczy polanę, a na niej wielką podkowę: to szereg domów gniewkowskich, to wieś lutycka.

Wielki łuk kształtu końskiej podkowy zataczały chaty kmieci i ziemniaki ratai*), złączone wieńcem krzewów, drzew i opłotków.

Na końcu jednej z takich podków stała czysta i nowa chałupa władyki Cichosta. Oderwała się ona nieco od wsi i zbliżyła do lasu; a najbliższa sosna, rojąca się od rozrodzonej snać w niej braci, stała już w ogrodzie władyki. Był to człowiek półwieczny o jasnych długich włosach, o rozumnych oczach, w których malowała się łagodność i dobre serce. Siedzi przy nim na pogródce jakiś gość widać, bo Cichost mu często i pilnie kubek miodu nalewa. Gość ma potężne ramiona, olbrzymi wzrost i wielkie w kułak zaciśnięte pięście. U stóp ich bawi się gromadka prześlicznych dziatek, przewracając się i koziełkując po zielonej runi. Cichostowa żona i córka jej Sławotka przędą len, odpowiadając nierzadko na pytania gościa, który rad jest widać tej rodzinie.

Takie kwiaty, jak Sławotka, rodzą się tylko na słowiańskiej ziemi. Jestto cudne dziecko o bławatkowych oczach, o twarzyczce tak pięknej, o szyjce tak zgrabnej, że oczu od niej nie oderwać, że pamięć przy niej zatracić. Ledwo to rozkwitło z dzieciństwa, ledwo młoda pierś wzdyma czystą i białą lnianą koszulkę...

Kręci dziewoja pilnie wrzecionem, snuje nitkę bielutką i śpiewa:

Wynieście mnie dzieweczki!
O! do głębokiej wody.
Potem wrzućcie do wody,
Tu na te pagóreczki.

A gość, matka i starsze dzieci powtarzają ostatnie słowa piosenki:

Potem wrzućcie do wody,
O! do głębokiej wody.

Nie ustał jeszcze chichot dzieci i nie przebrzmiała pieśń, gdy na drugim końcu wsi powstała głucha jakaś wrzawa. Jakby wrzask tłumu, gdy pożar wybuchnie, jakby krzyk ludzi, którzy podczas burzy na okręcie toną.

---

*) Rataj—rolnik, kmieć.

Zawarczały psy, przy Cichostowej chacie powstał ogromny krzyk i hałas, przed Cichostem zaś stanął zbladły kmieć krzycząc:

— Królewscy wieś rabują!

Odruchem rzucili się mężе po topory, a władyka strasznym na dzieci i kobiety krzyknął głosem:

— W lasy!

Ale zapóźno już było na ucieczkę. Z mroku leśnego dokoła wysuwały się postacie zbrojne, lśniące stalową łuską i koszulką drucianą. Jako z ula podczas roju wysypuje się czerń owadzia, chmurą na drzewa lecąc, tak sypały się z lasu roty najezdniczego żołdactwa. Zagroda była ze wszech stron otoczona, a kilku pachołków rzuciło się na Cichosta, jego gościa i jego rodzinę. Jeden knecht chwycił wpół Sławotkę, która wydzierała się, wołając:

— Ojcze ratuj!

Wnet przyskoczył Niebora i uderzeniem w pierś odczepił od dziewczyny knechta, nadlatującemu zaś drugiemu rozbił łeb tkackim kołowrotem.

— Dawaj siekiery!—wołał na władykę.

Nie słyszy go Cichost, siedzi bowiem już na nim trzech drabów, wiąże mu ręce i krępuje bezlitośnie ramiona, że kości trzeszczą, że sznur wrzyna się w zesiniałe ręce.

Sławotka, matka i dzieci, schroniły się wszystkie za olbrzymią postać Niebory, który bezbronnemi rękami zasłaniał kobiecą gromadę. Natarła na niego cała rota żołdactwa, a ten przeciw dziesięciu mieczom i oszczepom miał tylko gołe ręce.

Na pomoc przybyły mu tylko psy Cichosta, które na widok zajazdu wyły i ujadały okropnie, nie mogąc się zaś doczekać ręki, którąby ich z uwięzi uwolniła, zerwały powrozy i rzuciły się na żołnierstwo.

Mniejszy z nich, Burek, pokąsał twarz oszczepnika, przebity jednak przez pierś, skowycząc, zakończył swój żywot.

Trudniejsza sprawa była z Borysiem, gadziną wściekłą i zajadłą. Chwycił za gardło dziesiątnika w łuskowej zbroi, wpił okrutne zęby w mięso i ścięgna szyi i upadł z nim na ziemię. Wywiązała się walka, straszna walka psa z żelaznym rycerzem.

Z resztą knechtów bił się Niebora, dobywając resztek sił. Łucznika straszliwym razem w ślepie na ziemię złożył, ranny zaś w prawą rękę, kopnął w brzuch znacznego jakiegoś rycerza, który upadł, wyjąc z bólu okropnie. Wściekłe knechty, nie mogąc

na nim zemsty wywrzeć, rzucili się na kobiety. Zaczem władykowa upadła z rozstrzaskaną czaszką na ziemię, a pachołcy, którzy bali się przystąpić do zakrwawionego Niebory, zaczęli rzeź między dziećmi. Zabijano je w oczach ojca, który zsiniały leżał w więzach na pogródce bezsilny, nie mogący mordowanym dzieciom nieść pomocy.

Rozpoczęło się nowe pasowanie z Nieborą, który cudem zaiste kilku cięć śmiertelnych uniknął.

— Tego żywcem brać — odezwał się piorunowy głos margrafa.

— Żywcem!

— Czego stoicie draby, kiedy was pięciu jest przeciw jednemu?

— W pęta z nim, w pęta!

Dietrich przyskoczył sam i podstawieniem nogi Nieborze położył go na ziemi.

Siadło na niego sześciu ludzi i po krótkiej, okropnej walce związało mu ręce i nogi.

— W kij z nimi!

Na prędce ucięto mieczem grubą gałąź grabową, ogołocono ją z odrośli, zestawiono ze sobą pojmanych popuściwszy z przodu sznurów, przetknięto po pod wysunięte w tył w łokciach ręce, kij drewniany.

Spętani, związani i bezsilni siedzieli na przyciesi domu Cichost i Niebora.

— Czy ranni?

— Ten poganin ranny, najdostojniejszy.

— Opatrzeć jego ramię i zatamować krew. Jego życie jest dla nas drogie, bardzo drogie.

— Na ogniu wyśpiewa on wszystko.

— Toś ty, psie, wieszał jego przewielebność?

— Ja — odrzekł Niebora. — Powinniście mi być wdzięczni za to. Gdyby on był na wierzbie skonał, miałaby wasza wiara jednego męczennika więcej.

— Bluźni poganin.

— Czyje to dzieci pozabijane?

— Djabeł wie, jakie to plemię. Pogańskie.

— Ten mały rusza się jeszcze. O! Otwiera oczy, możeby go, zanim umrze, ochrzcić, aby dusza jego na wieki nie poszła do piekła.

Chłopczyk z rozpłataną piersią podniósł się z lekka, wsparł na ręce, otworzył oczy i zaszeptał:

— Matulu... ma-tu-lu...

Opadł na ziemię.

Jakiś drab z czerwonym nosem zbliżył się do dziecka, potarł mu czoło wodą z kałuży i rzekł:

— Ja cię chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Poczem z litości rozbił mu obuchem głowę.

Walka toczyła się tylko koło Sławotki.

Żołnierstwo chciało ją ująć dla siebie i pognać w niewolę. Dziewczątko na widok krwi ludzkiej broniło się z rozpaczą, którą śmierć dyktowała. Wydobywała się gwałtem z lubieżnych uścisków żołnierskich, pluła knechtom w twarz, a jednemu ze starszyzny wymierzyła gwałtowny policzek.

— Łeb rozbić tej sikorze!

I tuż topór wisiał nad jej głową, gdy odbiła cios ręka jakiegoś człowieka, który stanął między żołnierzem i uwolnioną z jego rąk Sławotką.

Był to chudy, blady i bosy człowiek w czarnej, podartej szacie, z wizerunkiem Ukrzyżowanego Chrystusa w ręku.

— Co wy czynicie? Co wy za jedni?

— Jestem Dietrichem, margrafem wschodnim, a to moi rycerze i roty zaciężne. A ty kto?

— Jestem kapłan i ksiądz Jezusowy, pustelnik, który osiadł wśród Wilców, nauczając go prawdziwej, Chrystusowej wiary.

— My to samo czynimy.

— To samo czynisz, morderco? A ta krew, te zwłoki co znaczą?

— Szerzyłem wiarę świętą mieczem.

— Kiedyż to Chrystus Pan kazał bliźniego zabijać? Ty kłamco, mówisz, żeś wyznawcą Jezusa, Boga miłości, Boga przebaczenia?

— Margrabio, daj w pysk temu oberwusowi.

— Jezus kazał szerzyć świętą wiarę miłością, dobrocią, przykładem, przekonaniem, kazał pójść między ciemne pogaństwo, nauczając je, aby oni dobrowolnie uznali Jezusa, Boga nędzarzy, wszystkich biednych i wydziedziczonych. Przecz niewinną krew rozlałeś? Przecz ściągasz na nasz niemiecki naród pomstę niebios, ty krwawy zabójco?

— Milcz, ty czarna wywłoko, bo cię każę natychmiast powiesić.

— Wiesz, zbóju! W imię Boga, w imię Trójcy Przenajświętszej, w imię tego, co krwią swoją za nas niewinnie przelaną, świat śmiercią krzyżową wybawił, przeklinam cię, ty opryszku i kacie.

Straszliwy cios, wymierzony w pierś pustelnika, powalił go na ziemię. Czerwona jak rubiny krew buchła z piersi fontanną. Wymówił: „Jezu" i zamknął na wieki poczciwe oczy, ten jedyny wówczas między Odrą i Łabą wśród chrześcijan — chrześcijanin.

Walka zakończyła się zabiciem Brysia, który tarzał się z dziesiętnikiem, po ziemi. Żołnierz charczał śmiercią i syczał ściśniętem przez zwierzę konwulsyjnie gardłem. Palce żołnierza wbite w ciało zwierza straciły moc. Z pod zębów psa toczyła się krew z ran. W rany pchała się piana rozjuszonej bestji. Przebito psu pierś i przemocą otworzono szczęki, nie wiele to jednak pomogło dziesiętnikowi, bo z otwartych tętnic buchała teraz krew strumieniem.

Tamowanie jej nie uratowało życia żołnierzowi.

Rycerstwo dobyło z komory Cichostowej łagwie z koźlej skóry, pełne miodu, sery owcze i suszone ryby, knechty zaś zabili dwa cielęta i piekli je na wolnym ogniu.

Wnet zaczęło się śniadanie.

Margraf Dietrich postawił straż przy więźniach, polecając raz jeszcze opatrzyć rany Niebory, spodziewał się bowiem wydobyć z niego ogniem i torturami wiadomość o zamierzonym buncie słowiańszczyzny.

Osobiście obejrzał powrozy, którymi byli poganie związani. Gdy zbliżył się do Cichosta, ten wpatrzył się w niego oczami, pełnemi łez i rozpaczy i rzekł:

— Ty, morderco moich dzieci.

Długo patrzyły oczy nieszczęśliwego ojca w twarz mordercy, który się we krwi jego ukochanych dzieci pławił.

— Nie zapomnę ci—wyszeptał—niezapomnę.

— Gdy pod batami zdechniesz, zapomnisz.

Napróżno szukano wszędzie wysłannika Mieszkowego, o którym doniósł szpieg magdeburski, napróżno też patrzano za Sławotką, która wtedy, gdy księdza mordowano, wpadła w podszycie leśne i zginęła bez śladu w borze.

Pocieszało się rycerstwo dostojne tym, że katowany Niebora wyśpiewa, jaki w zamierzonym powstaniu był udział Mieszkowy, kto winien buntu przeciw królowi rzymskiemu i chrześcijaństwu.

— Gdy zaś opowie nam wszystko, wsadzimy go do lochu, gdzie siedzi Msta, żeby mu się samemu nie przykrzyło.

Po splądrowaniu wsi ruszyli rycerze do domu.

Przezacni jechali przodem, w środku szli związani jeńcy w towarzystwie kilku pieszych strażników, na końcu konni, knechty i pachołkowie.

— Wilhelmie — odezwał się do młodego giermka margraf Braniboru — śmiem cię prosić, abyś został w tyle i osobiście towarzyszył psom pogańskim, których pędzą pachołki. Mimo, że to silne draby, boję się jednak, żeby jeńcy nie uwolnili się, żeby nie weszli w zmowę z żołnierzami, nie obiecali im okupu i nie uciekli. Co najważniejsza zaś to, że ty jeden z nas tutaj znasz słowiańską mowę. Jadąc w pobliżu, usłyszysz co ze sobą mówią i czy nie zamierzają uciec. Oni nie wiedzą, że ich rozumiesz i gotowi wygadać się z tym, co nam właśnie wiedzieć trzeba.

— Twoje życzenie jest dla mnie zawsze rozkazem, przezacny.

— Gdy król w Kwedlinburgu uderzeniem miecza pasować cię będzie, przypomnę ci wtedy przysługi, które nam zawsze oddawałeś.

Zawrócił Wilhelm konia, udając się do jeńców w swej wywiadowczej misji. Gdy przycwałował do związanych, nie mówili oni do siebie ani słowa.

Wilhelm obejrzał tylko ze wszech stron więzy, znalazł je w najlepszym stanie, upomniał pachołków, aby pilnie strzegli pogan i pozostał w tyle, patrząc w las i nucąc pieśń, którą rycerze na dworze królewskim śpiewali:

Przyjdź najpiękniejsza
Zbroję moją i miecz mój
Złożę u stóp twoich
I sam do nich upadnę.

Tą piękną była Adelajda, synowica margrafa Dietricha.

* * *

Słońce schodziło już ze szczytu niebios, gdy przedniejsze rycerstwo z Dietrichem. Bernardem i margrafem Brandenburskim, minąwszy Święte i Bienice, opuszczało barniewicką puszczę.

Z pagórka widać było dobrze Wiernice, Dobierzyce, Marzannę i Gorce.

Przed nimi wyraźnie rysowały się drewniane wieże Braniboru, na dalekich zaś horyzontach dojrzałeś za Hawelą pola nadłabskie i dziwacznie rozrzucone zwierciadła stawów, przez które przepływa Hawela. Na lewo majaczyły lasy, za któremi leżą Glinniki i Berlin. Już rzedniał bór, a przez pnie jodeł przedzierało się lazurowe niebo, gdy Wilhelm i knechty, jeńców prowadzący, zobaczyli niedźwiedzia, który w połowie wysokości sosny rojom pszczół się oganiał.

Skoczył ku niemu jeden z knechtów, aby nadziać go na oszczep, wtedy, gdy gramoląc się z drzewa nie będzie się mógł bronić. Przerachował się bo zwierzę skoczyło zręcznie na oszczepnika z góry, obaliło go na ziemię, szarpiąc pazurami drucianą koszulę, dusząc go tak, że resztką zaledwie płuc i oddechu mógł zawołać na towarzyszy:

— Ratujcie!!!

Teraz! — szepnął Niebora do ucha władyce. Cichost całą siłą rąk przycisnął do siebie grabczak, towarzysz jego silnym szarpnięciem zesunął się z kija, który mu po pod łokcie przechodził.

Żelazną mocą przerwał zwolnione już z przodu powrozy, a zanim knecht się spostrzegł, wyciągnął drzewiec z pod łokci Cichosta.

Zapóźno uderzył na niego pachołek z oszczepem, powalony silnym razem na ziemię.

Cichost z rękami spowitemi w pęta, uciekł w las, nie ścigany przez Wilhelma, który najechał Nieborę. Ten ani myślał uciekać. Zmierzył się z rycerzem oko w oko, uderzeniem grabczaka odbił zamach jego miecza, poczem okropnym, a trafnym ciosem uderzył konia w nozdrze... Ciężko skaleczone zwierzę stanęło dęba, zachwiało się i całym ciężarem swego cielska runęło na ziemię. Z pod konia słychać było jęki młodego rycerza przez zwierzę zgniecionego.

Jak strzała uciekał teraz jeniec w głąb puszczy, słysząc za sobą nawoływania i krzyki knechtów i rycerstwa.

Wszyscy rzucili się za zbiegiem w pogoń. Sam Bernard biegł z pachołkami, aby go schwycić. Jak kilka sfor ogarów za odyńcem, tak gnała gromada pachołków za Nieborą. Ale jak nie zgonisz w rzece łososia, który zna swe tatrzańskie wody, tak nie zgonisz w lesie Wilca, który w swych lasach ojczystych jest jak u siebie w domu. Pędzi on lotem strzały, przebiega pagórki, mija błota leśne, przeskakuje przez parje*) i urwiska boru. Dwudziestu ludzi za nim goni, połowie tchu brakło, dziesięciu jeszcze go ściga, wnet pięciu tych zostało, którzy pędzą, ciężko robiąc płucami. Nawoływania cichną i cichsze, dalekie zaledwie ich echo słychać z matecznika.

Gdy umilkły krzyki, przystanął Niebora, nabierając tchu i prostując swe skaleczone zsiniałe ręce. Sądził, że w gęstwinie, w czarnej pomroce podszytego boru, nikt go już nie zgoni, nikt go już margrafowi nie wyda. Omylił się.

Brzegiem przepaścistego potoku cichym, lecz szybkim krokiem, pędził zbrojny człowiek. Zobaczył zbiega i leciał na niego cwałem. Widok Niebory zdwoił jego siły, świadomość, że ma oszczep. Niebora zaś gołe tylko ręce, dodała mu odwagi i pewności. Leci za nim przez jar, przez piętrzące się stare powalone drzewa, przez podściółki paproci i gęste krzaki kolących ożyn. Przeciwnik, jak szczwany lis, ocenił niebezpieczeństwo nierównej walki, wiedział, jaki koniec będzie pojedynku gołych, skaleczonych rąk ze zdrowemi, które oszczep dzierżą.

Zwrócił się w młody las świerkowy. U góry buja on z zielenią iglic, gąszczem chabin**) i gałęzi, które do głębi podszycia jednego promienia słońca nie przepuszczą. Tam szarzeje sieć suchych gałęzi i gałązek, tam nieprzebyta matnia poplątanych odrośli, pędów i pni świerkowych. W ciemną gąszcz rzucił się Niebora, rękami drogę sobie robiąc, lecąc wężową linją, aby zmylić trop przeciwnika. Huczał szelest łamanych gałęzi, tętniły kroki zapalczywego żołnierza, którego gnała nadzieja sowitej od margrafa nagrody. Tamowała mu bieg ciężka, żelazna koszula, tamowały bieg głogi, oszczep, który ubezwładniał ręce, tak, że ostre gałęzie twarz mu siekły i pęd wychylonych naprzód piersi i ramion wstrzymywały. Wiedząc, że tak poganina nie zgoni, rzucił oszczep, licząc na własną moc i siłę.

*) Parja — przepaść, wąwóz.
**) Chabina — pręt, gałązka.

Tego tylko chciał ścigany.

Przebiegł świerczynę i zwrócił swój bieg nazad ku potokowi. Nad brzegiem szumiącej trzemeszny, wśród krzewów czerwonych kalin, czekał na wroga z rozkrzyżowanemi rękami. Krwią one ciekły, ale nie straciły swej mocy. Siłę rozłożonych rąk zdwajała rozpacz. Stał, jakby napastnika chciał powitać, jakby przyjaciela serdecznie miał ująć w ramiona. Zjawił się on wreszcie i rzucił się na Nieborę. Ten podpadł ku niemu, objął go w piersiach wpół. Nienawiść do wroga i strach przed śmiercią i gorszą od śmierci hańbą, wlał straszną potęgę w ramiona olbrzymiego Wilca. Zachrupotały kości, usta żołnierza buchnęły krwią, ręce zaś, które całą siłą dławiły Nieborę za gardło, zaczęły zwolna opadać i słabnąć. Kilka, kilkanaście może mgnień oka trwała cicha, niema walka. Wnet zjawiła się na ustach żołnierza piana, oczy stanęły w słup. Niebora puścił przeciwnika, którego ciało jak kłoda upadło na ziemię. Odruch konania sprawił tyle, że żołnierz zesunął się po podściółce mchów i zawisł nad bystrym brzegiem ponikwy. Jeszcze jedno przedśmiertne drgnienie a zbrojny, jak kamień z wierzchołka gór oderwany, stoczył się bezwładnie do wody.

Ucichło wszystko.

Wilc wyszedł na polanę, umył spracowane ręce w wodzie krynicznej, przyłożył na rany listowie babki, a urwawszy kawał płótna z koszuli, obwinął pokrwawione palce i ramiona.

Podszedł ku górze, na której stały odwieczne dęby i buki, zginął w nieprzebytym gąszczu młodych grabczaków, głogów leśnych i leszczyn, których gałęzie ze sobą poplątały chmiele.

W puszczy zapanowała cisza wielka.

Za chwilę ze szczytów pagórka odezwał się donośny głos wilgi. Zaśpiewała melodyjnym hasłem, które kmieciom naszym deszcz zapowiada, zaśmiała się dźwięcznem i śpiewnem kwileniem. Odezwała się raz, drugi, dziesiąty,..

Cisza...

Znowu wilga śpiewa, znowu wabi drugą ptaszynę.

Cicho i cicho.

Wtem tam daleko za czarnym borem, za mokrzyskami*) leśnemi odezwał się głos drugiej wilgi.

Nasza ptaszyna odpowiada jej natychmiast.

Zbliżają się wilgi do siebie, przelatują snać z gałęzi na ga-

*) Mokrzyska—moczary.

łąż, wabi się samiec i samiczka na wiosenne wesele, jeszcze są daleko, daleko od siebie, zbliżają się zwolna, już się zbliżyły, już są niedaleko od siebie. Już potok ich tylko dzieli, jeden głos przy drugim, jakby na dwóch sąsiadujących ze sobą koronami sosnach dwa ptaki śpiewały, już odgradza ich tylko krzak ostrężnicy. Wreszcie znalazły się razem...

Był to Cichost i Niebora.

* * *

Przezacni przyjechali do domu w niewesołem usposobieniu. Dietrich kazał batami ćwiczyć wzięte do niewoli chłopstwo, chcąc się dowiedzieć, co mówił Niebora we wsi i gdzie jest wysłannik księcia polskiego.

Katowani poganie nie powiedzieli mu nic. Nikt bowiem we wsi nie wiedział, co się działo w chacie Cichosta, który nocami tylko obcych gości przyjmował. Bywało czasem, że przy palącym się łuczywie radziło u niego kilku nieswoich ludzi, zwołanych przez władykę obesłaniem krzywuli; co jednak mówili, co postanowili, dowiedzieć się trudno, bo Bryś i Burek nie dopuścili nikogo do chałupy na staje.

Przezacny Bernard nie mógł dać sobie rady ze złości. Już już miał w ręku Nieborę, który dwór jego w Retrach podpalił, który jego najprzewielebniejszego przyjaciela na suchej gałęzi powiesił.

Gdzie tylko między Łabą a Odrą pokazało się zarzewie buntu, było dziełem Niebory, najpodlejszego psa słowiańskiego, największego wroga Chrystusowego.

Teraz umknął w las, zabiwszy kilku ludzi, przyprawiwszy szlachetnego Wilhelma o nieszczęście, a może kalectwo.

Pienił się ze złości, gdy Wilhelm, któremu baby złamaną nogę składały, krzyczał w niebogłosy, a każdy jęk dostojnego chłopca raził jego rycerskie serce.

— Dla was to cierpię — jęczał Wilhelm — dla waszej rodziny. Dla was tu przybyłem. Czy nie lepiej mi było siedzieć we wspaniałym królewskim dworze.

Aby ułagodzić gniewy i zmniejszyć rozpacze, zaprosił margraf brandenburski towarzyszów do świetlicy, kazał podać kielichy i wytoczyć co najlepsze wino reńskie i włoskie.

Uderzono w puhary i rycerstwo na dnie kielicha topiło swój srom i zgryzotę, że śmiertelny jego wróg uszedł z niewoli.

Mimo gęstych kielichów, nie przychodziła jednak wesołość, jaką wino budzi.

Dietrich miał niesmak w ustach, gorycz paliła go w gardle. Krew, która buchnęła z piersi księdza, zalała mu twarz i wepchnęła się w usta, a choć na wojnie nie rzadka to rzecz, przecież niema żołnierz żalu, jeśli to krew zbrojnego męża, a nie bezbronnego, obdartego klechy. Miasto humoru i radości, rozpacz, złość i wściekłość to wino budziło. Bernard, pijany mocnym trunkiem wpadł w szał, tak, że wyglądał jak człowiek opętany. Oczy miał wytrzeszczone i krwią nabiegłe, a wielka czerwień policzków zachodziła na czoło, zachodziła na szyję.

Pominął srebrny puhar w palcach, rzucił nim o ziemię i zapytał pachołka:

— Czy Msta żyje?

— Żyje i nie zemrze jeszcze tak prędko.

— Chodźmy tam.

— Chodźmy! — zawołali rycerze.

— Dzban z winem wziąć ze sobą!

— I puhary!

— Dobrze! Chodźmy!—rzekł najprzewielebniejszy.

Drewniane wieże i ściany braniborskiego zamku stoją na murowanych z kamienia podwalinach, w których są liczne lochy. Zamknięte w nich jest wino, zamknięci są zbrodniarze i wrogowie prawdziwej wiary.

W jednym z nich siedzi od ośmiu dni, w lasach ujęty, Msta.

Udowodniono, że Msta burzył święte kościoły i stawiał na poświęconem miejscu pogańskie bożyszcze.

Udowodniono, że on namawiał książąt, grody i opola do buntu przeciw królowi i do wyzwolenia pogan z pod chrześcijańskiej, prawowitej władzy.

Udowodniono, że był on u Połabian, Durzyńców, Serbów, Łużyczan, podjudzając do powstania.

Udowodniono, że wraz z Nieborą był na czeskim dworze Bolesława i polskim Mieszka prosić o pomoc, że był w Kijowie żebrać o litość i posiłki wraz ze zbiegłym zbrodniarzem Nieborą wyciął w pień rycerstwo rzymskiego króla w Jasienicy i rozpędził pobożnych zakonników w Łubni.

Za zbrodnie te pokutuje w tym lochu.

Skazano go na śmierć głodową.

Przykuto go w ciemnej piwnicy za ręce do ścian dlatego, żeby nie mógł jeść własnych rąk.

Aby nic nie jadł.

Jest tam już dni ośm.

Otwarły się na oścież żelazne drzwi i światła pochodni zabłysły.

Nawpół siedział, nawpół wisiał tam człowiek z przykutemi do ściany rękami.

Twarz miał ciemną, jak ziemia.

Źrenice jego były od wiecznej nocy rozszerzone tak, że nie widać było tęczówek. Straszne były te oczy, szkliwem łez błyszczące. Pochodnie odbiły się w źrenicach strasznymi blaskami. Mętne a jaskrawe jakieś światła w oczach Msty świeciły.

Nie ruszał się.

Rycerze myśleli, że to już trup.

Msta jednak dał znak życia, westchnął.

Dietrich nalał puhar wina i podniósł kielich do góry, mówiąc:

— Żyjesz? Na twoje zdrowie, Msto, piję. Wnoszę toast, abyś żył jaknajdłużej! Żyj choćby sto lat, byleby tu w tej piwnicy!

— Ha, ha! He, he! Hi, hi!—zaśmiali się rycerze.

— A możebyś tak co przekąsił? — zapytał skazańca margraf brandenburski.

— Ha, ha! He, he! Hi, hi! Ho, ho!

Msta drgnął, jakby te okropne śmiechy zatrzęsły jego ciałem. W wyrazie jego twarzy malował się ból, straszliwy ból. — Cichym, jak szelest osiczynego liścia, głosem, rzekł do Bernarda po niemiecku:

— Ulituj się!

Bernard kopnął go nogą okropnie w twarz.

I opuścili przezacni rycerze loch, w którym Msta żył jeszcze kilka dni.

III.

Zdaleka poznasz, że to nie uboga chata kmiecia, nie zagroda władycza. Jakby kościół w wieńcu klasztornych budynków, tak wśród palisad*) i mniejszych budowli wznosi się wspaniały tar-

*) Palisada—ostrokół, ogrodzenie.

nowski grojec. Pokrył drewnianemi wiązaniami całe wzgórze, bieleje na tle zieleni gór, strzela dachami w niebo, aby wraz z niebem, wraz z zielenią drzew odbić się w Odrze, która o trzy staje u stóp jego płynie. Wabi nas i ciągnie stare słowiańskie grodno**) — chodźmy w jego progi.

Praca całych pokoleń złożyła się na te warowne okopy. Po modrzewiowych ścianach, z których jedne poczerniały ze starości, drugie zaś są białe, jakby je wczoraj ręka rzemieślnicza ociosała, poznasz, że nie jeden człowiek i niejedno życie ludzkie to grodno stawiało. Pot ludzi, którzy już dawno śpią w popielnicach, skropił te przyciesie, belki i wiązania.

Zamczysko opasują dokoła głębokie, ręką ludzką wykopane rowy. Woda w nich na dwóch chłopów głęboka, brzegi ich strome zarosły krzakami leszczyny i prętami wiklin. Zrzedły z dołu olszyny, jesień zasiała nasionami ziemię, z wiosną zaś girlanda jaskrów, złotych knieci, czerwonych firletek zakwita nad wodą. Zieleń gałęzi, u góry wiosenna i jaskrawa, szarzeje u dołu przechodząc w srebrne liście wiklin.

Skoro tylko ludzie doły wykopali, wnet buchły krynice źródlane, wnet otwarły się wody zaskórne, przyszła ulewa i wypełniła rowy po brzegi, przyszedł wicher jesienny, który nasypał na wody puchatych nasion rogoży, trzcin i tataraku. Na wiosnę wyrósł tatarak, wybujała trzcina zeszła rogoża w ślad zaś za zielenią rogoży zleciała tu i czajka błotna, niosąc z dalekiego jeziora, ze starych łożysk Odry, ikrę karasia i szczupaka, która na rybnych wodach przyczepiła się do jej skrzydeł, do jej pierza, która zawisła na pletwach jej nóg. Kilka lat nie minęło, a na pustych wodach rowów zaroiło się życie, srebrzył się we wodach karaś, rzucał się pędem kamienia wyrzuconego z procy, na mniejsze ryby szczupak. Zdziwili się niepomału dwaj ludzie, którzy własnemi rękami doły kopali, i rzekł syn do ojca:

— Tu są ryby!
— Pleciesz!
— O! szczupak, jak wyprostowana cięciwa, na wodzie stoi.
— Prawda.
— Skąd się tu wziął.
— Chyba z nieba zleciał.
— Czary, istne czary.
— Niebiańska Żywie, córka Jessego, cuda zaiste czyni.

---

*) Grodno—gród, twierdza.

— Nie zgłębisz rozumem...

I dziwowali się ludzie z opola, skąd we wodach naokoło zamku wzięły się karaś, płotka, lin i szczupak, kto je tu zapuścił i rozplenił, pytali się starych ludzi i bab, które na czarach się znają. I zgodzili się ludziska na zdanie guślarza.

— Z wiosną pada majowy deszcz, z majowym deszczem leci z nieba ikra ryb i zielone żaby prosto z niebios na naszą ziemię sypie.

Przez długi drzewny most prowadzi droga w zamkowe wierzeje. Ogromna przestrzeń miejsca zabudowana domami, wygląda na miasteczko, którego chaty skupiono i zniesiono na jedno miejsce. Są tu pałace rzeźbą strojne, i kazamaty drewniane i wielkie domy gontem kryte, i rudery, na których dachu widać wiechcie starej i dziurawej strzechy. Bezpośrednio przy palisadach ciągną się długim wieńcem mieszkania łuczników i oszczepników, koło nich stajnie dla koni, przy stajni psiarnia pańska i pachołkowie, którzy rycerzom na łowach towarzyszą. Choć wszędzie naokoło zamku życie wre i kipi, przecież połowa nawet domów stoi pustką o oknach zakrytych o wierzejach zabitych deskami, Domostwa te przepełnią się ludem, skoro Czarny Bóg ześle na naród nieszczęście wojny, skoro na kraj spadnie nieprzyjaciel, niosąc ziemi Wendów śmierć i pożogę. Tu znajdzie przytułek chłopstwo z dobytkiem, uciekając przed wrogiem, chroniąc się w palisady warownej twierdzy, aby na wałach jej, z wieżyc jej bronić dziatek, aby przed najazdem zasłonić żony swe, mienie i życie.

Na środku placu w znacznem oddaleniu od domostw widać wzniesienie, na wzniesieniu stoi książęcy zamek. Dziwna budowa, jak dziwne były jej mieszkańców koleje. Starą część pałacu budował zmarły książę Obotrycki, Mestwin Bieług. On za młodych lat postawił modrzewiowe dworzyszcze, które choć wbiło się w ziemię, mchem i zielskiem zarosło, w bluszcze i dzikie wino się ustroiło, stoi przecież niewzruszenie. Porosty snują się nad oknami, w podsiebitce*) widać szpary, w które rękę włożysz na kalenicy**) dachu zieleni się cała miedza chwastów, buja śnieć, chwieją się kłosy wyczyńca i tymotki, kwitnie niebieska szałwia i żółta. jak niebo o zachodzie, lnianka. Nawet marne ziarnko maku zasiał wiatr na kalenicy i czerwone kwiecie nad starą strzechą

*) Podsiebitka— strop, sufit.

**) Kalenica—pokrycie dachu snopkami słomy.

kołysze się, nawet bukiet bławatków rośnie tam na dachu. bezpieczny, że go dziewczę nie zerwie i w kosy warkoczów nie zaplecie. Stare domostwo ma przy sobie ruderę wspaniałej i dużej jakiejś budowli, której przeznaczenia i celu trudno dziś naprawdę odgadnąć. To dawny chrześcijański kościół zapada się i wali. Mestwin pod naciskiem najazdu ze zachodu, przyjął wiarę zachodu, aby wstrzymać nawałę najeźdźców, aby odjąć wrogom pozory, dla których wiecznie Obotrytów napadano. On przy swym dworcu wystawił kaplicę, w której chrześcijańskie modliwy odprawiano, w której niemieccy księża śpiewali ponure i smutne swe pieśni. Zmieniły się czasy i warunki, zawiał inny prąd.

Zwyciężyła wola obotryckiego ludu, która nie chciała nad książęcym tronem widzieć znaku krzyża, przemogła groźba zbrojnego powstania ludu, jeśli nie wróci do wiary ojców władca kraju. Zmalał na dworze tarnowskim wpływ Niemców, a obaj synowie Bieluda, Mieczysław i Mściwoj, na nowo bogom ojców złożyli ofiary, w ślad zaczem poszło opustoszenie i zaniedbanie świętego przybytku, który wzniosła ręka starego Mestwina.

Książę Mieczysław, przebywający często na tarnowskim dworze, wystawił nowy dom. Podstawy jego podmurowane, wierzeje szerokie i zdobne, krowie*) w piękny rysunek czarnym dębem wykładane. Nad drzwiami i oknami cieśla cuda swej sztuki pokazał. Wyrysował obrazy kwiatów i żelaznym gwoździcem w ogniu rozpalonym wyrył ich ślady głęboko, w tramach modrzewiowych widać splątane zwoje bluszczów, które przeplata wypalona w drzewie lilja. Obyczajem przyjętym przez słowiański lud, od Tatr aż po morze, wyciosano belki w kształt zgrabny, zbudowano drzwi na obraz podkowy, ustrojono odrzwia w drewniane gwoździe, zgrabną główką sterczące nad oprawą wierzei, zręcznie ciupanej w gwiazdy, kostki i krzyżyki.

Koło zamczyska stoją stare lipy, jak dawno stoją, nikt tego nie wie. Ludzie nie wiedzą ile pokoleń w cieniu tych lip wzrosło; gnieżdżący się na szczycie lipy bocian nie wie, ile set bocianich rodzeństw z tej lipy się wywiodło. Dzikie wina kipią ze starego domostwa Mestwina, grzędy kwiecia otaczają całe ogromne dworzyszcze.

Na szczycie ogromnego nowego domu, który postawił Mieczysław, nie widać kwietnej kalenicy, ni gniazda bociana. Tam cieśla umieścił rzecz cudacką i dziwną. Kilka listew w różne

*) Krokiew—belka dachowa.

kształty pozbijanych, kilka lasek o pięknym rysunku niezwyczajnie ze sobą spojonych. Złączone w osobliwy rysunek laski wyglądają tak, jakby stanowiły podkowę z mieczem przez jej środek przetkniętym, jakby topór skrzyżowany był z oszczepem. Jestto stannica*), znak i cecha domu książąt obotryckich.

Z starych lat każdy dom kmiecia czy wojownika miał swój znak i swoje godło. Jeden rybak znaczył swoją łódź kołem, drugi prostokątem, trzeci wycinał na niej podkowę, a czwarty gwiazdę. Zdun pisał na utoczonym przez siebie garnku swoją cechę, kowal żelaznym rylcem znak na swem narzędziu wyrzynał. Jak wszyscy inni ludzie, tak i wojownicy znaczyli swą własność domowem hasłem.

Żołnierze jednego rodu i jednej krwi, mieszkając w jednym polowym namiocie, przybijali na szczycie namiotu stannice w kształcie gwiazdy, topora lub podkowy. — Późno w średnie wieki trwał w społeczeństwie ten obyczaj, wszak jeszcze w XII wielki mistrz snycerskiego**) kunsztu, rzeźbiąc pomnik Jagiellona, na dziele swym znak swego domu, trójkąt z krzyżem na kamieniu ryje.

Ten znak domowy był cechą własności, odróżnieniem jednej chałupy kmiecej od drugiej, oznaczeniem właściciela sprzętu i narzędzia, znamieniem domu i zagrody, a miejscu, którego dzisiejsze czasy kładą liczbę i numer.

Gdy na słowiańszczyznę przyszła nawała z zachodu, z nową wiarą przyszedł i nowy obyczaj. Obcy ludzie wmówili w orężny lud, że topór podkowę, gwiazdę i miecz, które za swój znak obrał wojownik-ojciec, ma zatrzymać jego „erb“ czyli dziedzic, że dziedziczny znak może nosić tylko orężny lud „szlagtów“), którego ród i znak jest lepszym, znaczniejszym od rodu i znaku cieśli, płatnerza***) lub kowala. Przyjął się ten zwyczaj i to niemieckie mniemanie. A dar ten przyniesiony ze zachodu ludom środkowej i wschodniej Europy nie przyniósł obdarzonym szczęścia, ni spokoju.

Na nowym dworzyszczu Mieczysława widać zbitą z niezliczonych lasek stannicę wojenną. Wyobraża ona ciesielską sztuką zbity miecz i podkowę. Koło podkowy topór, znak pani domu, nad znakiem zaś pani domu widać... chrześcijański krzyż...

---

*) Stannica—tutaj w znaczeniu: godło, herb.
**) Snycerski—rzeźbiarski.
***) Płatnerz—rzemieślnik, wyrabiający zbroje.

* * *

Z orszakiem jeźdźców, przez błonia tarnowskie, młody rycerz leci. Włos jego lniany, lica różowe, oczy modre. Z żywych i zwinnych ruchów poznasz, że to kwiat życia, że wiek rycerza to granica, na której z młodzieńca mąż się rozwija. Cwałem przybiegł do okopów zamku, zadudniał drewniany most tętentem kopyt końskich, a zbrojni wjechali na podwórze tarnowskiego grodna, żołnierz, stojący z oszczepem przy książęcych wierzejach*) widząc młodego rycerza, podbiegł ku niemu, chwycił konia za cugle i huśtające się strzemię na stopę rycerza nałożył.

— Czy jest pan w domu?

— Nie masz go.

— Gdzie jest?

— Nie wiem, mości książę.

— A pani?

— Przed chwilą do izby wróciła.

— Konia do stajni zaprowadź.

Młody rycerz wbiegł na schody, podniósł zasuwę drewnianą, która przymykała drzwi i wszedł na zamkowe pokoje. Znał je widać dobrze, częstym tu bywał gościem, biegnie bowiem przez szereg izb, szukając człowieka, z którymby się mógł rozmówić. Znalazł go wreszcie w myśliwskiej sali.

Pod istną strzechą rozwichrzonych rogów jelenich pod ścianą, zawieszoną błyszczącym orężem wszelakiego kształtu i wszelakiego rodzaju, siedział tam chłopak w jaskrawe szaty ubrany. Oczy utkwił w okna, przez które dolatywał brzęk grających pszczół, ręka bezmyślnie błądziła po strunach gęśli**), jakby harmonją, którą lipa huczy, brzękiem strun powtórzyć, w tony strun zakuć chciała.

Na widok młodego rycerza zerwał się chłopak na równe nogi.

— Książę Mściwoj!

— Ja jestem Sobieto.

— Doskonale. Jutro polowanie.

— Wiem o tem.

— Tam nad morzem dowiedziałeś się o tem panie?

---

*) Wierzeje—wrota.

**) Gęśla—dawny instrument muzyczny o trzech strunach.

— Gdym bawił w starogrodzkiej świątyni, posłaniec mi to oznajmił.

— Ucieszy się z waszego przybycia pan nasz, książę Mieczysław.

— Gdzie on?

— Od rana łowczym narzędziem zajęty.

— Czyż brak wam oszczepów, sieci i strzał?

— Na tak wielkie łowy brak: Margraf Dietrich ogromną urządza obławę, książę zaś dba o to, aby broń nasza nie była gorszą od niemieckiej broni.

— Gdzie żona księżna?

— O bratową pytasz panie?

— Tak jest.

Chłopak dziwnie spojrzał na Mściwoja, zamyślił się i znacząco, jakby z nienawiścią wskazując na wejście do starej kaplicy, powiedział:

— Tam!

— Co? W tej pustce?

— Nieinaczej.

— Jakto? Przecież tam...

— Tam na nowo zawieszono wizerunek krzyża...

— Co mówisz? Zewnątrz widać zniszczenie i ruderę...

— Od czasów, gdy ojciec wasz, panie umarł, kaplica pustką i ruderą stała. Pająki zasnuły szklane jej okna, opony zaprószonej przędzy pajęczej na złoconych obrazach wisiały.

— Dziś zaś...

— Otrzepano ze sprzętów kościelnych pył, który tam dziesięć lat leżał i w kościele na nowo niemiecki zakonnik pieśni swoje śpiewa.

— Kiedyż się to stało?

— Nie dalej jak miesiąc temu, brat wasz na to zezwolił.

— On?

— Nie wiesz o tem panie? Czyś nie widział, że na „erbie“ Mieczysławowego domu przybito znak krzyża?

Aby zrozumieć rozmowę, jaka się między księciem Mściwojem a lutnistą toczyła, przypomnieć musimy wypadki, jakie niedawno temu zaszły na książęcym dworze obotryckim.

Ojciec naszego Mściwoja, Mestwin Bielug, przyjął z rąk księży niemieckich chrzest. Do kościoła chrześcijańskiego zaprowadziło go nie przekonanie, nie znajomość i uwielbienie dla wzniosłych zasad Chrystusa Pana, ale interes polityczny, który

kazał mu do głoszonego przez Niemców wyznania przystąpić. Takie chrzty, powodowane nie wiarą, lecz wyrachowaniem politycznem, są w owych czasach zjawiskiem bardzo częstem. Pod grozą wojny i zniszczenia, jakie zachód niósł wschodowi, chrzcili się ludzie, którzy nic a nic o świętych hasłach Chrystusowych nie wiedzieli. Doskonałym obrazem i typem takiego nowoochrzczonego poganina, jest książę węgierski Gejza. Ten ochrzciwszy się w sposób uroczysty, nie zaprzestał czcić wszelakich pogańskich bałwanów, modląc się do Boga chrześcijan, nie zaprzestał kłaniać się, modlitw różnych odprawiać i ofiar składać przed ołtarzem dawnych bogów, w których wierzyli ojcowie. Gdy go chrześcijański biskup o bałwochwalstwo i składanie ofiar bałwanom strofował, odpowiedział mu z całą naiwnością i prostotą:

—Ależ ja jestem dość bogatym, abym i jednemu i drugiemu Bogu zadosyć uczynił.

Był pewnym tego, że aby być chrześcijaninem, to wystarczy przyjąć formę i daninę Kościołowi składać...

Mamy zresztą i bliższe nas przykłady tego powierzchownego pojęcia chrześcijańskich zasad. Wszak rodzona siostra naszego Mieczysława I, Adelajda, zwana Białą knieginią, choć ochrzczona, niewyszczególnia się zbytnią pokorą chrześcijańską, nie prowadzi życia dewocyjnego, jak na bogobojną niewiastę przystało. Zapalczywością uniesiona, zabija zbrojnego męża, używa gorących trunków i tak się sprawuje, że kronikarz niemiecki, któremu dzielność pierwszych Piastów, mądrość z jaką Dobrówka, Mieczysław i Bolesław granic Polski przed najazdem bronili, kością w gardle stała, pisząc o rycerskiej siostrze Mieszka, gorzkie łzy wylewa.

Matka chrzestna Polski, Dobrówka, która postów przez kościół nakazanych najpilniej przestrzega, która męża swego Mieszka, nie chcącego na żaden sposób pościć, choć: „jad wrodzonego niedowiarstwa wyzionął i chrztem świętym pierworodny grzech ze siebie obmył", najusilniej do postu nakłania, zrzuca jako Mieszkowa żona czepiec małżeński i ku wielkiemu zgorszeniu bogobojnych księży: „chodzi zawsze w wieńcu i koronie, przetowłosa jako dziewka, głowy nie przykrywając".

Przytoczyliśmy imiona osób, które dzieje ze czcią i wdzięczną pamięcią wymieniają. Bo gdy zajrzeć do duszy ludzi splamionych mordem, pożogą siół i rabunkiem, to tam prócz formy

nic więcej ze świętej nauki nie zostało, a taki Gero, margrabia stoderański Bernard, hrabia Tietmar i król Henryk, to poganie na krew ludzką łakomi, to bezbożni okrutnicy, a ohydne ich czyny są ironją i kłamstwem świętego krzyża, który na ich czole przy chrzcie położono.

Ludy nowe ochrzczone zwolna przejmowały się istotą wiary i zasadami wiary. Wszak jeszcze Długosz narzeka, że za jego czasów lud pogańskim bogom się kłania i „pogańskie błazeństwa“ wyprawia, za pamięci Bielskiego czci lud boga piekła, topi bałwana, wyobrażającego boginię śmierci Marzannę*), lasy poświęca, biesiady wyprawia i tańce stroi, kłaniając się Dziewannie**), Dziedzilji***) i bogini piekła Niji.

Dla formy, dla polityki i dla spokoju przyjął chrześcijaństwo Mestwin Bielug. Chrzest jego odjął najeźdźcom zachodu sposobność i pozory do napadania na ziemie obotryckie. I uzykał Mestwin spokój dla kraju na zewnątrz, aby go stracić na wewnątrz.

Zadowolnił chrzest Bieługa Niemców, oburzył zaś i do rozpaczy doprowadził obotrycki lud, własnych poddanych, którzy wiernie stali przy pogańskiej wierze i fanatycznie stare bogi kochali.

. . . . . .

. . . . . .

Czy lepiej wraz z wiernym ludem wieczny z najeźdźcą prowadzić bój, czy opuszczony przez własny lud, ustąpić z tronu i błąkać się po świecie.

Na pytanie to odpowiadają nam kronikarze niemieccy, którzy zapisują, że obydwaj synowie chrześcijanina Mestwina Bieluga, Mieczysław i Mściwoj wrócili do wiary pogańskiej, przed posągiem Jassego, Dziedzilji i Niji uchylając czoła.

Na dworzyszczu tarnowskiem złożono na wzniesieniu zwłoki chrześcijanina Mestwina Bieluga, otoczono je wieńcem swiec, zjechali się księża i bogobojni zakonnicy, modląc się, żałobnym pomrukiem piejąc smutną pogrzebową pieśń. Nie spalono zmarłego zwłok na stosie, nie schowano w popielnicy jego prochów, lecz obyczajem chrześcijan zagrzebano je w ziemi, gdy zaś pa-

*) Marzanna—bogini śmierci u Słowian.
**) Dziewanna—bogini odradzającej się przyrody.
***) Dziedzilja—bogini małżeństwa u Słowian.

chołkowie wzięli na barki dębową trumnę, gdy po wyprowadzeniu Mestwina zamknięto tarnowską kaplicę, zapanowała w niej na długie lata cisza grobu i pustka grobowa.

Drzwi jej na nowo otwarła Edyta, chrześcijanka, żona syna Mestwinowego, Mieczysława, który wraz z swym bratem Mściwojem objął po śmierci ojca rządy nad ludem Obotrytów*).

Małżeństwa chrześcijanek z poganami, poganek z chrześcijaninami są dość częste w owym czasie pomieszania religijnych i etycznych pojęć.

Wszak nasz Mieczysław I żeni się jako poganin z Dąbrówką. Dąbrówka, choć chrześcijanka, wchodzi w dom swego męża poganina i dopiero jako jego żona namawia go, aby oddalił swe pogańskie żony i przyjął prawdziwą wiarę. „Nie pierwej Dąbrówka do łoża małżeńskiego się skłoniła, aż małżonek jej obyczajowi chrześcijańskiemu i obrzędom stanu duchownego pilnie się przypatrzywszy, pogańskich błędów się wyrzekł".

Takie samo małżeństwo zawarte zostało między poganinem Mieczysławem obotryckim a Edytą. Syn Bieługa poznał ją na królewskim dworze w Kwedlinburgu, całem sercem niemiecką krasawicę pokochał namiętnie.

W kraśnym wieńcu dziewoi, otaczających królowę, wydała się Mieczysławowi ta sierota po królewskim grafie istotą czarowną, marzeniem, które Łada, bogini miłości, zesłała na tę ziemię; czarem, za którym szaleć, któremu życie oddać, wszystkie myśli poświęcić.

Jasne jej włosy przechodziły blaskiem w kolor złota, niebieskie oczy kraśniały barwą jaką bławatek na polach się śmieje. Postać wysoka, pierś kształtna, miłosny uśmiech na twarzyczce białej, na licach róże kwitną — wdzięki te oszołomiły rycerza, że pamięć stracił, że nie zadał sobie pytania co o tej miłości, o tem przywiązaniu, o tem małżeństwie powie jego obotrycki pogański lud...

Bojąc się burzy w rodzinnej ziemi, drżąc przed przekleństwem kapłanów, którzy przed Jessem wieczny ogień palą, wyjechał z Kwedlinburga, uciekł w lasy ojczystej ziemi, ale wszędzie szła za nim dorodna dziewczęca postać, szeptały mu jej imię trzciny na wodach Zwierzyna, dęby, co w lutyckich lasach rosną, fala morza, która o Słoweńców ziemię bije.

*) Obotryci—lud słowiański nad dolną Łabą.

Nie mógł zapomnieć, nie mógł sobie dać rady, nie mógł miejsca znaleźć, ni serca uspokoić.

I poszły dziewosłęby*) nad brzeg Lipy, co do Renu wpada i bez trudu zdobyły rękę dziewki, która opuściła ubogie swe dziedzictwo. Poszła za słowiańskiego księcia, za niewiernego, bez oporu, bez zastrzeżeń...

Mieczysław kochał swą żonę nad życie i bez granic. Oczarowały go jej oczy, przywiązały go jej pieszczoty. Dwa lata się opierał prośbom jej, aby porzucił wiarę ojców i dał się ochrzcić, żeby pozwolił jej jawnie do swej wiary się przyznać, głosić ją wśród ludu Wilców**). Po dwóch latach uległ prośbom żony, jej wdziękom, jej urodzie, jej miłości.

Nie ochrzcił się, bo na to nie zgodziłby się jego lud, pozwolił jednak otworzyć kaplicę Mestwinową, pozwolił sprowadzić księdza, który w niej pieśni śpiewał, długie modły z niemieckim orszakiem jej dziewek odprawiał. Udał, że nie widzi, gdy jego żona, na stannicy jego domu przybijała znamię krzyża...

Bo dusze oddał kobiecie, bo wszystkie zmysły i serce całe zdobyła na nim krasawica.

Wieść o ponownym otwarciu kaplicy znagła spadła na księcia Mściwoja, wpatrzył się bowiem w kościelne drzwi, suto rzeźbą ustrojone, krzyżem na wierzchu naznaczone.

I bez słów łatwo byłby się o wszystkiem dowiedział, przez odchylone bowiem wierzeje, wkradał się do izby dym z kadzielnicy, szerzyła się woń żarzonego na rozpalonych węglach jałowca.

Zapanowała w izbie cisza, którą przerywał ponury, jakby grobowy śpiew zakonnika, smutny i monotonny, jak życie ascety.

— „Zachowaj mnie, Panie, bom nadzieję miał w Tobie.

— „Rzekłem Panu: Tyś jest Bogiem moim, albowiem dóbr moich nie potrzebujesz.

— „Wysłuchaj Panie sprawiedliwość moją i słuchaj pilnie prośby mojej".

Ścichł głos księdza, rozszedł się swąd gaszonych świec i otwarły się podwoje kościelne.

---

*) Dziewosłęby—swaty.

**) Wilcy — Wilki, plemię słowiańskie, nazwane inaczej Lutykami, mieszkało na wschód od Obotrytów, zajmujących ziemie między Łabą a Odrą.

We drzwiach zjawiła się Edyta.

— Witam cię, bratowo.

— W dobrą porę przyszedłeś książę. Mąż mój od rana spodziewał się ciebie.

— Z podziwu wyjść nie mogę, że...

— Że słyszysz w tych progach pobożną pieśń, że przed świętym obrazem świece goreją?...

— W istocie rzecz dla mnie niepojęta.

— Czy tak?

Edyta uśmiechnęła się znacząco. Popatrzała w oczy młodego rycerza i rzekła, wskazując kaplicę:

— W moje ślady i ty tam podążysz dziewierzu.

— Kto? Ja?

— Bóg jest miłosierny.

— Miłosierdzie Boże...

— Światłem prawdziwej wiary wstąpi w twoją duszę.

Odeszła, zanim Mściwoj zebrał myśli, aby jej odpowiedzieć; zamykając tylko drzwi, rzekła na odchodnem:

— Mąż mój czeka na ciebie, gościu drogi.

— Polecił mi przywieść do siebie waszą książęcą mość — odezwał się rycerz niemiecki Kiza, dowódca wojsk tarnowskich, który wraz z księdzem zjawił się na progu kaplicy.

Mściwoj wyciągnął do Niemca rękę, witając się z nim serdecznie.

— Gdzie jest mój brat?

— Oszczepy stali.

— Wielkie przygotowanie tu widzę.

— Bo też i łowy będą, jakich nie widziały oczy nasze.

— Czemu tak wielkie?

— Przyszedł rozkaz gotować się na wielką i daleką drogę.

— Do Włoch król niemiecki ciągnie.

— Tak jest. Gdy marchja północna i wschodnia ma razem z królem wysłać swe oddziały, margraf brandenburski kazał je zaopatrzyć w suszone mięso i zebrać dla nich wielkie zapasy żywności.

— Na łowy polecił zaprosić i nas?

— Konni posłańcy to naszemu księciu oznajmili. Jutro, rychło świt, ruszamy w drogę, w lasach daniewickich rozbijem na nocleg namioty, na drugi wieczór w Glinnikach spotkamy się z margrafem i resztą obławy.

* * *

— Ja moją gęśl, rzekł lutnista, na łuk jutro zmieniam, aby wraz z wami do puszczy harcować.

— Prowadź mnie do księcia, przyjacielu.

Na widok kochanego brata, opuścił Mieczysław kuźnię, w której osobiście ostrzeniem broni i stalowaniem żelaza kierował. Ujął rodzonego w ramiona, ściskał długo i serdecznie. Dużo było w powitaniu serdecznego ciepła, choć mało słów. Ludzie są wielomówni w szczęściu, w nieszczęściu, gdy nie radosne, lecz smutne sobie mają opowiadać dzieje, każdy wyraz plącze się na języku, aby wyjść na wargi leniwy. Bo złą wieść jako strzałę, lepiej zachować w kołczanie*), niż ranić przyjaciela. Złe słowo gorsze od strzały, bo rani nie ciało, lecz duszę...

Obaj pogańscy książęta, synowie Bieługa, starszy Mieczysław i młodszy Mściwoj, obyczajem ówczesnym pospołu władzę nad ziemią Hawelan i Obotrytów sprawowali.

Mówimy o władzy, o ile stosunek słowiańskich książąt do własnego ludu władzą nazwać można, o ile można mówić o rządach w kraju, nad którym z ramienia cesarza rzymskiego Dietrich i Bernard panowali. Panami ziemi Wilców i Obotrytów byli margrafowie; prawi książęta ludu byli ich wasalami**), sprawującymi rządy z ich ręki i pozwolenia. Cień władzy, cień znaczenia prawowitym książętom zaledwie pozostawał.

Gdy margraf stał, ceremonjał dworski nie pozwalał księciu słowiańskiemu usiąść; do domu, w którym był margraf, nie wolno było księciu wejść we futrze. Taki był rozkaz, takie było prawo. Za cenę upokorzenia kupowali władzę nad swym ludem, a raczej ten pozór, ten liczman władzy, który im pozostał. Bo margrafowie grasowali w ziemi Wilców i Hawelan i rządzili się, jak u siebie w domu.

Dziwnem się to komuś wydać może, że możny protektor chrześcijaństwa, że cesarz rzymski i król niemiecki otaczał swą opieką książąt pogańskich, utrzymując ich przy władzy nad pogańskim ludem, nie kładąc jako warunku panowania przyjęcie chrztu świętego. Stanie się to zrozumiałem, gdy pod uwagę

---

*) Kołczan—sajdan, pochwa na strzały od łuku.

**) Wasal—posiadający godność lub ziemię nadaną przez władcę (suwerena).

weźmiemy, że tu znowu odgrywał rolę interes polityczny, a nie sprawa wiary.

Sprawa krzyża była dla wojsk zachodu pretekstem i pozorem do dzierżenia władzy, wymówka na zarzuty mordu i rabunku płaszczykiem, pod którego osłoną pustoszono grodna, wsie i opola.

Ci fałszywi apostołowie wiary drżeli ze strachu, aby ludy Połabian, Durzyńców, Sorabów i Wendów chrztu nie przyjęły, bo z chrztem skończyłaby się ich władza, bo w Rzymie nie mogliby kłamać, że oni spraw wiary bronią, nie mogliby świętym znakiem zasłaniać łupiestw, jakim podobnych nie zapisały chyba dzieje.

Nie spieszyli się oni i nie kwapili nawracać Mieczysława i Mściwoja, bo pogaństwo ich było źródłem ich władzy. Wszak z chwilą chrztu świętego skończyła się władza zachodu w Czechach i w Polsce. W interesach więc Bernarda i Dietricha leżało jak najdłuższe utrzymanie pogaństwa na ziemi Wilców i Hawelan.

Przyjmowali u siebie pogańskich książąt, gościli ich, zapraszali na łowy. Między władcami zaś zachodniej Słowiańszczyzny nie zrodził się bystry polityk i wielki organizator, jakich w osobie Mieszka i Bolesława dały nieba Polsce. Jako lennicy i wasale ciągnęli wasalscy książątka marny żywot, straszną zaś myśl o niewoli własnego ludu starali się zatopić w kielichu, zapomnieć w harcach z dzikiem zwierzęciem zagłuszyć biesiadą w braniborskim zamku. Zamiast zerwać maskę i najeźdźcy wilcze zęby pokazać, kumali się z wrogami, lub zakochani w niemieckich dziewkach, niemieckie pieśni lubym swym śpiewali. Oto słonko wschodzi, a na zaproszenie margrafa, jedzie Mieczysław i Mściwój na łowy.

* * *

Dobierzycka puszcza gra echem rogów, ujadaniem ogarów, nawoływaniem ludzi, którzy z północy i zachodu wielką ciagną nawałą. Olbrzymi łańcuch ludzi idzie z góry ku błotom i jeziorom, w jakie rozlała się Hawela. Zwierz, który nie uległ ręce myśliwego, ucieka w błota, dobijany ręką pachołków, rozstawionych na brzegach wód.

Cicho.

Oto szeleszcze podszyty las, huczy, jakby wicher rytmowy

tupot zwierzęcia, które przed pogonią ucieka. To jeleń głowę podnosi, złożył rosochate rogi na plecy, aby mu biegu nie tamowały i jak strzała przed ludźmi uchodzi. Tam dalej jęczy ziemia zdaje się, że dęby ktoś wali, ze ze szczytów góry rwie się głaz i w przepaść leci. Tak huczy król żubr, wypłoszony z kniei. Czasem słychać wycie wilków, czasem żałośnie zaskomli ogar, rozdarty przez niedźwiedzia; czasem roztarga powietrze krzyk człowieka, którego na rogi wziął ranny rozjuszony żubr. Rozpruł brzuch pachołka, a wnętrzności wyjącego z bólu człowieka ciągną się po ziemi wiszą na jałowcach...

Na łowach rzecz to zwyczajna, tem zajadlej, tem mężniej rycerstwo zwierza opada. Dziesięć strzał tkwi w biodrach byka, ogary szarpią ze wszech stron osłabione zwierzę, napadł na niego Dietrich i straszliwem uderzeniem topora na ziemi go złożył. Spędzone chłopstwo niesie do obozu zdobycz, rycerze zaś pędzą dalej i dalej.

Mściwoj z rycerstwem tarnowskiem nadciągnął z północy, tak, że obława pod wieczór ma się spotkać z braniborską, niemiecką drużyną. Wyprzedził hawelańskich chłopców i tarnowskich łuczników.

Poszedł w las, przebiega jego knieje, nadsłuchuje błąkające się po lesie echa, czasem biegnie w kierunku ludzkiego głosu i znowu nadsłuchując w bok się zwraca i w gąszczu ukrywa.

Badał młody rycerz las, choć z jego oczów, z zachowania się jego widać, że nie zwierza on tu szuka, nie na jelenia lub łosia poluje. Obojętnie patrzy na mijające go sarny, lis bezpieczny z pod kopyt prawie końskich się wysuwa i w knieje leci, nie naciągnie cięciwy łuku, choć ryś nad jego głową ze sosny na sosnę skacze. Łowi słuchem nawoływania myśliwych, natęża ucho, aby słyszeć, jakim językiem myśliwi mówią; gdy zaś dosłyszał echa niemieckie i mowę niemiecką, gdy się dowiedział, w której stronie rycerstwo z Braniboru poluje, jak strzała pognał w tym kierunku przez lasy, podszycia i knieje. Dopóki wolna była droga cwałował, nie szczędząc konia, którego boki chabiny ożyn darły, gdy wszedł w młody podszyty las, przerywany korytem potoku, przywiązał konia do graba i pieszo w puszczę leci. Wnet znalazł się przy niemieckiem rycerstwie. Aby być niewidzianym, ukrył się w gąszczu leszczyn, z których girlandy chmielu wisiały. Zasłonił się ich szerokiem listowiem, śledząc każdą osobę, która mu się na oczy nawinęła.

Patrzał w las.

Dietrich przecwałował przed jego oczyma, przebiegł polanę najprzewielebniejszy, który równie dobrze cnót nauczał, jak i konia na wojnie dosiadał.

Widział Mściwój z ukrycia, jak przeszli w lasy rycerze braniborscy, pachołkowie sascy, widział swemi oczyma walkę, jaką Bernard stoczył z niedźwiadkiem, uderzeniem obucha na ziemię go kładąc. Posmutniały oczy Mściwoja, nie znalazł snać istoty, której oczy jego szukały. Już miał wrócić się do konia, którego rżenie słychać było z dalekiego jaru, gdy wtem...

Prawdaż to, czy senne widzenie.

* * *

Na białym koniu kłusowała kobieta; płaszcz jej wzdęty wiatrem, wyglądał jak złote skrzydła, przypięte do ramion; czarne włosy, igrające z powietrzem, splatały się z tęczą wstążek, spinających kwietny wianek na jej głowie. Czarne oczy patrzały w dal, na jagodach zakwitły jaskrawe rumieńce, z rozchylonych wiśniowych ust, z silnie falującej piersi poznać łatwo zapał, z jakim krasawica za zwierzem wraz z rycerstwem goni.

Mściwój na jej widok stał z zapartym tchem, patrząc w dziewczynę jak w tęczę, kryjąc się w chwilach jakby się bał spłoszyć to prześliczne widziadło.

Nadjeżdża już ku niemu, zbliża się do leszczyn, w których jest ukryty rycerz, już ma minąć, zniknąć, uciec...

Z głębi piersi księcia wydobyło się westchnienie, z ogłuszonym szeptem, w którym jęczał żal a drgała miłość, zawołał:

— Adelajdo!

Dziewoja usłyszała szept księcia i wstrzymała konia.

— Tyżeś to?

Od ranka błądzę, aby widzieć ciebie.

Rycerz chciał przypaść do dziewoi, która wstrzymała go giestem i słowem:

— Widzą nas...

Obróciła się na koniu wstecz, patrząc naokoło, przebiegając okiem polanę, po której łowcy się snuli.

— Gdzie twój koń?

— Jadę łożyskiem ponikwy. Siadaj na koń i jedź za mną.

— Stryjowie twoi...

— W las poszli.

— Pachołkowie?
— Zgubim się. W przeciwną gonią stronę.
— Na zielonej łące nad ponikwą...
— Żywej duszy niema.
W lot!..

Pocwałowała dalej dziewoja w ślady myśliwskiej drużyny, wjechała w sosnowy las, równając się z oszczepnikami, którzy za księciem Bernardem dążyli. W najbliższych lochach znikła im z oczu, zakryta krzakami ożyn, pędami leśnych grusz, które na brzegach rokitnicy bujały.

Przystanęła, nadsłuchując czy kto jej ucieczki nie zauważył, gdy zaś żywej duszy nie było naokoło, a daleka tylko puszcza echem nawoływań grała, popuściła cugle koniowi, który łąką, wijącą się brzegiem potoku, gnał w dal.

Co chwila z pod kopyt końskich zerwie się stado dzikich kurek, żyjących w rogoży, co chwila zerwie się ze sośniaka głuszec, skrzydłami łopocąc, zeschłe iglice ze sosen i świerków otrząsając. Co chwila zazłoci się wśród zieleni lis, który przed ludźmi ucieka, czasem zarechoce maciora, która wraz z warchlakami zdołała ujść obławie.

Rozszerzyła się dolina potoku w ogromną łąkę, zasłaną barwnym dywanem kwiatów, otoczoną dokoła brzozowym lasem, przeciętą ponikwą, której brzegi czerwieniły się od kalin.

Przystanęła krasawica na łące, zaplątała białą rękę w grzywę konia, bawiąc się włosami, zwróciła główkę wstecz, czekając rychło li rycerz za nią przyjedzie.

Wnet zaszeleściała liściami brzezina, a w dali zjawiła się piękna i rycerska postać Mściwoja.

Pędem zbliżył się do niej, zeskoczył z konia, zjawił się przy dziewoi. Chwycił jej ręce i jął je gorąco całować, szeptając:

— Zejdź! zejdź!

Ujął ją pod ramiona, zniósł prawie ze siodła.

— Nareszcie jesteśmy sami. Spętaj konie.

— Mój nie ujdzie.

— Zwiąż uzdy, aby były razem.

Konie, którym zdjęto uździenice, jęły szczypać trawę na łące, rycerz zaś związawszy rzemienie, zatknąwszy oszczep w ziemi, wrócił do dziewczyny, która szła wolno brzegiem potoku, gajem olszyn i brzóz.

I znowu ujął rycerz jej ręce, całując je bez końca, jakby pocałunkami chciał wypowiedzieć, co myśli jego serce. Przytulił dziewczę do siebie, objął ręką jej szyję, nachylił główkę ku sobie i bez upamiętania, mimo oporu, usta jej wiśniowe całował.

— Co czynisz? Dość.

— Odstąp.

— Nie odstąpię.

— Zaprzestań.

— Nie broń ukochana... nie...

Uśmiechnęła się kobieta, na licach zakraśniał wyraz szczęścia, w pięknych oczach płonęła miłość.

I nie broniła się już od pocałunków i zawisła w jego ramionach, oddając mu usta, na pocałunek pocałunkiem szczęście czar pił z jej wiśniowych ust.

— Znowu tydzień, miesiąc, kto wie, może rok minie, a zbliżyć mi się nie dadzą do ciebie.

— Czym ja temu winna?

— Całe ci serce oddałem.

— Zapłaciłam za nie sercem.

— Stryjowie twoi...

— O nie wspominaj.

— Trwają w swym uporze?

— Na ślub nasz nie zgodzą się nigdy.

— Pytałaś się?

— Broń Boże... Ty wiesz przecie...

— Wiem, rzekł z ironją Mściwój. Tyś krewna cesarzów rzymskich i nigdy mi ciebie za żonę nie dadzą.

— Posiadasz moją miłość, moje serce. Ty jeden...

— Miłość mówisz? A przecież miłość ma swój cel; jak ziele rośnie, aby kwitnąć, tak ja kocham, aby węzłem małżeńskim połączyć się z tobą...

— O małżeństwie teraz nawet myśleć nie możemy.

— Zatem mam czekać, aż przyjdzie jaki graf z nad Dunaju lub Renu, aby cię zabrać.

— Nie oddam mu ręki.

— Ciebie, Mściwoju, mam jednego.

— Słuchaj ty piękna, ty nad życie ukochana! Czy ty wiesz, co ciebie czeka, co mnie czeka, jeśli ty kiedykolwiek zostaniesz żoną innego?

— Nie mów mi o tem.

— Muszę pytać się co będzie jutro, muszę okropne snuć nadzieje...

— Przed chwilą mówiłaś, że z uściskiem moim przyszła chwila twojego szczęścia. Czemu mącisz to szczęście. Czemu mrozisz go widmem przyszłości?

— Bo cię, Adelajdo, bez granic kocham, wszystkie moje myśli lecą do ciebie. — Na bogi ci przysięgam, że jeśli obcy człowiek za żonę cię weźmie, to ja...

— Ty...

— Zabiję ciebie i jego i siebie...

— Uspokój się, nie trać nadziei. Może przyszłość szczęście nam przyniesie, może zejść nam jutrzenka szczęścia...

— Oh, nie zejdzie ona dla mnie, nie zejdzie.

Adelajda była synowicą Dietricha i Bernarda, księcia saskiego, przez nich zaś jak i przez rodzinę swej matki krewną królów niemieckich z rodziny saskiej. Pokrewieństwo z monarchami, którzy tytuł rzymskich cesarzy nosili, było w ogromnej cenie, nic też dziwnego, że tak Bernard jak i jego rodzina w stosunkach swych zawsze się tem związkiem krwi z królami szczycili. Adelajda od pierwszych lat dzieciństwa wychowana w Saksonji, na dworze swych stryjów, podrastającym już podlotkiem przeniosła się do Braniboru z chwilą, gdy jej stryjowi rządy nad wschodnią marchją powierzono.

W starem słowiańskiem grodnie zobaczyła księcia obotryckiego Mściwoja: zjawił się aby zebrać wszystkie myśli, wszystko serce pięknej dziewoi. Szczęściem dla niej, Mściwoj za serce zapłacił jej sercem, za uczucie uczuciem, nieszczęściem dla niej, dla nich obojga było to, że związek serc małżeństwem nie mógł być uświęconym.

Nie pogańska wiara Mścigniewa była tu na przeszkodzie, ale stanowisko wasala do pana, stosunek lennika do władcy. Za wysokie były progi krewnej króla niemieckiego dla księcia słowiańskiego Mściwoja, za wysokie progi Dietricha dla — sługi, który nie śmiał wejść we futrze do domu, gdzie Dietrich i Bernard saski mieszkali.

Taką pogardą płacono wodzom i książętom słowiańszczyzny którzy za cenę służalstwa obcym, przy władzy się utrzymali, którzy nie potrafili najeźdźczym zbójcom powiedzieć: wara—tak, jak to uczynił polski Mieszek i czeski książę Bolesław.

Żywiołowa potęga miłości odezwała się w sercu Adelajdy i Mściwoja już w pierwszych chwilach poznania, złączyła ich du-

szę węzłem uczuć serdecznych. Poddali się porywowi serca, nie zdając sobie sprawy, że uczucie nie do ślubnej przysięgi, lecz na bezdroża ich niesie, nie pytając się, czy los zechce związać kochające się serca, czy ludzie i stosunki pozwolą im należeć do siebie.

Adelajdy serce, duszę i zmysły przykuła dorodna postać rycerza, jakich nie było wśród niemieckiej młodzieży, Mściwoja oprócz niepospolitej Adelajdy urody, olśnił przepych książęcego braniborskiego dworu, blask kultury, w świecie której zrodziła się, do której należała wybrana sercem księżniczka.

Marnym, mizernym i śmiesznym wydał się jej młody giermek Wilhelm, który na lutni grał, czułe pieśni jej śpiewał, czułe oczy na nią zwracał. Wszystkie myśli uleciały za Mściwojem, całe serce należało do księcia, który miał prawdziwie męską urodę i prawdziwie kobiece serce.,.

W pierwszych dniach po poznaniu się ich zwrócono wnet uwagę, że zbyt często Mściwoj czułe słowa krasawicy szepce, opuszczcza rycerskie towarzystwo, aby do Adelajdy uciec, do niej się zbliżyć.

Zwróciła raz na to uwagę Edyta, żona Mieczysława. Patrząc na wielką urodę dwojga młodych i zakochanych ludzi, rzekła z uśmiechem:

— Jakaż dobrana byłaby z nich para...

Posłyszał te słowa margraf Dietrich, siedzący w gronie wojowników, przy jednej miedzianej konwi z piwem.

Powiódł okiem po Adelajdzie, Edycie i Mściwoju i odrzekł, znacząc akcentem każde słowo:

— Gdyby... parą... być... mogła...

Jak piorun słowa te na kochających się ludzi spadły. Mniemała Adelajda, że to chwilowy gniew stryja, że jutro wstąpi w niego pogodna myśl, że wypowiedziane słowa były chimerą, która ustąpi wcześnie, zniknie. Już w najbliższych dniaeh dowiedziała się o swym losie, o losie Mściwoja, o losie ich serc. Nie pytała się o wyrok stryja, nie chcąc zdradzić się z tajemnicą swego serca; z półsłówek jednak, ze zdań, które przy ucztach padały, z ogólnych rozmów, jakie o Adelajdzie i jej przyszłości prowadzono, była pewna, że wyrok stryja brzmiałby:

— Nigdy!

Nie mniej Mściwój był częstym gościem w braniborskim grodzie. Zapraszano go na łowy, na biesiady, musiał zresztą by-

wać u margrafa, musiał bowiem być utrzymywany stosunek wasala do pana...

Ból, który się rodził w zranionem sercu, rozpacz, która jeśli gdzie, to najbardziej w braniborskiem dworzyszczu duszą targała, starał się utopić w kielichu, w trunku, którego nigdy nie żałował margraf.

Na widok uroczystych oczu Adelajdy, na widok łzy, która nierzadko w jej oku się zjawiła, rodziła się rozpacz. Ulgą była wtedy szklanica. Zochęcał do niej margraf, zachęcał do niej żal. Na dnie dziesiątej szklanicy było ukojenie, dwudziesta przynosiła już na usta śmiech, do serca radość i szczęście. Już miał wychylić dwudziestą pierwszą, gdy wtem...

Tam na podwórzu...

Krzyki jakieś, rozpaczliwe jęki i przekleństwa.

Przez otwarte okno słychać jak chłopstwo hawelańskie katują.

Gwiżdże bat w powietrzu, świstem całuje na wpół nagie plecy Wilca, który w rodzonej mowie Mściwoja woła:

— Boże! Ulituj się! Nijo! Daj śmierć!

Katuje saski parobek władykę z Połaby i woła:

— Ty bydlę! Ty połabska świnio!

W kobiecej duszy Mściwoja grały uczucia żalu, złości, wściekłości, szału... Czasem przychodziła myśl straszna. Chwycić w rękę miedzianą konew i Dietrichowi czerwony łeb roztrzaskać!...

— Nijo, daj śmierć!...

...Uderzyć pięścią w rudy, piegowaty pysk...

— Nie, nie!... Adelajda... Czarowna, jak kwiecie wiośniane... Na czarnych rzęsach świecił brylant łzy.

...Znieść policzek dla jej spokoju... Dać się spoliczkować dla jej oczu, dla uśmiechu, dla jej czaru.

— Ty połabska świnio!...

...Dusza wre, pieni się i wścieka.

— Ten pachołek mówi przecież do mnie „ty połabska...“

— Nie, nie. Znieść policzek dla niej...

Powstał Mściwój, aby wrócić do domu, a nakładając na głowę czapkę z orlim skrzydłem, ukłonił się margrafowi:

— Cześć ci składam, jaśnie panie...

* * *

A serce wre wezbrane uczuciem. Jak ogień, który słabym zrazu tli się płomieniem, aby objąć strzechę wieśniaczą, aby przelecieć płomienną gadziną z dachu na dach i sioło w jednę wielką pochodnię zamienić, tak wszystkie myśli zajęła rycerzowi krasawica, tak chwili nie miał w życiu, aby serce do niej nie leciało. Musiał kraść swoje szczęście wtedy, gdy szczęsna fala losu sposobność do tego przyniosła. Czasem udało się na łowach zniknąć margrafowi z oczu, czasem pod pozorem ścigania sokoła, który niósł w pazurach ptaszę, udało się widzieć bez świadków ukochaną, patrzeć w jej oczy, pić szczęście z jej ust...

A potem wspomnienie tej chwili, wspomnienie jednego mgnienia oka na miesiące czasu wystarczyć musiało...

Żył wspomnieniem, jak marznący człowiek wspomina wiosnę, jak starzec żyje wspomnieniem młodych, wiośnianych lat...

* * *

Jak rubiny, zapłonęły jej wargi przez Mściwoja całowane, oddech jej miał zapach kwiatów wiosny, w oczach jej zakochanych, w śmiechu czarownym widział szczęście, oddanie się i miłość...

— Już dość... już dość, mój drogi.

— Nie, nie. Bóg przecie tylko wie, kiedy cię znowu zobaczę.

— Miejmy nadzieję.

Mściwój zamyślił się i westchnął. W oczach jego malowało się pytanie i strach przed odpowiedzią, jaka z jej ust padnie.

— W głowie mej, Adelajdo, zrodziła się myśl...

— Mów.

Młodzieniec złożył ręce, jakby do modlitwy i zawołał z prośbą, z jękiem, który wydobył się z piersi:

— Na klęczkach stryja o twą rękę prosić będę.

Adelajda spojrzała na niego, a przecząc ruchem głowy, skinieniem rąk, rzekła:

— Nie czyń tego.

— Ulituj się nade mną.

— Nie, nie. Naprożno błagać będziesz.

— Wysłucha mej prośby, moich łez.

Adelajda zamyśliła się i rzekła smutno:

— Na wieki nas oświadczynami rozłączysz.

— Jakto? Jakto?

— Gdy się stryjowie dowiedzą o naszej miłości, wyślą mnie do Saksonji lub nad Ren.

— Niech Bóg broni.

— Zostaw zatem losowi sprawę serc naszych.

— Do rozpaczy mnie doprowadza myśl o jutrze.

— Uspokój się.

— Żyć bez ciebie nie mogę. Potrzeba mi cię, jako wiosny, jako tchu...

— Mój drogi chłopcze!

— Ratuj mnie!

W głosie rycerza było tyle uczucia, takim żalem, taką miłością tchnęły jego słowa, że uśmiechnięte lice Adelajdy jął zakrywać tuman smutku, że oko rosiła łza.

Popatrzyła w oczy rycerza, rozchyliła wiśniowe wargi i do ust jego zaniosła swoje usta...

— Ufaj!...

I znikła znowu rozpacz i znowu wielkie bezgraniczne szczęście zapłonęło w duszy i w sercu rycerza. I zaszczebiotał słowik we wiklinie, a czarowna piosnka jego siliła się opisać swą nutą szczęście, jakie dają usta ukochanej.

— Ludzie!

— Obława do Haweli się zbliża.

— Na koń! Gdzie mój koń?

— W mgnieniu oka go przyprowadzę.

— Ukryj się!

— Nawoływania ludzi się zbliżają.

— W olszynach nikt mnie nie zobaczy.

— Ukryj się!

Mściwoj założył uzdę rumakowi, podając Adelajdzie rękę, aby na koń wsiadła.

I jeszcze jeden pocałunek, gdy strzemię na trzewik zakładała i jeszcze jedno spojrzenie oczyma, w których błyszczały łzy...

Wsiadł Mściwoj na koń.

Kochankowie rozbiegli się na dwie strony świata.

Na wielkiej polanie składało chłopstwo zwierzynę pobitą. Trawa przed chwilą krociami kwiecia ttrojna, zasłana była ciałami eleni, sarn, dzików i turów. Polanę, z której przed chwilą łany

macierzanki rozkoszną, odurzającą woń słały, czuć teraz zapachem świeżyzny, zapachem krzepnącej krwi.

Ścięli pachołkowie siekierami kilka młodziutkich dębczaków, związali po trójce łykiem brzozowej kory, ustawili dwa kozły, między któremi buja w powietrzu oprawiony jeleń. Prześliczne rozłożyste rogi schowano na ozdobę myśliwskiej izby, pod wiszącem zaś zwierzęciem rozpalono ogień, podsycając go suchemi konarami świerczyny. Kilku ludzi obraca na ogniu zabite zwierzę, podrostki znoszą zielone krzaki jałowca obsypane szmaragdowem nasieniem i rzucanją je w płomienie. Syczą zielone, młode nasiona jałowcu trzeszczą i strzelają młode iglice, gęsty wonny dym na pieczone zwierzę bucha.

Zniesiono z wozów stągwie z koźlej skóry, rozwiązano ich rzemienie, rzuciło się zgłodniałe rycerstwo do jedzenia, znikają w oczach dymiące parą udźce zwierzęcia, a o rzucone kości gryzą się psy.

Ale gorączka myśliwska nie daje rycerstwu jeść. Bernard pierwszy zaspokoił głód, jednym tchem wypił pół wagi wina i pognał z towarzyszami w las.

Nie ubiegł Bernard ani dwudziestu stai, gdy czterej zbrojni pachołkowie jego wypłoszyli z gęstwiny niedźwiedzia. Ogromny zwierz uciekał przed naganką, pięciu myśliwych gnało za nim bez wytchnienia. Drogę zwierzęcia zdradzał trzask łamanych gałęzi, niedźwiedź, wyłamując sobie drogę w zeschłym gąszczu świerczyn, ułatwiał pogoń ludziom, nastającym na jego życie.

Dudni ziemia ciągle i ciągle, huczy gęstwina, szeleszczą olsze, któremi podszyta jest puszcza, szumią ostrężnice, przez które przedziera się myśl. Myśliwi idą jego śladem; kierują się jego echem...

Nagle echo ustało.

Przed oczyma zbrojnych roztoczyła się parja*), pusty wybój, którego całą roślinnością było kilka chabin wroniego oka. Czarne perły wyglądały na ślepie szatana.

— Gdzie się podział?

— Gęstwina dalej, a echo ustało.

— Nie słychać zwierzęcia...

— Przyłóż ucho do ziemi.

— Nic nie słychać.

— W puszczy zupełnie cicho.

---

*) Parja—przepaść, wąwóz.

— Patrz! Czy widzisz panie?
— Wejście do jaskini...
— Tam się ukrył.
— Nie, nie. On musi mieć drugie wyjście, którem nam ucieknie.
— Ścigać!
— Ja idę w jamę pierwszy.

Pachołek pochylił się, dzierżąc oszczep w obu rękach i znikł w ciasnem i niskiem miejscu w jaskini.

— Powiedz nam, czy jest — szeptał Bernard w głąb podziemia.
— Zjaw się panie na mój głos — odpowiedział z jamy pachołek.
— W lot przybiegnę...

Nadstawili myśliwi uszy, czekając na znak, ściskając w rękach błyszczące noże.

— Cicho.
— Czemu on nic nie mówi?
— Dziesięć pacierzy minęło.
— Cicho! Co to?
— Zdaje mi się, że jęk ludzki słyszałem.
— Łudzi cię szum płynącej po kamieniach sitnicy.
— Wiatr tak świszczy po sośnicach...
— Trzeba iść za nim.
— Jeśli jest drugie wyjście, to niedźwiedź dawno w puszczy.
— Ślad za nim zaginie.
— Prędzej!
— Ja wejdę do jaskini.
— Idź! Śpiesz się!

Wszedł do jaskini drugi chłop. Odgarnął ręką bluszcze, które z korzeni sosnowych nad jaskinią wisiały, pochylił się i wczołgał do wnętrza. Już wszedł wgłąb, już z jaskini widać tylko tułów, już cały zakryty ciemnością czeluści, w otworze jamy widać tylko obute skórą stopy.

— Rozgląda się w ciemnościach.
— Patrzy za niedźwiedziem...
— Hej! A co tam — zapytał książę Bernard.
— Nie odzywa się.
— Musi nic nie widzieć.
— Dlaczego on nie włazi do wnętrza.

— Właź, właź!

Pachołek na włos nie ruszył się z miejsca.

— Właź, albo wyłaź!

Nogi chłopca poruszyły się nagle, jakby kurczem.

— Co to wszystko znaczy?

— Leży jak nieprzytomny.

— Zachorzał.

— Zaduch go może odurzył?

— Hej, hola! A właźże chłopie...

Przez długi czas nie dawał pancerny znaku życia, ni ruchu.

— Coś złego stać się musiało.

— Dobyć go stamtąd.

— Ciągnąć za nogi.

Pachołkowie chwycili nogi towarzysza i jęli wlec go z ciemnej czeluści. Pełzło się po mokrej ziemi ciało pachołka, jakby bezwładne, jakby nieżywe.

— Zemdlał.

— Zdusił go brak powietrza.

— Wody zaczerpnij z potoku.

Jeden ze zbrojnych pobiegł do wąwelnicy, która źródłem niedaleko biła.

— Na powietrze z nim! Na powietrze!

Wywlekli ciało zemdlone na pole, gdy Bernard krzyknął:

— Krew!

Od wylotu jaskini ciągła się za głową pachołka struga krwi, która tęgła na powietrzu i na grudach ziemi w rubinowe korale się ścinała...

— Jezus, Marjo!

— Niedźwiedź go pożarł!

— Nie, nie. Patrzcie!

— Głowę ma roztrzaskaną.

— Co to? Czy mnie oczy nie mylą?

— Czaszka rozpłatana mieczem!

— Straszliwem uderzeniem topora, łeb na dwie połowy rozwalony.

— Co się stało?!

— W jaskini straszliwa cisza...

Wszyscy trzej zbrojni odskoczyli od czeluści jamy. Strach padł na nich śmiertelny.

Tajemnica, którą kryła jaskinia przechodziła zimnym dreszczem przez ciało. Niemi byli ze strachu i osłupienia.

Zlekka zakołysały się bluszcze, przysłaniające otwór jaskini... zamajaczyła na ciemnym tle jakaś postać... i jak grom spadając, rozpłatała łeb najbliższemu zbrojnemu.

— Niebora! — wrzasnął drugi pachołek, uciekając w las, pomnąc straszliwej poganina mocy, czując na ledwo zgojonych piersiach razy, jakie spadły na niego w gniewkowskim opolu.

Niebora jak wicher pognał na Bernarda.

Zazgrzytały żelaza, skrzyżowały się w straszliwych cięciach miecze, spotkało się dwóch olbrzymów. Niebora leciał na Niemca jak burza, która w stare dęby uderza huraganem.

Spotkał się ze straszliwym oporem. Ani na krok nie ustąpił Bernard, dwie równe spotkały się moce, nie chwiało się zwycięstwo na tę, ni ową stronę, nie brał góry Bernard, ni Niebora, na krok jeden drugiemu placu nie ustąpił, cios straszliwy z rąk jednego spada, aby żelazem podjął go i odparł drugi.

Pierwszy poznał Niebora, z jakim graczem sprawa, z jak olbrzymią ma się pasować mocą, a wściekłość jego i nienawiść do śmiertelnego wroga dawała taką siłę jego razom, jaką strach przed śmiercią wywoływał w rozpaczliwie broniącym się Bernardzie.

— Psie pogański!

— Łeb ci rozpłatam!

— Próbuj!

— Zginiesz, krwawy łotrze!

— Pług mój, jak bydlę, ciągnąć będziesz!

— Ciebie nie będzie! Psy moje cię rozwleką!

I znów z pianą na ustach rzuca się z żelazem władyka i znów błyszczą krwawe ślepie Bernarda, odpierającego ciosy wroga. Z kolei uderzył na Nieborę Niemiec. Zdaje mu się, że razy poganina osłabły, że ręce jego mdleją. Wali mieczem prosto w łeb władyki, Niebora ma ledwo na tyle siły, że życie zasłania, brzeszczotem raz śmiertelny odbijając. Już Bernard wziął rozmach, aby wymierzyć śmiertelny cios, gdy wtem...

Nie znał Niemiec starego Wilca, nie zrozumiał jego lisich sztuk, nie przeczuł, że wróg udaje omdlenie, aby go wywieść w pole, uśpić jego czujność. Niebora wnet dowiedział się, że przeciwnik jego jest co najmniej równej siły, poco Wilcowi, walcząc nie z rycerzem, lecz krwawym zbójem i znienawidzonym ciemięzcą, narażać życie...

Ogromnym rozmachem odbił władyka cios Bernarda, rzucił miecz i począł uciekać.

Jak błyskawica leci w leszczyny, Bernard z mieczem leci za nim, za leszczynami zwalnia chłop sznur, ściskający biodra, przeskakując potok i pędzi w jałowce.

Straszliwy Niemiec burzą na kark mu spada i już ma w łeb rąbnąć...

Jak piorun zygzakiem zmienia Niebora bieg, rycerz rozpędem cielska dalej leci i już ma się zwrócić, by ścigać uciekającego wroga, gdy tu na skręcie... spada mu na szyję arkan, wciska się w gardło... wżera w ciało...

Schwycił rycerz dłonią sznur, już za późno, gwałtowna moc rwie go w tył, wali na ziemię, ciągnie za sobą i wlecze... Sunie się ciało po korzeniach, grudach i glinie, plezie się przez krzaki paproci, kaleczy się twarz po wystających kolcach sosnowych, czepia się sukien, skóry krwawi ostrężyna kolczastemi gałęziami.

Ścisnął szyję sznur, gardło świszczy i syczy, dech się ledwie przeciska, ustał wreszcie, krwią nabiegły mu czerwone ślepie wyłupione, jakby z opraw wyjść chciały. Ręce już straciły moc, ślepe tylko, konwulsyjne robią ruchy. Chabiny głogów wydarły z dłoni miecz, a rycerz bez duszy, bez przytomności wlecze się za Nieborą pod wysoki dąb...

Zdala widział Niebora gałąź dębową, grubą, mocną, niewysoko od pnia odstającą. Już miał zarzucić na konar drugi koniec sznura, gdy rozwarł szeroko oczy, zaśmiał się i przystanął...

— Nie, nie... — szepnął sam do siebie.

Znagła skoczył na ofiarę, obrócił ją w tył i szybko postronkiem ręce rycerzowi związał.

Wpił się sznur w ramiona, krępując ręce w tyle, folgując szyi, którą otoczył pierścień niebieskiej pręgi...

Czerwona, prawie krwawa twarz Bernarda, zaczęła nieco blednąć. Krew z nabrzmiałych lic ustępowała, na twarzy zadrgało życie, z płuc dobył się dech. Rycerz choć nieprzytomny jeszcze i zemdlony westchnął:

— O, o, o!

— Oprzytomnij łotrze! — rzekł po niemiecku władyka. — Oprzytomnij...

Siedział Niebora nad Bernardem, czekając rychło odzyska świadomość, rychło zbierze zmysły.

Zwolna zadrgały powieki związanego, podniosły się, błędne oko spojrzało na niebo, przedzierające się przez gęste konary drzew, wzrok Bernarda zawisł na zwycięzcy.

— Zbóju!
— Cóż zdrów jesteś? — zaśmiał się Niebora.
— Zabij mnie!
— Hę?
— Pragnę śmierci!
— Cóż ci tak pilno?
— Zabij mnie!
— Mamy czas. Mnie się wcale nie spieszy.
— Jakiś ty straszny!
— Cichy byłem jak gołąb, dopóki was w słowiańskiej ziemi nie było.
— Jestem w twej mocy. Zabij mnie!
— Widzisz tę gałąź? Ładna? Co?
— Śmierć... hańba...
— Hańby się boisz? A czynów twych w hawelańskiej ziemi nie boisz się?
— Nie męcz mnie. Weź miecz...
Niebora zaśmiał się z gardła, jego białe zęby błysły jak u wilka. Wnet zamarł jego śmiech, czoło poorało się zmarszczkami a oczy straszliwym zapłonęły światłem...
— Umrzeć chcesz? Tak prędko?
O tak.
— Psie! Powiedzno, jak tam konał Msta?
— Ty chcesz...
— Długo z głodu konał? Czy długo? Mówże łotrze krwawy!
Bernard drgnął kurczem śmiertelnym. Cicho zaszeptał:
— Co ty chcesz czynić?...
— Co? Od ciebie chcę dowiedzieć się, czy głodowa śmierć bardzo boli.
— Zlituj się!
— Morderco! Nędzniku!
Z piersi Bernarda wyrwał się jęk straszliwy.
— Krzyczeć chcesz? O nie. Mógłby kto posłyszeć... Przynieść ci ratunek.
— O, o, o!
Niebora wydarł z ziemi garść mchu i przemocą w usta Bernarda wepchnął.
— Milcz! Milcz! Milcz!
Ujął Niemca za nogi i powlókł do jaskini.

Był to loch rozległy, złożony z kilku komor. Pieczara szła za pieczarą, wszystkie złączone wąskiemi gardzielami osypującej się ziemi. Podłoga wymoszczona była suchym listowiem, butwiejącemi gałęziami i kupami mchu. Wśród mchu znalazłeś czasem kamienną siekierę, krzemień ostry, który za nóż służył ludziom wtedy, gdy żelaza i bronzu nie znali. Z ziemi widać tylko czasem kości zwierząt, których gatunki wymarły, czasem z pod zeschłych paproci wyglądał szkielet ręki ludzkiej, ozdobionej zardzewiałym pierścieniem, piszczel z misternie wyrzeźbioną bransoletą. W jaskini czasem krył się zwierz, częściej zwierzę wypędzał i jego miejsce zajął człowiek.

Do ostatniej pieczary zawlókł Niebora bladego już jak płótno rycerza. Straszna śmierć zaglądała Bernardowi w oczy. Na myśl o niej mdlał i tracił przytomność.

— I służbę mieć tu będzie, zasyczał śmiechem piekielnym Niebora.

Koło związanego Sasa złożył trupy dwóch zabitych ludzi.

Jutro gnić zaczną...

* * *

Przystanął Niebora uderzony myślą, która mu w głowie zabłysła.

— Wszak tam na polu leży człowiek. Byłby ślad...

Cicho przeszedł przez szereg jam, odsunął bluszcze i jął ciągnąć zwłoki zabitego Niemca do pieczary. Już wniósł je w czarną czeluść, już miał zniknąć w ciemności, gdy sto głosów nad nim wrzało:

— To on! Niebora!

— To Niebora — krzyczał żołnierz, który niepostrzeżony przez władykę, uciekł od boku Bernarda, aby o straszliwym poganinie zawiadomić i przestrzec wszystkich, biorących udział w obławie.

— To on!

— Ścigać go!

— Zabić!

— Żywcem brać!

— Gonić!

Niebora porzucił zwłoki i wykradł się chyłkiem drugiem wyjściem z jaskini. Wpadł w gąszcz olch, zniknął w zieleni mło-

dych jodeł, skrył się w podszyciach leśnych i wiklinach... Zapóźno. Stu ludzi za nim goni, sto głosów wściekłością wyje, jak huragan huczy i ryczy w puszczy rozjuszona obława.

* * *

Nieprzebytym lasem gromada ludzi pędzi, jakby smok darł się przez zielenie, zwierz, którego małą głową jest Niebora, a strasznym cielskiem tłum wściekłych ludzi. Odległość głowy od kadłuba to zwiększa się, to rośnie, czasem głowa niknie, aby ponownie na łące leśnej pokazać się, czasem ludzie już go prawie w rękach mają, to znowu uciekł od nich daleko, przepadł w jarze lub parji. I nie mogli dogonić władyki ludzie, ale dognały go ogary...

Dwadzieścia psów go opada. Dwadzieścia zapienionych wściekłością paszcz na pięty mu nastaje.

Niebora, opuszczając jaskinię, wydarł z za pasa trupowi miecz i to go od czerni psów ratuje. Bezkarnie szarpią jego sukmanę z tyłu, gdy się jednak który pies do boku zbliży, pada trupem z rozciętym łbem. Kilka kundlów zabił a przecież niewiele maleje gromada, z tem większą zajadłością wyjąc, tem straszliwiej zęby ostrząc. A tam, kilkanaście kroków dalej huczy tłum ludzki...

Stanęły ogary nad wodą.

Jak kamień wpadł Niebora. Lecąc w odmęt, zagłębił rękę pod wodę i zerwał kilka prętów rogoży. I znikł bez śladu.

Nad wodą stanęli ludzie.

— Wpadł do wody...

— Gdzieindziej nie mógł iść.

— Ogary ujadają...

— We wodzie musi być...

— Ogary węszą w sitowiach.

— Topi się.

— Nie, nie. On dał nurka. Więcej niż pacierz nie wytrzyma.

— Musi wypłynąć.

— Obstawić staw.

— Hola! Obstawić!

— Oszczepy w pogotowiu!

— Napiąć cięciwy łuków!

Stu ludzi otoczyło wodę wokoło. Stare wodne koryto.

Hawela płynęła tędy kiedyś, opuściła potem łoże i z dawnego łoża rzeki został ogromny staw. Ludzie otoczyli go wkoło, co kilkadziesiąt kroków stoi człowiek, patrząc we wodę.

W trzcinach poganin skryć się nie może, bo tataraki zrzadka rosną, rogozie zaś przy brzegach bujające przetrzęśli ludzie i nie znaleźli nikogo.

Setnicy obejrzeli całą wodę, przeglądali z brzegów wszystkie oczerety.

— Ukryć się nie może! — zawyrokowali.

— Jeśli głowę pokaże, musimy go zobaczyć.

— Jest w naszych rękach.

— Zemrze łotr jak Msta.

— Staw lekko marszczy zachodni wiatr.

— Wnet się woda wypływającym Nieborą zaburzy.

— Braknie tchu.

— Lada chwilę wypłynie.

Minął pacierz, dwa pacierze, dziesięć pacierzy...

Woda spokojna słabiutkim tylko podmuchem wietrzyku faluje. Słońce zapadło za lasy.

— Utopił się.

— Nie, nie. Walczyłby przecie ze śmiercią, odruchami konania zdradziłby się.

Cicho...

Minęło pół godziny, godzina.

Niebory niema... A przecież on gdzieindziej ujść nie mógł.

— Czary! Czary!

Mrok nocny zleciał na lasy, na wodzie zaczęły się zjawiać mgły.

— Chodźmy...

— Jego tu niema...

— Czart go swą mocą osłonił...

— Bożyszcze Hawelan jest antychrystem...

— Piekielne moce nad nim czuwają...

Zbiegł żołnierz jeden i drugi, od ust do ust leci słowo: „czary". Pojąć i zrozumieć inaczej niepodobna. Niebora jest antychrystem.

Popłoch.

Zbiegło się wojsko na kupę i w bezładnej gromadzie do domu spieszy. W duszach zjawia się widmo szatana, który cuda czyni i czary, drżą i kołaczą serca zjawiskami piekła, które zro-

dził przesąd. Wszak wszyscy wiedzą, że zjawia się szatan, że po świecie błądzi zły duch... on... co we wodzie nawet żyje...

— Niebora duchem się zjawia.

— I duchem ginie.

— Chorobę, śmierć i wszelakie zło rozdaje hawelański Jesse!

Czarna gąszcz lasu zdwoiła strach. Rycerstwo, które nie bało się wroga, nie bało się oszczepu, procy, ni śmierci, drżało przed czarnymi... Ojcowie im opowiadali o sile czarta, o potędze jego...

Na łąkach leśnych zabłysły błędne ognie. Na butwiejących torfowiskach, na próchnach paproci wybuchł wysoki płomień!

— Ratunku! Niebora!

— To on... to on...

— Ognikiem błędnym się zjawił...

— Gdzie widzicie Nieborę?

— Błędnica płonąca ma jego twarz.

— Niebora!

Drżały serca jak liście osiczyny, w przepaściach jaru widzieli żołnierze Nieborę, w szumie igłic sosnowych słyszeli jego głos...

Zrzedniał las, a do myśliwych przyłączyli się pachołkowie, niosący na noszach grabczaków księcia saskiego, Bernarda. Był blady jak trup, na ryżej twarzy, jak zaraza, wystąpiły rdzawe plamy piegów. Mimo cucenia kryniczną wodą, nie odzyskał przytomności. Krew sączyła się ze skaleczonych ust.

Otucha wstąpiła w serce, gdy na widnokręgu zamajaczyły wieżyce Braniboru.

Stare łożysko Haweli jakby zasnęło marzeniem nocy letniej. Cisza w powietrzu taka, że słychać łopot skrzydeł ćmy, która od dziewanny snuje się. Jak stół gładka szklana tafla wody. Co chwila zjawiają się na niej złote iskry gwiazd, które zrodziło niebo i odbiciem rzuciło na wody.

Spokój, cisza...

Wtem na wodzie coś zadrgało. Nie spostrzegła tego nawet woda, nie masz na niej kółek i kółeczek, w jakie formuje się za dotknięciem fala. Na wodzie drży złamany pęd rogoży. Rogożka, co ma pustą wewnątrz chabinę, zielony liść i kwiat w kształcie mietliny. Drży chabina złamana w kolanku i pustem otworem na granatowe, wyiskrzone niebo patrzy.

Ściemniło się zupełnie. W lesie zakwiliła sowa, w trawach ozwał się derkacz, na polach polne koniki zagrały.

Zwolna dudka rogoży się dźwiga, rośnie, olbrzymieje, z wody dobywa się czarny jakiś kształt,..

Wyszedł... wyrósł... jakby głowa ludzka... patrzy, słucha... jakby chciał zliczyć głosy grających koników... jakby chciał zliczyć źdźbła sitowia, co brzegi jeziora stroi.

Nie masz nikogo...

Tylko mgły powstają z wód i po wodach tańcują, plączą się wśród trzcin, aby wznieść się w górę i rosą opaść na ziemię. Opada rosa, jakby niebo nad ziemią Hawelan płakało.

Zwolna dźwignął się z wody i do brzegu popłynął Niebora.

IV.

Liście dębiny wyłowiły wszystkie promienie światła; mimo że słonko jasno na niebie błyszczy, w lesie panuje mrok i chłód. Wielka dąbrowa splotła swe korony w jeden ogromny, zielony dach, wsparty na olbrzymich kolumnach drzew; w braku promieni słonecznych trawka nawet nie zejdzie na ziemi, podściółka jeno zeszłorocznych liści jesiennych na mchach szeleści, jego marna pleśn, kurzawka i jadowity grzyb w pomroce leśnej żyć może. Widłaki jeno po ziemi się snują, rokiety, skrzypy wschodzą.

Tam, gdzie korony drzew przepuściły nieco świetlnych promieni wnet wybujały zielone pręty malin, wnet zakwitły dzwonki leśne, zazłocił się krokosz,*) bujne paprocie rozpostarły szeroko liście, urozmajcając martwotę puszczy.

Dzieje się to zwykle wtedy, gdy tysiącletnie drzewo piorun roztrzaskał, gdy zgrzybiały starodrzew wywróciła burza; spojrzało słonko na żółtą pościołkę lasów, znalazło w niej tysiące nasion, które przyniosły wiatry jesienne, powołało je do bytu i okrasiło puszczę tęczą kwiatów, majową zielenią podszyć leśnych, bujających koło zwalisk butwiejącego drzewa. A na gnijącym dębie zakwitł żółty grzyb, ze wszystkich szpar kory złota jego koronka wyziera, tocząc olbrzyma, aby zgnił i znawoził ziemię, aby uprawił ją dla rozlicznych bytów i jestestw, co na jego miejscu się rozrosną.

*) Krokosz—szafran polny.

Bóg jeden wie, gdzie się puszcza zaczyna i kończy, cały kraj to jedna, wielka puszcza poprzerywana zwierciadłami jezior, trzęsawiskami mokrzysk, korytami rzek, nad któremi stoją chaty i ziemlanki.

Gdybyś z lotu ptaka spojrzał na wijące się łożysko strumienia, wyglądałoby ono jak rzucona wśród zielonych dąbrów srebna nić, na którą nanizano wsie, grody i opola. A jako wszystkie nici pajęcze poplątane ze sobą wzdłuż i na poprzek, do jednego wspólnego środowiska zdążają, tak od wszystkich grodów opol i wsi ciągną się ścieżki na zielony pagórek, w środku przedwczesnych lasów, w zbitej gęstwinie bujnych zielonych drzew. Na wysokim kopcu mieszka Bóg, Pan ziemi i nieba, ten, który wszystko stworzył, który jest i wie o tem, że jest; ten, który patrzy na cztery strony świata, Światowit.

* *
* *

Na pagórku wśród puszczy widać ślad i prace rąk ludzkich Gaj otoczony częstokołem, na nasypach ziemnych stoją szeregiem zasadzone buki. Za bukami ciągnie się długi opłot grabin, na gałęzie grabin wypełzły pędy chmielów i ustroiły zielony mur girlandami, które lato gradem jasnych szyszek obsypało. Za płotem znowu nasyp, zarosły zielskiem polnem, kwieciem wszelakiem, za nasypem boża świątynia, przybytek dostępny tylko kapłanom, władykom i wodzom narodu.

Pod rozwichrzonemi konarami świętego dębu widać na stopniach kamienny posąg Jessego.

Snycerz wyrzeźbił go misternie z kamienia, tak jakby nie jedna, lecz cztery postacie bóstwa były spowite w kamieniu, głowa Światowita na każdą stronę świata patrzy, na wschód, na zachód, północ i południe.

Kamienny bóg trzyma w pochwie miecz, w ręce zaś puhar, który raz na rok, w wielkie święto wiosny, kapłan winem napełnia. Obok posągu stoi ogromny rumak ze skały wykuty z jednej sztuki głazu.

Gdy cicha noc zapadnie, gdy sen sklei ludziom oczy, wielki bóg schodzi ze swego posągu, wsiada na koń i objeżdża na nim świat cały, aby, gdy pierwsza zorza zaróżowi się na niebie, wrócić do świętego uroczyska.

Krasne ono i piękne, bo wierna ręka bogactwami je obsypała, na wszystko się zdobyła, co może je ozdobić i ustroić. Na

ogromnych głazach wyrzeźbiono tu żubra, który przebiega dąbrowy, niedźwiedzia-bartnika i dzika, ryjącego ziemię. Na jednej płaskorzeźbie widać lisa uciekającego z zajączkiem w pysku, na drugiej sarnę, którą dławi za gardło ostrowidz. Snycerską sztukę pokrył malarz jaskrawemi barwami, szczyty kamieni zdobnych rzeźbą, ustroiły ogromne rosochy jelenie, rogi łosia, jastrzębie i orle skrzydła.

Zdaleka ludzie się schodzą, aby widzieć te cuda, niemiecki nawet kronikarz, któremu wedrzeć do wnętrza świątyni się udało, niema słów na opisanie piękności rzeźb i świetności barw, strojących świątynię.

Około Światowita widać posągi pomniejszych bogów, sług jego, sił i potęg, jakiemi jedyny wielki pan świata rozporządza. Oto stoi troiste bożyszcze w jednej skale wykute, cudną sztuką w kamieniu rzeźbione. Strybóg króluje na morzu, skąd wiatrom na świat cały dąć każe, Perun, który piorunem i grzmotem przemawia do struchlałego, ziemskiego stworzenia, to Swaróg, który nad zielonym kobiercem pól, nad przestrzeniami lasów i mórz rozpiął wielki baldachim. Ogień, który w chatach płonie, który na ołtarzu się pali i chaty pożogą rujnuje, jest dziełem ręki Radegasta. Pochwist sprawia ulewę i burzę, Marzanna kładzie kres ludzkiemu życiu, niosąc śmierć i nicestwo.

Zdala od świętego dębu ustawiono w miejscu wystawionem na wschód słońca posągi córek bóstwa, krasnych dziewoi, które szczęście, radość i rozkwit życiu ludzkiemu niosą. Innych bogów sprawą niszczyć, palić, zabijać, im Światowit kazał stwarzać, krasić, stroić, marną, szarą przędzę ludzkiego żywota, złotą nicią szczęścia, rozkoszy, nadziei przeplatać.

Wiosna, jasna pani kwiatów, zieleni drzewa w maju, na kołyszących się wiotkich źdźbłach wiesza dzwonki liljowe, rozchyla pączki róż, na trawy rzuca śniegi stokrotek. Zapatrzona w ojca swego Światowita, który miljonem gwiazd niebiosa zasiał, rozsypała na ruń leśną miljony gwiazd zawilców, zerwała z niebios różową oponę chmurek, które wschód słońca witają, postrzygła ją w rysunek śliczny i krocie firletek na łąki pomorskie rzuciła. Ze szafirowego nieba wzięła barw, aby bławatki i ostróżki pomalować niemi, z przędzy promieni słonecznych utkała kwiecie dziewann, lawend, jaskrów i kniei, które błota hawelańskie stroją złotem i zielenią.

Siostra jej, Łada, bogini piękności, barwi krasą lica dziewcząt, według jej wzoru stworzył Bóg kwiat ludzkości — kobietę

według jej rozkazu pokryła ziemię całą wszelakiem jestestwem, bogini i opiekunka płodności, Dziedzilja. Kwiaty, które u stóp pomnika bogini dziewic rosną, wdarły się na kamienne schody, powój, okręcił rzeźbiony trzon posągu, maki, bławatki, powoje i lewandy zagrzły harmonją tęczy barw na cześć i chwałę promiennych bóstw isrnienia.

. . . . . .

Na stopniach posągu Jessego widać starca, który w długą białą szatę ustrojony, przed kamiennem bóstwem spoczywa. Włosy jego siwe spływają w nieładzie na plecy, zaplątały się w nie suche szpilki sosnowe, nasienie bukwi w zmierzwionych kosmykach włosów się trzyma. I na sukni widać ślady zaniedbania, na kolanach zielone plamy od traw, na których widać klęczał, boki zdarte, niezdarnie skórą łatane, jakby nikt na świecie nie dbał o sędziwego starowinę.

W rękach trzyma gęśl, na gęśli leżą zmarszczone palce, ze strun słychać nie śpiew, nie jęk, nie płacz, lecz zgrzyt dobywany ręką człowieka, który na instrumencie grać nie umie. Krzaczaste brwi na oczy spadają, jakby je zakryć chciały, broda siwa wisi do pasa, a lniane pajęcze jej niteczki splatały się ze strunami gęśli. Z głowy siwej spadł kwietny wieniec, róże polne i bławatki skryły się w białe kosmyki siwizny, żółte bukiety ruty leżą na harfie, która odzywa się targanym skowytem.

Jest to Zdzieszko, kapłan święty, pilnujący w świątyni wiecznego ogniska. Jego powołaniem składać na ołtarzu Trzygłowa ofiary, uczyć lud o wielkości Boga, wzmacniać jego wiarę, wykładać mu prawdy jej i tajemnice.

Skąd się jego wiara wzięła, jakie jej prawa, reguły, dogmaty, przykazania? Nie objawiła się ona z niebios, niema reguł i przepisów, któreby ją we formuły spowiły. Trzeba uczyć lud o Bogu, co zaś ma wiernym o Jessem powiedzieć, musi zaczerpnąć nie z księgi, dogmatu i reguły, ale z własnej duszy.

Włosy mu posiwiały rozmyślaniem nad istotą Boga, zmarszczki zorały czoło, spracowane męką ducha. Duszę pożarł i stoczył rak zwątpienia, gdy zaś przemyślał, przepracował duszę, gdy włosy zasrebrzyły się na głowie, poznał, iż nie wie nic więcej od tego, co za młodu wiedział, że praca duszy, że dnie i noce dociekań nie przybliżyły go, lecz oddaliły od celu.

Zdawało mu się, że jego praca ducha, dnie męki i rozpaczy, jak zżółkłe jesienne liście, z drzewa życia na ziemię opadły...

Zieleniły się nadzieją, teraz leżą w kałuży i gniją...

Za młodu.,.

Jak każdy młody był pewnym, że on tajemnicę złamie, że zwątpienie wieków i rozpacz wieków to brak siły, to niedołęstwo starych ludzi.

Z wiarą poszedł kapłan w bój myśli, na walkę ze zwątpieniem. On rozedrze tajemnicę, on rozedrze przeklętą zasłonę, która rozgradza człowieka od Boga, on odsunie mocą ducha oponę, za którą jest światło... jasność... Bóg...

Szukał Boga na niebie... szukał go na ziemi... podpatrywał, jak on kwiecie rumianków buduje, jak on tka delikatną chabinkę leśnego zawilca...

Zestarzał się i... oszalał.

Oto wstał, rzucił gęśl o ziemię, załamał ręce przed posągiem Pana świata i woła, dławiąc się łzami:

— Czy ty jesteś, o Jesse?!

Oszalał nieszczęściem, jakie na dom jego spadło.

Za margrafa Gerona, gdy ludy od morza aż po czeskie góry przeciw najeźdźcom powstały, pożalił się krwi swego ludu, stanął na czele tych, którzy pobożnemu Geronowi opór stawili. Przed tym samym posągiem Jessego, gdzie teraz płacze i ręce załamuje, przemówił do zbrojnego ludu, aby stanął w obronie wiary swych bogów, aby do ostatniej kropli krwi bronił swojej ziemi. Z gęślą w rękach szedł na czele zbrojnej czerni, z gęślą, która wredy hymnem wojny, pieśnią nadziei, nutą zwycięstwa grała.

Poszło chłopstwo na śmierć.

Odwiecznie słowiański Branibor zmienił się w straszliwą kolumnę ognia, języki pożaru lizały chmury, kolumna dymów zdawała się sięgać tronu Boga, ojczysta Hawela zabarwiła się hawelańską krwią.

Żelazna ręka Gerona zaciężyła nad krajem straszliwą niewolą.

Jęto szukać przywódców powstania. Człowiek z urwanym językiem, z wyłupionemi oczyma, był codziennym w grodach słowiańskich zjawiskiem, krzyk ludzi ćwiartowanych, rozszarpywanych końmi, na pal wbitych, był zaiste rzeczą tak zwyczajną, jak zwyczajną rzeczą jest śpiew słowika w maju.

Zdzieszko, kapłan i wieszcz ludu, skazany został na powieszenie. Śmierć lekka, kara mała.

Aby ją obostrzyć, kazał setnik przed straceniem powiesić w jego oczach wszystkie jego dzieci.

Przywleczono go skrępowanego przed okropne drzewo. — Stary dąb, o konarach nisko rozłożonych... Nie trzeba wcale drabiny, dość linkę przez gałąź przerzucić i skazańca na górę wyciągnąć.

Pierwszy poszedł na śmierć najstarszy synek, Lestek. Chłopczyna miał dwanaście lat, oczy czarne, włosy na plecy spadające, długie, że gdybyś chciał, mógłbyś jak z włosów dziewoi pleść warkocze.

Gdy go wiązano, gdy mu pętlę na szyję zarzucono, był blady, jak płótno, zzieleniał, ale milczał. Milczał dlatego, że było to dziecko nad wiek rozumne.

On słyszał, że tam ojciec z bólu wyje... że skomli jak pies, patrząc na rodzonego, na pierworodnego.

Ścisnął zęby i ze spokojem... poprawił sobie nawet sznur na szyi, nawet włosy z tyłu odgarnął...

I zawisł...

Zadrżało ciało, chybnął się tułowek, raz i drugi, zamrugały oczy, rozwarły się usta, z ust wyszedł język straszliwy... wiśniowy...

Jeszcze drży zlekka...

Ścichł, uspokoił się, skonał.

Za nim poszło czworo dziatek. Dziewczątko i trzech chłopców: Dobek, Czest, Czcirad i Kalina...

Obrodziła dębina owocem straszliwym, Chrystus na niebie musiał widzieć i słyszeć, co się tam na ziemi stało, co tam uczyniono w święte imię Jego...

„On to zapewne przebaczył", jak sądzi kronikarz, sprawiedliwość boska nie będzie wymierzona za „nędzę rodziny słowiańskiej, rozszarpanej na targu".

Ostatni na stryczek poszedł maleńki, czteroletni Zdzieszko. Głupie dziecko nie wiedziało, co się naokoło niego dzieje, śmiało się czasem, czasem ciekawie na wiszące rodzeństwo oczka wytrzeszczało.

Gdy je brał pijany, ohydny drab, nie chciało do niego iść.

Śmierć miało lekką. Wstrząsnęło jak małe kocię — i koniec...

Już nieprzytomny Zdzieszko miał iść za dziećmi, gdy w dąbrowę przyszedł szlachetny Gero z nowo-ochrzczonym Bieługiem. Wielka uroczystość chrztu księcia upadłego narodu dziś się odbyła, dziś dzień radości, dzień, w którym rosną ludzkie serca, miękną zapalczywości i żale...

Na prośbę Mestwina Bieługa przebaczył Gero kapłanowi.

Ocucono Zdzieszka wodą, aby mu oznajmić akt łaski. Wstał, oczy otwarł szeroko, głupkowato popatrzył po ludziach... nagle spojrzał na dębinę, otwarł usta, wyszczerzył jak pies zęby i straszliwym głosem zaryczał:

— Gdzie ty jesteś, o Jesse?

I oszalał.

Zaczął się śmiać skomleniem psa, który prosi, aby mu drzwi otworzono. Poszedł do dzieci, zahuśtał Zdzieszka zlekka i zaśmiał się:

— Ha! Ha! Ha!

Lestek, najstarszy już zczerniał. Chwycił go ojciec za nogi i zaczął chychotać dziwne jakieś słowa:

— Miljon kwiatów... Koszą łąkę... Każdy kwiat żył... Koszą... Czy wy nie słyszycie, że każdy kwiat, padając na ziemię, woła: zbrodnia! Czy wy nie słyszycie, że na łące miljon istot mrze, że miljon istot kona, że miljon głosów woła: zbrodnia!

I śmiał się, potem, płakał, potem bluźnił, potem znowu się modlił.

Ucichła dusza jak spokoi się morze, którego fale huragan burzy zamąci. Dusza ludzka jak morze, gdy ustanie wicher — przyczyna, powierzchnia wody ucisza się i spokoi. Tylko, że woda nie pamięta burzy, a dusza pamięta...

Dusza nieszczęśliwego, jak dąb powalony dawno leżący na ziemi, zdaleka się zdaje, że to drzewo, a tam jest zbutwiałe próchno, grzyb, zgnilizna. Gdy dotkniesz ręką, przystąpisz nogą, wpada dłoń twoja w głąb...

Został na świecie kapłanowi na ziemi jeden tylko... Bóg. Nie słyszą głosu ojca dzieci, leżące w mogile, nie odezwą się na jego wołanie. Cały dzień mówi z Bogiem, modli się do Boga. I stała się rzecz dziwna. Człowiek ten umarł dla świata, oszalał dla spraw ludzkich, wszystkie struny jego duszy zamilkły, oprócz tego nerwu ducha, który za młodu szukał Boga. On szukaniem Światowita oszalał. Był jako kwiat kosaćca, który wiecznie

w niebo patrzy, jak dzwonki modre, które kielich zwracają za słońcem...

Zdzieszko, którego rozum dla świata umarł, modli się w świątyni przed Bogiem:

— Czy ty jesteś, o Jesse?

Dusza ludzka, jak okręt, który pędzi burza; unosi go na wyżynę fali, aby go wrzucić w bezdeń.

Ludzka dusza leci na skrzydłach modlitwy do Ciebie, zda: się przez łzy widzieć cię na szczycie niebios... woła: jest! jest!

I spada w odmęt nicości, gdzie każda myśl, każdy czyn, każdy objaw woła: nie masz Go, niema...

Odezwij się Jesse, jeśli jesteś!

Patrz, tłum ludzi pyta mnie, kapłana Twego, czy Ty jesteś?

A ja tłumiąc burzę, która rwie mojem sercem, mówię jest!

A mówiąc to, kłamię.

Kłamię, bo nie mam pewności.

A ten, co mówi, że ma pewność, kłamie.

Kwiat dziewanny mówi, że jest sprawca, który jej krzak utkał cudnie i złotem wyhaftował.

Zwój liści bluszczowych mówi, że jest budowniczy, który ich wieńce na sosnę przerzucił.

Migocące gwiazdy mówią, że jest rachmistrz, który ich biegi obliczył.

A usta matki, której jedynaka wojska wrogów zabiły, mówią, że Cię niema.

A widok tego, który od urodzenia sparaliżowany lat trzydzieści gnije, mówi, że Cię niema.

A rychotanie szatana, którym odpowiadasz na łzy i prośby ludzkie, mówi, że Cię niema.

Przemów!

Czy jesteś, o Jesse?

* * *

Po co nam byt dałeś?

A jeśli nasz byt do Twych niepojętych celów potrzebny, poco nam dałeś świadomość bytu?

I niemieckie książki i kapłani słowiańskiego ludu uczyli, że dusza ludzka jest nieśmiertelną.

Że pochodzi od Boga i jest częścią Boga.

Wierzę, że przed urodzeniem istniałem bez świadomości.

Powiedz, o Jesse, czy tyle świadomości mieć będziemy po śmierci, ile mieliśmy przed narodzeniem?

Powiedz, o Jesse!

O jak strasznie jest nie wierzyć w Ciebie i nie wiedzieć dokąd ręce wyciągnąć w nieszczęściu.

Jak strasznie.

* * *

Ciepły wiatr kołysze kwieciem leśnego dzwonka na tle gęstwia paproci i ożyny. Przedziwnie jego kwiat wyrzeźbiono, przecudnie zawisł on na zielonej gwiaździe listowia u smukłej wiotkiej łodygi.

Czy twoja ręka dzwonek mistrzowsko utkała?

Czy tylko prawo twoje odwieczne bez twej wiedzy go stworzyło?

Czy ty wiesz o każdym dzwonku leśnym i każdej róży polnej?

Czy kwiaty kwitną, a ludzie żyją tylko prawem kamienia, co ze szczytów w przepaść leci, choć podróżny, który kamień strącił, zapomniał już o nim?

Czy ty żyjesz może w każdym kwiecie, w każdej sośnie i w każdem jestestwie tej ziemi? Żyjesz w źródle, które bije? W wątłej muszce, co w zachodzie słońca się kąpie?

Żyjemy z twojej rozumnej ręki, czy z twego ślepego prawa?

Idzie świat twoją ręką, czy ślepym rozmachem odwiecznym?

Kto to czyni, że serce moje ściska się, bije i krew w żyły rozsyła?

Ty Jesse, czy ślepy rozmach?

Przemów, o Jesse.

Przemów...

Spracowała się myśl moja i jest jak motyl nocny, który lecąc do twej jasności, skrzydła opalił.

Do światła! wołał do światła!... a teraz w mękach się wije.

Światło jest trucizną życia.

Gdy spracowani wejdziemy w serdecznej męce na górę,

gdzie światło wschodzi, w blaskach jego jest nicość i rozpacz bez nadziei i męka bez końca.

A ci nieszczęśliwi, co w dole zostali, mają złudzenie, mają wiarę...

Nawet złudzeń nie mam...

Nawet w dniach nieszczęścia nic nie chcę od ciebie.

Nawet w dniach szczęścia niema uśmiechu na mych ustach.

W jednym dniu skonała wiara moja i śmiech mój i w jednej leżą mogile.

Na niej runem napisano: nie chcę bytu, o Jesse...

Rozpacz woła: nie chcę śmiertelności, bo się boję bytu.

Czemuś skaził moją młodą i białą duszę?

W dzień grudniowy padają śniegu gwiazdy, białe jak lilja.

Dlaczego każdy śnieżek traci czystą swą barwę i zmienia się w brud kałuży?

Czemu, o Jesse?

* * *

Gdy ból uśnie na chwilę, rozumie cię dusza moja.

Widziałem ogrody polskiego księcia Mieszka, gdzie kwitną cudne lilje i tęczowe kwiaty.

Jak ogrodnik rani krzew róży i pień jej bez litości z gałęzi i liści obdziera, szczepiąc na niej kwiat szlachetny, tak ty szczepisz swoją myśl na ludzkiej duszy, męką, rozpaczą i bólem.

Aby dusza blaskami twemi zakwitła, musi przebyć piekło nicości i bólu.

Zrywasz z niej każdą gałązkę nadziei, która wątła z jej pnia wyrośnie.

Zadajesz jej sto ran, choć dawne jeszcze się nie zagoiły.

A marny duch ludzki nie widzi, że Twoje rany są zdrowiem, że Twoja śmierć jest życiem, że Twoje nawiedzenia są odrodzeniem i uzacnieniem ducha.

Przemów więc, o Jesse!

Jak snycerz gniecie i miażdży ziemię, aby zlepić z niej szlachetny posąg boga, tak Ty katujesz ludzką duszę, aby zrobić z niej rzecz podobną do Twych wielkich celów.

Ale powiedz, że klęski nasze są Ci potrzebne, o Jesse!

My nie wiemy o tem, a usta bluźnią, a w duszy panuje bezboże.

Oto stoję w Twej świątyni, w której pokolenia całe od wieków się modliły, a miasto się modlić bluźnię.

Nie rachuj słów, które rozpacz z ust wyrzuciła i bądź pochwalon!

* * *

A za starcem w świątyni modliło się dwóch ludzi.

— Ciebie jednej wzywam, Nijo!—zawołał Niebora.

— Ciebie jednej, Marzanno! — krzyknął przed ołtarzem Cichost.

— Ciebie, Perunie, wy piekielne moce!

— Zejdź pomorem, Nijo, w królewskie szeregi!

— Takaż to wasza modlitwa — zapytał Mściwoj, który wracając z obławy, spieszył do domu i wraz z arcykapłanem Złotoszem, wielkim książęcym jałmużnikiem, wszedł do świątyni.

— Na wrogów przekleństwa niebios wzywamy.

Precz z modlitwą nienawiści!

* * *

Rycerzy, którzy na polowanie wyruszyli, czeka niecierpliwie jakiś człowieczyna; co chwila z okna braniborskiego grodna wygląda za wały i palisady, patrząc w ciemną dal.

Był to młody hrabia Thiethmar, ze sławnej i rycerskiej rodziny saskiej. Lat ma zaledwie ośmnaście, wygląda jednak co najmniej dwa razy starzej. Nie poszedł on śladami sławnych przodków swoich, którzy orężem na wojnach z Polską sławę i majątek zdobywali—zawód mędrca i uczonego nad laury wojenne przenosząc.

Na stole jego leży kilka kosztownych skór cielęcych, pięknie garbowanych; spisuje na nich Thiethmar mądrość, którą z poetów łacińskich wyczytał, czyni wyciągi z Ausenjusza i Marcjalisa, nadewszystko przez siebie ukochanych pisarzy. Osobną skórę poświęcił uwiecznianiu wypadków, które za jego życia zaszły, tam zapisuje, zalewając się gorzkiemi łzami, jak to Mieszko, książę polski, w bitwie pod Cydyną wojska niemieckie na głowę bijąc, ojcu jego, szlachetnemu hrabiemu Zygfrydowi, nogę przetrącił, tam płacze nad zatwardziałością grzesznika, Włodzimierza Wielkiego, który nadmiernie serce swe ku białogłowom nachylając, w sromocie, sprośnej lubieżności grzęźnie, tam spisuje wielki

i ważny wypadek, jak to wujowi jego śniło się raz ciele bez ogona, skutkiem czego ten poznał, że wnet umrze, co się istotnie sprawdziło.

Duch młodzieńczego Thietmara może dlatego tak światle i pięknie się rozwijał, że ciało było nadzwyczaj mdłe, nad czem on sam w pergaminach przez siebie napisanych boleje.

„Jestem człowiek drobny—pisze o sobie Thietmar—w lewy bok wykręcony, z gębą krzywą i wiecznie jadzącym się wrzodem oszpeconą. Smiesznym jest przetrącony mój nos... w duszy mej nie masz nic zacnego, jestem lichy, opryskliwy, do dobrego nie skłonny, zazdrosny, politowania godzien, z drugich lubiący naśmiewać się, jestem obżartuch, obłudnik, skąpiec i oszczerca".

Za surowo zapewne osądził się sam przezacny młodzieniec, szacunek bowiem, jaki wiedza jego u margrafów wzbudza, skóra cielęca gęsto inkaustem zapisana, która powszechną ciekawość i podziw wywołuje, dowodzą o ważności piśmiennego młodziana, o mirze, jaki miał w braniborskiem dworzyszczu.

Dietrich, Bernard, czasem nawet sam najprzewielebniejszy, słuchali godzinami i dłużej, gdy Thietmar poezje łacińskie im wyłuszczał, rycerzom ustępy o koniu trojańskim na niemieckie tłumacząc, przedkładając straszne losy Odyseusza, którego niewiasta Kalipso, przez długie czasy więziła, do miłości go nakłaniając. Żal do wszelakich nimf i niewiast pochodził u cnotliwego Thiethmara głównie stąd, że żadna jakoś z białogłów ani więzić, ani do miłości go nakłaniać nie chciała, choć może on nie miałby nic przeciw temu.

Dziś porzucił Thiethmar poetów rzymskich, oderwał od starych foljałów kaprawe swe oczy, chodzi po izbie niespokojny i często do okna zagląda. Pustka i samotność go przeraża, w ciemności chodzą strachy, w które święcie wierzy, ludzie zmarli wstają z grobu i ludziom się zjawiają. Niepokoi go śmiertelna cisza panująca w zamku, idzie więc na dół do czeladnej izby i woła do siebie kuchcika, który młóto*) pozostałe z warki piwa z glinianych garnków dobywał.

— Chodź do mnie, chodź—mówił drżąc ze strachu Thiethmar.

— Rozkazałeś panie — odrzekł parobek, idąc za Thiethmarem na górę.

---

*) Młóto—słodziny, pozostałość ze słodu, z którego wydobyto wszystkie substancje, potrzebne do wyrobu piwa.

— Siadaj na ławie
— Nie śmiem wobec ciebie...
— Nie bój się, siadaj. Pusto mi i smutno...
— Boisz się panie, w pustce i ciemności siedzieć?
— Jakby wszystko wymarło...
— Zapalę na kominie łuczywo.
— Uczyń to, będzie nam weselej. Duchy po nocach błądzą...
— Duchy, mówisz. Widziałeś, panie?
— W księgach to napisano, ludzie to widzieli, mnie samemu szatan we śnie przyniósł widziadło...
— We śnie...
— We śnie to było, a przecie tak na jawie, że to w księgi moje zapisałem.
— Co się panu śniło?
— Idąc do kościoła w nocy, zobaczyłem cmentarz pełen nieznanych ludzi, na czele ich zaś moją bratowę.
— Znałem ją panie, umierając, zostawiła ci pieniądze i zaeciła, abyś ją wspaniale pochował...
— Uczyniłem to.
— Wiem, wiem. Pogrzeb był prawdziwie wspaniały. Złośliwi ludzie jednak śmią szerzyć o tobie, panie, plotki, że...
— Mów śmiało.
— Że trumna nie była nowa. Mówią, żeś wyrzucił z niej bogobojnego opata, który długie lata spoczywał...
— Prawda! Ze skruchą i żalem to wyznaję. Brakło mi pieniędzy na nową trumnę. Kajanie się moje i żal, że spokój opata naruszonym został, w kronice mej zapisałem.
— Mówią, że w trumnie znalazłeś, panie, kielich szczerozłoty.
— Był w istocie.
— Sprzedałeś go...
— Tak jest. Aby pieniądze dać biednym.
— Jałmużna! Bogobojna to i piękna rzecz wspierać ubogich. Któż z łaski twej skorzystał? Który ubogi zapomógł się...
— Ja.
— Co mówisz, panie?
— A czyż ja nie jestem ubogim? Hrabiowie Thiethmarowie opływali dawniej w dostatki, ja zaś z nauki mej i umiejętności żyję.

— Czy słyszysz panie, coś tam na dole chroboce...

— Opat z kielichem!!!

— Nie, nie. To Msta nocami po świecie chodzi. Pod stopami naszemi jest piwnica, w której umarł z głodu.

— Sądziłem, że to Opat. Śniło mi się o nim wczoraj. Przyszedł do mnie czyścowym ogniem gorejący i wołał: oddaj kielich, oddaj trumnę...

— Ile wziąłeś za kielich?

— Sto dwadzieścia denarów.

— Daj mnie ubogiemu choć dwadzieścia, a Opat przestanie chodzić.

— Mówisz, że to chodzi Msta?

— Widzieli go ludzie.

— Nie przyjął chrztu, nic dziwnego, że dusza jego w piekle w wiecznym ogniu płonie.

— Wyprawa wraca.

— Za palisadami słyszę rogi...

— Chodźmy! Chodźmy!

Na majdan zamkowy weszła gromada rycerstwa, pachołkowie, naganka i psiarze, prowadzący ogary. Zdziwił się Thiethmar niepomału, że obława nie huczy śmiechem, nie wre życiem, lecz idzie smutna i ponura, jakby pochód pogrzebowy. Na pokoje wniesiono księcia Bernarda, który choć chwilami przytomność miał, nie mógł przecie jasno wypowiedzieć co się w jaskini, gdzie go znaleziono, stało. Na pytania miał jedno słowo odpowiedzi:

— Niebora.

Na dziedzińcu zebrała się gromada ludzi. Tłum żołnierstwa pomieszał się z pachołkami i niewolnym chłopstwem. Na ustach wszystkich była mowa o duchach, które w nocy chodzą, z piekła na świat się zjawiając. Wszyscy opowiadali o Nieborze. Nie brakło takich, którzy wymawiając to imię, znak krzyża kładli na piersiach, ustach i czole.

Gdy około kupy ludzi przechodził Thiethmar, otoczyła go ludzka gromada, aby mu dziwo opowiedzieć, światła i nauki od niego zaczerpnąć.

— On nam powie, czy to być może.

— Czy Niebora jest człowiekiem, czy duchem.

— On wytłumaczy nam to, bo wielki jest jego rozum.

— Wszak on księgi pisze na baraniej skórze.

— Taka niepozorna koślawa postać...

— Ludzie mówią, że to od nadmiernej mądrości tak mu się ciało pokręciło.

Opowiedziano Thiethmarowi o czarach Niebory.

— Czy to prawda, że poganin czaruje?

— W djabła się zamienia?

— We wodzie oddychać może?

Thiethmar nic nie odpowiedział. Wytrzeszczył oczy, wsunął głowę w ramiona i przeżegnał się.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

W duszę przesądnego tego i bez granic zabobonnego człowieka weszło nowe widmo, poganina, który wodę zaklina i czaruje. Z izby wyszedł do ludzi, uciekł od mar i widziadeł, które go w samotności prześladowały, które w nocy chodziły, we snach mu się zjawiały...

Chciał znaleźć wśród gwaru ludzkiego spokój, chciał rozweselić się, nabrać życia i otuchy, zapomnieć o przeklętybh strachach. A tu wśród tłumu panowała obawa przed Nieborą, przed Mstą, który jęczy po nocach, który chodzi ze świecącemi oczyma, gryzie ręce i woła:

— Jeść! Jeść!

I zdawało się światłemu młodzianowi, że z ogni czyścowych wyszła ciotka, upominając się o nową trumnę, że przychodzi do niego w językach płomiennych opat wołający:

— Oddaj skradziony kielich!

Wsparł się Thiethmar na pachołka i drżąc poszedł do swojej izby. Zawołał kuchcika, który młóto przesypywał i kazał mu na noc w swej izbie pozostać. Bał się strasznej nocy, w której przyjdą sny.

Zapalił kuchcik kaganiec, w którym się sperka smażyła, Thiethmar zaostrzył nożem gęsie pióro, umaczał je w inkauście z żołędzi i chwiejącą się ze strachu ręką napisał na kosztownym pergaminie historję o zjawieniu się duchów ciotki, Msty i Niebory, aby wiarygodne te historje przekazać przyszłym pokoleniom.

* * *

Rad był Mściwoj, że na zamku nie było po łowach śmiechów, pijatyki i zabawy. On szukał samotności, pragnął jej. Upadł

na łoże zasłane niedźwiedzią skórą, a marzenie senne niosło mu czarowne widziadła. Ukochane dziewczątko zjawiało mu się w pół śnie, zdawało mu się, że ręce wyciąga do niego, że usta jej szczebiocą słowa miłości, że śmieją się do niego czarownie, że się zbliżają do jego ust.

Po rozkosznych snach, tem okropniejszem było pożegnanie. Wśród rzeszy ludzkiej trzeba udawać zimną obojętność, niczem nie zdradzić serca, które płonie...

Otrzymał wymowne spojrzenie jej oczu i wyjechał. Nie czekał na brata, rycerstwo tarnowskie i pachołków, jemu trzeba było samotności i ciszy. Daleko już był, już rożkowskie lasy mijał, gdy rycerstwo tarnowskie wyjeżdżało z braniborskiej twierdzy, gdy brat jego Mieczysław i gęślarz Sobieta opuszczali wierzeje dworu margrafa Dietricha.

* * *

Jako na wiosnę ziemia kwieciem i zielenią się pokrywa, jako nawet ugorów kwitnące chwasty się stroi, nawet upłaz ogromnemi liśćmi podbiału buja, jednej piędzi ziemi pustce i nicości nie zostawiając, tak dusza Mściwoja płonęła cała wielkiem uczuciem miłości. Ta kobieca rozkochana dusza szalała tem uczuciem, tonęła w niem, wszystkie myśli mu oddając. I jako w rozkwitłym lesie wśród dzwonów i zawilców, wśród ozyn i grusz perła wroniego oka zaświeci, jadowita wilcza jagoda wśród drzew się zaczerwieni, tak w rozkochanej duszy wśród czarownych marzeń i snów, przychodziła jadowita, jak śmierć straszna myśl o przyszłości o jutrze tego uczucia...

Odpychał ją młodzieniec, bał się jej, bronił się przed nią, a ona przecież wracała i wracała.

Zbywał ją w myślach jak mógł. Nie rozumem chciał się jej pozbyć, lecz marzeniem. Myślał, majaczył, że pójdzie w służbę króla, wielkiemi czynami kupi jego względy, zdobędzie jej rękę. Iść na dwór, bić się w królewskich szeregach, zdobyć sławę wojownika i rycerza i za cenę przelanej krwi wymodlić ukochaną od króla. Uciec do Niemiec, wrogom duszę zaprzedać, oddać im siebie, służyć im jako parobek, wierny jak pies, byleby ją zdobyć...

Myśl przyszła i odleciała, aby zrobić miejsce drugiej. Znowu majaczenie i sen na jawie. Wypowiedzieć poddaństwo swym

królewskim zwierzchnikom, stanąć na czele ludu, rozdmuchać ogień nienawiści, który i tak pochodnią wielką płonie, iść na bój, na czele swoich, zwyciężyć... i jako dank zwycięstwa żądać ukochanej.

Biedny wasal i sługa.

On wiedział, że i jeden i drugi zamiar przechodzi jego siły nie leży w jego mocy, a jednak marzył. Jak dziecko, które kijem siekąc trawę, mniema, że jest żołnierzem i że wrogów mieczem ścina.

Czarne myśli marszczą jego czoło, mącą myśl, precz więc z czarnemi myślami, precz z rozpaczą, aby oodać się znowu rozmyślaniom o miłości, o Adelajdzie...

Młoda jego dusza miała słabość i miękkość natury słowiańskiego chłopa, oddanego pieśni i roli, mającego w ręku gęśl, a nie oręż. Wszak Teofilakt Simokata, a później Grek, Teofanes, opowiada nam o trzech Słowianach z nad zachodniego ocenu, których pojmała straż bizantyńskiego cesarza, gdy szli w poselstwie do Bajana chagana*) Awarów; posłowie Wilców w tak wielką i daleką drogę poszli bez broni, niosąc w ręku gęśle... Podziwiał cesarz postawę podróżnych i urodę, dziwił się jego dwór, że oni lutnie za broń mają, ze zdumieniem słuchał ich słów: że ich naród, mieszkający nad Łabą i morzem, broni przypasywać nie umie, broni nie zna...[1])

Ten lud śpiewaków, harfiarzy z nad zachodniego morza wymarł do szczętu, wycięto go do jednego. Naprzeciw narodu lutnistów stanął naród żołnierzy, naprzeciw harfiarza stanął żołdak, nic też dziwnego, że w walce o chleb i ziemię padł trupem lutnista...

I tam, nad brzegami zachodniego oceanu, u ujścia Mży i Swartawy nad Salą i Labą niema już ludu, który nie umiał broni przypasywać, który w świat daleki idąc, brał w rękę nie oszczep, lecz gęśl... I aż tysiąca lat na to było potrzeba, aby naród harfiarzy otwarł oczy, spojrzał na wybite narody, zobaczył Brandenburg, krainę słowiańskich mogił.

Zrozumiał, że wszystkie narody lutnistów ten sam los czeka, że czas ostatni porzucić lutnie, bo żołnierz idzie na wschód, bo

---

*) Chagan—chan.

[1]) Wspomina o tem również Kraszewski w „Starej baśni" (zob. dopisek „Dziejowe legendy".

coraz więcej mogił, bo narody Słowińców i Serbów łużyckich w naszych oczach wymierają, bo przed oczyma stoi otwarty grób... czeluść grobu czarna patrzy, grożąc śmiercią i nicością.

Duszę śpiewaka, lutnisty, kochanka miał Mściwoj Bieługowicz; marzył, tęsknił, szalał za Adelajdą, kochał się... Wszystkie wady Słowianina miał nasz jasnowłosy rycerz i kochanek — mało natomiast miał Słowianina zalet.

Wracając do domu, nadjechał nad zielony jar, w którego dnie płynął potok, nakryty kalinami, bełkocący szumem wód spadających po kamieniach. Ależ to ten sam potok, ta sama dolina, w której przeżył wczoraj złote chwile... Ciągnie go coś w tę rozkoszną dolinę, prowadzi go i wlecze przemocą, jakby tam było jeszcze czarowne widziadło; oprzeć się nie może myślom rozkosznym, które go na olchy, wierzbiny wiodą.

Bez namysłu prawie skierował konia brzegiem potoku, szybował przez łąki zarosłe kostrzewą, wybujałe trawami grzebienicy, zakwitłe bukietami storczyków i żółtych lilji. Koń pędził, jakby czuł i rozumiał jego duszę, jakby wiedział co się w sercu jego dzieje, czem serce się ogni i pali.

Stanął na miejscu.

Uwiązał konia u brzeziny, siadł nad potokiem w tem samem miejscu, gdzie wczoraj całował swą lubą, gdzie patrzył w jej oczy, gdzie tulił ukochane dziewczę swoje. Wśród bujnych traw, wśród zakwitłych niezapominajek, żywokostów i ostrzeni, szukał jej śladów, zdawało mu się, że zielona grabina nie wiatrem, lecz jej ręką poruszona, kołysze się jeszcze i chwieje.

Siedział niedługo, śmiał się do własnych myśli, śmiał się do marzeń, do wspomnień, jakie mu niósł wczorajszy dzień. Z marzeń zbudziła go pieśń.

Cicha pieśń dziewczęca, płynąca z gęstwiny leśnej, lecąca z dali ze szumem iglic, ze szelestem wiatru.

Echo niosło słowo:

Idzie w tanek, idzie w tanek
Ruciany wianek...
Idzie za nim, idzie za nim
Piękny młodzianek...
Idzie w tanek, idzie w tanek
Zielona ruteczka...
Idzie za nim, idzie za nim
Piękna dzieweczka.

Mściwoj, chwytając uchem tony pieśni, dech zaparł w sobie.

— Znajomy ten głos...

Oczy szeroko rozwarte patrzyły w dal skąd leciał, usta ze zdziwieniem rozchyliły się...

— Co to? Czyżby ona...

Zerwał się na nogi, wszedł w gąszcz leśną, gnąc gałęzie grabów, odsuwając zielone wikliny. Przeskoczył przez potok, a czając się, wszedł w jałowce, które delikatne jego, kobiece ręce kłuły i paliły...

W polu lipeńka, w polu zielona,
Listeczki opuściła.
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianeczków wiła.

. . . . . .

Krzaki malinowe, tysiącami pędów bujające, jak ogromne bukiety, rozparły się pod sosnami, zieleń ich przetkała dziedzilja rubinami jagód, które błyszczą na tle ożyn, śniegiem białego kwiatu obsypanych. Białość kwiecia ożyn ma lice dziewczęcia, barwę malin mają jej zakwitłe usta. Jej malinowe usteczka pieśń o lipeńce śpiewają, dusza marzy o wianeczku, o młodzianku, dla którego w rutę na weselne święto się ustroi.

Z przyodziewku jej widać, że to nie kmiecia córka, z rzędu ogromnych pereł bursztynu poznać, że to wojewodzianka jakaś, córka wieszcza lub kapłana, że możny i zamożny dom jej kolebką i gniazdem. Oczęta ma modre, jak bławatki, koszulę białą, w pół ciała fartuchem przepasaną, w ręku naczynie pełne nazbieranych malin; twarzyczka, na którą bujne fale spadających włosów cień rzuciły, to śmieje się pieśnią, którą wiśniowe usteczka śpiewają, to pokrywają się zadumą, jakby smutkiem rzewnym, zgryzotą, malującą się w oczach, patrzących w dal.

Przystanęło dziewczę wśród malin, ręka jego błądzi po chabinach, jakby jagód szukając, choć na twarzyczce widać, że nie o malinach serce myśli, że nie myśl o jagodach markoci te oczy.

Smutne, bardzo smutne... i znowu uśmiechnęła się, obudziła z zadumy, ręką podnosi zielone pędy krzaków, rubinowego owocu szukając, a usteczka nucą wesoło:

Bóg zaczyna, Bóg i kończy,
Kochające serca łączy,
Tobie wstążka i pierścionek,
A mnie wianek z trzech równianek.

Przedarł się Mściwoj przez jałowce, cicho prześlizgnął się przez obronne zwaliska spróchniałych dębów, które drogę tamowały, wchodzi w podrastające osiczyny, o liściach tak drżących jak drżało niepokojem jego serce... Nagle stanął niemy, zbladł...

— Ona!...

Odruchem ciała, o którym nerwy nie wiedziały, którego rozum nie kazał, zaczął się cofać, usuwać, uciekać. Cicho wypełznął w gęste wikliny, przekroczył potok, przedarł się przez gąszcz leszczyn i kalin, wsiadł na konia i uciekł przed kobietą...

Prędzej oszczep nie zaleci, jak on wypadł z jaru, szukając drogi, aby stracić się zniknąć, umknąć przed sumieniem...

Wszystkie te smutne myśli i żale, które mu jasny obraz przyszłości z Adelajdą zakrywały, wydały mu się błahostką, niczem, wobec zjawiska, które na oczy widział. Wszystkie zapory, które go od ukochanej odgradzały, ten dumny margraf Dietrich, grafowie niemieccy i Bernard saski nie straszył go tak, jak widziana przed chwilą krasawica.

Zdawało mu się, że już stał przed nim złoty kryształowy gmach miłości, pałac; dotknęła go ręką dziewczyna zbierająca maliny, a ten zaczarowany pałac runął. Zdawało mu się, że droga jego życia była wysłana kwiatami wiosny z północy przyszła mroźna wichura i drogę śniegiem, lodem i grudą zasłała. Śnieżyca miała twarz dziewczątka, którą widział wśród malin...

Woła ktoś za nim, ściga go, słyszy rycerz wyraźny głos:

— Mściwoju! Mściwoju!

Dziesięć staj uleciał, pół mili, mila go od miejsca, gdzie dziewczynę widział odgradza, a jednak słyszy wołanie, jakby głos biegł za nim, jakby go ścigał.

To sumienie tak ściga za nim. Ma ono głos krasawicy i woła:

— Mściwoju! Mściwoju!

On zgrzeszył przeciw tej dziewczynie, przeciw własnym braciom i własnej ojczyźnie. Ten głos, to wołanie ludu, który

go do odwrotu wzywa, do cofnięcia się z drogi błędu nawołuje...

I zdawało się Mściwojowi, że to nie Dietrich i nie Bernard ale jego lud na przeszkodzie stoi, że gmach jego szczęścia wali wiara jego ojców, język słowiański, w którym nad kolebką pieśni mu śpiewano, którego uczyła go matka, w którym modli się do starych ojczystych bogów. We wzburzonej jego duszy dziewka w lesie zdawała mu się uosabiać jego pogańską wiarę, ta dziewka i ta jego wiara granitową ścianą Tatr, która stanęła między nim a Adelajdą.

. . . . . .

— Precz z modlitwą nienawiści—zawołał Mściwoj.

— Tumanisz lud!—krzyknął na władykę książę Mieczysław, który z rycerstwem wszedł do świątyni.

— Ja?—zapytał Niebora.

— Ty!

— Nie wierzcie mu ludzie—wołał do władyków zgromadzonych w świątyni kochanek Adelajdy.

— Nie wierzcie! On zakłóca spokój, buntuje lud.

— Nam poddać się, ulec, aby za cenę poddania się kupić niepodległość kraju.

— Zostańmy przy wierze w nasze bogi, uszanujmy jednak naukę i światło, jakie ze zachodu na Słowiańszczyznę spływa.

— Precz z ciemnotą!

— Niech żyje światło!

— Zachód niesie światło!

— Choć wierzę w Jessego i ojczyste bogi, nie jestem jednak ślepy, że światło idzie z Rzymu.

— Z Rzymu idzie wiara miłości i przebaczenia!

Niebora patrzał na książąt obotryckich szeroko otwartemi oczami, w których malowało się zdziwienie. Wnet wykrzywił mu usta gorzki śmiech ironji.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się na całe gardło.

— Bóg chrześcijański każe bliźnich kochać, kochać nawet nieprzyjacioły swoje!

— Jezus Chrystus dał się ukrzyżować za grzechy świata.

— Ty mnie nie ucz—zawołał Niebora — kim był Chrystus, bo ja dobrze wiem o tem. Cześć temu opiekunowi wydziedziczonych, cześć temu, który nie miał gdzie skłonić głowy, temu, któ-

ry przytulił do siebie wszystkich cierpiących, który przygarnął nędzarzy i nierządnice, temu, który na uczniów wybrał rybaków, wszelki spracowany lud. Ty mnie nie ucz! Ja wróg chrześcijan i chrześcijaństwa czołem przed Ukrzyżowanym biję.

— A prześladujesz jego naukę...

— Prześladuję! — zaśmiał się Niebora. — Tak?! Hej ludzie! Powiedzcie no, kto wymordował chłopstwo nasze pod Łęczyną?!

— Chrześcijanie — krzyknęło sto głosów.

— Kto to spalił Światłostronę, Starogród, Myszny, Branibor, Grabów, Nowąwieś, Retrę?

— Chrześcijanie! Chrześcijanie!

— Kto w perzynę obraca nasze wsie?

— Chrześcijanie!

— Kto gwałt czyni kobietom?

— Chrześcijanie!

— Kto rabuje kraj, w niewolę prowadząc kobiety i dzieci? Kto ohydną ręką oprawcy trzebił w stolicy Wilczan wszystkich chłopów?!

— Chrześcijanie!

— Kto wiesza dzieci w oczach ojca?

— Czy jesteś o Jesse! — krzyknął z płaczem wielkim Zdzieszko, załamując rozpaczliwie ręce, upadając u stóp posągu Jessego.

Straszny pomruk ludu był odpowiedzią na pytanie Niebory. Rzucili się ludzie i podnieśli kapłana, Niebora zaś, wskazując na dławiącego się łzami starca rzekł:

— Patrz! Oto pomnik chrześcijańskiej miłości bliźniego! Tak wygląda ich miłość! Tak wygląda ich wiara! Tak wyglądają ich czyny! Tak wygląda ich przebaczenie!

Zmieszał się Mściwoj, nie mogąc słowa odpowiedzi znaleźć.

— Buntujesz lud — rzekł do Niebory.

— Ja buntuję?

— Tamujesz pochód światła—rzekł Mieczysław.

— Słuchajcie mnie ludzie! Ja tamuję pochód światła! — odpowiedział Niebora. Czy słyszycie? Ja tamuję, a oni niosą nam światło. Piękne światło! Czy my, Słowianie, napadali kiedy cudze kraje?

Nie, nie!

— Czyśmy rabowali cudze chaty?

— Nie, nie!
— Czyśmy zabierali cudze mienie?
— Nie!
— Czy znanym jest w naszym słowiańskim języku wyraz „mord"?
— Nie, nie! I czyn mordu i słowo przyszło ze zachodu.
— Czy znanym jest w naszym słowiańskim języku wyraz „fałsz"?
— Nie, nie!
— Kto więc komu niesie światło — wołał z ironją Niebora. Czy zachód nam, czy my zachodowi?! Gdzie jest prawdziwa moralność Chrystusowa, czy u nas, którzy wierzymy w stare bogi, czy u niemieckich chrześcijan?
— U nas! Na słowiańskiej ziemi.
— Precz ze światłem!
— Precz z zachodem!
— Mordercy! Zabójcy!
— Pokryła się ta czerń łotrów—wołał Niebora — pokostem świętej Jezusowej wiary, nie masz grzechu, któregoby nie popełniła, nie masz nieprawości, którąby nie byli splamieni. Jezus, miłosierny opiekun ubogich i wydziedziczonych, odszedł w niebieskie wierzeje, a z nim poszła od Boga jego wiara, wiara męczenników, którzy za przekonania swe marli. I na ziemi został blichtr i kłamstwo, wyznawcy Chrystusa mordując nas, biczują go raz jeszcze, hańbiąc nasze kobiety, raz jeszcze na krzyż go przybijają, paląc nasze włości, włócznią bok jego bodą. Precz z tem łotrostwem, które przeklął Chrystus!...
— Dokąd nas wiedziesz?! — krzyknął gwałtownie na Mściwoja Cichost.
— Jeszcześmy chat nie odbudowali.
— Braci naszych rozszarpują na targach jako niewolników.
— Nie zarosły jeszcze mogiły.
— Ojców naszych pomordowano.
— Dzieci nasze wieszano w oczach naszych.
— Gdzie ty jesteś, o Jesse? — załkał stary kapłan, tarzając się w prochu, bijąc czołem, jakby prosił matki ziemi, aby go na wieki pokryła.

Idzie Mściwoj błędnym krokiem przez kościelec*). Jakby był pijany. Utyka na mogiłach. Wzrok ma mętny, włosy roz-

*) Kościelec—cmentarz.

wichrzone. Gdy wyszedł ze zgromadzenia, zdawało mu się, że oszaleje. Wszędzie wrogi. W braniborskiem dworzyszczu wrogi, własny lud wrogiem. Lud go odrzucił, nieprzyjaciel go nie przyjął. Wie, że ten lud cierpi tylko jego zwierzchnictwo, wie, że w rzeszach pospólstwa wre i kipi przeciw niemu nienawiść.

Księżyc oświetlił blaskiem srebrnym kościelec, przez który młodzieniec krokiem szaleńca idzie. Dokąd idzie, poco? sam nie wie. A jednak idzie. Zdawało mu się, że tu na kościelcu, gdzie leżą umarli ludzie, gdzie prochy ziemia chowa, jest mu lżej, lepiej, jaśniej, bo ci umarli to nie wrogowie. A letni wietrzyk płynie po mogiłach, chwieje wyrosłe na grobach złote chabiny dziewanny.

* * *

Na środku kościelca wielkie czarne spalenisko otoczone wałem szarego popiołu. Tu stawiają stos, na który kładzie się zwłoki zmarłego. Wśród żałosnych zawodzeń żony i krewnych, wśród modlitw kapłanów, wśród płaczu dzieci, których kwilenia razem z dźwiękami gęśli żałoby pieśń grają, najstarszy z rodu zapala stos, dopełniając pogrzebnej ofiary. Bucha płomień ognia, słup dymu idzie pod obłoki, żywiczna sośnina gore żartkim płomieniem i wnet z człowieka stanie się garść popiołu.

Wsypują je w popielnice i chowają do ziemi.

Naokoło ogniska ogromna gromada mogił.

Wodzom, książętom i kapłanom usypano kopce duże, aby dłuższa i pamięć i cześć na świecie po nich została.

Kto splamił się zbrodnią, kto skrzywdził wdowę, zagrabił mienie sieroty, ten nie ma mogiły. Niechże jego pamięć zaginie, niechże nawet grób nie przypomina, że on żył na świecie.

Ludziom, którzy polegli w obronie rodzinnej ziemi, których zwłoki poniewierają się w czarnem polu, ludziom, którzy zaginęli lub w niewoli niemieckiej zmarli, wznosi się pusta mogiła. Buduje się ich prochom grób z kamienia i zostawia się go pustką. Znak, że ziemia ojców zawsze wygnańca do swego łona przyjąć gotowa.

Ze skaliska wyłamuje kmieć ogromne głazy kamieni, aby z nich zbudować wieczne dla żony swej, ojca, brata lub druha mieszkanie.

W czterokąt ustawia kamienie, a mieszkanko mogilne pokrywa wielkim płaskim głazem. Tam spokój, tam cisza, tam już nie-

ma trosk życia, tam wróg ze zachodu już krzywdy wyrządzić nie może. Zmarłego nie powiesi już królewski żołdak, nieboszczyk nie będzie już widzieć, jak mordują jego dzieci, hańbią żonę, jak jego domowizna płonącą pochodnią goreje. Bo w mogile panuje Nija, przemożna bogini nicości.

Na środku żałobnej komory stawia się popielnicę z prochami. Zgrabnie wytoczył ją z gliny zdun, w kształcie wielkiego dzbana. U dołu gładka jej powierzchnia, w środku pas runicznem pismem pokryty.

Kapłani słowiańscy, którzy od Normandów futorkiem pisać się nauczyli, znaczą popielnicę nazwiskiem zmarłego, piszą na urnie hasła o zaklęcia świętej wiary. Powyżej napisów narysował zdun obrazkiem zajęcie zmarłego, wypisał czem się wsławił, jakie było jego znaczenie. Łowiec ma na popielnicy wyrysowanego jelenia, rybak łódź, żołnierz rękę z mieczem. Z wierzchu pokrywa urnę dach gliniany, w zgrabny rysunek strojny, piękny kształt wykonany. Zdun stara się naśladować rysy zmarłego i wyraz jego twarzy wypukłą rzeźbą na pokrywie znaczy. Gdy garncarska robota gotowa, wsypie się w nią prochy i wstawia do grobu.

Obok popielnicy chowa się tam kilka innych naczyń z gliny. Książęciu zostawiają kapłani w urnie nadmorskiej wino, kmieciowi daje się stągiew miodu i udziec sarni. Żołnierz ma w grobie oszczep lub miecz, cieśla siekierę kamienną. Niewiasta ma naramiennik, żelazny pierścień i zausznicę ze spiżu.

Ostatni wchodzi do grobu kamienny, drewniany lub gliniany posążek boga. Wyciosał go snycerz, aby wraz ze zmarłym w ciemną krainę pytań poszedł Jesse, aby tam dał mu pokój, którego tu na ziemi niema.

Na niskim grobie kmiecym sadzi się sosnę, świerk lub dębinę. Wyrośnie drzewo, korzenie obejmą serdecznym uściskiem kamienną mogiłę, w której śpi tysiące lat człowiek, czekając na sąd, przed którym staną zdać sprawę ludzie i narody...

* * *

Przez sosny, stojące na grobach, widać granatowe niebo, na niebie błyszczą gwiazdy, jakby lampki nad mogiłami zmarłych. Horyzont zasłała szeroka, liljowa chmura, z nad chmury wznosi się ogromny księżyc, jak wielka błyszcząca tarcza miedzi. Między mogiłami snują się niebieskie wstęgi mgieł, rosa padła na zimo-

wity, macierzanki i smółki kwitnące na grobach, w perłach rosy iskrzy się księżyc na kwiatach, trzepocąc skrzydełkami wieszają się nocne ćmy.

A przez kościelec idzie Mściwoj, nie wiedząc dokąd idzie, jaki cel jego drogi. Minął okopy grobów, wysadzone ostrą tarniną, minął jawory, które dumają na straży poświęconej ziemi, gdy... z ciemni lasu wyszła ku niemu kobieta.

— Mściwoju! Mściwoju!

— Toś ty... Bogno... Toś ty...

— Ja, mój drogi, ja! — zawołała dziewczyna — rzucając się na szyję Mściwoja, tuląc się do jego piersi, patrząc w jego oczy. Zawisła na szyi rycerza krasawica i za chwilę... rzutem zranionego strzałą sokoła odskoczyła od niego...

— Co to?! Co to Mściwoju znaczy?

— Bogno...

— Tyś zimny dla mnie, jako wicher grudniowy, w oczach twych... taki chłód, śmierć...

— To nic, Bogno... uspokój się...

— Pojąć i zrozumieć nie mogę.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Skąd? Idę za tobą, szukałam śladów twoich, gdyś opuścił mnie, szłam za tobą, gdyś dążył z wyprawą w braniborskie lasy...

Mściwoj zadrżał. Wstrzymał dech, otworzył szeroko oczy, rozchylił usta.

— Co? Ty widziałaś...

— O czem mówisz?

— Mnie i...

— I kogo? — zapytała dziewczyna.

Mściwoj odetchnął.

— Nic, nic.

— I kogo? pytam cię, Mściwoju.

— Kogo? pytasz się kogo?

— Odpowiedz mi zaraz!

— Mówiłem z... margrafem... o sprawach ważnych...

— Kłamiesz! Ty mnie zdradzasz!

— Nie, nie.

— Tak!

— Wierzaj mi, Bogno.

Dziewczyna miała oczy łez pełne. Stała przed rycerzem

błaga i drżąca, wyciągała do niego białe ręce i wybuchła płaczem rozpaczy.

— Co ty ze mną czynisz, Mściwoju?

— Nic, nic, uspokój się, Bogno.

— Oszukujesz mnie!

— Nie.

— Słowo i przysięgę łamiesz!

— Nie.

— O wiem to, wiem. Widziałam cię dziś w dolinie, gdyś pędem konia leciał, jakbyś uciekał przede mną, na zgromadzeniu w świątyni słyszałam głos twój, gdyś bogom bluźnił.

— O!

— Słuchaj, Mściwoju! W oczach twych czytam moje nieszczęście, dusza cała mi mówi, że w twem sercu dziwna i straszna rzecz się stała.

— Nie sądź, Bogno... bądź spokojna...

— Pocoś wszedł w drogę mojego życia, pocoś przysięgami i zeklęciami zdobył moje serce, czemu oddałam ci wszystkie uczucia moje, wszystkie myśli moje?

— Bogno...

— Czy ty pamiętasz Mściwoju słowa twojego ojca, powiedziane do ciebie przed zgonem...

— Boże! Boże!

— Ojciec twój rzekł: poślubisz ją, a wiernością i miłością zapłacisz dług wierności i miłości, jaki ja zaciągnąłem u jej rodzica. Czy pamiętasz?

— O tak.

— Piastem był u księcia Mestwina ojciec mój[1]) sługą najwyższym i naczelnym wojem. On i Niebora byli prawą ręką jego, byli obroną jego państwa, przyjaciółmi w szczęściu i nieszczęściu, nie masz chyba większej przyjaźni, jaka te trzy poczciwe serca łączyła. Dziś ojcowie nasi w grobie, pozostał tylko Niebora. Opowiedziałam tej przezacnej duszy wszystko, co się w moim sercu dzieje, uspokoił mnie i wezwał, abym ci ufała.

— Wierz mu — mówił. — On przyjaźni się z Niemcami, ale tam zwycięży poczciwa i zacna ojcowska krew.

— Niebora tak mówił?

---

[1]) Czytaj rozprawę Tadeusza Wojciechowskiego o „Piaście i piaście" (przypisek autora).

— Niebora, przyjaciel twojego ojca, serdeczny obrońca uciśnionych, pan i król serc naszego ludu...

— On!

— Słuchaj, Mściwoju! Przy śmiertelnej pościeli ojca twojego padł z twych ust wyraz: przysięgam. Przysiągłeś mnie wiecznie kochać, przysiągłeś mi wiarę, przysiągłeś mnie poślubić... Przez rok byłeś codziennym gościem mej sierocej domowiny, patrzyłeś w oczy moje...

— Ufaj mi Bogno...

— Nie wierzę ci!

— Ja cię jednę kocham.

— Oczy twe mówią, że to nieprawda.

— Wierz!

Dziewczyna zamyśliła się chwilę i rzekła:

— Wierzyć mówisz! Dobrze! A więc utrzymujesz, że nie złamałeś danej mi przysięgi.

— Nie.

— Wiernym mi jesteś?

— Bądź tego pewna.

Bogna wpatrzyła się w młodzieńca, wyciągnęła ku niemu rękę i zawołała ze siłą:

— Przysięgnij!

— Przysięgi żądasz?

— Tak jest.

Zawahał się Mściwoj. Słowo przez usta przejść mu nie chciało, jakby dławiło w gardle, tamując oddech. Ale walka ze sumieniem trwała krótko. Kogo stać na zbrodniczy czyn, tego stać i na zbrodnicze słowo.

Kłamstwo wiedzie do zbrodni, zbrodni dzieckiem jest kłamstwo.

Przyszło mu na myśl, że kłamstwem uwolni się od rozmowy z dziewczyną, kłamstwem ją zbędzie, odrzuci zmorę wyrzutu, która go wspomnieniami przeszłości policzkuje. Co będzie potem? O ślubie z Adelajdą teraz mowy niema, dopóki zaś jej nie poślubi, nikt niema prawa wiarołomstwa mu zarzucać. Co będzie w przyszłości? Mniejsza z tem, kłamstwem kupi spokój na dziś...

— Przysięgniesz mi na popioły twego ojca — wołała Bogna.

— Na... popioły ojca...—wyszeptał Mściwoj—przed którego duszą stanęło blade widmo rodzica...

— Wahasz się?!
— Nie, nie.
— A więc?
— Przysięgam! — rzekł rycerz, patrząc dziewce w oczy.

Bogna spojrzała na rycerza, oczy jej zaiskrzyły się szczęściem, rzuciła się Mściwojowi na szyję z radosnym śmiechem, drżąc ze szczęścia, że straszna mara znikła, że skarb serca zdobyła na nowo, że zgryzota i złe przeczucia okazały się snem.

Ujął w objęcia dziewczynę, za pocałunki jej pocałunkami płacił, ściskał ją i tulił do siebie.

A przecież w duszy dławił go ten wyraz: przysięgam, blade widmo ojca przed oczy stawało, jak ogień do serca wpadało słowo: przysięgam: żarło serce, gryzło sumienie. Paliły go usta dziewczyny, pocałunki jego były zbrodnią. kłamstwem i ohydą. A jako w lesie górskim ściana sosen głos echem odbija, wołającego hasło niosąc z powrotem, tak sumienie echem niosło słowa jego ust... Wyraz, który wyszedł z ust brzmieniem: przysięgam, wracał odbity przekleństwem:

— Nikczemniku!

* * *

Wraca wichrem Mściwoj w tarnowskie dworzyszcze, przebiega lasy, potoki i knieje. Myśli wrą, tłoczą sie tak, jakby się w głowie pomieścić nie mogły, kotłując się chaosem. Usta zdradzają, co myśli dusza...

Czasem przystanie Mściwoj nad wodą, popatrzy na rozsrebrzoną księżycem Hawelę i szepce z jękiem:

— Jakim ja nikczemny!

Wydaje mu się, że olchy nad wodą wyraz posłyszały i zwracają go echem:

— Nikczemny!

Las ogromny tataraku rośnie na moczarze. Gąszcz nieprzebyta, zielone szablice plączą się z sobą i wikłają, bujne miotły kwiecia, jak warkocze w wiatrach rozwichrzone. Gwarzy ta przestrzeń szuwarów, grają trzciny dziwnym szelestem, mówią do siebie, trawa trawie, chabina chabinie, o Mściwoju opowiada:

— Nikczemny!

V.

Pod koniec sierpnia przezacny Thiethmar kilka ważnych dla ludzkości wypadków spisał na cielęcej skórze.

Upamiętał przedewszystkiem to, że margraf Dietrich szczęśliwie z Ratysbony, z dworu cesarza Ottona, powrócił; powtóre, że kuchcik dworski we śnie widział cielę o dwóch ogonach, co jest pewne, że magdeburski Rydgad na pewno wnet umrze, lub też od paraliżu, którym był ruszony, nagle uzdrowiony, do zdrowia powróci; trzecią zaś radosną nowinę, że książę Bernard saski przez ohydnego zbója słowiańskiego Nieborę pobity, do zdrowia przyszedł i lada dzień z łoża boleści powstanie.

Co zapisawszy i gęsie pióro starannie z inkaustu otarłszy, wrócił uczony młodzieniec do izby, gdzie leżał Bernard.

Choó znaki od sznura na szyi już się dawno zagoiły, na rękach i ramionach sine pręgi znikły, niedomagał przecież przezacny margraf. Od czasu, gdy go Niebora na stryczku ciągnął, dostawał Dietrich ataków zaduchu, przytomność tracił, wnętrze gardła swędziła straszliwa jakaś choroba. Miał tak wielkie bóle w gardle, że czasem oddechu złapać nie mógł, choć krótki oddech zdarza się często u ludzi nadmiernie w piwie rozmiłowanych, to duszność, na którą cierpiał, zdwoiła się teraz i potroiła ciężkie męki przezacnego rycerza.

Byli tacy, którzy mówili, że księciu kołtun wlazł w gardło, męcząc go i dławiąc, ten sam zaraźliwy kołtun, który pokręcił szlachetne ciało uczonego Thiethmara.

Inni utrzymywali, że książę już od urodzenia miał w sobie kołtuna, że się zachciankom jego sprzeciwił i skutkiem tego oddychać nie może.

Wszyscy się zgodzili na to, że kołtuna, wewnątrz po kościach chodzącego, trzeba na wierzch wywabić i zniszczyć jak zarazę.

Zamawiano chorobę kilkanaście razy, wabiono go, aby z wnętrza ciała wylazł na wierzch, gdy zaś wylazł na głowę i kudłatym kosmykiem wśród włosów się zjawił, pozwolili mu się przez siedem dni zwijać, nie naruszając go niczem i nie drażniąc szatańskiej jego złości. Poczem, jak baba lekarka surowo przykazała, ostrzyżono go wśród pogodnego dnia, pod pełnię miesiąca, smażono go na gorącej blasze, proch jego podzielono na dwie równe połowy; jednę wsypano do woreczka, który Bernard do

Wielkanocy miał na piersiach nosić, drugą wypuszczono na wiatr, niech w las idzie, jadowite grzyby, blekot, lulek i szalej siejąc. Na lasy i przepaście poniósł wiatr spalone prochy, a gdzie odrobina go upadnie, tam jadowita bedłka-purchawka, wronie oko i wilcza jagoda wyrasta i wschodzi.

Oprócz tego, idąc za radą przezacnego Thiethmara, który miał głowę pełną nauk i wszelakiej wiedzy ludzkiej, topiono ołów do trzeciego razu nad ogniem gromnicy i lali go na miskę, którą trzymano nad głową chorego.

Z figury, która się z wrzącego kruszczu we wodzie utworzyła, wróżył Thiethmar o stanie choroby, wszystką zaś wodę, w której zatonął ołów, chory musiał codzień wypijać.

Czynił to Bernard, klnąc na czem świat stoi, zamiłowany bowiem w gorących napojach, do tak cienkiego trunku nie był wcale przywykły. Może też i dla przekleństw jego ohydnych, mimo, że codzień polewkę z ołowiu akuratnie spijał, polepszenie jak nie przychodziło tak nie przychodziło.

Dopiero baby wiejskie rozpoznały się na chorobie księcia Bernarda. Jawnie się wtedy i dowodnie pokazało, że margraf nie cierpi na kołtuna, lecz na uroki.

Ktoś złym wzrokiem spojrzał na niego, jadowite oczy w chorobę go wprowadziły. Gdyby to był kołtun, ołów mocą piekła po wodzie pływa, a on szedł zawsze na dno miski. Nic innego, jeno przeklęty Niebora jest czarcim synem i wzrokiem jaszczurczym urzekł przezacnego rycerza. Po długim rozmyśle zgodził się na to Thiethmar, któremu ubiegłej nocy o potworach z piekielnemi oczyma się śniło.

Zebrano macierzankę ze siedmiu miedz, nasięźrał*) zaś ze siedmiu lasów, rutę ze siedmiu ogrodów. Pokryto głowę Bernarda spódnicą ze starej kobiety. Do naczynia, napełnionego wodą, wrzuciła baba dziewięć kawałków rozpalonego węgla, rachując je na opak i wstecz; nie jednen, nie dwa, nie trzy, nie cztery... nie dziewięć, gdy zaś ogary zasyczyły we wodzie, przystąpiła do Bernarda i rzekła: jeden cię urzekł dwóch cię odczynia, trzech cię odczynia, trzech cię urzekło, jeden cię odczynia.

A Bernard przykryty nieczystą babską płachtą, klął okropnie:

— Niechże w was pioruny trzasną, ja wolę skonać!

Poczem kobiety, znające się na mocy czarów, wodą zmyły

*) Nasięźrał—gatunek ziela.

skronie chorego, próg domu i okna. Wyszedłszy zaś na pole pokropiły wierzeje, wylewając wodę za drzwi, rzucając węgle na płynącą wodę i wołając za niemi:

— Płyńcie za tym, kto urzekł!

Wreszcie obłożono rycerzowi brzuch gorącą miętą, piersi posypano popiołem z nasięźrału i macierzanki, puszczono mu miarkę krwi i kuracja w ten sposób została ukończona.

I dzięki umiejętności starych czarownic było Bernardowi znacznie lepiej. Podnosi się chwilami na łożu chwilami z łoża wstaje. Pilnie czuwa przy chorym Thiethmar. Każdą chwilę wolnego czasu przy Bernardzie spędza, ile razy jest po temu sposobność, pyta o zdrowie. Gdy zapisał ważne zdarzenia, które zaszły na świecie, wszedł do izby chorego i pytał się:

— Czy lepiej waszej wysokości?

— Moc we mnie wielka, gardło jednak ciągle boli.

Możeby wasza wysokość napił się tej wody od kołtuna?

Bernard spojrzał na młodzieńca z obrzydzeniem.

— Przy oknie — rzekł — pod dębowym stołem, stoi konew miodu.

— Czyżby wasza mość trunku chciała?

— Daj, przepłuczę gardło.

— Kiedy...

— Dawaj, mówię...

Thiethmar poszedł kulawym krokiem, wziął miedzianą konew do rąk i jął pilnie we wnętrze jej patrzeć. Nie pilno mu jakoś było z odpowiedzią, wzdrygnął się podając Bernardowi naczynie.

— Nad czem myślisz? Konew podaj.

— W naczyniu nic niema.

— Jak to? Niedawno pełne przyniesiono.

— Nic niema...

— Kto to wypił? Oprócz waszeci nikogo tu nie było.

Thiethmar spuścił oczy w ziemię i rzekł cicho:

— Ja to spełniłem.

Margraf zdumiony spojrzał na młodzieńca czerwonemi oczyma.

— No, no, jak na męża nauki to masz niezły spust. Taka ogromna konew...

Uczony wsunął głowę w ramiona i rzekł:

— Na trzeźwo ręka mi się przy pisaniu chyboce.

— Pragnę!

— Każę przynieść konew pełną.

— Uczyń to. Sam z pachołkiem idź do piwnicy.
— Kluczy nie widzę.
— Od win klucze leżą w mem łożu, tu pod wilczurą.
Wnet wrócił uczony młodzieniec z piwnicy i podał naczynie Bernardowi.
Ten długo chylił naczynie na podziw Thiethmara, że rycerzowi, o słabowitych płucach tchu tyle staje.
— Teraz mi lepiej — rzekł Bernnard — oddając lekką konew.
— Raduję się z tego, dostojny panie.
— Dziś może wstanę.
— Daj Boże, aby tak było. Ukarzesz łotra, który śmiał się porwać na waszą wysokość.
— Pala nie ujdzie.
— Co za łotr! Zeby też waszej wysokości mech i inne nieczystości do gęby pakować.
— Nawet nie wspominaj.
— Margraf Dietrich zapewne wieści z dworu cesarskiego przywiózł.
Bernard spojrzał z podełba na młodzieńca.
— Nic osobliwego — odrzekł z udaną obojętnością.

. . . . . .

W istocie zaś wieści przywiezione przez Dietricha były bardzo ważne.
Młodzieńczy cesarz Otton, dobrze rozumiejąc swój własny polityczny interes, nakazał margrafom utrzymanie pokoju w północy, zabronił najsurowiej drażnić słowiańskie ludy, chcąc mieć z tej strony państwa zapewniony spokój. Oprócz interesu rzymskiego mocarstwa, grały w tem role, wpływy rozumnej jego matki, prośby pięknej żony, Teofanji, której radami i wskazówkami cesarz się kierował. Stan państwa był wtedy jeśli nie rozpaczliwy, to zaiste smutny.
Henryk Kłótnik podburzał do wojny Bawarję, nie wahając się zawiązywać serdecznych stosunków ze śmiertelnymi wrogami państwa, polskim Mieszkiem i czeskim Bolesławem. Wiedziano dobrze na dworze królewskim, co z tej strony państwu grozi, jakie są zamysły ochrzczonych słowiańskich książąt na wschodzie. Serce monarsze rwało się zgnieść i upokorzyć Polskę i Czechy, grożąca jednakże wojna domowa nie pozwoliła dać folgi sercu i wykonać dzieła zemsty, a to tembardziej, że wszczęty bój z Cze-

chami ciężką dla cesarza zakończył się klęską. A wojna z Francją wyczerpywała wszystkie siły państwa, w walce z Lotarjuszem omal cesarz życia nie utracił, gdy zaś zawarto pokój w Margut, na oczach stanęła konieczność wyprawy do Włoch, na którą trzeba się było przygotować, rozejrzeć funduszami, sprzymierzeńcami.

Za radą Teofanji postanowił Otton II utrzymać za każdą cenę na północy pokój, margraf Dietrich przywiózł też ze dworu najsurowsze pod tym względem rozkazy.

— Winy przebaczyć, jeńców uwolnić—mówił Dietrich.

— Co mówisz — zawołał zirytowany Bernard zerwawszy się z łoża.

— Gwałtów zaprzestać musimy.

— Wojnę za święty krzyż gwałtami nazywasz?!

— Rozkaz brzmi; zaprzestać!

— Dzieło żelazem naszym i krwią zbudowane na marne pójdzie.

— Nie mam państwu rozkazy wydawać!

— Dać się krzewić, rosnąc pogańskiej tłuszczy?

— Przebacz im.

— Nieborze nie przebaczę!

— Musisz!

— Jego jednego dostać muszę.

— Krzywda jemu wyrządzona echem do morza zaleci wszystek lud zbuntuje.

— Jeśli lud dowie się o krzywdzie... Gdy zamknę go do lochu gdzie skonał Msta, nikt się nie dowie.

— Dowie się. Nieborę znają od morza do Kijowa.

— Skręcę mu kark, wroga się pozbędę.

— Zaprzestań.

— Łotr ten pod ziemię się zapadł. Żołnierze moi od Odry po Łabę go szukają. Przebiegli lasy, przetrząśli moczary Zwierzyna..

— Skoro tylko przyjechałem, doszło do uszów moich, że kilka dni temu lud w świątyni buntował.

— Wiem, wiem. Mówił, że nam brać od pogan światło, że my to mordercy i zbóje. Gdy mi szpieg to opowiadał, dostałem napadu duszności, która do tej chwili mnie dławi.

— Możeby konew piwa.

— Daj, daj! Ulży mi na pewno.

— Czy książę Mściwoj otrzymał o zgodzie naszej wiadomość?

— Samaż synowica wasza wiadomość mu o tym wysłała.

— Gdyby nie cesarzowa Teofanja, nigdybym na to małżeństwo nie przystał.

— Wchodzimy w powinowactwo z poganinem.

— Dla interesu państwa...

— Adelajda, oddając rękę temu niewiernemu, płaci za spokój państwa na północy.

— Ohydny targ! Za tysiąc jeźdźców, którzy ze Mściwojem do Włoch wyjadą, w dom pogański pójdzie cnotliwa nasza dziewoja.

— Byłoby to nieszczęściem, gdyby nie to, że...

— Co chcesz powiedzieć?

— Adelajda Mściwoja rada...

— Co mówisz?

— Tak, tak. Ja jeden umiałem w oczach jej czytać i prawdy się dowiedzieć. Z radością pójdzie w pogańskie łoże.

— I my musimy patrzeć na to wesele!

— Któż o weselu mówi?

— Jakto?!

— Od zaręczyn jeszcze daleko do wesela... Nie każdemu deszczowi towarzyszy tęcza, nie każda choroba kończy się śmiercią, nie na każdej sosnie gnieździ się orzeł.

— A więc ty myślisz...

— Mściwoj musi krwią pannę sobie zdobyć. Ślub odbędzie się po szczęśliwej wyprawie do Włoch.

— Mądrze zaiste mówisz. Pierwsza rzecz, aby tam poszedł i przywiódł ze sobą posiłki dla cesarza.

— A potem zobaczymy.

— Może się zmienić wola cesarza.

— Może Teofanji nie zechce się dalej w dziewosłęby*) bawić.

— Onaż to małżeństwo kojarzyła?

— Ona. Ty wiesz o tem, że nic nie ujdzie przenikliwym mym oczom, że umiem czytać w oczach ludzkich, przez drogę ócz wedrzeć się do serca. Wiedziałem dawno, że Mściwoj do synowicy waszej czule wzdycha, że zapłonął miłością do pięknej dziewczyny. Przejąłem gońca, który...

— Wiem o tem.

— Opowiedziałem Teofanji o zapędach serca Mściwojowe-

*) dziewosłęb—Swat

go, mówiłem, że Adelajda, gdy poganin obecny wesoła, po jego odjeździe w zadumę wpada, że na oczy jej czoło tumam smutku spada; cesarzowa powiedziała mi: grzech stać na zawadzie miłości, rozdzielać ludzi, których dla siebie stworzył Bóg...

— Jutro więc przyjdą dziewosłęby...

— Może jeszcze dziś.

— Oddamy nasze słowo...

— Państwo ratujemy.

— Gdy Mściwój wróci z Włoch...

— Bawisz się w proroka?

— Przyśłość przewiduję...

— Bóg wie, co ona przyniesie.

— Bóg wie, czy Mściwój zasłuży na rękę dziewoi.

— Czy mężnie za nas i króla niemieckiegó stanie. Czy prawdę zdobędzie jego brat.

— Mieczysław rusza z nami do Włoch na wyprawę.

— Osobnym gońcem mu to rozkazał.

— Poznamy ich wierność dla cesarstwa, ich męstwo i wiarę.

— Jeżeli jednak Mściwój łaskę cesarza pozyska i chwałą okryty z Włoch wróci...

— Wtedy o małżeństwie mówić będziem.

* * *

Lśni się w słońcu zbrojny orszak. Na koniach srebrem wybijane uździenice, wschodnie dywany podesłano pod siodła, końskie grzywy tęczą wstążek splecione, świąteczne stroje włożyła na siebie druzyna. Orszak cesarza nie powstydziłby się stroju i zbroi dziewosłębiej gromady, na piękniejszy przyodziewek, lepsze rumaki, bogatszą uprząż, dorodniejszych ludzi nie stać nawet króla, który do Rzymu jedzie, aby z rąk następcy Piotrowego świętą koronę cesarzów rzymskich na skroń włożyć.

Z tarnowskiego grodu jedzie książęca drużyna, dziewosłęby o pannę pokłonić się idą, zaswatać żonę Mściwojowi, prosić, aby zechciała towarzyszyć mu przez życie, być domu jego chwałą, światłem żoną...

Ozdobą orszaku dziewosłębów i okrasą jest Edyta, Mieczysławowa żona, która dawno miłćść zakochanej pary poznała, dawno szczęście młodym ulubieńcom wróżyła. Cwałuje białogłowa na białym koniu, śmieje się uroda jej lica, spowił jej postać prześliczny strój, mieni się w słońcu atłas od greckich kupców

z dalekiego świata przywieziony. Na piersi jej sznury pereł, ogromne korale bursztynów złocą się, jakby wieńcem pierwiosnków kształtną pierś ustroiła. Delikatna jedwabna chustka nakrywa jej głowę, złoty czepiec na jedwabiu osadzony błyszczy szafirowemi kamieniami, migocącemi jak południowe słowiańskie morze, krwią czeskich granatów i żółcią opali goreje. Zakochane oczy męża patrzą na dorodną jej postać, niewiasta płaci mężowi za czułe wyrazy, uśmiechy jak wiosna rozkoszne mu posyłając, wiarę i miłość obiecując...

— Wyprawim huczne wesele...

— Jako było nasze.

— Pamiętasz krasawico?

— Czy pamiętam? Wszak cały rok wspomina się kwiaty, któremi świat obsypała wiosna... Oby tak Adelajda jego kochała, jak ty jesteś mojej myśli drogi.

— Kochasz mnie, mówisz?

— Bądź tego pewny i wierz...

Brew Mieczysława zmarszczyła się, czoło pokryło się chmurą. Długo patrzał w piękną twarzyczkę żony, jakby oczy jej serca pytały, jakby chciał przez oczy wkraść się w jej myśli, tajemnice serca zbadać. Rzekł cichym, zdławionym głosem:

— Gdybyś mnie ty, Edyto, kochać przestała...

— Co mówisz, mężu?

— Nic, nic. Czasem myśl mnie opada... Jakby gdy na czaple sokoły spadną...

— Odegnaj takie myśli.

— Czynię to. Wracają. Sto razy wróble z łanu pszenicznego spędzisz, sto razy wrócą...

— Bądź spokojny, wierz...

— Wiara niknie jako dym, który błąka się tumanem, aby się rozleźć w przestworze.

Z kolei posmutniała Edyta.

— Słuchaj Mieczysławie! Czy ja ci dałam do niewiary powód?

— Nie, nie.

— Czy dałam powód do zazdrości?

— Nie.

— Czego więc chcesz ode mnie, dlaczego brakiem ufności zamącasz weselny dzień?

— Przebacz mi, żono.

— Nie gniewaj się na nieroztropne słowo. W smutnej duszy smutna myśl się rodzi, jak nie zadźwięczy harmonją gęśl, na której rozluźniono struny.

— Przebacz mi.

— Żalu do ciebie mieć nie będę, jeśli przysięgniesz, że zła myśl nie znajdzie u ciebie posłuchu.

— Przysięgam.

— Pamiętaj.

— Pamiętać każesz! Gdy pomyślę, że na rok lub więcej mam odjechać, gdy mi na myśl przyjdzie droga na włoską wyprawę...

— Jedź i ufaj mi...

— Duszy, któraby wierzyć, ufać chciała, braknie sił.

— Czekać na ciebie będzie z tęsknotą wierna, przywiązana żona.

— Wierna, mówisz?

— O tak. Idź walczyć w szeregach cesarza, gdy zaś męstwem wsławiony wrócisz...

— Gdy za rok wrócę... — powtórzył echem smutnym Mieczysław...

— Z otwartemi ramionami przyjmie cię kochająca żona.

* * *

Na czele orszaku Mściwoj jedzie, jakby chciał wyprzedzić wszystkich, jakby pragnął sokołem w twierdzę braniborską gonić, jakby ją zbliżyć chciał do siebie, pędem kamienia z procy rzuconego lecieć do zamczyska. Na myśl, że do Braniboru o rękę Adelajdy prosić jedzie, jest szczęśliwy i wesoły. Jako gdy łopuch z wiosną ogromne roztoczy listowie, daleko zagarniając ziemię, zielonym dachem liścia wszystkie wylewając słoneczne promienie, tak, że pod jego baldachimem ni trawka, ni ziele, ni marny mech nie wyrośnie, tak uczucie niezmiernego szczęścia zakryło i zabiło wszystkie inne myśli, stłumiło zgryzotę i rozpacz, dla której w rozkochanej, miłością upojonej duszy, niema dziś miejsca, ni pamięci. Stajała rozpacz pod promieniami słońca miłości, wyrzut sumienia stłumiony zginął, zginęła z oczu i z pamięci Bogna, zginęła pamięć spodlenia się daną jej fałszywą przysięgą...

Dziś w sercu króluje Adelajda, szczęście, jakie mu przyniesie ukochana kobieta, wszedłszy w jego dom...

Patrzy Mściwoj w dal, rychło z za lasów Braniborsko się zjawi, rychło zobaczy jego wieże i okno, z którego powita go ta jedyna, ukochana...

Jest wreszcie Branibor.

Zahuczały trąby, zwiastując wjazd gości, odpowiedziały im hasłem wieże stołecznego grodna.

Na odgłos surm*) zaroiło się w palisadach**), otwarły się bramy, wyszło rycerstwo na spotkanie gości, którzy jadą w dziewosłębiem posłannictwie serca.

U progów powitał dostojnych gości margraf Dietrich na czele rycerstwa, na spotkanie ich wyszli Adelajda i Thiethmar, dzierżąc w rękach inkaust***) i wielką cielęcą skórę.

* * *

Bawiono się kielichami, hucznie wnosząc zdrowie pary młodej, Edyty, książąt obotryckich i Thiethmara, który wypadki dnia tego wiernie dla przyszłych pokoleń miał spisać.

Mściwoj, siedząc u boku uwielbionej, nie słyszał czem huczy rozbawiona gromada, on patrzał w jej oczy, patrzał łakomie na wiśniowe wargi, wsłuchiwał się w rozkoszny szczebiot jej głosu. Z marzeń i serdecznych zachwytów obudził go Dietrich, prosząc, aby zechciał przybyć do izby Bernarda.

Zerwał się, choć wino mocno w głowie mu szumiało, poszedł prędko, aby się zbyć, aby wrócić do Adelajdy, patrzeć dalej na nią...

— Wasza książęca mość mnie wzywałeś?

— Tak jest. Chcę się rozmówić w sprawie ważnej.

— Wiem, już wiem—rzekł Mściwoj. — Dacie mi rękę księżniczki, jeśli wystawię tysiąc pancernych, prowadząc ich wraz z bratem mym do Włoch.

— Nietylko to.

— Wszystko co każecie, dla was, przezacny uczynię.

— Jestem tego pewny.

— Mów więc, mości książę.

— Chodź do mnie, zbliż się, nie mogę głośno mówić... Mógłby nas kto posłyszeć.

---

*) Surma—trąba.

**) Palisada—ostrokół, ogrodzenie fortyfikacyjne.

***) Inkaust—atrament.

— O cóż chodzi?

— Tak... blisko... Słuchaj! Oprócz wystawienia pułku żądam od ciebie i za warunek kładę...

— Co?

— Wydanie...

— Kogo mam wydać?

— Nieborę.

Mściwoj zbladł. Wpatrzył się w Bernarda osłupiałym wzrokiem, nie wiedząc co odpowiedzieć, trzeba było mówić prędko... Bo z wahania się i zwłoki, z przestrachu i drżącego głosu mógłby Bernard pomyśleć, że Mściwoj ma co wspólnego z Nieborą, że stoi po jego stronie, podziela jego myśli, jego nienawiść... A podejrzenie takie wzbudzone w Bernardzie w tej chwili... w chwili szczęścia... Usta mimowolnie zaszeptały:

— Jakto... Nieborę?

— Tego burzyciela spokoju i wroga państwa muszę mieć w rękach. Żąda tego od ciebie cesarz, żądam tego ja.

W duszy Mściwoja plątały się błyskawice myśli.

— Co na to rzec, jak odpowiedzieć?

Wino przed chwilą w głowie szumiało i plątało myśli, teraz oprzytomniał, a choć jasno sobie sprawę żądania i słów Bernarda zdaje, przecież słowa odpowiedzi znajść nie może.

— Nieborę oddać na pastwę Bernardowi? Jakto?

Tego Nieborę, którego ubóstwia lud, tego moralnego wodza obotryckiego ludu? Tego męczennika za jego naród, za narodu wolność? Sprzedać jego... własną serdeczną krew?

W strasznem pytaniu, jakie sobie Mściwoj zadawał, nie tyle grała struna uczciwości i współczucia dla wielkiej idei samoobrony, którą głosił Niebora. Wiedział dobrze Mściwoj, że ten wódz ludu, to obrońca wolności jego ziemi, że głos jego, to Boże prawo, że walka jego, to święta wojna o byt narodu. Skarlała dusza księcia w służbie u margrafa, w służbie cesarza, a Niebora, który z cesarzem walczył, był przez to samo i wrogiem Mściwoja. Ale w duszy młodzieńca ważyły się inne względy.

Biada mu, jeżeli się lud dowie, że to on Nieborę w ręce Bernarda wydał, że z jego pomocą dostał się do niewoli bohater ludu... Niema po co do kraju wracać. Stu Bernardów nie ochroni go od strasznej zemsty, nieba nie zagaszą pożaru nienawiści, jaką płonąć będzie ku niemu jego własny lud.

Wydać Nieborę! A przecież to serdeczny druh jego ojca, a przecież to obrońca jego rodziny... Sto razy w obronie Mestwi-

na Bieługa stawał, sto razy ojczyznę piersią zastawiał, broniąc wiernie książęcego tronu. Pod sztandarem Mestwina bił się Niebora za rodzinę Mściwoja, przelewał krew, odniósł rany. Pamięta młodzieniec, na rękach Mściwoja nosił, szablą władnąć uczył, wychowywał młode orlątko zawsze powtarzając:

— To chłopię uwolni z jarzma nasz lud...

Wydać go, zdradzić, serdeczną własną krew. Tak podle mu za miłość ojczyzny, za miłość dla jego rodziny zapłacic! To podle! To okropnie podle!...

Jeszcze jedna myśl najstraszniejsza... Pali ona... policzkuje... plwa w twarz... jakby żyła, jakby ślinę w oczy miotała... Bernard chce, żebym ja dla niego został prostym szpiegiem. Wszak tak... Prostym sprzedawczykiem, który chyłkiem chodzi i żywe ciało sprzedaje. Dziś każe wydać Nieborę, jutro może kazać sprowadzić sobie podwikę... Czy tak?

Ohydo!! On książę i naczelnik serdecznego ludu pieśniarzy... Policzkuje, pali... ślina...

— Czy usłyszę twoją mości książę odpowiedź? — pytał Bernard.

Zwykle ulubioną ucieczką wszystkich złych sumień: kłamstwo.

— Ja... ja nie wiem, margrafie, gdzie jest Niebora.

— Jak to nie wiesz?

— Nie wiem.

Bernard zaśmiał się, patrząc z podełba i rzekł:

— Rozumiem cię młodzieńcze. W głębi duszy, w głębi serca tego, jest współczucie dla...

— Nie, mości książę — zaprzeczył żywo Mściwoj.

— No, no, nie przecz. Łączy was przecie wspólna wiara, wspólny język...

— Językiem niemieckim z tobą margrafie mówię.

— A w domu twoim?

— Na dworzec mego brata, język wasz wprowadziła Edyta.

— Sprzyjasz jednak wrogom moim...

— Niebora jest moim wrogiem.

— O tyle, o ile ojciec jest wrogiem krnąbrnego i nieposłusznego dziecka...—rzekł Bernard z ironją.

— Jako żywo nie mam nic wspólnego z Nieborą.

— Gotów jestem ci wierzyć. Wiadomo mi jest, że niedawno na zgromadzeniu na uroczysku karciłeś go.

— Tak jest. Potępiłem jego ohydną robotę...

— Wdzięczni ci za to jesteśmy.

— Nawoływałem lud, aby odstąpił od niego...

— Wiem, wiem.

— Bo nienawidzę go z całej duszy mojej.

— Nie o to chodzi, że go nienawidzisz, że z nim walczysz i wpływy jego osłabiasz, zawsze ci wdzięczni będziemy.

— O cóż więc chodzi?

— Z twego ramienia w rękach muszę mieć Niebore.

— To niepodobna. Wszak możesz, o dostojny panie, przeszukać lasy, rozesłać żołnierzy, otoczyć go siecią szpiegów...

— Wszystko to uczyniłem.

— A skutek?

— Na nic się nie zdało. On chyba z piekłem jest w zmowie.

— Tembardziej ja nic nie podołam.

Bernard popatrzył w oczy Mściwoja.

— Czy to ostatnie twe słowo?

— Ostatnie.

— Ha, cóż robić?—rzekł, dźwigając się z krzesła, margraf. Wierzaj mi, książę, że szczerze pragnąłem serdecznej z tobą przyjaźni, że pragnąłem związku naszej krwi...

— Jakto? Jakto? przezacny margrafie...

— Czy nie rozumiesz mnie?—rzekł Bernard surowo.—Związek krwi lutuje obcych ludzi w jednę rodzinę, krewny zaś dla krewnego powinien oddać życie, krew...

— A więc...

— Ja nie żądałem od ciebie ni życia, ni krwi — rzekł poważnie margraf.— Żądałem głupstwa—wydania Niebory. Nie kłam mi w oczy, że ty nie wiesz, gdzie on się znajduje.

— Nie wiem w istocie.

— Przysięgasz?

— Przysięgam.

— Za pozwoleniem. Przysięgnij jeszcze, że ty nie możesz się dowiedzieć, gdzie on obecnie bawi, jaka jego kryjówka.

— Trudna to zaprawdę rzecz, znaleźć go...

— Nie odpowiadasz na moje pytanie...

Mściwoj milczał.

Margraf zmarszczył brwi, uderzył pięścią w stół.

— Bywaj zdrów — rzekł. — Jeśli z dnia szczęścia i radości chwila dzisiejsza zmieniła się w dzień naszego rozstania...

— Co mówisz, margrafie—zawołał przerażony Mściwoj.

— Co mówię? Ty wiesz co mówię!
— Wytłumacz mi panie...
— Szkoda mej gęby na próżne gadanie...
— Jakto? Jakto?
— Wesprzyj mnie młodzieńcze. Nogi moje ciągle jeszcze słabe. Pójdziemy do świetlicy wypić puhar na pożegnanie.
— Zatem zamierzasz...
— Chodź już, chodź. Goście nasi czekają...

Na czoło Mściwoja wystąpił zimny pot. Zaczarowany pałac szczęścia wali się, zamienia się w ruderę, rozpada się w rumowisko i proch...

— Słowo, dostojny panie... słowo...
— Moje słyszałeś... chodź!
— Przecież...
— Dość marnych słów!—zawołał margraf, idąc wsparty na kiju ku drzwiom. Nie mnie rycerzowi mleć gębą i przekomarzać się pustemi słowami.
— Ulituj się panie.

Margraf zatrzymał się na środku izby.

— Wydasz Nieborę, czy nie wydasz?—krzyknął.—Pytam się o to po raz ostatni.
— Ja właśnie chciałem powiedzieć...
— Odpowiadaj, tak, lub nie...

Mściwoj zachwiał się, nogi wypowiedziały mu posłuszeństwo, w płucach zabrakło tchu.

— Wydam!—zaszeptał.

Bernard wrócił ode drzwi. Na ustach jego błąkał się uśmiech.

Ledwobyś dostrzegł, że to uśmiech ironji i pogardy. Wrócił ode drzwi i położył rękę na ramieniu Mściwoja.

— Spodziewałem się tego po tobie. Gdy małżeński pierścionek wdziejesz, należeć będziesz do naszego rodu, krew moja i krew twoja to jedno. Przyjaciel twój moim przyjacielem, nieprzyjaciel mój to twój wróg. Wydasz Nieborę?

Dławi w gardle, głos charczy, chrypka w piersi, oddech zamarł...

Mocy musiał użyć Mściwoj, żeby powiedzieć słowo:

— Wydam!
— Pozwól przyszły krewniaku, że się wesprę na twojem ramieniu. Chodź, utopmy we winie nasze troski i myśl mętną. Do ciebie śmieje się teraz szczęście.

Mściwoj stał niemy. Słowa o szczęściu nie powitał nawet uśmiechem.

— No, chodźże, młodzieńcze, chodź!

* * *

Z otwartych wierzei izby buchnął zapach wina, leciał ogromny hałas ucztujących rycerzy.

Bernard wziął w rękę kielich i rzekł:

— Zdrowie dwojga zakochanych serc... Zdrowie krwi naszej...

— Niech żyją!

— I lało się wino strugami i śmiała się wielkiem weselem gromada. Przed wieczerzą biesiadnicy ruszyli, aby w pobliskiej Haweli zabawić się chwilę polowaniem na wodne ptactwo.

W sali pozostał jeden Thiethmar, który spełnił kielich wina ostatni. Chciał iść zapisać ważne wypadki dnia dzisiejszego, z radością przekonał się, że skutkiem szlachetnego reńskiego wina, przestała mu się ręka chybotać. Nieszczęście chciało, że z nadmiernego leczenia się na chybotanie ręki, zaczęły mu się gwałtownie chybotać nogi... Świat się kręcił naokoło, modrzewiowe ściany tańcowały. Przezacny historjograf*) wleciał tedy pod ławę i usnął.

Rota żołnierzy, która broń opatrywała, w drogę się stroiła, nie mogła się dowiedzieć, jaki cel jutrzejszej wyprawy, dokąd im iść każe książę Bernard. Niedawno z łoża choroby wstał, a już sam na trudy idzie. Ważna to musi być rzecz, ważny cel drogi, bo margraf nie ufając dziesiętnikom, sam żołnierzy dogląda, sam obejmuje przywództwo wyprawy.

Tajemnicę, która kryła cel drogi, wydał Thiethmar. Z wystraszonemi oczyma zbliżył się do dziesiętnika i szepnął:

— Wiem, dokąd was wiedzie przezacny.

Gromada żołnierstwa zbiegła się koło uczonego męża, mówiąc:

— Wiesz? Dokąd? Mów przezacny!

— Zatrzymacież w tajemnicy?

— Bądź tego pewny panie.

— Przysięgacie?

— Przysiegamy.

---

*) Historjograf — historyk.

— Podjazd wasz jedzie, aby złapać Nieborę.
— Co?! Nieborę?! — krzyknęło żołdactwo.
— Słyszałem to na własne uszy z ust margrafa.
— Mówił ci to?
— Nie, podsłuchałem pod drzwiami.
Strach... Strach chwyta wszystkich serca, z oczu widać strach.
— Czaruje!
— Wzrokiem zabija.
— Szatan to jego brat...
— Olbrzym. Straszliwa jego siła.
— Kto mu w drogę wejdzie, umrze.
— Na śmierć pewną idziem!
— Boże zmiłuj się nad nami...

Rota rozeszła się w ponurem milczeniu. Zgroza padła na umysły.

I dwóch oszczepników uciekło tego samego wieczora. Przeprawili się w nocy przez Hawelę, nazajutrz w południe byli już w Grabowie, bez wypoczynku dopadli tego samego dnia Dziewina, minęli go w obawie, aby nie pochwyciły ich straże arcybiskupie, okrążywszy zaś miasto i znalazłszy bród w Łabie, zginęli w lasach Bukowa. Tam za Łabą, w bukowskiej puszczy, wybici już Hawelanie, gęściej się trafi osadnik niemiecki, łatwiej ukryć się, u kmiecia chleb znaleźć.

Reszta rycerstwa, mając iść na Nieborę, przystąpiła ze skruchą wielką i wybladłem licem do spowiedzi świętej, aby oczyścić duszę i być gotową stanąć przed sądem bożym.

Wyprawa zabrała z sobą tyle powrozów, jakby z nich miała robić sieci i obież*) na pięciu niedźwiedzi i pod wodzą Bernarda, za wskazówkami Mściwoja, wyruszyła w drogę.

* * *

Ile błyskawic w burzliwy dzień, gdy gradowa ciągnie chmura, przez niebo przeleci, tyle myśli przebieło przez głowę Mściwoja, tyle wyrzutów sumienia wstrząsało jego duszą. W noc przed wyprawą wił się na łożu, uczucie bólu, wstydu, strachu, targało ducha, odbierało zmysły...

*) Obież—sidła.

Rozpacz odegnały oczy, słowa, usta Adelajdy.

— Ty wahasz się iść?

— Zechciej zrozumieć, że popełniam zbodnię.

— Jaką?

— Nie jako rycerz otwarcie bić się, ale jako szpieg w nocy tajnie idę...

— Idziesz na wroga moich stryjów...

— Na wroga, mówisz?! Bić się jestem z nim gotów. Niech go w pole wyzwą, rozprawię się, padnę, ale postąpię uczciwie...

— Dla mnie żyć musisz.

— Tak mówisz? I ty będziesz kochać człowieka, który szedł chyłkiem... — zdradzić...

— Zdradzasz dla mnie.

Zdrada to nie rycerski czyn...

Adelajda spojrzała na młodzieńca ze smutkiem, w oczach jej był wyrzut.

— Zatem ty wyżej cenisz życie tego zbója, niż życie moje.

— Kto to mówi?

— Twój strach, twoje wyrzuty, twój opór...

— Jakto Adelajdo?

— Za cenę życia Chrystusowego wroga nie chcesz kupić mojego serca, nie chcesz zdobyć mej miłości... mnie?...

— Adelajdo...

— Dla mnie idź rycerzu — mówiła z uczuciem dziewoja — idź wykonać wolę mojego stryja. Zapłacę ci sercem mojem, wynagrodzę miłością..

— Dla ciebie tylko Adelajdo, jam do spodlenia się gotowy...

— Oto szczęście zakwita przed nami, czy twój opór ma jak mróz zwarzyć ten czarowny kwiat? Idź Mściwoju i wracaj do mnie, gdy stryj mój dług poświęcenia u ciebie zaciąga, dłużnikiem jestem ja...

— O jak ja ciebie bez granic kocham!

— Oto wyprawa rusza. Idź, idź, uściskiem zapłacę,..

— Pozwól mi czoło twe białe ucałować...

— Kochanku mój...

Uleciała zmora w pocałunkach krasawicy, zginęła rozpacz, smutek, wyrzut, w wiśniowych ustach krasawicy utonęła zgryzota, zginął z oczu świat...

* * *

Zginęła rozpacz, dopóki jasne oko słońca na niebie świeciło z cieniami nocy wracał wyrzut sumienia, strach, zgryzota. Wyrzut sumienia, jak puszczyk i nietoperz boi się jasności dniowej, nie zjawia się w dzień...

Minęli Glinnik, minęli Graby, zapadała noc, gdy z pagórków gorzkowskich ujrzeli puszczę świnnicką, a w niej cel swej drogi.

W czarną noc lasu wjechał pierwszy Mściwój, on zna drogę, on wie gdzie, krórędy iść, on rotę i księcia Benarda przeprowadzi Jedzie dąbrową, kopyta końskie w zeschłych liściach szeleszczą, w duszy Mściwoja rodzi się strach przed własnym czynem...

Z ponurych czeluści lasu lecą do niego widma, puszcza ma głos i mówi, mówi wyrzutem, strachem, przekleństwem...

Nieprzespana noc i zgryzota zrodziła gorączkę, gorące usta Adelajdy zwiększyły ją, kipi krew w żyłach, nerwy rozstrojone wściekłą melodją huraganu grają, mózg się gotuje i kipi...

Przecie ten las ma ludzki głos i mówi.

— Tyś — szepce sosna — mój brat, jedna ziemia nas rodziła, z tej samej rodzicielki twoja krew i moje zielone iglice. Krew naszą chcesz wydać?:

— Jam twoja siosta... — szeleści brzoza...

Prowadzi Mściwoj jeźdźców znaną mu dobrze łeśną drożyną.

— Nikczemniku!—gwizda sowa. — Nikczemniku! — Ludzki głos ma sowa i gwiżdże:

Z pod leszczyn zerwała się sarna, spłoszona przez konie i jak wicher mknie w bór.

Długo słychać szelest kołysających liści i konarów.

— Uciekł, żebyś jej nie pokąsał—wołają liście—uciekła, bo się zarazi od ciebie, zepsutego psa...

I buntuje się wszystka dobra myśl, którą Bóg daje w każdą ludzką duszę i woła ta myśl: weź to żelazo i wepchnij w gardło tego łotra Bernarda...

Wjechali w ciemny jar. Promyka światła nie widać, księżyc w pełni zakryty ogromną koroną drzew, nad głową wiszą pochylone dęby, których korzenie wymyła i poderwała woda.

— Zdrajca! zdrajca—bełkoce spadająca po kamieniach woda—zdrajca! zdrajca!—mruczy płynący ponik.

— Dokąd jedziem?—zapytał szeptem Bernard.

— Prostą drogą.
— W bielawy nas ten jar prowadzi.
— Wnet będzie sucha droga.
— Konie na pniewach się potykają.
— Gdy miniem sitnik, łąkami nad potokiem równa droga.

Rozszerzyła się droga, znikł z nad głów baldachim drzew, granatowe niebo gwiazdami zabłyszczało nad gromadą. Ogromny srebrny księżyc świecił nad dębami, szeroka kwietnia łąka roztoczyła się nad płynącym potokiem.

Cisza była ogromna, w blaskach miesiąca widać było różne barwy kwiatów, na których brylanty rosy iskrzyły się.

Bezmierna rzewność serce Mściwoja chwyta, jakby rozpacz z głębi mózgu łzami na wierzch się wydobyć chciała, dławią go łzy, niemoc niesie tęskne uczucie, te jaskry żółte nad potokiem, te dzwonki jak niebo modre i dziewanny złote, te olchy we mgłach, sosny nad potokiem zadumane, te gwiazdy, niebo i ten ciepły wiatr, wszak to jedno wielkie dzieło Boże, którego Mściwoj jest cząstką i ogniwem, cała ta ojczysta słowiańska ziemia, to matka, siostra, to z nim razem wielkie jedno, wielka rodzina, jedna dusza, jedno istnienie...

Sercem tej matki ojczyzny, to nie on, to... Niebora.

On idzie to serce przebić, krew z niego wytoczyć... krew serdeczną, krew sprzedać podle...

On, Mściwoj, dla tej matki ziemi ojczystej wyrodkiem, zgnilizną, on rakiem na jej ciele gnijącym, nie lilją złotą, ani dzwonkiem modrym, co zdobi łono rodzicielki, ale szalejem, który truciznę braciom niesie, który zabija wszelkie jestestwa...

— Jaki ja nikczemny!—woła jego myśl...

Zaśmiał się, zadrwił z niego derkacz, który z wysokich traw woła:

— Zdradź łotrze! zdradź! zdradź! zdradź!
— Wnet las zamknie dolinę. Za świdnem lewo skręcimy.

Wnet wjechali w dolinę, stanęli u stóp niezwykle spadzistej góry.

— Z koni!—zawołał Mściwoj.
— Czemu?
— Pieszo pójdziemy.
— Czy stroma góra?
— Nie. Do kryjówki niedaleko, mógłby kto posłyszeć rżenie koni, łomot końskich kopyt.
— Mądrze mówisz.

— Z koni!

— Uzdeczki do drzew przywiązać.

— W górę!

Rycerze i pachołkowie przywiązali konie do dębin i zaczęli się spinać w górę.

Droga śliska, na korzeniach potykają się ludzie, niejeden pachołek pośliźnie się na korzeniu i runie na ziemię.

— Cicho!

— Jeśli się zdradzimy, chybimy celu wyprawy.

— Gałęźmi nawet nie szeleścić.

— W tych stronach—szeptał do Mściwoja Bernard—powinna być świątynia.

— On w świątyni?

— Nie. W domu kapłana Zdzieszka.

— Co to za Zdzieszko? Pewnie jego wspólnik...

— Nie, nie. Cichy, schorowany starzec.

— Jeśli o wojnę z Niemcami chodzi, nawet w starcach młoda krew.

— To człowiek chory.

— Daleko jeszcze w górę?

— Wnet staniemy na miejscu. Czy wasza wysokość zna te strony?

— Nie.

— Z ust waszych o świątyni słyszałem...

— Dietrich, krewny mój, w tej puszczy polował. On mówił, że na szczycie jest w dąbrowie uroczysko.

— Redegasta czci w nim lud.

Gąszcz ogromnych pni dębowych rzedniał. Przez gałęzie było widać polanę. Ciemno panujące w lesie zaczęło się rozpraszać, w puszczę wkradało się jasne światło księżycowe.

— Czy tutaj?

Mściwoj jak stracił głos. Jeszcze czas się cofnąć, jeszcze czas wstrzymać się na pochyłej drodze do... spodlenia i hańby... Czas ostatni... W głowie rodzi się myśl: ostrzec Nieborę, niech uchodzi. W duszy nadzieja: może władyka usłyszy echa obławy i ucieknie. Jakże pragnie tego w duszy Mściwoj... Obowiązek wobec margrafa byłby wypełniony, a nie popełniłby podłości i zdrady...

Może... może Niebory w domu niema, może stanie się cud...
Gdzie schował się Niebora?
Zdławionym głosem zaszeptał Mściwoj:
— Tam...

* * *

Na polanie zapadła się w ziemię stara opustoszała chałupa. Jedna połowa jej jakotako nad ziemią się trzyma, druga wkopała się w grunt, tak, że strzecha już ziemi dotyka, że dziewanny koło chałupy rosnące, na kalenicę się pchają, porosłą ogromnemi płatami zielonego mchu i pleśni. Na dach wdarły się zwoje powoju, idą wysoko aż na szczyt dachu, stroją girlandami zieleni chatę białe zaś, różowe i niebieskie kwiaty powoju wyglądają jak kielichy, patrzące na niebo, czekające, aby rosa z niebios w nie opadła...

Nieopuszczone jednak to stare domowstwo, z wydeptanej przed wierzejami ścieżki widać, że tu człowiek mieszka, na kalenicy chaty widać ogromne gniazdo, w którem śpią bociany. Księżyc srebrny patrzy na polanę i starą chałupę, na czerwieniejące się koło niej głogi, złocące się owocem grusze i jabłonie.

W chacie mieszka Zdzieszko. Zaniedbany i opuszczony jego dom, jak niezrozumiana przez lud jego chora dusza.

W chacie szaleńca śpi Niebora. Nie widzi go tu nikt nigdy w dzień. Przed szpiegami Bernarda, kryje się po puszczy, w nocy wchodzi do domu chyłkiem, aby kto, widząc go, nie wydał wrogowi. Gdy pierwsza gwiazda zaświeci ucieka w las, w jary głębokie i niedostępne parje. A choć nieszczęśliwego kapłana czasem ludzie odwiedzają, ofiarę i jałmużnę z litości niosąc, przecież nikt nigdy w chacie gęślarza nie widział Niebory. — Zdzieszko go nie wyda, bo oszalał, bo z ludźmi mówić nie umie...

— Ukryć się za pnie—rozkazał szeptem Bernard.

— Otoczyć dookoła polanę, mówi do zbrojnych dziesiętnik.

— Siecią żołnierstwa dookoła dom otoczyć.

Żołnierz chowa się za pień dębiny, od pnia przelatuje do drugiego, pierścień ludzi się zwęża i ściska, już polana dookoła otoczona, już Bernard wyszedł na łąkę, na polanie ukazało się koło zbrojnych ludzi.

Na palcach prawie idą ku chałupie, omijają krzaki jałowców, aby śpiących nie spłoszyć, przyciskają do boku miecze, aby szczękiem nie dały znaku o zajeździe.

W ręku Bernarda świeci ostry miecz, blaski miesiąca płyną po brzeszczocie, iskrami sreber żywych migocące.

— Do rąk broń!

Prawice kurczowo ściskają noże, trzech oszczepników powrozy w rękach niesie.

Pierścień się ściska koło chateńki i ściska, żołnierzy o kilka kroków wyprzedza Bernard, książę saski.

— Stój!

W progach domu zjawia się biała postać. Jakby duch wyszedł z czeluści grobu, jakby biały Radegast zstąpił z niebios na ziemię i szedł między ludzi. Miesiąc jasno świeci na białą szatę zjawiska, na bielsze od szaty włosy staruszka, spadające na ramiona.

— Kto to?

— Przecie nie Niebora.

— Zdzieszko...

Kapłan wyszedł z wierzei i idzie ku rycerstwu. Oczy jego wpatrzone w dal, na ustach śmiech jakiś radosny. Jakby dobrą wieść miał Bernardowi zwiastować, jakby niósł szczęście, nadzieję...

Zbliżył się do Bernarda, nachylił się do ucha margrafa i szepnął:

— Słuchaj! On jest! on jest...

— Kto jest?

— Czy Niebora?

— On jest...

— Gdzie jest?

Zdzieszko popatrzył w niebo i rzekł ze serdecznem westchnieniem:

— On jest utajony w kwiecie lilji...

— Utajony? Co on mówi?

— Cicho — zaszeptał z uśmiechem szczęścia Zdzieszko. — Cicho! Ja ci powiem wszyssko. Powiem ci wieść radosną... Dziś przekonałem się naocznie i dowodnie, że on jest! On jest...

— Mów...

— Nie rozum, ale modlitwa rozwiązuje zagadkę bytu, leć do Niego na skrzydłach modlitwy...

— Co on mówi?

Oczy Zdzieszka otwarły się szeroko, księżyc odbił się iskrami we łzach, któremi spłynęły powieki.

— Widzisz te gwiazdy?—mówił Zdzieszko. — To zbudował On... On... Jest rachmistrz: biegi ich obliczył... nie wierz rychotaniu szatana, który pluje nam w twarz, gdy się modlimy, chce ukryć Go, chce nas okłamać, że Go niema...

— Precz...

— To szaleniec...

— Co on plecie?

— Ten człowiek zdrowych zmysłów niema.

— Naprzód!

— Brać żywcem!

Przez drzwi i okna wpełzło do chałupy dziesięciu żołnierzy. Za nimi szedł Bernard z ludźmi, którzy nieśli w rękach powrozy. Reszta została na straży, pilnując okien i drzwi.

* * *

Na posłaniu z liści spał snem twardym Niebora. Spał cicho, na twarzy jego była pogoda i spokój.

Jak piorun siadła na nim rota ludzi. Nim się obudził, ręką ni nogą nie władnął, dwadzieścia rąk wpiło się w jego członki, trzymało go całą siłą.

Moc żołnierzy zdwoiła rozpacz i strach na myśl, coby się z nim stało, gdyby olbrzym zdołał wyrwać się im z rąk...

Straszliwy, krótki krzyk słychać było z chałupy. Wnet ucichł i krzyk.

Władyka miał zakneblowane usta. Ręce, nogi piersi były skrępowane. Ciałem nie władnął. Wyniesiono go jak kłodę. Jak bezwładny kloc drzewa leżał postronkami skrępowany Niebora.

— Spowity jak dziecko w pieluchach.

— Teraz nie ujdziesz łotrze, zaśmiał się z triumfem Bernard.

Mściwoj, który stał na środku polany, patrzał na ludzi zgromadzonych koło Niebory wzrokiem strasznym. Zdawało mu się, że to nie władyka tam leży, ale on, że to jego pogrzeb, nie Niebornę, ale Mściwoja niosą, aby go pogrzebać w mogile.

Nie będą ludzie płakać na tym pogrzebie, łzawnice suche pójdą do mogiły, bo nikt z jego ludu nie uroni jednej łzy... Natomiast na mogile napiszą:

— Nędznik! Łotr! Wyrzutek!

Patrzy Mściwoj, a w oczach świat mu kołuje, kołują sosny, wiruje chata, kręcą się dziewanny, tańcuje bluszcz...

Zdzieszko przyszedł do Mściwoja i rzecze:

— Tyś brat... Niebo, ziemia ojczysta to matka, tyś syn... syn...

— Syn! — westchnęły usta Mściwoja.

— Tyś jedno ogniwo. Tyś brat kwiecia, drzewa, gwiazdy, tyś nieodrodna, serdeczna, poczciwa krew.

— O nikczemności bez granic!—wołało sumienie.

— Nie smuć się, nie. Mówisz, że ten Wszechmocny, który gwiazdy stworzył, wszystko może? Wszystko?! Kłamstwo! On nie może nienagrodzić jałmużny, danej sierocie, nie może nie oddać z lichwą kęsa chleba, który dałeś wdowie... Nie może!

Nadszedł orszak żołnierzy, niosących władykę.

Zdzieszko spojrzał na żołnierzy, na spowitego pętami Nieborę, wpatrzył się w jego oczy...

Uśmiech znikł z ust kapłana, szaleniec rozwarł szeroko powieki, źrenice zabłysły straszliwym jakimś wyrazem, usta otwarte...

Szaleniec się zbudził... Dusza wróciła na ten świat... Od Boga zeszła do ludzi...

Jak matka na gnieździe, broniąca młodych orląt, tak rzucił się Zdzieszko na żołnierzy.

— Zbójcy! Zbójcy! Precz!

Uderzył dziesiętnika gęślą w głowę, zasyczały jękiem struny roztrzaskanego instrumentu.

— Ratujcie! Ratujcie! — krzyczał okropnym głosem Zdzieszko, pasując się z żołnierzami.

Przypadł do szaleńca Bernard i obalił go straszliwem uderzeniem w pierś.

Zdzieszko runął na ziemię. Padł w gąszcz dziewanny, rosnącej na polanie.

— Gdzie ty jesteś, o Jesse! — zawołał szaleniec z rozpaczą.

Głos jego jęczy, jak rozbita gęśl, bo płuca buchają kaskadami krwi...

VI.

Robota wre w izbie czeladniej braniborskiego zamczyska Dziewczęta służebne przędą len na kołowrotkach, dwie starsze

kobiety tkają płótno. Tkacki warsztat odzywa się co chwilę miarowem rytmicznem echem, na którego znak łódka, jak strzała między dwoma rzędami rozpiętych nici przelatuje.

Kobieta, choć pilnie na warsztat patrzy i łódki z nitką dogląda, ma jednak czas słuchać wśród huku i turkotu, baśni i klechd, jakie przyjaciółka jej przędzącym dziewczętom opowiada.

Wśród dziewek przędzie Adelajda. Jej przęślica toczona, bielutki len snuje się na wrzeciona. Niesporo idzie hrabiance robota. Co chwilę przerwie dziewoja robotę, zapatrzy się przed siebie, myśli i myśli.

Zaśmiało się dziewczę do swoich własnych marzeń i na nowo uwagę na kądziel i kołowrotek zwraca. Znowu toczy się koło, znowu wrzeciono wiruje po ziemi. O Mściwoju marzy krasawica, o uściskach jego, o pocałunkach... Jakie chwile z nim przeżyła, ach, jakie chwile szczęścia...

Na podwyższeniu, na dębowem krześle, siedzi pani Kunigunda, siostra księcia saskiego Bernarda. Umyślnie w babieńcu krzesła jej wysoko postawiono, aby sama odpoczywając, doglądała dziewek roboty, aby naganiała hawelańskie niewolne dziewczęta do pracy.

Dziś wszystkie koła warczą, robota raźno idzie, bo hrabianki z czeladzią i służebnicami w babieńcu przędą i roboty doglądając zacną matronę wyręczają. Przy krześle jej stoi wino w łagwi; napiła go się, aby zagrzać starą krew, gdy zaś skutkiem trunku rozkoszne ciepło rozeszło się po żyłach, spuściła głowę na dół i usnęła.

Nie tka i nie przędzie księżniczka Oda, rodzona córka margrafa Dietricha. Usunęła się w kąt, gdzie przybito ogromny, czarny krzyż, gdzie przed wizerunkiem Zbawiciela kaganiec płonie. Trzeszczy w kagańcu dogorywający knot, nici jego wyławiają ostatnie krople topionego łoju; choć płomień się zwiększa, to moc światła słabnie, blednie, nad językiem ognia ukazuje się swąd, roznoszący dym.

Nie mogąc na książce liter przeczytać, kazała Oda dziewce dolać do kagańca paliwa, gdy zaś zapłonęło światło, czyta dalej, a przeczytane z pergaminu słowa półgłosem powtarza:

— „W każdym dniu błogosławimy Cię, Panie...

— „I chwalimy imię Twoje na wieki i na wieki wieków.

— „Zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nad nami.

— „Niechże miłosierdzie spełni się nad nami, jako nadzieję położyliśmy w Tobie.“

Habit mniszki Odę stroi, głowa czarną chustą okryta, długa, czarna suknia, do stóp w szerokich fałdach spada. Oczy jej zatopione w księdze, usta słowa modlitwy szepcą.

Gdy dzieweczka oderwie wzrok od świętej księgi, z oczu i oblicza jej poznasz, że ta prześliczna twarz kobieca nie do habitu zakonnego, nie do pokutnego życia stworzona. Oczy takie rozumne, piękne i wymowne, nad niemi brwi zatoczone w delikatny i regularny łuk, nos kształtny, krasne barwą róży usta, twarz jak z marmuru biała, robią wrażenie jakby królowa jaka a nie mniszka pod krzyżem siedziała. Nie płachtę kiru*), lecz królewską purpurę włożyć na tę bujną a przecież jak chabina lilji zgrabną postać, w białe ręce dać berło, a na ciemny włos włożyć koronę brylantami strojną, zaś otoczoną falującą pierś łańcuchem złotym ustroić...

Majestat od tej dziewki bije, wdzięczna jak róża, a poważna jak Sybilla. Czar jej postaci przyciąga, a powaga, jaka z oczu bije, trzyma człowieka w odległości należnej tronowi...

Na świat tej krasawicy, na wiosnę życia, być szczęśliwą i nieść szczęście, jaśnieć na królewskim dworze, a nie w czarnej sukni zakonnej wieść pokutne życie...

A przecież gruby habit postać jej królewską spowił, nie radości i weselu, lecz modlitwie i pokucie się oddała. Zatopiła oczy w pergaminie, na którym pobożny zakonnik obrazek święty wymalował i modlitwę wypisał.

— W każdym dniu błogosławimy Cię, Panie!

Nie zawsze ta księżniczka Oda pokutne życie wiodła, nie zawsze żałobie się oddawała, nie zawsze w grubym zakonnym habicie chodziła.

. . . . . .

Walka wre w młodej jej duszy, tęsknica panuje w sercu, myśli przelatują przez głowę chmurne, raz jako jesienna burza, wesołe znów i radosne, jak promień słonka wiosennego. Wspomnienia przesuwają się przez pamięć, jedne niosąc żal, smutek, łzy i rozpacz, a drugie nadzieję...

. . . . . .

*) Kir—sukno czarne.

Dawne to, dawne lata jak młode dziewczątko oddane na dwór cesarski wśród równych jej wiekiem i rodem wesołe lata dzieciństwa pędziło.

Świat śmiał się do dzieci, gwar zabawy dziewcząt, budzący się o świcie, cichł dopiero w noc, śmiało się jutro do rozbawionej młodzieńczej gromady.

Dwór króla niemieckiego nie miał wtedy stałej siedziby, przenosząc się z jednego grodu do drugiego, z Kolonji do Kwedlinburgu, z Moguncji do Trewiru, lub Konstancji.

Ciągła podróż, ciągle nowy świat, nowi ludzie, szeregi królów i książąt, panów, rycerzy przesuwały się przez wspaniały monarszy dwór.

W czarownym świecie blasku i przepychu wychowywała się córka Dietrichowa Oda, pod okiem cesarzowej, z płochego dziecka rozwinęła się w uroczą krasawicę. Gdy dziecko rozkwitło, dziewicą się stało, wprowadzono ją wtedy w życie dworskie, w świat strojnych pań i — stalową zbroję błyszczących rycerzy. Wprowadzono ją po to, aby spokój, ciszę, szczęście i... serce na zawsze straciła.

Raz w Kwedlinburgu zjawił się z dalekich krajów rycerz. Gdy go pierwszy raz dziewczątko ujrzało, dziwna rzecz w duszy i serduszku jej się stała, zdawało się, że z dzieciństwa przebudziła świat, że jasność jakaś w sercu zapłonęła, że wiosna w duszy zakwitła.

Zdawało jej się, że nowemi oczami patrzy na słonko Boże, że zaczyna się dla niej nowe jakieś życie.

Niezmiernej potęgi zjawisko ukazało się przed jej oczami, zjawiła się przed nią bratnia jakaś postać, jakby w snach dzieciństwa wymarzona, jakby widziana już w przeszłości i oddawna sercu droga. Zdawało się hrabiance, że nadludzka jakaś postać prorocza zstąpiła z nieba, wzięła ją za rękę i powiedziała, wskazując na rycerza:

— To ten... twój.

Był to rycerz młody. Z oczu jego widać było serdeczność, szczerość, prostotę; ze słów jego biła prawda, z czoła, szerokiej piersi i orlego wzroku biło męstwo. Jak w tęczę, patrzała w niego Oda, widząc, że młodzian ma prostotę dziecka, a siłę lwa, że on dobry jak matka, że on śmiały jak orzeł...

Krótki czas bawił na cesarskim dworze. Spadł jak z nieba, odleciał jak wicher.

Rozmawiał z rycerstwem, długo radził z cesarzem, rycersko ukłonił się cesarzowej. Na wszystkie strony rozdał dary i upominki i odjechał w świat daleki.

Oczy jego raz spoczęły na krasawicy i zostały na wieki w jej sercu. Nie odgadniesz jego widoku, nie zapomnisz nigdy tych poczciwych oczów, tej wspaniałej postaci. Jakby przywarła się do duszy, jakby ślad w ślad za każdą myślą hrabianki chodziła.

Po naradzie z cesarzem, rycerz wyjechał na wschód. Czy wróci? Kiedy wróci? Bóg jeden wie. Ludzi pytać się nie można, nie można zdradzić, co się w sercu dzieje... A jednak coś mówi, że on wróci, że zjawi się raz jeszcze...

Ile razy dwór jedzie nad Ren lub nad Dunaj, ile razy z cesarzową przez Alpy do Włoch jechać, sępi się lice hrabianki Ody, tuman smutku spada na piękne jej oczy. A gdy znowu dwór wraca na północ, do ziemi Sasów się zbliża, lżej jakoś na duszy, jakby w serce wstępowała nadzieja.

Ile razy trębacz zamkowy hasłem od bram gości oznajmi, bije serduszko dziewczęcia: może to on jedzie. Nie przyjechał, zawiódł oczekiwanie, nie masz go, zawiodła nadzieja. Więc nadzieją tymczasem dusza żyje, nadzieje dusza roi...

* * *

I skłoniła się dziewczyna pokornie ojcu do nóg, prosząc go o ładne sukienki, złote kolce i klejnoty, jakie panny z orszaku cesarzowej mają.

Zdziwił się niepomału margraf Dietrich, pierwszy bowiem raz taką prośbę z ust córki swej słyszał, że jednak nic jej odmówić nie mógł, że to zresztą zwyczajna ochota u białogłów stroić się i jaśnieć, zadość prośbom swej córki uczynił.

Z Bizancjum sprowadzono wzorzyste błyszczące jedwabie, złote tkaniny kupiono za Alpami, matczyne sznury pereł dostała dziewczyna, złote zausznice i naramienniki sprzedał Dietrichowi grecki kupiec. Zachciało się dziewce jeszcze sznuru bursztynów, któremi słowiańskie knieginie i córki władyków się stroją.

— O bursztyny ci chodzi?

— Daj mi, ojcze, daj...

— Wnet je mieć będziesz.

— Kupisz je na targu?

— Nie.

— Skąd więc weźmiesz?

— W Marchji północnej, w ziemi kaszubów zrabuję.

Dziewczyna złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Nie czyń tego — krzyknęła. — Nie czyń!...

— Dlaczego?

— Nie chcę krzywdy ludzkiej.

— Jakto?

— Nie chcę korali, które splamiły ludzkie łzy.

Nie mógł pojąć Dietrich, skąd się w Odzie taka litość dla pogaństwa zrodziła, dziwił się, że dziecko jego nie chce krzywdy wrogów cesarza, nienalegał jednak z obietnicą bursztynów, ucieszywszy się, że córka jego bogactwem i blaskiem, krasawicom z królewskiego orszaku nie ustępuje.

A dziewczę stroi się bogato, często w srebrne zwierciadło zagląda, włosy trefi, bo ciągle i ciągle przychodzi myśl, że może na dwór przyjedzie ten... ten sercem wybrany.

Często, bardzo często modli się dziewczę w kościele, aby Bóg wysłuchał głosu jej serca, aby błogosławił miłości, która się w sercu zrodziła.

I przed Bogiem przysięgła hrabianka Oda, że albo ten, albo nikt inny... Z nim iść przez życie, z nim cierpieć, z nim być szczęśliwą, z nim umrzeć...

Codziennie prawie z modrzewiowej baszty patrzy dziewczyna na most zwodzony, na drogę, która do mostu na okopach wiedzie.

Patrzała rano, patrzała z południa, gdy wieczór zaczął na świat rzucać cienie, odchodziła smutna, aby marzyć...

Pewnego razu odezwał się sygnał trębacza na bramie. Przecie ten sam głos, który codzień słyszy, to samo codzienne hasło, ten sam żołnierz i to samo echo rogu.

Czemu dziś tak głośno serce zabiło... czemu drży, jakby dziewczyna gołębia spłoszonego zamiast serduszka w piersi miała...

Wybiegła na podwórze...

— Jest! Jest! Jest!

Ten sam, taki sam, ta sama orla postać, ta sama dobroć i prawość w oczach, odwaga i męstwo, które znać z każdego cala rycerskiej, wspaniałej postaci.

* * *

Złorzeczyło dziewczątko w duszy obradom rycerskim, rokom, jakie cesarz z gościem prowadził. Ukochanego na chwilę nawet w towarzystwie dworskiem nie widać, cesarzowej nawet nie miał sposobności się pokłonić, z orszakiem dostojnych dziewic się przywitać.

Zauważyła Oda, że cesarz i dostojnicy dworscy i rycerstwo powitali gościa nad wyraz ozięble. Dlaczego? Dowiedzieć się nie może. Spraw państwa nie mówi się kobietom, dzieciom, ni młodym dziewojom.

A przecież dolatują Odę wieści straszne...

Słychać, że rycerz zbił gdzieś na łeb cesarskie wojsko, że teraz na nowo przyjeżdża pokój i przyjaźń zawierać, że winę chce zwalić na Wichmana, który kłótnie z nim bez wiedzy cesarza zaczął, mówią, że rycerz jej, jeśli o obronę jego ojczyzny idzie, jest chytrym i szczwanym lisem, że pięć razy wywiódł w pole cesarza i dał szczutka wszystkim przezacnym margrafom.

Serce rozdarło się dziewczynie, gdy w orszaku cesarzowej usłyszała, że jej rycerz jest zdrajcą rzymskiego państwa, że on wojnę domową w Niemczech wywołuje, że buntuje jednych na drugich, aby się krew chrześcijańska lała.

Uciekła hrabianka Oda do swej izby i gorzko zapłakała. Jakby ktoś o niej źle mówił, jej serce zranił, jakby jej kto krzywdę wyrządził.

Nie chciała wierzyć w to, żeby człowiek, któremu z oczu poczciwość i prostota biła, mógł popełnić brzydkie czyny, splamić swoją cześć. I nie zawiodło przeczucie dziewczątka.

Już na drugi dzień widziała rozpogodzone czoła. Marszałek dworu miał na szyi łańcuch złoty, majordomus*) puhar cudną majoliką ustrojony, który mu darował rycerz. Wszyscy doradcy króla złotem pobrząkiwali, mając takie gęste miny, jakby tej nocy deszcz dukatów spadł z nieba.

I znowu słyszała hrabianka, że jej wybrany to największy przyjaciel cesarza, że to sojusznik wieczny świętej rzymskiej monarchji, że on cały dzień o niczem innem nie myśli, jeno o szczęściu margrafów. Wszak do jej ojca mówił:

— Jak cię kocham, Dietrichu, tak zawsze za wami stanę.

---

*) Majordomus — marszałek dworu.

I pierzchnęła mara zgryzoty, zagościła na nawo w duszy pogoda i pokój. Zabiło jej serce, gdy po uczcie u cesarza zbliżył się do niej ukochany i obyczajem rycerzy jął ją rozmową bawić i grzeczności prawić.

— Wasza książęca mość — zapytała Oda — z cudzoziemska naszym językiem mówisz?

— O tyle nim władnę, o ile mi to, jako sojusznikowi rzymskiego cesarstwa, do stosunków z wojskiem i rycerstwem trzeba.

— Mowa twych przyjaciół powinna ci być droga...

— Przedewszystkiem jest mi droga rodzinna moja mowa. Ta prześliczna mowa, w której wychowała się moja matka, którą mówi mój lud, którą się modli moja ziemia...

Tak bardzo kochasz swoją ziemię?

Rycerzowi zaiskrzyły się oczy.

— Lepiej żyć bez słonka, bez powietrza, niż bez niej... Gdy z niej odjadę, jakby brakło tchu...

* * *

Odjechał, zabrał serce...

Nie myśli nawet nad tem krasawica, co będzie z tego uczucia, które się w piersi zrodziło, jaka jego przyszłość... Nie chce o tem myśleć, odpycha smutne pytanie od siebie.

Pierwsze uczucie, jakie się w młodem sercu rodzi, nie pyta o cel, jak nie pyta o cel zawilec leśny, poco on kwitnie, nie pyta potok górski, dlaczego on kaskadami szumi, nie pyta słowik, dlaczego śpiewa.

Wielki płomień w całem jestestwie goreje, bo go zapaliła wyższa moc. Marzy duszyczka Ody: wkradnę się w to poczciwe serze, które tak swą matkę ziemię kocha, zapanuję w nim, kupię go, płacąc za nie serdeczną miłością, życiem całem...

A przecie odepchnięta myśl, co z tego uczucia będzie, wraca sama... Gdy rycerz się o jej miłości dowie, czy za uczucie uczuciem zapłaci, czy za serce odda serce? Rozpacz ogarnia duszę, jeśli tłumić trzeba będzie ten żar... Chwilami opada dziewczę myśl, żeby z uczuciem swem zwierzyć się ojcu, pożalić się przed nim, może on wydziewosłębi, może on jej zjedna serce wybranego... Chwilami rodzi się szalony zamiar widzieć się z rycerzem i powiedzieć mu wprost: bez ciebie żyć nie mogę.

Zarumieniła się krasawica na myśl samą... Precz! Precz!

— Oddam wszystko przyszłości i Bogu...

Tymczasem radować się wiosennem uczuciem, oddać się mu, żyć marzeniem, żyć nadzieją jutra, że może znowu rycerz przyjedzie.

* * *

Radość za serce chwyta, że cesarz opuścił Kolonję i jedzie na wschód do Dziewinu, nadzieja w serce wstąpiła, gdy dwór rozgościł się w dziewińskim arcybiskupim pałacu.

Odzie dano z orszakiem izbę w narożnej wiaży, której okna wychodzą na wschód, co chwila dziewczę uchyla okienko, patrząc żali nie zjawią się goście, patrząc i czekając strojnej drużyny, na czele zaś jej swego wybranego.

Dnie całe schodzą jej na oczekiwaniu, tymczasem wychodzi Oda daleko na gościniec, aby go spotkać w drodze, wieczór ją czasem i rosa nocna w ogrodach nad Łabą zastaje.

Pewnego razu na dalekiej drodze zobaczyła ze swego okienka tuman kurzu. Konnica jakaś jedzie, w dali majaczeje lśniąca broń, mgławica pyłu zbliża się i zbliża. Już dziesięć staj ich od dziewińskich domów dzieli, już widać ich blisko, na kilka rzutów oszczepu od brzegu Łaby się zbliżyli.

Patrzy dziewoja w rycerską gromadę... wszak to ich wojsko —serce młotem bije... ona zna te dorodne rycerskie postacie, zna ich chorągiew, ich znak...

— On! On! — szepcą radośnie usta.

— Nie, nie. Orszak jego, ale jego niema. Przeleciała oczami wszystkich do jednego—niemasz go, niema...

Wjechali do zamku i wnet rozeszła się przez nich przyniesiona wieść... straszna dla Ody wieść...

* * *

Upadła dziewka, jak trup, na ziemię. Piękne lica, jak po woje blade, z warg wiśniowych uciekła krasa, uciek z twarzyczki rumieniec, jak ptak, który na smutną jesień z ojczyzny w inne idzie kraje.

W zamku arcybiskupim powstał popłoch.

— Dziewoja zachorowała.

— Śliczna margrafa Dietricha.

— Ojciec w pole wyjechał.

— Co jej się stać mogło?

— Uroki, czary...

Wrócił zdyszany goniec z pola wiodąc margrafa.

— Co ci to? Co ci, dziecko moje.

— Bladaś jak płótno — mówiła cesarzowa.

— Nic mi, ojcze. nic... nic, dobra pani moja.

Złożono hrabiankę na łożu, cesarzowa sama wodą zmywała jej skronie, dziewki z orszaku jej zgromadziły się wokoło.

Wróciły zmysły, ze zmysłami nieszczęście bez granic. Rozpacz, która zasłania jutro, żal gorszy od śmierci.

Słyszy dziewczyna rozmowy rycerstwa niemieckiego, dolatujące przez drzwi:

— Wieść to dla nas niepomyślna.

— Zmamrali się z Czechami.

— Jeśli srogi Bolesław dał mu córkę, to za tem kryje się ich związek przeciw nam.

— Niewątpliwie. Gdyby nowożeniec równocześnie nie miał w tem interesu, nie żeniłby się z kobietą w podeszłym wieku.

— Czesi mówili mi w Pradze, że Dąbrówka, to kobieta zła i przewrotna.

— Knuje się ich przyjaźń na nieszczęście nasze.

— Gwałtownicy.

— Ciszej...

— Jeden z nich nadchodzi.

— W oczy powiem, co myślę.

— Powiedz, a zobaczysz, że ci ten niedźwiedź połamie kości.

— Co się stało hrabiance?

— Bóg jeden wie...

— Z nadejściem orszaku rycerzy nieszczęście spadło na ten dom.

Biedna jej dusza mówi, że przecie ona żalu nawet do niego mieć nie może i mieć nie powinna. Gdyby był jej czułe przysięgi prawił! Gdyby był słowem o miłości, o wzajemności wspomniał. Nic i nic. On nie wie o tem, co wre w jej sercu, jaki tam dla niego płomień goreje. Choć żal, straszny żal zbolała dusza czuje, przecie na rycerza postaci niema cienia plamy, na cześć jego nie spada nawet skaza mała.

To ona się pomyliła... To ona winna swemu nieszczęściu.

A nieszczęście to straszne... Płacze dziewczę i płacze. Gdy oczy przestaną płakać, zmęczone łkaniem, to zdaje jej się, że choć ciało ustało, to cała dusza łka...

W kaplicy klęcząc, Boga o zmiłowanie prosi.

* * *

Rozpacz, jak straszny kwiat. Rozwija się i rośnie, ale wreszcie przekwita. Dobrze to, że przekwita i niknie, bo z tym okropnym ogniem żalu nie możnaby żyć. Mija, cichnie, znika, choć nie znikło nieszczęście. Jak na spalenisku: ogień bólu, pożoga rozpaczy niknie, a pozostaje swąd pożaru, ruina, rudera.

Brakło w oczach łez, ścichła rozpacz.

Hrabianka wdziała czarny habit mniszki. Siedzi u stóp krucyfiksu, usta szeptają cichą modlitwę:

— „Jakoż okrył wzrokiem zapalczywości swej córkę Syon, zrzucił z nieba na ziemię sławę Izraela, a nie wspomniał na podnóżek nóg swoich w dzień zapalczywości swojej.

— „Zepsował w zapalczywości swej i obalił na ziemię, splugawił książęta i królestwo jej. Zapadły w ziemię bramy jego, odrzucił Pan ołtarz swój, przeklął świątynię swoją.

* * *

W smutku i żałobie minęły lata, minęło dziesięć lat. Inna dusza i inna kobieta byłaby zapomniała. Inne snać serce, inną duszyczkę miała hrabianka Oda.

Ona w chwilach szału serca przysięgła:

— Ten, albo nikt!

I wierna została swemu słowu.

Rozpacz serca złożyła jako ofiarę u stóp krzyża, święta księga jej powiernikiem, treny, które prorok wyśpiewał nad zburzoną Jerozolimą, najmilszą pieśnią i osłodą jej duszy. Płacze z prorokiem, który jak ona nieszczęśliwy. Jeremjasz nad gruzami ojczyzny, ona nad ruiną własnego szczęścia płacze.

Dźwignąwszy się z łoża choroby, opuściła natychmiast dwór królewski.

Próżno nalegał, prosił, nawet groził ojciec, próżno zatrzymywała ją cesarzowa. Z huku i zgiełku zabaw dworskich uciekła do Braniboru, gdzie mieszkał jej ojciec Dietrich.

Dworzyszcze braniborskie więcej do obozu niż pańskiego domu podobne, nie masz tu tańca, nie słychać gęśli, szczęk oręża jedyną muzyką, wojna i modlitwa jedynem zajęciem.

Wśród dziewek Hawelanek, przędzących konopie, wśród niewiast, za których pasem zatknięta przęślica, siedzi hrabianka i słowa modlitwy odmawia.

* * *

Przez przeciąg dwunastu lat kilka razy dziewosłęby na zamek braniborski zaglądały. Sława wielkiej urody, o której na dworze cesarza cuda opowiadano, wiodła ich aż tu na północ, do ziemi Hawelan, kilku hrabiów i dworskich dostojników wysyłało posłów z prośbą o rękę córki Dietrichowej.

— Czas iść zamąż — mówił do córki Dietrich.

— Nie, teraz nie!

— Margraf z Ivrei przysłał do ciebie dziewosłęby.

— Z niczem niech odjadą.

— O rękę twoją prosił mnie także hrabia bawarski Ernest.

— Denary on jedynie i dukaty lubi, skąpym zaś będąc i brudnym, śpiewakom nawet nagród odmawia, za darmo pieśni słuchając.

— Znam książęcia z nad Renu...

— Niech nie przybywa.

— Dlaczego?

— Zamąż, ojcze, nie pójdę.

— Jakto? Zestarzejesz się w panieństwie?

— Jednego teraz tylko mam oblubieńca.

— Kogo? — zapytał zdumiony Dietrich.

Oda wskazała ręką na krucyfiks:

— Tego, co za winy ludzkie krew swą oddał.

Dietrich zamilkł. Uchylił czoła przed Chrystusem, przeżegnał się i rzekł:

— Niechże się, córko, twoja wola stanie.

* * *

Nagle, bez żadnego powodu, bez oczywistej przyczyny, Oda jęła się tak zachowywać, że w zdumienie wprowadziła po-

bożne niewiasty, które się wraz z nią w braniborskiej kaplicy codzień modliły.

Kunigundzie, siostrze przezacnego Bernarda, wypadła z ręki czara z winem. Odstąpiła od pełnej łagwi trunku, który na starość nadewszystko lubiła, na wieść, że hrabianka Oda miotła w kąt zakonny strój, zaprzestała codziennych modlitw, włosy trefić zaczęła, kwiaty w nie wplatać i w jaskrawe suknie się stroić.

Czasem pół dnia, pobożna dawniej dziewica, przed srebrnym lustrem stoi; gdy w gronie niewiast nad Hawelą się przechadza, w zwierciadło wody nawet się wpatruje, aby przyjrzeć się swej urodzie, zapytać wody o radę.

I zmieniła się dziewoja nie do poznania. Uleciał smutek czoła, w oczach zapłonął blask na nowo, lica zakraśniały, życie w hrabiankę wstąpiło.

Jaka tego przyczyna? Jaki powód? — nikt zgadnąć nie może.

— Zrzuciłaś, córko, święty strój?

— Zrzuciłam.

— Dlaczego?

— Taka moja wola.

— Modlitw zaprzestałaś?

— Codzień się modlę, kładąc na siebie znak krzyża świętego...

Oda modlitw nie zaprzestała.

Nie śpiewa wprawdzie z Kunigundą w chórze wieczorami, wśród dziewek książek świętych nie czyta. Niemniej jednak, gdy nikt jej nie widzi, przypada do stóp Ukrzyżowanego, serdecznemi łzami zmywa drzewo krwawe... Ale to nie jest już modlitwą żalu, rezygnacji, rozpaczy...

Nadzieja w tej modlitwie gorąca, prośba do Matki Zbawiciela, do Jezusa, aby jej myślom i zamiarom błogosławił...

Dietrich pojąć i zrorumieć nie mógł, co się z jego rodzoną dzieje.

Przez dwanaście lat żadna uczta, ni zebranie rycerskie jej nie widziało, zawsze odmawiała swej krewnej, Adelajdzie, gdy ją o towarzyszenie na łowy prosiła, teraz zaś...

Nie masz dnia, żeby Oda nie dosiadała konia.

W krasnym stroju, z włosami na wiatr puszczonemi, wsiada na koń i w dalekie puszcze leci, ziemia dudni od pędu jej konia,

który z nią zziajany, pianą okryty, w braniborskie powraca dworzyszcze.

Raz nie było Ody trzy dni...

Co się z nią działo, nikt nie wie. Ojcu mówiła, że zabłądziła w puszczy, że dostała w drodze bólu głowy i gorączkowej choroby.

Innym razem oświadczyła rodzicowi, że chce się uczyć po polsku...

Ojciec wytrzeszczył oczy...

— Oszalała dziewoja — zawołał Dietrich, chwytając się za głowę.

— Po co? — wrzasnął rozgniewany i czerwony jak piwonja Bernard.

— Taka moja wola — odpowiada Oda.

— Słowiański język naszych wrogów? — pytał się Bernard, wytrzeszczając oczy.

— Tak, tak. Chcę mówić językiem moich wrogów.

Dietrich zmartwił się srodze, że córka jego szaleć zaczyna, ustąpił jednak i polskie pergaminy dla dziewki sprowadził.

Właśnie w owe czasy na łacińkich kanonach nauk wszelkich w Poznaniu się uczył dwunastoletni syn księcia polskiego Mieszka, Bolesław. Książę ze wszech stron, z Byzancjum i Rzymu, uczonych i biegłych w piśmie księży posprowadzał; na dworcu poznańskim była osobna izba, gdzie jasnowłosemu pacholęciu autorów rzymskich uczeni czytali, poetykę, retorykę i prawo kościelne dziedzicowi państwa po łacinie wykładając. Czasem całemi dniami jasne oczy chrobrego pacholęcia w pergaminach wiedzy i mądrości szukały, a choć dusza rwała się do konia i szabelki, przecież wola ojca sprawiła, że podrastający chłopak w sztuce czytania nadzwyczaj był biegłym, w tłumaczeniu Wirgilego na język polski samemu nawet biskupowi nie ustępował.

Do Poznania to posłano po polskie pergaminy rycerza Kizę, który choć ze znakomitego rodu pochodził, ziemi jednak nie mając, w grodnie tarnowskim, jako naczelnik wojsk służył, do Braniborza często zaglądając, wszelakich posług za pieniądze się podejmując, tak poganom, jak chrześcijanom najchętniej służąc.

Pojechał do Poznania Kiza, ciężkim złotem uczonym bizantyńskim mnichom za przepisywanie polskich kodeksów zapłacił i wrócił do Braniboru, wioząc hrabiance upragniony polski modlitewnik.

Całemi godzinami siedzi nad nim Oda, wzrok krasawicy patrzy w złote obrazki, któremi mistrz pergamin ustroił, usta idą śladem równiutkich liter, wielką sztuką wypisanych przez księdza, który, nie umiejąc polskiej mowy, jak mógł i umiał, tak z ust ludu świętą modlitwę na pergamin uwięził:

— „Otcze nas, yenza yes na nebesich, osswin sche ftche ymi, buncz thua wola tako na nebe, iako na zemi“....

Na szczęście w hawelańskiej ziemi i w mieście Braniborze było kilku osiadłych Polaków, którzy hrabiance do zrozumienia i odczytania świętej modlitwy pomogli.

Osadnicy ci przyszli tu jako jeńcy wojenni hrabiego saskiego Wichmana, który w dwóch bitwach polskiego Mieszka pokonawszy, brata jego rodzonego zabiwszy, wielką moc ludu nad Hawelę uprowadził.

Gdy Mieszko zawarł pokój z cesarstwem i do przymierza ze świętem rzymskiem państwem się nakłonił, wróciła większa część jeńców do domu, prócz garści żołnierzy, którzy z Hawelankami się pożeniwszy, zostali wśród pobratymczego słowiańskiego ludu. Do ich chat spieszy prawie codzień hrabianka Oda, z ich pomocą wyrazy na świętej książce spisane zrozumieć i przeczytać się stara, ich języka się uczy, z nimi razem modli się:

— Ojcze nasz, który jest na niebiesich, święć się Twe imię...

. . . . . .

Pod krucyfiksem po polsku teraz Oda modlitwy mówi, smutkiem gorzkim napawając ojca, który nad szaleństwem swej dorodnej córki boleje, pojąć nie mogąc, co się z nią stało, co się dzieje w jej duszy.

. . . . . .

W jasny dzień wrześniowy zerwała się hrabianka ze wschodem słońca z łoża. Dwór wszystek jeszcze spał, gdy ona biegła do krynicy, aby w źródlanej przeczystej umyć się wodzie, dwór zaledwie zbudził się ze snu, gdy ona w drogie jedwabne szaty ubrana, trefiła włosy, sznury pereł i bursztynów na szyję zakładała. Nikt się temu już nie dziwi, znane jej cudactwa, wiadome wszystkim życie na opak, niepodobne do reszty otaczającego ją świata.

Całe rano po pokojach niespokojnie chodziła, miejsca sobie

znaleźć nie mogąc, w okna zaglądając, przed lustrem włosy swe prześliczne poprawiając.

Z południa wyszła hrabianka przede dwór na słoneczko jasne.

Na białej ścianie obróconej do słońca, cieśla cudacki, a jednak przemyślny i misterny instrument powiesił. W caliznę modrzewiowych belek wbił gruby drut żelazny mocno klamrami osadzony, twardym żelaźcem podparty. Pod osadą druta nakreślił sadzą z olejem wymieszaną wielkie koło, poczem w słonecznym dniu klepsydrę w ręce dzierżąc, jął rzuty cienia słonecznego na obwodzie koła znaczyć. W ten sposób powstał zegar, który lepiej od piasku przesypującego się w szklanem dwoistem naczyniu, godziny pokazuje. Dziwowało się rycerstwo przemyślności cieśli, wdzięczne, że misterny przyrząd czas słoneczny zn czy.

Pod zegarem stoi dziś hrabianka Oda, piękne oczy niecierpliwie na cień żelaża patrzą, śledzą ruch jego ciekawie. Różową rączką przysłania krasawica powieki, patrzy na słonko, wiśniowe usta szepcą cicho:

— Idźże prędzej, złote słoneczko, idź.

A cień idzie powoli, bardzo powoli, krokiem żółwia lub ślimaka po obręczy koła pełzając.

Wreszcie nachyliło się słonko ku nadłabskim lasom, opada zwolna ku dębom, co się czernią za wodami Haweli.

Koło hrabianki zjawił się rycerz Kiza.

— Czyś gotów?

— Na twe rozkazy pani.

— Nie widzi nas nikt?

— Śledzę pilnie oczami.

— Gdzie konie?

— W olszynach czekają.

— Dziś widzieć się muszę.

— Słyszałem twój rozkaz, hrabianko.

— Oto pamiątka dla ciebie, rycerzu, rzekła Oda, rękę do Kizy wyciągając.

Rycerz łakomie chwycił sakiewkę złota, choć bowiem ze znakomitego i wielkiego rodu pochodził, ziemi jednak nie mając, złotą monetę w wysokiej miał cenie.

— Wiernym ci, aż do grobu, hrabianko.

— Idź naprzód.

— Idę.

— Za dziesięć pacierzy tam będę.

— Czekam z oddanym człowiekiem.
— Czy on ci wierny?
— Bądź tego pewną pani.
— Nie wie nikt?
— I nikt nigdy wiedzieć nie będzie.
— Człowieka zapłać.
— Ujęty dla mnie złotem, wie zresztą, że gdyby zdradził...
— Boże!!
— Bądź spokojną dostojna. On wie, że śladem tajemnicy, wyszedłby z ust jego ostatni dech.
— Cień wskazuje czwartą.
— Idę...

Rycerz oddalił się, minął wnet bramę, minął most zwodzony.

W kilka chwil znikła z pod zegaru i Oda.

Samotrzeć*) leci przez jałowcowe pola hrabianka, włosy z wichrem igrają, ogania oczy od roju muszek, które w upalnym wieczorze rojami się plączą, do ócz wpadając. Jak róża piękna, jak róża rozkwitła krasawica w pełni życia, szczytem blasku zajaśniała jej uroda, jak maliny usta kwitną, białością lilji jaśnieje czoło, różą płoną jagody. Przez zgrabną pierś przewiesiła myśliwski łuk, koń okryty pianą, leci przez pola, ugory i dąbrowy.

Obok niej Kiza w rynsztunku myśliwskim, za nią pachołek ze sokołem w ręku.

— Widziałeś go?
— Serdeczne wyrazy miłości przesyła ci hrabianko.
— Kocha mnie również?
— Dusza jego dla ciebie płonie, oczarowała go twoja uroda.
— Czeka mnie dziś?
— Tak jest!
— Zdrowyż jest? Szczęśliwy? Wesoły?
— Gdy dwór jego po śmierci żony zaprzestał żałobnych pieśni...
— Słuchaj! Co to tak huczy w borze?
— Zdawało ci się chyba, pani.
— Nie, nie. Głosy słyszę.
— Tak jest. Rżenie koni dolatuje.

---

*) Samotrzeć — razem z dwoma innymi.

— Jak gdyby moc wojska w tej puszczy się kryła...
— Tam pod lasem...
— Męża zbrojnego widzę...
— Czy mnie wzrok myli? Czy widzisz, hrabianko?
— To on! To on! — krzyknęła radośnie Oda.
— On!
— Opuśćcie mnie...

Kiza i sokolnik osadzili konie w miejscu. Oda jak wicher ku rycerzowi pognała.

Stał on wsparty na koniu pod lasem jodłowym.

. . . . . .

Co to? Ten wspaniały rycerz, dumna, jakby lwia postać... Zmieniony nie do poznania, blady, jak trup, jakby nieszczęściem, lub chorobą zgnębiony.

Leci Oda do rycerza...

— Jesteś? Jesteś, kochanie moje?

. . . . . .

Strach patrzeć na rycerza. Zęby zaciśnięte, włos zmierzwiony, w oczach iskry wściekłości i gniewu, ręce zaciśnięte w kułak, drżą...

— Odo moja, Odo!
— Uspokój się.
— Jeśli włos z głowy mu spadnie...
— O poganina ci idzie, o Nieborę?
— O brata mojego! O krew bratnią! O krew serdeczną!
— Uspokój się!
— Przekleństwo tej krainie, jeśli włos z głowy mu spadnie.
— Czekaj, może los się ulituje.
— Na los się zdać? Na los? — zaśmiał się ze złością rycerz. — Słuchaj, Odo. Ja wiem wszystko. Szpiegi moje donoszą mi każde słowo. Jutro Niebora ma zginąć na palu. Kilka godzin nas od nieszczęścia dzieli, a ja mam się zdać na los.
— Boże!
— Wiedz — wołał okropnym głosem rycerz — że jeśli Niebora umrze, to ja wasze miasta w perzynę obrócę, ja wasze grody lasem szubienic pokryję!
— Co mówisz? Śmiałbyś chrześcijan...

— Tak! Chrześcijan! Niech postępują, jak Chrystus przykazał. Oni chrześcijanie? Ci bez czci, bez wiary...

— Spokoju, spokoju!

— Spokoju, mówisz? O! Czy ja mogę być spokojnym? Odo moja, Odo! O, ja będę spokojnym...

— Jeśli?...

Rycerz się zaśmiał.

— Czy wiesz, gdzie jest mój spokój? Czy słyszysz ten szum?

— Rżenie tysiąca koni w puszczy...

— Znajdę i dziesięć tysięcy.

— Co to wszystko znaczy? Co ty zamierzasz czynić?

— Dziś w nocy najechać...

— Co?

— Tak jest! Dziś w nocy! Poświęcę sobie drogę pożogą Braniboru!

— Nie czyń tego!

— — Uczynię! Przez Boga żywego! Krwi mej serdecznej bronić będę!

— Ojca mego napadać chcesz?

— Choćby twego ojca...

— Chrześcijan tępić?

— Nie chrześcijan, ale najeźdźców, których ręce zbroczone niewinną krwią...

— Dla Niebory chcesz to uczynić? Wszak on nie z twego narodu, nie twym językiem mówi.

— Jedna krew! Jedno słowo! Jedna słowiańska rodzina!

— Nie, nie! Ty tego nie uczynisz.

— Na Boga uczynię! Przeklęństwo tej nocy! Przy pochodni pożogi włości waszych drzewa puszczy straszliwym owocem trupów obrodzą!

— Powiedz mi, co się ze mną wtedy stanie, co się stanie z nami, jaka przyszłość nas czeka? Ty wiesz przecie, że Dietrich to mój ojciec: czy ty żądasz, abym ja stanęła wrogiem przeciw rodzonemu ojcu? Abym ja obojętnie słuchała twoich słów, które śmiercią, zniszczeniem i pożogą grożą? gdzie słowa twoje o miłości dla mnie, gdzie zaklęcia twoje, że mnie jednę masz na świecie?

— Słowa moje dziś jeszcze powtórzę.

— A jednak?

— Jednak pierwsza miłość dla matki ziemi, której krzywda się dzieje, pierwsza rzecz bronić człowieka, którego serce wielką miłością do matki goreje.

— Zastanów się nad czynem...

— Już się zastanowiłem.

— I grozisz...

— Słowa, które wyrzeknę, nigdy w życiu nie cofnąłem.

Hrabianka zamilkła. Była blada jak płótno. Ręką nerwowo tarła czoło, palce różowe we włosy wplątała. Wnet załamała ręce, w oczach jej pięknych zabłysły łzy. Błędny wzrok jej wpatrzył się w stronę braniborskiego zamczyska... myślała chwilę, z otwartych oczów widać było, że w duszy zrodził się zamysł i postanowienie.

— Nie, nie. To się nie stanie, to się stać nie może. Niebora dziś będzie wolny.

— Kto go uwolni?

— Ja!

— Ty? Jak to uczynisz?

— Moja to sprawa. Uczynię. Choćbym życiem przypłacić miała wolność jego.

— Ty?

— Ufaj mi.

Rycerz zamyślił się.

— Ufam ci bez granic. A jeśli los nie podarzy, jeśli on zginie...

— Wtedy...

Hrabianka rzekła smutno:

— Wtedy przyjeżdżaj. W Braniborsku zastaniesz zmarłych ludzi dwoje...

* * *

Rycerz Kiza, człowiek uczynny i mąż znakomitego rodu, który za wynagrodzeniem do wszelakich usług był gotowy, miał już przygotowane dwa lisy i trzy głuszcze, któremi w tym dniu hrabianka Oda, wróciwszy późnym wieczorem z polowania, przed ojcem się pochwaliła.

Wróciła dziewoja ożywiona i wesoła, zażądała od Dietricha miarki wina, gorąco ojca zachęcając, aby z nią jeden, drugi, trzeci kielich spełnił. Była tak rozbawiona winem i rozmową, że oj-

ciec musiał jej zwrócić uwagę na późną porę, musiał polecić jej, aby się udała na spoczynek.

We drzwiach dziewiczej izdebki uciekł z jej ust śmiech, uciekły z jej lic rumieńce. Musiała się wesprzeć na ścianie, aby postąpić krok naprzód, jak kamień bezwładnie siadła przy dębowym stole.

Przez otwarte okno szmery jakieś słyszy i hałasy, echo siekier z dołu dolatuje.

Słyszy to Oda, oczy jej strasznym zagorzały blaskiem, straszne przeczucia szarpią duszę.

Przypadła do okna...

— Boże! Boże!

W blaskach księżyca widać... pal... Koniec jego śpiczasty, ośnikiem cieśla gładzi, boki jego toporem równa... Dwóch pachołków przygląda się robocie, ze sznurów i rzemieni straszne pętlice gotując.

— Będzie co widzieć — mówi do parobków cieśla.

— Zasłużoną śmiercią umrze poganin.

— Te pętlice przyjdą na nogi.

— Do każdej przypnie się parę koni.

— Migiem łotr na pal się wsunie. Siłą dwóch par koni ostrze kija weń wejdzie.

— Straszne...

— Bo straszną była i wina.

— Jego wysokość, margraf Dietrich, słowem we wsi nie kazał wspominać.

— Tak, rak. Wszystkich Hawelan ze zamku wydalono, aby się wieść między ludźmi nie rozeszła.

— Podobno cesarz zakazał pogan katować.

— Tak jest, zakazał.

— Zakazał kraść i rozbijać.

— Z czegóż my teraz żyć będziemy?

— Rozkaz jest rozkazem. Musi być do tego powód.

— Niebora zginie, a świat się nie dowie o niczem.

— Pal musisz osadzić, aby się po ziemi nie ślizgał.

— Będzie kamień u nasady. Aby głaz się nie posunął, kilka dębczaków wbiję.

— Cztery konie, to straszna siła.

— Przy kaźni Niebory oszczepnik całą noc stoi.

— Niepotrzebnie, żelaznego zamku i djabeł nie wzruszy.

— Sam margraf Dietrich oglądał zamek.

— Wziął od burgrabiego klucz i nad własnem powiesił łożem.

— Ten poganin Pomściborz, cośmy go niedawno tracili, konał na palu pół dnia.

— Niedźwiedź Niebora, chłop mocny, wytrzyma dwa dni.

— Ostrze pala gładkie, jak szkło.

— Śpiczaste jak stalowa iglica.

— Spać.

— Pętlice gotowe. Spać.

— Jutro, rychło świt, przystąpim do roboty.

— Ze wschodem słońca zbrodniarz pojedzie na pal.

— Margraf sam stracenia dopilnuje.

— Książę Bernard upominał, aby czekać, aż on z łoża wstanie.

— Przeciw niemu Niebora zawinił.

— Musi widzieć, jak poganin kona.

— Uraczyć oczy.

— Spać! Spać!

Ucichło wszystko. Hrabianka odeszła od okna, usiadła bezwładnie na łożu. Siedziała długo, bardzo długo. Czekała, aż zamek uśnie. Cała jej dusza, wszystkie nerwy zeszły się w uchu, łowi słuchem szmery, błądzące po zamku, słyszy echo kroków żołnierza, który po wałach chodzi, słyszy dzwonienie koników polnych, które szeleszczą przedśmiertną pieśń, nim pierwsze zimno jesieni ich nie zmrozi. Księżyc srebrny wyszedł na niebo, wdarł aię okienkiem na jej dziewicze łoże...

Cicho.

Oprócz strażników przy paliskach nie czuwa już w zamku nikt. Cisza grobu zaległa po izbach modrzewiowych. Czasem zaskrzeczy w podłodze gryzienie myszy, z czeladnich izb słychać śpiewające świerszcze. Ludzie już śpią.

* * *

Wstała z łoża Oda i na palcach idzie.

Minęła pustą, biesiadną izbę, potknęła się na przewróconem krześle, które jej w drodze się znalazło. Cichutko, powoli odchyliła drzwi od izby Thiethmara, nadsłuchuje pierwej nim wejdzie...

Thiethmar śpi. Równy, cichy oddech słychać.

Przesunęła się przez jego izbę, w delikatne ręce ujęła drewniane wrzeciądze sąsiedniej izby, lekko je podnosząc, aby nie zaklekotały i nie zbudziły jej ojca.

Ogromna izba, w której śpi Dietrich.

Stanęła Oda we drzwiach i patrzy... Dietrich śpi twardo, oddycha głęboko... Zbliżyła się do łoża ojca dwa kroki.

Serce jej bije... tak bije... słyszy głos własnego serca, boi się, żeby tętno jej serca nie zbudziło.

Nad łożem na łosiej skórze przy mieczu i kołczanie wisi klucz... Patrzy hrabianka na żelazo, jakby ten klucz był skarbem, majątkiem, bogactwem. Wisi klucz na gałęzi jeleniego rogu...

Przystąpiła kilka kroków... wyciągnęła rękę... palce czują zimne żelazo...

— Kto tu?!!! — krzyknął Dietrich.

— To... ja... ojcze... to.. ja...

— Odo?!! Ty tutaj?

— Tak...

— Co czynisz?

— Ja... chciałam ci powiedzieć, mój drogi... chciałam pożalić się...

— Co to? Chora jesteś?

— O... tak... ojcze. Jestem bardzo chora...

— Wody ci przynieść... wywar macierzanki dziewki ugotują...

— Nie, nie.

— Czegoż ci trzeba? Po co przyszłaś?

— Bo ja tam spać nie mogę... Straszno...

— Co?

— Tam chodzą duchy umarłych. Msta zgłodniały tam chodzi, Pomściborz, którego na pal wbito...

— Tak. Słyszałem o tem. Straszliwego ducha Msty widział Thiethmar... Gryzł ręce...

— O jak tam okrutnie!

— Boisz się samotności? — Zatem w sąsiedniej izbie śpią dziewki służebne...

— To dobrze ojcze. Do izby pójdę.

— Weź tę wilczurę... okryjesz się.

— Zaprowadź mię. Ledwo na nogach stoję.

— Chodź, dziecko moje, chodź!

Dietrich zawiódł córkę do sąsiedniej izby. Z niedźwiedzich skór usłał jej łoże.

— Przeżegnaj się świętym znakiem krzyża, a zmory odejdą.
— Idź spać, ojcze.
— O zdrowie twoje się boję. Lepiej ci?
— Ból głowy ustał.
— Zatem śpij.
— Usnę. Idź, ojcze, idź.

* * *

Dietrich wrócił do wielkiej izby i upadł na łoże. Długo obracał się na posłaniu, wreszcie słychać równy jego oddech; śpi...

A Oda znowu słucha pilnie, patrzy na barłogi dziewek, które śpią, srebrem jasności księżyca oblane. Przebudziła się rozmową jedna i druga Hawelanka, wnet zamknęła oczy, ucichło wszystko, wszystko śpi. Księżyc się zwolna ku zachodowi pochyla...

Oda usiadła na łożu, pokrytem niedźwiedziami. Słucha. Nadsłuchiwała długo i.. cicho stanęła na ziemi. Odchyla drzwi powoli i cicho, bojąc się, aby nie zaszeleściał wrzeciądz, aby nie zazgrzytały żelazne zawiasy...

Weszła.

Bose jej stopy uczuły miękkość niedźwiedziej skóry... do łoża ojca cichutko idzie... Szła tak cicho, jak cicho opada listek róży, jak cicho gwiazda spadająca przez przestworza lazuru niebios leci, jak cicho delikatnem pierzem głaska powietrze sowa, spadając na swoją ofiarę. Już jest przy łożu ojca, już jest... Serce zabiło... Ręką trzyma nerwowo klucz...

Cofa się, idzie wstecz... gdy się usuwa, nogi się chwieją... serce dygoce... mózg mdleje... Już jest we drzwiach... swiat kołuje... Cichutko zawarła drzwi, biegnie przez izbę niewolnych dziewek, już jest na polu, na klepisku dworzyszcza...

* * *

Jesienne drzewa smutno w polach stoją, wicher już zwolna zabiera im liście, na jesionach tak pożółkł liść, tak jest jaskrawy i złoty, że krzyku jego barwy nie mogły złagodzić zimne księżyca promienie. Migocą się blaski miesiąca w długich niciach pajęczych, które z cichym wiatrem się bawią, zimnym ogniem żywego srebra błyszczące.

— Cicho! Głosy jakieś słychać. Głosy tak smętne i posępne, jak smutną jest jesień. Oto na nieboskłonie widać ogromne stado dzikich gęsi. Lecą kątem ostrym w jasnej księżycowej nocy, gęgają smutno, opuszczając rodzicielską ziemię, Bóg wie, dokąd lecą...

Chłód wieczorny orzeźwił dziewczę, dodał Odzie sił, przytomności, mocy. Biegnie koło domostw, do sklepów, gdzie więżą Nieborę. Idzie i co chwilę przystanie, patrząc, czy żołnierza gdzie niema, czy straż jej nie widzi...

Przy bocznej bramie zobaczyła oszczepnika. Przytuliła się do muru i stała nieruchomie, jak kamienny posąg. Przytuliła się do zimnej, wilgotnej ściany...

Żołnierz szedł miarowym krokiem, oddalając się coraz bardziej. Wnet zniknął za węgłem domu. Tyle czasu miała Oda, że wpadła w otwartą sień. Tu schowała się za drzwiami...

Słyszy, jak żołnierz, chodząc tam i z powrotem, wraca. Coraz bliżej i bliżej słychać echa jego żelazem podkutego obuwia... na tle palisad błysnął jego miecz, zaiskrzył się księżyc w jego hełmie. Wnet minął bramę, odchodząc w drugą stronę...

Wtedy, jak strzała, wyniknęła się Oda...

Po urwisku, zarosłem zielskiem, leci dziewoja w dół. Tam są kazamaty i lochy w kamieniu. Tam skonał Msta. Tam jęczy Niebora...

W kamiennych wierzejach stoi oszczepnik.

Oda schowała zimny jak lód klucz w zanadrze koszuli, ścisnęła rękojeść ukrytego tam noża...

— Albo wysłucha mej prośby, albo...

Popatrzyła w niebo.

— Broń mię, Panie... Ja nie chcę krwi... A jednak, jeśli niema innej drogi...

Złożyła ręce do modlitwy.

— Ty mi pomóż, Ty mnie uwolnij od krwi...

Pędem poleciała wprost do żołnierza.

— Ulituj się! Ulituj!

— Hrabianka! Co ci jest dostojna?

— Ratuj mnie!

— Życie me jestem gotów ci darować.

— Wody! Wody!

— W czeladnej izbie kotły pełne...

— Idź do krynicy... do źródła...

— Garnca, ani miary nie mam...

— Masz hełm żelazny...

— Biegnę!

Żołnierz zniknął za wałem. W lot do żelaznych drzwi pobiegła dziewczyna. Dwa razy zazgrzytał zamek, z oporem odchyliły się ciężkie drzwi... Przy ścianie...

Przy ścianie stał Niebora. Oczy miał straszne. W rękach okropny głaz... żelaznemi rękami wydobył go z kamiennej ściany, aby drogo sprzedać życie... Już ma straszliwy ciężar spaść, zgnieść, zmiażdżyć Odę...

— Kobieta?! Co ty tu robisz?

— Milcz! — zawołała po polsku Oda.

— Tyś przyszła...

— Uchodź!

* * *

Zazgrzytały dwa razy drzwi, Oda wybiegła na pole, stanęła przy kamiennych wierzejach, wzięła do rąk zostawiony przez żołnierza oszczep.

Wnet żołnierz przyszedł z odkrytą głową, niosąc w hełmie wodę.

— Dziękuję ci bracie. Dzięku .

Napiła się, zmyła zimną kryniczną wodą skronie.

— Dziękuję ci. Ojciec mój ci to zapłaci.

— Czy lepiej ci dostojna?

— Woda twa mi pomogła. Bywaj zdrów. Zgłoś się jutro do mnie.

— Dobre słowo twe, najlepszą dla mnie nagrodą.

— Zostań zdrów — rzekła odchodząc Oda.

Znikła na rogu zamczyska, szła wolno po stopniach pagórka do pałacu, gdy wtem zatrzymała się, pomyślała chwilę i wróciła do strażnika.

— Czy ty wiesz, kto siedzi v tym więzieniu? — zapytała oszczepnika.

— Wiem. — Niebor .

— Pamiętaj pilnowa .

— Taki mam rozkaz.

— Tu — rzekła Oda wskazując żelazne drzwi — straszliwy zbrodniarz siedzi.

— Wiem o tem, będzie mu jutro ciepło.

— Straszną śmierć poniesie.

— Pal, to za mała za jego bezbożne czyny kara.
— Zaklinam cię, pilnuj drzwi.
— Bądź spokojną hrabianko.
— Pilnuj!!!

Niebora wypadł z lochu i znalazł się między zaułkami drewnianemi budowli, w których mieszkała załoga zamkowa.

Nie pojmował on, co się stało, kto go uwalnia, co za dziewczyna, czemu wolność ma przypisać, to wie, że wolność należy wyzyskać, wydobyć się z braniborskiego częstokołu.

Obejrzał podwórze zamkowe, zna je z dawien dawna od dziecka w słowiańskiem dworzyszczu przebywał, wie jak biegną częstokoły, gdzie idą uliczki zaułków, którędy wyjście i droga do ucieczki. Okiem starego żołnierza patrzy na nowe niemieckie budowle, zgóry wie, gdzie straż rozstawiono, gdzie się w drodze natknie na pilnującego oszczepnika. Aby dojść do bramy, obejść musi dookoła dworzec, aby obejść dworzec, musi się spotkać z żołnierzem, który czuwa przy małej bramce prowadzącej do łodzi. Nie tędy droga do ucieczki, bo przy łodzi i za przekopami gęste domy żołnierskie zagradzają drogę.

Nie omylił się stary Wilk. Nie widział zdaleka straży, a jednak zgadł, że przy bramie na wałach stoi zbrojny. Wsparty na oszczepie, patrzył na palisady w dal. Przystanie, patrzy i patrzy, potem znowu chodzi tam i z powrototem, długą ścieżką równym jednostajnym krokiem mierząc.

O walce z nim nie było co myśleć. Niebora żadnej nie ma broni, a w rękach żołnierza oszczep błyszczący, przy boku przypasany miecz. Nie o broń tu chodzi, nie o walkę nawet, której władyka się nie boi; jeden krzyk żołnierza zbudzi warty, zgromadzi pogotowie, a wtedy biada...

Przytulony do palisad posuwa się Niebora naprzód. Szczyty częstokołu rzucają na dworzyszcze cień zębatej, ogromnej piły.

Częstokół skończył się. Teraz trzeba iść na światło, trzeba oszczepnikowi wejść w oczy. Rozejrzał się władyka naokoło, oczy jego biegną po dworcu, bystro po wałach i palisadach biegną. W częstokole tkwiła cieńsza od innych łubka dębowa, głęboko osadzona w ziemi. Ujął rękoma drzewo Niebora; młode jest, zdrowe. Zachwiał nim kilka razy, pochylił się ku ziemi, oburącz z gruntu bal ciągnąc. Zwolna wyszedł z ziemi kloc.

Ujął go Wilk w prawicę, do serca ufność wstąpiła na myśl, że posiada broń.

Nad wewnętrznym częstokołem gęste zielska rosną. Są tam przekwitające dziewanny, mietlice i ogromne, brudno-czerwonym kwiatem pokryte osty. Łopuch liściem od łopat większym, szerokie zatoczył koło, kryjąc ziemię, zwieszając się nad iglicami palisad. Gęste chabiny żywego płotu nad częstokołem wiszą. Za płotem bujnie rozrosły się leszczyny.

Koło leszczyn chodzi żołnierz wydeptaną na wałach ścieżką, u jego stóp prawie, pod baldachimem żywopłocich prętów Niebora się chowa.

Skurczył się i zgiął władyka, bo ogromny chłop przewyższyłby głową iglice ostrokołu.

Żołnierz minął leszczyny, wrócił się i idzie z powrotem. Uszedł dwadzieścia kroków, może trzydzieści, łukiem wałów skręcił na lewo, dęby na wałach rosnące zakryły go.

Niebora wtedy skokiem kota wydobył się na częstokół. Ciągnie za sobą pal dębowy, ręce jego siecze cierniami płot, parzą pokrzywy, kłują osty. Wnet dostał się w gąszcz leszczyn i jak głaz nieruchomo stoi.

Oszczepnik wyłonił się z za pni dębowych, z powrotem ku leszczynom idzie. Rękę na oszczepie, jak na ogromnej lasce wspiera, idzie równym krokiem za palisady, za wały, za wody oblewawające warownie patrząc. Zbliża się i zbliża, już na dziesięć kroków przyszedł, już długość oszczepu dzieli go od władyki... zrównał się z nim...

. . . . . .

Liść leszczyny się zachwiał. Zadrżała zielona gałązka z wiszącym na niej, zielejącym koszyczkiem orzechów... chwiała się, jakby poruszona ludzką ręką...

Żołnierz stanął... Wlepił oczy w leszczynę... Już chce wejść w gąszcz liści... gdy w tem...

— Jezu!!!

. . . . . .

Okropny cios, kołem dębowym zadany, zwalił go na ziemię...

Niebora dobył z za pasa jego miecz, zeskoczył z częstokołu i chyłkiem ku bramie leci. Co krzak przystanie, bo...

Oto drugi strażnik, usłyszawszy krzyk żołnierza, na pomoc leci. Leci koło Niebory... ledwie go nie dotknie.., minął go!

W kilkunastu olbrzymich skokach był już Niebora przy bramie. Tam stoi trzech...

Na pierwszego z nich z mieczem w ręku spadł niespodzianie jak piorun. Pozostali dwaj popatrzyli na człowieka, który się nagle zjawił.., Straszny krzyk wydarł się z ich piersi:

— Niebora!!

W strachu okropnym przed cudem... ratując się przed straszliwym zjawiskiem... skoczyli do wody. Brodem biegną, płynęli do trzcin, lecą mielizną, żeby się ukryć przed szatanem, olbrzymem duchem... przed człowiekiem, którego imieniem niemieckie matki w marchji zachodniej dzieci swoje straszą...

Za miastem wleciał w chłopskie ogrody, minął zagony, dopadł lasu. Nie spoczął aż w przepaściach boru w jarze, gdzie mieszka wilk, gdzie w jaskiniach niedźwiedź swe łoże ściele. Ranek jesienny wschodził, złote słoneczko zaczęło się wdzierać na zapadły las, jaskrawiąc złote i czerwone liście, które jesień swemi barwami złocić zaczynała. Nad urwiskiem wisiały ogromne ostrogi, obsypane czarnemi perłami słodkiego owocu. Przy jagodach...

Patrzy Niebora na jagodami obsypane gałęzie... Kto to?

Jak sarna wybiegło jakieś jestestwo, uciekając w bór, topiąc się w mateczniku podszytego lasu.

— Stój! Stój! — wołał Niebora.

Uciekającej istocie snać był głos władyki znanym, po chwili bowiem z gąszczu krzaków ukazała się istota jakaś... Obdarta, brudna... w bujnych włosach iglice sosen i puchy ostów... nogi od kolców bliznami okryte. Chwilę patrzała twarzyczka dziewczęcia z za czerniejących jesienią dzikich grusz... nagle... wybuchła płaczem ogromnym... Rozłożyła rączki i z krzykiem do władyki przybiegła.

— Niebora!!

— Toś ty, Sławotko? Toś ty, drogie dziecię moje!

— Ratuj mnie!

— Co tu robisz?

— Po puszczy się błąkam.

— Oddawna?

— Straciłam rachubę czasu, nie liczyłam, ile razy już zeszło słonko Boże.

— Samaś?

— O! sama! Wierzyłam dawniej, że nade mną jest wszechmocny Jesse, dziś, zdaje mi się, że zamknął nade mną swoją rękę Bóg!

— Uspokój się!

— Z dzikim zwierzem po jaskiniach mieszkam, błądzę, jak wygnany z chałupy pies.

Niebora spojrzał w jasne niebo. Siwe oczy miał łez pełne.

— Czy Ty słyszysz, o Boże?! Czy Ty widzisz, że my wygnańcy na ojców naszych ziemi!

* *
* *

Na zamku braniborskim popłoch.

Słońce zaledwie z za liljowych chmur wschodziło, ostatnia gwiazda bladła, a cała załoga była już na nogach.

Ludzie niemi z osłupienia chodzili, nie umiejąc wytłumaczyć sobie tego, co się tej okropnej nocy stało.

Nad zabitym na wałach żołnierzem stoi gromada ludzi; Dietrich, Bernard i Thiethmar wylegli, aby dociec powodu zbrodni, wpaść na trop zabójcy.

Rychło świt zbudzono ich z łoża, donosząc o morderstwie.

— Dębczak z częstokołu wyrwany.

— Niepospolita z gruntu dobyła go siła.

— Czy nikt nie słyszał krzyku zabitego oszczepnika?—pyta Bernard.

— Ja słyszałem — zawołał żołnierz, który również tej nocy pełnił służbę.

— Co słyszałeś?

— Przybiegłem na straszliwy krzyk: Jezu! Gdym przyszedł, żołnierz już konał.

— Na podwórcu nie było nikogo.

— Żywej duszy.

— Duch go przecież nie zabił.

— Kto wie—rzekł podejrzliwie Thietmar.

— Gdyby ktoś obcy do zamku wchodził, widzieliby go żołnierze na bramie.

— Tych przesłuchamy.

— Na bramę, chodźmy. Na bramę.

Cała załoga ruszyła na bramę. Tu nowa zagadka, nowe osłupienie. Na bramie był żołnierz jeden. W nocy zawsze sta-

wiano trzech, ubiegłego wieczora dziesiętnik trzech na straży wierzei postawił.

Żołnierz w bramie na ziemi... broczy we krwi.

— Co to? Co ci się stało — pyta się Dietrich.

— O! O! O! O!

— Twarz ma strasznie rozciętą, na ziemi pełno skrzepłej krwi.

— Kto to uczynił?

Żołnierz, leżący na ziemi, ledwie poruszał ustami. Blady był jak trup.

— Mów, mów!

— Niebora — zaszeptał żołnierz.

— Co?! Niebora?! — wyrwał się ogólny okrzyk.

Ludzie patrzyli na siebie wystraszonym okiem, oko oku dawało pytania, usta słowa z podziwu i strachu wymówić nie mogły, drżąc jak w febrze.

Milczenie przerwał Bernard.

— Być to nie może.

— Niebora w kamiennej zamknięty piwnicy.

— Przesąd.

— Nie przesąd, mówię — zawołał Thiethmar. — Czarci syn w dwoistej może się zjawić postaci.

— Do lochów chodźmy!

— Do lochów!

Przy więzieniu Niebory stał wartownik z oszczepem w ręku.

— Drzwi zamknięte?

— Zamknięte.

— Czuwałeś w nocy?

— Oka nie zmrużyłem.

— Nie widziałeś tu kogo obcego?

— Żywej duszy nie było, sami swoi.

— Nic nie słyszałeś?

— Słyszałem wołanie o ratunek...

— I co?—zapytał Bernard — opuściłeś stanowisko?

— A, broń Boże.

— Zuch z ciebie i rozumny żołnierz.

— Drzwi otwierać!

— Oszczepnicy, naprzód!

— Klucze podajcie!

— Wiszą nad mem łożem.

Wnet przyniesiono klucz, żołnierze ustawili się półkolem, nastawiając ostrze żelaza w kierunku lochu.

— Ty Mainswicie i Avikonie pójdziecie naprzód.

Dwóch najmocniejszych w załodze drabów weszło do szyi piwniczej. Wnet głośno zazgrzytał klucz od żelaznych drzwi. Mainswit i Avikon znikli w czeluści lochu.

— Dawać go!

— Odpokutujesz!

Po dość długim czasie, z jaskini wyszedł łucznik Avikon.

— A co? Jest?

— Co robi Niebora?

— Niemasz go!

— Jakto? Jakto?

— W jaskini niema nikogo.

— Kamień tylko ogromny z muru wydobyty przy drzwiach leży — rzekł Manswit.

— Co mówisz chłopie?

— Racz się wasza wysokość przekonać.

Z umysłów ustąpiło zdziwienie. Teraz serca chwyta, nieopisana trwoga przed cudem, duchem, szatanem.

Nie było duszy ludzkiej, którejby nie ogarnął okropny strach.

— Drzwi były zamknięte!

— Na klucz!

— Klucz przez noc nad łożem twem wisiał.

— Tak jest.

— Boże zmiłuj się nad nami.

— Djabeł! Antychryst! Bezbożny duch! Ludzie się żegnali.

Do Bernarda zbliżył się cieśla i dwóch parobków.

— Wszystko gotowe, dostojny panie.

— Co gotowe?

— Pal ostry, uprząż z postronków gotowa...

— Będzie mu ciepło. Aby go lepiej konie na pal wewlekły, skręciłem nowy bat.

— Wsunie się jak piskorz.

— Litości nad tym łotrem nie miej, margrafie!

— Cóż? Pal gotowy! Wziąć nań poganina? Zacząć panie?

— Idźcie precz!—szeptał Bernard, wracając do dworu, żegnając się, szepcząc słowa modlitwy:

— W Tobie, Panie, położyłem nadzieję, nie będę pohańbion na wieki.

* * *

A gdy strach zniknął, zaczęła się buntować rycerska i wojenna dusza.

— Ja w to nigdy nie uwierzę — zawołał Bernard, chodząc ciężkim po izbie krokiem.

— W czary wierzą baby i klechy, lecz nie mąż zbrojny.

— Nieborę wypuściła z lochu zbrodnicza ręka...

— Tak mniemasz?

— Jestem tego pewny.

— Ha! jeśli znajdziesz tego dowody...

— Hola! Służba!

— Co chcesz czynić?

— Strażnika tu zawołać!

— Dobra myśl. Mógł być w spółce.

— Przesłuchamy go.

— W razie potrzeby ogniem przypiekę.

— Kości na torturach połamię!

W izbie rycerskiej zjawił się strażnik.

— Ty lochu pilnowałeś?

— Ja.

— Czuwałeś całą noc?

— Oka nie zmrużyłem.

— Nie opuściłeś stanowiska ani na chwilę?

— Owszem. Opuszczałem.

— Jakto? Co mówisz?!

— Uczyniłem to na rozkaz córki twej, jasnej hrabianki Ody.

— Co?! Ona?! Przy lochach w nocy była?

— Poleciła mi przynieść krynicznej wody.

— I ty poszedłeś?

— Rozkaz twej córki, panie, jest dla mnie świętym.

— Dlaczego ci to uczynić kazała?

— Była chora, bardzo chora.

— W istocie córka moja tej nocy zasłabła.

— Gdym na jej rozkaz do źródła pobiegł po wodę...

— Niebora wtedy uciekł?

— Nie, nie, panie. To się wtedy stać nie mogło.

— Dlaczego?

— Jesteś tego pewnym?

— Tak jest, dostojny panie. Drzwi były zamknięte, wrzeciądze nienaruszone, gdym powrócił, hrabianka sama w ręku oszczep dzierżyła, więzienia pilnując.

Bernard zamyślił się, a targając włosy w brodzie, rzekł:

— Rzecz, zaiste, bardzo dziwna, że aż krynicznej trzeba jej było wody. W czeladnich izbach kotły pełne wody stoją.

— Czyżbyś ją podejrzewał, margrafie — zapytał Thiethmar...

— Ja?! Hrabiankę? Broń Boże! Któż to mówi?

— Sądziłem...

— Ależ to potworna myśl mniemać, żeby ona miała co wspólnego że zbrodniarzem Nieborą.

— Nikt tego nie myśli.

— A przecież w dworzyszczu braniborskiem dziwne, zaiste, rzeczy się dzieją.

— Wszak nie dawniej, jak tydzień temu, niewiadoma ręka wypuściła z lochów dziesięciu jeńców polskich, zanim zbadać mogliśmy, w jakim to celu oni po siołach hawelańskich myszkowali.

— Tak jest w istocie.

— Straż przekupiona...

— Nie, nie. Ja jestem pewny moich ludzi.

— Co myślisz o tem, bracie — rzekł Bernard do margrafa Dietricha.

Dietrich siedział przez czas rozmowy pochmurny, milczący, jakby niemy.

— Może ja to wyświecę—rzekł.

— Czy przypalić na torturze strażnika?

— Nie, nie. Puść go, puść — zaszeptał ojciec Ody, idąc do myśliwskiej izby.

* * *

Tu upadł na krzesło, zagryzł wargi, zmarszczył brwi. W głowie jego zrodziła się myśl... straszna myśl. Oblicze bladością się powlekło, w oczach dziwne ognie zapłonęły, ręka kurczowo ściskała się w pięść. Umysł jego rozstrząsał wypadki tej nocy. Wierzy w chorobę dziecka, odpycha podejrzenie, że Oda szła w nocy po klucz... Przez sen przypomina sobie, że, gdy ją ujrzał, miała podniesioną w górę rękę, jakby... O... O!

Krew kipi... w głowie się mąci, wściekłość zmysły odbiera.

— Przecie to niepodobieństwo—szepce zmęczony rozpaczą, sam do siebie.

A podejrzenie wraca. Wraca i szepce Dietrichowi do ucha:

— Ona to uczyniła.

Dietrich otwarł szeroko oczy...

— Nie, nie. To być nie może — szepce ojcowskie serce.

— A przecie wszystko mówi za tem, że tak jest, przekonywa rozum.

Wsparł głowę na ręce, palce utopił w siwiejącej czuprynie.

— Przekonać się muszę.

Powstał, klasnął w dłonie, wnet zjawił się sługa.

— Gdzie jest rycerz Kiza?

— Na polowanie wyjechał.

— Zawołaj moją córkę!

— Od wczesnego ranka niema jej, panie.

— Jakto niema?

— Ze sokołami wyjechała wraz z rycerzem.

— Co? Ona? Chora?

— Już wyzdrowiała.

— Odejdź! — wrzasnął Dietrich, targając włosy na głowie.

* * *

Przez cały dzień chodził margraf po pokojach, ciągle zaglądając w okno, patrząc i nadsłuchując, czy Oda z polowania nie wraca. Zniecierpliwił się czekaniem w dusznej izbie, spieszy na pole i naokoło warowni, po wałach, częstokół obchodzi.

Słonko zapadało, złocąc szczyty wieżyc zamkowych, gdy na moście warowni zatętniły końskie kopyta i Oda wraz z Kizą wjechała na dziedziniec zamkowy. Z za gęstych gałęzi wiśni widzi ją Dietrich, ciekawie się w jej oczy wpatruje.

Piękna jej twarz, kraśniała zdrowiem, w oczach iskrzyła się radość, koralowe prześliczne usta płonęły różami. Nad wszelki wyraz piękna krasawica wyglądać mogła na uosobienie wiosny w pełnym rozkwicie, na szczyt i wzór krasy kobiecej, na czarodziejkę, stworzoną na podobieństwo anioła... tylko nie na osobę chorą... Skrył się ojciec za wiśnie i olszyny, czekał aż dziewoja wejdzie do niewieściej izby.

Wolnym krokiem poszedł za nią. Zbliżył się do niej, czule pogłaskał jej czoło, jej bujne włosy i usiadł naprzeciw niej milcząc.

— Wydajesz mi się zmartwionym, ojcze.

— Zdrowiem twem się niepokoję — rzekł Dietrich, chmurnie na nią patrząc.

— Pozbądź się troski, ojcze. Już zdrową jestem.

— Tak? To dobrze. W nieszczęściach mych i kłopotach, jest to dla mnie pociecha.

— O nieszczęściu mówisz, mój drogi?

— Troski! Troski! moje dziecko.

— Cóż się stało?

— Nie obchodzą cię te sprawy — rzekł, wahając się, Dietrich. — Wy, białogłowy, nie zajmujecie się służbą cesarską.

— Powiedz przecież.

— Chcesz wiedzieć?

— O tak, ojcze. Wszystko, co cię cieszyć lub martwić może, obchodzi dziecko twoje.

— Otóż dowiedz się, że tej nocy Niebora uciekł.

— Uciekł? A to łotr — zaśmiała się Oda. — Co za bezwstyd!

— Śmiejesz się?! Nie dziwię ci się wcale, bo nie wiesz, ile nam zależało na tem, aby go mieć w naszych rękach.

— Ciebie ucieczka jego zmartwiła?

— Gdym się o tem dowiedział, rozpacz mnie brała.

— Rozpacz? Ojcze!

— No, no, pociesz się, moje dziecko. Zło jak sen minęło, znikła zgryzota...

— Co się stało?

Bazyliszkowy ogień zapłonął w oczach margrafa, ścięgna koło ust zadrgały śmiechem, który tłumił.

— Złapaliśmy Nieborę.

Dietrich patrzył na córkę.

Różowe jej piękne usta poruszyły się kurczowo, zresztą nie zmieniła się nic, jakby wieść słyszana żadnego na niej nie zrobiła wrażenia. Głosem obojętnym, znudzonym prawie, zapytała się:

— Taak?

— Napowrót jest łotr w naszej mocy

— Bardzo się cieszę, ojcze, że ci spadł ciężar z głowy.

— W jakiż sposób zdołał on ujść?

— Tego nie wiem. Może wyłamał zamek, może przekupił strażnika, może... kto wie, co się tam stało. Zabił żołnierza na małej bramie.

— Zabił?

— I zdołał się wydostać za bramę.

— Uciekł więc?

— Otóż szczęście, że nie. Ubiegł może kilka stai, gdy spostrzegli go nasi żołnierze i pochwycili, mimo nadludzkiego oporu. Spowity w powrozy, na nowo wrócił do więzienia i jutro rano idzie na pal...

Hrabianka teraz dopiero zaczęła zdradzać niepokój. Lica jej przybladły, oczy niespokojnie, jakby łzawo, w otwarte okno patrzyły. Wsparła na ręce śliczne, marmurowe skronie...

— Jutro rychło świt skona w straszliwych męczarniach — zaśmiał się Dietrich.

— Jutro...

— Teraz niema już obawy, aby uciekł. Piekielna moc nie wyrwie go z naszych rąk. Wsadzono go do więzienia o podwójnych żelaznych drzwiach. Tam naprzeciw małej bramy, gdzie więziono Sorabów łużyckich. Nawet strażnika nie postawiłem, tak jestem pewien zamków i kłódek. Gdy słonko ranem zejdzie, pójdziemy patrzeć na jego męki, teraz więc czas na spoczynek, czas...

— Dobranoc ojcze—rzekła, siląc się na obojętność Oda.

— Dobranoc.

Dietrich rozstał się z córką i szedł do swojej izby. Z progu wrócił się jednak, obejrzał dookoła czy nikt ich nie słyszy i rzekł szeptem:

— Byłbym zapomniał...

— Co rozkażesz, ojcze?

Raz jeszcze obejrzał się Dietrich naokoło.

— Słuchaj, moje dziecko—zaszeptał. — Dowiedz się, że ze wszech stron otacza nas nienawiść i zdrada. Nieprzyjaciele cesarstwa mają w naszym zamku stronnika, który wszystkie czyny nasze paraliżuje, wszystkie aamiary unicestwia.

— Cóż ja kobieta na to poradzę?—zapytała zimno Oda.

— Dziś poradzisz...

— Słucham cię.

— Dziś potrzebuję twej pomocy.

— Wszystko spełnię, co każesz.

— Nikomu w zamku ufać nie można, jedynie mi więc pozostało zaufać tobie, mojemu rodzonemu dziecku.

— Mów, ojcze.

— Jest podejrzanym, że klucznik jest w zmowie z wrogami, jest podejrzenie, że on uwolnił Nieborę.

— Ja zatem...

— Tobie na tę noc powierzę klucze od więzienia. Zachowaj je w twem panieńskiem łożu.

W duszy Ody zrodziła się myśl podejrzenia. Spojrzała bystro w oczy ojca.

— Dlaczego sam nie zatrzymasz na noc kluczy? U ciebie, ojcze będą pewniejsze...

— Nie, nie. Ja i Bernard śpimy twardo. Jeśli jest w domu złodziej, łatwo mu przyjdzie wydobyć je ode mnie.

— U mnie zaś...

— Otóż to—rzekł z przekonaniem Dietrich—że nikt się nie domyśli, żeby u ciebie były schowane. Zdrajca szukać ich będzie po całym zamku, tylko nie u ciebie.

— Wolałabym, abyś mnie, ojcze, uwolnił od tego — rzekła głosem, zdradzającym obojętność i znudzenie.

— Dlaczego?

— Mogę zapomnieć, mogę przez zapomnienie tajemnicę zdradzić...

— Drobnej przysługi mi odmawiasz?

— O, nie. Wola twa jest dla mnie rozkazem.

— Zatem uczyń to. Oto klucze.

— Rozkazowi twemu się poddaję.

— Dobranoc ci, dziecko drogie. Zamknę na wrzeciądze moje drzwi, senny jestem bardzo.

— Dobranoc.

Oda została sama.

Długo myślała nad rozmową z ojcem. Czoło jej pokryło się chmurami, w duszy na chwilę zrodziło się straszne podejrzenie. Ale wnet pierzchło. Rozważyła każde słowo rozmowy ze swym ojcem. Wysnuła z niej spokój i ufność. Nerwowo ściskała w ręku klucze, które jej ojciec oddał. I znowu czoło przysłoniło się chmurą, w oczach była zaduma, w duszy wstrząsające swą grozą pytania.

— Przecie to ojciec... Co ja czynię, szalona! Przecie wojska nasze, to bracia moi...

Głowę pochyliła ku ziemi, rękę przytuliła do ust, zagryzła różowe palce.

Ale wnet podniosła czoło w górę.

— Ty widzisz, Boże, że sprawa tych uciśnionych to sprawa słuszności, sprawiedliwości, Ty widzisz, że to słuszna i zacna sprawa, Ty mnie sądź, Wszechmocny.

Zaśmiała się.

— Wątpliwość? Ha, ha! czy mam stanąć po stronie gnębiących, czy gnębionych, czy trzymać z najeźdźcami, czy też z wolnym, ziemi swej broniącym ludem, który o święte prawa walczy, o najdroższe prawa, jakich poczucie wlał w serce Bóg! Wątpliwość?! O, nie, nie... Serce mi odpowiedziało na moje pytanie.

Znowu zamyśliło się dziewczę.

— Ojciec—zaszeptało smutno.—Ojciec!...

Myśl o ojcu wzburzyła dziewczęcia sumienie.

Powstała Oda, idąc ku oknu, jakby jej tchu brakowało...

W rogu izby wisiał na ścianie ogromny krucyfiks. Spoczęły na wizerunku Zbawiciela oczy krasawicy, podeszła ku Niemu...

— Twoja wola, Ty, któryś umarł za wydziedziczonych, za pokrzywdzonych, Twoja wola, Opiekunie wszystkich, którzy cierpią...

— Twoja wola, Jezu!

Pochyliła głowę dziewica i kornie ucałowała nogi Chrystusowe.

* * *

Wcześnie pogasły światła we wszystkich izbach branibor skiego dworzyszcza. Spokój w zamku i cisza ogromna. Księżyc srebrny wszedł na niebo, rzucając przez okna w ciemnię izby jaskrawe prostokąty światła. Idą światła przez izby i idą, przesuwają się, oświecając puste stoły biesiadne i puste dziś łoża.

Dziesięciu ludzi chyłkiem z podwoi się wysuwa. Chyłkiem idzie Bernard, na palcach stąpa Dietrich, najciszej z nich wszystkich idzie Thiethmar, boku rycerzy się trzymając. Miał biedak straszne pytanie: albo zostać samotnie w izbie, po której w nocy chodzi opat, gwałtownie się o skradziony kielich, o nową trumnę upominając, albo iść na noc ze zbrojnymi na pole, gdzie wprawdzie także opat chodzi, gdzie jednak jest przecie ludzka żywa dusza.

Przyszył się Thiethmar i przyczepił do Bernarda, do tej strony jego, po której wisiał miecz; ma to uczucie, że radby wleźć

do rzemiennej pochwy, aby tam razem z mieczem siedzieć. Bo przecie i taki opat musi mieć respekt przed ostrem żelazem.

Gromada zbrojna zaułkami domostw idzie, kryje się za krzakami, unika światła księżyca. Do małej bramy nie prosto idą, ale okołem, aby nikt nie widział, dokąd idą i poco tam idą. — Dietrich opuścił zamek około głównych wierzei, doszedł do mostu zwodzonego, tam pnie się na wały, wałami ku małej bramie idzie, kryje się za grabowe opłotki, za zielska, które bujnie na brzegu nasypów rosną.

Cisza ogromna.

Pustka na podwórzu braniborskiego zamczyska. Nikt nie zgadnie i nikt nie wie, że tam za każdym krzakiem siedzi żołnierz, w każdym wyboju kryje się oszczepnik, że w zaułkach częstokołu czyha Bernard, Dietrich i Thiethmar.

Noc jesienna, pogodna, ciepła i urocza. Księżyc wypłynął na niebo, srebrem się iskrząc na białawych pniach brzóz. Październik dopiero, a już liście pożółkły na jaworach i klonach i z szelestem na ziemię lecą. Podwórzec, zasypany liśćmi brzeziny, wygląda tak, jakby go kto miljonem złotych i czerwonych dukatów ustroił. Zerwał się pierzasty liść jesionu; jak łódź na wzburzonej fali, w powietrzu szybuje, zawirował w prądzie powietrza, ślizgnął się po fali i daleko od drzewa na matkę-ziemię leci. Leci, aby zgnić marnie, znawozić ziemię dla jestestw przyszłej wiosny. Spadł między bukiety rumianków, między oszczepy dziewanny, których nie zmroziło zimno jesieni, które ostatniemi kwiaty jeszcze ziemię stroją.

— Omyliliśmy się — zaszeptał Thiethmar .

— Odrazu to mówiłem. Podejrzenie było niedorzecznością.

— Chodźmy do domu.

— Coraz chłodniej, północ się zbliża.

— Czekajcie — zaszeptał Dietrich.

— Chodźmy! Chodźmy!

— Jak miałeś podejrzewać...

— Przecie to niedorzeczna myśl.

— Cicho...

— Patrz, patrz...

Zlekka uchyliły się boczne drzwi modrzewiowego pałacu, postać jakąś białą widać we wierzejach. Wychyliła główkę na pole, patrzy na wszystkie strony, rozgląda się i patrzy...

Widząc na podwórcu martwotę i pustkę, wyszła przed zamek i chyłkiem idzie koło ściany. Znowu stanęła, znowu nadsłuchuje, patrzy naokoło, dłoń do ucha przykłada i słucha.

Cisza grobowa.

Zjawisko wyszło na podwórzec, zbliżyło się do więzień przy małej bramie. W promieniach księżyca łatwo ją poznać; srebrne światło oblało jej piękną twarz, jakby z białego marmuru wykutą jej białą postać; istota ta wydaje się być siostrą rozmarzonej nocy, wygląda jak Łada, bogini miłości, która pełna urody, nieopisanej krasy, zstąpiła z niebios na ziemię.

W koszulinie jeno idzie dziewoja, przepasana krajką. Bielutka pierś srebrzy się w świetle miesięcznem, bose, różowe nóżki toną w dywanie żółtych liści, głośnym szelestem grając za każdym jej krokiem.

Stanęła przy wierzejach u małej bramy. Jeszcze raz się obejrzała na wszystkie strony, jeszcze raz ucho jej echa nocy bada; przystąpiła do żelaznych drzwi, dobyła z zanadrza kluczy i...

Zazgrzytały zawiasy, otwarły się żelazne wrota...

. . . . . .

— O! O! O!

Jak gromada kruków, rój czarnych postaci spada.

— Toś ty! Toś ty!

— To ty, wyrodna moja krwi!

— Zdrada!

— Przeklnę własne dziecko, przeklnę cię, wyrodku!

— Zmowa z wrogiem cesarza!

— Hrabianka Oda!

— Do klasztoru z nią! Do klasztoru!

VII.

W całem cesarstwie brzmią hasła bojowe, po miastach i warownych zamkach sygnały trąb na wojnę zwołują rycerstwo. Z każdego grodna ku Alpom oddział zbrojny jedzie, margrafowie i lennicy ślą pomoc cesarzowi, który idzie bić się do Włoch. Jak pszczoły po dziennej pracy z pól i ugorów, z lasów i łąk, z lip i dziewann w jedną stronę lecą, w jednym miejscu się gromadzą do jednej barci dążą, gdzie mieszka ich pani, królowa - matka

pszczelna, tak ze wszystkich stron Niemiec rycerstwo pod Alpy zdąża, połączyć się z wojskiem, stanąć w olbrzymim rycerskim roju, otoczyć swego króla i pana.

Co najlepszy pancerz bierze żołnierz z domu, najlepszy miecz, najlepszy łuk wybiera, żegna żonę i dzieci. Bóg wie, na jak długo, może na rok, może na zawsze...

Do Włoch powołują cesarza Ottona II cele i ważne wypadki. Możnowładcy rzymscy obwołali papieżem Bonifacego VII, przemoc jednak motłochu strąciła go z tronu tak, że musiał ucieczką ratować życie i do Bizancjum przed pospólstwem się schronić.

Idzie cesarz na Rzym, stanąć w obronie Stolicy świętej, w obronie prawowitego następcy św. Piotra. Jedzie mścić się za znieważenie świętego urzędu, nowym blaskiem okryć pohańbioną potrójną koronę.

Drugim równie ważnym celem wyprawy było wywalczenie i ustalenie praw, jakie sobie rościła cesarzowa do południowych Włoch. Zabrało je i wydarło Bizancjum, panował w dziedzictwie Teofanji cesarz Bazyli. Dla zdobycia kraju i dziedzictwa ukochanej cesarzowej, rycerstwo niemieckie za Alpy wraz z swym monarchą zdąża.

* * *

W braniborskie dworzyszcze jedzie z długiej dalekiej drogi Wilhelm. Kilka miesięcy go tu na północy nie było, kilka miesięcy nie widział braniborskiego grodna, nie widział perły, skarbu i klejnotu, jaki braniborski dwór zdobi... Adelajdy.

Rozkaz cesarza z Braniboru nad Ren go powołał, z rozkazu cesarza dziś napowrót do Braniboru jedzie.

Jedzie zwiastować wojnę, wyprawę do Włoch, jedzie zwołać rycerstwo, aby pod rozkazami Dietricha i Bernarda, pod chorągwią ich, wrócić do cesarza i z nim iść za Alpy.

Rycerski strój dziś Wilhelma zdobi, wojenny rynsztunek. Szaty pazia zamienił na łuskową zbroicę, nie lutnię, lecz łuk ma przez ramiona przewieszony, przy boku w grube rzemienie spowity stalowy miecz.

Z radością do Braniboru leci, zdala okiem na widnokręgu jego wieży szuka; zamajaczyła wśród lasów stara warownia, rozradowały się oczy młodego rycerza. Wilhelm rozpoznaje częstokoły i baszty, rozpoznaje okna, w których mieszka pani jego serca,

pani jego pieśni, nad pieśń ukochana Adelajda... Ona jedna wie o ogromnem uczuciu, jakie w sercu jego goreje, ona, ta, której pieśni serdeczne śpiewał, u której okien tyle księżycowych spędził wieczorów, razem ze słowikiem hymn miłości nucąc...

Ona dotąd dla niego, jak lód zimna, jak posąg kamienny bezlitośna...

Na widok zamku spiął konia ostrogami, aby zalecieć prędzej, aby ją widzieć, aby zaśpiewać piosenki słyszane i wyuczone na dworze cesarza. Może teraz piosenka jej serce rozgrzeje, może nuta lutni dziewosłębem miłosnym w jej serce się wkradnie, iskierką, która wielki ogień miłości roznieci. Jedzie z wielkiego świata, cesarskiego dworu. Nowy polor tam zdobył, nowe wieści, nowe światla niesie z cesarskisgo dworzyszcza, które gwiazdą kultury na horyzoncie Niemiec płonie.

Dopadł zamku.

— Czy jest margraf?—zapytał Thiethmara.

— Niemasz nikogo.

— Wyjechali?

— Książę Bernard z rycerstwem na ryby do Jezierza się udał.

— Co mówisz? Rybołówstwem się trudnią? Robota to dla chłopów.

— Nie, nie. To wspaniała rycerska zabawa.

— Rybołówstwo?

— Książę Bernard najpiękniejszą rozrywkę z wieśniaczej pracy wymyśleć umiał.

— W jaki sposób?

— Wiesz, że na jezierskich stawach ogromne szczupaki się roją. Gdy ryba jak struna wyciągnięta na wodzie stoi, Bernard celnym rzutem strzały na wylot ją przeszywa. Znasz jego oko...

— Wiem, wiem. Raz na dziesięć razy chybi.

— Na sto, nie na dziesięć.

— Czy rychło powrócą?

— Pod wieczór będą w domu. Odpocznij tymczasem. Pyłem pokryty jesteś, pianą pokryty twój koń.

— Dziesięć mil dziś przebiegłem, całą noc do Braniboru jadąc.

— Ważne wieści z dworu cesarskiego niesiesz?

— Wieści o wojnie.

— Wojna!

— Jedziem do Włoch.

— Wiadomo nam było, że cesarz gotuje się na tę wyprawę, wszak margraf pułki doborowego rycerstwa zaciągnął, na słowiańskich nawet książętach posiłki wymógł.

— Tysiąc jeźdźców dostarczą Hawelanie.

— Nikt jednak nie sądził, że wyprawa zacznie się już teraz pod jesień...

— Przez Alpy trzeba przejść koniecznie, tam wieczne śniegi leżą.

— Taka wola cesarza.

— Za Alpami, gdy Rzym miniem, wieczna zieloność i wieczysta wiosna.

— Choć tam wiosna, tęsknić będziecie za swoim krajem

— Tym radośniej ojczystą ziemię powitamy.

— Gdy do Braniboru wrócicie, wielka uczta i wielkie wesele was czeka.

— O czem mówisz?

— O weselu...

— Adelajdy, synowicy margrafa...

Wilhelm zbladł. Usta jego słowa wymówić nie mogły. Wstrzymał dech i otwarte szeroko oczy w koślawą postać uczonego kronikarza wlepił. Był pewny, że się przesłyszał, usta jego bezmyślnie, jak echo pytał:

— A-de-laj-dy?

— Tak jest. Naszej ślicznej Adelajdy.

— Ona!—krzyknął Wilhelm.

— Cóż się tak dziwisz?

Młody rycerz przyjść nie mógł do siebie. Zdawało mu się, że to, co słyszy, jest snem okropnym. Śniło mu się, że każde słowo Thiethmara jest żmiją jadowitą, która go kąsa i jadem zatruwa. Dziesięc, sto żmij z ust Thiethmara wypełzło, sto żmij kąsa... Zdaje mu się, że straszny wypełzł wąż, rozdarł mu pierś i wkrada się do serca i krew ssie. O! skrwawiony łeb wydobył ze serca, śmieje się mu w oczy i mówi:

— Jej ślub, jej ślub...

— Co ty mówisz Thiethmarze? — zapytał osłupiały Wilhelm.

— Co mówię? Mówię, że ona zamąż idzie.

— Za kogo?

— Za Mściwoja.

— Księcia Obotrytów?

— Tak jest.

— Za tego poganina?
— Za poganina.
— Boże!!
— Dziwisz się temu?
— I ty się pytasz, Thietmarze?
— Nietylko ja i ty, ale wszyscy się temu dziwimy, wszyscy się tym ślubem gorszymy.
— Widzisz, o Boże? — zawołał Wilhelm, zasłaniając rękami oczy.
— Boga wzywasz? Oj, cierpliwy ten Bóg, cierpliwy bardzo.
— O ohydo!
— Ja się dziwię, że dobry Pan Jezus wszystkich Hawelan wraz z Sorabami, Polakami i Czechami piekielnym ogniem nie wytraci.
— Słuchaj Thietmarze — zapytał Wilhelm drżącym ze żalu i zgrozy głosem — powiedz mi, jak się to stało, w jaki sposób się to stać mogło?
— Ślub Adelajdy z Mściwojem zabezpieczy na długie lata pokój na północy państwa. Mściwoj w zamian za rękę Adelajdy wiedzie ze sobą na wojnę tysiąc w żelazo zakutych rycerzy.
— I zgodziłaż się na to rodzina, zgodził się książę Bernard?
— Ha, no, zapytaj się, oto margraf do domu wraca...

Wilhelm nie pytał się już margrafa. Nie zwierzał się nigdy wyraźnie z tego, co w sercu goreje, tembardziej więc teraz nie chciał tajemnicy swego serca zdradzać.

Poco? Żeby zdradzić swe pohańbienie, żeby pokazać zdeptane uczucia, rozdarte serce. Chwiejnym, błędnym krokiem poszedł do myśliwskiej sali, upadł na dębową ławę, ręce zatopił we włosach, twarz zakrył, aby nie dać poznać, że sercem, duszą, jestestwem całem szarpie ból...

Pragnął uniknąć widoku Bernarda. Ale margraf wysłańca cesarskiego po zamku szukał.

— Jesteś Wilhelmie?—zapytał książę saski. — Jakie wieści przynosisz.
— Wojna!—rzekł, udając spokój i obojętność.
— Wiemy o tem.
— Za tydzień cesarz wyruszyć kazał.
— Już za tydzień? Gdzie spotkamy się z jego wojskiem?

— Czeka na nas w Kostnicy*) nad jeziorem Wenedów.

Na dziedzińcu ozwały się trąby.

— Ktoś jedzie!

— Margraf Dietrich z dalekiej powrócił podróży — oznajmił do pokoju wchodzący Kiza.

— Powiedz przezacnemu, że ważną mam mu zwiastować nowinę.

Wnet wszedł do izby margraf Dietrich. Włosy mu posiwiały, na czole zmarszczek przybyło, oczy miał zapadłe, snać ból i rozpacz żarła jego serce.

— Wracasz, Dietrichu?

— Z Kalwy prosto jadę.

— Klasztor Bogu poświęconych panien, margraf Gero tam nad Solawą postawił.

— Odwiozłeś za kraty klasztorne dziecko?

Margraf upadł zmęczony na ławę i podparł ręką swą głowę.

— Moje dziecko — zaszeptał z rozpaczą Dietrich — moje dziecko.

— Przestań rozpaczać, nie czas dziś na żale.

— Wieść ze dworu nadeszła.

— Wieść? Jaka wieść?

— Wojna!!

* * *

Nigdy jeszcze tyle rycerstwa stare mury Braniboru nie widziały. Ze wszech stron marchji ściągają wojsko, wszystkie grody hawelańskiej, lutyckiej i obotryckiej ziemi, żelaznych na wojnę wysyłają rycerzy.

Niemieckie załogi grodów i miast przez Niemców opanowanych, do Braniboru spieszą, do Braniboru ściągają Mściwoj i Mieczysław słowiańskie zbrojne chłopstwo.

Z Kamienia[1]), Poddębia[2]), Małahowej[3]), Brzeźnicy[4]), Perlejowa[5]),

---

*) Dziś Constanz, Konstancja nad jeziorem bodeńskiem (przypisek autora).

[1]) W łacińskich średniowiecznych dokumentach: Camon in terra Slavorum, niemiecki Hanaburg, Hamburg—Kamień (D. Schultz) (przypisek autora).

[2]) Podstupin, dziś Potódam (przyp. autora).

[3]) Malchin w Meklemburg-Zwierzynie (przyp. autora).

[4]) Priessnitz (S. Zarański, Geogr. im. słow.) (przyp autora).

[5]) Perleberg w Brandenburgu (przyp. autora).

Domic[1]), Bielogóry[2]), Glinian[3]), Bielczyk[4]), Turkawy[5]), jadą zbrojne oddziały, aby się wodzy margrafów poddać i w daleki zaalpejski świat iść z cesarzem.

Nie masz miejsca w braniborskim zamku na tyle rycerstwa, na polach więc obozem rozłożono pułki, słowiańskie zbrojne chłopstwo w chatach kmiecych stoi.

Rżą konie na ogromnym podwórcu zamczyska, żołnierstwo broń ostrzy, zapasy gotuje, lub gra w kości, liczne garnce piwa dla ochoty spełniające.

Jednym z ostatnich przybył książę Mieczysław z tarnowskiem rycerstwem. Aż do Braniboru odprowadziła go wierna i kochająca żona; łzami się zalewa Edyta na myśl o rozłące.

Zajechali na grojec braniborski w gościnę do margrafów, a Edyta nawet w wesołem gronie rycerzy i niewiast płacze i płacze.

Margraf każe nosić liczne dzbany miodu i wina, Mieczysław do trunku się leni, odsuwa od siebie kielichy, w cudne oczy żony patrząc, targany myślą, że te oczy, tę kochaną postać zostawić musi, w daleki świat jadąc. I nie jak rycerz, lecz jak żak zakochany płacze przy rozstaniu się i kwili...

— Smutne przeczucie w duszy mojej się rodzi — szepce do Niemki książę.

— Nie daj mu wiary.

— Ty wiesz, Edyto, że miłość mię w dom twego ojca wprowadziła, że nie twoje wiano, lecz ogniem buchające serce kazało mi cię poślubić.

— Równie gorąco cię pokochałam.

— Słuchaj, moja żono. Mówią ludzie, że małżeństwo to spalenisko miłości, że żona to owoc codzienny, który się sprzykrzy i spowszechnieje. Powiedz mi, kochanie moje, czy ty możesz to o mem uczuciu dla ciebie powiedzieć?

— Nie, nie! Mieczysławie...

— Sto razy dziś bardziej cię kocham, każdą mą wolną chwilę oddaję tobie, siedzę u twych stóp, patrząc w twe oczy, słuchając głosu twego. Gdy słowa twe słyszę, zdaje mi się, że

---

[1]) Doemitz w Brandenburgu (przyp. autora).

[2]) Wittemberge (przyp. autora).

[3]) Stendal w Brand. (przyp. autora).

[4]) Belzig tamże (przyp. autora).

[5]) Torgau, Górne Łużyce (przyp. autora).

w nich tętni nuta piosenek, słyszanych na dworze twego ojca, dzwonisz mi jak słowik, ty nad życie ukochana.

— Mój ty drogi!... Jedź, niech cię Bóg prowadzi, bij wrogów cesarza i wracaj do mnie.

— Będziesz mi wierną?

Edyta zachmurzyła się, posmutniały jej oczy.

— Obraża mię to pytanie, mężu mój.

— O ja ci wierzę, bez granic wierzę. Powiedz mi jednak...

— Co chcesz wiedzieć, Mieczysławie?

— Czy... Tłumią się myśli w głowie w tę godzinę pożegnania, chciałbym, żeby te ostatnie chwile całe wieki trwały, aby wypowiedzieć, co się dzieje w duszy mej.

— Mów...

— Czy mię kochać będziesz—kwilił Mieczysław — czy myśl twa do mnie należeć będzie, czy wspomnisz mnie, gdy w dalekim świecie tułać się będę...

— Bądź tego pewnym.

— Oto liście lecą z drzewa, a jak ten jawor przed oknem listek za listkiem traci, tak opuszcza mię każda dobra myśl, zostaje zimny, pusty, obdarty z nadziei pień duszy... Zimno w duszy, pusto, smutno.

Edyta pocałunkiem przerwała te smutne myśli, rodzące się w duszy męża...

— W dom żony kochającej cię, tęskniącej za tobą wrócisz...

. . . . . .

Tymczasem książę Bernard wydaje rozkazy. Przywołał do siebie rycerza Kizę i rzekł:

— Zastępcą moim w tym grodzie będziesz.

— Nie zawiodę twego zaufania, margrafie.

— Z ramienia brata mego, Dietricha, zwiedzać musisz zamki i miasta we wschodniej marchji, utrzymać w karności straże, które tam zostawiamy.

— Rozumiem, panie.

— Godność tę i władzę powierzamy tobie dlatego, boś w słowiańskiem języku biegły.

— Równie dobrze znam hawelańską jak i polską mowę.

— Na umysły słowiańskiego chłopstwa masz działać uspokajająco, wszystko uczyń, aby na północy panował ład i spokój...

— Uczynię to, panie.

— W razie potrzeby uciecz się do obietnic, do rozszerzania złotych nadziei. Jak kwiat zerwany w ogrodzie ma przedłużone życie, jeśli go do garnca wody wstawimy, tak zrozpaczona dusza istnieje sztucznem życiem nadziei. Los, jaki pogańskie ludy czeka, łachmanem różowej nadziei zasłaniaj...

— Uczynię, jakoś kazał.

— Wśród ludu szerz przekonania, że cesarz ich wierze sprzyja, kłam, że sprzyja nawet ich bogom, że szczerze pragnie szczęścia hawelańskiego ludu.

— Zapewnię ich o tem.

— Czy pułki są do drogi gotowe?

— Setnicy na twe rozkazy czekają.

— Jutro o świcie słonka, w imię Boże jedziem.

* * *

Jesień ma zawsze smutek rozstania, w rozstaniu dwojga kochających się istot jest rzewność, czar i poezja jesieni.

Oczy Adelajdy, twarz jej piękna, wdzięczy się do Mściwoja, jak te liście drzew, które pysznią się krasą złotą, stroją się jaskrawą farbą po raz ostatni, aby zlecieć i butwieć na ziemi. — Jutro zamrze ten śmiech, radość, jutro odjedzie kochanek, dla którego piękne lico dziewczyny w ponęty miłości się stroi. Posmutniała krasawica. Smutek w oczach Adelajdy, w uśmiechu nawet widać smutek, w oczach szklą się łzy, jak rosa, która błyszczała na złotych liściach jaworu.

Wraca z Mściwojem zdaleka, z puszczy, w której mówili o przyszłem szczęściu i dzisiejszem rozstaniu. Spowiadali się z wzajemnych uczuć, z nadziei, jaką w przyszłość położyli.

Słonko zachodzi, ze słonkiem zapada i kończy się ostatni dzień przed długą rozłąką. Jutrzejsze słonko ich w uścisku nie zobaczy, nim słonko zejdzie, Mściwoj pojedzie w świat daleki.

Idą do twierdzy braniborskiej. Widać zdala już wieżyce przez gałęzie jaworów z liścia do połowy ogołocone, widać częstokół i okna dworzyszcza. Nie kwiaty pod nogi zakochanych, ale żółte listowie jesień sypie, liście brzeziny wplątały się w bujne włosy Adelajdy, nakształt złotych amuletów jej piękną główkę strojąc.

— Chodźmy! Chodźmy!

— Czy widzisz, Adelajdo, to kwiecie dzwonków?

— Spóźniła się roślina i jesienią kwitnie.
— Kwiatek ten, jak uczucie w sercu kobiety...
— Jakie podobieństwo widzisz?
— Dopóki ciepłe słońce nań patrzy, kwitnie; mrze, gdy mroźny wiatr zawieje.
— Ty sądzisz zatem?
— Że dzwonek nie przetrzyma zimy...
Adelejda zakochanemi oczami spojrzała na zamyślonego Mściwoja.
— Dzwonek, o którym mówisz, burze przeciwności przeżył i przetrzymał. I jak kwitnął, tak kwitnąć będzie dla ciebie.
— Dla mnie, mówisz moja droga—zaszeptał Mściwoj, tuląc do siebie dziewoję.
— Dla ciebie, mój drogi, dla ciebie—szczebiotała krasawica, główkę na ramię rycerza skłaniając, w oczy jego patrząc...
Nagle wzdrygnęła się, jak ptak ze snu zbudzony, a oczy jej niespokojnie w gąszcz lasu spojrzały.
— Co to?
— Ty drżysz?
— Ktoś nas podsłuchuje.
— Wydaje ci się tylko.
— Patrz, oto gałąź jaworu się chwieje.
— Sarna spłoszona wpadła w gęstwinę.
— Nie, nie! Słucha nas ktoś!
— Uspokój się!
— Odprowadź mnie do Braniboru.
— Nie, jeszcze nie!
— Ściemnia się.
— Słońce świeci — rzekł z uczuciem Mściwoj — gdy przy mnie jesteś ty...
— Wyjdźmy z leśnej gęstwiny.
— Zostań jeszcze. Przecie ostatni raz cię widzę, ukochane dziewczę moje.
— Nie ostatni, mój drogi, nie ostatni! Ostatnie na cię spojrzenie rzucę wtedy, gdy wydawać będę przy zgonie ostatnie tchnienie...
— O moje ty słonko złote—zaszeptał Mściwoj.
Szczerość uczucia drżała w głosie Adelajdy, miłość widać było z rozkochanych jej ócz.
— W waszym obozie, na polach, poza grodnem hasła słyszę.

— Mnie one wołają. Odrywając mnie od ciebie, huczy to hasło w mych uszach jękiem pieśni pogrzebowej...

— Hasło rozłąki.

— Smutno mi jakoś i straszno.

— Odprowadź mnie.

— Ust mi daj...

— A będziesz mnie zawsze kochać?

— Każda myśl moja należeć będzie tylko do ciebie, Adelajdo...

— A więc pamiętaj—rzekło z uśmiechem dziewczę, chyląc główkę na ramię rycerza, podając mu usta wiśniowe...

A w oczach jej, w uśmiechu rozkosznym, była miłość wielka, oddanie się rozkochanej kobiety...

* * *

Ujął ją wpół i prowadził ku zamczysku; wnet minęli gąszcz olszyn i grabów, doszli do wód, które twierdzę dookoła opasywały. Szli brzegiem okopów rozmarzeni, zakochani, szczęśliwi. Nawet ogromne chabiny szuwarów, które zeschłe, smutną pieśń jesieni grają, zdawały się im szeptać o miłości, pieśń miłości śpiewać.

Bo jak ognisko w zimie rozgrzewa naokoło otaczającą go martwotę, tak płomień miłości stroi świat zakochanym urokiem poezji i czaru.

Odprowadził Adelajdę na zwodzony most, gdzie straż zamkowa stała.

— Bądź zdrowa!

— Żegnaj, mój drogi. Z okna mojego prześlę ci rano ostatnie pozdrowienie.

— Boże mój, Boże!

— Wzrokiem cię znajdę wśród tysięcy...

— Jadąc na czele mych wojsk, w twe okienko patrzeć będę.

— Nie ujrzysz zdaleka...

— Ciebie?

— Nie mnie, nie mnie. Mnie widzieć będziesz, ale zdala patrząc, nie ujrzysz moich łez...

Na białe lica Adelajdy spadło kilka łez, które jak perły rosy po białem lilji toczą się listowiu...

— Bądź zdrowa...

Ze ściśniętem sercem wracał Mściwoj. Od bramy zamczyska szedł w pola do obozu, gdzie echa rogów grały. I w jego oczach kręciły się łzy... Serce się ściska...

* * *

Słońce pożółkłe drzewa barwą krwi obłało i zapadło się za ogromne dęby jezierzyckiej puszczy. Liljowe niebo widać przez białe gałęzie brzóz, z wód Haweli mgła zimna ciągnie, niebieskiemi wstęgami po lesie się włócząc. Z puszczy wyleciało wielkie stado wron i kruków, nieprzeliczony sejm czarnego ptactwa snuje się po niebie.

Mściwoj wraca do obozu. Najkrótsza droga prowadzi go przez las, w którym prześnił błogie chwile.

Ciemniało już na świecie, gdy w gąszcz olszyn wszedł rycerz, spiesząc do stannic, skąd go hasła dolatywały.

Gęstwiną brzóz i poplątanych ostręg nie uszedł nawet stu kroków, gdy z leszczyn wyszedł jakiś człowiek i stanął mu w poprzek drogi.

— Wilhelm?

— Ja.

— W oczach twych gniew czytam.

— I pogardę—dodał Wilhelm, w którego głosie wściekłość drgała.

— Szalony! Czego chcesz ode mnie?

— Pytasz się, czego chcę? Jam był świadkiem twej z Adelajdą rozmowy, jam widział, gdyś jej usta całował...

— Widziałeś?

— Tak jest.

— To bardzo źle. Chyłkiem podsłuchiwać i podglądać może tylko człowiek podły.

— Milcz!

— Podsłuchiwać zdradnie, to podle!—powtarzam.

— Kraść cudzą własność jeszcze podlej.

— O czem mówisz?

— Żenisz się z Adelajdą?

— Tak jest.

— Stanie ci w drodze śmierć!

— Czyja?

— Twoja!

— Śmierć, mówisz?

— Śmierć!

— To jest możliwem, boć wszyscy jesteśmy śmiertelni. Wiedz jednak o tem, że jeśli zginę, to nie z twojej ręki.

— Zabiję cię!

— Ty? Ty mnie zabijesz?! Czego ty chcesz ode mnie i czemu wchodzisz mi w drogę?!

— Adelajdę kocham!

— Ty?! Adelajdę?!

— Od dwóch lat goreje serce moje...

— A ona?

— Jak głaz zimna dla mnie. Dla mnie, który jestem krewny jej miarą, ojczyzną, rodzinną mową...

— To śmieszny jesteś, pieśniarzu i godzien mej litości.

— Jakto?

— Wolna była droga do jej serca, do jej ręki. Dziś jednak, gdy ona mnie wybrała, gdy ja posiadam jej serce...

— Trupem padniesz!

— Albo ty!

— Broń się, nikczemniku!

— Żelazem w gardło wtłoczę ci te słowa — zawołał Mściwoj, dobywając miecza.

— Śmierć ci! — wrzasnął Wilhelm, rzucając się na przeciwnika.

Zazgrzytały żelaza, rzucili się na siebie dwaj dyszący wściekłością ludzie. Długi czas ustępował kroku Mściwoj, na którego słowa i broń Wilhelma spadły niespodzianie, bo nie przeczuwał nawet w młodym giermku swego rywala do serca Adelajdy. Odpierał razy ciężkiej szablicy Wilhelma, który parł go, w łeb ciosy mierząc, na życie jego godząc. Wnet poznał Mściwoj, że to nie rycerska rozprawa, lecz o zabójstwo idzie, a krew, jaką oblało się jego ramię, przez Wilhelma ugodzone, rozbudziło w nim pragnienie zemsty i krwawego odwetu.

— Zamordować mnie chcesz?!—wrzasnął.

— Zapłacisz krwią za jej usta, które pocałunkami splamiłeś.

— Próbuj, zbóju!

— Broń się!

— Przed ślubem moim z Adelajdą, przyjdę z nią naplwać na twój grób. Ściskać i całować ją będę na twym grobie...

— Psie pogański!

Z wściekłością rzucił się na giermka Mściwoj. Ogromnym rozmachem odbił cios Wilhelma, wymierzony w łeb, natarł na niego i straszliwem uderzeniem żelaza rozwalił mu głowę.

Bez jęku, bez tchu padł na ziemię Wilhelm. Ręce jego drżały, palce poruszały się konwulsją skonu, z głowy buchała kaskada krwi.

Stanął zwycięzca nad pokonanym wrogiem, który poruszał się kurczami śmierci.

— Jam nie winien — szepnął blady Mściwoj — jam nie winien.

Wziął w rękę garść liści jaworowych i otarł miecz z krwi. Spojrzał raz jeszcze na Wilhelma.

— Nie będzie żyć...

Wolnym krokiem poszedł do słowiańskiego obozu, gdzie czekali na niego zgromadzeni setnicy i brat jego Mieczysław.

* * *

Przed wschodem słońca zagrały trąby, zabiły kotły, odezwały się rogi. Całe Braniborsko zahuczało pobudką, która zbudziła ze snu ludzi.

Hasłom z warowni odpowiadają namioty, w których obozują wojska, które się w grojcu pomieścić nie mogły.

Dzika muzyka, hucząca na kształt burzy, zbudziła psy, które po chatach okropnie wyją.

Wnet w ordynku*) rozwinęły się szyki, z namiotów wyszło w szeregach żołnierstwo.

Na podwórcu stanęły roty, które w kazamarach twierdzy stały, zbrojni z żołnierskich chat przed okopami się szykują, w ogromnym podwórcu zamkowym zmieścić się nie mogąc. Stanęli w pustem polu, między twierdzą a słowiańskim obozem, szeregi swe rozwijając. Branibor z przysiółkami roi się jak ogromne ludzkie mrowisko.

Znowu zabiły kotły, znowu trąby grają. Na kaplicy braniborskiego zamczyska odezwał się cichy głos dzwonka, a na znak ten wszystko rycerstwo, wodą chrztu świętego zmyte, zwróciło oczy na twierdzę, na świętą kaplicę i padło na kolana.

Arcybiskup z Dziewina ofiarę odprawia świętą, kilkunastu zakonników w modłach mu asystuje. Leci ku niebu świata pieśń:

*) Ordynek—porządek, szyk.

„Kyrie Elejson“, żołnierstwo pomne, że nie wie, czy po śmierć, czy po życie do Włoch idzie, przystępuje do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej.

Pięć tysięcy mężów śpiewa wielki hymn Bogu, Branibor, to jedna wielka świątynia, której sklepieniem błękit niebios, której ołtarzem strojnym w szkarłaty i złoto, jest wielkie oko wschodzącego słońca.

Ucichły modły.

Ze zamkowych bram wyszedł tłum ludzki, ozwały się hasła pułkowników, rozkazy setników, a rój żołnierstwa zamienił się w długą bardzo kolumnę, na której czele margraf Dietrich i książę Bernard jadą.

— W pochód!

Wielka kolumna jeźdźców ruszyła na południe.

Żegnał ich znakiem krzyża świętego arcybiskup, modlitwy odprawiając, żegnała skinieniem ręki męża swego Edyta, Adelajda w okienku swem, na widok odjeżdżającego Mściwoja, gorzkie łzy wylewała.

W żelaznych ościeniach oszczepników iskrzy się wschodzące słońce, migocą się w tarczach błyskotliwe promienie.

Nad wojskiem widok dziwny.

W różowych mgłach rój jakiś czarny widać, dziwna muzyka dolatuje z pod namiotu złotych chmur, z lasów ciągną nieprzeliczone stada wron i krukkw. Jakby wyprawę wojenną przeczuły. One już trzeci dzień obmierzłe roki w lasach braniborskich odprawiają, leniwym tańcem po niebie się włócząc. Wyległy teraz i kraczą głośno. Minęły szeregi wojska, zabiegły kolumnie drogę, przeleciały przed jej szlakiem wężem wielkim, to znowu kupą i gromadą nad lasem się tułają.

Nieszczęście nam wróżą—rzekł Dietrich.

— Drogę nam przebiegły...

— Żywi nie wrócim...

— Precz z przesądem! W imię Boga!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

* * *

Nawłóczyło się ohydne ptactwo po niebie i siadło na borach.

Tam z przepaści wąwozów, z wiecznego cienia jarów, z jaskiń i gąszczu leśnego wlecze się na brzeg puszczy gromada lu-

dzi wynędzniałych, zgłodniałych i obdartych. Nędzę straszliwą widać z ich oblicza, w zapadłych oczach wyczytasz ile nocy przepłakali, ile cierpień przeżyli, ile razy dzień swych narodzin przeklęli...

To władykowie i kmiecie hawelańscy... Najeźdźcy spalili ich domy, zrabowali ziemię, spustoszyli pola. Aby w pogromie uratować życie, uciekli w puszczę, kryjąc się przed zbrojnym rozbójnikiem. Bo kto z kmieci miał odwagę stanąć w obronie swej ojczystej ziemi, tego dom zapłonął pożogą, ten skazanym był na nędzę i tułactwo.

Po borach wieść przeleciała, że wojska cesarza kraj opuszczają. Dreszcz radości przebiegł przez kraj, radość serdeczna, taka radość, jaką niesie słońce, gdy po pochmurnych dniach marca, jasno, szczerze do chaty zaświeci...

Wyszli biedni i zgłodniali ludzie na brzeg lasu, patrzą na wojsko, które długim korowodem się snuje. Jak daleko oko sięga, ciągnie się ogromny wąż o żelaznej łusce, połyskującej blaskiem hełmów, oszczepów i stalowych zbroi.

— Wojska wychodzą.

— Bóg spojrzał na nasz kraj.

— Spokój zapanował.

— Harfy nasze i gęśle zagrają.

— Zbudujem chaty na nowo, ziemię ojców uprawiać będziem.

— Zapanuje radość i wesele.

— Królewscy wszelką zbrodnię, wszelkie łotrostwo, w nasz kraj wnieśli.

— Opuszcza ziemię naszą ta czarna zaraza.

— Oni gorsi od zarazy...

— Jeśli mają wrócić, niech lepiej morowe powietrze nas nawiedzi...

Z gęstwiny leśnej wyszedł jakiś człowiek, na którego wszyscy zwrócili oczy.

— Niebora!! — zawołali wszyscy, na obrońcę hawelańskiego ludu patrząc.

Władyka wyszedł z jedlin, spojrzał na wojska, które widać było wdali. Czoło miał chmurne, brwi zmarszczone, z rozchylonych ust było widać białe zęby, w oczach świeciły iskry nienawiści...

Patrzał w niebo, to znów na wojsko, aby znowu wznieść oczy w błękity. Wreszcie podniósł rękę w górę i zawołał:
— Ty idź z nimi w drogę, Nijo!

* * *

Do zamku wbiegła klucznica ciężko oddychając, z oczami szeroko ze strachu otwartemi.
Wpadła do izby, gdzie płakały kobiety.
— Wilhelm krwią zbroczony leży.
— Wilhelm?!
— Próżno go dziś rano przed odjazdem wodzowie szukali.
— Pachołek jego czeka z koniem, aby wojsko dogonił, on sam martwy leży.
— Gdzie on jest?
— W lesie, za okopami.
— Żywy?
— Bóg jeden wie, Jeśli, trzeba go ratować.
Z pustego zamczyska wybiegły Edyta i Adelajda.
— Ludzi do pomocy! Ludzi!

Z trudnością zwołano dwoje pacholąt, trzecie posłała Edyta, aby zawołał rycerza Kizę. Wnet wszyscy znaleźli się w zaroślach za wodą, zasłaną lasem pożółkłej rogoży.

Na mchach, pokrytych zeschłem listowiem, leżał młody Wilhelm. Włosów nie było prawie wcale widać, zbroczone, zsiadłe krwią, rozwichrzyły się kształtem krwawego kołtuna. Oczy zapadłe wpół, usta sine. Całą noc widać leżał, bo rosa przemokła jego odzienie.

Na ciało jego drzewa przez noc i ranek rzuciły grad żółtych liści, jakby go na wieki pokryć chciały.

Związano nosze z gałęzi brzozowych, a pacholęta przy pomocy kobiet zabrały go na zamek.

W modrzewiowe dworzyszcze wniesiono go wtedy, gdy ogromny łańcuch wojska znikł na dalekim widnokręgu.

* * *

Dniem i nocą wojska ciągną na południe, do obozu cesarskiego zdążając. Z Bawarji, ze Szwabji i z nad Renu połączyły się z niemi oddziały i jako lawina w Alpach ciągle rośnie i rośnie

na dół spadając, tak rosły wojska cesarza, który pod Alpami na swych wiernych czeka.

Za dziesięć dni ukazały się oczom Hawelan Alpy.

Słyszeli oni od podróżnych, że w polskiej ziemi są Tatry, na których śniegi leżą, teraz jednak na własne oczy granitowe wirchy pokryte śniegiem przed sobą zobaczyli.

Dziwi się Mściwoj i Mieczysław, że choć to już panowanie cesarskie, przecież ciągle i ciągle słowiańską mowę słychać. Dunaj przeszli, jezioro Wenedów minęli, a ciągle wsie na sposób hawelański w podkowę budowane, a ludzie z pod Alp wojska hawelańskie serdeczną słowiańską mową witają. Przeszli przez Górzyce, Białogród, Górniewice[1]), aby u stóp pokłonić się cesarzowi. Rój wojska go otacza, najprzedniejsze rycerstwo widać przed jego namiotem, biskupi, książęta i grafowie otaczają jego dwór.

Zdala widać jego szkarłatny namiot i złotą nam nim przybitą stannicę, chorągwie wszystkich marchji i wszystkich lenn i hrabstw namioty jego zdobią. Co chwila heroldowie nowych gości zwiastując blasonują[2])

Widziało chłopstwo hawelańskie na oczy cesarza Ottona i dziwowali się niezmiernie jego postaci. Takich ludzi nikt nigdy nie widział w słowiańskiej ziemi, to też jak na cudo na niego chłopstwo obotryckie patrzy.

Cesarz Otto twarz miał brzydką, nos wielki, u dołu rozsadzony, brodę kosmykami rosnącą, włosy zaś tak niesłychanie czerwone, jakby broda i czupryna płomykami włosów się paliła. Sami Niemcy „czerwonym“ go nazywali, uczeni księża wyrazem Rufus go mianowali.

Siedzi czerwony cesarz na czerwonym tronie, wszystko, co żyje, hołd mu składa, wszystko cześć najwyższą oddaje królowi, który z ramienia papieża jest panem całego świata.

Otton wszystkich łaskawie przyjmował, nikt od niego nie wyszedł bez podarunku, urzędu, lub życzliwego słowa.

Mściwoja na rycerza cesarstwa dotknięciem miecza pasował, margrafom dawał złote łańcuchy, zasłużonym rycerzom lenne ziemie i pieniądze ofiarował. Jeśli rycerz jakiś sławny wielkie za-

---

[1]) Południowa Bawarja, Tyrol. Patrz mapę dr. W. Kętrzyńskiego: Vestigia Slavorum in Germania meridionali (przyp. autora).

[2]) Blasonować (blasen), trąbić, oznajmić. Słowianie nie rozumiejąc słów niemieckiego herolda, który nazwiska rycerzy na turniejach wywoływał, ukuli z wyrazu „blasonować“ wyraz „błaznować“, „błazen“ na oznaczenie szalonego, który krzyczy i hałasy wyprawia (przyp. autora).

sługi dla Niemiec położył, a skarb państwa pusty nie mógł go należycie wynagrodzić, zwykle tedy hojny monarcha dawał mu „łaskawym darem“ Polskę, lub Czechy... pergamin z pieczęcią na tę darowiznę wystawiając.

Coprawda, to darowiznę tę ciężko bardzo było w życie wprowadzić. Gdy obdarzony przez cesarza nowy właściciel słowiańskich królestw z wojskiem na granicy Polski lub Czech się zjawił, zjawiał się prawie zawsze jaki Bolesław lub Brzetysław, który wzamian za okazany pergamin pokazywał przybyszowi miejsce, gdzie raki zimują, skutkiem czego pobożna myśl cesarza przez zapamiętałość i zaślepienie ludzkie, nigdy w czyn wprowadzoną nie bywała.

* * *

Nieprzeliczone rzesze ludu w Alpy idą, ku czarnej ścianie gór ciągnie cesarz, rycerstwo, knechty zbrojne i słowiański lud. Prowadzą wojsko i telegi*) górale, którzy dobrze przepaście Alp znają. Nie uwierzyłby nikt, że przez tę caliznę**), szczerbiącą się fantastycznym grzebieniem na niebie, przejść można, że przez nią wiedzie droga, że tamtędy można się dostać do kraju wiecznej wiosny, Italji. Z niewiarą w rozpadliny Mściwoj i Mieczysław idą, z trwogą słowiańskie chłopstwo ciągnie w skalny świat.

Gdy przez pagórki i wąwozy zbliżono się do skalisk, w ogromnej granitowej ścianie ukazała się czarna czeluść, jar kamienny, na którego dnie pieni się potok i huczy. Brzegiem potoku, biegiem wody idą w górę, kotlina strumienia wskazuje im drogę.

Rozluźniły się i rozeszły szeregi, zniknął porządek, który w roty zbrojnych wiązał, tu nad brzegiem górskiej rzeki trzeba często pojedyńczo iść, aby zwierzę wraz z jeźdźcem nie runęło w przepaść. Wstęga rzeki zaroiła się ludem, brzeg jej ustroił się świetnym żelaznym rycerstwem, wrzawą ludzką huczą góry, wrzawą ludzką odpowiadają echa alpejskich ścian.

Skręcił się potok łukiem ogromnym, zamknęła się za wojskiem ściana, dokoła, gdzie spojrzysz, kamień tylko i pustą ścianę widać, nad głową ledwie kawałek nieba zostawiły stercząc zewsząd skalista.

---

*) Telega—wóz.
*) Calizna—twarda ziemia, nieporuszona jeszcze pługiem.

Chłopstwo słowiańskie, które do równin nad Łabą i pojezierz w Zwierzynie nawykło, oniemiało zrazu, patrząc na te cuda, dziwuje się kamiennemu światu, jakiego na oczy dotąd nie oglądało.

Idzie żołnierz brzegiem potoku, przez ogromne samorody przełazi, gałęzi się świerkowych czepia, z kamienia na kamień przeskakuje. Urwała się nagle droga, trzeba przejść przez potok, aby na drugiej stronie nowej szukać ścieżki. Idzie nią nad bystrą roztoki falą, gdy wtem... huk zdala słychać straszny aż drży kamienny grunt pod nogami.

To woda z ogromnej wysokości w przepaść leci. Utraciła roztoka grunt pod nogami i spadła huczącą kaskadą. Z wysokości dwóch sosen lecą wdół, trafiły na kamień, rozbiły się o niego, w tysiące języków się rozprysły, w parę się zamieniła, mgła rozbitej wody siada na ludziach, stalowe zbroje rosą pokrywa. Tam, na dole, jak w kotle kipi, tam ryczy woda i szaleje, burzy się i okropnie wyje tak, że spadają z gałęzi brzezin pożółkłe liście, lecąc stąd na ziemię, lecąc na wodę, która je wdół niesie.

Wyjścia ani drogi stąd nie widać, wśród ścian skalnych biała hucząca ściana wody, zdaje się, że już świat zamknięty, bo ludzkie oko nie może w tym kamiennym piekle ujrzeć drogi. Ale ujrzał ją i wskazał przewodnik.

Po wybojach na urwisku znalazł ścieżkę, którą zaledwie prześliźnie się człowiek i telega. Trzymając za cugle konie, zwolna i ostrożnie drapie się wojsko do góry, co chwila potknie się koń, co chwila upadnie człowiek. Trzyma się gromada wystających korzeni i gałęzi świerkowych, idzie i idzie w górę.

Zrównali się z powierzchnią potoku, znów wolniejsza droga, znów śmielej żołnierz kroczy. Potok spada w mniejszych już kaskadach. Czasem woda płynie spokojnie, jak Łaba pod Łęczyną czasem wartko sunie w skalistem korycie, czasem w drodze natknie się na skałę, wali w nią prądem, bije się z nią od wieku, aby przeszkodę z drogi swej usunąć.

Coraz częściej i częściej łamie się potok w kaskady, spadając z góry, pieniąc się srebrną parą. Nad wodospadem zawisło w powietrzu drzewo, sosna spadła ze szczytów gór, burza strąciła z połazów pień świerkowy, który wodzie zatamował drogę. Tam ciężka dla wojska przeprawa, nie rzadko z dzikiej kładki wpadnie do wody człowiek, nie rzadko nawet pośliźnie się i złamie nogę koń.

Przewodnik kazał porzucić wstęgę potoku i puścić się w skalną pustynię.

Pną w górę wojska, coraz wyżej i wyżej prowadzi droga, snuje się bokiem gór. Czasem droga tak wąska, że ledwie przejdzie jeden człowiek; czasem pod stopami ukaże się taka przepaść, że w głowie się mąci, że z dołu przepaści nie słychać huraganu wody, która znowu wodospadem w przepaść wpadła.

Zmęczone wojsko na szerszych polanach rozbiło pod wieczór swe namioty i przespało w świecie skał pierwszą noc.

Na drugi dzień znowu w górę, znowu nowe cuda i zjawiska. Wojska weszły w krainę śniegu, końskie kopyta grzęzły w nim po kolana, z trudnością tylko wielką wojska posuwały się naprzód. Każda szczelina skalna zasypana śniegiem, w każdym wyboju śnieg, całe przestrzenie śniegiem pokryte, szczyty tylko Alp czernieją w dali, wyglądając na zębaty grzebień z czarnego marmuru, przetykanego białego śniegu żyłami.

— Śnieg spadł tej nocy — mówił do Mściwoja Mieczysław.

— Nie, nie. Przewodnik mówi, że tu zimą i latem śnieg głęboki leży.

— Jakto? Nigdy nie staje? Nawet w lipcowe upały?

— Nigdy.

— Dziki, straszny, kamienny świat.

— Lepiej, zaprawdę, wśród równin i jezior naszych.

— Tęskno ci.

— Oj luto, luto... — westchnął Mściwoj.

— Za ziemią ojców...

— Za ziemią moją, za domem moim...

— Za krasawicą Adelajdą — dodał, śmiejąc się Mieczysław.

— Śmiejesz się ze mnie?

— Tęsknotę za dziewką w twych oczach czytam.

— Przyganiajże mi, przyganiaj — westchnął żałośnie Mściwoj.

— Bo schniesz z tęsknicy.

— I w twojej duszy ona zamieszkała. Widma nosisz w duszy...

— Ja...

— Tak jest, ty. Dziś przez sen o Edycie mówiłeś...

— Być to zaiste może.

— I było.

— Nie dziwże się, że i moje nie jest z kamienia, lecz żywą krwią bucha.

Mieczysław wyciągnął rękę do brata.

— Nie dziwię się i nie mam ci za złe. My idziemy w kraj świata do Italji, serca nasze tam daleko na północy zostały.

— I wszystkie myśli, jako gołębie z gniazda wywiezione, tam nad Łabę i Odrę, do ojczystych gniazd lecą... Jako gołębie...

— Cieszę się niezmiernie, że przez czas wojny Edyta moja w zamku braniborskim zamieszkała, że Kunigunda i Adelajda wzięły ją do siebie. Tam w Tarnowie pusto i głucho samotnej kobiecie...

— Ja to, zaprawdę, wdzięczny przedewszystkiem żonie twej być powinienem.

— Pilnować ci będzie kochanki...

— Czuwać nad nią, nad jej sercem...

— Wspominać jej o tobie.

— My mówimy o naszych krasawicach, a myśli ich tak, jak nasze, za wojskami cesarza lecą.

— Lud nasz mówi, że jeśli tęcza ogromnym łukiem na niebie zabłyśnie, to na jednym jej krańcu rodzi się dziewczyna, na drugim zaś chłopiec, którego Łada jej w przyszłości za męża wyznacza.

Mściwoj westchnął i rzekł z uczuciem:

— Jeśli to jest prawdą, to wierzaj mi bracie, że nad kołyskami Adelajdy i moją w dniu urodzin tęcza podobna jaśniała...

— Jako jej blask i krasa, niechże będzie wasze, Mściwoju, pożycie. Bądźcie szczęśliwi, jako ja jestem szczęśliwy z moją Edytą.

* * *

Jakby droga ta straszna końca nie miała, jakby prowadziła do nieba.

Wojska znalazły się w martwej pustce, gdzie zieloności już nie masz, gdzie sosna ni świerk nie rośnie, w dzikiem piekle turni, iglic skalnych, u których stóp leżały ogromne zwaliska kamienne. Potoków już nie widać, źródło jego gdzieniegdzie ze ściany skakając bije, jeno po bokach wipchu czasem nitka wody ciecze. Na halach między głazami, kosodrzewina się pełza, jak

sploty miedzianych wężów powikłane jej korzenie, zapach niosą ogromne bukiety jej zielonych iglic.

Na upłazach gór trawy, ni zielska nie widać. Mchy szare się wloką, mdłe jakieś porosty i niebieskawe pleśnie. Czasem długo, długo brnąć trzeba w wiecznym śniegu, czasem lodowiec ogromne zajął przestrzenie; czasem koń trafi na przepaść zakrytą i zasypaną śniegiem, złudzony równą drogą, wjechał na białą caliznę, która usunęła się pod ciężarem i wraz z jeźdźcem runęła w bezdeń. Śmiercią i trupami znaczony ten pochód cesarza przez Alpy, ciągną się telegi pełne ludzi, którzy na upłazach, piargach i turniach łeb rozbili, nogę lub rękę złamali.

Radość wstąpiła w serca ludzkie, gdy przewodnicy krzyknęli:

— Przełęcz!

— Gdzie jesteśmy?

— Wdół teraz prowadzi nas droga.

— Do Włoch! Do Włoch!

— Te źródła rzekom południa już swe wody niosą.

Dotąd wszystkie napotkane potoki, strumyki i źródła szły w przeciwną stronę drogi, którą dążyło wojsko, płynąc ku północy, spadając na dół, aby lecieć do Renu lub Dunaju. Oto pierwsze po przełęczy źródło bucha z pod kamienia, oto po skale perli się woda, złączyła się z drugą, z dziesięciu kłokotów robi się ponik, z dziesięciu poników potok, z dziesięciu potoków rzeka, która przeczyste górskie wody do południowego morza niesie. Wojsko idzie na dół, rzeka górska drogę mu pokazuje, mija turnie i ogromne szczyty, przeciska się przez skały, toruje drogę grzez złomy i wyboje. Znowu widać zielone świerki, których na szczytach nie było, droga coraz łatwiejsza, prowadzi wojska w nieznany słowiańskiemu chłopstwu kraj.

Jesień, liście żółkną, a przecie jakby inny wiatr powiał w tej krainie. Zacisznie tu jakoś i miło, szerokie łożyska rzek, w bielutkie piaski spowite, jasne, szmaragdowe wody w kraj szeroki niosą. Powitało żołnierstwo stare mury Werony, ze zdumieniem Mściwoj patrzy na ogromny kamienny cyrk, który poczerniał ze starości, na odwieczne budowle z kamienia, które wznieśli dawni władcy tej ziemi.

Przeleciała nad ruiną wichura czasu, w zwaliska obróciła pyszne budowle, w amfiteatrze [1]) Djoklecjana [2]), w miejscu, gdzie złotem, purpurą, majestatem błyszczeli tyrani.

Księża z orszaku cesarza pokazują ludziom miejsce, gdzie mieszkała królowa Rosamunda, której mąż z czaszki zamordowanego jej ojca wino pić kazał, pokazują ruderę, gdzie mieszkał Dietrich Wielki, o którym wojsko niemieckie pieśni wojenne śpiewało.

Na dłuższy odpoczynek zezwolił wojskom cesarz dopiero nad morzem. Przeszły pułki przez szeroki kraj Wenedów i rozbiły namioty nad brzegami szafirowej fali.

Na granatowej płaszczyźnie wód widać zdaleka gromadę wysp i ostrowców, do których łódki rybackie przedniejsze rycerstwo wiozą. Zdala bielą się domy, w niebo strzelają wieżyce; roi się mrowisko ludzi, którzy nad budową miasta pracują. Od narodu Wenedów, który w północnych Włoszech mieszka, nazywa się to miasto Wenecją.

Przybiły łodzie do wyspy, która się zowie: Rivoalto [3]). Mściwoj i Mieczysław wyszli na plac przed kościołem św. Marka. — Stary to kościół. Półtora wieku już stał od czasu, gdy okręt przyniósł tu święte zwłoki ewangelisty Marka, którego w złotym grobie pochowano, na którego trumnie setki świec się jarzą.

Dziś sławną świątynię słupy i rusztowanie zakryły. Jeszcze widać i czuć spalenizne, której ofiarą kilka lat temu padł kościół; dziś na miejscu pogorzeli nową świątynię nad grobem apostoła budują. Z za koronki i przędzy rusztowań widać już wspaniałą bazylikę, błyszczy złoty lew, godło świętego apostoła.

Hukiem młotów, trzaskiem siekier, gwarem ludu szumi Rivoalto, tłum ludzi nad kościołem pracuje, gromada rzemieślników stawia przed kościołem ogromną dzwonnicę, Campanillę, sam doża Pietro Tribuna robotą cieśli kieruje. Bernardowi, Mściwojowi i Mieczysławowi ogrom ludzkiej pracy pokazując.

Naokoło po lagunach mrowisko ludzi się snuje. Tysiące robotników pale dębowe w morze wbija, na palach stawiają marmurowe pałace i rybackie domy, człowiek walczy z morzem, aby

---

[1]) Amfiteatr—półokrągły budynek teatralny z siedzeniami, wznoszącemi się coraz wyżej.

[2]) Djoklecjan—cesarz rzymski (panuje od r. 284—305 po Chr.)

[3]) Dziś: Rialto (przyp. autora).

zdobyć ziemię, po wąskich cieśninach sto łodzi rybackich i bark kupieckich pływa.

Wenecja króluje na morzu, okręty jej w daleki świat jadą, wszelkie towary wożąc, w handlu wszystkim narodom przewodnicząc. Kto żyje, każdy tu handluje, kupcy z pokładów bark wschodnie korzenie wydobywają, drogie tkaniny z Bizancjum zwożą, barwne szkło weneckie w daleki świat wywożą. Wszystkiego tu dostaniesz, wzamian za złoto otrzymasz, czego chcesz, pieprzu, mirry, czy... niewolnika... Na wielkie targowisko świata z podziwem Mściwoj i Mieczysław patrzy.

Na Riva degli Schiavoni dziwny zaprawdę widok zdumionym oczom się przedstawia. Wzdłuż brzegów morza gromady jeńców spętanych widać, na twarzach, łańcuchami skutych ludzi, maluje się rozpacz i zgryzota, oczy podpuchłe, podbite rowami, które wyżłobiły łzy. Wśród rzeszy stoją strażnicy, którzy ich pilnują, od motłochu nędznego i obdartego odróżniają się bogatą szatą. Grecy i Włosi, którzy ludzi... kupują.

To handel niewolnikami na Riva degli Schiavoni, na brzegu niewolników, ludźmi ludzie handlują.

Oto rajfur moc młodego parobka zachwala, oto starca chce za bezcen sprzedać, mówiąc, że ma siły zaszanowane, że przy użyciu bata jeszcze służyć będzie swemu nabywcy. Oto przekupień poleca urodę młodej dziewicy, targującemu się zaś o cenę Grekowi tłumaczy, że jej czary, jej wdzięki, żądanej sumy pieniędzy są godne, oto obywatel wenecki płaci za matkę z trojgiem dzieci, pędząc je do siebie, chłopaka zaś, który iść nie chce, błyskawicznem uderzeniem kańczuga pogania.

Zwinęło się wpół maleństwo i woła:

— Matko moja! Matko!

Słyszy te słowa Mieczysław; zbladł, szeroko otwarł oczy i szepce do Mściwoja:

— Słyszałeś?

— Tak...

— Ci niewolnicy naszym ojczystym, słowiańskim językiem mówią...

— To Wenedzi...

— Od ich imienia to miasto nazwę swą nosi.

Straszny dreszcz przeszedł od stóp do głów. Usta Mieczysława drżały...

— Mściwoju!—szeptał zdławionym głosem—Mściwoju! Czy my wszędzie na świecie niewolnikami narodów?

* * *

Na Riva degli Schiavoni ludzi, jak bydło z nad szafirowego Adrjatyku spędzono. Horwatów z Dalmacji, Wenedów i Hyrów z północnych Włoch, Słoweńcow, którzy mieszkają od morza, aż po śnieżne Alpy. Ci Słowiauin konali w cyrkach rzymskich, oni nosili kamienie na amfiteatr w Weronie, ich plecy kaleczyły ogromne głazy, z których cezar postawił sobie pałac w Salanae Palatium.

Ten nieszczęsny słowiański lud nie miał nigdy i nigdzie praw, nie miał przedewszystkiem prawa do własnej ziemi ojców. Bogowie stworzyli go na to, aby służył innym narodom, aby był poddany narodowi panów. Uważały go zwycięskie narody za poddanego... jakiem prawem? Prawem mocniejszego, prawem zbója nad bezbronnym, prawem łotra-żołnierza nad poetą-pieśniarzem.

Za cezarów z marmuru wykuty, konający gladjator ma twarz Słowianina... mową słowiańską płaczą ludzie, których sprzedają we Wenecji na Riva degli Schiavoni...

— Przekleństwo naszej krwi—szepce Mściwoj.

— Patrz! Katują naszych, biją, o... biją.

— Czy to zawsze trwać będzie?

Tysiąc lat minie, sto razy forma niewoli się odmieni, a Słowianin zostanie zawsze robotnikiem narodów. Jak wszędzie tam, gdzie złotem handlują, znajdzie się Żyd, tak wszędzie, gdzie ciężka praca, znajdziesz Słowianina. Rzecz naprawdę dziwna.

Wszak ta słowiańska ziemia mlekiem i miodem płynie, wszak to bogaty śpichlerz Europy, pełen złotej pszenicy, dzieci zaś tej błogosławionej ziemi mrą po świecie z głodu, u obcych krwawego chleba szukając...

Pieśniarza-poetę wydziedzicza kupczyk i żołnierz z jego ojcowskiej roli, wydziera mu ją, rozpiera się w jego dziedzictwie, usuwa go z ziemi, odpycha od morza, tępi i zjada, że z wielkich narodów zostają popioły... że ludy całe mrą, jak wymarł nad szafirowem morzem naród Wenedów... tak, jak wymarli dziedzice Mieczysława i Mściwoja... po których żywa dusza nie została, ani jeden człowiek nie ocalał, ani jednego na świecie niema.

Po wielkim narodzie Połabian, który mieszkał nad Łabą, do dziś dnia...—Boże! mój Boże... pozostała tylko piosenka:

Kali mnie zeninka bayt?
Telka mnie zeninka byt
Telka reci, woupak ka niemu, ka dwemu
Jos gis wiltya gresna zena
Ne mik zeninka byt,
Jos ne mik zeninka byt[1]).

Piosenki tej już nikt na świecie nie śpiewa. Usta, które ją śpiewały, zamilkły niemocą śmierci; z narodu, który ją nucił, zostały prochy. Nie dźwięczy ona na ustach dziewoi, lecz butwieje w stęchliźnie bibljoteki, zachowana jak kości mamutów, które wymarły.

I nie zmartwychwstanie już nigdy. Ogień można rozniecić, dopóki w popielisku jest choć jedna iskra...

Tam nad Łabą ani jednej iskry niema.

Ta pieśń umarłego ludu jest straszliwem ostrzeżeniem, straszliwem memento mori[2]) dla tych narodów, które żyją...

Bo hymn nicości wyje z czeluści grobów jej melodją, wołają na pieśniarza-olbrzyma, aby się otrząsł z marzeń, aby powstał se snu... Ta pieśń umarłego ludu będzie kiedyś hymnem narodzin olbrzymiej Słowiańszczyzny, która, budząc się z pieśniarskich marzeń, zapyta ludy świata: Coście zrobili z ziemią ojców moich?...

* * *

Widok targowiska, na którem ludzi jak bydło się sprzedaje, rzecz to Mściwojowi i Mieczysławowi dobrze znana. Wszak w Braniborzu i całej połabskiej ziemi na każdym targu słowiańskie chłopstwo sprzedają, wszak nietylko książę słowiańskiego ludu, ale Niemiec Thiethmar, na własne oczy na handel niewolników patrząc, czuje pewną litość dla opisywanej w swej kronice słowiańskiej rodziny, którą rozszarpują na targu.

Wszak i drugi dziejopis niemiecki jest pewnym, że długie lata upłyną, w których Niemcy dobijać się będą sławy i wielkie-

---

[1]) Kto ma twoją żoneczką być? Sowa żoneczką ma być. Sowa rzecze znowu do nich, do dwojga: jam jest wielce grzeszna (brzydka kobieta, nie mogę żoneczką być, ja nie mogę żoneczką być. Piosenka ta znaną była jeszcze Goethemu i Lessingowi (przyp. autora).

[2]) Memento mori—pamiętaj o śmierci.

go a szerokiego państwa, Słowianie zaś z nierównem szczęściem walczyć będą o wolność, a najsroższej dobiją się niewoli).

A przecie widok tego, co się na Riva degli Schiavoni dzieje, przeraził ich jako rzecz nowa i nieznana. Straszny obraz nędzy i niedoli ludzkiej spadł na nich nagle, nie spodziewali się, że tu, w Italji, słowiański lud znajdą, nie sądzili, żeby i tu prześladował ich obraz nędzy, rozpaczy i hańby, jaką codzień widzieli u siebie w domu.

— Wojownik — wołał rajfur — doskonały do ciągnięcia pługa!

— Matka z dwojgiem dzieci—wrzeszczał przekupień—wkrótce będzie trzecie! Kupujcie państwo.

— Ile kosztuje ten starzec? — zapytał handlarza jakiś Grek.

— Za darmo ci go dam, panie, jeśli gotówką zapłacisz mi za tę dziewczynę.

— Zostań, matko!! Zostań!—wołało jakieś pacholę, od którego zabierano matkę, zakupioną przez właściciela statku, odpływającego na wody.

— Chodź—szepnął Mściwoj—patrzeć na to nie mogę.

Mieczysław nic nie odrzekł. Nie wiedzieć, czemu zdawało się synowi Bieługa, że policzki, wymierzane niewolnikom na Riva degli Schiavoni, w jego twarz trafiają: czuje na licu uderzenie ręki przekupnia, huczą mu w uszach nawoływania rajfura.

— Nastąp się, bydlę!

Chwycił kurczowo za ramię Mściwoja i obaj milczkiem z brzegu niewolników ku domowi dożów, na plac św. Marka idą. Smutek w sercach, zgryzota jakaś w duszy, rozpacz i żal...

Z otwartemi ramionami powitał ich Bernard.

— Chodźcie! Chodźcie!

— Czego chcesz od nas, margrafie?

— Ja niczego! Ale cesarz was wzywa!

— Cesarz? Dokąd?

— Doża wenecki, Pietro Tribuna, wydaje na cześć cesarza ucztę.

— Cesarz zaś...

— Wybierając najprzedniejsze rycerstwo, chce was widzieć przy swym stole.

Nie widać radości ni ochoty na twarzy książąt Słowiańszczyzny.

---

[1]) Widukind, tom II, str 20 (przyp. autora).

Smutek w duszy taki, taki żal i nastrój rozpaczy, że uciec w ziemię się schować... Ale cesarz kazał.

W pałacu dożów posadził Otton Mściwoja koło swego boku.

— Tyś wierny sługa świętej monarchji — rzekł cesarz poważnie.

Podano na stół nieznane słowiańskiemu rycerstwu potrawy; ryby, małże i „owoce morza“ pacholikowie na stół znoszą, przepełniają się kielichy wybornem winem, które rodzą Włochy i ziemia Wenedów.

Pierwsza, druga, dziesiąta czasza rozprasza smutki, krzepi serca, zaciera w duszach obraz katowanych słowiańskich niewolników. Cesarz sam pije i do kielicha zachęca. Szczery, serdeczny śmiech słychać w izbie doży. Oczy się iskrzą; usta się śmieją, wyborny trunek niesie radość i wesele.

Blady zwykle cesarz, którego czerwone włosy jak płomyki na głowie goreją, rozmawia wesoło, względami książąt słowiańskich zaszczyca. Chwycił w dłoń czaszę wina, trącił nią o puhar Mieczysława, a ku zdumieniu margrafów najprzód jego wznosząc zdrowie, krzyknął:

— Zdrowie twe wznoszę, wierny sługo mój!

. . . . . .

Czarami wiosny okrył się świat, gdy w przeddzień święta Zmartwychwstania Pańskiego, Mściwoj i Mieczysław wjechali z wojskiem cesarskiem w bramy wiecznego miasta, Rzymu.

VIII.

Zima zawitała do hawelańskiej ziemi. Pierwszy mróz jak herold ją zapowiedział. Po jasnym, słonecznym dniu listopadowym, przyszedł i szronem okrył świat. Ścięła się w białe kryształy rosa, białym popiołem pokryły się liście drzew, trawy łąk i pól. Roztajało rosę słonko nad ranem, ale nie ożywiło liści, które pomarły w tę noc po śmierci. W lesie grad liści się sypie, miljony listowia spada na ziemię. Z jesionów, jaworów, klonów i lip, jakby deszcz złoty i zielony padał na mchy leśne. Porosty, paprocie, cały grunt lasu zasypany liściem.

Przyszedł wicher z północy i zawył wśród lasu. Porywa chmury liści i wdal je niesie. Tu nasypie ich wał, tu jar niem

zawali, tam dmąc okropnie, oczyścił grunt, zdaje się, że paprocie i ostręgi z korzeniami chce z ziemi powyrywać.

Toczy szyszki sosen daleko od pnia rodzinnego, odrzuca spadłe orzechy laskowe, na pustkę i ugór niesie nasienie buku i żołędzie dębiny. Ten wiatr przyszłą wiosnę sieje. On, brat Dziedzilji, Pochwist, dobywa wszelkich sił, aby na puste miejsca zanieść nasiona, aby chmurą żółtego liścia znawozić ziemię dla jestestw, które z wiosną zejdą na pustych wydmach, piaskach i ugorach. Porwał puchy ostu, wicher wyniósł je pod niebo, lecą daleko, sto mil lecą, sieją się na górach, spadają na kalenice chłopskiej chałupy, aby tam zejść w maju.

Przyszła ulewa, wbiła nasiona do ziemi, związała z błotem spadłe liście, aby zgniły, przyszła śnieżyca płachtą pokryła. Rośnie warstwa śniegu, ciągle rośnie, jakby puszcze, jakby łożyska rzek zawalić chciała; wyczerpały się wreszcie śniegowe chmury, rozjaśniło się niebo, chwyciły okropne mrozy.

Pusto, smutno w grojcu braniborskim. Wyjść na świat niesposób, bo drogi i ścieżki śnieżycą zasypane, nie ożywi ciszy zamkowej polowanie, ni biesiada rycerska, bo mężowie na wojnę poszli... Wicher wyje, że trzeszczą belki wieżyc, śnieg miałki niesie, a gdzie szparę w drzewie znajdzie, tam sklep zasypie tumanem śniegu...

Weselej niż na świecie w przestronnej sali myśliwskiej. Małe okienka słabiutkie tylko światło rzucają, na kominie jadnak płonie jarki ogień, błyskawice świata na salę rzucając, promienie ciepła po izbie roznosząc. Długie i fantastyczne cienie na ścianę rzucają rozwieszone rogi jelenie, iskry ognia migocą się na wybrakowanej broni, której rycerstwo na wyprawę włoską nie zabrało.

Na dębowem łożu, pokrytem niedźwiedziemi skórami, leży bez duszy Wilhelm. Gdy ogień mocniej zabłyśnie i na wynędzniałą twarz jego rzuci snop promieni, niktby nie powiedział, że tam na skórach leży żywy człowiek. To wybladły trup.

— Nie będzie żyć—mówi znachor.

— Skóra jeno i kości.

Patrz! Już dechu nie czuć.

— Ale serce bije.

Przeleżał na łożu boleści jak kamień listopad, zimę prawie całą walczy ze śmiercią. Rzadko kiedy na tyle przytomny, aby mu do ust warzechę polewki wlano, którą żyć musi, niezdolen przyjmować innego pokarmu. Na głowie dziś jeszcze okropna

rana się krwawi. W pierwszej chwili zatamowano krew pajęczyną, obłożono głowę liściem babki; pajęczyna zrosła się z zeschłą krwią, a obok starej blizny otwierają się nowe, jadzi się rana i odnawia okropnie. Z pod śniegu baby wygrzebują rozchodnik, znachor rozkopał w jarze śnieg, aby zeschłe liście psinki znaleźć na uśmierzenie bólu. Okładają głowę choremu, który nieprzytomny leży.

— Kto go zranił?

— Bóg jeden wie.

— Zbójca pewnie napadł...

— Umarli głosu nie mają, on nic powiedzieć nie może, bo gdyśmy go znaleźli, był zaiste umarłym.

— Ja mu też życia nie wróżę.

— Kto to wie?

— Dwa miesiące pasuje się ze śmiercią.

— Patrz jak ciężko oddycha.

— Jęczy...

— Jeśli żyć będzie, zawdzięcza to zaprawdę żonie Mieczysławowej, księżnie Edycie.

— Na chwilę go nie opuszcza.

— Z zaparciem się własnym pielęgnuje.

— Nikt jej nie wyręczy, bo margrafini wraz z Adelajdą do klasztoru wyjechały.

— Bóg Edycie nagrodzi miłosierdzie nad nieszczęśliwym chorym.

— To anioł dobroci w ziemskiej postaci.

— O! Idzie, idzie. Z zielutkiego lnu okład naskubała, wywar lawendy w czarcie niesie...

Edyta pozostała w zamku prawie sama. Kiza mimo srogiej zimy objeżdżał grodna i słowiańskie opola, połabianom pojednawcze słowa miłości niosąc, załogi niemieckie w twierdzach odwiedzając.

Adelajda wraz z Kunigundą mimo postanowień, aby przez czas nieobecności margrafów w Braniborze zostać i czas samotności razem z Edytą przepędzić, zmieniły nagle zamiary i w klasztorze w Dziewinie, pod okiem arcybiskupa osiadły. Napierała się wyjazdu głównie Adelajda z chwilą, gdy się dowiedziała, że Wilhelma rannego znaleziono, że w Braniborsku na zimę, Bóg wie zresztą na jak długo, zostaje.

Domyślali się wszyscy, że dziewczyna niema odwagi patrzeć na młodzieńca, którego serce ciężko zraniła, a wieść ta szerzyła

się uporczywie, zwłaszcza, że Kunigunda w serdeczne sprawy Wilhelma wtajemniczona, wszystkim swój domysł opowiadała. Pytano się Adelajdy o powód, dlaczego przy Dziewinie i klasztorze się upierała, krasawica nie chciała zwierzyć się nikomu, stale przy zamiarze wyjechania zostając.

Od listopada wraz z knieginią w klasztorze wśród cnotliwych dziewic siedząc, zrana, w południe i wieczorem modlitwy odprawiała; o północy nawet dzwon ich budzi, z łóżek zrywa, aby do chóru klasztornego z zakonnicami poszły, pobożne Sanctus Deus Sabaoth odśpiewały.

. . . . . .

Jako prządka z kądzieli snującej się niteczce lnu przyrzuca, tak słońce w styczniu promyk po promyku światła ziemi dodawało. Rośnie dzień po dniu, słonko wcześniej się budzi i później zapada. Południem zagląda do myśliwskiej sali, jakby się o zdrowiu młodego rycerza dowiedzieć chciało, jakby pragnęło mu dodać nadziei i otuchy...

Edyta, siedząca ciągle nad łożem chorego, zauważyła pewnego dnia z radością wielką, że ranny budzi się z niemocy, że wraca zwolna przytomność i świadomość, co się z nim dzieje.

Raz otwarł oczy szeroko Wilhelm i wpatrzył się w czuwającą nad nim białogłowę; wzrok chorego długo spoczywał na jej postaci, zrozumiał snać, co się z nim dzieje i lekki uśmiech okrasił jego lica.

Czytała Edyta w jego uśmiechu wdzięczność za swe nieprzespane noce, za opiekę nad jego niedolą.

— Gdzież jestem?—zaszeptał młodzieniec.

— Bądź spokojny...

— Modlisz się?

— Ślę prośby o twe zdrowie.

— Co się ze mną dzieje?

— W Braniborze jesteś pod moją opieką.

Zamilkł młodzieniec i znowu zapadł w długi, głęboki sen.

Powoli, bardzo powoli, wraca choremu przytomność i zdrowie...

— Kto cię poranił? — pyta chorego Edyta.

— Kto?! Łotr! Zabójca!

— Jego imię?

— Mściwoj!

— On?! A więc on!

— Zabrał duszę, zranił serce...

— Wiem, wiem!...

— Ty wiesz o tem? Wiesz?

— Kniegini Kunigunda wszystko mi mówiła. Mówiła nam, że Adelajda...

— Nie mów mi o niej...

— Czemu?

— Nienawidzę jej...

— Ona niewinna... Przebacz.

— Przebaczyłem. Ja mam i zawsze mieć będę jedno pragnienie...

— Pragniesz?

— Jego krwi!

— Mściwoja?

— Jej kochanka! Mściwoja, zawołał Wilhelm, zrywając się z łoża i... opadając nagle na posłanie.

— Jezu! Co tobie?! Zemdlał! Wody!

Wilhelm przytomność stracił. Gdy Edyta zwilżyła skronie jego zimną wodą, otworzył szeroko oczy, wielkie, błędne...

— Świat w oczach kołuje... iskry przede mną latają... niemoc straszna... śmierć...

— Uspokój się, uspokój się...

Wzburzenie to nieszczęśliwy skutek wywarło na zdrowie bardzo osłabionego rycerza. Znowu kilka nieprzytomnych dni i nocy, w których trawiła Wilhelma gorączka. Po dwóch tygodniach polepszyło się na nowo.

Wrócił z podróży Kiza. Mimo straszliwych w lutym mrozów, polując, znosił choremu kuropatwy, zachęcając do jedzenia, rozweselając rozmową rannego młodziana.

Siedzieli teraz przy Wilhelmie z Edytą we dwoje, z radością patrząc, że z dnia na dzień lepiej mu i lepiej.

Kiza obyczajem rycerskim grzeczne i czułe słowa Edycie prawił, chorego dowcipem ożywiał tak, że gdy sprawy państwa na nowo go do Tarnowa powołały, smutek wielki spadł na Wilhelma i jego opiekunkę.

— Smutno mi—mówił chory.

— Wróci zdrowie, z nim radość.

— Radość mówisz? Zdrowie wróci, lecz radość nigdy nie wróci.

Gdy Edyta się dowiedziała, że Mściwoj Wilhelma ranił, gdy poznała, jakie morze nienawiści w sercu chorego do krzywdzicie-

la kipi, gdy słyszała, że on w życiu pragnie jedynie tylko zemsty i krwi, zastanowiła się, czy wolno jej czuwać nad Wilhelmem, pielęgnować chorego, który, gdy do zdrowia wróci, śmiertelnym wrogiem dla jej dziewierza się stanie. Gdy narzeczony Adelajdy kiedyś wróci, z mściwej ręki Wilhelma zginie, mąż jej Mieczysław powie: Wypielęgnowałaś mordercę mego brata. Wysłała gońca do Kunigundy, aby się chorym zajęła, aby Adelajda, dla której chory krew rozlał, przybyła czuwać nad nim.

Narzeczona Mściwoja została w Dziewinie wraz z siostrą Bernarda, posłowi zaś poleciła zanieść taką odpowiedź:

— Na oczy Wilhelma widzieć nie chcę.

Została więc Edyta przy chorym, pomna, że nie godzi się opuszczać w nieszczęściu nawet wroga.

Całe dnie, całe długie wieczory nad łożem Wilhelma siedzi, len przędząc, książkę świętą czytając, pacierze mówiąc i chorego rozmową zabawiając.

Wilhelm całemi dniami w krasne lica swej opiekunki patrzy...

W pięknym marcowym dniu rozstąpiła się szara ołowiana powłoka ciężkich chmur, na niebie zapłonęło jasne słoneczko Boże, wkradło się przez okno do izby i złotem oblało postać Edyty, siedzącej przy chorym.

Chory spoglądał na niewiastę szeroko otwartemi oczami, lekki uśmiech zawitał na wybladłe jego lice, pierś się podniosła, jakby chciał nabrać tchu... Widzi Edyta uśmiech chorego, poznaje, że chce przemówić...

— Czy potrzebujesz czego?—zapytała.

— Nie, nie — odrzekł cicho Wilhelm, wpatrzony w oczy Edyty.

Wargi jego lekko się poruszają, jakby mówić chciały...

— Co chcesz powiedzieć?—zapytała kobieta.

— Ach... jakaś ty piękna... — zaszeptał z zachwytem, który drżał w głosie.

Spłoniła się kobieta jak róża, gdy wschodem słonka zajaśnieje, w duszy zbudziło się uczucie wstydu, żalu do Wilhelma, że jej urodę chwali i radości, że tak mu się spodobała.

Dziwnie zaprawdę sprzeczne uczucia duszą kobiety miotają. Pierwsza myśl protestuje, że ona nie powinna się nikomu podobać tylko mężowi, że ona, jeśli jest piękną to tylko dla męża piękną być powinna. Wilhelm nie powinien był, patrząc na nią, takich śmiałych słów mówić; zawstydzać jej... Zła jest na niego...

ale druga myśl powstaje, która tamtę rujnuje i wali. Przecież niema nic w tem złego, że krasa jej Wilhelma oczarowała, przecie kobieta to kwiat, który każdemu wolno podziwiać, choćby rósł nawet w cudzym ogrodzie. Nikt przecie nie broni patrzeć i uwielbiać urodę róży lub lilji, która rośnie za sąsiada opłotkiem. A wszystkie uczucia żalu, wstydu, złości, radości łączą się w duszy i mięszają, rośnie z nich na końcu jedno uczucie: wdzięczność, że Wilhelm tak jej urodę podziwia...

— Nie mów tak, Wilhelmie—mówiła do chorego spłoniona kobieta.

— Pięknaś... Pięknaś...

* * *

Dziwne rzeczy dzieją się w duszy ludzkiej, zagadki, których nikt nie rozwiąże, pytania, na które nikt nie odpowie.

Ucieka Edyta od łoża chorego Wilhelma, chwilami nawiedza ją myśl, żeby uciec z Braniboru do Tarnowa, zostawić rycerza na opiece losu i służby zamkowej, stracić się z oczu, pozbyć się widoku tych wiecznie w nią wpatrzonych oczów, tych ust, które do niej się śmieją i szepcą:

— Jakaś ty piękna...

Sumienie mówi, że nie wolno jej grzecznych słów pochlebstwa czy uwielbienia przyjmować, że uroda jej tylko do jej męża należy, że gdyby on wiedział...

— O!

Przypomina sobie słowa Mieczysława, jego gorącą miłość ku niej, widzi łzy, które on... rycerz miał w oczach, gdy się z ukochaną żoną rozstawał, wyjeżdżając na wojnę do Włoch. Gdy wspomni jego słowa, jego zaklęcia, przysięgi, gdy pomyśli że on, Mieczysław dowiedzieć się może o czułych westchnieniach, jakie jej śle Wilhelm...

Wstyd, wstyd okropny, zgroza... Na oczyby mu się pokazać nie śmiała.

Nie, nie, trzeba jechać póki czas, dopóki sumienie czyste, trzeba rozłąką zdusić słowa, jakie się na ustach Wilhelma rodzą, trzeba usunąć się z tych oczu ciągle i ciągle w nią wpatrzonych. To przecie krzywda dla męża... krzywda...

Jakto?—szepce inna myśl—a co ja złego robię?

— Ha, ha, ha! — wybuchła kobieta śmiechem, w którym była złość do własnych myśli i do podejrzeń, stworzonych w chorej wyobraźni.

— Czy ja mu dałam powód? czy jednem spojrzeniem oczu, jednem słowem go zachęcałam? Czy na czułe jego słowa choć słowem ciepłem, słowem jednem odpowiedziałam?!

Nie i nie.

Była dla niego zimna jak lód, obojętna jak obcy człowiek, miała nawet do niego żal, nawet gniew, że on jest wrogiem dziewierza*), Mściwoja, brata jej męża... Tak jest.

Sumienie zapytane, czy ona popełniła jaki grzech, powiada: nie, nie. Jeszcze jedna myśl. A cóż złego robi chory Wilhelm? Nic i nic. Śmiać się mu do każdej kobiety wolno, jeśli zaś mówi mi, że jestem piękna, to... mówi tylko prawdę... a trzeba zapewne przewrotności i dopatrywania się we wszystkiem złego, aby w jego słowach dopatrzeć się czego zdrożnego. Jedno słowo nie padło, któreby było wiarołomstwem, lub do wiarołomstwa drogą...

— Śmiać mi się chce ze samej siebie.

I śmieje się kobieta i odpiera myśli, które wracają... stara się stłumić wyrzut, który się rodzi, który rumieniec wstydu na lica wywołuje...

Wszystko jest prawdą, ona nic nie winna. Wilhelm nic nie winien, czyste ma Edyta sumienie, nic złego się nie stało, ani się nie dzieje, żadna plama, cień nawet plamy nie spada na jej cześć, a jednak...

A jednak coby było, gdyby uśmiechy Wilhelma, gdyby jego uwielbienia słyszał jej mąż?!

— Wyjadę... kres temu położę, kres. Tak być musi.

Postanowiła Edyta wyjechać do zamku mężowskiego w Tarnowie.

— Nim jednak wyjadę...

Zamyśliła się, zapłoniły jej lica, myśl się jakaś waży...

— Nim wyjadę, muszę przecie widzieć się z nim, powiedzieć mu o tem... oczywiście.

Postąpiła kilka kroków, aby wejść i powiedzieć mu o tem.

A zanim weszła do myśliwskiej izby, gdzie leżał Wilhelm, długo stała przed srebrnem lustrem, układając włosy, gładząc

*) Dziewierz—szwagier, brat męża.

rączką czoło i lice, poprawiając na piersiach prześliczny łańcuch z bursztynów...

Została w Braniborze.

Postanowiła tak długo zostać, dopóki sumienie jej nie powie: wyjdź. A przecie sumienie nie mówi jej nic, nic jej nie wyrzuca. Uczciwość i cnota wołają: wyjedziesz, jeśli zejdzie zielsko niewiary... W czystej duszy, w czystych myślach Edyty nietylko zielska, ale ziarnka jego nawet niema. Gdyby było... o! to wtedy...

Dlaczego ma uchodzić? Przed czem? Dlaczego bać się strachu, który nie istnieje, dlaczego, choć nie istnieje, stwarzać sobie strach, gdy niema zła wywoływać go w przeczulonem sumieniu?

Zostać zaś... O! Dziwnie miło w duszy, dziwnie ciągnie ją coś do izby myśliwskiej, coś do Braniboru przykuwa. Niema nic przecie w tym złego, że słowa uwielbienia dla jej urody grają w sercu jakąś rozkoszną muzyką, że westchnienie: ach jakaś ty piękna... nęci duszę, radość dziecinną jakąś sprawia. Przecież to tak miło słyszeć niewieście, że jej uroda...

Weszła do sali.

Wilhelm zwolna powraca do zdrowia, z wiosną zapewne z łoża wstanie, gdy maj kwiaty zrodzi, dźwignie się z niemocy. Rozmawia już wesoło z Thiethmarem i służbą zamkową, śmieje serdecznie, a śmiech jego pusty wtedy tylko milknie, gdy do izby myśliwskiej wejdzie Edyta.

Wilhelm powitał ją wzrokiem pełnym wdzięczności i uwielbienia.

— Chodź, chodź, tęsknica się budzi, gdy cię niema.

— Opuszczę cię, gdy wyzdrowiejesz.

— Nie mów tego, nie mów. Zbliż się do mnie...

— Czego żądasz?

— Chcę ucałować twe ręce.

— Nie, nie, tyś chory, tobie trzeba spokoju.

— Podaj mi rękę, uwielbiam cię.

Edyta zapłonęła rumieńcem. Zerwała się z krzesła i zapytała ze źle utajonym gniewem:

— Co to, Wilhelmie, znaczy?

— O czem mówisz? Pytanie twe zimne jak lód...

— Tyś mówił...

— Że cię uwielbiam. Obrażają cię te słowa?

— O znaczenie ich pytam...

— Uwielbiam twą dobroć, żeś opieką uratowała me życie.

Edyta usiadła na nowo i milczała. Zeszedł cały dzień ponury, w którym Edyta nie mówiła ani słowa, a Wilhelm patrzał na nią, zatopiony w jej oczach, w jej urodzie.

Już na drugi dzień rozchmurzyła się kobieta. Wyrzucała sobie ostre pytania, nie mogła sobie przebaczyć, że stworzyła w wyobraźni zło, którego nie było. Usiadła przy jego łożu, w promieniach jego oczu, które postać niewiasty pochłaniały. Czuła wzrok jego na licach różowych, na czole marmurowem, na włosach bogatych, na oczach pięknych...

Wilhelm długo patrzał na nią w milczeniu, wreszcie zaszeptał:

— Daj mi lutnię.

Znalazła ją, zapomnianą w izbie margrafa Dietricha i przyniosła choremu.

Odezwały się struny cichą harmonją, jakby żalem serca, które swe smutne dzieje opowiada. Czasem zadzwoni w lutni pieśń pogodna, a rzewna, jakby liście jesienne opadały: czasem słychać muzykę hawelańskiej łąki, na której pszczoły brzęczą i koniki grają. Rozśpiewała się lutnia hymnem słowiczego śpiewu, majestatem pieśni miłości, którą serce Wilhelma się spowiada, aby... zapłakać jękiem pogrzebowej melodji, którą mnisi nad grobem człowieka śpiewają.

Gęśl ścichła.

— Edyto...

— Wilhelmie...

Chory zatopił oczy w czarownej niewieściej postaci i rzekł jakby z wyrzutem:

— Przecieżeśmy oboje jednej wiary, jednę pieśń nad kolebką naszą śpiewano, jednym językiem ojczystym mówimy...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Wilhelm zamyślił się smutno.

— Nic!...

Zapanowało długie milczenie. Słonko okrążyło łukiem braniborskie zamczysko, pod wieczór jasne promienie od zachodniej strony wpadły do izby myśliwskiej, na Edytę świecąc, rąbek jej włosów, jej sukni, jej krasnej twarzyczki złocąc, po delikatnem licu się ślizgając.

Zamajaczyło złoto w bogatych włosach Edyty, roziskrzyły się promienie naokoło jej główki, otaczając ją dookoła złota

aureolą*), jakby nie kobietą i ziemskiem stworzeniem, lecz świętym była aniołem.

Uśmiech miłości zakwitł na bladem licu Wilhelma, wpatrzył się w czarowne zjawisko, które cudem, arcydziełem krasy, marzeniem snu mu się wydawało.

— Edyto... — zaszeptał rycerz.

— Mówisz do mnie?

— Tak!

— Co chcesz powiedzieć?

— Ach... jakaś ty... piękna...

* * *

Dzięki pomocy i orężowi Ottona II, wrócił na stolicę Piotrową papież Bonifacy VII, który wygnany z Rzymu, tułać się musiał po świecie, w Konstantynopolu przytułku i opieki szukając. Dokonawszy dzieła zbożnego uporządkowania spraw kościelnych, przystąpił Otton do drugiego celu wyprawy włoskiej, do podbicia południowych Włoch. Dał odpoczynek wojskom przez święta Zmartwychwstania Chrystusa, kornie i z żałobą wielką pamiątkę męki Chrystusowej obchodząc i triumfalnie wraz z całym Rzymem pieśń: Resurrexit śpiewając. Dawno już Rzym nie widział takiej wspaniałości, dawno stolica cesarzów nie gościła w swych poczerniałych ze starości murach tyle wojska, tylu dostojników i takiego majestatu.

Po Wielkiejnocy wojska wyruszyły na południe. Otton wtargnął do Apulji. W pełnym zwycięstw pochodzie zdobył Bari, zdobył Tarent, Kalabrja stała mu otworem.

Cudów waleczności dokazywało wojsko w częstych a krwawych bitwach, w potyczce pod Catrone chlubnie spisały się słowiańskie szeregi. W bitwie tej zginął waleczny Abulkasim, który był namiestnikiem Sycylji z ramienia egipskiego kalifa Moeza.

Upojone triumfem szło wojsko brzegiem szafirowego morza dalej i dalej, ufne w swoją moc, nie oceniając należycie siły Arabów i sojuszem ze Saracenami związanych Greków, nie zachowując środków ostrożności, które były potrzebne w obliczu chytrego i podstępnego wroga.

---

*) Aureola — obwódka promienna wokoło głowy świętych na obrazach; chwała.

Rozluźniła się karność wojskowa dumnej zwycięstwami armji, nieład zapanował w szeregach cesarskich, pochód był triumfem przedwczesnym, wojna zabawką. Rozwłóczą się oddziały nad brzegiem morza, rozkazów nie słuchają, zabawie i igrzyskom się oddają. Całe roty uciekają z rybakami na morze, niewody zapuszczają, rybołówstwem się bawiąc, pułki rozsypały się po kraju, goniąc za łupieżą.

Choć niespokojnym okiem patrzał na nierząd w armji, cesarz nie myślał jednak o klęsce, nie przeczuwał i nie przewidywał nieszczęścia. Ufał swemu szczęściu, swej sile, sądził, że urok zwycięskich bitew onieśmielił pogan na zawsze.

Przeliczył się.

W kiężycową noc przybiegł do namiotu cesarza Mieczysław i zbudził straż.

— Co się stało? zapytał Otto, odurzony ciężkim winem.

— Gwar ludzki słyszę na górach...

— Gdzie?

— Naokoło jak okiem sięgniesz...

— Nie bój się! To wojska nasze łupieżą.

— Nie, nie. Niezwykłe to hasła, nie nasi to ludzie.

— Słuchajcie! Słuchajcie!

— Wrogie echa niosą te góry.

— Co to? Słonko wschodzi?

— Słonko? Ledwie zaszło? Włość się pali!

— Basantello! Basantello!

— Basantello się pali!

— Nie, nie, to miejsce Squoillace się zowie.

Przybiegł setnik pułku, rozłożonego obozem na stokach gór...

— Śmierć nam! Śmierć!

— Zasadzka!

— Do broni!

— Ratujmy się!

— Ćma ludu zbrojnego nas otoczyła!

Zagrały trąby, zahuczały wszystkie kotły, zerwało się całe wojsko. Na białych stokach gór roje zbrojnych widać, pomruk okropny ze wszech stron słychać.

Bieleją w łunie pożaru jasne stroje Arabów, iskrzy się broń w ich rękach, słychać nawoływania greckich dowódców, którzy pogan na wojska Ottona wiodą. Wnet strasznym krzykiem ode-

zwały się góry, jak z pod ziemi pułki Saracenów*) się zjawiają, ze wszech stron otoczony cesarz wrogiem, który straszną żądzą mordu i zemsty dyszy.

— Uciekajcie!

— Nie podołamy przemocy!

— Ratujcie!

— Uciekajcie!

— Uciec? Dokąd? Chyba w morze!

Pozostała do wyboru jedna zaszczytna śmierć, bitwa, gdzie jeden walczyć będzie przeciw dziesięciu, gdzie nie masz nadziei, nie masz ocalenia...

— Za wiarę naszą!

— W imię Chrystusa!

— Drogo życie sprzedamy!

Na krańcach obozu słychać straszliwe wycie ludzkie. To już nie bitwa, to rzeź.

Pierzchają przed wrogiem frankońskie i bawarskie szeregi. Sasi wybici do nogi, zbrojni z marchji wschodniej zbiegli, zwiększają zgiełk, jaki otacza namiot cesarza.

W porządku, z zimną krwią sprawił swe szeregi Mieczysław, głośne nawoływania Mściwoja słychać z przed słowiańskich pułków.

— Naprzód!!! — krzyczy po hawelańsku Mściwoj.

— Poganie idą w bój—szepce strwożony cesarz.

— Uderzają na pogan!

Murem stanęła słowiańska drużyna, wstrzymując pochód Saracenów, dziesiątki ich trupem kładąc, zasłaniając cesarza i zbiegłe niemieckie wojsko. Straszą Hawelan cudaczne ubrania, na oczy nigdy nie widziana broń. Topór połabski bije się z krzywym wschodnim pałaszem, w odpowiedzi na tysiące strzał, tysiące kamieni z proc na Saracenów leci.

Ale nie zmoże jeden dziesięciu, nie obroni się stu przed tysiącami.

Padł Mieczysław uderzony obuchem w łeb, zmoczyli i zaczerwienili obcą ziemię krwią swą Hawelanie. Gdy słonko wschodziło, zacieśniał się pierścień wrogów, otaczających cesarza; śmierć zajrzała w oczy niemieckim szeregom.

---

*) Saraceni—nazwa Arabów w wiekach średnich, później rozszerzona na wszystkich mahometan, przeciw którym organizowano wojny krzyżowe (krucjaty).

Ze słowiańskich rycerzz nie została nad ranem żywa dusza, wszystko padło w obronie cesarza, poganie pomordowali pogan, z rąk niewiernych polegli niewierni, napróżno piersiami zasłaniając... wiernego, chrześcijańskiego monarchę...

Do namiotu Ottona przypadł posoką oblany Mściwoj, załamał ręce i krzyknął z płaczem:

— Ani jednego z moich nie zostało!

— Twój brat?!

— Padł w twej cesarzu obronie...

. . . . . .

Do brzegu, koło pola bitwy zawinął grecki okręt. Przypłynął on tutaj, aby zabrać i odwieść roczną daninę od Kalabrji. Trybut*) ten wydzierżawiono żydowinowi, który sam na statku przybył, aby należne mu pieniądze odebrać. Przeraził się żydowina na widok straszliwej bitwy, która na brzegu wrzała, już miał uciec na pełne morze, gdy na statek wdarł się cesarz Otton i Mściwoj, uciekając przed hańbą i śmiercią.

. . . . . .

Otton ocalony został istnym cudem. Gdy gromada pogańska zwaliła się na jego namiot, uciekł przed nawałą, mieszając się z tłumem niemieckich żołnierzy, którzy nie widząc ratunku, rzucili broń i na klęczkach błagali Saracenów o życie. Dopadła Ottona ta zawzięta czerń, wał ludzi resztę niedobitków niemieckich opasuje, dybie żołnierstwo na życie cesarza, nawołują Arabów greccy dowódzcy, aby zabić, jeśli nie uda się żywcem wziąć go do niewoli.

Osoby monarchy bronili Mściwoj, obotrycki książę i hrabia Mansuet z Kolonji. Na rany własne nie zważają, piersiami go i szablicą zasłaniają, życie swoje za nic ważą.

Wnet upadł Mansuet u stóp Ottona, a krew z rozpłatanej jego głowy bryzgnęła kaskadą na zbroję monarchy, po drucianej koszulce cesarza spływa rubinowemi perłami krew...

Zasłonił go jeszcze na chwilę Mściwoj, pociągnąwszy przykładem swym kilku ludzi do obrony cesarza, ale mimo to już nie masz nadziei, garstka zbrojnych maleje i maleje, straszna śmierć zagląda w oczy...

---

*) Trybut—podatek, danina.

— Uciekaj! — wrzasnął na cesarza Mściwoj—mieczem sobie drogę do morza torując, w czerń ludzką z kilku żołnierzami na oślep lecąc. Śmierć zaglądająca w oczy i wściekłość ocaliła mu życie, ocaliła z nim razem cesarza. Pod naciskiem kilku rozpaczą pijanych ludzi prysła obręcz greckiego żołnierstwa... oto kilku Arabów tarza się we krwi.

Wymknął się cesarz. Leci książę brzegiem morza, rozmachem miecza ciosy ścigających go Saracenów odpiera, cesarza własnem życiem zasłania. Grad pocisków pada, w szatach cesarza i Mściwoja tkwią dziesiątki strzał, które pancerza drucianego przebić nie zdołały i w sukniach zawisły, za uciekającymi, wyjąć, goni rota Saracenów i woła:

— Cesarz! Ich cesarz.

Dopadli i zamordowali żołnierzy, którzy uchodzili z monarchą, nie zdołali jednak dopaść Ottona, który szczęśliwie zbiegł na grecki okręt. Upadł cesarz na pokładzie łodzi, wtedy, gdy tam na polu bitwy... wszystko na klęczkach o litość, o życie prosi, płacząc, Saracenom stopy całując.

Ci, gdy się nasycili ludzką krwią, jęli krępować rycerstwo, aby popędzić je w straszliwą niewolę.

* * *

— Ktoś ty?—zapytał Ottona żydowina, który zbliżył się do rozbitków.

Krew ciekła Mściwojowi z czoła, w oczy się pchając, zalewając powieki. Przetarł ręką oczy, spojrzał na pokład okrętu, na ludzi, którzy pracowali rozpinając żagle, aby okręt wypłynął na pełne morze.

Na widok majtków, którzy ciągli liny, na widok zbrojnych, którzy na pobojowisko patrzeli, zabiło serce strachem wielkim...

— Wszakże to Grecy!...

— Mściwoju! — szepnął osłabiony cesarz.

— Zginęliśmy!

— Co mówisz?

— Uciekając z niewoli, wpadliśmy w niewolę...

— Jakto?

— Grecki to statek, jesteśmy w rękach Greków.

— Grecy?—jęknął cesarz.

— Niewola! Niewola!

— Ratuj mnie!

— Sił i rady mi brak.

— Litość miej—zajęknął Otton, leżąc na pokładzie, strasznie płucami pracując.

— Ktoś ty?!—zapytał powtórnie Żyd, który łacińskiej mowy rozbitków nie rozumiał.

— Powiedz mi pierwej, coś ty za jeden? — rzekł do Żyda krwią oblany Mściwoj.

— Panem tego okrętu jestem.

— O gościnność cię prosimy.

— Muszę wiedzieć kogo mam w gościnie.

Mściwoj spojrzał na cesarza, pomyślał chwilę i rzekł głosem, w którym kłamstwo drżało:

— Ten, którego widzisz, jest rodzonym bratem greckiego cesarza.

— A ty?

— Dworzaninem jego i przyjacielem.

— Jakto? Jakto? Wszak z obozu nieprzyjaciół greckiego monarchy uciekacie. Uciekacie przed Saracenami, sprzymierzeńcami greckiego cesarza.

— Zdradzili nas, niepomni swych zobowiązań, na nasze czyhają mienie. Jeśli o rabunek chodzi, Saracen nie rozróżnia, czy to Grek, czy Niemiec.

Uśmiechnął się Żyd, który choć miał grecką załogę, ze strachu jednak przed „sprzymierzeńcami“ Saracenami, odpłynąć kazał na pełne morze.

— Prawdęż mówicie?

— Nieinaczej. Przekonasz się o tem, gdy nas odwieziesz do Bizancjum.

— Złotem cię zasypię—wyszeptał Otton.

— Wagę twą dziesięć razy szczerem złotem od greckiego cesarza otrzymasz.

Żyd spojrzał na zbroice i bogaty strój rycerzy. Oczy mu łakomstwem zapłonęły, na twarzy zjawił się uśmiech uprzejmy. Opowiadanie Mściwoja wydało mu się niewiarygodnem trochę, to jednak napewno wiedział, że zysk pewny i okup wielki.

— Woli waszej zadość uczynię — rzekł, idąc do izdebki sternika.

* * *

— Z czoła krew ci strugami cieknie.

— Z czoła, panie? Spojrzyj na me piersi...

Otton odzyskał siły i dźwignął się z ziemi. Usiadł przy pomocy Mściwoja na ławie okrętowej i rzekł:

— Krwawią się... Zapamiętam ci, zapamiętam...

— Za ciebie płynie ta krew...

— Na okręcie drugi raz mi życie ocaliłeś — szepnął cicho Otton.

Zaśmiał się zcicha Mściwoj. Obejrzał się dookoła...

— Kłamstwem.

— Nie kłamstwem, lecz rozumem.

— Wnet wpadło mi na myśl, aby ukryć twą osobę.

— Patrz! Czy widzisz pole bitwy?

— Na widnokręgu w mgłach majaczeje.

— Dymy pożarów widać...

— Basantello!

— Z krwawą łzą w oku wspominać będą Niemcy to imię.

— Straszne będzie jego wspomnienie.

— Padła trupem ozdoba jasnowłosej Germanji.

— Cicho, sternik się zbliża.

— Dokąd jedziem?—zapytał sternika po grecku cesarz.

— Gdy pan mój trybuty w portach odbierze, popłyniem wprost do Bizancjum.

— Do Bizancjum!

— Czyście wy Niemcy?—zapytał Mściwoja sternik, patrząc z podełba na rozbitków.

— Nie, nie. Dlaczego się o to pytasz?

— Dlaczego?—rzekł sternik. — Bo jeśliś Niemiec, to z rozkazu greckiego cesarza zawiśniesz na gałęzi. W łańcuchach na dnie okrętu do Bizancjum popłyniesz.

— Słyszałeś, panie — szepnął Mściwoj, gdy sternik się oddalił.

— Bądź dobrej myśli—odrzekł cesarz.—Nikt nie wie, że my to śmiertelni wrogowie cesarza Grecji.

Nie uciekła z czoła Mściwoja chmura, nie uciekła z duszy zgryzota.

— Jakto, cesarzu, wszak do Bizancjum jedziem.

— Tam nas, panie, poznają...
Cesarz popatrzył pogodnie i z otuchą na Mściwoja.
— Ufaj! Dopomoże nam Bóg!

* * *

W izdebce pod pokładem wysuszyli swe odzienie, zawiązali łachmanem swoje rany. Upadł Mściwoj na łoże, przespał resztę dnia, przespał noc całą. Sen miał niespokojny. Piekące rany zburzyły krew gorączką, snuły się straszne majaczenia o krwi, o trupach, o bitwie. Nad ranem zbudził go cesarz.

— Mściwoju! Mściwoju!

— Toś ty panie? Na rozkazy twe jestem.

— Czuwać nam, każdego nadsłuchiwać słowa.

— Co się stało?

— Mogła się stać rzecz straszna. Mogli nas byli wydać nieprzyjaciołom.

— Jakto panie? Nikt z załogi nas nie zna.

Okręt przed wschodem słońca przybił do brzegu, aby wody nabrać; słyszałem ludzi, którzy się pytali o mnie.

— O ciebie, panie?

— Gromada zbrojnych Greków pytała się żydowina, czy nie widział zbiegłego cesarza.

— A żydowin?

— Mówił, że dwóch Greków do Bizancjum wiezie.

— I odeszli?

— Nim odeszli, straszną wieścią rozdarli serce...

— Wieścią...

— Że margraf wschodni Dietrich, również książę saski Bernard opuścili mnie, bezwstydnie z pola bitwy uciekając.

— Mogłoż to być?

— Było zaiste.

— Prawdą jest, że oderwali się od wojska i zostali z dwoma tysiącami ludzi w tyle.

— Gdy nas wróg otoczył, zbliżyli się do nas, poznawszy zaś, że śmierć nam nieuchronna grozi i zniszczenie, zamiast na pomoc pospieszyć, uciekli.

— Ratowali życie z ogromnego pogromu.

— Hańbą wodza opuścić króla w nieszczęściu.

— Może to nieprawda, może to oszczerstwo na nich rzucono. Kto ci to mówił panie?

— Grecy na pokładzie mówili.
— Wieść o pogromie tak prędko tu doszła?
— Goniec z Basantello ją rozszerzył.
— Dietrich uciekł, mówisz?
— Tył ohydnie podał.
Uśmiechnął się smutno Mściwoj i rzekł:
- Hawelanie, cesarzu, nie uciekli. Oni do jednego wymarli, poległ mój brat...
— Niech Bóg da wieczną nagrodę Mansuetowi, którego rozsiekano, gdy piersią mię zastawiał.
— O Mansuecie z Kolonji mówisz?
— Tak jest. W domu, tam na północy został syn jego Wilhelm, którego gońcem do Braniboru wysłałem. Gdy szczęśliwie do ojczyzny wrócim, złotem dziedzica Mansuetowego obsypię, łaską i lennem obdarzę.
Mściwoj milczał.
— Czy nie wiesz—zapytał księcia cesarz—dlaczego Wilhelm z nami nie podążył na wyprawę. Dlaczego został w Braniborze wtedy, gdy książę Bernard z margrafem wschodnim na wyprawę do Włoch ruszali?
— Nie wiem—odrzekł Mściwoj.
— Widziałeś Wilhelma w Braniborze?
— Nie widziałem—odrzekł sucho książę obotrycki, którego niecierpliwiła rozmowa o wrogu, złościły względy cesarza dla zabitego Mansueta...
— Nie zapomnę temu, co rozlał za mnie krew, za krew jego zapłacę szczodrze dziedzicowi. Ręka Boża ocaliła mię w tym okropnym dniu pogromu. Na jej pomoc się zdaję. Bożego miłosierdzia wzywam, aby mię zachowało od greckiej niewoli.
Wiatr dął w rozpięte żagle, okręt płynął na morze otwarte, im bardziej z oddaleniem się okrętu brzegi włoskie w mgle się zacierały, tem większa otucha wstępowała w cerce cesarza. Dufał cesarz w szczęście, jeszcze większe nadzieje budował na łakomstwie żydowina, któremu pełną kiesę złota dał, sutą daninę obiecując, gdy stanie na greckim brzegu.
— Brat mój, cesarz grecki, sowicie ci zapłaci.
Mówił ciągle z Żydem o Grecji i greckim cesarzu, choć niczego tak się nie bał, jak wydania go w ręce greckiego wojska i cesarza Bizancjum. Wiedział, że nim okręt do Konstantynopola zawinie, kilka razy jeszcze przybije do brzegów, gdzie Żyd ma trybut ściągać i załatwiać swe kupieckie sprawy. Są przecie

miasta i porty wolne od greckiej załogi, gdy zaś statek w jakim weneckim porcie stanie, to on... Otto, odda się w opiekę strażnikom, odkryje żołnierzom Rzeczypospolitej kim jest, a może być pewnym, że wojsko Pietra Tribuny wydrze go z greckiej niewoli.

— Szczęście to nasze, że żydowina nie wie kim jestem.

— Mniemasz, gdyby wiedział, wydałby cię, panie?

— Niewątpliwie.

— Czy nawet i wtedy, gdybyś obiecał mu wielką nagrodę?

— Cesarz grecki da mu za mnie dwa razy więcej.

— A więc w milczeniu ratunek...

— Milczę jak grób!

— W tem ocalenie nasze.

W kilka dni potem znowu pokazał się biały brzeg na widnokręgu, znowu okręt się zwolna ku lądowi zbliża. Coraz wyraźniej rysują się białe skały, góry sinieją wdali, wnet widać wyraźnie wysokie pinje, srebrne gaje oliwne i krzaki laurowe. Ile razy ziemia się pokaże, zawsze serce silniej w piersi tułaczów bije, radość i strach w duszy naprzemian się rodzą.

Tam na brzegu mogą się znaleźć greccy ludzie, poznać Ottona, odebrać go i zakuć w kajdany, tam może być załoga wenecka, a z nią ucieczka i ratunek.

Im bliżej brzeg, tem silniej dygoce serce cesarza, bijąc tak, że prawie słychać pulsa tętniące na skroni.

— Czy zawijamy do brzegu?—zapytał żydowina Otton.

— Nie. Brzeg miniemy i popłyniemy dalej.

Otton i Mściwoj odetchnęli.

Noc zapadła na szafirowem morzu, statek pędzony siłą rozdętych żagli, pruł fale, za sterem pieni się woda, ciągnąc się daleko za okrętem długą białawą wstęgą. Okręt zatoczył na morzu ogromny łuk koło pustego brzegu, zaczął się zwolna oddalać, gdy wdali ukazała się łódź żaglowa, szybująca po wodzie, jakby załoga jej dla rybołówstwa wyjechała na morze. Wtem nagle na łódce zaczęły się pokazywać znaki, głos trąby zahuczał, w ciemnej nocy zabłysnął ogień pochodni, migocący sygnałem, że załoga o porozumienie i posłuch woła.

— Kto to?

— Rybacka barka błądzi po morzu.

— Nie, nie — odrzekł żydowin. — Moi to ludzie, do nas zdążają.

— Ot, grecka, kupiecka chorągiew na maszcie powiewa.

— Sterować ku nim, sterować!

Wnet zrównała się łódź z okrętem, z pokładu zrzucono drabinę ze sznura, na drabinie widać kilku ludzi, pnących się na górę. Wdrapał się już pierwszy na pokład, wchodzi drugi, trzeci...

— Zakupiliście dla mnie towary?—zapytał pierwszego z nich żydowin.

Ten nie odrzekł nic. Przez błąkające się po statku dymy ogniska, przy którem majtkowie wieczerze gotowali, patrzy na cesarza i Mściwoja, przysłania ręką oczy, aby lepiej ich zobaczyć, wpatruje się w ich oblicza oświetlone jasno buchającym płomieniem ogniska.

— Wszak to cesarz Otton!

— Kto?!! — krzyknęła załoga.

— Ten... czerwony.

— Co mówisz?

— Z wiosną widziałem go na brzegu Wenedów.

— W morze! — krzyknął na Mściwoja cesarz, skacząc w toń.

— Zginęliśmy — zawołał Mściwoj, skacząc z pokładu w fale.

— Łapać ich!!! — huczą głosy na statku.

— Łódź odpiąć!!

— Żywcem brać!!

— Cesarz grecki skarby za niego zapłaci.

— W kajdanach kazał go do Bizancjum odstawić.

— Otton! Otton!

— Z hordą niemiecką napadł greckie posiadłości.

Na łodziach i wpław rzuciła się za Ottonem gromada ludzi*).

* * *

Mściwoj wytęża wszystkie siły, aby się dostać do brzegu. Woda morska łatwo go unosi; w pierwszej chwili płynął szybko po morzu, ręce jednak zmęczone wnet straciły moc, nadmiarem pracy wyczerpane.

Już nie ściga go nikt.

---

*) Opis ucieczki Ottona z kronikarzy współczesnych (przyp. autora)

Płynął za nim długo, bardzo długo, jakiś wyrostek, chcąc go schwytać, już dopadł Mściwoja, już go miał ująć — gdy dostał pięścią w łeb tak straszliwie, że znikł bez śladu. Utonął lub zaprzestał pościgu.

Okropnie zmęczony Mściwoj kilka razy próbuje nogami, czy nie dostanie dna. Wszak brzeg niedaleko, a z nim płytkie zwyczajnie morze. Napróżno! Dna niema, woda pokrywa go z głową, ciało idzie w głąb morskiej otchłani. Znowu płynie, znowu wytęża ostatnie siły, znowu na dwa, trzy rzuty oszczepu upłynął...

— Jest ziemia, jest!

Stanął, obejrzał się.

Daleko, bardzo daleko, widać okręt, błyszczy ognisko, które na statku się pali. Dolatuje uszy Mściwoja jakiś szmer, zgiełk, którego echo tłumią fale szeleszczącego morza. To pogoń za cesarzem tak huczy!

Stanął w morzu, aby nabrać sił. Odetchnął, czekając aż zmordowane płuca się uspokoją, aż choć trochę mocy wróci, aby dobić do brzegu. Może znowu braknie gruntu, może znowu trzeba będzie płynąć, walczyć ze silniej już skutkiem wiatru falującą wodą.

Zrobił krok, drugi, trzeci... Ziemia! Morze coraz płytsze, już po pas, po kolana, wnet ledwie kostki zakrywa. Ziemia! Nogi toną w mokrym i miałkim piasku, wody już niema, co chwila tylko falujące morze taflę wody przyśle. Rozpryśnie się fala piany, zaszumi koło nóg Mściwoja, aby się rozbić, rozpłynąć, zniknąć, ustąpić miejsca drugiej fali. Wnet suche piaski, ziemia pełna zeschłego zielska, nogi Mściwoja szeleszczą od trzaskających pod nim zeschłych małż i muszli, wysoka trawa, za trawą stały grunt.

Ucieka jak strzała obotrycki książę. Strach przed niewolą dodaje mu siły, strach przed pustym i martwym brzegiem, na którym ucieczkę jego pogoń każdej chwili zobaczyć może. Nikogo naokoło nie widać, pustka jak okiem spojrzysz, a jednak Mściwoj ucieka, pustki nawet się bojąc. Zgiełk zdaleka jeszcze słychać, może już niema zgiełku, uszy Mściwoja rodzą jednak zgiełk, który strachem przezaża jego serce.

Sił nie stało, ale wrzawa, dolatująca z morza ucichła. Skończyła się też wreszcie pustka i wydma morskiego brzegu, a zjawił się wał laurowych krzewów.

Mściwoj wpada w najgęstszą plątaninę gałęzi, kryje się w zielonej kniei. Dokoła nie widać świata, a jasny księżyc zaledwie wąziutkiemi promykami może się wkraść w zbity gąszcz.

Upadł Mściwoj na ziemię. Walka z falą zmordowała jego ręce, ubezwładniła ciało. Choć zmęczony bardzo, usnąć jednak nie może, usnąć mu nie da strach przed pościgiem, strach przed grecką niewolą, strach przed śmiercią i karą za cudze, niemieckie winy.

Z gąszczu gałęzi laurowych nadsłuchuje, co się na świecie dzieje, łowi echa, czy mu przypadkiem głosów pościgu nie przyniosą.

Wytężył słuch. Cicho. Rytmicznie łopoce morska fala o piaski uderzając, o brzeg się rozbijając. Wdali za cyprysami skrzypią pinje, kołysane wiatrem, szemrzą liście cytryn, szepcą źdźbła wysokich, suchych traw.

* * *

Wnet rozjaśniło się niebo na wschodzie, woda zaczęła kraśnieć i bieleć. Szczyty fal migocą się ogniskami; niebo coraz jaśniejsze, coraz wyraźniej rozjaśnia się morska toń. Mgły różowe powstały nad morzem, topazem i rubinami zakwitają chmurki, na krańcu horyzontu zjawia się brzeg tarczy słońca. Pogasły na ten widok gwiazdy, zbladła srebrem i rubinem migocąca się gwiazda zaranna.

Wznosi się słonko coraz wyżej różowe i złote, kąpie się we falach, dźwigło się ponad wody, jasność ziemi niosąc. Roztopiło złoto w przestrzeniach morza, szczyt fali wodnej opalowem światłem migoce, słońce ogromną kolumną jaskrawego światła we fali morskiej świeci.

Czaru i rozkoszy pełna ta prześliczna ziemia, którą opromieniło i potokami światła i ciepła zalało słońce.

Na ciepłe słoneczko wyszedł nasz tułacz, ogrzać się w jasności słonecznej, osuszyć odzienie, które przemokło w morzu, rozgrzać krew w żyłach, po których dreszcze febry i zimna przelatują.

Na morzu ani śladu okrętu, naokoło ani śladu człowieka. Skały puste, lasy pinji, krzaki i zeschłe burzany naokoło. Żywej duszy niema, niema więc niebezpieczeństwa, ni wroga, któryby go ścigał.

Zgłodniały idzie Mściwoj... Dokąd idzie? sam nie wie. Tyle wie, że trzeba iść na północ, bo tam Rzym, tam Alpy, tam rodzinna ziemia... Głód dokucza, tęsknica serce targa...

W tej ziemi wiecznej wiosny, w ziemi czarów nieswojsko mu i źle, nie wie dokąd zajdzie, w czyje ręce wpadnie, gdzie na noc dach i spoczynek znajdzie, na której szubienicy za winy cesarza skona...

Minął las pinji, przedarł się przez kolczaste kaktusy, które na skałach bujały. Wdarł się na pagórek, wspinał się na skały, przechodzi równiny, wydmy piaszczyste i gaje. Nagle znalazł się w kotlinie jakiejś, na której dnie płynął potok o brzegach strojnych kwieciem i zielenią. Nad wodą dumają drzewa oliwne o gałęziach wichrowatych, o liściu srebrnym, podobnym do hawelańskich wierzb...

Patrzy Mściwoj zdumiony, a przed nim hawelańskie wierzby stoją, takie same kształtami i barwą jak te, które nad Odrą, nad Łabą, na zwierzyńskich pojezierzach rosną. Braknie pod niemi krzaków zielonych, rubinami obsypanych kalin, braknie łąki stokrotkami i jaskrami zasianej, aby to była ojczysta jego połabska ziemia...

Na widok drzew oliwnych, które mu przypomniały ojczyznę upadł Mściwoj na ziemię, w oczach jego zagościły gorzkie, krwawe, serdeczne łzy...

IX.

Zimno, ponuro, głucho, pusto w klasztorze dziewińskim. To grób ludzi, którzy dobrowolnie wstąpili weń za życia.

Na wieczną samotność skazany każdy, kto wszedł w te mury. Kto ślubował Bogu i przestąpił klasztorny próg, ten z kraju światła i radości wszedł w kraj smutku i nocy, ten na zawsze zerwał ze światem, gdzie maj śpiewem ptasząt, barwą i krasą kwiatów się śmieje. Przed progiem tym słonko złote, wiosna życia, bogactwo rozkosz, szczęście: za progiem ciemne, posępne mury, smutek, ubóstwo, zaparcie się uciech, jakie świat daje, a potem śmierć...

Pobożne panny mieszkają w dziewińskim klasztorze. Poprzysięgły Bogu wieczną czystość, wzgardziły ziemskim oblubieńcem, aby pokochać Niebieskiego.

Smutno, jednostajnie dnie w klasztornych murach płyną na rozmyślaniu i modlitwie, jakby w trumnie mieszkał ten, kto przestąpił te progi. Rano, w południe i wieczór w chórze klasztornym smutne śpiewy zakonnic słychać, o północy dzwon uderza, by je do chóru na modlitwę zwołać. W modlitwach towarzyszą im białogłowy wysokiego rodu i zacności wielkiej. W świecki strój ubrane, a żyją jako zakonnice, postów i umartwień przestrzegając, z mniszkami po łacinie się modląc.

Żarliwie Adelajda całą zimę posty odprawiała, cała oddała się rozmyślaniom i pokucie. Wczas rano puka do jej drzwi zakonnica, wołając:

— Laudetur nomen Domini*), a dziewoja dawno z wczasów zbudzona, odpowiada jej: In saecula**). I spieszy z Kunigundą do kościoła, gdzie arcybiskup świętą ofiarę odprawia.

Nie widać przez potrójne kraty kapłana, ani rozmodlonych ludzi, reguła klasztorna pobożne panny nawet od kościoła odgrodziła, dzwonek jednak kościelny woła, szept ministranta dolatuje do nich, gorące westchnienia ludu słychać, słychać cichy głos przewielebnego kapłana:

— Hymnum gloriae tuae canimus sine fine dicentes: Sanctus!***)

Ale nie dla świeckich ludzi zakon, nie dla Adelajdy posępne, życie klasztorne. Przykrzy się jej tu, dusza na świat szeroki leci, myśl leci do Mściwoja, do kochania...

Nikt się temu zresztą nie dziwi, nawet bogobojna matka nie bierze za złe, że po kilku miesiącach wielce się usposobienie synowicy Bernarda zmieniło. W pierwszych chwilach cisza i klasztorny spokój był dla niej nowością, na którą patrzała z zaciekawieniem, tęsknie nastrajał jej duszę rzewny smutek, pieśni zakonnych psalmów, które pobożne i czyste panny na cześć Stwórcy śpiewały.

Potem przyszła do serca krasawicy tęsknica za światem... Nic dziwnego. Kogo powołano, aby żył w świeckim stanie, tego próżno do zakonu namawiać, niech idzie tam, gdzie przeznaczenie wskazało mu drogę. A przeznaczenie to kazało Adelajdzie iść na świat i żyć na świecie i ze światem...

---

*) Laudetur nomen Domini — niech będzie pochwalone imię Pana.

**) In saecula—na wieki.

***) Hymnum gloriae tuae canimus sine fine dicentes: Sanctus — Śpiewamy hymn na cześć Twoją zawsze powiadając: Święty!

— Straszno tu i smutno stryjno — rzekła dziewoja do Kunigundy.

— Zostań jeszcze.

— Serce rwie się z tych murów zimnych.

— Smutniej ci będzie w Braniborze, gdzie prócz niewiast żywej duszy nie masz.

— Zapomniałam już, co to pieśń, co radość, co wesele...

— W Braniborsku jest Wilhelm...

— Niech mię Bóg od niego broni!

— Zostań więc.

Posłuchała Adelajda stryjny, a na serce jej padł smutek i ciężar wielki. Gdy śpiewała w chórze posępne pieśni, wydawało się jej, że leży w trumnie, że to nad jej grobem ta smutna pieśń jęczy, że echa tych pieśni huczą jak bryły ziemi ciskane na ohydne pudło, w którem zakopują człowieka...

Raz spóźniła się na modlitwy. Przespała północną godzinę twardym snem złożona, nie słyszała dzwonka, ni głosu budzącej ją zakonnicy. Pusto było w celach pobożnych panien, żywej duszy nie było, gdy Adelajda zerwała się i pobiegła do chóru. — Zbiegła szybko ze schodów, zatrzasła się za nią furta klasztorna, weszła do grobowej sali kapitularza, przez który droga do kaplicy prowadziła.

W kapitularzu leżała stara nawpół zbutwiała trumna zakonnicy, która dawno, dawno, Bóg wie jak dawno, umarła. Zwłoki te były czczone i szanowane od wszystkich zakonnic dla pamięci cnót zmarłej, dla jej pobożności, jaką odznaczała się za życia, której blask stroił jej ziemską powłokę nawet po śmierci.

Choć kilkadziesiąt lat w trumnie przeleżała, ciało jej nie psuło się wcale, nie podlegało rozkładowi, któremu każdy człowiek podlega; było tak młode i życia pełne, jakby pobożną dziewicę wczoraj do trumny włożono. Biały welon stroił jej czoło. rozmaryn i kwiaty na jej skroni pożółkły, zbutwiały, w proch się rozsypują, a ona jakby żywa, jakby wczoraj pogrzebana, nie, nie, jakby wcale nie umarła, lecz zasnęła cichym, słodkim jakimś snem. Widać jej grobowe łoże na nasypisku ludzkich kości, na resztkach butwiejących trumien...

Stanęła Adelajda, jakby stopy jej do bazaltowych tafli podłogi przyrosły...

— Co to?!

W strasznym, ponurym kapitularzu ciemno, okropnie ciemno... a kości i nasypisko siarczanym jakiemś światłem się pali.

jakby pary żółtym blaskiem dymiły, jakby mętne ogniki robaczków czerwonych płonęły. Straszna siarczana jakaś aureola około trumny...

Zaświecił księżyc. Przez wąskie okienko wpadł na lice zmarłej zakonnicy, oświecił jasne białe jak kreda jej ręce, żelazny krzyżyk w suchych kościach rąk się świeci...

Patrzy Adelajda na zwłoki...

Zmarła zakonnica patrzy... Patrzy na dziewczynę czarnemi oczami, wzrokiem, w którym maluje się nicość grobu i martwota grobu. Wydaje się Adelajdzie, że tych oczu dwoje to dwie przepaście... że przez te oczy widać drugi świat... za grobem... gorączka jakaś i szaleństwo się dziewoi czepia... chce dziewka uciekać przed temi oczami...

Pośliznęła się w ucieczce, potknęła się o skrzynię drewnianą, upadła na wieko drugiej trumny, które zbutwiałe zapadło się pod jej ciężarem, niosąc straszny zaduch próchna...

Zerwała się Adelajda na nogi, chce uciekać, jeszcze raz na trumnę oświetloną księżycem spojrzała... Boże!... Zakonnica wstaje!!!....

* * *

Siostry, wracając z chóru, znalazły narzeczoną Mściwoja zemdloną na ziemi. Położyły ją na posłaniu w celi, gdzie w gorączce Adelajda męczyła się aż do pierwszych dni kwietnia.

Gdy wyzdrowiała, zaprzestała modlitw w chórze, opuściła swą izdebkę, zamieszkała w jednej celi z Kunigundą, bojąc się samotności, bojąc się pustych murów kapitularza, na którego wspomnienie straszne widma rodzą się w głowie, przez krew idzie straszliwy dreszcz strachu...

Gdy nadeszły pierwsze dni kwietnia, wychodziła Adelajda codzień do ogródka klasztornego, w którym siostry zakonne sadziły kwiatki na grządkach uprawionych wśród szeregu drzew. Dookoła wirydarza czworobok ponurych czarnych murów, nad wielkim prostokątem ziemi, rozciąga się u góry ogromny prostokąt nieba.

Zaśmiało się jasnemi promieniami słoneczko, ciepłe promienie przygrzewają z wiosną ziemię, wszystko, co jesień i ręka ludzka zasiały, budzi się do bytu, pączki drzew rozwijają się, korzenie traw puszczają w górę zieleniutkie pędy.

W ciepłem, złotem słoneczku siedzi na ławie Adelajda. Wyszło to słonko ponad mury, świeci, błyszczy, grzeje...

Oto z grządki zielona chabina pierwiosnka strzeliła, grono żółtych kwiatków na badylku wisi, niebieszczeją rzędem bazie, w rogu wirydarza kwitnie łan fijołków, który wonią rozkoszną bucha. Trawki świeże z ziemi rosną, kiełkują ostremi szablami żółte lilje, bratki kolorowe śmiejącemi się oczkami na Adelajdę patrzą: wszystko wychodzi z ziemi, aby róść, bujać, kwitnąć. — Śniegiem kwiatu obsypane już są grusze, różowemi kwiatami zakwitła jabłoń, bogata gałąź dotyka kwieciem włosów Adelajdy, głaszcze jej twarz podmuchami łagodnego wiatru poruszana. — A tam za rozkosznym kwieciem, za różowemi girlandami jabłoni... O!

Mur zimny, kolumny kamienne pleśnią porosłe, wilgocią ohydną cieką... jakby gnił ten okropny, klasztorny mur... Kłócą się te grobowe kamienie z prześlicznem kwieciem wiosny, kłócą się z jej ciepłem słonecznem, z rozkoszną krasą przyrody, która się budzi, kwitnie...

Tu jaśniejące słonko, zapach fijołków, a tam... z kamiennych kurytarzy bucha zaduch piwnicy, zimne, wilgotne, stęchłe powietrze klasztoru...

Grzeje się dziewczyna w świetle słonka, gorące promienie weszły do krwi, zagrzały ją, szczęściem jakiemś, radością się po niej rozchodzą, mile jakoś, bez granic przyjemnie w tych promieniach złotych wśród czarownego rozkwitu wiosny.

Dziwna rzecz się w Adelajdzie dzieje, nieokreślone uczucie budzi się, ciągnie ją coś do słońca, światła, wiosny, życia, sama nie wie, co się z nią stało, to wie, że z tych okropnych murów trzeba iść na świat, na słońce...

Tam, do Braniboru, nad Hawelę, gdzie na łąkach zieleń buja, gdzie na murawie kwiecie się pyszni, gdzie pierś swobodnie oddycha...

Wybiegła Adelajda z wirydarza, spieszy się przez ciemne, ponure sienie, leci po schodach do cel, gdzie zakonnice i dostojne białogłowy mieszkają. Wpadła do celi Kunigundy i zadyszana rzecze:

— Jedziemy, stryjno.

— Co mówisz? Dokąd?

— Do Braniborza.

— Co?! Chcesz opuścić te święte mury?

— Ani chwili dłużej w nich nie zostanę.
— Jakto? W drogę ruszyć mamy dziś?
— Dziś, stryjno, dziś. Wysłuchaj mnie, ja dziś jechać muszę...
— Twoja wola, Adelajdo, niech się stanie.

* * *

Wiosna zazieleniła, pokryła kwieciem świat cały, gdy Adelajda ze stryjną przyjechała do grodna nad Hawelą.

* * *

— Toś ty, przezacna Adelajdo, toś ty! — rzekł radośnie Thiethmar.
— Przyjechałam z klasztoru.
— Nie wrócisz tam?
— Tu aż do przybycia margrafów zostanę.
— Daj Boże, żeby wnet wrócili.
— Czy masz wieści z Włoch?
— Tyle wiem, że wojska szczęśliwie Alpy przeszły, że nad szafirowem słowiańskiem morzem cesarz rozbił namioty.
— Wrócił kto z wojska?
— Gońcowi udało się przedrzeć Alpy, niosąc do Akwizgranu rozkazy cesarza.
— O Mściwoju nic goniec nie mówił?
— Mściwoja wspominasz—rzekł z goryczą w głosie Thiethmar.
— Dziwi cię to?
— Oj dziwi, dziwi. Jeśli go poślubisz, na wieczną skazanaś rozłąkę.
— Na rozłąkę?! Z kim?
— Jakto z kim? Z twoim mężem.
— Co mówisz?
— Wszak po śmierci ty, jako chrztem świętym obmyta, do nieba pójdziesz, a mąż twój pójdzie do piekła i w wielkich męczarniach prażyć się będzie.
Adelajda przerwała niemiłą dla niej rozmowę.
— Gdzie jest Edyta?
— Smołę roztopioną szatan Mściwojowi do pogańskiejpaszczy łać będzie — mówił Thiethmar, który obojętnem pytaniem

nie dał się zbić z tropu. Olej wrzący konwiami do plugawej gęby szatani lać będą.

— Gdzie jest Edyta?

— W ogrodach przechadza się, fijołków szukają razem z Wilhelmem.

— Z Wilhelmem?

— Nie inaczej.

— Wyzdrowiał?

— Cudem, zaiste, z ciężkiej podniósł się choroby.

— Znachor mówił, że zamrze.

— Mówił to w istocie. Poganin tak straszliwie głowę jego zranił...

— Kto to uczynił?

— Kto? Twój narzeczony, Mściwoj.

— On?!!!

— A on, on. Oj szkoda cię, ty piękna, dla tego parobka. Przypatrz się, oto z ogrodu wraca Wilhelm. Rozmawia z Edytą, która wdzięcznie śmieje się do rycerza, fijołki w bukiet układa.

— Bądź zdrów, Thiethmarze — rzekła Adelajda, odchodząc pospiesznie w podwoje zamkowe, uciekając, aby się nie spotkać z Wilhelmem, z którym trudno jej słowo zamienić, któremu ciężko spojrzeć w oczy.

Ale Adelajdy i rozmowy z nią szukał Wilhelm. Gdy wśród zakwitłych drzew spotkał ją nad Hawelą, rzekł jej:

— Ja do ciebie, Adelajdo, nie mam żalu.

— O nie mów tego, nie mów. Morze nienawiści w twojem sercu płonie.

— Wierz mi, przysięgam na prawdę słów moich.

— Zapomniałeś? Przebaczyłeś?

— Cóż ja miałem ci przebaczyć? Coś ty winna, że miłością wielką rozpaliło się serce moje, żem wszystkie myśli, wszystkie pieśni moje, złożył u twych stóp? Serce twe kochało innego. — Rzućmy zasłonę na przeszłość, żal w sercu niech uśnie na wieki.

* * *

Dziwnie ujęły Adelajdę słowa Wilhelma, dziwnie łagodząco na jej duszę podziałały.

Spodziewała się w sercu śpiewaczym żalu, nienawiści, złości, zastała przebaczenie i rezygnację, niemal przyjacielska nuta w jego słowach brzmiała...

— Ja do ciebie, Adelajdo, nie mam żalu.

Powtarza słowa lutnisty dziewoja i dziwną radość jej sprawiają. Cieszy ją serdecznie to, że w duszy jego niema nienawiści, że na ruinie miłości wykwita w jego sercu przyjaźń, że bezdenną przepaść, jaką Mściwoj i jej serce między nią a lutnistą wykopało, pokryta jest złotym mostem zgody, wzajemnego szacunku, przyjaźni...

Tembardziej teraz jest jej potrzebna ludzka przyjaźń, gdy tak pusto, bezludnie, smutno w Braniborze, tembardziej teraz bratniego serca szukać, szukać człowieka, z którymby rozerwać się, pomówić czasem można. A przecież mimo zgody z Wilhelmem, napróżno Adelajda rozrywki, rozmowy, ludzkiego towarzystwa pragnie i szuka.

Ile razy zapyta służebnicę:

— Gdzie jest Edyta?

Zawsze prawie otrzymuje odpowiedź:

— Wyszła na przechadzkę z Wilhelmem, albo: Wilhelm pieśni jej śpiewa, albo; Są nad stawami Haweli.

I codzień, codzień słyszy Adelajda to zestawienie imienia Edyty z Wilhelmem, codzień braknie jej ludzi, a ona chciałaby ich mieć koło siebie, pragnęłaby wejść w ich grono, zabawić się, zaśmiać... choć kilka słów zamienić...

Rozpaczliwe nudy, okropna ta pustka.

Kunigunda prawie nie opuszcza pokoju, siedzi w krześle skórą obitym, modli się od czasu do czasu, maczając usta w kubku starego wina, które rozgrzewa jej krew. Niesposób jej na pole wywabić, niesposób namówić, aby poszła zobaczyć prześliczny czarujący, wiosną zakwitły świat...

W domu był ciągle tylko jeden Thiethmar.

— Gdzie jest Edyta, Thiethmarze?

— Nad Hawelą z Wilhelmem rozprawia.

— Smutno mi na sercu.

— Przeczytam ci moje pergaminy.

— Czytaj, o czytaj.

Z zapałem się zabrał Thiethmar do wyłuszczania swej umiejętności nadobnej dziewoi. Opowiadał jej, jako razu jednego Jowisz zawołał do swego boku Hefajstosa i rzekł mu:

— Uderz mnie w łeb toporem!

Hefajstos aż zadrżał na myśl, żeby on króla królów i boga bogów toporem w głowę miał uderzyć. Zbladł i rzekł Jowi szowi:

— Ja tego nie uczynię gromowładny!

Jowisz chwycił w rękę ogniste pioruny i krzyknął groźnie:

— Jeśli tego nie uczynisz, gromem w proch cię zmiażdżę!

Chwycił Hefajstos topór oburącz i całym rozmachem w ciemię Jowisza uderzył.

Pękła czaszka najwyższego boga, a z rozbitej mózgowiny jego wyskoczyła na świat Athene, opiekunka wód i wszystkich potęg, jakie życie dają, użyźniając ziemię.

A powieść ta prześliczna, spisana przez starych autorów, ma sens pouczający taki, że Hefajstos, który kuł dla Jowisza gromy, ma oznaczać i jest obrazem pioruna, przedziera się przez chmury, powoduje deszcz, użyźniający rolę...

Adelajdzie kleiły się oczy...

— Słuchaj, Thiethmarze! Powieść ta jest bardzo, a bardzo wiarygodna, czy nie mógłbyś mi jednak coś mniej nudnego opowiedzieć?

Zdziwił się niepomału Thiethmar.

— Ona chce powieści więcej zajmującej? Czyż jest na świecie coś więcej zajmującego?

Spojrzał na krasawicę, na uśmiechnięte jej różowe usteczka, na oko pełne czaru i krasy...

— Szuka zawsze mego towarzystwa, ciągle szczebioce do mnie: Thiethmarze, Thiethmarze... Co to znaczy? Czyżby...

Spokój stracił znakomity uczony, w uszach dzwonią mu słowa: Thietmarze, Thiethmarze, jakby słowiki nad Hawelą grały.

Tego samego wieczora poszedł do młynarza.

— Mam prośbę do was, mój ojcze.

— Jaśnie pan hrabia! Na rozkazy wasze jestem.

— Spojrzyjcie-no na moją nogę.

— Krzywa? no?

— No, widzę...

— Jako korzeń grabu pokręcona...

— Nie umielibyście jej wyprostować?

Chłop zaczął się drapać w głowę.

— Trudno, zaprawdę, trudno będzie, panie hrabio.

Odmowa ze strony młynarza nie zraziła zbytecznie Thiethmara. Na drugi dzień, gdy go Adelajda do czytania jej starych autorów zawezwała, pacholik zastał go przy ostrzeniu brzytwy. Rozciągnął uczony młodzian pasek do hajdawerów, spluwał gęsto na niego, stal po nim ślizgając, aby włosy nad uszami modnym naówczas sposobem wygolić. Wdział potem nową odświętną be-

kieszę i poszedł do dziewoi. Nie czytał już Adelajdzie nader pouczającej, ale trochę nudnej historji, jakto poeta pod obrazem rozbitej głowy i z głowy wyskakującej Ateny chmurę przez piorun rozdartą i deszcz żyzny wydającą rozumiał. Z bijącem radośnie sercem patrząc na czarowną postać dziewczęcia, prawił mu o Menelausie, który poślubił prześliczną i kochania godną żonę Helenę. Miała ona bujne włosy i piękne oczy Adelajdy, wiśniowe wargi i zgrabną kibić. Pokochał ją królewicz Parys, syn Priama, który...

* * *

Dziwne rzeczy snuły się w głowie uczonego młodzieńca. — Marzenia, o jakich dusza nigdy nie śniła, rajskie myśli zagościły w rozpłomienionej głowie. W nocy nie śniło mu się o opacie, upominającym się o trumnę i skradziony kielich. Niema go już, znikł gdzieś, przepadł bez śladu. Inne sny, które nie straszą, inne widziadła, które radością duszę napełniają! Obrzydliwy poganin Menelaus ma twarz księcia obotryckiego Mściwoja i śliczną żonę Adelajdę.

On, Thiethmar—Parys, kocha Adelajdę, Adelajda—królewna, kocha Parysa... kocha go i uwielbia, mimo, że uwielbiany adonis ma nos przetrącony i w kabłąk zwiniętą nogę... Adelajda postanowiła uciec z ukochanym Parysem do Troi, do króla Priama... Umówili się... Porwał ją w nocy na ręce i kuśtyg! niesie na okręt...

Obudził się...

Ba! To nie Troja, ani nie Sparta. To Branibor, izba w zamkowej wieży, stół dębowy, a na stole dwie świeżo wygarbowane skóry, które wydają nadzwyczaj nieznośny fetor.

— Brr!

Umyślił sobie Thiethmar, aby dzieje swego serca Adelajdzie opowiedzieć, zwierzyć się, co się w rozkochanej duszy dzieje. Już w następnym dniu przystąpił odrazu do rzeczy.

— Menelaus, Adelajdo, był jak on obrzydły Mściwoj, nie godzien swej narzeczonej, szlachetny zaś Parys, prześliczna Adelajdo, tym Parysem, Adelajdo, któraś jako Juno jest piękna... tym Parysem...

— Kto jest tym Parysem? — zapytała Adelajda, śmiejąc się...

— No, nie jest, krasawico, ale mógłby być...

— Kto? Kto?
— Niby... naprzykład...
— Ty, Thiethmarze?
— Czemuż nie?
— Ha, ha, ha!—roześmiała się Adelajda.
— Z czegoż się tak śmiejesz?
— Ty, Thiethmarze, Parysem? Ha, ha, ha! — śmiała się krasawica, opierając się o ścianę, w śmiechu spazmatycznym opuszczając izbę rycerską.

Nie zraził się tem Thiethmar. Wie on dobrze, że serce niewiast nie jest jabłkiem na drzewie, lub rzepą w ziemi, którą łatwo z gruntu wydobyć można. Trzeba je zdobywać powoli, wytrwale. Wszakże w pergaminach jest zapisane — jak to Laban Jakubowi siedm lat kazał służyć i paść trzodę, zanim dał mu swoją córkę. Trzeba się więc dosługiwać! Trzeba, bo serce kołacze uczuciem, przyszłość uśmiecha się nadzieją. Uczony młodzieniec zna rycerski zwyczaj, że serce białogłów zdobywa się pieśnią, że rzewna nuta miłości w noc majową do okienka ukochanej lecąc, wpada w duszę dziewoi, serce jakby niciami złotej przędzy mota. Nauczył się od Wilhelma pięknej, miłosnej melodji, wziął lutnię jego i w noc majową poszedł za częstokół wyśpiewywać swe uczucia pod oknem swej lubej.

Z izdebki Adelajdy rozlegał się daleki widok na okopy zamkowe, na trzciną zarosłe stawy, na Hawelę i czerniące się na widnokręgu lasy. Naprzeciw okien jej był nad wodą uroczy gaj, przy gaju łąka kwietn a, ustrojona majem, obsypana złotym jaskrem i czerwienią wiosennych firletek.

W księżycowej, prześlicznej nocy jął Thietmar śpiewać swoją pieśń, dzwonił strunami gęśli, w okienku Adelajda wsparła się na ręce, oblana światłem księżyca, wygląda jak senne, urocze marzenie. Wygląda jak owa Helena, która mając na męża obrzydliwego króla spartańskiego Mściwoja...

Wtem...

Zawył pies jeden, drugi i trzeci. Psy chłopskie ujadają zawzięcie. Dzika bestja nie zna się na miłosnej muzyce, a słysząc jej tony, zaczyna wyć i skomleć tak szkaradnie, że nie słychać Thiethmara, ani jego lutni

Ba! Z chat za palisadami leci pięciu Brysiów wprost na zakochanego młodzieńca, już są koło niego, dopadają go, do hajdawerów się dobierają...

— A pójdziesz! — woła, oganiając się Thiethmar — a pójdziesz!

Psy nie chcą na żaden sposób ustąpić. Nie mając pod ręką kija, zaczął się uczony młodzian bronić muzycznym instrumentem, gdy zaś jednego z psów w łeb lutnią uderzył, zaczęła reszta tak okropnie szczekać, tak za płaszcz szarpać, że zakochany Parys, syn Priama w ucieczce ratunku szukać był zmuszony. To rozjuszyło psy jeszcze bardziej. Pognały za nim wichrem i nad stawem dopadły go rozżarte bestje. Płaszcz poszedł w strzępy, dobrały się psy do hajdawerów, wiszą łachmanem pludry, gołe ciało z tyłu widać, a tam w oknie... przekleństwo! Adelajda patrzy, patrzą służebne, patrzy Edyta, wyległ cały babieniec... wszystko ze śmiechu boki zrywa...

Wskoczył Parys nie na trojański okręt, lecz do stawu, przybiegło kilku pachołków i kijami rozjuszone psy odpędzili.

Ze zgryzoty, wstydu i zimna wpadł Thiethmar w gorączkę, a leżąc bezwładnie na łożu, rozmyślał jak płochliwym jest wszelki rodzaj niewieści, jak zmienną jest kobieta... I przysiągł Thiethmar, że zawsze w bezżeństwie pozostanie, że nazawsze wzgardzi niewiastami, dla których tak cierpiał... Uwagi zaś swe o zmienności i płochości niewiast na cielęcej spisał skórze dla nauki i ostrzeżenia następnych pokoleń.

Straciła Adelajda nawet i towarzystwo Thiethmara, sama błądzi po pustych izbach, po podwórcu zamkowym, po wałach nad częstokołem warowni. Siadła na ławce w zielonym sadzie, posmutniały jej oczy, zachmurzyło się piękne, białe czoło. Zawiał wiosenny wiatr i z zakwitłych jabłoni chmura białych liści na nią leci, tysiąc listków opadającego kwiecia suknie jej, ramiona i włosy pokrywa. Ziemia zasłana bielutkiem kwieciem, które spadło z drzewa...

A jako te białe liście z drzew, tak z myśli nadzieja ulatuje tak bledną wspomnienia o Mściwoju. Człowiek nie pamięta zapachu kwiatka, który zerwał wczoraj, nie pamięta śpiewu słowika, który przebrzmiał, nie czuje w zimie ciepła, które w lecie go grzało...

Płocha kobieca dusza nie umie żyć wspomnieniem... wiarą, dla niej kwiat musi nieść zapach, słowik w maju śpiewać i grzać słonko jasne.

— Wróci Mściwoj, wróci... toć i wiosna wróci i słowik w maju śpiewać będzie, ale nim wróci... pustka, straszna nuda i tęsknota. Za czem?

Nietyle za nim, ile za jego pocałunkami... za słowami miłości, które miał na ustach...

A Mściwoj to słowik, który zamilkł, to kwiat, który przekwitł...

Kochała go przecie dawniej, całą duszą kochała.

— I dziś go kocham również — zapewnia samą siebie dziewoja...

Tylko że...

Są istoty na świecie, dla których wiecznie nosić w sercu miłość, to tak, jak dotrzymać biały śnieg do lata, kiedy słońce pożarem promieni pali ziemię...

— A jednak dotrzymam... o! dotrzymam — zaszeptała Adelajda.

A bielutkie liście lecą z drzewa, a dusza była niegdyś jako drzewo kwieciem — miłością, nadzieją, wiarą jaśniejącą, a dziś... Chmura listeczków z jabłoni leci, tysiące kwietnych płatków suknie, ramiona, głowę Adelajdy pokrywa, cała ziemia zasypana śniegiem, który zleciał z białych drzew...

Przez sad przechodził pachołek.

— Gdzie jest Edyta?

— Z Wilhelmem nad stawami w gaju brzezinowym chodzi.

Dziwne uczucie, uczucie pytania... żalu, tęsknoty, wreszcie złości.

— Dlaczego ona wiecznie z nim?

Wstała z ławki Adelajda, aby iść nad stawy, gdy przyszła pomiędzy jabłonie jakaś dziewczyna. Uroda jej wielka, postać wyniosła i kształtna, strój dostatni, na bielutkiej koszulce widać sznur bursztynów. Na pięknej twarzyczce jakby ślady przebytej choroby, smutek jakiś na czole dziewoi.

Zna ją skądś Adelajda, przypomina sobie, widziała ją w tarnowskiem dworzyszczu...

Wszak to ona... wszak to wojewodzianka z rudnickiego grodna...

— Bogno!

— To ja jestem pani.

— W Braniborze?

— Sześć mil idę...

— W tak daleką drogę? Sama? Do kogo?

— Do ciebie, pani.

— Do mnie?

— Tak jest. Chciałam się zapytać, chciałam się dowiedzieć...
— Mów.
— Nie urażę cię pani mem pytaniem? Nie ściągnę na siebie twego gniewu?
— Mów śmiało.
— Chcę się dowiedzieć o... Mściwoju.
— Sama nic o nim nie wiem. W wojsku cesarskiem we Włoszech się bije.
— Nie to, nie pani.
— Cóż więc chcesz wiedziec?
— Czy prawdą jest, żeś ty...
— Że ja? Słucham cię, dziewczyno...
Bogna miała otwarte oczy, usta jej drżały pytaniem, które z nich paść miało.
— Żeś ty jego narzeczoną...
— Tak jest.
Bogna zbladła okropnie. Słupem stanęły jej oczy, otwarła usta... Zachwiała się jak sosna, która toporem podcinana na ostatnim już łyku stoi, chwyciła się za głowę i jak trup padła na ziemię.
— Wody! Ratunku! — krzyknęła Adelajda na pacholika, wiążącego jabłonki w ogrodzie.
Klękła przy Bognie, jęła trzeć skronie, budzić w niej ducha.
Nadbiegł parobek ze źródlaną wodą, zmył czoło dziewoi, która oddychała ciężko. Kilka chwil minęło nim przyszła do przytomności i świadomości, gdzie jest i co ją otacza.
— Co ci to Bogno? Co?
— Nic już.
— Chora jesteś?
— Nie, nie. Zmęczyłam się drogą daleką.
— Rzecz zaprawdę dziwna. A więc przyszłaś tu, aby się o Mściwoja pytać...
— Nie inaczej.
Bystro spojrzała Adelajda w oczy Bogny.
— Co chcesz więc wiedzieć?
Na białej jak kreda twarzy Bogny był już spokój, na licach jawił się uśmiech, taki dziwny uśmiech szczęścia lub rozpaczy.
— Przed odjazdem jego były wasze zaręczyny?
— W istocie.
— Tak? — zaszeptała Bogna.

— Tak jest. Ciekawa jestem, dlaczego sprawa naszych zaręczyn tak wielce cię obchodzi?

Bogna zamyśliła się chwilę i rzekła z uśmiechem:

— Dlaczego mnie obchodzi? Nie rozumiesz tego, dostojna pani? Wszak Mściwoj jest księciem obotryckiego narodu, wodzem naszego słowiańskiego ludu.

— Zatem jego zaręczyny...

— Zaręczyny księcia muszą obchodzić wierny mu lud...

— A ty, aby się tego dowiedzieć, przychodzisz tutaj z Rudnic?

— Nietylko to chciałabym usłyszeć...

— Cóż więcej?

Bogna wpatrzyła się w lica Adelajdy, źrenice jej biegły po pięknej twarzy, po czarnych oczach, powiekach, ustach malinowych i czole marmurowem synowicy margrafów.

— Piękna jesteś, piękna — szeptała Bogna.

— Pytać mnie chciałaś...

— Powiedz mi pani, powiedz szczerze... ale to prosto z serca, z duszy...

— Mów.

Bogna stłumiła oddech i głosem zgłuszonym jakby nie z gardła, lecz z dyszących płuc, zapytała:

— Czy ciebie Mściwoj kocha?

— O tak. Całą duszę mi darował. Każda myśl jego do mnie należy.

— Tak?!

— Widzisz te białe listki jabłonek na ziemi. To myśli Mściwoja. Wszystkie, wszystkie u stóp moich.

Zaśmiała się Bogna. Złość była w jej uśmiechu, gniew stłumiony, chichot puszczyka.

— Możesz te listki zdeptać?!!

— Jeśli zechcę, mogę.

— Słuchaj, ty biała pani, słuchaj ty krasna Niemko! A co ty jemu za jego serce dałaś, jak zapłaciłaś mu za gorącą miłość, czem odwdzięczyłaś się za jego serdeczne uczucia?

— Co ci do tego, Bogno?

— Czy ty go, Adelajdo, kochasz?

— Ja? chcesz wiedziec?

— Zaklinam cię, powiedz!

— Musiałam go kochać, jeśli zostałam jego narzeczoną. Mężczyzna ma prawo domagać się miłości od kobiety, która ma zostać jego żoną.

— Mówisz o prawie? Rozkochane serce jako ponik*) górski, miłością jak skała kaskadą**) źródła bije zawsze, nietylko wtedy, gdy ktoś się tego domaga.

— Dziwią mnie twe pytania, Bogno.

— Dziwią cię?

— W duszy podejrzenie się rodzi...

— Nie miej podejrzeń — rzekła spokojnie wojewodzianka. Bądź zdrowa!

Bogna chwiejnym krokiem odeszła ze sadu. Znikła w gruszach, obsypanych kwieciem, minęła bramę i wyszła w pole.

— Co to ma znaczyć—zapytała się samej siebie Adelajda, w której duszy podejrzenie rosło, jako płomień rośnie, gdy w suche gałęzie świerczyn iskra ognia wpadnie.

— To zapewne jego kochanka!— zawołała krasawica, w której oczach ogień płonął. — Uwiódł dziewczynę — przyszedł do mnie, skalany kłamstwem i występną miłością... Przysięgi jego... przysięgi... Nim przysiągł mi, przysięgał zapewne tamtej. Ta bladość jej... choroba na licach... padła jak trup, gdy się o zaręczynach dowiedziała... Nie, nie, ja się dowiedzieć prawdy muszę, ja muszę wszystko wiedzieć...

Bieży więc Adelajda pędem przez sad, leci prosto w bramę, przez most drewniany w pole.

— Dognać ją, znaleźć muszę.

Nad łożyskiem Haweli stała Bogna. Stała bez ruchu w odmęt patrząc, patrząc na fale, które kwiecie tarnin niosły.

— Jesteś Bogno...

Bogna spojrzała na Adelajdę z bardzo smutnym uśmiechem.

— Toś ty, piękna pani.

— Co tu robisz?

— Patrzę na fale. Idą i idą w świat daleki, nieskończony, wody Haweli wpadną do Łaby, popłyną z jej strumieniem, aby zginąć, w nicość się zmienić, rozpłynąć w morzu...

— Tak płynie i życie nasze do nicości grobu...

---

*) Ponik—źródło, krynica.

**) Kaskada—wodospad.

— Nie mów tego Adelajdo, nie mów. Wodę w morzu przypali ogień promieni słońca, z ogromnych przestrzeni morza parą w niebo idzie, przyszedł tuman wiatru, porwał na swe barki mgły i w hawelańską ziemię poniesie. Spada chmura na pola deszczem, woda ponikami leci do potoków, potokami do rzek, rzekami w strumienie, ta sama woda, która znikła w nicości morza, nanowo się zrodziła, nanowo Hawelą płynie i płynie..

— Sądzisz zatem...

— Że, gdy wpłyniem w świat nicości grobu, nanowo nas wskrzeszą.

— Żal mi cię, Bogno...

— Bądź zdrowa.

— Stój! Czekaj, dziewczyno, nie odchodź!

— Czego chcesz ode mnie?

— Teraz ja się chcę od ciebie dowiedzieć...

— Mów.

— Powiedz mi, wojewodzianko, czy Mściwoj nie mówił ci słów, któreby... przysiąg, jakie...

— Nie klei ci się pytanie, jasna pani. Mów bez ogródek, pytaj śmiele...

— Słuchaj, dziewczyno, ty kochasz Mściwoja!

Bogna popatrzała przed siebie szklannym jakimś wzrokiem i rzekła:

— O nie. Ja go nie kocham.

— A więc on kochał ciebie. Składał ci przysięgi, obietnice, że cię poślubi.

Walczyła ze sobą chwilę Bogna, namyślała się, co ma Adelajdzie odpowiedzieć, skłamać, czy wyznać całą prawdę.

— Bądź z nim szczęśliwa — zaszeptała.

— Nie o to się pytam.

— Pytałaś się, czy mnie Mściwoj nie kochał, czy nie przysięgał mi wiary?

— Mów więc...

— Odpowiadam: nie! Niechże Bóg wam błogosławi. Niech Łada szczęści waszej miłości, niech spokój spłynie na wasz dom...

Zapewnienia Bogny nietylko w duszę Adelajdy nie wprowadziły spokoju, ale przeciwnie zgryzotę wywołały, sto pytań zrodziły. Gorycz w sercu, w duszy popłoch. Bogna zapewniała, a oczy przeczyły, to potwierdzała jej blada, porysowana zgryzotą twarz.

— Jeśli Mściwoj to uczynił...

Obraz jego zbladł dawno w jej duszy. Adelajda miała serce zapalne, gorące i rozgorzałe miłością, a płomień jej był podobnym do wielkiego ogniska, które tak długo goreje, dopóki nie zabraknie drzew i gałęzi, paliwa, co ogień utrzymuje. Kochała go za jego pocałunki, za oczy, które miłośnie na nią patrzały. Gdy to ustało, gdy przebrzmiały przysięgi miłosne, zabrakło żeru wielkiemu płomieniowi miłości, ognisko zaczęło gasnąć... Tliło się marzeniami o przeszłości, pokryło się popiołem wspomnień... dziś ma zaduch zgorzeliska...

Tak bywa zawsze, taki kres miłości, gdy się kocha zmysłami, a nie duszą...

Po widzeniu się z Bogną przychodzą teraz chwile, w których nienawidzi Mściwoja, w których wre dusza oburzeniem i przekleństwem.

Chwile... Bo jako wiatr marcowy śniegowe chmury niesie, aby wnet jasne, szafirowe niebo odsłonić, tak i myśli dziewczęcia... Jeśli Bognę kochał, to porzucił ją, ojczyznę, naród, aby całą duszę złożyć u stóp Adelajdy. Nic dziwnego. Wszak słońce gasi i światło księżyca, księżyc gasi gwiazdy... ona wobec gwiazdy—Bogny, była słońcem i miesiącem.

A gdy zbierze Adelajda razem wszystkie myśli, złości, nienawiści, przebaczenia, to z poplątania uczuć, rodzi się jedno uczucie, jedna świadomość, że Mściwoj ma dla niej wartość słowika, który śpiewał zeszłej wiosny, kwiatu, który pachniał i zwiądł... Jej teraźniejszości a nie przeszłości trzeba, jej trzeba słowika, któryby śpiewał, kwiatu, któryby w jej oczach kraśniał...

Jednak koniecznie chce się dowiedzieć, jaki stosunek łączył Bognę z Mściwojem, że między niemi coś było, nie ulega wątpliwości mimo kłamstw Bogny. A jeśli nic nie było, to tembardziej trzeba oczyścić pamięć Mściwoja i zaspokoić ciekawość. A ta ciekawość kobieca w nawyższym stopniu podrażniona i na próbę wystawiona.

— Muszę się dowiedzieć prawdy.

— Wszak na zamku braniborskim jest Edyta, ona o wszystkiem wiedzieć musi, ona zna Bognę, patrząc zaś w Tarnowie prawie codzień na życie Mściwoja, musi wiedzieć o jego miłostkach, jeśli one były...

— Zapytam się Edyty.

Weszła do babieńca, w którym dziewki przędły, gdzie Kunigunda w fotelu siedząc popijała wino, podnoszące jej siły, rozgrzewające jej starą krew...

— Gdzie jest Edyta?

— W brzezinach pieśni Wilhelmowej słucha.

Adelajda zakipiała oburzeniem. Nie wiedziała sama dlaczego krew w niej zawrzała złością i jakąś zawziętością wielką.

— Znowu z Wilhelmem?! Zawsze z Wilhelmem?!

Stanęła chwilę w oknie, zatapiając się w myślach i w domysłach...

— Dlaczego ja się tem oburzam? Czy w tem jest co złego? Przecie to takie zwyczajne i proste, że Wilhelm szuka towarzystwa pięknej kobiety, rozrywki z nią i rozmowy. Co jej, Adelajdzie zresztą do tego? Co jej do Wilhelma, którego miłością wzgardziła, którego serce odepchnęła, który dla niej srogie cierpiał rany. Im przecie wolno ze sobą przestawać...

— Nie, nie!—rzekła gwałtownie sama do siebie.

Jemu wolno, ale jej nie wolno. Bo jeśli tam niedozwolony ogień goreje... Co jej do tego? Jakto? Wszak ona ma poślubić brata męża, ma wejść w ich dom, zostać członkiem ich rodziny. Zatem ona ma prawo wiedzieć, jakiemi drogami chodzi Edyta — i co znaczy jej ciągłe przebywanie z Wilhelmem.

Wybiegła pędem na wały.

Zapadał prześliczny wieczór majowy, ciepły wiatr niósł zapachy kwiatów, mnóstwo słowików w wiklinach nad Hawelą śliczną wieczorną modlitwę dzwoniło. Rozbujała cała natura pełnią krasy, cały świat kwitnie, wszelakie jestestwo zdaje się śpiewać wielką pieśń maja, rozkwitu, wiosny...

Adelajda spiesząc się, leci brzegiem okopów fortecznych, w których żaby grają, w których trociny wodne wiechami kiści kwitną.

Na niebie błyszczą ostatnie słońca promienie, złote chmury płonące na zachodzie, barwią brzozy, do których Adelajda biegnie. W zakwitłym lesie, pod baldachimem zielonych leszczyn, siedzi na zwalonym pniu Edyta, u jej stóp napół siedzi, napół klęczy Wilhelm, trzymając w ręku gęśl, której struny echem piosenki miłosnej grają.

O czem oni mówią?

— Podsłucham, dowiem się... Posiędę tajemnicę. Jeśli Edyta jest na drodze zbrodniczej, występnej miłości, to ja, jako przyszła jej powinowata...

Okłamywała Adelajda samą siebie, sama w siebie wmawiając, że jej o Edytę, o cnotę Edyty chodzi. Inne czucie i uczucie ją tu prowadzi i z innych powodów chce im stanąć w poprzek grzesznej drogi...

Jest uczucie w duszy, któremu Adelajda przeczy, jest struna i nerw, który jej szepce:

— Przecie ten Wilhelm to twoja własność... On jest jako skowronek, którego z rąk wypuściłaś, którego znowu w sieć złapać możesz... Tobie pieśni śpiewał, przed tobą klęczał, czule wzdychał... A teraz on klęczy u jej stóp...

— Czego chcesz od niego — kłóci się z marzeniem myśl druga.

— Odepchnąć go, wzgardziłaś nim... wybrałaś Mściwoja. Co ci do tego. Jemu wolno.

— Wolno? wolno? Jemu wolno namawiać ją, aby zdradziła męża, który na wojnę wyruszył? Jej wolno przyjmować miłosne słowa, cierpieć obcego człowieka, klęczącego u jej stóp?

Nie wie Adelajda, co się w niej dzieje, jakie są powody złości i zazdrości, które kipią w duszy, to wie, że w sercu wre gniew i bezbrzeżna nienawiść.

— Mówią do siebie... Co oni mówią? Trzeba podsłuchać...

Schowała się w girlandy chmielów, nadstawiła ucho i słucha...

. . . . . .

— A więc bronisz?

— Bronię.

— Patrzeć nie wolno na ciebie?

— Czy ja to mówiłam?

— Tyś taka jak lód zimna... jak mroźny wicher grudniowy...

— Słowa tego nie mówiłam nigdy.

— Patrzeć na ciebie zdaleka... Ha, ha! Uwielbiać wdzięki, podziwiać piękność twoją...

— Nie prosiłam cię o to, Wilhelmie.

— Ale proszą mnie o to twoje oczy. Ciągnie mnie do ciebie twoja uroda...

— Cóż ja temu winna?

— Tyś nie winna? Zatem ja winienem, że serce rwie się jak gołąb do lotu.

— Rozstańmy się.

— Nienawidzisz mnie!

— Nie, nie, Wilhelmie. Sto razy powtarzam, sto razy jeszcze powtórzę, że to kłamstwo i nieprawda. Nie unikam twego towarzystwa, pragnę go, gdy cię niema, tęsknię za głosem twej harfy, która mi pieśń o wiośnie, o miłości śpiewa...

— Lubisz słuchać słów moich, gdy ci prawię o urodzie twojej, o wdzięku twych lic... Co?

— Mów.

— Chcesz szczerości z mej strony?

— A więc tak!—rzekła płonąc kobieta.

— Ha, ha, ha! Urodę jednak twoją, wdzięki twe, masz jedynie dla męża... Czy tak?

— Tak—rzekła zrywając się Edyta.—Żona powinna...

— Wiem, wiem — przerwał Wilhelm. Pamiętam twe słowa, na pamięć je umiem. Cudza żona to kwiat, który kwitnie w cudzym ogrodzie. Wolno każdemu na niego patrzeć...

— Ale nikomu zerwać!—dokończyła Edyta.

— Dość tego.

— Twoja wola...

Zaśmiał się Wilhelm złością i urąganiem.

— Jakiż ze mnie głupiec! Jakiż ze mnie głupiec! — zawołał Wilhelm.

— Nie mów tego...

— Słuchaj, Edyto. Wkrótce zapewne mąż twój wróci. I ty myślisz, że ja, który u stóp twych me pieśni złożyłem, zawsze ci śpiewać będę? On wróci... zamieszka z tobą — a ja... ha, ha, ha!!!

— Czemu się śmiejesz?

— Ja w nocy śpiewać będę pieśni u twych okien, u okien izby, w której ty do męża wdzięczyć się będziesz!

— Rozstańmy się! Wolna ode mnie droga.

Wilhelm zamilkł. Wpatrzył się w piękną twarz Edyty, zatopił oczy w jej oczach i zaszeptał:

— Bądź moją...

— Nigdy!

Pod namiot leszczynowy weszła Adelajda.

— W porę przychodzę — rzekła — gdyż, jak widzę, spór i kłótnia między wami. Zasługą moją będzie, gdy się przeprosicie i pojednacie.

. . . . . .

Mówiła te słowa, aby zakryć złość, która w duszy jej kipiała. Poznała z rozmowy, że Edyta jest niewinną, że prócz załotności niczem więcej przeciw mężowi swemu nie zgrzeszyła. — I dziwna rzecz! To najbardziej złościło i gniewało Adelajdę. Dlaczego? Oto trzeba było pytać się dróg, jakiemi chodzi rozum kobiecy, cegieł, z jakich kobieta gmach swych wniosków buduje. Znienawidziła całą duszą Edytę za to, że jej uroda podoba się Wilhelmowi, dyszy jadem i wściekłością gniewu, o to, że oczy jej śmiały przykuć i przywiązać do siebie Wilhelma. Gdyby Edyta była z Wilhelmem zgrzeszyła i upadła, nie zawiniłaby wobec Adelajdy tyle, ile zawiniła tem, że jej wdzięki lutnistę podbiły.

— Czarowny kwiat, który kwitnie w cudzym ogrodzie—syczy złością piękna Adelajda.

Gniew zapalił płomieniem jej jagody, prześliczne usteczka mają barwę wiśni i krwi...

* * *

— Cieszę się — mówiła Adelajda — że cię spotkałam, Wilhelmie.

— Na usługi twe jestem.

— Pragnę...

— Wody chcesz?

— Tak jest. Opodal wytryska bębło.

— Brak naczynia, abym spełniając rozkaz, przyniósł ci wody.

Adelajda schyliła się ku ziemi i zerwała liść zielska.

— Oto ogromny liść łopuchu, który zwijam w zieloną czarę...

— Biegnę...

Wilhelm się oddalił. Gdy przestały się chwiać za nim gałęzie leszczyny, wybuchła Adelajda ogromnym gniewem.

— Zapomniałaś, Edyto, że jesteś cudzą żoną.

Edyta spojrzała na Adelajdę z wielkiem w oczach zdziwieniem i zapytaniem.

— Ade... Adelajdo...

— Dziwią cię słowa moje?

— Czy dziwią? Przerażają...

— Nie przeraża cię zaś występna miłość, ty niewierna żono?!

— Kto śmie mówić, że byłam występna?!

— Ja! Widziałam przecież mężczyznę, klęczącego u twych stóp...

— Kłamiesz! Milcz!

— Milczeć? O, milczeć będę... Dopóty jednak, dopóki...

— Dopóki?...

— Nie przyjedzie twój mąż!

— Śmiałabyś kłamać?

— Nie. Ale prawdę powiedzieć!

— Jakto prawdę?

— Prawdą jest, że wraz z Wilhelmem oszukujesz męża!

— Słuchaj, słuchaj, ty bezwstydna...

— Jeśli o bezwstyd chodzi, tyś nauczycielką i wzorem!

Edyta nie mogła zebrać myśli.

— Gdyby—rzekła po chwili—nawet to prawdą było, to co ci do tego?

— Co mnie do tego? Mam poślubić Mściwoja, wejść w twoją rodzinę!

— Jeszcze nie weszłaś!

— I nie wejdę przez ciebie. Nie chcę wchodzić w błoto!

— Milcz, żmijo!

— Nie zamilczę przed twym mężem!...

Ja wiem o co ci chodzi, jaki cel twej ohydnej potwarzy...

— Mów!

— Zazdrosną jesteś o Wilhelma!

— Szalona! Sama go odepchnęłam, aby zaręczyć się z twym dziewierzem.

— A jednak teraz Mściwoja niema, nuda i pustka na zamku. Dopytywałaś się o mnie i Wilhelma, śledziłaś nas...

— Zatem?...

— Dopóki Mściwoj nie nadejdzie, byłby dobry i Wilhelm.

— Nędznico!

— Milcz! mówię...

— Słuchaj, słuchaj, ty występna żono!

— Nigdy nią nie byłam!

— Tam Mściwoj za tobą szaleje...

— Słuchaj! Mówisz, że jestem zazdrosną o Wilhelma. Dobrze, niech i tak będzie!

— Gdyby nawet prawdą było twe nikczemne podejrzenie, to pomnij, że Mściwoja jeszcze nie zaślubiłam, że wolno mi kochać Wilhelma... że gdy mi wolno wszystko...

— To mnie?

— To tobie nic.

— Bądź zdrową! Zostań z twym językiem jaszczurki, z twym jadem żmiji i z twoim Wilhelmem.

— Ani na chwilę cię nie zatrzymuję.

— Jadę do Tarnowa.

— Otwarta droga.

Zaszeleściły gałęzie i nadszedł Wilhelm, niosąc w liściu wodę.

— Kryniczna woda, zimna jak lód!

— Dziękuję ci, rycerzu!

— Co słyszę? Tętent konia się zbliża.

— Przez gałęzie ktoś pędem goni.

— Huczy leszczyna...

— Osadził konia...

— Tak jest. Przez gęstwinę jeździec przedziera się.

Zdyszany przypadł do kobiet rycerz Kiza.

— Straszną wieść wam zwiastuję.

— Co się stało?

— Rzecz okropna!

— Przerażasz nas...

— Mów!

— Książę Mieczysław zginął na polu bitwy.

— Boże! Boże!—krzyknęła Edyta, opadając na ręce rycerza Kizy.

Kiza poszedł naprzód do zamku, nawpół niosąc, nawpół prowadząc kobietę, która zanosiła się od płaczu. Kilka razy zemdlała, kilka razy trzeba było wielkich wysiłków, aby wrócić ją do życia.

Gdy oprzytomniała, zerwała się z łoża, wołając:

— Do Tarnowa! Do Tarnowa... Do domu...

— Co mówisz? Dziś? Teraz? W nocy?

— Natychmiast!

— Szaleństwo!

— Chwili nie chcę zostać pod tym dachem.

Kiza jął odradzać niedojrzały zamiar, uspokajał i łagodził zrozpaczoną, zapłakaną Edytę.

— Szanuję twoją wolę i zawsze jej zadość uczynię. Jeśli rozkażesz, zaprzęgi staną o wschodzie słońca, jutro zrana do grodna tarnowskiego ruszym.

— Uczyń wszystko, co do drogi potrzebne.

Kiza wydał służebnym dziewczętom i woźnicom rozkazy, poczem wrócił do izby, gdzie Edyta we łzach się rozpływała, okropnie rozpaczając.

— Uspokój się pani.

— Zginął! Mój mąż zginął! Mój opiekun!...

— Niech Bóg świeci nad jego duszą.

— Gdzież się to stało? Gdzie?

— Różne wieści o tem się szerzą, jedni mówią, że pod Basantello niewierni wojska cesarza wysiekli, drudzy Squillace, jako miejsce pogromu oznaczają.

— A cesarz? A Mściwoj?

— Wieść ciemna krąży, że poszli w niewolę.

— Margraf Dietrich? Książę saski?

— Widziano ich rozprószonych po włoskiej ziemi. Oddziały ich z łupieży żyją, kraj pustosząc.

— Pewnaż to wieść?

— Co do Mieczysława, bezwątpienia. Rozmaite zaś pogłoski o Ottonie i naszych margrafach zwiastuni nieszczęścia przynieśli, co do twego męża wszyscy ludzie, wszystkie wieści na jedno się zgadzają: poległ.

Edyta znowu wpadła w spazmatyczny płacz.

— Jedziemy... natychmiast jedziemy...

— Sługą twym jestem, o dostojna pani.

* * *

— Kłamiesz! — zawołała Adelajda.

— Prawdę mówię.

— Kochałeś ją.

— Nie.

— Słyszałam słowa twe czułe, które do niej szczebiotałeś, słyszałam hymn uwielbienia, jaki śpiewałeś na cześć jej urody.

Wilhelm dziwnemi oczami spojrzał na Adelajdę.

— Słyszałaś to, dostojna? Dobrze. Niech więc i tak będzie. Przebacz mi jednak, że cię pytam, dlaczego ty śledziłaś nasze rozmowy, dlaczego wzburzoną jesteś na myśl o uczuciu, jakieby powstało w mem sercu dla Mieczysławowej żony?

Adelajda zmieszała się.

— Bo... bo...

— Mów Adelajdo — mówił Wilhelm, bystro w oczy krasawicy patrząc.

— Jakto? Ty tego nie rozumiesz, że... mię Edyta i jej mąż obchodzić może...

Przez usta Wilhelma przebiegł nagle jakiś złośliwy śmiech, który wnet zniknął z twarzy. Wilhelm, spuścił głowę ku ziemi i rzekł głosem nastrojonym na smutek wielki i kłamstwo uczucia wielkiego:

— Nie bierz mi Adelajdo za złe, że odtrącony od ołtarza jednego bóstwa, śmiałem spojrzeć na drugie...

* * *

Wilhelm mówił prawdę, że on nie kochał Edyty. W duszy tej zresztą marnej, nie mogło się zrodzić wielkie żywiołowe uczucie. Nawiedza ono każdą ludzką duszę, jako jednak jeden potok ze szczytu skały tatrzańskiej spada, hucząc i pieniąc się, kryształowe wody w doliny niesie, drugi zaś leniwe fale przez błota i kałuże toczy, tak miłość jednej duszy niepodobna jest do drugiej. Nawiedziła duszę Wilhelma miłość do Adelajdy, serce ciężki żal ogarnął na wieść, że ona innemu rękę oddaje. Ale ani jego miłość, ani jego żal nie były tatrzańskim potokiem...

Przywiązanie, jakie się podczas ciężkiej choroby zrodziło do Edyty, było z początku uczuciem wdzięczności za serdeczną opiekę, jaką go Mieczysławowa żona otaczała. Oczarowała go krasa cudzej żony, lgnął do niej i szukał jej towarzystwa, gdy wiosna nadeszła chodził za nią krok w krok, ale nie wiodło go do niej uczucie zrodzone w duszy, uczucie mające czystość skrzydeł anielskich...

Podobała mu się kobieta w strasznej samotności i nudzie, rozrywką było jej towarzystwo, śmiała się do niego nadzieja niedozwolonej miłości z piękną kobietą, urok, jaki ma owoc zakazany... interes, jaki budzi sposobność uwiedzenia cudzej żony...

I kłamała jego lutnia miłość i kłamały jego usta uczucie, którego w sercu nie było. Nie uczucia, nie serca pragnął, lecz ust różowych, krasnej żony słowiańskiego księcia, nędznie i podstępnie pragnął zdobyć względy próżnej bez granic kobiety.

Na szczęście Edyta nie prędko szła na lep słodkich słów ni zaklęć miłosnych. Była to niewiasta próżna, pochlebiały jej zachwyty Wilhelma, że zaś nie była posągiem cnoty ani charakterem spiżowym, Bóg wie jak daleko byłyby ją zawiodły gładkie słowa Wilhelma, gdyby nie to, że przed oczami stał mąż, który ją bez granic kochał, łzy, które w chwili pożegnania widziała na jego powiekach...

* * *

W lichej duszy śpiewaka, nowe zamysły się rodzą.

— Śledziła nas — myśli Wilhelm—podsłuchiwała, w oczach ej czytam zazdrość... Dlaczego?

— Bo zniknął z oczu Mściwoj, Bóg wie, kiedy wróci i czy wróci... Bo nuda i pustka w zamku braniborskim...

Zaśmiał się lutnista do własnych myśli.

— Rozrywki szukasz? Znajdziesz ją.

I nadzieja w duszy wstaje, nadzieja rozkoszna bez granic. Dawna skłonność rodzi się w sercu, jako iskra zakryta w popiele w płomyk na nowo się rozpala. Zdobyć serce tej, którą dusza kochała, zdobyć kobietę, która gdy był Mściwoj, zimną dla innego jak lód była... Rozpalić w jej sercu uczucie, rozpłomienić ognisko miłości, zdobyć te usta, tę postać ukochaną... A i druga myśl równie się snuje, myśl, która cieszy dusze liche i charaktery marne: rozkochaniem Adelajdy zemścić się na Mściwoju...

* * *

— Nie chcesz mi, Adelajdo, wierzyć?

— Oszczerstwo wyszło z ust twoich.

Posmutniał Wilhelm.

— Dziwna rzecz zaprawdę, że kłamstwa tylko i oszczerstwa słyszysz z ust moich.

— Znam Mściwoja dobrze, jego nie stać na taką nikczemność.

— Ty to słowo wyrzekłaś. Ja czynu Mściwoja nie nazywam nikczemnością...

— Chyłkiem więc zaszedł, z tyłu.

— I podstępem rozbił mieczem głowę moją.

— To podle. To nikczemnie.
— Ty czyn ten podłym nazywasz...
— Jeśli gryzła i paliła go zazdrość o moje względy.
— Masz słuszność, Adelajdo. Powinien był wyzwać mię na rękę i pojedynkiem zdobyć twe serce...
— Czemu w rycerski sposób z tobą się nie rozprawił?
— Jeśli powiem, że stchórzył, napewno nazwiesz mię oszczercą.

Adelajda wzburzonn była gniewem, jakie wzbudziły słyszane o Mściwoju wieści.

Długo, długo myślała, niezwykłe jakieś ważyło się w umyśle krasawicy postanowienie.

— Wszystkiego się dowiedzieć muszę.
— Co chcesz wiedzieć?
— Od ciebie nic. Inni to powiedzą.
— O tem, że mnie chciał zamordować?
— Nie, nie. Słuchaj Wilhelmie... Czyś gotów mi pomóc w wykonaniu mych zamiarów?
— Rozkazuj.
— Jutro jedziemy...
— Dokąd?
— Do Rudnic.
— Poco?
— Tego nikt się nie dowie. Weź kilku pachołków, niech osiodłają konie...
— Uczynię, jako każesz.
— A ty pojedziesz ze mną w drogę? Potrzebuję twego towarzystwa, twej pomocy... Pojedziesz?

Wilhelm wpatrzył się w oczy Adelajdy i rzekł z uczuciem:

— I ty się pytasz?

X.

Wielkim wężem toczą się fale Solawy. Przez kraj zielony, żyzny i piękny płyną, niosąc swe wody do Łaby. Spotkały się dwa strumienie, złączyły się razem czeskie i łużyckie wody, i jako wątły powój objąwszy splotami źdźbło żyta. jedną girlandę z nim stanowi, choć dwa różne zrodziły je nasiona, tak Solawa z Łabą wdal, w przestrzeń, w morze razem płynie. Ziemia, gdzie się spotkały wody, to kraj rdzennie i odwiecznie słowiań-

ski. A jednak ciągły i ciągły bój się o niego toczy. Czesi, Łużyczanie, Niemcy i Polacy srogą wojnę o żyzny kąt ziemi nieustannie wiodą.

Zdobył tę ziemię krwawy margraf Gero i kilka staj od ujścia Solawy, kamienny klasztor dla zakonnic wybudował.

Panny, które wieczną czystość Bogu przysięgły, po niemiecku się w nim modlą; klasztor ten i kościół zbudował wojownik na znak, że to nie słowiańska już i nie pogańska, ale niemiecka, chrześcijańska ziemia.

Zmienia się szczęście ludzkie, w proch rozpada się potęga, walą się mocarstwa i trony, dowodząc swem motylem istnieniem, że nic na ziemi nie masz trwałego, że nic wiecznego oprócz Boga... Ludzie i dzieła ludzkie i ludzkie rozumy, to ćmy, ślepe na oczywistą jasność dnia. On jeden wszystko widzi... Jeszcze się w proch w trumnie nie rozsypiesz Geronie, a przyjdzie tu mocarz wielki i tam, gdzie Solawa do Łaby wpada, wbije w ziemię żelazne słupy graniczne na znak, że to nie twoje i nie niemieckie, że to słowiańska posiadłość i polska granica.

* * *

O kilka staj od ujścia Solawy jest wieś Kalwa*), a w niej wielkie grodno, wystawił za pieniądze zrabowane na Słowianach, margraf Gero. Słuszna to zaiste i sprawiedliwa rzecz, jak mniemał pobożny rycerz, aby mienie zatwardziałych w pogaństwie chłopów, obracać na stawianie twierdz i kościołów, które są rozsadnikami prawdziwej wiary, od których światło kultury na wszystkie strony promienieje.

Oto wieże kościoła w Kalwie pod niebo strzelają, oto zdaleka widać szereg zakratowanych okien klasztoru, w którym zakonnice pobożne pieśni śpiewają, w którym zamknęły się, aby czystość swego ciała ofiarować Panu za grzechy świata tego.

Klasztor otacza dookoła warownia, wieże i mury obronne, w których mieszka rycerstwo na obronę świętego klasztoru przez cesarza zostawione, twierdzę otaczają częstokoły, wały, wykopy, wodą napełnione, które wejścia do klasztoru strzegą.

. . . . . .

*) Dziś z niemiecka: Kalbe (przyp. autora).

Poranne modlitwy ukończone, siostry wyszły z kościoła, jedna tylko została przed ołtarzem, modli się i modli. Nie zakonne ona, jeno świeckie szaty nosi, a choć w klasztorze mieszka, mniszki żywot prowadzi, nie przysięgała przecie regułom klasztornym wierną i posłuszną pozostać. Jestto Oda, córka margrafa Dietricha.

Nic też dziwnego, że ona więcej chwil modlitwie i umartwieniu poświęca; pokutuje snać za grzechy, rozpamiętuje przeszłość, aby poprawić się, przejednać karzącą rękę za grzech, jaki na jej sumieniu ciąży. Zakonnice wysoko ród jej dostojny cenią, dla książęcej krwi, która w jej żyłach płynie, wielki respekt*) mają.

Niemniej przełożona pilne na nią zwrócone mając oko, ciągle i ciągle do modłów pokutnych ją zachęca, straży zaś zamkowej, na prośbę ojca — margrafa Dietricha, pilnować jej każe, aby hrabianka samowolnie murów klasztornych nie opuściła.

Oda została sama w kościele.

Klęczała długo przed Ukrzyżowanym Zbawicielem, modlitwy ze skórzanej złotem malowanej książki czytając, rozmodlone oczy na święty wizerunek wznosząc. Co chwila przeciera Oda powieki; głosek książki nie widać, bo oczy zalały się łzami... Białą dłonią, rękawem sukni ociera oczy i znowu półgłosem szepce świętą modlitwę.

Zakonnice, które z kościoła wyszły do kapitularza, mówią do siebie:

— Żal i pokutę w zapłakanych oczach hrabianki wyczytasz.

— Bóg wie. o co ona się modli...

— Za grzech ciężki żałuje.

— Albo o... wolność niebiosa prosi...

— O wolność, swobodę błaga Oda Boga.

— Ulituj się Jezu... — woła. Z przybytku Twego świętego więzienie dla mnie uczynili!

Nie daje jej modlitwa spokoju, utulenia, ni pociechy. Oto żal, rozpacz w duszy rośnie, serce się ściska, żyć trudno z tą boleścią... znowu wybuchła łzami i łkaniem głośnym, płacz jej i jęk słychać, wypadła z jej rąk książka. Zachwiała się Oda, upadła na stopnie ołtarza... Nie modlą się wargi, ale jęczą, głosem rozpaczy usta łkają:

---

*) Respekt — poważanie.

— Opuścił!... Zapomniał... Nad biedną duszą moją ulituj się Boże!

Ucichło wreszcie wszystko. Tak cicho w kościele, że słychać trzask knota w lampie, która w presbiterjum przed Zbawicielem goreje.

Dźwignęła się ze schodów ołtarza Oda, wzięła do rąk książkę, otarła oczy i łzami zroszone jagody, idzie do klasztoru. Nim do celi wejdzie, z rozkazu ksieni przełożonej pilnować musi rozdziału jałmużny, którą o tej godzinie biedni u bramy klasztornej dostają.

U wierzei świętych schodzi się wszelka bieda, chorzy, kaleki tam żywność otrzymują, tam zmierza biedny podróżny, banita*), żebrak i pogorzelec.

Weszła Oda w sień klasztorną, gdzie służba chleb między ubogich rozdziela. Zajmuje się tym Romuald, naczelny dozorca straży klasztornej, która w murach, kształt twierdzy mających, obowiązki załogi pełniła, oszczepników na bramie zmieniając, w nocy mury klasztorne przed napadem band zbójeckich strzegąc.

Słyszy Oda przy bramie zgiełk i hałas wielki.

— Wyrzucić ich!—woła na żołnierzy Romuald.

— Precz! Za drzwi!

— Nie dla pogan nasz chleb!

— Co się tu dzieje?—zapytała Oda.

— Łużyczanie, którym chaty nasze wojska spaliły, pchają się do twierdzy, wołając chleba.

— A ty?

— Ja kazałem ich za drzwi wyrzucić.

— Dlaczego?

— Bo nie dla dzikiego pogaństwa chleb nasz i opieka nasza.

— Słuchajno—zapytała Oda znasz ty przykazania Chrystusowe? Czy ty znasz prawdy, jakich nas uczy nasza wiara?

— Jakie prawdy?

— Kochaj bliźniego, jak siebie samego.

— Znam to, przezacna pani. Ale przecie Serb**), który czci bałwany, nie jest naszym bliźnim.

---

*) Banita—wygnaniec.

**) Serb — Serbowie, plemię słowiańskie, mieszkające wówczas po obu stronach środkowej Łaby.

— Nie jest bliźnim?

— On jest bydlęciem, a ziemia jego jest rzeczą niczyją. Hej, wyrzucić za drzwi tę hołotę!...

— Stójcie!!!

— Co chcesz uczynić, pani?

— Ja ci rozkazuję: wpuść ich!

— Wypychać ich kazano. Niedawno wyrzuciłem Łużyczankę z dzieckiem. Umarła z głodu na wałach warowni.

— Odpowiesz przed Bogiem.

Porwała Oda dwa bochenki chleba, leci do bramy klasztornej, odepchnęła żołnierzy od wierzei i wpuściła na podwórze biedne i zgłodniałe chłopstwo, chleb między nędzarzy rozdzielając.

Wśród nich był człowiek w pyłem okrytej sukmanie z torbą przewiązaną przez plecy, z kosturem pielgrzymim w ręku.

Znagła zbliżył się do hrabianki...

Wpatrzyła się w obcego człowieka Oda, przypomina sobie jego twarz, myśl ciężko pracuje, aby dowiedzieć się, dlaczego ta postać taka swoja...

— Coś ty za jeden?

Podróżny z podełba popatrzył na żołnierzy przy bramie i rzekł szeptem:

—Nie znasz mię pani?

— Widziałam twe oblicze, przypomnieć nie mogę...

— Przypomnij sobie czyny twego miłosierdzia, twego serca dobrego...

— O czem mówisz?

— W piwnicy więziennej zamknięto człowieka, który z łaski twej, przez poświęcenie się twoje wolność odzyskał...

— Niebora! — zaszeptała Oda, której serce w piersiach zadygotało.

— Ja jestem — rzekł władyka do kobiety ze zdumienia, z ciekawości prawie nieprzytomnej.

— Wieści niesiesz?

— Dla ciebie.

— Od kogo?

— Od kogo pytasz? Od brata, od druha, od przyjaciela serdecznego...

Wyraz boleści i smutku przeleciał przez twarz Ody.

— Opuścił... Zapomniał...

— Co?!—zaśmiał się Niebora.—On? Zapomniał?

— Jego słowo...

— Czyś ty słyszała, żeby on słowa nie dotrzymał? Jego słowo to spiż, to granitowa skała.

Błyskawica radości zaświeciła w oku Ody.

— Mówże, co wiesz... Mówże co wiesz...—szeptała.

— Koniec twej niewoli...

Oda spojrzała na niebo.

— Boże! wysłuchałeś prośby mojej...

— Oto list... czytaj...

Dobył Niebora ze sakwy tabliczkę z dębiny czarnej, cienko woskiem powleczoną; na białym wosku czernią się iglicą wypisane litery, któremi gęsto zapisana jest tablica.

Oczy Ody szybko po drzewcu przebiegały... przeczytała litery raz i drugi... poczem szybko palcami zatarła pismo, niszcząc jego wszelkie ślady, łamiąc na drzazgi drewnianą tablicę.

— Głodnyś?—zapytała Niebory.

— Pytasz się, czym głodny?

— Podać ci każę do furty chleba, miodu...

— Zaczekaj. Odo, teraz jeść ani pić nie będę. Mam sakwę chleba pełną, syty jestem, a jednak nie gardzę twą gościną, chleba od ciebie i miód przyjmę...

— Nie rozumiem twoich słów...

— Wezmę kołacz, czaszę wina wypiję, ale nie dziś... nie dziś...

— Kiedyż zatem?

— Kiedy? Na twoim, Odo, weselu...

* * *

W ciemnej, ponurej celi siedzi Oda, a wzrok jej ucieka przez żelazne kraty, do lasów zielonych nad Solawą, do łąk, które przy ujściu jej nad Łabą kwiatami się śmieją. W ostatnich promieniach słońca zachodzącego czerwienią się sosny boru, wnet zgasły światła na niebie, słońce zapadło się w ziemię, jeszcze kilka chmur złotem i purpurą na niebie goreje, wreszcie i one bledną, przybierają kolor dzwonka polnego, szarzeją, roztapiają się w mgłę...

Na czystem niebie zaświeciła jedna, druga i trzecia gwiazda, księżyc zrazu miedziany, zaczął rozjaśniać się, błyszczeć, nim

zapłonął w wielkim pałacu bożym, jako srebrna lampa, wisząca u stropu, pełna jasności i blasku.

Przez żelazne kraty patrzy Oda na księżyc jasny, na szerokie pola, na srebrną Łabę, w jej oczach smutek, tęsknota jakaś wielka zapanowała w jej duszy. Dzień, gdy słonko boże świeci, weselej jakoś przeżyć, zapomina dusza o smutnej celi klasztornej i żelaznej kracie, która odgrodziła ją od świata, od kwiatów, od wiosny uroczej... Tam za kratą kwitnie świat boży, tam radość, młodość, życie; tu w tej celi... o! trupia głowa pustyni dołami na Odę patrzy, szczerzą się dziwnym, okropnym jakimś śmiechem jej zęby, smutek, strach w duszy rodząc...

Te oczy! Te dwa czarne, puste doły! Iskrzyła się w nich niedawno dwoma brylantowemi ogniami młodość, śmiały się, pyszniły się urodą, patrzyły czule na kochanka, patrzyły szatańskiemi iskrami, czule, miłośnie, na złoto... Kochały, mizdrzyły się do złota, do ohydnego blasku, którym bóg głupców, złoty cielec płonie... Dziś...

Do tych dwóch pustych dołów wlezie garść dukatów w pustym czerepie czaszki, cały skarb się zmieści... Za ten skarb nie kupisz ohydnemu trupowi jednego tchnienia życia...

Okropny widok...

Strach zawładnął duszą Ody.

A przecież miało przyjść zapowiedziane wybawienie, dzień za dniem marnie mija...

Oderwała oczy od trupiej głowy, spojrzała na pole, gdzie wśród szarzyzny nocy iglice dziewanny w promieniach księżyca widać, skąd wietrzyk niesie zapachy rozkwitłych fijołków... Oto w wiklinach słowik śpiewać zaczął, a śpiewał Odzie piosenkę tę serdeczną, z duszą jej związaną, jakby z jej duszy pochodzącą, że na ustach kobiety ukazał się lekki uśmiech, że schmurzone jej czoło rozjaśniło się...

— Śpiewaj-że mi droga ptaszyno, śpiewaj...

Zasłuchana w ptaszą piosenkę hrabianka zapomniała o smutku, o trupiej głowie i klasztornej pustce, ułożyła się na posłaniu a serdeczne ptaszę ukołysało ją do snu.

. . . . . .

Zerwała się nagle z łoża o północy. Zgiełk, hałas, jęk dzwonu, głosy zakonnic na kurytarzach i popłoch ogromny.

— Na pacierze się siostry gromadzą.

Wnet wpadła do jej celi zakonnica.

— Czy słyszysz ten dzwon?

— Do chóru o północy ksieni nas wzywa.

— Gwar ludzi dolatuje z za murów twierdzy... Ten dzwon spiżowy...

— Nie jeden! Wszystkie dzwony biją!!

— Słyszę głosy, wołające o ratunek...

— Do ksieni chodźmy! Do ksieni!

Wypadły zakonnice na kurytarz klasztorny. Tam tłum mniszek zgromadzony kupi się około klasztoru, służba kościelna o ratunek woła.

Wyłamał ktoś furtę, prowadzącą do kapitularza, przez rozwalone drzwi wpadła dziewka służebna.

— Ratunku! Pomocy!!

— Co się stało?

— Zatrata nam i zguba!

— Co mówisz?! Co nam grozi?!

— Zbójcy pewnie klasztor opadli, dysząc chucią mordu i grabieży.

— Straż o pomoc woła. Żołnierze wytrzymać nie mogą naporu.

— I my niewiasty pomóc im mamy?

— Zbójcy?!!

— Uciekajmy!!!

Kilka zakonnic zemdlało ze strachu, inne biegną do kaplicy, krzyżem przed ołtarzem padają, o ratunek do Boga wołają. Reszta wybiegła schować się pod opiekę żołnierstwa, które broniło warowni.

Na wałach twierdzy bój wrzał naokoło. Najeźdźcy wdzierają się na mury, żołnierze niemieccy z rozpaczą się bronią, rąbiąc napastników, wdzierających się na wały, rycerzy w dół strącając. Nierówne snać siły i nierówna walka. Słaba załoga Kalwy naporowi podołać nie może, kilku żołnierzy już rannych we krwi broczy, reszta z rozpaczą się broni.

— Kto nas napada?

— Bóg jeden wie—rzekł Romuald.

— Z wałów wroga nie rozpoznasz?

— W ciemności nic nie widać. Obce jakieś wojska, nieznany rynsztunek i sztandary. Ci, co ze wsi za mury się schronili, wiedzą tylko tyle, że kilka pułków klasztor otoczyło, że mur żelaznego rycerstwa nas opasuje.

— Zginiemy...—zawołała ksieni ręce załamując.

— Otuchy, matko, nadziei! Po moim trupie tu wejdą — zawołał mężny Romuald, zachęcając żołnierzy do rozpaczliwej obrony.

Ale niema już i mężny Romuald wiary w ocalenie i nadziei ocalenia. Najeźdzcy przerzucili przez zerwany most drewniane ligary*), w bramę toporami walą, wierzeje wyrąbując, do twierdzy się wdzierają. Chwieje się w posadach brama, drży od uderzeń siekier, straszny łomot serca oblężonych przeraża.

— Śmierć nam!

— Niema zaiste nadziei.

A grad uderzeń na drewnianą bramę pada, warczą siekiery, któremi najeźdźca drzwi rąbie.

Zachwiała się brama i runęła na ziemię.

— Co mnie!—zawołał na żołnierzy Romuald. — Bramy niema, piersiami klasztor zasłonim!!

— Krew za ciebie, matko, przelejemy!— wołali głośno żołnierze.

W pustej czeluści wierzei, na miejscu bramy, stanęła druga brama ze szeregu zbrojnych ludzi.

— Puszczajcie!—krzyczały z zewnątrz przeraźliwe głosy.

— Precz, zbójcy!!

— W pień was wysieczem!

— Morduj!!!

— Co to za jedni?

— Zbójcy ze Saksonji! Rabusie z nad Renu!

— Nie, nie! Czeską mowę pośród wojska słyszę.

— Książę czeski, Bolesław, wojsko zbrojne na nas wiedzie...**)

— Książę polski Mieszko oblega warownię.

— Kto?!! — zawołała Oda.

— Mieszko! Widzicie? To on! O! Z Bolesławem czeskim rozmawia, o zdobyciu twierdzy radzi, błyszczącym mieczem żołnierzom drogę pokazuje.

---

*) Ligar—podkład z drzewa, belka.

**) Odę z klasztoru w Kalwie porwał dla Mieszka czeski Bolesław II (przyp. autora).

Oda zbladła. Patrzy przez bramę iskrzącemi oczami, za chwilę na twarzy zjawił się uśmiech, wnet lica jej jako róże zakwitły... Przedarła się przez tłum zakonnic...

— Kto, mówisz? — zapytała Romualda — kto tam jest?!

— Mieszko, książę polski — odrzekł walczący z przemocą Romuald, zachęcający garstkę żołnierzy, których siły słabły, których męstwo na widok licznego nieprzyjaciela nikło, a serce chwytał strach.

— Poddajmy się! — wołali pobladli z trwogi przed śmiercią żołnierze.

— Do nogi nas wytną!

— Co? Ta hołota? Te psy słowiańskie?! — wołał zaciekły Romuald.

— Poddajmy się!

— Jeśli się poddamy, darują nam życie.

— Nie podołamy przemocy.

— Śmierć temu, kto wspomni o poddaniu — krzyknął Romuald, nieprzyjaciół mieczem rąbiąc, wejście do bramy piersią zasłaniając.

Męstwo twoje i rycerska cnota zgubiła cię, biedny Romualdzie. Bo na zatracenie twoje zjawił się nieprzyjaciel nowy i niespodziewany.

Oda patrzy chwilę na zastępy nieprzyjaciół, jakby wzrokiem w tłumie wrogów kogoś szukała, jakby wahała się chwilę... — Wzrok utkwiła wdal, w blasku księżyca srebrzysta zbroja rycerza migoce... usta hrabianki się rozchyliły, dech wstrzymała, spojrzała na oblegających i na Romualda, który jak lew bił się za stu...

Myśli Oda, patrzy w bramę...

Przy wejściu do bramy stała wielka i ciężka konew do wody. Ujęła w rękę Oda, wpadła w bramę jak szalona, impetem wielkim rozwaliła konwią łeb mężnemu Romualdowi i pobiegła w sam srodek wojsk nieprzyjacielskich, wołając:

— Mieszku!!! Panie mój!!

* * *

Gdy Oda z murów klasztornych wybiegła, w tejże chwili ustąpiło wojsko, do wsi Kalwy się cofając.

Czeski Bolesław surowe rozkazy wydawał, aby żołnierstwo nie tknęło miejsca świętego, nie ważyło się targnąć na klasztor, żadnej krzywdy świętobliwym pannom nie czyniło.

Rozkazy Bolesława wykonano natychmiast. Niektóre z nich były o tyle zbyteczne, że żołnierze polscy ani czescy nie kwapili się jakoś do czynienia krzywd niewiastom, z których większa część była już w podeszłym wieku.

* * *

Gdy wieść o małżeństwie księcia polskiego Mieszka z córką margrafa Dietricha po świecie się rozeszła, powstał hałas i lament wielki. Gorzkiemi łzami zapłakał Thiethmar, rozdarł z bólu wielkiego bekieszę swoją, słowami zgrozy i rozpaczy zdarzenie to w swojej kronice spisał:

„Wielka to zaiste zuchwałość Ody: oblubieńcem niebieskim pogardziła i rycerskiego męża nadeń przeniosła. Pośzła zamąż za Mieszka, chociaż się to wszystkim ojcom duchownym, najbardziej zaś wielebnemu biskupowi, Hilliwardowi, wcale nie podobało".*)

Niestety, jednak to co się nie podobało wielebnemu biskupowi Hilliwardowi, to się pododało Mieszkowi.

Bo, gdy Odę miał za żonę „bez kanonicznego pozwolenia",**) jęli księciu polskiemu przemawiać do sumienia pobożni mężowie, aby Bogu poświęconą niewiastę odesłał z powrotem do klasztoru. Ale zezłościł się okropnie w grzechu zatwardziały Mieszko i w gniewie uderzył tak pięścią w stół, że deski dębowe rozleciały się na kawałki.

Co widząc bogobojni mężowie, „dla miłego spokoju" zaprzestali namów, nie chcąc niedawno nawróconego poganina do wiary świętej zrażać i odstraszać.

Mądrze bowiem, zaiste, napisał Thiethmar, że „nie należy doprowadzać do waśni z powodu tego małżeństwa, lecz użyć lekarstwa świętej zgody". Pokazało się potem, że dobrze radził znakomity uczony.

„Gdyż dzięki Odzie, została wielce służba Chrystusowa w Polsce rozszerzona, mnóstwo jeńców wróciło z Polski do niemieckiej ojczyzny, więźniom opadły kajdany, przed winowajcami otwarły się drzwi więzień; to też jak sądzę, wielkość popełnionej przez Odę zbrodni, zostanie przez Boga odpuszczona".***)

---

*) Thiethmar, tom IV, str. 36 (przyp. autora).

) Tamże. *) Tamże (przyp. autora).

I nie omylił się zaiste przezacny hrabia Thiethmar.

Bo Oda była Mieszkowi dobrą żoną, żyła z nim przykładnie, powiła mu trzech synów, Mieczysława, Świętopełka i Bolesława, pozostała wierną towarzyszką księcia polskiego aż do ostatniego zamknięcia powiek.

* * *

Rudnickie opole, to jedno wielkie pogorzelisko. Na żadnym z domów dachu nie widać, jeno kupę spalenizny, gdzieniegdzie ogień chwycił się ścian, chałupa do zrębu spłonęła. Niema kto chat nanowo stawiać, mężowie wybici w pień lub na rynkach niemieckich w niewolę sprzedani. We wsi pozostał jedynie ten, kto dość wcześnie przed najazdem księcia Bernarda w las uciekł. Gdy nadszedł rozkaz od Ottona, aby chaty słowiańskie oszczędzać, gdy wieść przeleciała przez lasy, że Niemcy do Włoch na wyprawę wyszli, wrócili rozbitki z jaskiń do domów, borów, do opola.

Jednak nie masz rąk, ani sił do stawiania chat.

— Poco chaty stawiać? — mówili do siebie, wyzuci z mienia ludzie.

— Żeby znowu przyszedł wróg i w kupę spaleniska je obrócił?

— Starać się o dobytek?

— Czy po to, aby cesarscy, gdy wrócą, mieli co rabować?

Wpełzła obdarta gromada do nawpół zawalonych domów, bogaty niegdyś władyka załamał ręce na widok kupy spaleniska. Rumowisko i zwęglone belki leżą w świetlicy, szczęście jeśli spłonął tylko dach i gliniana nalepa płomienia do wnętrza nie dopuściła.

Zamożni kmiecie, jak banda nędzarzy, w norach teraz mieszkają, izba władycza nielepsza dziś od niedźwiedziej jamy. Napół nagie chłopstwo w Rudnikach, chaty ich nędzą świecą, z wychudłych twarzy niewiast widać straszny głód, a z wytrzeszczonych oczu dzieci strach i zgrozę..

* * *

Domostwo na grodnie rudnickim się zawaliło, połowa chałupy zaledwie, choć ku ziemi już schylona jakoś się trzyma, stawia opór słocie i wichurze.

Strzechę zmiótł ogień, czarne spalenisko na powale deszcz spłukał, zmiękczył nalepę powały, wicher rzucił na glinę puchy

ostów i nasiona traw, wszelkie kwiecie zakwitło na chałupie. Łąka to zaprawdę istna na ludzkiem mieszkaniu: trawy bujnie rosną, kąkol naokół się czerwieni, bławatki i dzwonki na badyłach się chwieją, mak płonie, jako jaskrawy wiecheć pożogi, która tę chatę zniszczyła.

W brudnych, od kilku lat niebielonych ścianach, puste nawpół zawalone okna smutno witają gościa, który przybył w te pustki i ruiny.

. . . . . .

Na dzikim chwastem zarosły majdan dworzyszcza, wjechało kilku pachołków, którym dostojna jakaś pani wraz z rycerzem przewodzi.

Słysząc tętent koni, obdarte dzieci ze strachem wyglądają z chat, kilku ludzi wywlokło się na stromy pagórek grodna.

— Gdzie jest domostwo Bogny? — zapytała Adelajda kmieci.

— O wojewodziankę naszą pytasz się pani?

— W istocie.

— Czeka ona na was, czeka...

— Kto? ona? Skądże wie o naszym przyjeździe...

— Skąd wie? Od roku już na dworskich ludzi czeka, od roku próżno Mściwoja wygląda.

— Czy słyszysz Adelajdo?—rzekł Wilhelm.

Adelajda zmięszała się.

— Co ty mówisz, chłopie? Bogna czekała na Mściwoja? Czemże był dla niej Mściwoj?

— Zrękowinami związanym młodzianem...

— Kochał ją? — zapytał kmiecia Wilhelm.

— Mówcie wszystko, co wiecie.

— Smutne to dzieje, dostojny rycerzu. Codziennym gościem tu zaiste bywał, wtedy, gdy ta rudera wspaniałym dworcem była, a nie zapadłem spaleniskiem.

— Kto dwór Bogny spalił?

— A ktoby jeśli nie Niemcy.

— Milcz! — zawołała ze złością Adelajda.

— Gniewasz się pani? Hawelańskim językiem ze mną mówisz, przecieś podpalaczy nie krewna... Dobrze z oczów ci patrzy...

— Milcz! Gdzie jest Bogna?

— Jest w tej ruderze...

— Więc chodźmy—zawołała rozdrażniona Adelajda—Chodźmy tam...

Zeskoczyła z konia i przez rozwalone drzwi pobiegła do wnętrza ruiny. W ślady jej szedł Wilhelm.

Przy barłogu na ziemi klęczała Bogna; ubranie jej to łachman, z którego poznać, że był niegdyś bogatą świąteczną odzieżą, dłoń jej zatopiona w bujnych włosach, prawą ręką, nierówno bezmyślnie drewnianą kolebkę kołysze.

Uśnijże mi uśnij,
Albo mi urośnij...
Może mi się przydać
W pole gąski wygnać...

Obudziło dziecinę wejście obcych ludzi, szczęk miecza, dzwonienie ostróg Wilhelma, zaczęło biedactwo głośno płakać. Porwała je Bogna na ręce, jęła spokoić i tulić, ciekawie się w gości wpatrując, których twarzy pod światło rozeznać nie mogła...

— A... a! Uśnij! A... a!

— Bogno...

— Ktoś ty?

— Nie poznajesz mnie Bogno?

— Adelajda!! — krzyknęła wojewodzianka, jakby na widok upiora, który wstał z grobu. Ułożyła dziecko w kołysce, zerwała się na nogi.

— Pocoś tu przyszła? Czy po to, aby urągać się z mojego nieszczęścia?

— Urągać? Nie. Ja daleką drogę przebyłam, aby zapytać się...

— Co chcesz wiedzieć?

— Czyje to dziecko?...

— Czyje? Moje!!

* * *

Żal, zgryzota, smutek, gniew Adelajdą miota.

W zamku glinnickim usiadła w ogrodzie, na słowa Wilhelma nie odpowiada, nie słyszy grzecznych słów Niemki, która ją w podwoje prosi.

Żona glinnickiego pana, który na wojnę z cesarzem ruszył, bogato stół zastawiła, wszystko na co ją stać gościom ofiaruje, aby uczcić synowicę margrafów, która zaszczyciła ją tem, że nawiedziła jej dom.

Gardzi Adelajda jedzeniem i winem, rychło świt zamek opuszcza, do Braniboru z Wilhelmem i orszakiem spiesząc.

— Tyś smutna, Adelajdo?

— Cieszy cię mój smutek?—zapytała Wilhelma z wyrzutem i żalem.

— Nie, nie. Lecz, gdy widzę twą żałobę, serce mi z bólu pęka...

— Słowa twe jak kraśna, leśna jagoda, purpurą do oczów ludzkich się śmiejąca. Gdy usta dadzą się oku złudzić i wilczą jagodę zje człowiek, mrze, że krasie i pozorom zaufał...

— I ty o mnie to mówisz, nieszczęsna?

— O tobie. Dziś dzień twego triumfu, dziś dzień pomsty twojej. Dziś z miarką los mi zapłacił zato, że...

— Podejrzywasz, że ja...

— Przyznaj, że w głębi twej duszy panuje radość...

— Cała dusza moja przeklina nędznika...

— Zamilczę, aby słowa me nie były podobne do jagody wilczej, krasnej na oko, pełnej wewnątrz jadu...

Zapanowało długie, ponure milczenie. Przerwał je Wilhelm.

— Czy jeszcze teraz oszczercą nazywać mnie będziesz? — zapytał krasawicy.

— Czemum ci na słowo nie wierzyła!—Czemu!

Młodzieniec wpatrzył się w Adelajdę wzrokiem, w którym był żal wielki i miłość wielka.

— Czemuś wzgardziła sercem mojem, czemuś zdeptała miłość moją—rzekł z żałosnym głosem.

— Mścisz się nade mną?

— Mszczę się mówisz? Nie, Adelajdo, jam nie był nigdy twym narzeczonym, jam do tak podłej zemsty niezdolny.

— Czegoż więc chcesz ode mnie?

Wilhelm milczał.

— Nie odpowiadasz mi.

— Czy naprawdę chcesz wiedzieć za czem tęskni dusza moja, czego żądam od ciebie?

— Mów.

— Serca twojego—rzekł z uczuciem Wilhelm.

— Serce—odrzekła Adelajda — jako ptak, jak gołąb, który w czystych przestworzach buja. Dziś gołąb zraniony, krwią się własną broczy...

— Sądzisz zatem...

— Że ty nie weźmiesz serca, które broczy we krwi.

— Gdybym wiedział, że ono na zawsze do mnie należeć będzie...

— Gdybyś wiedział? To ja tylko wątpliwość mieć mogę. Ja to słowo „gdybym" wymówić powinnam. Ja się ciebie zapytać powinnam, cobyś uczynił, gdybym ja odpowiedziała ci: tak...

— Nie uwierzyłbym...

— Dlaczego?

— Bo przeszłość nauczyła mnie nie wierzyć, nie tylko spojrzeniom, ale i słowom twoim.

— Czegoż więc żądasz ode mnie?

— Dowodu.

Umilkła Adelajda, smutno wdal patrząc. Zamyślona, puściła cugle koniowi, który szedł przez łąki, polany leśne, przez piaszczyste brzegi Haweli. Rozstrój panował w jej duszy, nie wiedziała co mówić do młodzieńca, który się jej jako ofiara przedstawiał, który podle i podstępnie chciał się wkraść w łaski i względy dziewczyny.

— Odtrąciliście mnie i wzgardzili—mówił z boleścią i wyrzutem Wilhelm — dlatego, że w zasługi jeno, a nie w lenna bogaty mój ród, kopnęliście mnie nogą dla Mściwoja, dla jego majątków i włości. Oto ojciec mój Manswet przy boku cesarza się bije, walczy za Niemcy, a zapłatą będzie mu przelana krew i rany, które w obronie cesarza z pola bitwy przyniesie. Ziemie, majątki rozdrapią inni, nagrodą zaś jego będzie to, że dzieckiem jego pogardzi niemiecka dziewoja...

— Przebacz—szepnęła Adelajda.

— O rozpaczy! Czemum nie umarł w chwili, kiedy ten poganin całował usta twoje, kiedyś ty w jego oczy patrzyła, przytulona do niego... zakochana...

— Nie wspominaj mi... nie wspominaj...

— Nie wzywałem ci ja pomsty, a jednak jakże strasznie zemścił się na mnie los... Widziałaś Bognę, którą on porzucił... Jak kiedyś porzuci ciebie...

— Dość tego! — zawołała oburzona Adelajda.

— Nie gniewaj się na mnie — rzekł cichym głosem Wilhelm — przebacz mi gorzkie słowa, które zrodziło wzgardzone uczucie. Gdybyś wysłuchała głosu serca mego, gdybyś wysłuchała pieśni lutni mojej...

— Kochałeś mnie?

— Jako kwiat zemdlony spiekotą słońca, rosy pragnie, tak ja pragnę, tak kochałem i kocham ciebie...

* * *

Rozkazy Dietricha i Bernarda, aby uspokoić Słowian, tumanić ich obietnicami i złotemi nadziejami, utrzymać na północy spokój, wykonał Kiza jak najlepiej. Szkoda, że działalność jego wśród Hawelan, Łużyczan i Obotrytów nie zmierzała wcale do dobra cesarza, nie leżała w myśli jego margrafów. Chodziło Kizie przedewszystkiem o własne dobro; mając w rękach pełnomocnictwo Bernarda, postanowił przeprowadzić w Słowiańszczyźnie swe własne zamysły i nadzieje.

W ambitnej, a nie wybrednej co do środków duszy Niemca, zrodziła się ambitna, awanturnicza i śmiała myśl: stworzyć w Słowiańszczyźnie lenno udzielne dla siebie, zjednać i otumanić, tak lud słowiański jako i doradców cesarza, łapać ryby w mętnej wodzie, znaleźć kąt wśród ogólnej zawieruchy. Dawniej majaczyła tylko i błąkała się w duszy ta myśl, jako nieuchwytne marzenie. Serce ludzkie lubi śnić o rzeczach nieziszczalnych, fantazja ludzka lubi błąkać się w świecie własnych wymysłów, własnych ułud, które w ciało rzeczywistości ubiera. Dziecko z chabiną wierzbową w ręku łudzi się, że jest żołnierzem, który nieprzyjaciół zabija, niejedno stare dziecko śni, że podbija narody i wali trony. Stroi w pstre arlekiny*), które się w wyobraźni zrodziły i bawi się niemi.

Bawił się niemi i Kiza.

Gdy nadeszła wieść, że Mieczysław we Włoszech poległ, że Mściwoj się zatracił, ułuda zaczęła przybierać ciało rzeczywistości, mara wyobraźni jęła zstępować na ziemię...

Zdobyć panowanie nad obotryckim ludem...

Myśl Kizy nie była wcale nową, miał on przed sobą wzory i przykłady ludzi, którzy go przerastali męstwem osobistem, talentem organizacyjnym i znaczeniem. Przykład działa zachę-

*) Arlekin—błazen w specjalnym ubiorze obcisłym i pstrym.

cająco, w ślady wielkich i potężnych ludzi idą potem marni i mali.

Nie wspominamy o tem, że koło tronu cesarskiego i stolicy rzymskiej, kręciło się przez zaranie wieków średnich mnóstwo wydziedziczonych ludzi, włóczęgów z pod ciemnej gwiazdy, rycerzów bez ziemi, książąt bez księstw, hrabiów bez hrabstw, którzy u stolicy apostolskiej i u tronu cesarskiego żebrali o lenna w Słowiańszczyźnie, w tej zwłaszcza jej części, która chrztu nie przyjęła, a więc według ówczesnych pojęć była „niczyją".

Średniowieczne pergaminy ciągle i ciągle prawią nam o darowiznach, o nadaniach ziem, o nadawaniu koron, bez wiedzy i wbrew woli narodów, które miały być przyszłymi nominata poddanymi.

Ale i na własną rękę bez wiedzy papieża i cesarza, starały się przedsiębiorcze i ambitne umysły o zapanowanie nad krajami, które były „niczyje".

Wszak dzielny i rycerski frankoński kupiec Samon zakłada na wschodniej granicy Niemiec wielkie słowiańskie państwo, a serdecznem marzeniem ohydnego mordercy Gerona była nie służba cesarska, nie dobro Niemiec, nie dobro chrześcijaństwa, ale własny osobisty i brudny interes; założenie udzielnego państwa w krajach słowiańskich, podbitych żelazną ręką krwawego oprawcy.

Nic dziwnego, że mając wzory przed sobą, pragnął i Kiza w ogólnej zamieszce coś zdobyć dla siebie. Niemcy przedstawiały podczas wyprawy włoskiej obraz rozprzężenia i nierządu, skorzystać z tego, wyzyskać niemoc cesarza i na ruinie jego panowania zbudować dla siebie wymarzony pałac szczęścia, postanowił rycerz bez ziemi.

Przewidywał Kiza także i to, że cesarz zwycięzcą wyjdzie z nierządu i pogromu, że zmoże nieszczęście i w triumfie do Niemiec powróci. Wtedy Kiza przedstawi mu trudy poniesione w Słowiańszczyźnie, jako pracę podjętą dla dobra cesarza, dla szczęścia rzymskiej korony. Na wszelki więc sposób Kiza zyska, na wszelki wypadek czeka go zaszczyt i nagroda.

To wie napewno, że aby jedno, czy drugie zdobyć, trzeba się starać o mir wśród hawelańskiego i obotryckiego ludu.

Kiza, wykonując rozkazy Bernarda, jeździł po grodnach, po wsiach i opolach, złote góry obiecując, siebie jako serdecznego przyjaciela pogaństwa przedstawiając.

Z niedowierzaniem i podejrzliwością przyjął czułe słowa i barwne obietnice Niebora, nie wszyscy jednak mieli przezorność i rozum bohaterskiego przywódcy ludu.

* * *

Arcykapłan Złotosz, dworski wielki ofiarnik, mieszka przy świątyni w białym i obszernym domu. Zamożność widać z przestronnej budowli, znać, że bogobojnym ojcem opiekują się książęta, że liczne ofiary znosi tu obotrycki lud.

Hawelanie ciągle i ciągle słyszą z ust kapłana, że tylko przez jego modlitwę, przez jego wstawiennictwo droga do względów Jessego, że Żiwja i Dziedzilja nakłaniają ucha i serca tylko tym, którzy złożą ofiary w świątyni na ręce kapłana.

Władza jego duchowna jest oparta i ściśle związana z władzą książąt obotryckich. Złotosz poucza lud, że bogowie każą nosić daniny na dwór Mieczysława i Mściwoja, z danin zaś tych dziesiąty snopek i dziesiątą parć płótna bierze Złotosz, jako trybut mu przynależny od władzy świeckiej.

Ryba od głowy cuchnie, upadek narodu zaczyna się od upadku tych. którzy w nim rej wodzą, na czele jego stoją. Nie odrodził się Złotosz od książąt obotryckich, którzy dobrowolnie kark w jarzmo margrafów oddali.

Gdy Mściwoj i Mieczysław zaczęli głosić, że lud hawelański powinien się poddać na łaskę i niełaskę margrafom, opierała się zrazu książętom Złotosza słaba dusza. Dopiero gdy margraf Dietrich pięć kóp złotych denarów jałmużny przez Mściwoja mu przysłał, gdy zapewnił go, że władza jego arcykapłańska w niczem naruszoną nie zostanie, że dochody świątyni nietylko nie uszczuplone, ale podwojone zostaną, uspokoił się wreszcie wielki jałmużnik i dziś zgodę z margrafami w świątyni nakazuje, konieczności poddania się naucza.

A przecież, choć lud ofiary znosi, Mściwoj dziesięcinę daje, Bernard jałmużnę corocznie posyła, arcykapłan srodze bogom na ciężkie czasy się żali.

Oto wszedł do świątyni bogów, ofiar złożonych przed posągami bogów szuka, płacze krwawemi łzami, gdy u stóp posągu Peruna znalazł zaledwie jedno cielę na ofiarę tam złożone.

— Słabnie wiara—zajęczał—z głodu człowiek zdechnie.

— Wasza wielebność się markoci — rzekł chłop, który na Złotosza czekał u wstępu do świątyni.

— Tak jest.

— A to czemu?

— Bo pijaństwu się oddajecie, wszelakie grzechy płodzicie, zapominając o mnie, słudze bogów.

— Właśnie przyniosłem dwa zajączki na ofiarę Jessemu i Dziedzilji.

— Dawaj.

— Dwa króle białe, ośm kuropatw, które w sidła złapałem.

— Dawaj.

— Ofiaruję je dla przebłagania Peruna i Marzanny.

— Co więcej?

— Więcej nic.

— No, a Belbóg, Trzygłów, Żiwa, Prowe? Gardzisz ich łaską? Nie chcesz ich opieki?

— No niech będzie. Dam po srebrnym denarze. Oto cztery denary.

— Dawaj. Cóż to za moneta?

— Niemiecki pieniądz z portretem cesarza.

Złotosz obejrzał pieniądz dokładnie, brzęknął nim na kamieniu.

— Pieczęć na blaszce jest dobra, lecz srebro nie dzwoni, ale skrzeczy. Coraz lichszą monetę cesarz bije.

— Mam polskie denary Mieszkowe...

— Wolę Mieszkowe. Polska, jestto tak barbarzyński i dziki kraj, że tam lud jeszcze pieniędzy fałszować nie umie.

— Życzę zdrowia waszej wielebności.

— Co! Odchodzisz?

— Pilno mi do pługa.

— Zapomniałeś o ofiarach.

— Jakto zapomniałem? Przecież dałem ofiarę Jessemu, Dziedzilji, Perunowi, Marzannie...

— A cóż chcesz, żeby cię Czarnobóg paraliżem ruszył? — A Łada, Pochwist, Pogoda, Pojata?...

Chłop otworzył szeroko gębę.

— A ileż ta tych bogów będzie?

— Idź precz, przeklęty niedowiarku! — zawołał oburzony Złotosz.

— Tyle nowych bogów wasza wielebność narobiła...

— Jakto?

— Nieznane bożyszcza litewskie, pruskie...

— No, bo z tych, co u nas są, wyżyć nie mogę. Rozumiesz głupi chłopie?

Do świątyni wszedł pachołek z domu Złotosza.

— Zabierz to—rzekł do niego arcykapłan — wskazując na zwierzynę.

— Gościa w domu mamy.

— Kto przybył?

— Pan hrabia Thiethmar.

. . . . . .

Złotosz był jednym z niewielu pogan, dla których przezacny historjograf nie miał wstrętu i obrzydzenia. Działo się to nietylko dlatego, że arcykapłan był przyjacielem margrafów, a nawet nierzadko gościem w Braniborze, ale i dla osobistych przymiotów Złotosza, które uczony młodzieniec wysoce cenił. Ludzie źli i przewrotni mówili powszechnie, że nieźle w trunki zaopatrzona piwnica tu historjografa ciągnie, co było nieprawdą i złośliwym wymysłem oszczerców.

— Cieszę się z przybycia waszej wielmożności. Właśnie mam dwie pełne łagwie*) miodu... Może kubek dobrego lipca...

— Nie pijam wiele — rzekł Thiethmar — miód rozpala głowę...

— Nawarzyłem dziesięć garncy piwa.

— Piwo to co innego. Z chęcią czarę wypiję.

— Przy miłej gawędzinie wypijemy całą warkę.

— Jak będzie ochota...

— Hej, chłopcze, utocz dzban piwa! Łagwie z miodem schowaj.

— Niechże i one zostaną—rzekł niespokojnie Thiethmar.

Usiedli dwaj światli mężowie pod lipą, która barcią pszczół grała, pili ochładzający wywar owsianego trunku. Dzban za dzbanem przynosił parobek, piwo białą pianą z cynowego naczynia kipiało, biesiadnicy zwierzali się z nowin, jakie ich uszu doleciały...

— Mówisz zatem wasza wielmożność, że Mieczysław zginął?...

Thiethmar zagadnięty oderwał usta od pieniącej się czary rzekł:

---

*) Łagiew—duże naczynia do napoju, baryłka.

— Wszyscy tak mówią.

— Co się dzieje z Mściwojem?

— I jego los niepewny. Wiemy tyle, że cesarz, który cudem z niewoli się wyratował, zwołał sejm rycerstwa do Werony. Jest tam margraf Dietrich i Bernard saski, jest tam wojsko, które uszło pogromu, brak zato Mieczysława i Mściwoja.

— O wojskach naszych mówicie? — zapytał Kiza, który przyszedł przede dwór kapłana.

— Witaj, rycerzu. Rozmawiamy o doli cesarza.

— Gdy wieść o straszliwej klęsce po Niemczech się rozejdzie, żałoba spadnie na kraj.

— Niczе lud jeszcze nie wie?

— Dwór wie o wszystkiem. Ze dworu głuche tylko rozchodzą się domysły i wnioski. Mówią, że książęta zakazują rozszerzać wieści o pogromie i klęsce.

— Mądrze zaiste czynią. Z klęski naszej ucieszą się wrogowie na pograniczu państwa, zbuntuja się marchje.

Zamyślił się Złotosz i rzekł po chwili do Kizy:

— Jeśli Mieczysław i Mściwoj zginęli, jeśli wieść się ta sprawdzi, to ty...

Kiza zezem spojrzał na Thiethmara.

— Szczerze się ucieszę—rzekł—jeśli zdrowi wrócą. Napijmy się za ich zdrowie.

— Niech żyją!

— Niech żyją! — krzyknął Thiethmar, który choć od trunków gorących się wymawiał, dziś przecie ciągnąc trzeci garniec, pilnie patrząc na nierozpoczęte dotąd łagwie miodu, nie wiedział już, czyje zdrowie pije.

— Możebyśmy tak lipca teraz dla większej ochoty spróbowali?

— Skończmy piwo, boć szkoda, żeby się zmarnowało — rzekł wstydliwie Thiethmar.

Nalał Złotosz pełną szklanicę i rzekł półgębkiem do Kizy:

— Możesz mówić śmiało.

— A on?

— Dużo wypił... Co mi masz powiedzieć?

— Nie mnie pytaj, ja od ciebie odpowiedzi żądam...

— Masz moją przysięgę...

— Wiernym jej pozostaniesz?

— Bądź tego pewnym, jeśli dotrzymasz tego, co mi przyrzekłeś...

— Pójdzie za tobą lud?

— Pójdzie. Co jednak ze mną się stanie, jeśli Mieczysław żyje, jeśli zamiar się nie uda, jeśli złote nadzieje nasze w niwecz się obrócą?

— Co? Uciekniesz ze mną do Polski.

— Tam złoczyńców wieszają.

— Do Czech...

— Dosięgnie nas pomsta.

— Do Danji. Na kraj świata pójdziem.

— Zapłacisz mi sumiennie?

Kiza wpatrzył się w oczy Złotosza i rzekł serdecznie:

— Ja cię, arcykapłanie, złotem obsypię.

* * *

Szalonym zamysłom Kizy zdawało się uśmiechać szczęście. Wierzył w to zupełnie, że Mieczysław zginął; coraz częstsze nadchodziły wieści, że ten sam los Mściwoja spotkał. Aby się upewnić o tem, postarał się o wieści ze dworu; wszyscy, którzy w Weronie rycerstwo zebrane naokoło cesarza widzieli, twierdzili, że Mściwoja tam nie było.

Zatem obaj prawi dziedzice...

Przeszkody usunięte, czas więc działać, korzystać z losu, który się śmieje, powodzenie, spełnienie pragnień obiecuje.

Na szlaku jutrznianej przyszłości jest istota. Pomocą ona wielką, albo zawadą ogromną...

Istotą tą jest Edyta.

Albo księżna obotrycka zechce pójść ręka w rękę z Kizą, a wtedy marzenie jest czynem, ułuda rzeczywistością, albo...

Na wdowę Mieczysławową zwrócił rycerz Kiza swoje oczy.

— Sprzeciwi się? Stanie wpoprzek drogi?! Podniesie głos protestu?!

— Ha! Jest sposób i siła, która ciszy wszelki głos ludzki.

To ostateczność, z którą się rycerz liczy, na zimno rzecz rozważając. Bo gdy go opadną złote sny, nie bierze upioru śmierci wcale w rachubę...

Po co iść krzywą drogą zbrodni, kiedy jest droga prosta... Najprostszą drogą, wiodącą do celu, było usidlić, rozkochać i poślubić wdowę Mieczysławową, Edytę. Z nią, z jej sercem, z jej

ręką, zdobywa Kiza prawa do dziedzictwa, prawa do obotryckiego ludu. Jeśli lud stanie po jego stronie, jeśli przy nim będzie księżna obotrycka, to wtedy może cesarzowi rzymskiemu śmiało spojrzeć w oczy, udowodnić swoje prawa, przedstawić wolę obotryckiego ludu, który ma odwieczne prawo książąt swych wybierać...

Ująć dla siebie Edytę, to myśl jego dziś codzienna.

* * *

Otoczył ją opieką, dobrocią, każdej chwili nasuwał się jej na oczy. Oddawna już mieszkał na tarnowskim dworze, w myśl rozkazów Dietricha tam obrał swą siedzibę, stamtąd zaczynał swe podróże, odwiedzając słowiańskie wsie i opola.

Po rozstaniu się z Adelajdą i gwałtownym wyjeździe z Braniboru, zamieszkała w Tarnowie i księżna obotrycka.

Od czasu, gdy przybyła nad Odrę Edyta, Kiza nie opuszczał prawie tarnowskiego grodna. Nastały dnie, które żona Mieczysława płaczem przeżyła; wtedy żalił się jej łez, pocieszał czułemi słowy. Czekał aż rozpacz ustanie, aż czas łzy i boleść ukoi. Po łzach nastało zmęczenie, wysilił się ból, przyszedł spokój, cisza, wrócił na lice wdowy dawno niewidziany gość — uśmiech. Uśmiech taki jak śnieżyczka i podbiał, który zakwita po strasznych dniach mrozu i zimy.

* * *

Edyta patrzała z niemałem zdziwieniem na Kizę i na jego losy. Wszak niedawno temu był on ubogim rycerzem, najmitą, płatnym sługą jej męża, wodzem żołnierstwa, oddanym na jej rozkazy. Mąż używał go do rozmaitych posług, których się Kiza za pieniądze podejmował, majątku żadnego, ziemi własnej, ani lenna nie mając. Dziś u Kizy dostatek i zamożność wielka, znaczenie jego rośnie, na każdym kroku w oczy wpada mir, jaki zdobył u hawelańskiego ludu. Kilka razy widziała Edyta zgromadzonych władyków na zamku tarnowskim; przyszli oni do Kizy w sprawie pospolitej radzić, rozkazów jego słuchać.

Pewnego dnia odbyły się w dąbrowie, koło tarnowskiego dworzyszcza, narady i roki. Tysiące ludu się zeszło, zgromadzonym tłumom przodują kapłani; gwar i hałas ludzki dolatuje do okien tarnowskiego dworzyszcza.

— Co tam się dzieje?—zapytała służebnicy Edyta.

— Sejm Hawelanie mają.

— O czem radzą?

— Księcia nowego wybierać będą.

Edyta wpatrzyła się w oczy dziewki i gorzko zapłakała.

— Co ty mówisz, dziewczyno?!...

— Wiem to napewno. Nowego pana lud wybiera.

— Niech tu przyjdzie Kiza!

Wysłano pachołka, który przedarł się przez ciżbę ludzi i wolę Edyty rycerzowi oznajmił.

— Na twe rozkazy jestem pani.

— Skąd przybywasz?

— Przewodniczyłem naradom. Prowadziłem roki... od narad mię oderwało twe wezwanie.

— Czy to prawda Kizo, że tam... o Boże!

— Że...

Słowa Edyty znowu zdławił płacz. Zakryła powieki rękami, od rycerza oblicze odwracając, łzami się zalewając...

— Żal mi cię serdecznie księżno — rzekł z uczuciem Kiza.

— A więc tam...

— Wybierają księcia...

— Mąż mój jeszcze żyje.

— Lud wie napewno, że nie. Korzystając zatem z odwiecznego prawa wybierania władców...

— Kogo chcą wybrać?

— Mnie.

— Ciebie?! Co mówisz?

— Nie jam winien, że posiadam serca twego ludu.

Edyta patrzyła długi czas na Kizę osłupiałemi z podziwu oczami.

— Jakąż im odpowiedź dałeś?

— Odpowiedziałem, że godności tej nie przyjmę.

— Nie przyjmiesz? Dlaczego?

Kiza westchnął głęboko, spojrzał rzewnie w oczy pięknej kobiety.

— Nie chcę krwawić twego serca, nie chcę ranić twych strasznych wspomnień, nie chcę być powodem twych serdecznych łez...

* *
* *

Chłopstwo hawelańskie wdarło się na podwórze zamkowe, wielki hałas rozległ się przed oknami Edyty.

— Co się tam dzieje?—zapytał Kiza pachołka.

— Tysiąc ludu na majdanie, kapłani tłum wiodą, okrzyki radości słychać, harfy, gęśle i ligawki grają.

— Czegoż lud chce?

— Starszyzna ciebie, panie, woła.

Kiza wyszedł z Edytą przed wierzeje. Na widok rycerza podniósł się ogromny krzyk tłumu:

— Niech żyje!!! Niech żyje!!

— To nasz zbawca! To nasz wódz — wołał Złotosz, który przewodniczył tłumowi.

— Prowadź nas! Bądź naszym księciem!

— Za tobą w piekło pójdziemy!

— Czy słyszysz pani te wołania—rzekł Kiza do Mieczysławowej wdowy.

— Ofiarują ci naczelną władzę...

— Nie mogę jej przyjąć...

— Czemu?

— Pod jednym tylko warunkiem zgodziłbym się zadość uczynić woli słowiańskiego ludu...

— Warunek ten...

— Gdybyś pani pozwoliła władzę moją, myśli moje, całe jestestwo moje...

— Dokończ...

Kiza przyłożył rękę do serca, długo patrzył na Edytę, spuścił wreszcie powieki ku ziemi...

— Władzę, myśli, siebie, złożyć u twoich stóp...

Codzień długie godziny siedzi Kiza przy Edycie, w oczy kobiety patrząc, serdecznie wzdychając. Dziwne uczucia na pięknej twarzyczce widać, czasem lica rumieńcem spłoną, czasem strach na nich wyczytasz, smutek rzewny, czasem od krosen oderwie się i leci jej wzrok w oczy rycerza łzawe i zakochane... Czasem w oczach Edyty jest życzliwość, przyjaźń wielka, czasem tak patrzą te piękne oczy, jakby były wysłannikami serduszka, w którem rodzi się miłość...

Wnet jednak sposępnieje kobieta i rzecze:

— On może żyje...

Kiza pomyślał chwilę, w oczach zaiskrzyła się myśl, jakaś żmija...

— Kto wie, może masz pani słuszność, może on żyje — rzekł spokojnie.

— Może się tuła po obczyźnie...

— Napijmy się wina.

Napełnił puste kubki reńskim winem i rzekł:

— Za twoje zdrowie, najpiękniejsza.

* * *

— Tego mój Kizo nie mogę się podjąć taniej niż za sto denarów.

— Drogo.

— Znam cię rycerzu, ty najmniej zarobisz na tem dwieście.

— Mylisz się.

— Jeśli się mylę, to czemu nie chcesz mi powiedzieć celu, w jakim mam skłamać?

— Płacę, a więc nie widzę powodu się tłumaczyć.

— Sto denarów, jeżeli zaś trzeba będzie przysiąc fałszywie, stopięćdziesiąt.

— Dam ośmdziesiąt, Zygfrydzie...

* * *

Zygfryd był to jeden z opisywanego przez Thiethmara „legjonu łotrów", na których czele król Henryk Ptasznik przybył rabować i mordować nadłabiańskie, słowiańskie ludy.

Gdy cesarz Otton ruszył na południe, Zygfryd poszedł z wyprawą do Włoch, przed bitwą pod Basantello zdołał uciec z wojska, łupieżył po Włoszech dłuższy czas z Dietrichem i Bernardem. Schwytany przy rabunku na gorącym uczynku, skazanym został na stracenie, oderwał się jednak szczęśliwie od szubienicy, umknął przez Alpy i do Braniboru wrócił. Tu zastał Kizę, który chwilowo w hawelańskiej stolicy przebywał.

* * *

Doleciał uszów Kizy przeciągły świst z puszczy, zakapturzył więc sokoła, wsiadł na koń i rankiem wyjechał do lasu.

— Polować jedziesz? — zapytała go Edyta.

— Czaple na stawach się plączą.

— Wnet wrócisz, rycerzu?

— Jutro zapewne. Do Kostrzynia, w odwiedziny pojadę, aby z wojewodą iść na łowy.

Około południa tego samego dnia, po odjeździe Kizy, przybył do tarnowskiego grodna, znużony długą wędrówką podróżny.

— Coś ty za jeden?

— Zygfryd me imię, rycerzem jestem, jednym z owego legjonu, który król Henryk Ptasznik tu przyprowadził, aby nieśli poganom moralność i światło.

Najemny żołnierz z nad Renu ciekawie spojrzał na twarz przybysza.

— Zygfryd? Zygfryd? Patrzajcie to ten sam...

— Jakto ten sam? — zapytał pielgrzym, patrząc z podełba.

— Wszak ci toś ty, lat temu dwadzieścia, za rozbój i morderstwo w lochu w Kolonji siedział...

— Co? W Kolonji? Hę? Nie, to nie ja. To podobny do mnie...

— Przysiągłbym, żeś to ty, na własne oczy cię widziałem. Skąd przychodzisz?

— Z obozu cesarza.

— Co cię wiedzie w nasze strony?

— Ważne przynoszę wieści.

Wnet przybyła na podwórzec zamkowy Edyta.

— Kim jesteś? Czego żądasz?—zapytała Zygfryda księżna.

— Chcę mówić z Kizą.

— Niemasz go. Skąd przybyłeś?

— Z Włoch.

Edycie młotem zabiło serce. Mówić przez chwilę nie może. Dusza się sili powiedzieć słowo, usta wymówiły posłuszeństwo duszy, drżą ze strachu, nogi dygocą z trwogi. Zbladła Edyta na widok człowieka, który wrócił z Alp.

— Służyłeś we wojsku?

— Nieinaczej.

— W szeregach cesarza?

— Biłem się pod Basantello.

— Boże! Pod Basantello!

— Cudów waleczności tam dokazałem, brocząc po szyję w greckiej krwi.

— Mój mąż...—zapytała drżąca kobieta blada jak trup.

Zygfryd milczał.

— Nie do ciebie pani mam posłannictwo — odrzekł — lecz do Kizy.

— Mów mi o mężu.

— Kiza ci to powie...

— Chcę wiedzieć!

— Nie, nie powiem ci dostojna księżno. To wieść straszna, może cię choroby nabawić, a nawet przyprawić o śmierć.

— Spokojną już jestem, zniosę wszystko. Mów! Musisz mi wszystko powiedzieć.

— Jeśli powiem, to ulegam przemocy.

— Mąż mój...

— Nie żyje—rzekł smutno Zygfryd.

— Słuchaj rycerzu! Jakto? Czy ty wiesz napewno o tem? Czy ty na śmierć jego patrzałeś?

— Jako na ciebie patrzę pani.

— Zginął?

— Padł z rozpłataną głową.

— Padł trupem... I ty to widziałeś?

— Jeśli chcesz mieć pewność, zapal świecę przed świętym obrazem. Ja zaprzysięgnę.

Weselsza już była Edyta na drugi dzień, radośniej, śmielej i przyjaźniej na Kizę patrzyła.

— Napijmy się wina.

— Z pełnego kielicha!

Jakie cele tedy twe rycerzu? Co po powrocie cesarza czynić zamierzasz?

— Droga moja jasna i prosta. U stóp tronu złożę władzę oddaną w me ręce przez obotrycki lud, z rąk króla wezmę ją z powrotem, abym wraz ze słowiańskim ludem służył świętej sprawie rzymskiego cesarstwa.

— Margrafowie na przeszkodzie staną.

— Nie bój się, Edyto. Haniebnie cesarza we Włoszech opuścili.

— Ich przecież władza, ich znaczenie.

— Bądź spokojna! Nie mówmy o tem! Zdaj to na moje siły. Wszystko obmyśliłem. Napijmy się wina.

Kobieta przytknęła kielich do wiśniowych warg i rzekła z uśmiechem:

— Oby szczęścił ci los.

— Co się ze mną stało! Gardziłem dawniej blaskiem jaki złoto i znaczenie daje, dziś pragnę powodzenia, potęgi, władzy...

— Dopiero dziś?

— Tak jest Edyto. Wierzaj mi.

— Skądże ta zmiana? Jakie jej powody?

Spojrzał rycerz w oczy księżnej, westchnął i rzekł z uczuciem:

— Zwycięstwo moje dziewosłębem będzie, gdy na kolanach prosić cię będę o jedno spojrzenie, o jedno serdeczne słowo...

Pokraśniała jak róża kobieta. Zakryła twarz ręką, bujne włosy na różowe jej palce spadły, piękne oczy wpatrzyły się w złoty płyn, perlący się w puharze.

— Napij się rycerzu wina...—rzekła płonąc...

Kiza pił kielich za kielichem. Odbierało zmysły wino, odbierała zmysły piękna kobieta, wielką urodą kwitnąca. Rumiane wstydem jej lica miały wdzięk rozkwitłych róż, marmurowe czoło, piękne, śmiejące się winem i zalotnością oczy wabiły czarem, krasą przyciągały...

— Napijmy się z czary pełnej!

Przystąpił rycerz do Edyty, usiadł przy niej blisko i rzekł stłumionym głosem:

— Drogą mi nad życie jesteś Edyto...

Edyta wzdrygała się, chciała się odsunąć od rycerza, on ujął jej główkę jedną ręką, chwycił obie broniące się ręcę i szamocącą się pocałował w usta...

Wyrwała się i uciekła.

A gorący pocałunek rycerza stał się dla jej duszy jako wiatr ciepły, który z wiosną nowe życie rodzi, który człowiekowi każe zapomnieć o zimie, niesie radość i wesele.

* * *

— Zostań moją żoną.

— Nie, rycerzu, nie.

— Czemu?

— Jeszcze świeża mogiła. Za rok...

— Rok każesz czekać? Przekleństwo!

— Jeśli wcześniej się zgodzę, to tylko pod tym warunkiem, jeśli...

— Mów Edyto... Mów najpiękniejsza...

— Jeśli oprócz księdza, nikt o naszym ślubie wiedzieć nie będzie.

— Czemu? Jaki powód? Jakto, nie pochwalę się przed ludźmi z mem szczęściem?

— Nie!

— Dlaczego?!

— Taka moja wola.

— Ulegam jej. Kiedy ślub nasz?!

— Czekaj... Czekaj...

— Rosy niebieskiej czekać każesz, czekać wiosny...

— Zejdzie dla ciebie...—zaszeptała kobieta wstydliwie...

— Zejdzie mówisz? Kochasz mnie więc?

Edyta nie odpowiedziała nic. Rycerz ujął jej ręce, wpatrzył się w jej oczy, które przed jego wzrokiem uciekały, patrzył w jej rozkwitłe lica... Na ustach jej błąkał się uśmiech szczęścia, jagody rumieńcami płonęły, w oczach ognie świeciły.

Przytulił kobietę do piersi, ciepło oddechu uczuł na twarzy, z oddechu poczuł zapach wina...

— Czy ty Edyto mię kochasz?

Długo wahały się usta, nim powiedziały:

— Kocham...

Objął ją Kiza ramionami, pochylił ku sobie, opór stawiała, nie niechęć jej, lecz wstyd długo oddalał jej twarz od jego twarzy, wreszcie przysłoniła powiekami oczy, zmęczona zwróciła lice i oddała mu usta. Długi, długi był pocałunek oddanej już kobiety...

XI.

Na pobojowisku pod Basantello leżał bez zmysłów, bez czucia, krwią zbryzgany człowiek. Kosztowną zbroję zabrał zwycięski Saracen, w nocy przyszedł rabuś jak szakal polujący na trupy, zdarł z niego suknie, zabrał nawet koszulę, zostawił go wśród zmarłych bez strzępa ubrania. Kilka dni leży człowiek, walczy ze śmiercią, wystawiony na spiekotę dnia, na zimny chłód nocy. Nagle ciało konającego żołnierza w południe rój owadów jadowitych obsiada, ciało jak karmazyn od kłucia żądeł czerwone; przychodzi chłodna noc, zimna rosa perłami na rubinach krwi błyszczy. Nie boli go męka, nie dokucza chłód, nie czuje już nic.

Miesiąc w pełni wyszedł na szczyt niebios. Ten miesiąc okrągły, który zdaje się mówić do wszystkich stworzeń ziemi

który ze snu budzi opanowanego swem światłem człowieka, nad przepaście go wiedzie, ta jasność tajemnicza, budząca podziw i strach, czarująca oczy ludzkie, przemawiająca do dziecka w kołysce... Majaczeniem, konwulsją maleństwo okropnej potędze światła niewolnie odpowiada, w rozumnym człowieku dziwne myśli wywołuje, trwogą przejmuje psa, który na widok jego wyje...

Kto tę potęgę zbada, kto pozna jej istotę..

Błyszczała tak jasno ta srebrna pochodnia, tak ciekawie w oczy Mieczysława patrzała, że rozbudziła iskrę życia w walczącym od kilku dni ze śmiercią człowieku.

Otwarł oczy obotrycki książę.

Nie wie gdzie jest, nie wie czy jest... ale patrzy szklanym wzrokiem w księżyc, który mówi...

A blask miesiąca w jego oczach świecą trupią jasnością próchna, jakby się odbijały w zamarzłych łzach... Ręką ni nogą ruszyć nie może, nie wie, co on tu robi, widzi jeno nad sobą księżyc srebrny pełnią swą błyszczący.

Tyle było siły w rannym człowieku, że potrafił skręcić głową... błędne oczy poleciały ku dolinie, na dolinie bielą się w świetle księżyca obdarte trupy...

Stracił Mieczysław przytomność, wpadł na nowo w niemoc, ubytek krwi, która uciekła z ciała, wyczerpał jego siły. Leży znowu jak kamień, nie wie o tem, że księżyc, to znowu słońce nad nim świeci, że pochodnie dnia i nocy łukiem jak firmament nieba wielkim nad nim się przesuwają.

Zbudził go ból. Stado kruków nad nim siedziało, na piersiach jego, na rękach ohydne ptaki kraczą. Zerwała się nagle ta czerń, ucieka przed wrogiem — oto trzy sępy nadleciały, olbrzymiemi skrzydłami łopocą, zimny wiatr od ruchu ich skrzydeł w skwarnym dniu zaleciał...

Zleciały z niebios, siadły na ciele, żeby je roztargać... Ból uczuł od pazurów, zerwała się śmiertelnym strachem Mieczysławowa prawica, obmierzłe ptactwo przestraszyło się i pognało na innego trupa.

Ciepło, upał, słoneczko gorące budzi krew, wzbudza do życia...

Na pobojowisko przyszło kilku okropnych jakichś ludzi. Od trupa do trupa chodzą...

— Ten jeszcze żyje.

— Co? gdym go obdzierał był trupem.
— Żyje...
— Weźmiemy go.
— Jeśli przetrzymał rany, to żyć już będzie.
— Oczywiście, że weźmiemy. Tęgi jakiś parobek.
— Gębę ma pańską, łeb cały fryzowany.
— Rosa niebieska trefienie kudłów spłukała.
— Chłop jak dąb.
— Mocny niegdyś był ten byk.
— Jeśli się wyliże, dostanę za niego od handlarza ze cztery denary.
— Bierz za nogi! Ja wezmę za łeb.
— Stój! Nie czyń tego.
— Czemu?
— Nie widzisz, że ciemię ma mieczem rozwalone? Mógłbyś ranę rozjątrzyć i rannego dobić.
— Szkoda kilku penarów.
— Oczywiście, że szkoda. Weź go wpół ciała...

Zanieśli Mieczysława ostrożnie do odległej chaty rybackiej, rzucili go w szopie na posłaniu ze suchych morskich traw.

— Niech leży.
— Niechajże się liże.

Zostawiono chorego na barłogu. Nikt nie dba o niego, nikt nie popatrzy nawet, czy żyje, czy umarł. Gorączki z poniesionych ran minęły, wróciła świadomość i przytomność, z nią ból. Straszne rany pieką, w kościach drze gościec, chory wije się w męczarniach. Głód zaczyna szarpać wyniszczone ciało. Zlitowała się nad Mieczysławem kobieta, przyniosła czasem choremu kawałek chleba, podała spragnionym ustom łyk źródlanej wody. Gdy siły na tyle wróciły, że chory mógł wyczołgać się na pole, całe dnie siedział Mieczysław przed rybacką chatą, grzejąc wynędzniałe ciało. Od czasu do czasu rzucono mu kawałek suszonej ryby jak psu...

* * *

Z chwilą, gdy wstał na nogi i po brzegu morskim mógł chodzić, zwrócono na niego pilną uwagę. Szopę, w której z dwoma parobkami sypiał, zamykano w nocy na żelazne wrzeciądze. Razem z parobkami książę obotrycki wstawał, razem z nimi szedł do roboty. Taki był rozkaz. Pachołkowie, pracując, pilnowali

jeńca, aby nie uciekł. Słabe ciało, niezagojone rany, nie sposób jeszcze pracować, a jednak musiał iść w pole, aby był na oku...

— Nieszczęście istne—rzekł raz do żony rybak.

— Przyszedł do sił, trzeba mu dawać jeść.

— Je, a robić nie może.

— Jak nabierze ciała, więcej za niego dostaniemy.

— Przeje pieniądze, które wart.

Pewnego poranku siedział Mieczysław na brzegu morskim, patrząc na fale, gdzie o kilka staj od wybrzeża przewalały się po wodzie delfiny. Igrają ryby, tańczą po powierzchni morza, ukazują się nad falą ciemne ich ciała, błyszczą się w słońcu i pod wodą znikają. Czasem wynurzy się z wody śpiczasty ptasi pysk ryby, czasem strzeli w wodę ogromna płetwa, wycięta na kształt wiosła. Z dali nadpłynął okręt, a spłoszone delfiny z oczu się straciły.

— Okręt!

— Okręt jedzie! — woła rybak, lecąc z żoną i pachołkami do brzegu.

— Ho! Ho! Ho! Ho! — wołają rybacy, złożywszy przy ustach ręce.

— Jedzie ku nam!

— Łódź od statku odbiła.

— Słyszał nas! Ku nam szybuje.

W kilka chwil przybiła łódź do brzegu.

— A co tam?

— Dwóch ludzi mam do sprzedania.

— Za dużo teraz towaru.

— Dam tanio.

— Dziewka, czy chłop?

Ten parobek, którego widzisz na brzegu.

Wyskoczył z łodzi żeglarz, zbliżył się do Mieczysława, obejrzał jego gołe ręce i nogi, poklepał ramię, poszczypał mięśnie lędźwi, przypatrzył się zębom, obejrzał bliznę, która zeschłą krwią na czole się czerniła.

— Co chcesz za niego?

— Pięć denarów.

— Głupiś. To chory człowiek i ranny. Dwa denary przeje, nim przyjdzie do siebie.

— Nie stracisz na tem panie. Tęgi chłop. Mocne bydlę.

— Dam ci trzy denary.

— Za cztery sprzedam.

— Związ i odstaw go do łodzi.

Nie rozumiał Mieczysław greckiej ni włoskiej gwary, nie wiedział o czem rybak z żeglarzem rozprawia, zdziwił się i przeraził ogromnie, gdy parobcy rzucili się gwałtownie na niego i spętali mu ręce w powrozy. Wepchnięto na łódź, z łodzi wsadzono na okręt, gdzie rozwiązano sznury. Chciał się na statku z ludźmi rozmówić, chciał powiedzieć kim jest, skąd pochodzi, chciał przyrzec okup, jaki zapłaci, jeśli wyjdzie z niewoli, wołał, aby go odwieziono do Rzymu, gdzie spodziewał się kogoś znaleźć z rozbitków niemieckiej armji.

Na okręcie nikt ani po niemiecku ani po słowiańsku nie rozumiał, wrzucono go do ciemnej nory pod pokładem, gdzie było kilku obdartych ludzi, leżących na zgniłej słomie. Brudni ludzie, nędzni i nadzy, niewolnicy wyzuci ze wszystkich ludzkich praw.

* * *

Miesiące już minęły jak Mieczysław na kształt bydlęcia pracuje. Wysadzono go na wyspie — gdzie? Bóg jeden wie, dopytać się, dogadać z ludźmi nie może. Choć jeszcze chory, gnają go batem do roboty. Ze świtem w pole wychodzi, w późną noc do domu wraca. Pracuje przy stępie, ziarno na kaszę w niej tłucze, ziemię w winnicach uprawia, pomaga przy budowie łodzi, najczęściej liny rybackie na brzeg dźwiga, sznury niewodów i łodzie holując.

W straszny wieniec dni niewoli wplótł los jeszcze nieszczęście i chorobę. Przełożonym nad robotnikami był czarny murzyn o wyłupionych oczach, o wargach szerokich, pod któremi błyszczały białe zęby wilka. Z harapem między niewolną rzeszą ludzi chodził, do pracy naganiał, chwili wypoczynku zmordowanym ludziom nie dawał.

Raz, gdy Mieczysław ciężki tram okrętowy dźwigając, ku ziemi był schylony, gdy podnosił ciężar, któremu siły jego podołać nie mogły, żywym ogniem zapiekło go na nagim grzbiecie straszliwe uderzenie bata... Krew zawrzała w słowiańskim wodzu, o świecie zapomniał, jak burza rzucił się na Murzyna, pięścią w twarz go uderzył! cios wymierzony między oczy tak był okropny, że czarny zbójca padł jak snop na ziemię. Ujrzała to rzesza niewolników, każda z gadzin chce się panu przysłużyć, wszyst-

ko co żyło rzuciło się na Mieczysława, bili go, okropnie bili, że krew buchła ustami.

Kilka deszczowych miesięcy przeleżał książę, nim przyszedł do zdrowia.

I znowu zaprzągnięto go do pracy. Oto holuje niewód z morza. Rano rychło świt wyjechały na szafirową falę dwie łodzie rybackie, rozpięto między nie sieci, ogromna przestrzeń morskiej topieli niewodem zagrodzona. Morze tu płytkie, na dwóch chłopów najwyżej głębokie, sieć odgradza i odcina wielki szmat wody od reszty oceanu. U dołu sieci ciężary ołowiane i żelazne wiszą, kąpiąc się w piasku na dnie morza, na wierzchu wody klocki drzewa lekkiego pływają sieć niosąc. Przy końcach niezmiernego płotu ze sieci dwie liny umocowano, długie może na dziesięć, piętnaście stai.

Opuściły łodzie rozpięte niewody, przywiozły do brzegów końce sznurów, chwytają liny w ręce niewolnicy i zwolna sięć do brzegu ciągną. Rozpięty niewód zmienia się w ogromny łuk, który siłą rąk ludzkich do brzegu się zbliża, wszystko stworzenie zagarniając, wszystko wlokąc co między brzegiem a sieciami w morzu się znalazło.

Lina zdaje się końca nie mieć, pływaki tak daleko od brzegu, że ledwie bystre je dojrzy oko. Od rana do południa sznur ciągną chłopi i ciągną, pot się z ludzi leje; minęło południe, słonko wnet w morze zapadnie, a drzewca pływające nad siecią daleko jeszcze, bardzo daleko. Pod wieczór zdwoiła się ludzka praca.

Słońce zapadło, księżyc srebrny na środek nieba już wchodzi, gdy sieci zbliżyły się wreszcie na rzut oszczepu do brzegu. Chwieją się i tańczą po fali morza drewniane pływaki, jakby czarne jakieś ptactwo, cała lina już prawie na lądzie, końce sieci już na ziemi, a cały niewód zatacza przy brzegu ogromne półkole. Jakby staw sieciami odgrodzony od modrej fali. Nie woda zaiste, ale wrzątko i kipiątko w tym osaczonym łuku wody. Ryby, raki, małże, wszelakie morskie zwierzę, teraz snać dopiero niebezpieczeństwo poczuły, widać rozpaczliwe ruchy ryb, chcących się z matni wydobyć. Gdy półkole się ścieśniło, zamąciła się brudem woda, nie morze to już szafirowe, lecz błotna, pełna piasku kałuża; szamoce się tuńczyk*), rzuca się węgorz, którego delikatną skórę parzą morskie stołbie.

*) Tuńczyk—ryba morska.

— Sieci ciągnąć!
— Na brzeg z niewodem!
— Ognisko rozpalić!

Zapalono ognisko i wyciągnięto sieć na piaski. Kłębi się od ryb. Siepie się rozpaczliwie ślepica i drętwik, podskakuje w górę jazgarz, w wielkim stosie żywych cielsk srebrzą białki i makrele. Olbrzymi tuńczyk, rozbijając splot zielonych węgorzy wpadł w podskokach na kolczaste małże, skaleczone jego boki cieką krwią. Raki pełzają po ziemi, aby uciec do wody, bezwładnie leżą mątwy, chełbie, na kształt białego, drgającego życiem błota.

Zabrali rybacy zdobycz i w sieciach zanieśli do domu. Na brzegu został jeden tylko człowiek. To zmęczony, spracowany, Mieczysław. Ręce od wysiłku bolą w stawach, niemoc straszna, w ramionach gorąco jakby paliła je krew. Pali się w tętnicach ta krew... Spojrzał na ciemne granatowe morze, po którym skakały srebrne i złote ognie promieni księżyca. Oczy jego uciekały w bezbrzeżną przestrzeń na północ... Tam za morzem ojczyzna, jego kraj ukochany, tam domowina i wszystko co ukochał na świecie. Tam czeka na niego piękna, jako kwiat wiosny urodziwa, wierna żona... Łzy za nim leje... A gdy Mieczysław myśli o Edycie to serce krew mu zalewa, to parzą go w oczach łzy...

— Edyto! Moja Edyto...

Nadjechał wielki kupiecki statek, zakuto Mieczysława w żelazne kajdany i zaprowadzono na pokład okrętu. Otwarły się małe, ciasne drzwi, po stromych schodach zepchnięto więźnia pod podłogę, do okropnej, brudnej i ciemnej kaźni. Kilkunastu ludzi tu już spętanych leży, nie potrzeba słów, ni objaśnień, że to niewolnicy, których Bóg wie dokąd wiozą.

Usiadł Mieczysław na barłogu, rozmyśla o swej nędzy, niedoli, rozmyśla o domu ojczystym, tarnowskim grodnie. Myśli i myśli o Edycie, gdy wtem...

— Co to?

Tok jego myśli przerwał dźwięk rodzinnej mowy, rozradowały głoski języka, którego już nie słyszał, za którym tęskniło serce, wzdychała dusza. Nie po lutycku oni mówią, a choć język ich od połabskiego różny, przecież bratnie jego brzmienię, wsłuchać się jeno trzeba, aby zrozumieć o czem niewolnicy gwarzą...

Już chciał rzucić się rycerz ku słowiańskiej braci, powie dzieć skąd jest rodem, jaka jego dola, gdy wstrzymała go treść zasłyszanej niewolników rozmowy.

— Sprzedadzą nas we Wenecji.

— Tam targowisko niewolników na straszliwym białym brzegu.

— Tam się zjeżdżają kupcy z całego świata.

— Wywożą z Riva degli Schiavoni słowiańskie chłopstwo na świat cały.

— Zeszłoroczna wojna duży plon handlarzom dała.

— Grecy mnóstwo Niemców nałapali.

— Tych nie wiozą do Wenecji, mógłby ich bowiem odbić cesarz, który roki odbywa we Weronie.

— On dziś bezsilny.

— Sam ledwie uciekł z rąk Greków.

— Rycerstwo jego w niewolne chłopstwo zmieniono.

— Rolę uprawiają, jarzmo ciągną w Grecji i na Sycylji.

— Pospolici jeno żołnierze widzą słonko Boże.

— Tak jest. Biada każdemu, kto wyższy urodzeniem i stanem. Temu nie wolno na świat wyjść, odetchnąć powietrzem.

— Każdy wódz i tysięcznik gnije w podziemnym lochu w Bizancjum.

— Śmierć tylko uwolni go z podziemnej jaskini.

Oniemiał Mieczysław z przerażenia, zamarły słowa na jego ustach. Z rozmowy się przekonał, że biada mu, jeśli go poznają. On... wódz cesarza... Zamiast ku ziemi ojczystej, do niewoli greckiej popłynie. Do lochu... na śmierć... na zgniliznę za życia...

Położył się na butwiejącym barłogu. Chce zasnąć, aby nie myśleć o jutrze, aby nie poddać się rozpaczy, jaką myśl o przyszłości niesie.

. . . . . .

Okręt się kołysze, wybiega na szczyt fali, aby z falą lecieć w przepaść, jako myśl ludzka ze szczytów nadziei w bezdeń rozpaczy spada.

Chwieje się fala coraz bardziej, kto stał na nogach, na ziemię się wali, pociemniał świat, z pokładu słychać okrzyki zgrozy.

— Bora!!! Bora!!

A ten wicher „bora“ na szafirowem przestworzu morza to śmierć i zatrata. Przyniósł na lica Mieczysława uśmiech...

Z nowiną śmierci wstąpiła w serce niewolnika nadzieja...

Przyjdzie śmierć i uwolni go z więzów, z kajdan... Ludzie, którzy w grobach leżą, już nie płaczą... Suche ich oczy... Usta martwe nie jęczą... Umiera człowiek, zniknąć musi rozpacz. Zmarnieje ta żmija, co serce żre...

Tak się łudził Mieczysław. Pocieszał się śmiercią, która w oczy patrzyła. A ludzie szaleli z rozpaczy i ze strachu.

. . . . . .

W Braniborze niepokój wielki, wszystko nowin z za Alp czeka. Choć rok już wnet upłynie, skąpe tylko wieści nadchodzą, sprzeczne ze sobą nowiny rozbitki z cesarskiej armji przynoszą. Tyle wiadomo napewno, że cesarz żyje, że resztki swej armji zgromadził we Weronie, że tu snuje plany dalszej wojny, obmyśla skąd wziąć na ten cel ludzi, skąd zdobyć pieniężne zasoby. Wiadomem jest, że przy cesarzu bawi się we Weronie pobożny kapłan Wojciech, ze znakomitego rodu czeskiego Sławników, który gorąco Ottonowi wojnę odradza, obowiązki miłości bliźniego mocarzowi chrześcijańskiemu przypomina.

— Nie krew nam rozlewać—mówił Wojciech Sławnik — ale pogańskie ludy opowiadaniem nauki Jezusowej nawracać.

Co się stało z Dietrichem, Mściwojem, z Bernardem, tego nikt nie wie i dowiedzieć się nie może. Przy cesarzu ich niemasz, zginęli gdzieś w świecie, jakby za morze wyjechali. Przyjdzie pogłoska, że żyją i we Włoszech się ukrywają, druga wieść niesie, że w niewoli saraceńskiej, w Azji, w podziemnych lochach gniją.

Wszystko smutne, wszystko... oprócz Wilhelma i Adelajdy. Dla nich zakwitł maj życia, zapłonęło gorące lato miłości. Trudno nakazać sercu, aby bić przestało, trudno zabronić sercu kochać, tak jak trudno, aby lody grudnia ostały się przed promieniami wiosennego słońca. Na łące, zakwitłej wśród lasu, czułą pieśń o miłości Wilhelm Adelajdzie śpiewa, wpatruje się w oczy dziewczęcia, które wstydem płonie, miłosne spojrzenia na rycerza rzucając, z uśmiechem oświadczyn miłosnych słuchając. Zapomnieli o Mściwoju, zapomnieli o niesnaskach, przebaczył krasawicy Wilhelm doznane urazy, gorącemi pocałunkami zagoiła rany jego serca nadobna dziewoja.

A przecież dziś smutek jakiś w oczach Wilhelma. Uśmiech dziewczęcia, jej liczne pocałunki nie rozprószyły chmur z białego czoła młodziana.

— Tyś smutny?

— Jam temu nie winien.

— Czyjaż więc wina? O szczęściu, o miłości dawniej mi śpiewałeś...

— Ziemia mi niebem była, gdym całował różane usta twoje.

— Dziś jest piekłem? Cóż cię dzisiaj smuci?

— Myśl o jutrze...

— Jakto?

Wilhelm objął ramieniem dziewoję, przytulił do siebie, wpatrzył się w jej oczy, patrzał łakomie na wielką krasawicy urodę.

— Jutro przyjdzie nieszczęście.

— Jakie?

Zaśmiał się smutno młodzian i rzekł z goryczą:

— Jutro może znowu przyjdzie jaki Mściwoj, a ty, uwielbiona przez niego, nogą mię kopniesz, zdepcesz serce moje...

— Nie, nie. To się nie stanie.

— Kto mi dowiedzie, że mogę być spokojnym?

— Przysięgi, które codzień z ust mych słyszysz.

— Przysięgi! Miłosne przysięgi! Bańki mydlane! — zawołał z niewiarą młodzieniec.

— Jeśli przysięgom nie wierzysz, czegóż chcesz ode mnie?

Wilhelm chwycił krasawicę za obie ręce, przyciągnął ją ku sobie, przychylił jej główkę tak, że czuł na twarzy ciepły jej oddech...

— Miłości twej...

W gorącym, sierpniowym dniu, na tle białych brzóz i grabów zielonych, na łące zasypanej tęczą kwiatów, nad któremi unosiła się druga tęcza latających kwiatów — motyli, biły dwa kochające się serca ludzi, którzy jako ta łąka zakwitli pocałunkiem.

* * *

— Okręt tonie!

— Bora szaleje.

— Podarte żagle jako łachman z wichrem igrają! Maszt trzeszczy, okręt jako łupina tańcuje po fali!

— Przed burzą laguny było widać.

— Zniosło okręt rozhukane morze.

Lament, płacze na okręcie, modlą się ludzie, prosząc Boga o pomoc i ratunek. Nawet pod pokładem, wśród tłumu okutych w żelaza ludzi płacz słychać, nawet i nieszczęśliwi, dla których jutra niema, boją się rozbicia i śmierci.

— Idziesz Marzanno... Idziesz nareszcie...

Nie przyszła ona, aby go uwolnić od rozpaczy i łez. Ścichł wiatr, uspokoiło się morze, okręt wpłynął między laguny, zawinął do brzegu. Wylądowano na wyspę, gdzie była szopa, zbudowana na legowisko dla ludzkiego towaru. W kazamacie mrowisko człowieczej czerni, która płacze, śmieje się, przeklina... Jak dzikie zwierzęta, rzucają się na padlinę, którą kupiec im na pastwę rzuci, aby zaspokoić ich głód, aby utrzymać towar przy życiu.

Wczesnym rankiem przybiły do brzegu łodzie, zabrały spętanych niewolników, powiozły ich przez odnogę morza. Zdala widać miasto, w niebo strzelają wieżyce, bieleją rusztowania nowo wznoszonych budowli. Łodzie płyną do białego brzegu. Zna go Mieczysław bardzo dobrze...

— Riva degli Schiavoni!

Ustawiono go w rzędzie spędzonych na sprzedaż nędzarzy, targ ludzki wrzał hałasem około gromady wybladłych i wynędzniałych niewolników. Patrzy Mieczysław naokoło, żali nie ujrzy kogo z rady, mieszczaństwa, które poznał na uczcie u doży; nikogo nie masz, znanej twarzy nigdzie nie widać, jeno się kręcą greccy i włoscy kupcy, Żydzi jedynie ludzkim towarem handlują.

Wieczorem wsadzono go znowu na łódź, znowu do kazamaty niewolników jedzie nocować, aby wczesnym rankiem z powrotem na targ wrócić.

Na czwarty dzień ujrzał Mieczysław na targowisku kilku dostojnych jakichś panów. Szaty na nich bogate, straż przed nimi idzie, trębacz pochód oznajmia; nie handlarze to zaiste, nie Grecy, ani Żydzi.

W środku gromady...

— Boże! Toć to Petro Tribuna, doża Wenecji!

Orszak zbliża się ku Mieczysławowi i zbliża, wnet koło niego idzie, wyrwał się z tłumu przemocą książę, rzucił się przed dożą na kolana.

— Zlituj się!—krzyknął z rozpaczą.

Chciał niewolnika odtrącić trabant, w pierś go kolanem uderza, aby natrętnego nędzarza od pana odsunąć. Tribuna usłyszał łzawe skomlenie, rzucił okiem... Wpatrzył się doża w twarz Mieczysława, oczy błądzą po wynędzniałem obliczu, zdają się poznawać tę, tak okropnie zbiedzoną postać...

— Coś ty za jeden?

— Obotrycki książę — zawołał w języku niemieckim Mieczysław.

— Co on mówi?

— Niezrozumiale bełkoce.

Przetłumaczono doży słowa Mieczysława, przypomniał sobie Tribuna człowieka, którego w domu swoim wraz z cesarzem gościł...

— To niemiec—rzekł jakiś rajca wenecki.

— Niech go piorun trzaśnie.

— Kwita z przyjaźni!

— Odmieniły się czasy!

— Rabowali nasz kraj!

— Ten niewolnik był na uczcie u ciebie, Tribuno, siedział przy boku cesarza...

— Wino pił. Dziś dałbym mu trucizny.

— ...tedesco!

Mimo wrogich okrzyków otoczenia, zrodziło się w sercu Tribuny uczucie litości.

— Żal mi tego człowieka.

— Niech zdechnie...

— Ile chcesz za tego nędzarza?—zapytał Tribuna kupca.

— Dziesięć denarów.

— Co? dziesięć? On ci wnet umrze...

— Wierzgnie kopytami i nie dostaniesz nic.

— Dam sześć denarów.

— Jeśli sześciu nie chcesz—zawołał trabant—to jego wysokość, doża wenecki, weźmie go przemocą zadarmo.

— Przemocą? Co?

— Siłą!

— Śmieję się z tego...

— Jakto?

— W wolnej rzeczypospolitej zaskarżę dożę do trybunału.

— Dam ci sześć.

— Siedem i łaskę twoją dożo...

Dobył kalety Tribuna, zapłacił siedem denarów, rozkuto Mieczysława i puszczono wolno. Chciał dziękować doży, obiecywać zwrot sumy, wdzięczność wiekuistą... Ale zimno przyjęto czułości niemieckiego wodza.

— Idź do djabła! — rzekł Tribuna i poszedł w dalszą drogę.

— Strać się, Niemcze, czemprędzej z oczu.

Łzami zmiękczył Mieczysław serce przewodnika, że go przewiózł z lagunów do brzegu, dopadł ziemi książę i bieży. Na dalekim horyzoncie zarysowały się olbrzymie Alpy... Ku nim z bijącem sercem pielgrzym idzie...

* * *

Wielkie święto, radość wszystkich, którzy w Światowida wierzą. Zeszła Mała Noc czerwcowa. W kilka godzin po zajściu słonka—na wschodzie niebo różowieć zaczyna, złoci się topazem, błyszczy purpurą, zaranna gwiazda rozpala się, płonie — wnet blednie i gaśnie, bo już wschodzi słonko. W Małą Noc ledwo ostatnie blaski na zachodzie zagasły, zstępuje ze swego posągu krasna bogini Łada, leci i białą rączką gwiazdę zaranną zapala. Biały bóg światła zwyciężył tej nocy Czarnego boga ciemności, powalił go w okropnej walce i rzucił w przepaście.

Wieczna walka Czarnoboga z Belbogiem zawrze wnet nanowo, tak jak w duszy ludzkiej cnota z potworem zwierzęcych instynktów się bije. Dźwignie się z przepaści powalony potwór...

Dziś jednak jasność...

Dzisiaj zwycięstwo boga świałości i szczyt jego chwały. Od tej nocy, Belboga zacznie zwalczać czarny bóg. Światła coraz mniej i mniej będzie, aż ziemia wpadnie w straszne przepaście ciemności grudniowej..

Gdybyś w tę świętą Małą Noc wysoko ponad ziemię wzleciał, gdybyś przypiął do ramion skrzydła tatrzańskiego orła i wybiegł nad chmury, zobaczyłbyś, że dziś cała ziemia słowiańska skrzy się i od świateł płonie. Od Łaby po Dniepr, od szafirowego morza i szczytów Bałkanu po wyspę Rujanę sobótki jaśnieją, kupalnocka się pali, wianki po Odrze i Wiśle płyną do morza. I byłaby w tę noc ziemia słowiańska jako niebo złotemi gwiazdami wyiskrzone.

Zwycięstwo światła nad ciemnościami. Uroczystość i święto wielkie. Do świątyni Trzygłowa wierni znoszą ofiary, niesie kmieć szynkę i jaja na ofiarę dla bogów, na wesele i ucztę tej nocy. Prosię to znamię płodności, jajo to obraz twórczej siły. Prosię i jaja ofiaruje lud Jessemu, Ładzie i Dziedzilji. I tysiąc lat minie, lud porzuci pradziadów wiarę, posąg Trzygłowa zdruzgotany i pohańbiony w prochu legnie, na miejscu świątyni Jessego w Gnieźnie, w niebo wieżami strzelająca katedra stanie — a zwyczaj ojców, prastare „święcone“ na wieki przetrwa i na zawsze żyć będzie...

W wielkie święto wiosny starym pogańskich ojców naszych zwyczajem czcić będziem wielkiego chrześcijańskiego Boga, który pokonał ciemności i starł w proch szatana...

* * *

Ucięli chłopcy zieloną gałęź grabową, ustroili ją w okrajki jaskrawe, na szczycie powiesili strojną bogato lalkę, która wyobraża wiochnę, boginię zieleni i kwiecia. Poprzebierali się psotnicy za baby, strachy, za niedźwiedzi, z piór ptasich i skrzydeł orlich zrobili „kogutka“ osadzili go na osi, oś spoczywa w piastach dwóch kół, jedzie cudactwo od domu do domu, od grodna do opola...

Wesoła gromada obchodzi stary zwyczaj, „Nowem latkiem“ zwany, śpiewając pieśń:

Wyjrzyj pani gospodyni
Nowe latko w twojej sieni,
Jeśli chcecie go oglądać,
Musimy co od was żądać.
Oto dzionek nam krótnieje,
Cały świat już zielenieje.
Nowe latko raj,
Boże szczęście daj.

Obdarzają kmiecie i gospodynie gości czem chata bogata, zamykają wrzeciądze chat, idą z gromadą do drugiego i trzeciego domu.

Gdy wieś cała opuściła chałupy, przewodnik gromady wiedzie ją do kościelca, aby odprawić wiosenne „Dziady“, aby w dniu ogólnej radości, przypomnieć sobie ludzi, którzy nim do mogiły weszli, razem z żyjącymi na roli pracowali.

Rozciągają na mogiłkach bielutkie prześcieradła, na płachtach rozkładają kołacze, ser, jaja, szynki, łagwie pełne miodu stawiają. Kto tylko z umarłych ma kogoś na świecie, tego mogiłka w kwiaty i posiłek strojna, pusty i samotny grób ma jeno wyrzutek, zbrodniarz, lub zdrajca rodzinnej ziemi.

Srebrny księżyc patrzy na żałobne pole, wśród mogiły sieroty zapłakane i motyle nocy się plączą, robaczki czerwone w czarowną noc wśród zieleni bujają, ludzie jak duchy po cmentarzu błądzą, po starych kościelca mogiłach, na próchnach zbutwiałych dębów błędne ognie płoną. Rzewno i łzawo w kościelcu w wiosenną noc...

Siada boża czeladka naokoło mogiły, twarze swe ukrywa w dłonie, gorzko płacze i zaczyna z grobami rozmowę.

— Pracowałeś ze mną, na naszą rolę padał kroplami twój pot. Perły potu i łez padały, bujnie zeszła pszeniczka na naszej synu, roli. Czemu w ciemny świat poszedłeś, czemu opuściłeś dom nasz i stół, na którym pszenny chleb? żyzna twemi łzami i twym potem rola. Gdyś opuścił świat, płacze szumem ta rola, smutkiem, szczebioce pszeniczny łan, który zrósł na perłach łez...

— Córko! Córko: Ty nie chcesz już prząść ani tkać! opuściłaś mnie, samam jak palec na świecie pozostała!

— Na zielonej błoni przelałeś krew, dałeś bracie życie za kraj kochany...

Nalał chłopak miodu w glinianą czarkę i mówił do mogiły:

— Zostawiłeś mi dziedzictwo, ojcze drogi, pijże ten miód, jako ja po twojej śmierci łzy moje piję. W twe ręce, ojcze! Jedzże jasny duchu i pij...

I wylał dziedzic czarę miodu na ojca mogiłę...

— Powiesił cię mararaf, córko moja, żeś wojskom naszym zaniosła chleba i soli! Zagoił ci się w mogiłce krwawy pas od szubienicznego sznura? Tyś oprzędła nas, tyś ślepej matce koszulę utkała, bo nas dwoje sierot, dwoje oczów miało. Dwoje tylko! Dwoje! Niechże łzy, które ślepe me oczy zrodziły, policzy Bóg, niech łzami gorzkiemi okrasi margrafa dzieci dolę. Niechże kat wypłacze oczy, niech dzieciom jego każdy kęs okraszą łzy. Niechże los jego będzie łzawy, jako ten wyżebrany krwawy chleb, który na twej mogiłce córko, ja, matka twoja składam...

Upadła starowina na grób dziecka, zbiegli się ludzie, podnoszą sierotę, na chleb i miód zapraszają.

* * *

Po lamentach i żałobach wieś ucztuje na mogiłkach. Leją w czary miód, łamią kołacz i kruszą ser. Ofiara cieniom zmarłych odprawiona, czas na radość i wesele, czas obchodzić wielkie święto Małej Nocy. Rozgrzał miód krew, do ócz wróciła pogoda, na ustach zjawił się śmiech. Wszystko idzie na rolę, opalać sobótką łany, wszystko idzie w las na święto kupalnocki...

* * *

Na polanie leśnej pół wsi się zebrało. Z wnętrza boru chłopcy suche gałęzie znoszą, gromadzą konary sosen, zeschłe chojaki świerczyny. Na samotnie wśród łąki stojącą sosnę wdrapało się kilku chłopców, suche gałęzie z dołu do góry niosą, ogromne snopy paliwa do konarów drzewa powrósłami przywiązują. Gdy korona drzewa obwieszoną została smolnym chróstem i młodzież spleźła się na ziemię, wszystko co żyje, do pnia suche gałęzie znosi, rośnie ogromna mogiła, do korony drzewa wysokością swą dochodząc.

Dobył kmieć żelaza, uderzywszy nim o krzemień skrzesał ognia, kilka iskier na hubę padło, rozdmuchano żar w próchnie, zapalono żagiew, z którą dziewczęta do ogromnego stosu spieszą. Każda krasawica zapaliła od żagwi gałązkę suchej bylicy, kupalnockę ze wszystkich stron podpalają, języki płomienia otaczają paliwo złotym i krwawym wieńcem, dym bucha, stos płonąć zaczyna.

Odezwały się gęśle górników, harfiarze starą pieśń praojców grają, dziewczęta ujęły się za ręce, tańczą w takt głosu gęśli, pieśń do Łady, bogini miłości śpiewają.

Zapłonęła kupalnocka, cała sosna w ogniu stoi do nieba zdaje się sięgać ogromna kolumna ognia, syczy płomień, bucha dym, pożoga iskry płonące do nieba rzuca. Cały las oblany złotem ognia, jak w dzień na polanie, jak w dzień wyraźnie widać taneczny wieniec dziewic, piękne lica krasawic.

* * *

Tańczą dziewczęta, a przecież niemasz śmiechu, na młodych licach rzewny smutek, niepewność w krasnych oczach wyczytasz,

gorącą pieśń prośby z ust usłyszysz... Wszak dziś wielkie święto miłości, dziś wianek trza sprzedać na szczęście lub nieszczęście. Chwyci na Haweli wianek płynący człowiek dobry, szczęście z nim i zbożne życie, złapie go człowiek zły, dziewoja niewolnicą w dom męża, na łzy, zgryzotę i nieszczęście idzie. Nie ujmie wianka nikt, spłynie z wodą w topieli, zatonie, śmierć przedwczesna dziewczynę czeka, nie dom męża i kochanka, lecz otwarta paszcza zimnej ją czeka mogiły.

Niepokój i pytanie w młodych serduszkach, strach w pięknych oczach, w Małą Noc czerwcową smutna piosenka z ust krasawic płynie:

Fale wdal płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie,
Nasze wianeczki z drobnej ruteczki
Mamyż was stracić marnie?!
Fale wdal płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Niosą rąbeczek: to na czepeczek...

. . . . . .

I chciałaby dziewoja odwlec tę chwilę, odwlec czas, gdy wianek na wodę rzucony przyszły jej los obwieści, gdy po wyroku, jaki wianek wyda, włosy jej obetną, czepiec żony na głowę wdzieją...

Ustał taniec, rozleciał się naokoło ognia cudny wieniec krasawic. Święty obrzęd trzeba spełnić, gęślarze pieśni na cześć bogów grają, zdejmują dziewczęta wianki z główek i gałązkę z każdego zioła, z których wianek spleciony w zarzewie ognia rzucają.

Wianeczek uwity ze wszystkich ziół, mających od bogów czarowne moce: z bylicy i chwoszcza, z rozchodnika i macierzanki wianki dziewoje splotły; nawrotek, barwinek i boża rosa go stroi. Kto dymem z tych ziół cudownych się okadzi, ten wolnym jest od choroby, kto gałązkę ich w ogień wrzucił, tego domu Łada strzeże od pioruna. Okruszyny chleba, resztę jadła z „Dziadów“ do ognia wrzucono, miodem z łagwi święte ognisko skropiono, zagrały gęśle pieśń weselną o chmielu, tę czarowną pieśń o szczęściu, wiośnie, miłości...

O chmielu, chmielu, rozkoszne ziele,
Nie będzie bez cię żadne wesele,
Żebyś ty chmielu na tyczki nie lazł,
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast.
Oj wianeczku, z barwineczku,
Chowałam cię mój wianeczku,
Chowałam cię w nowej skrzyni,
Ale mi cię w nocce wzięli.
O chmielu, ty nieboże...

Kto żyw, kto młody i swobodny w puszczę leci. W tę noc zawieszona opieka rodzicielska nad młodzianem i dziewoją, dziś krasawicy męża szukać, dziś chłopcu wybrać dziewoję, która przejdzie z nim razem przez życia dolę i niedolę... Serce dziś szuka bijącego serca, usta szukają ust... Łaba, Hawela, Odra, Warta, Wisła, Dunaj i Dniepr od wieńców panieńskich zapłonęły, rzuciły dziewczęta na wodę wianki i losy.

* * *

Przez bór idzie nędzarz obdarty i głodny. Strzęp łachmanów jego nagie ciało kryje, po zabliźnionych ranach na ciele widać, że daleką przebył drogę, niejedna skała i niejeden cierń ranił jego stopy.

W hawelańskiej puszczy zielonej rozradowało się oko nędzarza, jakby na widok zakwitłych leśnych grusz i głogów, na widok kwiecia rodzinnej ziemi, życie nowe w niego wstąpiło, jakby nowa siła weszła w zgłodniałe i zbiedzone włóczęgą ciało. Łzy radości błyszczą w oczach jego na widok rozpalonych po wzgórzach sobótek, na widok wianków, które po wodach płyną...

Słyszy nędzarz ladzkie głosy...

Boże! Toćto rodzinna mowa ojców moich! — zaśmiał się łzawo.

Serce z radości dygoce, blaski kupalnocki iskrzą się ogniskami złotemi we łzach, we łzach radości, któremi powieki się zrosiły.

— Idę do nich, idę!

Chce biec...

Gromada wiadyków i kmieci w gąszczu grabowym rozmawia.

— O czem oni mówią?

Osłupiał obdarty włóczęga. Bo gwara, którą słyszy, zmroziła jego moc, ścięła jego krew...

— Niechże pamięć ich sczeźnie!

— Imię ich wieczna hańba pokryje.

— Zdrajcy ziemi ojczystej!

— Z Niemką się ożenił.

— Wrogom narodu stopy liże!

— I to książęta, wodzowi nasi.

— Mieczysław i Mściwoj z cesarzem na wojnę do Włoch poszli.

— Aby jak pies żebrzący o chleb, wyżebrać władzę nad ludem, a jeśli trzeba będzie, pomoc przeciw własnemu ludowi.

— Przestańcie złorzeczyć wielka chwila się rodzi.

— Jeśli to prawdą jest, że cesarz pobity, to my...

— Wiem co chcesz powiedzieć. A ja wam mówię, że jeśli Hawelanie się dźwigną to czeka ich gorsza jeszcze i cięższa niewola...

— Precz ze zwątpieniem!! Kiza i Złotosz są przecież z nami!

— Władykowie na Pomorzu powstają.

— Ty Kizie wierzysz?

— Nie nasza to krew, choć słodkie jego słowa.

— Ja jego przysięgom nie wierzę. Zawierzył mu podobno Niebora...

— Zwyciężymy!

— Rozumu chyba nie masz. Cesarz wyruszy przeciw nam, z cesarzem przeciw nam stanie książę nasz Mieczysław, podły jego sługa.

— Umarł podobno.

— Zdechł jak pies.

— Brytan zdycha na łańcuchu, który mu pan na szyję założył, książę Mieczysław jako wierny pies zginął w służbie cesarza.

— Może żyje? Kto wie?

— Jeśli żyje i w drogę mi wejdzie, łeb toporem rozwalę.

— Powroza godzien i szubienicy. Dowiedziałem się dziś o Bieługowiczach nowiny strasznej!

— Mów!

— Co się stało?

— Wiecie, że Niebora nasz wydanym został Bernardowi, że dzięki cudowi, potrafił uniknąć haniebnej śmierci...

— Wiemy! Wiemy!

— Wydała go zdrada.

— Czyja? Kto był zdrajcą?

— Wydał go podle książę Mściwoj Bieługowicz!

— Co mówisz? To być nie może!

— Nie, nie. To nie prawda. Wiem, że takie wieści krążą, wiem, że Mściwoj dla cesarza wszystko gotów uczynić. Na taką jednak podłość go nie stać.

— Nie rzucajcie oszczerstw. Książę Mściwoj tego nie uczynił...

— Wierzę w twe słowa. Niemniej zdrady kraju lud mu nigdy nie przebaczy.

— Zapłać mu za jego czyny Marzanno!

— Boże, ześlij piorun!

— Piorun?! Za mała kara. Nie piorun dla Mściwoja, sucha wierzba.

— Stryczek dla brata jego, Mieczysława.

Podróżny nędzarz słucha... długo słucha... wytrzeszcza oczy, tchu mu brakuje... otwiera usta, serce bije gwałtownie, strach... chce uciec, sił niema, pośliznął się na podściółce suchych iglic sosnowych i wycieńczony na ziemię pada.

Nieszczęście... Gorycz... Pali w piersiach... W mózgu płomienie... Żeby się ta ziemia zapaść chciała, przyjąć go do łona...

— Bracia... wszak to bracia moi...

— Jam winien! — szepnął.

Myśli się plączą, myśli szaleją...

— Na kolana przed ludem upadnę, winę mu wyznam, o litość prosić będę... Nie, nie, niechże zabiją... jam tego wart.

Zmysły go odstępują. Gdy za chwilę potrafił się zdobyć na myśl, w oczach stanęła żona...

— Nie, nie... ja muszę żyć... dla niej żyć muszę.

Gromada ludzi w grabinie jeszcze mówiła. Co mówiła, nędzarz już nie słyszy. Ukląkł, zaczął się czołgać... Cichutko po omacku przez głogi się plezie. Żeby nie słyszeli ludzie... żeby się nie zdradzić. Wydobył się ze świerków, przeszedł przez leszczyny, idzie puszczą i idzie. Nogi go niosą, sam nie wie, dokąd idzie.

* * *

W przepaści urwistej coś bieleje, jakby ludzka chata. Chce ją obejść, minąć, z ludźmi się nie spotkać... uciec...

Nogi odmówiły posłuszeństwa. Brakło siły. Runął przed opłotkiem.

Z chaty wybiegł kmieć.

— Coś ty za jeden? Czego chcesz?

— Zlituj się... daj mi chleba...

— Cichost dźwignął ze ziemi człowieka, posadził przed chatą; przyniósł z komory kołacz, rybę suszoną, miodu, nakarmił i napoił pielgrzyma.

— Skąd przybywasz? Kim jesteś — zapytał podróżnego.

— Z krańca świata idę...

— Możeś ty sługa i żołnierz cesarza? Możeś ty jeden z drużyny książąt naszych, którzy własny kraj zaprzedali wrogowi? Możeś ty jeden z tego pułku łotrów...

— Nie pytaj mnie...

— Nie chcesz mówić? Kimkolwiek jesteś, jesteś gościem moim. Widzę, żeś obdarty i nagi. Spocznij tu. W skrzyni mej znajdę konopną koszulę, nie zabraknie i sukmany, którą się odziejesz, nim jutro w dalszą wyruszysz drogę. Teraz idę posłać ci łoże...

— Uczyń to. Od nowego miesiąca jednej nocy nie spałem pod dachem...

— Święta dziś Mała Noc czerwcowa, którą uroczyście obchodzim. Jeśliś jednak strudzony, zaniechaj obrzędu i idź spać.

— Pierwsza noc, pierwsza spokojna noc cicha...

— Sen doda ci siły. Łoże suchym liściem wyścielą, wilczą skórą cię okryję.

Cichost wszedł spiesznie do chaty, podróżny został sam przed domem.

— Strudzonym i ścigany jako pies...

* * *

W młodych jesionach, które rosły przed chatą, zadzwoniły struny lutni, cichą i dźwięczną pieśń wiatr wiosenny niesie, coraz głośniej słychać muzykę, jakby grajek zbliżał się do Cicho-

stowej chaty. Wyszedł wnet z zarośli, stanął przed oknami, gdzie w panieńskim ogródku rosły ostróżki, nagiętki, zielenił się barwinek, kwitła boża rosa.

Oczy gęślarza do okien Cichostowej chaty zwrócone, zapatrzone w okna, jakby kogo tam szukały, jakby pieśnią chciały wywabić isrotę, dla której struny harfy grają. Miłości pieśń gęśl chłopaka śpiewa, to o czem serce marzy chciałaby ręka na gęśli wydzwonić...

Patrzy, śpiewa czule i patrzy... w tem...

Oderwały się oczy młodziana od okien, padły na pielgrzyma.

Zazgrzytała gęśl, urwała się miłosna piosenka, oczy pieśniarza szeroko się otwarły. Wpatrzył się ze zdziwieniem w twarz włóczęgi, pochylił się, wyciągnął rękę, jakby ta ręka wyciągnięta mówić chciała, bo usta otwarte oniemiały.

— Mieczysław!!! — krzyknął pieśniarz.

Pielgrzyma już przed chatą nie było, wpadł w zarośla wiklin, przeskoczył strugę...

Sobieta! mój lutnista — szepcą drżące usta.

Aby zmylić trop, skręcił na prawo, ominął szerokim kołem chałupę i w przeciwną stronę bieży. Szaleństwo i strach dodały sił. Przeląkł się ludzi, boi się wpaść w ręce braci... Wszak słyszał ich rozmowę, wie, że z ręki swych poddanych czeka go haniebna śmierć.

Ściganym jako zwierzę dzikie.

Opuścił łożysko rzeki, zasiane chatami i ziemniakami, leci w czarną gęstwinę, gdzie ludzi niema, gdzie uchronić się można od śmierci. Tam, w mateczniku, spotka wilka lub niedźwiedzia, ale tam przecie niema straszniejszego od nich człowieka. Brata... jednej krwi, jednej mowy...

Idzie podszytym borem. Na północ idzie, tam... nad Odrę... do Tarnowa. Tam jego grodno, tam kochająca żona, tam straż zamkowa, tam wierni ludzie, tam spokojnie zasnąć można...

Idzie Mieczysław ciemnym lasem. Ostre liście jałowców sieką jego gołe nogi, stopy jego kaleczy ożyna. Czasem pośliźnie się na korzeniu sosny i na ziemię padnie, czasem braknie sił, wyczerpany, zbity, zmęczony człowiek jak snop wśród wichru upada na ziemię. Dźwiga się i wlecze się dalej...

— Żeby tylko stanąć...

Dniem idzie Mieczysław przez lasy, nocuje w czarnym jarze lub z dzikim zwierzęciem w jaskini. Trawi go gorączka straszna, w nocy sam do siebie mówi, majaczy i szepce o czem na jawie myśli jego serce. Zimnica okropna trzęsie ciałem, to znowu ogień w żyłach płonie, na czole zjawia się pot. Usta spieczone drżą, krzywią się gorączką i szepcą:

— Edyto, moja Edyto! Dla ciebie życie... Dla ciebie spodlenie...

Spadła na jar rosa, zimna rosa siadła na spieczonem gorączką czole. Chory oczy otworzył. Rozejrzał się, przypomniał sobie gdzie jest, dokąd idzie, jaki jego cel.

Dźwignął się nędzarz i wlecze się dalej...

— Do domu, do domu... do domu...

* * *

W nieprzebytym lesie zbudował Cichost chateńkę dla swej córki. Jedna mu na świecie została, jedna umknęła strasznej śmierci. Nacierpiało się biedactwo, włócząc się po lasach, łez się napiło, pół roku żyło w puszczy, zanim Niebora znalazł ją i zawiódł do rodzica żywiciela. Dla Sławotki całe lato ojciec drzewo cipsał, aby dziecku chateńkę zbudować.

Nad Hawelą błądzi dziewczątko po lesie w świętą noc wiosenną. W gąszczu grabów czerwcowe robaczki się świecą, świeci się srebrną falą Hawela. Czasem, jak ognik leśny, wianek panieński po jej nurtach przepłynie, czasem za wiankiem na czółnie chłopak leci, wiosłem pracując, wianek ścigając, aby go złożyć u stóp ukochanej dziewoi. Czasem wiankiem zakręci fala wody, warkocz prądu nim obróci, zachwieje się wianuszek, woda go chłonie, zasyczał ogień zalany wodą i wianek panieński poszedł marnie na dno...

Na widok ten serce Sławotki się ściska, lica, jak róża rozkwitłe, zbladły, wargi wiśniowe strachem drżą. Może jej wianuszek podobny los czeka...

Wybrało jej serduszko dorodnego młodziana, harfiarz grając na lutni, patrząc w oczy, rozbudził jej serce.

Serce bije uczuciem, miłością płonie, a nie zdradzi tego, co się w niem dzieje, ustom... Wargi mogłyby wydać tajemnicę serca, zawstydzić dziewoję...

Kąpie się księżyc w srebrnej fali, na srebrną falę wianek Sławotki leci. Wianuszek uwity z siedmiu cudownych ziół, stroj-

ny listowiem nasięźrału. To ziele od bogini Łady ma cudownt moc jednać serca, łączyć serca. Kto samotny na świecie, braą, niej duszy, bratniego serca znaleźć nie może, temu nasięźrał kot chanka lub kochankę zwabi, żelaznym łańcuchem miłości przywiąże... Ale trzeba znać ziela moc, znać tajemnice... Trzeba kwiarwać o samej północy, pod pełnię, trzeba w bór samotnie iśćznaleźć ziele i wymówić zaklęte słowa, które wstydzą, rumieniec na licach skromnej dziewicy wywołują...

Nasięźrale
Rwę cię śmiale
Pięcią palcy,
Szóstą dłonią
Niech mię wszyscy chłopcy gonią...

Zerwała go o północy Sławotka. Nie wszystkich, nie wszystkich! jednego tylko pragnie, tego lutnisty Sobiety, który jej czarowne piosenki śpiewa.

* * *

Do stóp Sławotki przyleciał gęślarz Sobieta, niosąc w ręku wianek, na którego liściach perły wody błyszczały. Spieszno mu do dziewczęcia widać, ciężko oddycha młodzian, pytając dziewoję:

— Czy to twój wianeczek?

Sławotka wianek własny poznała. Wszak to ten z barwinku, podlaszczek, dzwonków i bylicy. Serce bije, wstyd się przyznać... co on powie... może dowiedzieć się czem serce płonie... może pomyśleć...

— Nie, to nie mój...

Chłopakowi opadły ręce, na czole chmura smutku, w oczach żal...

— Nie twój?

— Nie mój.

Spojrzał chłopak na Sławotkę.

— Bądź zdrowa — rzekł głosem, w którym grał rzewny płacz.

— Dokąd idziesz Sobieto?

— Dokąd idę? Idę szukać dziewoi, która ten wieniec na wodę rzuciła, idę oddać się kobiecie, której nie znam, której

może na oczy nie widziałem. Wszak zwyczaj ojców naszych każe, że czyj wieniec w ręce wpadnie, tej trzeba przed Jessem przysiąc.

— Co? Jakto? Ty się ożenisz?

— Muszę.

— Jakto? Co ty mówisz?

— Muszę iść do tej, która wianek rzuciła.

— Czekaj, nie chodź! Coś ci powiem. Zapytam się.

— O co?

— Widzisz Sobieto, ten wianek nie jest mój... ani tego nie myśl...

— Wierzę ci.

— Mój był ze stokrotek i ze dzwonków, ten zaś...

— Cóż mi masz powiedzieć?

— Chcę... To jest... niby...

Zarumieniło się dziewczę po uszy. Choć noc i ciemno, przecież w blasku pełni miesiąca te rumieńce, jako jaskrawe róże na jagodach krasawicy widać.

— Czego chcesz Sławotko?

— Chcę wiedzieć... coby było.., gdyby... no gdyby ten wianek był mój...

— Coby się stało?

— Mów!

— Gdyby był twój? O Boże! O serdeczna Ładо!

— Mówże...

Sobieta milczał długo, patrzył w prześliczne Sławotki oczy.

— Ojcubym twemu do stóp upadł — wybuchnął gęślarz — aby mi cię dał...

Serduszko dziewoi chce z piersi wyskoczyś, chce jak skowronek pod niebo wylecieć, zagrać piosenkę szczęścia, Bogu się piosenką ze szczęścia wyspowiadać, piosenką tak rozkoszną jak wiosna, tak rzewną, że wyciska z oczów łzy. Cichutko, tak cicho, jak rosa na kwiaty spada, rzekła Sławotka Sobiecie:

— To... wianeczek... mój...

— Twój! Twój!

— Znowu taka cisza, że możnaby słyszeć szum tych chmurek złotych, które przez miesiąc się przesuwają.

Przypadł Sobieta do stóp dziewczyny, całował jej ręce, powstał, objął dziewczątko kochane ramieniem przytulił do siebie, w oczy łez pełne radośnie patrząc.

— Zabiorę ten wianek, a za niego oddam ci życie.

* * *

Niedawno dopiero po północy, a już na wschodzie niebo jaśnieć, różowieć, palić się i płonąć zaczyna. Bledną gwiazdki, zgasły ognie czerwcowych owadów, zgasły światełka wianków, które marnie do Łaby, do topieli morskiej płyną. Zeszło słoneczko, skończyła się święta Mała Noc czerwcowa. Ta jasna noc wiosny, szczęścia, miłości...

. . . . . .

Daleko za Renem w głębi frankońskiej ziemi rośnie i dojrzewa wino, któremu równego nie masz zaiste na świecie. Pieni się w kielichu i perli, szumi i srebrną pianą pokrywa, wesele i radość w sercu budzi, odpędza troski, które fala życia niesie. Dla pięknej żony Kiza z dalekiej Frankonji wina przywiózł, aby przychlebić się kobiecie, aby wywdzięczyć się za to, że go młoda wdowa w dom przyjęła, na męża wybrała, że mu się krasawica ciałem i daszą oddała. Wszakci to rok już z żoną Edytą w tarnowskiem dworzyszczu mieszka, cały rok wiośniany, miodowy, szczęśliwy...

. . . . . .

Niewiasta przytuliła się do męża, bo burza okropna na polu, błyskawica za błyskawicą siarczanym, zielonawym blaskiem rozjaśnia straszliwą ciemność nocy. Zaciszniej jakoś kobiecie i śmielej w ramionach Kizy w tę noc okropną; piekielną ciemność oślepiający blask gromu przerywa, rękami oczy zasłania krasawica, aby nie widzieć błyskawicy...

Nad lasem wisi straszna czarna chmura, pod nią i przed nią rdzawe rude obłoki na zamczysko tarnowskie ciągną.

Ścichł nagle wiatr, czarniawa zwolna zbliża się i zbliża, pomruk w chmurach słychać, jakby dalekie rzegotanie gradów, które przewalają się i warczą, gotując się do lotu na ziemię. Co chwilę przerwie czarniawę gzygzak ognisty, całe niebo na mgnienie oka słoneczną jasnością zabłyśnie, chmury zmieniają się w tysiąc ognistych opon, za których złotym majestatem jest tron boga Peruna.

Lunął deszcz. Przed chwilą, po błyskawicy, długo na echo grzmotu czekać było, teraz z blaskiem ognia idzie ryk piorunu,

w lasy tarnowskie gromy biją, co chwilę z nieba grom uderza, co chwilę w jasność słoneczną noc się zmienia, lawina piorunów wali się na świat.

— Straszna noc.

— Nie bój się, wnet burza minie, zejdą na niebie gwiazdy jasne.

— O!! W chałupę kmiecia uderzył piorun.

— Napij się wina.

— Teraz nie. Przed chwilą szumiało wino w mej głowie, tem straszniej mi teraz, nie radość ten trunek, lecz strach i grozę rodzi.

— Napijże się wina.

— Drżę cała. Zdaje mi się, że spotka nas jakieś nieszczęście, że to dzień sądu i kary.

— Śmiej się z przeczuć.

— Jezu!!!

— Piorun w zamek uderzył!!

— Pomsta Boża! W zamek...

— Nie, nie. Grom uderzył i roztrzaskał dąb na wałach.

— Od tych świateł straszliwych ślepną oczy.

— Pij ze mną Edyto, pij.

Godzina okropnej trwogi minęła, burza zaczęła cichnąć... Przewaliły się i w świat poszły chmury, już słabe echo piorunów, ścichł i strach, rozjaśniły się lica pięknej kobiety.

— Nawałnica przeszła.

— Niechże zejdzie i smutek z twego czoła.

— Rzadkim on przecie w domu naszym gościem.

— Radość nam, szczęście i wesele.

— Piję Edyto na twoje zdrowie! Do dna! Pij do dna!

— Do dna!

Wychylił rycerz kielich dziesiąty, rzucił go na stół, objął ramionami szyję kobiety i usta jej całował.

— Moja żono! Moja jedyna!

— Pij wino. Aby zapomnieć o burzy... Drżałam jako liść...

— W objęciach mych, droga, o wszystkiem zapomnisz.

— Patrz, jak się to wino pieni!

— Oczy twe pocałuję.

— Wino niesie spokój...

— Pij więc, Edyto, pij.

Wnet na lice kobiety wystąpiły rumieńce, uśmiech zjawił się na kraśnych wiśniowych ustach. Zapaliło wino we krwi iskry

rozkoszne, patrzała na swego męża z uśmiechem szczęścia w oczach jej była miłość, jakby te piękne, rozkoszne oczy kobiece wołały: oto usta me, otom cała twoja. Skłoniła głowę na piersi rycerza, rozkochana, szczęśliwa, oddana, gdy wtem...

* * *

Dziecko zapłakało w sąsiedniej izbie. Zadzwoniło cichym głosem niemowlę, załkał płacz maleństwa ze snu się budzącego.

— Dziecko kwili.

— Dziecko moje—powtórzył Kiza.

— Zostań tu. Uśpię je, uspokoję. Wnet zaśnie...

— Wróć do mnie. Czeka cię tu wino i...

— I?...

— Miłość...

Wybiegła niewiasta do sąsiedniej izby, w kilka pacierzy ucichł płacz, ukołysana dziecina snać usnęła. Wróciła Edyta do męża. We wierzejach izby zjawiła się uśmiechnięta, jak wiosna, piękna, jak kwiat letni, majestatem urody jaśniejąca.

Z czarownym uśmiechem miłości szła do męża, który na jej przyjęcie na oścież otworzył ramiona. Niesie mu gorące usta... już rozkochana ma upaść w jego objęcia...

We drzwiach ukazało się zjawisko dziwne...

Pierwszy je spostrzegł Kiza, ujrzał straszne widmo w chwili, gdy drzwi się rozchyliły. Szybkością błyskawicy usunął się ze światła, które kaganiec na izbę rzucał, umknął w cień, schował się we fałdach wschodniego kobierca, zasłaniającego wierzeje, znikł poza drzwiami...

Uciekł uśmiech z ust Edyty, patrzy zdziwiona za Kizą... zkolei na widmo oczy zwraca, ze strachem na nie patrzy...

To widmo...

Wypełzło dwa kroki naprzód... ledwo na nogach stoi... chwieje się, jakby miało runąć...

Na nędzarzu strzępki odzienia wiszą, w okropnych oczach gorączka, w długich skudlonych włosach iglice sosnowe, widać nagie ciało pokaleczone, brudne, ohydne, bliznami zdrapane... z oberwanych strzępów ubrania leje się i kapie woda. Edytę ogarnął strach okropny... Zamarł śmiech na ustach..

— Coś ty za jeden?—zapytała drżącym głosem.

— Ja...

— Kim jesteś i czego chcesz ode mnie? — krzyknęła Edyta.

Nędzarz wpatrzył się w Edytę, oczy zaszły łzami, na ustach zakwitł uśmiech szczęścia... Wyciąga do niej obie ręce...

— Żono!!! Edyto!!—krzyknął straszliwym głosem, w którym była rozpacz i szczęście, radość, ból i serdeczne łzy.

Nędzarz runął nieprzytomny na ziemię. Widok Edyty zabrał resztę jego sił, wyczerpał życie. Upadł jak snop na podłogę, piersi ciężko oddechem pracują, usta drżą gorączką, oczy zapadły w dół...

Edyta skamieniała.

Patrzy na leżącego na ziemi człowieka... zbliża się... jak trup zbladła...

U jej stóp...

— Mieczysław!!...

Edyta straciła zmysły. Przecie to sen, przecie to choroba straszna, która widma rodzi. On? On umarł! Jakto? Mieczysław... On, jego rysy... On...

— Słuchaj Kizo... Czy to on?!...

— Uspokój się.

— Przecie to nie on. Mnie się śni. Mam gorączkę. Przecie umarł.

— Szalejesz.

— Mów!!! Mów!! To nie on! Tamten umarł i nigdy nie wstanie.

— Milcz! Ludzie się zlecą.

— Co mam czynić?

— Nie wiesz? Jeszcze się nie namyśliłaś?

— Mów!

— Drzwi zamknąć!—krzyknął Kiza.

Jak pijana Edyta od drzwi do drzwi leci, wrzeciądze zasuwa, ślepo rozkazu Kizy słucha, wie, że on ma rozum, który szalona straciła.

— Co czynić mężu?... O!! mężu!!!

Zaśmiał się bezczelnie Kiza.

— Masz mężów dwóch...

— Co czynić?

— Usunąć go!—krzyknął.—Tą izbą pachołkowie i służebnice chodzą...

Edyta obłąkana. Upadła na ławkę, siedzi, niemal szalonym błędnym wzrokiem na Mieczysława patrzy...

— Weź go stąd! Do drugiej izby... Na łoże z nim.

Bez zmysłów, bez przytomności, bez świadomości wypełnia Edyta rozkazy Kizy. Ujęła za nogi Mieczysława, chwycił go w ramionach Kiza, przenoszą go do łożnicy.

— Chory.

— Nieprzytomny. Zmysłów niema.

— Przyjdzie do siebie... Świadomość odzyska — bełkoce Edyta.

— Uspokój się.

— Idę! Idę! — krzyczy kobieta.

— Cicho!! Szalejesz... Kędy chcesz iść?!

— Uciekam stąd!

— Dokąd? Rozum straciłaś!

— Iść stąd muszę! Uciec...

— Cicho. Nie budź...

— Co czynić? Mów! Co czynić?—szepce Edyta ustami, na których zjawiła się spieniona ślina...

— Ja wiem co czynić mamy...

— Mów. W głowie się mięsza. Szczęki klekocą...

— Ratuj nas oboje...

— Ja mam ratować. W jaki sposób?

— Chcesz lekarstwa na nieszczęście?

— Daj je!

— Oto jest — rzekł zimno Kiza.

— Co?! Nóż!!!

— Weź ten nóż...

— Ja?

— Idź...

— Dokąd?

— Dokąd?! Pytasz się?!

— Ty wiesz. Idź!! Idź!

Edyta zachwiała się, cofnęła się w tył, aby nie upaść, oparła się o modrzewiową ścianę.

— Idź!!

Głosem bez dźwięku, głosem trupim odrzekła:

— Nie pójdę.

— Nie pójdziesz?

— Nigdy!

— Musisz!

— Nie, nie!

— Ja cię zmuszę!

W oczach Kizy zabłysły światła straszne.

— Nie pójdę. Nie, nie — szepce Edyta przez zęby, które szczękają.

— Nie pójdziesz?!! To ja jutro rano pokażę Mieczysławowi dziecko...

— O! O!

— Idź!

— Ulituj się nade mną.

— Albo dziś on, albo jutro umrzesz ty. Nie, nie! Co mówię? Ty nie umrzesz! Rozszarpią cię jego psy, ogień żywcem palić będzie twoje ciało. Dzień, dwa dni konać będziesz... Tak zwyczaj karze niewierne żony...

— Boże! Boże!

— Ja pokażę mu rano dziecko.

— Zabije cię on...

— Ciebie pierwej.

— Tchórzu! Mnie kobiecie mordować każesz?!

— Jam zbrodni nie popełnił.

— Jakto?

— Jam mu nie przysięgał wierności małżeńskiej, jam mu nie ślubował wiary.

— Nikczemniku!

— Byłem wolny. Do wszystkich kobiet świata droga mi stała otworem.

— Jakiś ty straszny.

— Idź.

— Nie pójdę. Doradzasz mi zbrodnię, popełniasz podłość!

— Jutro pokażę mu dziecko...

Edyta była złamana. Twarz barwę ziemi przybrała, drżące wargi zsiniały.

— Słuchaj Edyto. Jutro rozpalą ogień, w płomieniu żelazne obcęgi rozżarzą, aby szarpać twe ciało. Jutro pasy z ciebie drzeć będą, jutro po strasznych mękach oddadzą cię konającą psom...

— O O O!

— Idź!

Edyta słowa wymówić nie mogła. Przez zdławioną krtań nie chce się przedrzeć głos.

— Zgaś kaganiec... nie chcę widzieć...

— Idź... oto żelazo.

— Daj... Daj...

Wsparła się na drzwiach łożnicy. Dalekie błyskawice, oświetlające posłanie, na którym leży Edyty mąż. Z daleka echa grzmotów słychać, pomruk ślą chmury, jakby głos groźby i ostrzeżenia przed pomstą warczał w czarniawie.

— Co to?

Gardło Mieczysława rzęży, gra pierś i dziwnie piszczy, gorączka ciałem wstrząsa, usta bełkocą jakby coś mówiły.

Wsłuchuje się Edyta.

— Edyto... — wzdycha Mieczysław. — Ukochana Edyto... żono!

Chce zbliżyć się do chorego męża, odejść od drzwi, chce iść do łoża... nie może... Musi się oprzeć o wierzeje, aby nie upaść. On mówi okropnym śmiechem gorączki:

— Dorodnaś krasawico, jako kłos pszeniczny, pięknaś żono jako kwiat...

— Idź!

— Nie... nie...

Raz jeszcze zawahała się, postąpiła naprzód rękę wzniosła w górę...

* * *

Straszliwym uderzeniem noża przebiła pierś męża...

* * *

Oczy otwarł Mieczysław straszliwe...

— Edyto!!!—zajęczał.

Drgnęło ciało, skręciło sie konwulsją skonu.

* * *

— Zapalę światło.

— Nie, nie. Nie chcę.

— Czy skonał?

— Ciemność okropna...

— Nie chcę światła... nie... Ja nie chcę nic widzieć.

— Dziecko kwili—rzekł Kiza.

— Twoje! Niech będzie przeklęte... Roztrzaskam głowę przeklętej gadzinie! Po co się rodziła?

— Cóż ci zawiniło?

— Gdyby nie ten dowóh?

— Co? Byłabyś serdecznym uściskiem powitała męża? Nieprawdaż?

— Dziś widzę, jakiś straszny i nikczemny.

— Byłby cię Mieczysław przyjął. Po wytartym denarze poznać, że z rąk do rąk chodził. Wy kobiety jesteście szczęśliwsze, bo każda z was wygląda jak nowiutki denar... Nie poznają ślepe zakochane oczy...

— Pastwisz się?

— Do czynu cię wołam. Nad przepaścią stoimy.

— Ratuj mnie!

— Jeśli słów mych posłuchasz.

— Wszak ich słucham...

— Chodź, chodź...

— Myśl za mnie... Ja nie jestem w stanie.

— Zapalę kaganiec.

— Światła już!

Weszli do izby, gdzie na stole był dzban z winem.

— Daj mi wina. W ustach niesmak...

— Masz twarz skrwawioną...

— Buchła na mnie kaskada krwi...

— Wymyj usta winem.

— Chodź! tu niema powietrza! Chodź na błonie... Chodź Tchu!

— Nie szalej Edyto, to połowa dzieła...

— Druga zaś...

— Czekaj... Zobaczę, czy zamek śpi...

— Do dzieła!

Zabrali we dwoje stygnące zwłoki człowieka. Nogi i ręce już zziębły, pierś jeszcze ciepła, pierś otwarta paszczą okropnej rany. Strugi skrzepłej krwi ścięte w korale...

* * *

Wzrok ich wpatrzony w ciemność sieni zamkowych, uchołowi echa, nadsłuchuje czy kto się nie zbudził, nie był świadkiem okropnego czynu. Cisza grobowa, cały zamek śpi. Spowite w płachty zwłoki przenieśli przez dziedziniec, przenieśli przez most...

— Do Odry — szepnął Kiza.

— Oto bieleją jej wody.

— Nie tu. Nie tu. Stare to łożysko, woda w nim wciąż stoi.

— Sądzisz zatem...

— Jutro, pojutrze, zwłoki na powierzchnię wypłyną, wypłynie straszna tajemnica nasza.

— Dokąd idziesz?

— Na fale rwącej rzeki go wrzucim. Popłynie tajemnica do morza.

— Dziesięć staj do Odry.

— A jednak aż tam iść musisz...

— Siły mię opuszczają. Ręce od tak wielkiego ciężaru zdrętwiały.

— Czekaj, ja ci ujmę znowu.

Ściął Kiza mieczykiem dwie ogromne świerkowe gałęzie, złożył na nich zimnego trupa, jakby na zielonem łożu, ujął drzewce w dłonie i wlecze gałęzie po ziemi. Płozie się po mchach świerczyna, na niej Mieczysław, cicho plezie się po trawach mokrych od ulewy. Za zwłokami idzie Edyta, wielkiemi od strachu patrząc na świat oczami, idzie na pogrzeb człowieka, któremu za serce, za oddane jej życie, zbrodnią zapłaciła. Zdaje się jej, że ten trup zakochane na nią zwraca oczy... że sine usta szepcą:

— Edyto! Żono ukochana!

Chmury ciemne błąkają się jeszcze po niebie, jak niedobitki za wojskiem, za czerniawą burzy, która piorunami świat zwalić, potokami deszczu ziemię zatopić chciała. Przewaliły się obłoki, resztki ich zapadają za lasy, odsłoniło się prześliczne niebo, zjawił się na szafirach srebrny łuk księżycowy. Gwiazdki patrzą na świat jakby mrugając wesoło na ludzi, jakby wesoło gwarzyć chciały z ludźmi, którzy czyste mają serce i czyste sumienie. Krople rosy leżą na trawach i podbiałach, na każdej igliczce sosnowej wisi przeczysty brylancik rosy. Chwyciła rosa z gwiazd jasność, ujęła światła księżycowi, iskrzy się srebrnym ognikiem, jako iskrzy się myślą dusza ludzka, w której płonie ognik, zrodzony w myśli Boga-Ducha. Rosa iskrę i człowiek ducha wzięli z nieba, rosa i człowiek płoną światłem, którego bezmiernie nieograniczone ognisko zapalono w niebie...

— Spieszmy się. Słonko wnet zejdzie.

— Kilkadziesiąt kroków do rzeki.

— Prędzej! Prędzej! Wyda nas słońce jasne.

— Wszystkich sił dobywam...

— Co to?
— Czy słyszysz?
— Cicho!
— Echo ludzkich kroków...
— Ukryj się we wikliny.

Kiza chwycił wpół martwego Mieczysława, niesie w gąszcz wiklin, porwała krwią zbroczone świerczyny Edyta i w gęstych wierzbinach je chowa. Pręt wierzbowy jeden przy drugim, przesunąć się trudno w lesie wiklinowym, świata bożego nie widać...

— Kto tam chodzi?
— Czekaj, zobaczę.

Wyłonił się Kiza z gąszczu, patrzy na brzegi rzeki.

— Rybak—szepnął.

Rybak po brzegu myszkuje, pod pazuchą ogromna sieć, w ręku więcierz*) na leszczynowych obręczach rozpięty, podrywka rybacka wisi mu przez ramię. Poszedł w górę rzeki, więcierz do wody założył, kilka kamieni kładzie na brzegu, aby miejsce, gdy przyjdzie z powrotem, odnaleźć. Idzie w górę strumienia, znikł wnet na skręcie urwistego brzegu.

Edyta czuwa nad zwłokami męża, straszliwego skarbu pilnuje... Już nie strach, lecz szaleństwo w jej oczach, twarz jej piękną napiętnowała teraz zbrodnia, ohydna jest teraz z temi okropnemi oczami, brzydkie bez granic te blade, drżące, wątrobiane usta, te źrenice otoczone białkami, jakby z głowy wyleźć chciały. Majaczy coś... wargi jej drżą... szepcą...

— On wstanie...

Zdaje się jej, że ten blady jak płótno trup wstanie, że wezwie ją na sąd...

Wrócił Kiza.

— Chodź—zawołał rycerz.—Weź go...
— Pomóż.

Wzięli Mieczysława i na odmęt niosą.

Odmęt, woda wiruje, zielona tu, ciemnią granatu świecą, rzeka białe, żółtawe, rdzawe piany toczy. Kręci się wir...

Z urwistego brzegu wrzucili trupa do wody. Buchła kaskadą fala i przyjęła zwłoki księcia narodu lutnistów.

— Popłynie w morze....
— Tajemnica popłynie...

---

*) Więcierz—rodzaj dużej sieci na ryby.

— Słońce wejdzie.

— Chodź, chodź. Uciec przed słońcem.

— Czemu?

— Ja nie chcę widzieć jego jasności...

Dwoje ludzi pędem prawie w dworzyszcze tarnowskie wraca, aby uciec przed słońcem.

XII.

Na zamku braniborskim zgryzota, niepokój i rozpacz. Dietrich i Bernard wrócili z Włoch, z wyprawy, która ich wstydem i hańbą okryła. Gdy z południowej Italji, idąc do Braniboru, przybyli do cesarza do Werony, aby o rozkazy i wolę monarchy zapytać, aby wytłumaczyć się z zarzutów i skarg, jakie na nich przed tron cesarza z Neapolu i Rzymu wniesiono, przerwał ich wywody Otton, mówiąc:

— Rzućmy zasłonę na waszą przeszłość.

— Myśmy niewinni...

— Winy wasze niech wam odpuści Bóg — rzekł ksiądz Wojciech Sławnik, wzrokiem zgrozy i wyrzutu na margrafów patrząc*).

— Co dalej czynić mamy? — zapytał Bernard.

— Wróćcie na północ do marchji—rzekł cesarz.

— Stłumić powstanie Słowian, które państwu grozi.

— Bunt zgnieciemy krwią i żelazem.

— Nie krwią! Nie żelazem! — zawołał Wojciech. Źle ci radzą monarcho, nie słuchaj puszczyków, nie słuchaj złej rady.

— Radzisz zatem księże...

— Ja pójdę do ich ziemi, ja słowem Bożem stłumię wojny zarzewie.

— Zamordują cię Hawelanie.

— W oczach kapłana błyszczało natchnienie.

— Niczego innego nie pragnę, prócz śmierci za wiarę! — rzekł bogobojny zakonnik Wojciech uśmiechniętemi usty.

— Ty zginiesz, a poganie zburzą nasze dzieło.

— Spalą kościoły, wymordują księży.

---

*) O pobycie św. Wojciecha u Ottona III na sejmie we Weronie czytaj: Can. Passio St. Adalb. 8 (przyp. autora).

— Nie, monarcho. Na krew tylko odpowiedzą przelewem krwi, za ogień pożogą zapłacą, za dobro jednak sercem się wywdzięczą. Ty nie znasz tego ludu pieśniarzy, ja jeden z was ich znam, wszak ich mowa, to moja słowiańska mowa, znam ich serca, znam ich pieśń...

— Co zamierzasz czynić?

— Pójdę na dwór polski. Tam jest mój uczeń, tam jest serdeczne kochanie moje, tam jest syn Mieszków, Bolesław. Rozumne to i poczciwe chłopię, przez niego trafię do serca ojca, do Mieszka, przez Mieszka do rozumu i serca Niebory.

— Ha, ha, ha!—wybuchło głośnym śmiechem rycerstwo.

— O Nieborze mówi!

— Ten zbój nikczemny.

— Ten łotr!

— Morderca!!

— Do Niebory chcesz iść? Wszak on przewielebnego powiesił.

— Już wisiałem na suchej wierzbie, z której oderżnął mnie Bernard.

— Precz z pustą gadaniną!!!—wrzasło rycerstwo.

— Śmierć poganom!! Wytępić do nogi!

— Gdy jak psy wyginą, weźmiem się do Polski...

— Wytniem w pień! Wisłą krew ich spłynie!

— Milczcie! Jak śmiecie zdradzać tajemnice państwa naszego?!

— Ogniem i mieczem ich wytracim!

— Cicho! — zawołał cesarz — tłumiąc wrzawę wzburzonych żołnierzy.

— Nie, ty tam nie pojedziesz—rzekł do Wojciecha.—Ja tu potrzebuję twej dorady, twej pomocy, twego poczciwego serca. Do marchji wrócą Dietrich i Bernard...

— Życie za ciebie, królu, oddamy! — zawołali margrafowie.

— Idźcie i czyńcie, co wam rozum, chwila i przezorność każe...

. . . . . .

— A ja ci mówię, że Kiza to łotr i nikczemnik! — zawołał Bernard.

— Oszukuje nas—dodał Thiethmar.

— Przysięga, że wpływu swego na korzyść naszą, na dobro cesarza użyje.

— Mówią, że księstwo udzielne chce założyć.

— Być może, że to człowiek podły. Jeśli jednak masz słuszność, powiedz mi, dokąd się mamy udać, na kim się oprzeć mamy?

— Juści, że nie na Mściwoju.

— Ten umarł za życia. Cały naród go nienawidzi, kto żyw, ma dlań pogardę i na ustach ślinę.

— Gardzą nim dlatego, że wiernie nam służył.

— Wiem o tem dobrze. Sprawa jednak państwa i cesarza, to nie przyjaźń między dwoma pachołkami, którzy jednym garncem miód piją. W sprawie publicznej precz ze sercem i babską czułością...

— Tak jest! Mściwoj stracił swój wpływ na lud, przez nas stracił, dla naszej miłości stracił, ale stracił. Jeśli zaś stracił to dla nas i cesarza mniej jest wart, niż wczoraj utoczone zwietrzałe piwo, niż stary słomiany wiecheć w bucie...

— Miałem zawsze wstręt do niego.

— Ohydny poganin!

— Jakże gardziłem nim, gdy wiódł mię, aby wydać własnego brata, własną krew, Nieborę.

— Podły bez granic!

— Precz z nikczemnikiem!

— Patrzcie? ktoś jedzie! Widzisz ten tuman pyłu na drodze?!

— Mściwoj z Włoch wraca.

— Co mówisz?

— Oczy cię mylą. To być nie może.

— Mściwoj z Włoch wraca.

— Na zamczysko braniborskie jedzie.

Jedzie, śmieje się Mściwoj do szczęścia, które zdobył. Patrzy w zamek, gdzie mieszka dziewoja... I a bez granic ukochana. Długa rozłąka bardziej jeszcze uczucie rozpłomieniła. Taka miłość, takie szczęście w sercu płonie, że z radości cisną się do oczu łzy... Teraz ją wprowadzi w dom ojcowizny, zawiedzie żonę ukochaną... Męstwem zdobył rękę jak wiosnę, jak kłos pszeniczny urodnej dziewoi.

Przegonił towarzyszy swoich, wpadł do zamku, zsiadł z konia i wprost na pokoje idzie.

— Gdzie księżniczka Adelajda?

— Nie wiem—rzekł sucho pachołek.

— W domu jest? Czy wyjechała?

— Nie wiem? — rzekł, z podełba na Mściwoja patrząc, Thiethmar.

Wszedł Mściwoj do izby rycerskiej. Tam siedzą przy kielichu Dietrich i książę saski. Spojrzeli na niego, zwrócili oczy na konew z winem. Bernard pilnie w kielich patrzy, nawet ręki nikt nie wyciąga...

— Przybyłem, o dostojni.

— Tak? To dobrze.

— Wprost z Włoch jadę.

— Cieszę się bardzo — rzekł zimno Dietrich.

— Krwawa była pod Basantello robota, łzawa tułaczka po obcym świecie...

— No, no...

Mściwoj otwartemi szeroko oczami spojrzał po margrafach.

— Co to znaczy?—zapytał.

— O co się pytasz?

— Wy jaśni panowie... jesteście zimni... jak lód... może który z was smutny, może chory...

— Nie. Zdrowi jesteśmy.

— Nie witacie mnie, nikt mi nie wskazał ławy, abym usiadł, nikt nie ofiaruje mi, strudzonemu, czary wina...

— U nas niema gospody — rzekł, śmiejąc się bezczelnie Bernard.

— Idź do karczmy, dadzą ci wina! — dodał szyderczo Dietrich.

Mściwoj oniemiał.

— Czy to żarty? Czy to sen?

Porwał się pijany Bernard z ławy. Przystąpił do Mściwoja i zapytał się gniewnie:

— Czego od nas żądasz?

— Czego? Jakto czego? — wyszeptał, blednąc Mściwoj.

— Mów!! — krzyknął Dietrich.

— Synowicy waszej, mej nad życie ukochanej Adelajdy. — Przyrzekliście mi ją święcie, dla niej poszedłem w kraj świata.

— Ha! Ha! Ha! — zaśmiali się rycerze.

— Śmiejecie się? Co to znaczy?

— Chcesz wiedzieć co to znaczy?

— Tak.

— Za psa słowiańskiego krewnej książąt niemieckich nie wydamy!!*)

* * *

Jedzie przez lasy Mściwoj, jakby zmysły stracił. Drużyna rycerska szepce do siebie i szepce, od ust do ust leci wyraz: oszalał...

* * *

Książę Bernard z nadmiaru podziwu i osłupienia wyjść nie może.

— Zmysły straciłeś pachołku!...

— Prawdę mówię.

— To być nie może! Wyjechał na łowy, wyjechał zapewne w gościnę...

— Nie, mój panie. Wszystko zabrał, na zawsze zamek opuścił.

— Kto ci to mówił?!

— On sam.

— Co słyszałeś?!

— Po szczęście moje jadę...—mówił do mnie.

— Kiedy to było?

— Dwa dni temu przybył do Braniborza goniec z Werony

— Z czem przyjechał?!

— Ojciec Wilhelma uratował cesarzowi Ottonowi życie. — W bitwie pod Basantello zasłonił go własnemi piersiami, poległ, krew rozlał za swego monarchę. Przypomniał sobie cesarz dług swój, przypomniał przysięgę, że synowi zbawcy za krew ojcowską zapłaci. Wysłał gońca, który przyniósł Wilhelmowi wieści, że ziemię i księstwo otrzymał. Hrabią i lennikiem cesarskim zostanie, skarbami cesarz Wilhelma obsypie, księżniczkę krwi daje mu za żonę...

— Czy tak...

— Przysięgam, panie.

---

*) Historyczne: Oportet quidem generosam magni principis neptem prostantissimo viro copulari, non vero cani dari. Helm. I 16. Mściwoja własne słowa, zapisane u Helmolda: Sclavi canes vacantur — Słowianie psami bywają nazywani (przyp. autora).

— Złości mnie to i gniewa—rzekł do Dietricha Bernard.

— Czemu?

— Za gościnę i dach należało nam się od Wilhelma przynajmniej dobre słowo.

— Czy potrzebujesz mnie jeszcze, książę? — zapytał pachołek.

— Idź precz! — rzekł gniewnie Bernard.

— Odchodzę, panie.

* * *

— Mówiono mi — rzekł po odejściu pachołka Dietrich — że Wilhelm w naszą nieobecność do Adelajdy czułe słał wejrzenia...

— To nieprawda. To być nie może.

— Kto wie.

— Nasza synowica nie przyjęłaby bez ślubnej poręki westchnień giermka, bez obrączki, która narzeczonych serca wiąże. Ona jest godną naszej rodziny, godną naszej krwi...

— Daj Boże, żeby tak było.

Drzwi zakołatały nagle. Do komnaty wpadła sędziwa Kunigunda. Oczy wystraszone, lewa ręka drży na lasce, prawica tłumi rozbujałe piersi.

— Czy to prawda, Bernardzie? Czy to prawda, bracie?

— O co pytasz?

— Że Wilhelm...

— Cóż was obchodzi Wilhelm?! — zawołał gniewnie. Obcy człowiek...

— Obcy? O tak... obcy...

— Oczywiście, że obcy. Jest, dobrze — niema go, jeszcze lepiej.

— Mów mi, Bernardzie, czy to prawda...

— O co ci, siostro, chodzi?

— Uciekł? Haniebnie uciekł?!

— Zapewne, że haniebnie. Nie pozdrowił nas na odjezdnem, nie podziękował za gościnny dach.

— Czy to prawda, że on Adelajdę, która mu zastąpiła drogę, odtrącił, klnąc obelżywie...

Książę szeroko wytrzeszczył czerwone oczy.

— Adelajdę? Jakto Adelajdę?

— Synowicę naszą.

— On! Odtrącił!! Sklął obelżywie?!!

Bernard poczerwieniał okropnie.

— Co to wszystko znaczy?!!

— Mówiłem ci przecie...—rzekł znacząco Dietrich.

— Co mi mówiłeś?

— Że...

— Kochali się?! Oni?!

— Oj, kochali się, kochali — rzekła że zgrozą Kunigunda.

— Ależ to okropne! On dziś od cesarza księżniczkę dostaje...

— Gdybys ty wiedział, gdybyś ty, braciszku, wiedział...

— Co mam wiedzieć?—zapytał Bernard.

— Wieść okropna...

— Że?!!...

— Domyśl się.

— Czyżby Adelajda...

— Oj tak, bracie, tak... Ratuj naszą cześć, bo wnet...

— Hańba!!—krzyknął margraf, padając na ławę.

Darł włosy Bernard, gdy Kunigunda wszystko wyznała, gryzł wargi, szalał, krew głowę zalewa, krew pcha się na mózg, kipi warem, huraganem po żyłach szaleje... Zerwał się nagle i krzyknął na pachołków głosem rozpaczy:

— W konie!

* *
* *

Wypadł Bernard z zamku, stara się znaleźć ślad Mściwoja, chłopstwo koło zamku zamieszkałe o drogę za nim pyta.

— Przeprawił się przez rzekę.

— Ku Mietlicy przez Hawelę pojechał.

Przebył Bernard z pachołkami rzekę, dopadł wsi Mietlice, której domostwa o kilka staj od Haweli bielały.

— Był tu obotrycki książę?

— Przejechał tędy.

— Dokąd?

— Gościńcem ku Łabie.

Dostał Bernard języka, że Mściwoj we Wysokiej Górze nad Łabą przebywa. Kilka mil drogi Bernard bez wytchnienia pędzi, konie pianą okryte już padały, gdy ukazały się pagórki nad Łabą i kamienne grodno na górze. Drużyna Mściwoja pasła konie około przydrożnej gospody...

— Gdzie jest książę? — zapytał hawelańskiego pachołka Bernard.

— Chcesz z nim mówić, panie?

— Tak jest.

Parobek szeroko oczy otworzył.

— Odstąp od tego zamiaru, margrafie.

— Dlaczego?

— Książę nasz jest chory.

— Chory?

— Czarny bóg opętał jego duszę, mówi nieprzytomnie, śmieje się i płacze. Mówią, że z rozpaczy oszalał.

— Prowadź mnie do niego.

Wszedł do gospody, w której nad czarą wina siedział Mściwoj. Zaśmiał się na widok Bernarda.

— Napijesz się, margrafie?

— Jesteś przecie...

— No, napij się! jasny panie. Pij śmiało. Ja cię spragnionego nie odeślę do gospody...

— Chcę rozmówić się z tobą, chcę objaśnić wypowiedziane słowa...

— Objaśnić twe słowa? Dobrze je, margrafie, zrozumiałem.

— Źle pojąłeś je, zaprawdę!

— Z czem przyszedłeś?

— Zgodę ci niosę.

— Zgodę? Z nami?! Zgodę? Za naszą służbę, my książęta słowiańscy, zostaliśmy psami?!! Jeśli jestem psem, ugryzę was jak pies!*)

— Uspokój się, zapomnij obrazę, wysłuchaj mojej mowy.

— Słucham cię, margrafie.

— Z Braniboru wypadłeś tak gwałtownie, że nie stało czasu, abym dokończył słów moich.

— Mówże teraz.

---

*) Słowa Mściwoja. Helm. I 16 (przyp. autora).

— Wiem, jaki dług krwi zaciągnął u ciebie cesarz, ile męstwu twojemu zawdzięcza święte państwo rzymskie. Nie wydawalibyśmy istotnie nigdy krewnej naszej za żadnego z książąt słowiańskich, co do ciebie jednak...

— Co do mnie?

Powstał margraf z ławy i rzekł uroczyście:

— Tyś rękę Adelajdy zdobył zasługą, dla cesarza rozlaną krwią! Nabierz otuchy. Jeśli chcesz, ślubem małżeńskim związane zostaną ręce wasze nawet dziś...

Mściwoj miał błędne oczy, jakby dusza jego we śnie była pogrążona, jakby nie rozumiał, co margraf do niego mówi.

— Zawiłe twe, margrafie, słowa, nie wiem co mi chcesz powiedzieć.

— Chcę ci oznajmić otwarcie, że oddam ci Adelajdę za żonę.

— Oddasz? Oddasz? — mówił głupkowato Mściwoj, oczy na Bernarda wytrzeszczając.—Ty? Oddasz mi Adelajdę?

— Oto słowo moje! Oto ręka moja!

Mściwoj patrzył przez chwilę błędnie, wnet wyszedł z osłupienia, w oczach zabłysły światła, zjawiły się iskry duszy, uśmiech szczęścia zjawił się na ustach, przytomność w duszę szaleńca wstąpiła.

Zrozumiała snać bólem pijana dusza słowa saskiego księcia, Mściwoj upojony radością, z wezbranem wdzięcznością sercem, jak wicher rzucił się na Bernarda, serdecznie go ściskając, ramiona jego całując. Nieszczęście, jakiem była odmowa, obłędem zamąciła jego zmysły, wieść o zgodzie, o szczęściu, zapaliła światło ducha, wróciła zmysły, odrodziła człowieka.

— Do stóp twych upadnę!—wołał Mściwoj.—Sługą wiernym do zgonu będę!

Bernard patrzył na oczy księcia, w których malowała się wdzięczność bez granic. W barbarzyńskiej i brutalnej duszy margrafa zrodziło się uczucie jakiejś jakby litości...

— Oszaleję bez niej!— wołał z rozpaczą Mściwoj. — Życie moje bez niej będzie dniem, w którym słońce zleciało w przepaście, Adelajda dla mnie tem, czem kwiaty dla ziemi, okrasą, ozdobą, ona mi myślą jasną, tchem...

W oczach słowiańskiego księcia zabłysły łzy.

— No dobrze– rzekł Bernard—dobrze. Napróżno nie szalej, gdyż ślub wasz może się odbyć bez żadnych przeszkód.

– Dziś?

— Ja sam jestem za tem, aby ślub wasz odbył się jak najprędzej.

— Ty?! I ty to mówisz? Dlaczego?

Margraf szukał w duszy słów, szukał kłamstwa, któremby oczy Mściwojowi zamydlił.

— Bo... Bo widzę gorącą miłość twoją, płomienne serce twoje...

— Kocham ją całą duszą moją, każdą myślą moją...

Bernard słysząc te słowa, widząc z jego oczu niezmierną miłość dla Adelajdy, na chwilę się zachwiał. W pospolitej szorstkiej duszy zagościła iskra żalu, iskra współczucia. Iskra wnet zgasła. Wnet zapanowała trzeźwość, zwyciężył na zimno obliczony plan.

— Zatem jutro wasz ślub. Jutro! Rozumiesz?

— Boże!—zawołał Mściwoj, tuląc głowę do piersi Bernarda, ręce jego całując...

— Dobrze, już mój drogi, dobrze. Pozwól jednak, że nim wrócimy na ślub do Braniboru zapytam się... że zadam ci pytanie...

— Odpowiem natychmiast.

— Jeśli tak niezmiernie synowicę moją kochasz, to musisz mieć wiele dla niej pobłażania, wiele wyrozumiałości...

— Tak jest.

— Przyjaźń jest jako barwne szkło, przez które do kościoła tęczowe światło leci, miłość jest jako kryształ wenecki, przez który różowym widzimy ten świat...

— Tak jest, dostojny margrafie. Miłość jako wiosna, która na szarą rolę życia purpurowe, modre i złote kwiaty rzuca.

— Adelajda zawiniła wobec ciebie.

— Przebaczę jej.

— Powinieneś to uczynić.

— Znam jej usposobienie, wiem, że zapalna to, pełna ognia dusza. Musiała się źle o mnie wyrazić, może zdjął ją żal, żem jej obcy narodem, obcy wiarą...

— Ciężko zgrzeszyła narzecona twoja...

— O! Przebaczę jej, przebaczę...

— Mogęż być tego pewnym?

— Najzupełniej.

— Zatem jedźmy do Braniboru. Wspanialszej weselnej uczty, niż jutrzejsza, nie wyda nawet sam cesarz rzymski!

— W drogę!

— Hola! Osiodłać konie!

— Żeby tylko stanąć prędzej...

— Pojedziem przez noc. Ze wschodnią gwiazdą w domu staniem.

Mściwoja oczy śmiały się, szepce radośnie sam do siebie:

— Zbledniesz dla mnie ty jutrznio zaranna, zbledniesz dla mnie jutro ty słoneczko jasne! Nie równać ci się liljo z białością jej czoła, niczem jesteś różo wobec krasy jej ust. Wam kwiaty ziemi nie równać się z nią, lecz stopy mej krasawicy stroić.

— Spędzono konie. W mgnieniu oka do domu ruszym.

Mściwoj zamyślił się chwilę.

— Słuchaj, margrafie! Wspomniałeś, że Adelajda zawiniła wobec mnie. Powiedz mi przecie, czem ona zawiniła. W jaki sposób zawiniła?

— E! co tam, dowiesz się później.

— Obraziła mnie?

— Jutro ci powiem.

Mściwoj dziwnie popatrzył na margrafa.

— Czyżby serce zmieniła?

— Nie, nie. Kochać cię będzie całą duszą. Najlepsza, najprzywiązańsza z niej będzie żona.

— A więc?

— Głupstwo! Zwyczajna rzecz...

— Jakaż jej wina?

— Mówiłeś, że każdą przebaczysz.

— Tak jest. Przebaczę.

— Jeśli tak...

— Powiedz mi panie. Ja muszę wiedzieć.

— Przysięgniesz, że przebaczysz?

— Przysięgam.

Bernard zamyślił się chwilę, wahał się, pilnie patrzał w oczy Mściwoja.

Prostota, dobra wiara i dobroduszność w tych oczach była. Ujął w ręce jego głowę, zwrócił ucho ku swym ustom i kilka słów cichych do ucha mu szepnął.

— O O O!!!—zawył Mściwoj, od Bernarda odskakując.

— Mówiłeś, że wszystko przebaczysz...

Mściwoj stał niemy. Oczy błędne latały. Szaleństwo było w jego oczach. Krew zjawiła się na wargach. Bezwiednym odruchem ręki chwycił się za włosy i rwał je z głowy. Na białej jego ręce kudliły się wyrwane długie włosy. Ciało kurczyło się

nerwowo, na ustach pokazała się pieniąca ślina, zmieszana z purpurową krwią. Patrzy na Bernarda, chce coś mówić... Głos marznie w gardle, usta chcą powiedzieć myśl, myśli nie jest w stanie związać mózg.

— Jedźmy! — zawołał Bernard.

— Dokąd? — zabełkotał Mściwoj.

— Wiesz, do domu. Na wesele.

— Chcesz, żeby był ślub... — zaszeptał blady jak giezło Mściwoj.

— Jutro.

— Mój?!

— Twój. Z Adelajdą.

Okropnym razem uderzył Mściwoj w twarz Bernarda, policzek rozległ się w powietrzu, ręka Mściwoja chce się wbić w czerwony, szeroki pysk.

— Łotrze!!

Rzucił się margraf na Mściwoja, napad z obu stron był tak straszny i nagły, że nie było czasu dobyć miecza, że nikt miecza nie ujął, na pięści i pazury lecą się bić. Rozpacz Mściwoja i wściekłość pokonały margrafa. Rozmachem szału uderzony w ciemię, upadł Bernard na podłogę bez zmysłów.

Mściwoj wybiegł przed gospodę i krzyknął na pachołków swoich:

— Za mną!!!

* * *

Lecieli za Mściwojem jak wicher. Dokąd ich prowadzi nie wiedzą.

— Konie padają, panie.

— Naprzód!

— Dokąd jedziem?

— Radegast!—woła Mściwoj.—Radegast!

Mściwoj drogę myli jakby na manowce jechał. Pędzą milę, dwie mile bez wypoczynku, bez wytchnienia. Co chwila słychać jęk i rzężenie, słychać wyraźnie, że Mściwoj płacze. W głos płacze... Wyje strasznym bólem i płaczem...

— Bogna!—szlochają usta—Bogna!

— Co mówisz, panie?

— Tyś chory, książę...

— Moja Bogna!!

Może półtrzeciej mili ulecieli, gdy Mściwoj nagle konia osadził...

— Do mnie!

— Na rozkazy twe jesteśmy.

— Czy rozmawialiście z załogą w Braniborze?

— Wszak niespełna godzinę tam staliśmy.

— Przecież...

— Ja mówiłem ze setnikiem.

— Czy nie wiesz, gdzie jest Wilhelm?

— Ten gęślarz? Wiem. Wyjechał do Niemiec.

— W którą stronę?

— Do Bawarji jedzie, potem uda się do Włoch.

— Dobrze. Daleko do Radegasta?

— Niedaleko. Widzisz panie te domy? To chaty w Radegaście.

— Na pagórku dąbrowa, w dąbrowie świątynia Trzygłowa.

— Dziś w świątyni roki.

— Cała hawelańska ziemia się zjechała.

— Bracia nasi!

— Do braci!!

* * *

Powitany został okrzykiem zgrozy, pomrukiem tłumów, przekleństwami własnych ziomków.

— Mściwoj Bieługowicz! Oto książę nasz!

— Sprzedawczyk, sługa cesarza!

— Wróg własnego ludu!

— Precz z nim!

— Wracaj do cesarza, wyrzutku i zdrajco!

— Nie, nie wrócisz. Nie damy ci wrócić! Na suchej wierzbie zakończysz twoje nędzne życie.

— Na szubienicę! Na szubienicę!!

Krzyk oburzenia, przekleństwa władyków, wycie tysiące tłumów zgłuszyło słowa Mściwoja, który chciał pożalić się, wypłakać się przed braćmi...

— Wyrzutku!!!

— Szubienica!!

— Dajcie powróz!

Uciszył okropny wrzask skinieniem ręki Niebora. Wysoko na stopniach ołtarza przy posągu Trzygłowa stał ponad tłumem,

wódz ludu, pan serc wzniósł rękę do góry, a w niezmiernej rzeszy zapanowała cisza wielka.

— Mówić chcesz? — zapytał władyka Mściwoja.

— O przebaczenie prosić.

Niebora pochylił smutno głowę ku ziemi.

— Niech ci Bóg przebaczy — szepnął.

— Nie przebaczą ci pomordowane przez margrafów dzieci nasze!!—krzyknął Cichost.

— I my mu nie przebaczymy!—rzekli kmiecie.

— Strach mam większy przed tobą, niźli przed zarazą — krzyknął głos z tłumu. — Bracia! Dziś godzina pomsty wybiła, dziś jak kraj długi i szeroki, lud słowiański przeciw ciemięzcom powstaje. Precz z parszywą owcą! Precz ze Mściwojem! Czy wiecie poco on tu przyszedł?

— Zdradzić nas!

— Szpieg! Oczywiście!

— Podsłucha zamiary nasze i wyda je cesarzowi.

— Zdradzić przyszedł swój własny lud.

— Na szubienicę!!

— Krwi nam jego trzeba! Krwi!!! — krzyczało pospólstwo.

— Wara od niego — krzyknął władyka, wstrzymując rzeszę, która obległa Mściwoja, toporem i nożem grożąc.

Ścichł głos ludu na chwilę, a Niebora rzekł, zwracając się do księcia:

— Czego od nas chcesz i pocoś tu przyszedł?

— Pocom przyszedł?—zawołał Mściwoj. — Przyszedłem oddać się wam cały. Przyszedłem służyć wam, przelać krew za was, w obronie mego kraju polec.

— Złote słowa na ustach książąt naszych, w sercu obłuda i zdrada.

— Na ustach ich ciągle miłość kraju! dobro kraju! Wy pijacie z margrafami dla dobra kraju, podlicie się dla dobra kraju!

— Wydaliście cesarzowi ziemię naszą dla miłości i szczęścia kraju...

— Precz z nim!

— Precz! Nie pijatyką z margrafem, ani całowaniem cesarskich stóp służyć będziem krajowi, wilcze zęby mu pokażem, w pień załogi jego wytniem!

— Śmierć ciemięzcom! Śmierć margrafom! Śmierć królowi i jego sojusznikom!

— Czy słyszałeś?—zapytał Niebora Mściwoja.

— Słyszałem.

— Idź zatem w spokoju.

— Nie. Ja zostanę z wami.

— Poco?

— Aby iść na śmiertelny bój, aby nie jako wasz książę, ale jako żołnierz w szeregu przelać krew za kraj, aby bić się za wolność lutyckiej ziemi.

— Ty?! Ty idziesz przeciw margrafom?

— Wszak to przyjaciele, sprzymierzeńcy twoi. Jak księżyc światłem słońca, tak ty wśród nas blaskiem pożyczonym od cesarskiego tronu jaśniałeś...

— To kaci mego ludu!

— Służyłeś im.

— Oplwali mię za to!

— Szedłeś bić się za cesarza do Włoch. Jako wilga kukułcze jajo ciepłem swem wygrzeje, tak ziemia nasza wykarmiła w tobie.

— Dokończ.

— Drapieżnego wroga!!

— Ha! Ha! Widzisz Mściwoju me siwe włosy? Mógłbym ci być ojcem. Gdym patrzał, jak ty w służbę margrafom szedłeś, oczy moje zachodziły łzami. Służyłeś im wierny jako pies, a oni...

— Psem słowiańskim mnie nazwali.

— Dobrze ci tak. Wzgardziłeś nami, a bratałeś się z wrogiem*).

— Oszukano mnie! Popełnili czyn podły.

— Tyś winien.

— Winien jestem! Ale krwią winę moją zmyję.

— Pójdziesz z nami?

— Do grobu wiernym wam będę.

— Puste słowa! Marne obietnice!

— Przysiąż nam!—zawołał Niebora.

Złożył rycerz ręce na piersiach i w szafiry firmamentu patrzył.

---

*) Helm. tom I str. 16 (przyp. autora).

— Na to niebo jasne, na Boga, który wśród gwiazd króluje, wiarę przysięgam wam!! Na cześć matki mojej przysięgam ci ludu mój, że pragnę przelać za ojczyznę moją krew, że bez granic wam oddany idę z wami na śmiertelny, święty bój.

Zapanowała w tłumie cisza wielka. Niebora czytał w oczach pokutnika szczerość i przekonanie. Przystąpił do Mściwoja, ujął jego rękę, przytulił go do piersi i rzekł:

— Ozwała się w nim nasza krew.

— Chodź z nami!

— Przeszłość zmazana!

— Przebaczycie mi przeszłość? — wołał Mściwoj do tłumu.

W słowiańskich duszach zagasł słomiany ogień zapalczywości i gniewu.

— Niech żyje książę Mściwoj! — ozwało się kilka tysięcy głosów.

— Niech żyje nasz wódz!! — wołał lud gęślarzy o zapalnych sercach, zapominający uraz, nie umiejący mścić się krzywd.

— Widzisz Mściwoju — mówił Niebora. — Przebaczono ci wszystko.

— Wszystko mówisz? A tyś mi przebaczył?

Spojrzał Niebora na Mściwoja.

— Niczem wobec mnie nie zawiniłeś — rzekł.

— Niczem? Nieskończony więc porachunek; niezupełna spowiedź moja.

Uwolnił się Mściwoj z objęć Niebory i zwrócił się do tłumów.

— Słuchajcie bracia! Wiecie o tem, że Niebora przez zdradę dostał się w ręce Bernarda, skąd cudem uniknął haniebnej okropnej śmierci...

— Wiemy! Wiemy!

— Zdradził go człowiek podły.

— Większego nikczemnika ziemia nasza nigdy nie wydała.

— Hańba niech spadnie na niego i na jego ród!...

— Podlejszego czynu nie widziało słonko jasne!

Książę Mściwoj zwrócił się do Niebory:

— Czy wiesz, kto cię wydał? Czy wiesz, kto to uczynił?

— Nie wiem—rzekł władyka.

Patrzył chwilę Mściwoj na Nieborę, w modrych oczach jego żałoba wielka i zgryzota, wnet na powiekach zjawiły się łzy, rozkrzyżowały ręce, wybuchnął rycerz płaczem wielkim i zawołał:

— Ja nędzny cię wydałem?

I upadł Mściwoj do stóp władyki, zanosząc się od płaczu. A w tłumie zdziwienie panowało niezmierne, wszystkie oczy utkwione były w Nieborę, zgrozę wywołało przyznanie się Mściwoja, litość brała patrzeć na Mściwojowe łzy. Pochylił się Niebora, podjął mocą wijącego się ze serdecznego bólu człowieka, objął ramieniem jego głowę i rzekł cicho:

— Jesteś mym dłużnikiem!

— Tak jest.

— Co mam czynić, ojcze mój?

— Dług ten spłać matce... ojczystej ziemi...

* * *

— Pójdziesz więc ze mną? — zapytał się Mściwoj Sobiety.

— Nawet w kraj świata pójdę. Wszak idziem bić wroga...

— Pomścić się...

— Zemsta się pali w każdej kropli krwi! — zawołał Sobieta. Pójdę, żonę młodą porzucę...

— Mówiłeś z rycerstwem?

— Stu ludzi na wezwanie stanęło. Nie pytali dokąd i czego od nich żądam...

— Co to za ludzie?

— Załoga starogrodzka, która zbrojnie na wiec do Radegastu przybyła.

— Wypróbowani rycerze, serdeczni druhowie.

— Wierni ci zawsze byli, dziś ich serce po raz drugi nieszczęściem twym zdobyłeś.

— Dziś ruszamy!

— Mam twój rozkaz powtórzyć?

— Jedziemy na noc!

* * *

Wojna! oto głos i hasło, które leci przez hawelańską ziemię, rozbrzmiewa od Czech aż po północne morze. Od wsi do wsi, od domu do domu miecz posyłają, na znak, że czas zrzucić jarzmo; wieść o klęsce, niemocy cesarza, tajona długo, ukrywana rozmyślnie, po grodach słowiańskich leci, otuchy dodając, w sercach nadzieje budząc, zwycięstwo obiecując. Zrzucił niewolnik jarzmo, sprzedani na targach miast połabskich ludzie, którymi Niemiec ziemię orał, uciekli w lasy do powstańczych szeregów.

Wieść płynie od wsi do wsi, szeptem niewolnicy o wybuchu świętej wojny mówią, przedarł się bunt za Łabę, gdzie spędzone jak bydło chłopstwo, w jarzmo niemieckiego osadnika zaprzągnięto. Przyszedł gęślarz siwy, obdartym nędzarzom cuda opowiada.

Zmówili się, wymordowali swych katów, podpalili ich zagrodę, ogromna kolumna ognia oświeca niewolnikom drogę do macierzy... do wolności...

Tam za Łabą wszystko, co tylko broń nosić zdolne, pospiesza w szeregi powstańcze. Starcy, którym Gero oczy wyłupić kazał, ojcowie, którym Henryk Ptasznik dzieci pomordował, do pomsty młodzież nawołują, do walki o wolność wzywają. Niemasz wsi, miasta, grodna, gdzieby nie żyło wspomnienie doznanych krzywd, niemasz sioła, na któremby nie zaciężyła zbrodnicza ręka Wichmana, Dodila, Dietricha, Bernarda i innych rzymskich oprawców.

Do dziś dnia czernieją nieodbudowane chaty, nie zarosły zielenią mogiły...

Od wsi do wsi kapłan Zdzieszko z gęślą leci, wołając o pomstę, pieśń wolności i zwycięstwa śpiewając.

Jako pożar w chacie kmiecej wybuchnie, strzechę zajmie, płomieniami chmury liże, ogniste wiechcie na drugi koniec wsi rzucając, pożar niecąc, aż całe sioło w ogniu stanie, w morze płomieni się zamieni, jako oset, którego nasienne puchy jesienny wiatr w daleki kraj niesie, dziesięć i dwadzieścia mil od macierzystej rośliny sieje się i wschodzi, tak hasło powstania, ogłoszone na sejmie w Radegaście, w daleki kraj leci, pożogą wybucha, w czyn się zmienia. Wschodzi nasienie krwi. Od Łaby po Odrę, od Wełtawy po morze, w jeden pożar wojny kraje Hawelan, Łużyczan i Obotrytów się zmieniły.

Na czele zbrojnych wojsk stają Niebora i Kiza, do powstania przystąpił książę Mściwoj, nieszczęśliwy, zdradzony, chory...

* * *

Coraz częściej traci obłąkaniec rozum, straszy ludzi szalonym wzrokiem i szalonemi czyny, aby znów się obudzić, przyjść do świadomości i jak burza lecieć na nieprzyjacielskie szeregi, utopić swe szaleństwo we wrogiej krwi!...

* * *

Uderzył Niebora na Hawelberg, wziął szturmem twierdzę, wyciął w pień całą załogę. Runęło chłopstwo na pałac biskupi, zburzono domy, wymordowano knechtów, którzy w kościele się modlili, ucieczki i ratunku u świętych ołtarzy szukając. Kościół zrównano z ziemią, w ruinie miasta założono obozowisko, oddziały powstańcze nad Hawelę Niebora zwołuje, wielką wyprawę na Branibor gotując.

* * *

Margraf Dietrich głowę stracił. Codzień i codzień przychodzą do Braniboru gońce, okropne, hiobowe wieści znosząc, o ogólnym powstaniu opowiadając. Codzień przylatuje nowina, że Niebora wojska morduje, że gród za grodem przez pogan zdobyty, że pierzchają pułki przed szalonym Mściwojem, uciekają przed nim knechty, jako przed wezbraną rzeką człowiek ucieka, nie marząc o sprostaniu strasznemu żywiołowi.

Aby ten pożar stłumić trzeba morza wody... resztka cesarskich żołnierzy nie stłumi dziesiątek tysięcy...

Wysłał margraf posłów do Kolonji i Akwizgranu, do cesarza, do Włoch umyślni posłańce spieszą, o pomoc wołają o litość żebrzą...

Strach przed wrogiem serce Dietricha trwogą napawa: zgryzota, nieszczęście i hańba, jaka spadła na dom, do rozpaczy go doprowadza. Nitki srebrne ukazały się we włosach, zmarszczkami pokryło się czoło.

Dzień niepewny, w nocy może czerń na Branibor uderzy.. gardło w sznur szubieniczny wplotą...

Gorszy od śmierci — strach przed jutrem, przed życiem... I ma margraf takie straszne chwile, że wolałby aby Niebora na Branibor uderzył, wszystko w pień wyciął, jemu zabrał życie, życie, które jest jedną wielką zgryzotą, jednym wielkim ciężarem.

Wróg jednak nie nadchodzi. Spokój koło Braniboru. Pospólstwo licho zbrojne, niekarne, Branibor twierdza nie do zdobycia: wie o tem Niebora, wie, że jest jeszcze za słaby, aby na stolicę marchji uderzyć.

* * *

Od kilku dni Kunigunda nie może zasnąć w wygodnym dębowym krześle, choć pije wina rozgrzewające starą krew; nietylko we dnie, ale i w nocy bezsenność ją trapi nieznośna. Zgryzota, jak zmora, siadła na pierś okropnym ciężarem, zdaje się wołać na nią: „Chodź już, chodź, dosyć się nażyłaś... lepiej ci nie patrzeć na to, co się na świecie dzieje".

Pije Kunigunda czarę wina jedną i drugą, nie senność po trunkach, ale przytomność przychodzi, ta przytomność straszna mówi do niej: „Tam w grobie ciemno, tam duszno będzie w trumnie".

— Czuć nie będę, widzieć nic nie będę...

Wie o tem Kunigunda, że ona czuć, ani widzieć nie będzie, wie o tem napewno, a przecież wstaje jakaś myśl i powiada:

— Będziesz czuć... Będziesz wiedzieć, że nad tobą straszna warstwa ziemi. Będziesz czuć własną zgniliznę. Straszno będzie w zaduchu trumny.

Zrywa się wtedy dusza kobiety, jakby gdzieś lecieć chciała, uciec od śmierci, która idzie nieubłagana. Leci ta myśl o śmierci... Jest ona jako barwny motyl, którego wywołała z poczwarki ułuda ciepła marcowego słonka: leci w świat, wiatr chłodny nim rzuca, kwiatu owad szuka, jak dusza ludzka rozwiązania zagadki szuka. Leci motyl przez roztajałą grudę, zeschłe trawy i nagie badyle jeno na świecie; marnieje zmęczona dusza i motyl marnie ginie. Kwiatu niema i końca trudu spracowana myśl nie ma. I nigdy mieć nie będzie.

Bo marcowe słońce na żart świadomość dało... na żart motyla do bytu zwabiło...

Nieszczęście nigdy samo nie przychodzi; nic dziwnego, że strach przed śmiercią codzień nasuwający się na oczy, przyszedł wraz ze zgryzotą, jaką jej sprawiła Adelajda.

Ze zgrozą okropną patrzy na ukochaną dawniej synowicę, łzy jej, nie litość, lecz złość w sędziwej niewieście budzą. Nie może patrzeć na dziewoję, ucieka od niej, codzień, czasem kilka razy na dzień ucieka do Dietricha i pyta się:

— Nie wrócił Wilhelm?

Dietrich patrzy na Kunigundę, żal mu jej starości, nie chce prawdy wyznać, boi się jej zgryzoty, boi się jej łez... Może

zachorzeć... Spuścił głowę margraf ku ziemi i odpowiada Kunigundzie:

— Nie wrócił jeszcze...

— Ale on wróci?

— Wróci. Wróci.

— Niechże przybywa, niechże będzie ślub. Kiedy on przybędzie?

— Nie wiem, Kunigundo.

— Dowiedz się. Gdyby moja matka patrzała na to, co się dzieje w naszej rodzinie...

Dietrich zmaszczył czoło, zacisnął pięść, która kurczem żylastych ścięgień pozieleniała...

— Matka twoja nie żyje i nie wie, co się stało w naszej rodzinie—rzekł Dietrich ze złością.

— Chwała Bogu!

— I nigdy wiedzieć nie będzie.

— Gdyby wiedział brat mój, opat i arcybiskup Trewiru...

— Dość tego!

— Nasza rodzina... ty wiesz... Siostra mej babki przeorysza, która w panieństwie 60 lat przeżyła.

— Wiem, wiem.

— Święta to była osoba.

— W istocie...

— A Adelajda...

— Napij się siostro wina. Tak, a teraz idź. Idź już, idź... prześpij się.

— Zasnąć nie mogę.

— Staraj się, zamknij powieki.

— A Wilhelm wróci?

— Wróci, wróci...

— Niechże wraca. Niechże będzie ślub. Niech zatrze okropną pamięć, zmyje hańbę rodu... Kamień do wody wpadnie... Zatoczą się kręgi fali, pohuśta się kołami woda, ścichnie... śladu nie zostanie...

— Po ślubie, cześć jako ta fala...

Zapewnienia Dietricha nie uspokoiły przezacnej matrony. Ona wierzy w to, że Wilhelm wróci, a jednak nachodzi ją myśl... Na widok Adelajdy złość starowinę porywa...

— Nie płacz, bo aż wre we mnie, gdy się spojrzę na twe łzy...

Tydzień za tygodniem mija, Wilhelma nie widać, niepokój rośnie, Kunigunda ani miejsca, ani rady dać sobie nie może. — Do Adelajdy, która płacze i płacze, zbliżyła się stryjna i rzecze:

— Ty mi powiedz prawdę!

— Jaką? O co mię pytasz?

— Ty musisz wiedzieć. Ty jedna wiesz napewno. On ci musiał mówić...

— Kto?

— Wilhelm. On musiał ci mówić, kiedy będzie wasz ślub?! Mów!...

Adelajda nie odrzekła nic. Spazmatycznym płaczem wybuchła, ukryła twarz w dłonie, bogate włosy spadły na czoło puklami...

— Ślub, mój ślub!

Zanosi się od płaczu dziewczyna, ślady łez świecą się na stole, na którym złożyła głowę, ręce wilgotne od serdecznych łez...

— Mów, kiedy wasz ślub...

Zerwała się krasawica, przypadła do Kunigundy, złożyła głowę na jej piersiach, mówi jakieś wyrazy, których przez łkanie nie rozumieć...

— Mów wyraźnie... Nie płacz! Czego chcesz?

— Powiedz mi stryjno, czy przyjedzie?

— Co takiego?

— O niego chciałam się pytać...

— O Wilhelma?!

— Nie, nie.

— O cóż więc?

— Powiedz mi stryjno, czy przyjedzie...

— Kto?

— Mściwoj...

— Mściwoj?! Poco?!!!

Dziewczyna wybuchła płaczem.

— On jeden mnie prawdziwie kochał.

Odtrąciła Kunigunda dziewkę jak psa. Wzburzenie dało taką siłę ręce, że Adelajda zatoczyła się i na ławę upadła. Leci starowina do izby Dietricha jak szalona i woła:

— Ukrywacie przede mną...

— Co?

— Prawdę ukrywacie.

— Idź, siostro, idź. Odpocznij.

— Słuchaj! Powiedz mi, kiedy przyjedzie Wilhelm...

— Ja nie wiem.

— Mów mi zaraz, kiedy będzie ich ślub...

— Daj mi spokój — żachnął się niecierpliwie Dietrich, którego serce rozpacz targała i żal.

Dziwnie popatrzyła Kunigunda na margrafa, z podełba jakoś, podejrzliwie i nienawistnie.

— Okłamuje mnie. Zakrywa przede mną straszną tajemnicę. On...

Sfałdowało się pomarszczone wiekiem czoło, skurczyły się ścięgna twarzy, oblicze matrony ma kształt i barwę trupiej głowy. Czaszka się rysuje... Wyszeptała do siebie, słowo za słowem dobitnie wymawiając:

— Ja wiedzieć muszę...

Wraca do babieńca krokiem gorączkowym, wspierając się na murze, żeby nie upaść, zimnica dreszczami po żyłach od stóp jej do głowy przebiega. Dziewki w sieni rozmawiają z pachołkami, słucha...

— Wesele będzie...

— Rycerstwo z całych Niemiec na ślub do Merseburga przyjedzie.

— Mówią, że brzydka panna.

— Tak, tak. Ale krewna cesarza ma dobra ogromne, posag wielki.

— Złoto zakryje szkaradę jej twarzy...

— Wilhelm przecież kochał się w naszej pięknej Adelajdzie.

— Za miesiąc jego ślub z inną.

Kunigunda stała przy ścianie. Stała tak cicho, jak rzeźby wykute z kamienia w Quedlinburskim kościele. Słyszy ich rozmowę, zdaje się jej, że szaleje...

— Hej! Hola! Chodźcie no tu do mnie.

— Kogo wołasz, dostojna pani?!

— Wszystkich! Wszystkich!

Otoczyła Kunigundę niewolna służba.

— Kto to mówił o ślubie Wilhelma?

— On sam.

— Komu mówił?

— Mnie—rzekł pachołek.

— Tobie?! Jakto?

— Gdy odjeżdżał z Braniboru rzekł do mnie: Ożenię się w Merseburgu i ciebie, wierny pachołku, do służby wezmę.

Kunigunda odeszła. Niby do babieńca idzie, wnet swe kroki ku bramie na podwórzec zwróciła, to znowu chce wracać do Dietricha, sama nie wie gdzie iść, dokąd kroki zwrócić. Wreszcie stanęła we wierzejach, prowadzących na pole.

— Chodź do mnie pachołku! — zawołała.

— Na usługi twe jestem, dostojna pani.

— Wiedźże mnie, pomóż mi, nogi na starość odmawiają posłuszeństwa.

— Dokąd idziemy?

— Dowiesz się zaraz. Podaj mi laskę...

Pachołek przyniósł jej kij, na którym wsparła prawą rękę, lewe ramię pachołkowi podając.

— Daleko idziemy, za most zwodzony, w pole.

Przeszli obok chałup żołnierskich, minęli ścierniska żytnie, przyszli na brzeg lasu.

— Prowadź mnie, abym nie upadła.

— Dokąd cię mam, pani, zaprowadzić?

— Nad brzeg parji.

— Już niedaleko. Jeszcze jedno staje.

— Tak jest. Znam ten las oddawna. Czekaj tu na rozłogu...

— Jakto? Tam szatan mieszka. Sama pani tam pójdziesz?

— Sama. Zostań.

— Nie, nie. Ja cię nie opuszczę pani. Możesz potknąć się, możesz w rząsce wpaść do bagna. Możesz spotkać żołnierza Hawelan, którzy krew naszą leją...

— Zostań. Ja tak chcę. Ja każę.

— W oczach twych iskry nieszczęścia...

— Zostań.

— Wola twoja niech się stanie.

Kunigunda zeszła w jar, wnet zakrył ją gąszcz olszyn. — W istocie zna widać drogę. Na dnie przepaści rokitnice zarosłe skrzypami, z rdzawych wód wąwozu wypływa ponik. Promienie słońca tu snać nie dochodzą, wyłowiło je świdno, które zielonym sklepem modre niebo zakryło. Choć dzień, ciemno tu jak w piwnicy, paprocie jeno, porosty i marne rosną rokiety.

Lecą oczy Kunigundy po wiechach sitnika i wybojach. Znalazła snać czego szukała, przeszła przez powalone próchniejące drzewo i do zielonych pędów wroniego oka leci.

Na wątłej, smukłej szypułce cztery szablowate listki na krzyż rosną, na osadzie z liści błyszczy duża czarna perła. Skrzy się jak oko szatana, śmiercią, zarazą patrzy na ten świat...

Zerwała Kunigunda kilka pereł, ukryła w zanadrzu; opuściła jar, do góry się drapie, korzeni i gałęzi się czepia, ciężko płucami pracuje, chcąc się wydostać na górę. Wyszła wreszcie na brzeg parji, minęła gęste graby, przyszła na łąkę leśną. Słonko tu jasne, koniki polne grają, przekwita lato; obok barwnych kwiatów widać zeschłe chabiny wiosennych traw, widać strączki wyk, suche i na ziemię rozsypujące się nasiona.

Brodzi łąką dostojna matrona, ziół szuka, znalazła je... garść ziarnek szalenia ze zeschłych łodyg nazbierała, ziarnka maleńkie, kształtu, który ogrodnik w zamku braniborskim sieje.

— Rajnholdzie! Rajnholdzie! — zawołała głośno.

Przez grabinę głos jej odpowiada:

— Idę.

— Zaprowadź mnie do domu.

— Z podziwu wyjść nie mogę, dostojna pani...

— Czemu się dziwisz?

— Co cię tu, księżno, w ten przeklęty jar wiodło. Szatan tam ślepiem wronich ócz w niebo patrzy.

— Leków na ziemnicę szukałam.

— Czy tak? Czemuż nie pozwoliłaś, żebym cię zaprowadził.

— Z szatanem, który mi lekarstwo dał, musiałam się rozmówić.

— Ty pani?! Z szatanem?!

— Tak.

— W imię Ojca i Syna...

. . . . . .

Wywarzyła Kunigunda szaleń, do mętnej cieczy wcisnęła sok z czarnych jagód wroniego oka, do czary dała dwie warzechy przaśnego miodu, pilnie słodką patokę z ohydnym trunkiem mieszając...

Przyszła do Adelajdy z matczynym uśmiechem na ustach.

— Zawiniłam wobec ciebie, córuchno moja...

— Odepchnęłaś mnie!

— Przebacz mi. Czuję serdeczny żal.

— Moja stryjno droga.

— Pij, moja córko kochana, pij — rzekła, podając jej pełny kubek.

— Co to jest?

— Lekarstwo na twoją bezsenność. Wiem, że dwie noce nie spałaś, żal mi cię szczerze. Kocham cię, jak rodzone dziecko.

— Gorzkie...

— Nie, nie. Słodycz, kwiat lipowy.

— Pomoże mi?

— Tak jest. Wypij do dna...

Kunigunda miała poczciwość w twarzy, ręka jej tylko trochę drgała, ręka, którą podawała krasawicy jad... Wzięła czarę Adelajda, wypiła połowę...

— Ohydne! Miód, a jednak...

— Do dna! Wyzdrowiejesz. Zaśniesz. Zatamuje łzy. Zapomnisz...

— Kazałaś stryjno...

— Tak. Popłucz winem. Popłucz i wypij. Tak. Lekarstwo i wino przyniesie sen.

Wzięła matrona z rąk Adelajdy pustą czarę i poszła ku dębowemu krzesłu. Usiadła w niem, skrzyżowała na piersi ręce i na Adelajdę patrzy.

— Lepiej ci?

— Jeszcze nie.

— Bądź spokojna. Dziś zaśniesz.

. . . . . .

Była długa chwila ciszy.

Potem Adelajda przetarła ręką oczy, wstała i zaczęła się zbliżać do dębowego krzesła. Patrzała na Kunigundę otwartemi oczami, szła chwiejnie... rozszerzone źrenice, straszne... Tęczówek wcale nie widać, czarna źrenica pożarła tęczówkę, okropne, straszliwe źrenice, jako dwa czarne węgle błyszczą...

— Co ci jest?

— Nic, stryjno...

— Siądź, siedź spokojnie.

— Nie wiem sama czemu wstałam...

Zerwała się Kunigunda, wzięła za rękę Adelajdę i zaprowadziła do dębowego stołu.

— Siadaj.

Minęła chwila... chwila ciszy.

— Stryjno! — krzyknęła Adelajda.

— Czego chcesz?

— Ja... ja świata nie widzę!! Ja ciebie nie widzę!! Oczy mam ślepe!! Ja nic nie widzę. Mgły! Mgły! Skry latają przede mną, o!!!

— Siadaj. To minie.

— Stryjno!!

— Co się dzieje?

— Ja... szaleję! Ja pijana jestem. Ja postradałam zmysły.

— Bądź spokojna.

— Stryjno!! Stryjno!! — zawołała okropnym głosem kochanka Wilhelma.

— Nie krzycz!

— Boli! okropnie boli!

— Jakto?

— W piersiach pali... We wnętrznościach płomienie!! Żar piekła we mnie!! O! O!

Kunigunda zerwała się i jęła zamykać wierzeje. Oboje drzwi przymknęła, zasunęła wrzeciądze, założyła kołkiem żelazne zasuwy.

— Nie wejdzie nikt...

Przystąpiła do Adelajdy, ujęła jej ramię...

— Lepiej ci?

Adelajda nie odpowiedziała nic. Jakby na chwilę głos jej zamarł... Wstała, usta chwytają powietrze, wnet upadła w straszliwych boleściach na ziemię, okropnie krzyczy, strasznym głosem i bełkotem o pomoc woła. Wiła się w bólu, który szarpał jej wnętrzności, na usta wyszła piana, konwulsje rzucają nią po ziemi.

We drzwiach zahuczał stuk, ktoś coraz silniej do drzwi się dobija. Przyskoczyła Kunigunda do wierzei...

— Kto tam?

— Ja! Dietrich!

— Czego chcesz?

— Głos o ratunek słyszę...

— Bądź spokojny, ja tu jestem.

— Otwórz jednak...

— Nie, nie otworzę...

— Czemu?

— Idź stąd...

— Musisz otworzyć, tam się coś strasznego dzieje...

— Odejdź!

— Puszczaj, bo drzwi wywalę!

Kunigunda odsunęła wrzeciądze i zasłaniając sobą stanęła we drzwiach.

— Słyszę przeraźliwy głos Adelajdy. Co się z nią dzieje?

Uśmiechnęła się Kunigunda dobrodusznie...

— Tys tu zbyteczny. Ciebie tu nie trzeba. Oddal stąd ludzi.

— Jakto?

— Nie wiesz? Nie domyślasz się?

— Czego mam się domyślać?...

— No... Adelajda... wiesz... czas nadszedł...

— Zatem...

— Zwyczajna rzecz... Skutki...

Dietrich wyrzucił z ust przekleństwo straszne...

— Precz z pomocą i świadkami. Słuchaj, oddal ciekawych od drzwi. Pilnuj, aby nikt nic nie słyszał... Ukryje się... Ty wiesz! Hańba... Jako fala wody...

— Uczynię to — rzekł Dietrich, oddalając się, odpędzając ludzi od obydwojga drzwi.

* * *

Kunigunda zasunęła na nowo wrzeciądze.

Ucichły rozpaczliwe Adelajdy krzyki, jęczy tylko i kwili straszliwie. Oczy w słup, na wargach ślina, na sinej twarzy rdzawe plamy wyglądają tak, jakby zaszły krwią. Kurczą się ręce i prężą, nogi konwulsją wierzgnęły, wykrzywiła się okropnie twarz, oddech jeszcze słychać, cichnie wreszcie wszystko...

Kunigunda nad ciałem stoi, trzęsie się jej głowa... głos ochrypły... taki głos drewniany... usta mówią...

— Ściskał cię... ten... Wilhelm... Objęła cię śmierć... ścisnęła cię czule...

Patrzy matrona na męki konania.

— Moja matka... — szepce — mój brat... arcybiskup Trewiru...

* * *

Adelajda umarła. Sina była ohydną śmiercią...

* * *

Motyl zrodzony w słońcu marcowem leci... leci... kwiatu niema... nigdzie niema...

Kunigunda schyliła się i z pod łoża dobyła powroza. Na środku izby wisiał kuty z żelaza świecznik, w którym płonęły kagańce. Zarzuciła sznur na żelazne świecznika ramię, spróbowała jego mocy...

— Wytrzyma...

Zrobiła pętlicę... przystawiła stołek...

— Boje się... Tam ciemno w grobie. Brak powietrza w trumnie... brak tchu...

Poszła do łagwi z winem...

Nalała kielich, myśli o trumnie.

— Stęchlizna... Zgnilizna... Ciemno...

Wychyliła czarkę jedną, drugą i trzecią. W oczach zabłysnął ogień, w żyłach ciepło jakieś... grzeje... Napiła się znowu.... Czarka piąta...

Jakby młodość w starowinę wstąpiła...

— Ciepło motylowi w słonku...

Kunigunda weszła na krzesło... Zarzuciła pętlicę na szyję, kopnęła nogą stołek, który padł na sinego trupa Adelajdy... Ciało jej szarpie się, ręce ślepe ruchy ku górze czynią, aby ulżyć szyi... Ciało zahuśtało się, drgnęło, na twarzy ohydna gra śmierci... ścięgna się kurczą, jakby się ta okropna twarz śmiała, ta obrzydliwa trupia głowa chychoce się...

. . . . . .

Ciało już sine, jeno jak liść osiczyny, drżą nogi.

* * *

Gdy Dietrich siekierami wywalił drzwi, znalazł w babieńcu dwa trupy...

* * *

Mściwoj pod Braniborem dostał języka, wywiedział się od złapanego niemieckiego pachołka, gdzie jest Wilhelm, jaki cel i kierunek jego drogi.

— Jedzie do Włoch, do cesarza. W Merseburgu czeka nań narzeczona, tu da im biskup ślub, poczem oboje wyjadą do Kolonji, gdzie w dziedzicznym zamku małżonkę zostawi i pojedzie przez Alpy do cesarza.

— Gdzie on jest dziś?

— W Merseburgu, panie. Za kilka dni odbędzie się jego wesele.

Przeprawił się Mściwoj przez Hawelę i Łabę, zręcznie omija niemieckie grodna i załogi, z hawelańskimi wojami w głąb posiadłości cesarza jedzie, nocami pułk jego przez lasy się przedziera.

— Na śmierć idziem.

— Gdy złapią, na palach nas wytracą.

— Okropną śmiercią pomrzemy.

— A wam nie jedno, gdzie zginiem, czy tu, czy na lutyckiej ziemi?

— Prawda.

— I tu i tam rzymskie wojsko bijem.

— Dobrześ powiedział.

Po dwóch dniach ukazało się rycerstwu miasto, z kamiennemi kościołami, z wielkim zamkiem i białemi domami.

— Merseburg!

— Jedna ze stolic cesarza.

— Skryć się w lasy.

— W puszczy czekać będziem.

— Ja w miasto pójdę—rzekł Mściwoj.

— Nie opuszczę cię panie — zawołał Sobieta.

W czarnym borze sto koni ukryto, na ulicę miasta weszli dwaj mężе w liche ubrani stroje. Wstąpili do gospody, gdzie pachołkowie miód piją, gdzie mieszczanie merseburscy przy konwi piwa o sprawach państwa i nowinach miejskich rozprawiają. Przystąpił do nich Mściwoj, kazał gospodarzowi podać nowy dzban trunku i siadł wśród gwarzącej żywo gromady.

— Coś waćpan za jeden — pyta Mściwoja płatnierz miejski.

— Z Kolonji do Starogardu wędruję — rzekł po niemiecku Mściwoj.

— Merseburg nie leży na twej drodze.

— Umyślnie zboczyłem, słysząc, że tu odbędzie się ślub krewnej cesarza.

— Za trzy dni związek ich biskup w bazylice pobłogosławi.

— Mnóstwo rycerstwa się zjechało.

— Państwo młodzi już od wczoraj obchodzą kościoły i kaplice. Jutro rano idą do pustelnika, aby im na drogę życia pobłogosławił.

— Gdzież żyje ten pustelnik?

— Idź w lasy korytem Solawy, potem skręć na drożynę, która do słowiańskiego Lipska przez bór wiedzie. W samej puszczy mieszka święty człowiek...

— Pójdę i ja do niego.

— Masz intencję?

— Pragnę, żeby mi odpuścił moje grzechy.

— Piwo wietrzeje.

— Za wasze zdrowie tę czarę wychylam! — zawołał Mściwoj.

Wnet opuścił gospodę i miasto. Do pobliskiego lasu ze Sobietą spieszy. Idzie wąwozem, w którym kłokot szumi, drapie się na wzgórze, gdzie wysokie dęby rosną. Stanął, włożył do ust dwa palce w kabłąk zgięte i świsnął przeraźliwie. Z podszytego lasu, parji, gąszczy olszowych i zarośli, kilkudziesięciu ludzi leci, w kilka mgnień oka otoczyło Mściwoja zbrojnych żołnierzy koło.

— Pustelnię na drodze do Lipska obsadzimy!

* * *

Kręta drożyna przez bór wiedzie, przez straszny ponury las do pustelni iść trzeba. Pełno jaskiń, parji, wybojów. Dawniej mieszkali tu zbójcy, okolice pustosząc, mienie ludzkie rabując, aż do Lipska, aż do Drażdżan*) się zapuszczając. Wyłapał opryszków, zbójców i morderców Henryk i wysłał ich do hawelańskiej ziemi**), aby barbarzyńskiej Słowiańszczyźnie zanieśli kulturę,

*) Po niemiecku: Dresden (przyp. autora).

**) Thiethmar (przyp. autora).

światło moralności i cnoty. Tam, gdzie krew ludzka się lała, gdzie mieszkała bezbożność i zbrodnia, osiadł święty pustelnik, modląc się za grzesznych ludzi, zasługami i umartwieniami winy ludzkie mażąc. W obdartej szacie, zimą i latem boso, napół nago chodzi, korzonkami się żywi, w zimnej i wilgotnej mieszka jaskini.

Pustelnia zawsze jak grób cicha, dziś zaroiła się strojnym, różnobarwnym tłumem. Nad krętym szlakiem potoku tłum jasnych panów idzie do świętego uroczyska, dolatują echa ludzkiego gwaru, rycerze dworską mową dostojne panie zabawiają.

— Patrzy w oczy swej królowej, chwili bez niej żyć nie może.

— Cnota serce Wilhelma podbiła.

— Szkoda zaprawdę, że tylko cnota.

— Wy mężowie przebaczycie nawet niecnotę, jeśli ją pokryła uroda i piękne lico.

— Brzydkie lico jest jako ikon*) szpetny. Znośnym on będzie, jeśli go klejnot i złota oprawa pokryje.

— Złośliwym jesteś rycerzu. Nietylko cnota i złoto, lecz jasność majestatu narzeczoną Wilhelma stroi.

— Krewna cesarza Ottona.

— W istocie. Wielkie jest familijne podobieństwo. Dziewoja jak Otton krótka**), jak Otton czerwona.

— Co to? Szczęk broni w lesie słyszę...

— Wydaje ci się, hrabio. W tem mateczniku żywej duszy niemasz.

— Chrzęst miecza wyraźny.

— Głuszec zerwał się ze sosny i stare gałązki łamie, zeschłe iglice sypią się z drzewa.

— Chór ptasząt młodej parze śpiewa pieśni.

— Narzeczona Wilhelma o świecie nie wie, zakochana w pięknym rycerzu.

— Ciszej, słyszą nas...

— Oto pustelnik przed nami.

Przed jaskinią pustelnika tłum ludzi się modli. Wilhelm ze swą ukochaną klęczy u stóp krzyża, przybitego na dębie

---

*) Ikon — obraz.

**) In parvo corpore maxima virtus. Can. Vit. S. Adalb. (przypisek autora).

u wejścia do eremu. Przy krzyżu wychudły kapłan do serc nowożeńców przemawia, na obowiązki wiary wskazuje, do bogobojnego wychowania dziatek, które się zrodzą, wzywa...

* * *

Szatański świst przerwał pobożne pustelnika słowa. Zawyło w puszczy sto głosów, sto zbrojnych chłopów do pustelni wpada. Napełnił się jar żołnierstwem...

— Zbójcy!!

— Napad!!

— Do broni!!

Kobiety w ogromnym popłochu do jaskini pustelnika wpadły, mężowie ujęli miecze, rzucili się na napastników, aby wstrzymać nawałę, kilku rycerzy w obronie kobiet otrzymało rany.

Chciał użyć broni i Wilhelm. Ale dwóch ludzi, jak dwóch orłów na liszkę, na Wilhelma spadło, za ręce go chwycili, postronkami ramiona krępują. Patrzy osłupiały lutnista za pomocą i obroną, drużbowie jego poszli w rozsypkę, ratunku dla niego niemasz, stoi nam nim śmiejący się szalonym rychotaniem Mściwoj wołając:

— Hej głodomorze! A którędy droga do Lipska prowadzi?

Wskazał drogę pobożny kapłan zamarłym ze strachu głosem, wsiadł Sobieta na koń i cwałem pognał za Mściwojem.

Lecą jarem, drożyną leśną na gościniec lipski; w pierwszym lesie skierowali się na prawo, bartnika w puszczy o drogę do Ćwikowa pytają, umyślnie fałszywie cel podróży swej podają, aby pościg zmylić, aby pogoń na złą drogę wprowadzić. Długo błąkają się po różnych gościńcach, wreszcie zaprzestali błędnych dróg i na północ do Braniboru lecą.

A w Merseburgu popłoch straszny, wieść o rozboju po mieście, po okolicznych grodnach się rozeszła; niewiasty, którym mężów pobito, lament czyniły, o pomstę do Boga, do ludzi wołając. Oddział zbrojny w lasy leci, na ślady najeźdźców wpada.

— Do Lipska pojechali!—woła pustelnik.

Leci pogoń gościńcem lipskim.

— Czy przeszła tędy banda zbójów?

— Do Drażdżan pognali.

Kilka mil cwałem gonią, stratowane łąki i podściółki leśne drogę im wskazują, w puszczy na rozstajnych drogach jest lepianka bartnika...

— Zbójców widziałeś?

— Do Ćwikowa wojsko przeleciało.

Znowu daleka droga, ślady watahy widać jeszcze, wnet ślady zginęły, a oddział bez tchu do Ćwikowa goni.

— Był tu oddział zbrojnych?

— Nikt ich na oczy nie widział.

Zrozumiał przebiegły pułkownik, że Sobieta fałszywy bieg drogi podał, lisie podstępy poznaje i na północ ku Łabie za zuchwałym zbójcą bieży.

* * *

Uciekającemu Mściwojowi zastąpiły drogę oddziały wojsk, które ze Serbiszcz i Kozielic do Kamieńca dążyły. Kilkudziesięciu knechtów na południe się posuwa, w tuman pyłu się wpatruje, wojsko z przeciwka jadące poznać się stara.

— Co to za ludzie?

— Nie nasi to zaiste. Słowiański zastęp.

— Skądby się Hawelanie tu wzięli?

— Lecą z wichrem.

— Na bandę rozbójników ten podjazd wygląda.

. . . . . .

Nie chce się Mściwoj wdawać w pytania, wie, że nie czas ani sposobność do tłumaczenia się, co on zacz, czego tu chce. Jest pewnym, że ujmą się za Wilhelmem, którego usta już rozwiązane, krwawią się i pienią, jest pewnym, że nie pozostało nic innego, tylko wstępny bój.

Rzekł do Sobiety:

— Idź na nich; ja z moim skarbem tu zostanę.

Sobieta sformował wnet jazdę, zadudniała ziemia od kopyt końskich, jak burza chłopstwo obotryckie na knechtów wpadło. Zgrzyt oręża, rumor, jakoby budowa jakaś ogromna się zawaliła, okropny wrzask ludzki rozdarł powietrze, ranni ludzie na ziemię z koni lecą...

Wilhelm wiszący na sznurach między dwoma końmi, usłyszał wrzawę bitwy, oczy jego mimowoli w stronę, z której zgiełk dolatywał spojrzały.

— Patrz! patrz! — zaśmiał się Mściwoj — oddział w puch rozbity!

— Ulituj się!

— Na wesele przecie cię wiozę. Będziesz mieć weselne gody...

— Co chcesz czynić?!—jęczy więzień.

— Do twej Adelajdy cię zaniosę...

Ścichła wnet walka. Część knechtów leży na ziemi, niedobitki uciekają na wszystkie strony, jeźdźcy hawelańscy rozpierzchli się, goniąc ich po polach. Zagrał Sobieta na rogu, zaprzestano pościgu, zgromadziła się koło Mściwoja drużyna.

— Nie tracić nam czasu—zawołał Mściwoj.

— Czy widziałeś książę! Część ich ku puszczy dobrzychowskiej poleciała.

— Spotkają i połączą się z pogonią. Drogę za nami wskażą.

— Wsie i grodna Niemców pełne, zginiemy...

— Otoczą nas...

— Uciekać nam! Uciekać!

— Zawadą jest nam w drodze ten łotr.

— O Wilhelmie mówisz? Pozbyć się go nie mogę.

— Czemu nie? Powieś go na wierzbie, lub każ końmi rozszarpać.

Zaśmiał się dziko Mściwoj.

— Nie. Nie. W Braniborze na oczach jej... zginąć haniebnie musi. Ona będzie patrzeć na jego śmierć...

— Szalejesz Mściwoju. Przez twój upór zginiemy. Nie dopniesz swego, a wlokąc zawalidrogę w ręce pościgu się dostaniem.

— Konie padają — zawołał setnik. Ludziom brak już tchu...

— Trzy nieprzespane noce...

— Chwilę jeszcze, chwilę!

. . . . . .

Nad rankiem wjechało wojsko w puszczę nieprzebytą. Wprowadzono konie w matecznik podszytego lasu, spętano je, puszczono konie na paszę, zeznojony żołnierz padł jak martwy na ziemię i głęboko zasnął.

Nie zasnął, zasnąć nie mógł jeden Mściwoj. Straszna choroba znowu wraca, błędne jego oczy, straszny śmiech przymarł

do twarzy, szaleństwo zmysły zaciemnia, jak nieprzytomny błąka się po puszczy obotrycki książę. Chwilami bawi się zieloną gałązką grabu, siada nad źródłem i kłokotu jego słucha, patrzy na bieg wody, która płynie w parowie. Potem znowu idzie na oślep, idzie...

Stanął, oczami łzawemi patrzy.

Potok przez dolinę płynął, wikliny się srebrzą nad ruczajem, łąka za grabami pełna kwiecia, w głębi ściana lasu i kępy brzóz białych. Jakby to samo miejsce, gdzie się po łowach widział z Adelajdą... tosamo, tesame żółte lilje rosnące na zielonem rżysku, tesame jaskrawe grona kalin, gdzie widział... Bognę. Adelajda i Bogna.... szczęście i nieszczęście, to śmiech i rozkosz, to strach i groza błąka się na ustach...

Przypomina sobie szalony Mściwoj piosenkę, którą śpiewała na tej polanie... Adelajda, tak, to ona i śpiewała, wszak ona...

Idzie w tanek, idzie w tanek
Ruciany wianek,
Idzie za nim, idzie za nim
Piękny młodzianek.
Idzie w tanek, idzie w tanek
Zielona ruteczka,
Idzie za nią, idzie za nią
Piękna dzieweczka.

Nucą pieśń sine usta Mściwoja...

— Nie, nie, tę pieśń śpiewało widmo straszne... Bogna...

Idzie widmo przez cmentarz, przez kościelec pełen mogił i śpiewa... Nuta pogrzebu... duchy wstają z mogił, ogromne płomienie błędnych ogni na kościelcu mają kształt ludzi, którzy dawno pomarli.

Uciekł Mściwoj... Ten potok, te kaliny... Miejsca tego nie chce widzieć. Leci na oślep... w las... idzie...

Zaszedł na małą polankę, widok przed nim dziwny. Łączkę leśną dokoła otacza las starych, odwiecznych lip. Na brzegu polanki kilka kroków długiej i szerokiej ogromne sosny rosną. U stóp sosen trawnik zasiany kwieciem, łąka rozbrzmiewa gwarem pszczół.

W każdej sośnie dziupla ogromna, w każdym pniu ul, cała polanka to jedna niezmierna barć, która wre i kipi pszczolim życiem.

Patrzy Mściwoj na niezmierną pracę owadów, na rój, który gra i huczy... zaśmiał się nagle, oczy szeroko otworzył...

* * *

Zawrócił się i jak strzała do swego konia leci. Pędem biegnie przez paprocie, przesadza zwalone pnie, przeskakuje ogromne krzaki ożyn.

Dopadł koni, chwycił Wilhelma w potężne ramiona, niesie... Straszne ma oczy Mściwoj, jak wilcze, ogniem błyszczą ślepie...

Zdarł szaty z pieśniarza i nagiego do pnia sosnowego przywiązuje. Ręce Niemca opasały sosnę w tyle... szyja do drzewa przywiązana, nogi do pnia powrozem przymocowane. Nagi człowiek stoi przy sośnie, stopy zanurzył w mrowisku.

Odskoczył Mściwoj od Wilhelma, twarz jego szatańskim śmiechem się krzywi...

Odbiegł... wnet wrócił...

Sprowadził konia, naciera ciało lutnisty końskim potem i pomiotem, dobył huby, ognia stalą krzesze, rozdmuchał żagiew, zagłobił ją na końcu żerdki. Od dziupli do dziupli leci, pszczoły drażni, do barci zarzewie dymem buchające kładzie, krocie, miljony pszczół z ula wygania.

Wściekły owad poczuł koński pot, nienawistny zaduch jątrzy go i gniewa, podrażniony dymem na Wilhelma leci, Mściwoja opada, tnie go w czoło, szyję, oko przez pszczołę pokłóte już puchnie, szaleniec jednej dziupli nie opuści...

* * *

Strasznym okiem spogląda Wilhelm. Sine usta, otwarte... Oczy patrzą na Mściwoja, który niezmierną czarniawę owadów gałęzią od siebie odgania.

— Co ty czynisz?

— Pszczoły nagie ciało kąszą... Tną okropnie...

— Miej litość! — jęczy lutnista.

— Hę?!

— Zabij mnie lepiej... Boli! Boli okropnie!

— Wesele to twoje... Wesele! Słyszysz?! Gędźba ci gra!

Zaśmiał się Mściwoj, stanął przed Wilhelmem, aby oczy swe okropne śmiercią jego napaść, ale i jemu rój śmiercią grozi.

Gdy się zaczerniło powietrze od chmury owadów, Mściwoj w zielony las leci, owad z twarzy i rąk zgarnia, gałęzią leszczyny ścigające go pszczoły odgania...

Wpadł mu w drogę Sobieta.

— Pogoń! Tysiąc ludzi nas ściga!

Dopadli koni i pognali.

* * *

Ciała Wilhelma nie widać przy sośnie. To nie ludzkie ciało, to roi się i tłumi straszliwa żywa calizna wściekłego owadu. To szary ruchomy bałwan o nieforemnych kształtach na zemstę czekając, miejsca na ciele giermka znaleźć nie mogąc; tysiące pszczół zaspokoiły gniew i trupem na mrowisku padło. Nie powietrze to już nad polanką, ale chmura czarniawa i mgławica owadów, nie gra ta kwietnia łąka, ale krzyczy, zgrzyta, płacze i wyje...

— Cichnie zwolna:..

* * *

Pszczół na Wilhelmie już niemasz. Zasypały ciałami mrowisko, reszta, która opuchłego cielska tknąć nie chce, uciekła do barci. Nie widać oczu Wilhelma już ni lic. Wszystko wzdęte straszliwą puchliznę, widok okropny, do człowieka zaiste kochanek Adelajdy niepodobny. A jednak żyje, życie zdradza ta ohydna, obrzydła, nieforemna masa, z ust piana ciecze, przez nozdrza jęk straszliwy słychać, ból okropny z drgań ciała widać...

Granie pszczół zwabiło w mateczniku pachołka, który wraz z pościgiem za Mściwojem gonił. Zbladł na widok ofiary przywiązanej do sosny, Wilhelma jednak nie poznał. Był to zczerniały gangreną, okropny, nieforemny trup.

Po zbroi i zdartym odzieniu poznano, że ten ohydny kształt był dawniej lutnistą, który pięknym dziewojom czułe pieśni śpiewał...

XII.

Z trzech stron uderzyły wojska na Branibor. Na wałach pierwszy zjawił się Mściwoj, za nim przyleciał Kiza i Niebora z czernią zbrojnego chłopstwa. Mały oddział rozzuchwalony był

i pijany zwycięstwami, w drodze z Merseburga odniesionemi. — Pod Ragnicą pobił kilkakroć liczniejsze wojska cesarskie, lecąc do domu brzegiem Solawy pozbierał błąkające się po lasach lutyckie oddziały, napadł na niemiecką Kalwę, wydał mieszkańców na łup motłochu rozjuszonego krzywdami, sam uderzył na warowny klasztor zakonnic, postawiony przez bogobojnego Gerona, spalił świątynię, klasztor perzyną i ruderą zostawił. Nie wstrzymał go w bezbożnym dziele wzgląd, że kościół ten w szczególnym w Niemczech był poszanowaniu, że poświęcony był chwale świętego Wawrzyńca, którego relikwje tu spoczywały, ogólną czcią otoczone. Szalony ten człowiek zrabował naczynia kościelne, złotą rękę, w której święte prochy były schowane, żołnierstwu rzucił, relikwję męczenika pohańbił. Usiadło chłopstwo na ruinach świętego ołtarza, z kościelnych naczyń wino pili, złoty kielich mszalny, z grawirowanym na nim wizerunkiem Chrystusa, szedł od ust do ust przepełniony winem. Mściwoj na gruzach kościoła wyprawił wielką ucztę, poczem ruszył na północ. Wnet przeszzdł Łabę. Za Łabą wojsko jego rosło jak alpejska lawina, niezmierna czarniawa uderzyła teraz na Branibor.

Gdy dwa wichry się spotkają, trąba powietrzna wyrywa ziemię, sosny z korzeniami wyrywa, niosąc puszczy śmierć i zniszczenie. Na wałach Braniboru, spotkały się dwa wichry. Gdzie wojska się starły, królowała śmierć.

Stary Dietrich jakby odmłodniał, jakby nowych sił nabrał w okropnym wirze bitwy; gdzie największe niebezpieczeństwo, tam on stoi w pierwszym szeregu, wyłomy twierdzy własną piersią zasłania, ratując chrześcijan, którzy z okolicznych miast i grojców w warownię braniborską się schronili.

Bił się bohaterski margraf jako lwica, która dzieci swych broni... Codzień do późnej nocy obroną osobiście kieruje, w późną noc na spoczynek idzie, gwiazdę zaranną powstaniem z łoża wita, ducha dodaje, do rozpaczliwej obrony zachęca. I Bóg wie, jakieby były losy oblężenia, ktoby był zwycięsko wyszedł ze śmiertelnej walki. Wszystko przewidział Dietrich, wszystko oprócz jednej... zdrady.

W wojsku cesarskim służyło wielu Hawelan, którzy pogańską wiarę porzucili, chrzest święty przyjęli, przeciw własnym braciom poganom walczyli zawzięcie, w twierdzy było wielu Czechów, Łużyczan, Polaków, zabranych w niewolę, zatrzymanych przemocą w służbie cesarza.

Zmęczony Dietrich broni się na wyłomie częstokołu zapamiętale, mieczem drogę do twierdzy zagradzają knechty, na męstwo jego patrząc, murem przeciw pogaństwu stoją, gdy wtem w twierdzy powstał straszny krzyk...

— Poganie się wdarli!!

— Nie, nie, wszak to nasi!

— Co mówisz? Nasze wojska ze sobą się biją?

Dietrich spojrzawszy na nawałnicę ludzi, zbladł jak trup.

— Zdrada! Co za okropna zdrada!

To Hawelanie, Czesi i Polacy, służący w wojsku cesarskim, na cesarskie wojsko się rzucili. Oni...

Chrześcijanie słowiańscy, gdy ujrzeli pod Braniborem bratnim językiem mówiące szeregi, gdy zwiedzieli się, że kraj powstaje i jarzmo niewoli rzymskiej zrzuca, uderzyli na roty Dietricha, który mając wroga nazewnątrz warowni i wewnątrz jej, stracił głowę i omało z rozpaczy nie oszalał.

— Chrześcijanie! Oni! Chrześcijanie!

Rzeź w twierdzy okropna. Dietrich uciekł z miasta wraz z biskupem Wolkmerem. Uciekł razem z nimi i kulawy Thiethmar. Gorzko zapłakał, że do bezbożnego dzieła, że do walki z chrześcijaństwem stanęli nietylko poganie, ale i chrześcijanie*), boleść zaś jego dowodzi, że powstanie zachodniej słowiańszczyzny nie było walką z chrześcijaństwem, lecz z krwawym najeźdźcą, że Niebora nie bił się z Chrystusem, ani jego świętą wiarą, lecz ze zbrodnią krwawych margrafów.

I jeśli kronika tej wojny przepełniona jest wiadomościami o burzeniu kościołów i mordowaniu księży, wina to zaiste tych, którzy pod płaszczykiem swiętej wiary, nadużywając imienia Chrystusowego, ogniem i mieczem Słowiańszczyznę tępili, przed żadną choćby najnikczemniejszą zbrodnią się nie cofając. Nie dziwić się zaprawdę pospólstwu, że w umysłach jego słowo: Niemiec, zrosło się ze słowem: chrześcijanin, nie potępiać łagodnego i potulnego lutyckiego ludu, że pijany wściekłością wszystko, co niemieckie, z ziemią równał. W strasznej pożodze wojny padły ruiną i kościoły...

„Właśnie na prymarję zrana dzwonek wiernych nawoływał, gdy część wojsk cesarskich z Dietrichem i biskupem Wolkmerem z miasta wymknąć się potrafiła, ustępując nawale wdzierającej

*) Thiethmar (przyp. autora).

się do twierdzy“ *). Krwią reszty jej obrońców zafarbowała się ziemia, pospólstwo rzuciło się na dom biskupa, gdy zaś nie znalazło już świątobliwego kapłana w domu, chmurą pognało na zamek i kościół.

Świątynię splądrowano zupełnie. Wszystkie naczynia złote i srebrne z zakrystji zabrano, ołtarze obdarto, relikwje świętych zrabowano, obrazy święte zniszczono. Gdy kościół wewnątrz stał się pustką, rzucono się na groby. Tam w podziemiach kościoła biskupi i kapłani leżą, tam są trumny margrafów i wodzów wojsk cesarskich.

Przypomniało sobie chłopstwo, że tam leży krwawy Dodil, przyjaciel i towarzysz Gerona, który wraz z nim nad Łabę przyszedł, wraz z nim krwawo zapisał się w pamięci Hawelan. Rozbito kamienny sarkofag, wyrzucono zwłoki z trumny, zdarto z niego pontyfikalne złotolite szaty, zabrano kosztowny kielich i patynę, którą trzymał w ręku i pohańbione prochy wraz z kałem nanowo do grobowca wrzucono. Na gruzach chrześcijańskiej świątyni pogańskie uroczysko założono, na cztery strony świata patrzący Światowid z kamienia wykuty na ruinie kościoła się wznosi.

* * *

Wojsko słowiańskie mianowało Kizę naczelnym wodzem w Braniborze, obsadziło warownię mocną załogą, poczem ta czarniawa ludzi na północ pomknęła. Palą ceserskie grodna, wycinają załogi, wszystko mordują co słowiańskim nie władnie językiem. A gdy płomień wojny całą połabską ziemię obejmuje od zachodu, ze wschodu nadchodzi wieść, która radosnem echem przez kraj leci. Zabiły serca, łzy w oczach zabłysły, że pomoc dla biednego ludu idzie, z ust do ust leci wiadomość:

— Bracia nam z pomocą idą!

— Czesi z nami!! Czesi!

Tem większe nieszczęście dla margrafów, że niespodziewane.

Dowiedzieli się Prażanie o powstaniu bratniego ludu, lecą na pomoc słowiańskiej braci; czeski wódz Deda, choć chrześcijanin, napada biskupstwo cycjańskie, wypędza z warowni biskupa Hugona, przebiega całą hawelańską ziemię, dociera aż do Łaby,

*) Thiethmar (przyp. autora).

aż do murów Dziewina. O zachodnią granicę Słowiańszczyzny oparły się niezwyciężone czeskie zastępy*).

* * *

Posłuchano głosu i nawoływań Dietricha, całe cesarstwo na pomoc marchji wschodniej idzie, ze wszystkich miast i zamczysk zbrojne oddziały na północ ciągną. Do Poznania jeden goniec za drugim leci, poselstwo za poselstwem Mieszka o pomoc błaga, o litość prosząc, obowiązki chrześcijanina wobec chrześcijaństwa przypominając, na przyjaźń jego dla cesarstwa rzymskiego się powołując.

Naprzód na zbuntowaną Słowiańszczyznę wyprawiono legjon łotrów. Wypróbowany to środek, dowiedziona skuteczność jego. Takie legjony formować nauczył cesarzów rzymskich Henryk Ptasznik, srogi dla Słowian, łaskawy dla swoich. „Gdziekolwiek widział ten monarcha chrześcijański złodzieja lub rozbójnika silnym w ręku, a przydatnym do wojny, uwalniał go od kary, dawszy mu oręż, kazał oszczędzać wprawdzie swoich, pozwolił zato na Słowianach, jakie tylko chcą łotrostwa wyrządzać“ **).

Niemiecki kronikarz Widukind, mnich korwejski, pozostawił nam ten piśmienny pomnik, ten żywy, jaskrawy obraz kultury i cywilizacji, jako Słowianom niosło cesarstwo rzymskie. Widukind i Thiethmar, niemieccy kronikarze, wiedzą, że zachód słał Słowianom nie kulturę, nie światło, nie cywilizację, lecz „legjony łotrów“ ***).

Szły one do narodu słowiańskiego, mieszkającego nad Łabą i zachodnim oceanem. Jakim był ten naród? Niechże znowu kronikarz niemiecki powie: „Chociaż Słowianie żyją w pogaństwie, co do obyczajów i gościnności, nie znalazłbyś narodu, któryby zacniejszym był i dobrotliwszym“.

Tak mówi Niemiec, Adam bremeński. Legjon łotrów szedł do cichego, kulturalnego ludu, który—jak Grek Teofanes pisze—

---

*) Thiethmar (przyp. autora).

**) „Erat mamque illa legio collecta ex latronibus. Rex Heinricus cum esset satis severus extrancis, im omnibus causis erat clemens civibus. Unde quemcunque videbat furum ac latronem manu fortem, et bellis aptum a debita poena ei parcebat. Collocans in suburdem datis agris atque armis, jussit civibus quidem parcere, in barbaros autem in quantum auderent, latrocinia exercerent“. Georg Waltz: „Jahrbuecher des deutschen Reichs unter Koenig Hetnrich I“ str. 103 (przyp. autora).

***) „Legiones latronum“. Thiethmar (przyp. autora).

nie umiał przypasywać broni, w ręku nosił nie miecz, lecz gęśl. Kto tedy komu niósł światło i kulturę, czy gęślarz łotrom, czy łotry gęślarzom?! Thiethmar, Widukind i Teofanes odpowiedzieli na to pytanie tysiąc lat temu. A tysiąc lat potem powstaje bezczelna prostytutka słowa, która twierdzi, że „legjon łotrów“ dał kulturę „zacnemu i dobrotliwemu“ ludowi.

Henryk Ptasznik i jego następcy nie mogli przynieść ludowi pieśniarzy światła ni kultury. Bo, aby dać drugiemu kulturę, trzeba ją mieć... trzeba mieć we krwi wszczepioną miłość bliźniego nakazaną przez Chrystusa, trzeba mieć serce gorejące takie, jakie miał ten z narodu gęślarzy, który oswobodził Wiedeń. Nie miał miłości, nie miał kultury, ni cywilizacji, ani Henryk Ptasznik, który na ziemię pieśniarzy posłał „legjon łotrów“, ani jego spadkobiercy, którzy ogłosili hasło „siła przed prawem“! Nie urośnie palma na śniegach północy, nie utrzyma się kra lodowa z północnego oceanu w gorącej strefie równika, nie zakwitnie kultura w duszach pospolitych, w naturach grubych...

* * *

Otworzono lochy więzienne w całem cesarstwie, zdjęto kajdany mordercom, podpalaczom, kazirodcom i złodziejom, w ręce zbrodniarzy dano oręż, nad Łabę i Hawelę tysiące wyrzutków człowieczeństwa śpieszy.

Margraf Dietrich rozkazy im wydaje, książę saski, Bernard, oddziały ich w różne strony hawelańskiej ziemi wysyła. Szeregi ich powołano po to, aby okrucieństwem i mordem wywołać postrach i zgrozę, aby srogością odstraszyć kmieci od powstania.

Nie idzie ta horda bić się i pobić nieprzyjaciela, wstępnym bojem uśmierzyć powstanie. Jeśli się spotka z większym oddziałem powstańczym pierzcha w lasy, rozlatuje się po kraju, pod ziemię się chowa; gdy okolica wolna jest od zbrojnego chłopstwa, wtedy legjon łotrów przystępuje do czynu.

Spadli na wieś wyniszczoną dawnemi wojnami i łupiestwem margrafów, rabować już niema co, głód ledwie zaspokoić można ubożuchnym kmieci dobytkiem, mord więc szerzą, krew rozlewają, włości palą, mężczyzn ohydni oprawcy trzebią, starców oślepiają, ciężarnym kobietom żywoty rozpruwają. Na środku każdej wsi jest drzewo ludźmi obwieszone, a okropne to drzewo ma

odstraszyć ludzi od łączenia się z powstaniem, od buntowania się przeciw rzymskiej władzy.

Dowiedział się o pochodzie legjonu łotrów Niebora, śmiertelnym strachem przejęła go myśl o klęsce, która z ich ręki spadnie na biedny lud, każe przetrząsać lasy, zbójców i morderców wieszać. Wyruszył władyka ze świętego Starogrodu na południe, nad Hawelą spotkał się z niezmiernym wojskiem, które w ślad za legjonem łotrów z cesarstwa przybyło...

Czerń ludzka na równinie, jak okiem dojrzysz ogromne obozowiska widać, do strasznej rozstrzygającej bitwy obie strony się sposobią.

Przeliczył wnet Niebora cesarskie szeregi, radość widać w jego oczach, śmiech na ustach, w słowiańskich szeregach nadzieja, pewność niemal wygranej.

Na białym koniu Mściwoj od szeregu do szeregu leci, do pomsty, do walki zachęca, we wzorowym szyku stoi żelazne rycerstwo czeskie, z którym od Łaby na pomoc pośpieszył. A na czele wojska, przed pułkami Zdzieszko święty sztandar rozwinął, na drzewcu bożyszcze ze Starogradu cudami słynące, ze złota ulane obrazy pachołkowie przed wojskiem niosą, gęślarze ojczyste pieśni wojenne śpiewają.

Już wydał Niebora rozkaz pochodu naprzód, już pierwsze szeregi do cesarskich rot się zbliżają, chłopstwo nienawiścią dyszące ma wpaść na śmiertelnego wroga, gdy ukazało się zjawisko, które okrzyk radości w szeregach cesarza wywołało, śmiertelną bladością lica Niebory okryło.

Szeroką dolinę opasywała z jednej strony Hawela, z drugiej ciągnął się pagórek pierścieniem okrągłym naokoło lecący. Na szczytach jego dęby stare rosną, na upłazie, wśród brzezin roić się coś zaczyna, wzgórze gra gwarem ludzkim, z cienia lasu jazda ogromna wychodzi. Zdaleka widać, że to polskie wojsko, po barwnych chorągwiach i książęcym proporcu poznać, że sam Mieszko z armją przeciw poganom wyruszył.

Wiedział o tem Niebora, że Mieszko związany jest przymierzem z rzymską monarchją, słyszał, że z Kolonji, nawet Werony, liczne poselstwa do Poznania chodziły, przejął gońców cesarza, który Mieszka na pomoc przeciw Lutykom wzywał. Wiedział o tem, nie wierzy w to jednak, żeby u Mieszka interes miał zwyciężyć nad sercem... żeby serce polskiego wodza bliższe było obcym chrześcijanom niż swoim, niż braciom językiem i plemieniem z Polską związanym...

Kilkadziesiąt tysięcy wojska Mieszkowego stoi, krwawym okiem patrzy osłupiały Niebora, łzy błysły na powiekach, zęby jak u wilka się bielą...

— On przeciw nam!!—woła władyka z rozpaczą.

— Polska idzie przeciw własnej braci!!!

A wojsko cesarskie ławą okropną, ćmą niezmierzoną na Lutyków idzie. Radość wre w żelaznych szeregach, oto pierwsze pułki słowiańskie złamane, zniszczenie okropne wśród hawelańskiego chłopstwa Dietrich i Bernard czynią, z rozpaczą opiera się cesarskim lud, broniący własnych chat, własnego gniazda, własnej ojczystej ziemi... Żelazne rycerstwo z chłopstwem obdartem się bije, losy walki się chwieją...

Wśród igrających z wiatrem barwnych chorągwi Mieszko, książę polski, z konia na bitwę patrzy. Po dostojność poznasz go łatwo, po śmiałości oka, po rozumie czoła. Olbrzymi to człowiek i wspaniały, moc ramion jego straszna, bo jak słowo „mieszko“ w starej mowie polskiego ludu „niedźwiedź“ znaczy, tak pierś niedźwiedzią, siłę niedźwiedzią miał wódz polskiego ludu.

Okiem żołnierza i znawcy pobojowisko zmierzył, o losach bitwy wróży, sprawność Niebory i Deda podziwia. Niepokój widać w bystrych jego oczach, to iskrzy się nadzieja, to bledną wargi i marszczy się czoło.

Przy nim na białym koniu szesnastoletni syn jego pierworodny Bolesław niespokojnie biega, z głębi lasu nadjeżdża Czcibor, brat rodzony Mieszkowy, sławny zwycięzca z pod Cydyny, gdzie margrafa łużyckiego Hodona wraz z hrabią na Walbecku, Żygfrydem, na głowę pobił.

— Hawelanie zwyciężą!

— Rozpacz ich zwycięży.

— Nie zwyciężą—rzekł smutno Mieszko--nie zwyciężą! Żelazne wojsko stoi przeciw źle uzbrojonemu chłopstwu.

— Kosa i cepy to ich jedyna broń.

— Patrz! To Dietrich wśród bezbronnego motłochu szaleje.

— Tam płynie chłopska krew!

— Ustępują!

— Chwieją się...

— Na pomoc im leci...

— Mściwoj! Mściwoj!

— Nowe pułki kmiece przybyły.

— Rozpierzchłe chłopstwo się łączy.

— Cepami biją...

— Co to?

— Bernard się cofa, Lutycy złamali cesarskie szeregi rycerstwa.

— Niebora triumfuje...

— W pierwszej chwili margrafowie byli górą.

— Teraz uchodzą ze zdobytych stanowisk.

— Co widzę?!

— Biją, okropnie biją...

— Klęska cesarza!!

— Ustępują!

— Tył podają!

— Rozsypka!!

— Hańba!!!

— Broni się Dietrich resztkami sił!

Do Mieszka leci zdyszany goniec od margrafów. Prosi księcia, aby bezwłocznie na pogan uderzył, bo wojska ich biorą górę. Za chwilę przybiegł drugi goniec i trzeci.

— Ratuj nas!

— Klęska!!

— Giniemy!!!

— Jesteś przyjacielem naszego cesarza i państwa rzymskiego!

— Mieszku! Ratuj chrześcijaństwo!!—z płaczem wołał biskup towarzyszący Mieszkowi.

Mieszko zacisnął zęby, stał głuchy i niemy.

Gońcowi cesarscy z rozpaczą na Mieszka patrzą, z podziwu wyjść nie mogą. Dietricha o wahaniu się Mieszkowem zawiadamiają, jeszcze raz polskiego wodza zaklinają, szaleństwo się ich głowy czepia... do córki Dietrichowej Ody biegną, która z mężem Mieszkiem nad Hawelę przyciągła i w chacie chłopskiej przy wojsku zamieszkała.

Ale Oda, dowiedziawszy się, o co prośbę zanieść mają, posłów za drzwi wyrzucić kazała.

Czcibor, zwycięzca z pod Cydyny, choć mąż dzielny i rycerz nieustraszony, przenosząc jednak pieśń gęślarzy nad wojnę, z lirnikami czułe pieśni układać i marzyć ich pieśnią nawykły, przystąpił blady ze zdziwienienia do brata swojego.

— Na pomoc cesarzowi przybyłeś?

— Na pomoc.

— Co zamierzasz czynić?

— Nic—rzekł sucho Mieszko.

— Co mówisz? Nic? Na rzeź obojętnie patrzysz?

— Obojętnie patrzę — rzekł jak echo polski wódz.

— Pocoś tu zatem przybył? Poco?

— Niezwykłem się z swych zamiarów spowiadać.

— Jaki cel był twej wyprawy?

Rozchyliły się śmiechem Mieszkowe usta i rzekły:

— Moja wtem głowa, nie twoja.

— Słuchaj Mieszku!... Słuchaj... tyś zawarł z casarzem przymierze... czy tak?

— Tak.

— I nie dotrzymasz zobowiązań?

Mieszko iskrzącemi z gniewu oczami spojrzał na swego brata.

— Czciborze! — zapytał — a czy oni zobowiązań wobec nas kiedy dotrzymują?

— Nigdy.

— Wierni są traktatom?

— Łamią je bezczelnie. Krzywo przysiąc każdej chwili gotowi.

— I ty — zawołał Mieszko — każesz mi iść z cesarzem przeciw braci?

— Tak jest — krzyknął z zapałem Czcibor. — Cnota — wołał gęślarz—żyje i istnieje dla siebie samej. Cnota każe węża wrócić do życia ciepłem własnej piersi, niech ten wąż ukąsi dobroczyńcę i jadem go zarazi. Bo cnota sama dla siebie jest już zapłatą za cnotę. Sercem trzeba zapłacić mordercy za mord, dobrem zapłacić za złe, chlebem za kamień. Jako w pieśni naszego ludu lirnicy śpiewają, że...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Mieszko.

— Śmiejesz się?

— Bo ty, bracie, teraz z gęślarzami pieśni snujesz. Jam nie lirnik, jeno żołnierz.

Nowe poselstwo do Mieszka leci. Przybiegł goniec cesarza i ksiądz z Rzymu.

— Wybaw nas!.. — woła na klęczkach goniec.

— Królu, ratuj chrześcijaństwo!—płacze ksiądz z Rzymu.

W oczach Mieszka błysnął gniew.

— Chrześcijaństwo ratować?! Dobrze!!

Zwrócił się Mieszko do szeregów konnicy:

— Hej! Hola!! Bywajno tu, Hermanie!..

Przypadł rycerz cesarski, służący u Mieszka na żołdzie.

— Na twe rozkazy jestem panie.

— O czem to mówili radcy cesarscy, chrześcijanie, na dworze cesarza w Weronie?

— Mówili, panie, że gdy się z Lutykami załatwią, Polskę w proch zetrą.

— Hej! Hola!! Chodźno tu, Zygfrydzie!

Przyleciał żołdak niemiecki, płatny przez Mieszka.

— Co mówił cesarz Otton w Kolonji przed wyjazdem do Włoch?

— Na własne uszy słyszałem słowa, że gdy uporają się z poganami, miasta polskie spalą, a chłopstwo jak bydło pognają w niewolę.

— Słyszeliście?!! — krzyknął Mieszko.

Cisza zapanowała w otoczeniu księcia.

— Ja mam ratować chrześcijaństwo poto, aby toż chrześcijaństwo kraj mój potem rozdrapało?!

— Ja mam ratować... Ja mam jarzmo strugać na mój kark? Ja mam kuć własne okowy?! Krajać dąb na moją trumnę? Ha, ha, ha!! — śmiał się Mieszko i brał się za boki, nie mogąc się ustatkować w okropnym śmiechu. Koń, jakby odczuwał śmiech Mieszkowy, taczał się, szarpany uzdą, latającą w ręku pana.

Spoważniał, spochmurniał nagle Mieszko. Spojrzał w jasne błękity, jakby się modlił, jakby rozmawiał ze Stwórcą, o myśl prosił, żebrał o rozchylenie zasłony, za którą ukryto jutro, czasy i wieki przyszłe...

Raz na tysiąc lat w wybrane dusze dar jasności zsyła... Zesłał ją Stworzyciel. Ujrzał Mieszko straszliwe jutro, śmiertelna bladość na licach,... zsiniałe usta szepcą:

— Będziemy wszędzie nędzni, ubodzy, wzgardzeni, włóczęgowie, których wszędzie popychać będą. Będziemy nieprzyjaciołom naszym służyli w głodzie i pragnieniu...

Przyleciał goniec z cesarskiego obozu i krzyknął na Mieszka:

— Traktat złamałeś!!

Skoczył Bolesław, gońca w pysk biczem trzasnął, że zalały się krwią niecne i oszczercze usta.

— Wara wam o cnocie prawić!

. . . . . .

Bóg dał Mieszkowi trzeźwość i zimny rozum, którego nie stało przyszłym pokoleniom. Gdy na spadkobierców Mieszka

wołano: „Królu, ratuj chrześcijaństwo!“ — szły lwie dusze, a głębokie serca pod Lignicę, Chocim, Wiedeń. Oni czuli, on i myśleli rozumem brata Mieszkowego, Czcibora, rozumem marzyciela, lirnika, poety, gęślarza...

* * *

Przybyły margrafom nowe niespodziewane posiłki. Pięć tysięcy ludzi bez wytchnienia nad Hawelę leciało, wojsko, choć drogą zeznojone, spieszy ratować bratnie szeregi. Pułki margrafów nabrały ducha, świeże siły z impetem okropnym na chłopstwo słowiańskie uderzają. Szala zwycięstwa chyli się na korzyść margrafa, łamią się linje chłopskiej czerni, Łużyczanie w puch rozbici pierzchli. Niebora się cofa, jedne tylko czeskie pułki nie ustępują miejsca, wstrzymując niemiecką nawałnicę. Biją się Czesi, jeden żołnierz przeciw dziesięciu stoi, a przecie się bije, padł wreszcie trupem Deda, zasłaniając słowiańską brać.

— Klęska! — zawołał Czcibor.

— Ustępują!

— Hawelanie pobici!

— W proch ich margraf zetrze.

Mieszko nic nie mówi. Patrzy na bijące się wojska, chwilami oko jego jak wilcze się świeci, chwilami wargę gryzie, niedługo zbladł, zaklął okropnie, zgrzyta zębami, włosy z głowy targa...

Przypadł Sieciech, jeden z wodzów Mieszkowych do księcia i rzecze:

— Hawelanie pobici!

— Nie mów mi...

— Patrz! Czesi, Soraby łużyckie, Słowińcy, Lutycy, krew razem przelewają! A my?...

— Co chcesz powiedzieć?

— Nie wytrzymamy panie nasz! Powiedz słowo, a te łąki posoką zaczerwienieją...

— Wara! — rzekł Mieszko.

— Jakto?

— Tego uczynić nie mogę.

— Czy nie widzisz, jak mrą nasi! Nasi!!!

Mieszko nic nie odrzekł. W gardle dławiły go łzy. Patrzał na klęskę nieuchronną, na pogrom zupełny...

Słyszy naokoło wołania:

— Niemasz zaprawdę nadziei!
— Czesi wymordowani...
— Niebora rozbity!!
— Giną!!!

Nie może Mieszko patrzeć na nieszczęście. Zawrócił konia, jak szalony poleciał do obozu, którego namioty o dziesięć staj się bieliły. Rzucił się na łoże, wił się jak w gorączce, ściskał rękami rozpaloną głowę, zrywał się chwilami, jakby szaleństwo go gdzieś nieść chciało... uspokoił się, aby znów poddać się czarnym myślom i rozpaczy...

* * *

A chrobry, szesnastoletni Bolesław, patrząc na otoczonego ze wszech stron Nieborę, płacze, łzami się zalewa, zanosi się od łkania jak malowanie piękne, jasnowłose chłopię. Krzyk głośny królewicza słychać, płacz serdeczny, łkanie rozpaczy...

— Uspokój się — woła Sieciech.
— Gdzie ojciec?!
— Niemasz go.
— Uszedł do obozu, nie może patrzeć na klęskę...

Z prawej i lewej strony z szeregów polskich szmer i pomruk dolatuje, hałas się wszczyna, krzyki rozdzierają powietrze...

— Co to? — pyta Bolesław.
— Wojsko się buntuje!—zawołał przerażony Czcibor.
— Czego wy chcecie?! — pyta się wrzącego tłumu Bolesław.
— Chcemy iść, gdzie serce nas woła!...

Ścichł Bolesławek, myśli chwilę, białą rękę w bujnych włosach zatopił... łzawym wzrokiem po wojsku popatrzył, podniósł świecący miecz w górę...

— Za mną!!! — krzyknął.

Tak leciał, że wicher otarł łzy z jego młodych rumianych lic, że długie jego lniane, jakby kobiece włosy z wiatrem szalały...

* * *

Gdy burza nadciąga, granie chmur słychać, kotłuje się w nich coś i przewala, Bełbóg z Czarnym bogiem w tumanach chmur się bije.

Pomrukiem czarniawa zapowiada przyjście rozszalałego żywiołu. Padają rzadkie wielkie krople dżdżu, świat jakby przycichł, jakby oniemiał ze strachu przed huraganem, który mocen jak śmierć idzie, zawył wreszcie wicher, błyskawica niebo rozdarła, upusty niebieskie się otwierają, ozwał się straszny huk piorunu, strzecha wieśniacza słupem płomienia się stała.

Jako burza i jako huragan szło polskie wojsko, złowrogi łomot i tupot koński zrazu słychać, zatrzęsła się wnet ziemia, piorun okrzyku z tysiąca piersi zawył i grom okropny w wojsku margrafów uderzył.

— Krew nasza!!!—krzyczy oszalały radością Niebora.

— Ozwała się w nich nasza krew!!!

— Nasi idą! Nasi!!

— Bolesław idzie!!

Widzi Sieciech lecącego z wojskiem Bolesława.

— Patrzcie! Leci na czele! Wyprzedził wojsko!

— Oszalało wściekłością to pachołę!!

Dopadło rycerstwo Bolesława, osłoniło szablami dziedzica, na wojsko margrafów przyszedł straszny dzień sprawiedliwości i sądu bożego...

* * *

Pusto w świdnie, na upłazach lasu żywej duszy niemasz, pod konarami wiekowego dębu ostał się Czcibor, brat Mieszków sam. Otwartemi oczami spogląda przed siebie, nie pojmuje dokładnie, co się to dzieje, na mrowie bijącego się ludu patrzy zdumiony jako ta kokosz: młode wykarmiła, ciepłem własnego ciała wygrzała kaczęta, które odleciały matkę, poszły na staw...

Patrzy Czcibor zmartwiony, zły, smutny a przecie... co chwila błyskawica iskry w oczach się zaświeci, usta zaśmieją się triumfem...

— Rozbili — szepce Czcibor — rota żelazna uciekła w las! O! zastąpił im Sieciech drogę! o! rozbójników napowrót na pole rzezi wygania...

Podział się gdzieś smutek, ustąpiła chmura z czoła starego wodza. Widok bitwy przypomniał piosenkę, którą mu dziady w Krakowskiem śpiewały. Na lirze skocznie przygrywając, śpiewał Czciborowi dziad na krakowską nutę:

„Krew nie woda ludźmi włada"...

— Krew nie woda — zaszeptał gęślarz Czcibor.

I jął lutnista snuć pieśń przyszłości o narodach, w których żyłach jedna krew płynie, których jedno dławi nieszczęście...

Piosnka gęślarza świegotem słowiczym szczebiotała, że przyjdzie dzień złączenia się ludów jednej krwi, że przyjdzie dzień sprawiedliwości dla ujarzmionych i wydziedziczonych...

* * *

Mieszka rady, ani miejsca znaleźć sobie nie może. Wyszedł przed namiot, w cieniu brzóz chodzi, wrócił znowu do namiotu, usiadł na ławie, trze dłonią skronie, myśli jak błyskawice przelatują przez jego spracowaną głowę. Zerwał się nagle, głosy jakieś słyszy... Jakby okrzyk triumfu zdaleka dolatywał, jakby gdzieś, daleko, o dziesięć staj, nad Hawelą ziemia się trzęsła, dęby się waliły. Trąby grają, huk ogropny, okrzyk za okrzykiem fala wiatru niesie.

— Co się tam stało? — pyta strażnika, który z oszczepem stał przy namiocie.

— Nie wiem panie.

— Okrzyk triumfu...

— Triumf margrafów? — zapytał żołnierz głosem, w którym płacz grał.—Niechże będzie przeklętym ten dzień...

— Sądzisz...

— Pewnym jestem tego władco. Cesarz triumfuje, margrafowie wybili nasz lud...

* * *

Do namiotu Mieszkowego biegła od pola bitwy Oda.

Czepca małżeńskiego wziąć zapomniała, warkoczów spiąć nie zdążyła, pukle bujnych włosów z wiatrem się szamocą, w oczach iskry, na krasnych ustach barwy wiśni, na licach rumieńce.

Mieszko już chciał dosiąść konia, gdy Oda gwałtem chwyciła uzdę, wstrzymała męża i ręką i słowem:

— Nie. Nie pojedziesz.

— Puść mnie!

— Nie!

— Muszę tam iść...

— Tu zostaniesz. Chodź do namiotu. Tyś strudzony. Pot widzę na twem czole. Odpocznij...

— Niepokój duszą miota...

— Bądź spokojnym. Przecie tam jest twój brat, Czcibor, jest tam Bolesław.

Wśród namiotów zjawił się żołnierz.

— Co za wieść niesiesz?

— Zwycięstwo, panie mój! Wielkie zwycięstwo!

— Jakie zwycięstwo?

— Rozpierzchli się jako liście żółte, tumanem wiatru z drzewa porwane, zmarnieli, trupami pole zasłali...

— Kto?!

— Kto? A któżby? Wojska margrafa.

— Co mówisz? Pokonał ich Niebora?

— Jaki Niebora? Ledwo już dychało lutyckie wojsko, gdy natarli jak burza...

— Mów, kto natarł?

Żołnierz wytrzeszczył oczy na księcia. Zdumiony patrzał chwilę na Mieszka i rzekł:

— No... nasi!

— Nasi?!!!

— Tak jest — rzekła Oda. — Uspokój się. Tobie potrzeba spokoju. Przyniosę ci wina. Uspokój się. Nasi rycerstwo cesarza wycięli, ale... uspokój się, zastanów...

Mieszko zapłonął okropnym gniewem. Oczy mu się zaświeciły złowrogo, ręce zadrżały, poczerwieniał na licu, a patrząc na gromadzące się w namiocie rycerstwo, krzyknął:

— Kto to uczynił?!!!

— Ja!—rzekł Bolesław, z którego krew ciekła.

— Ty?!! Ty!!! Coś uczynił?!

Straszna cisza zapanowała, wszystko zadrżało na widok okropnego gniewu pana. Tak strasznie rozżalonym, zagniewanym nikt księcia dotąd nie widział.

— Ściągnę na siebie pomstę!!! Tego mi nigdy nie przebaczą!

— Sądziłem... — szepnął Bolesław.

— Na kobierzec z nim!!! — krzyczy Mieszko.—Dwadzieścia batogów!!

— Ja... ojcze... ja już nigdy nie będę.

— Precz z nim! — woła, trzęsąc się od strasznego gniewu książę.

— Przebacz mu! — krzyknął Niebora, wpadając między ojca i syna, rzucając się na piersi Mieszka, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Rozchylił Mieszko ramiona i przyjął w nie wodza...

— Ty moja krwi!—szeptał.—Ty moja krwi...

Przytulił władykę do piersi, uspokoił płacz starca, ściskał i tulił zeznojoną głowę.

— Wina przynieś! — rzekł do pachołka Mieszko. — Usiądź mój bracie, namiot ci mój oddaję, w nim ustawię twe łoże, serce ci oddam, ty bratnia krwi moja...

* * *

Obstawiono dokoła oszczepnikami namiot Mieszkowy, nikomu wejść, nikomu zbliżyć się nawet nie wolno. Tam odbywają się tajne narady między Nieborą, Odą i Mieszkiem. Długo radzili, nikt nie wie, co uradzili.

Noc zapadła, a roki nie ustały, kaganiec zapalono, a namiot ciągle szemrze rozhoworem. Wreszcie wyszedł z namiotu Mieszko.

— Sieciecha tu zawołaj! — rzekł do pachołka.

Wnet zjawił się w namiocie Sieciech.

— Dziś pojedziesz w drogę!

— Na noc?

— Na noc.

— Dokąd?

— Weź rotę dobrze uzbrojonych ludzi, weź żywność pieniądze na drogę...

— Pójdziemy?...

— Do cesarza! Do Werony!

— Z czem?

— Trzeba naprawić tę sprawę, wytłumaczyć...

Sieciech stał z otwartemi oczami...

— Zapóźno, już przepadło panie mój! Gdyby nawet cesarz dał mi wiarę, toć przy nim jest dwunastu doradców, dwanaście przekonań. A przekonacie ich...

Mieszko nie odrzekł nic.

Poszedł w kąt namiotu, pochylił się, otwarł dębowe wieko skrzynki polowej żelazem okutej. Wybierał z niej mieszki skórzane, zgrabnie przy wierzchu w piękny rysunek wystrzyżone, rzemykiem u góry związane, a tak pękate jako dynia wyszedłszy

z kwiatu, w pierwszych dniach lipca zaokrągli się i pęcznieje. Położył książę na stole sakiew dwanaście...

— Mówisz o przekonaniach radców cesarza?

— Tak jest, panie.

— Weź to!

— Co to jest?—zapytał Sieciech.

— Na stole leży dwanaście ludzkich przekonań...

. . . . . .

Nie koniec narad. Choć Sieciech w drogę ruszył, radzą przecież w namiocie i radzą. Nad ranem drugie wysłał Mieszko poselstwo. To poszło już nie do Włoch, lecz, do Bawarji, do Henryka Kłótnika. Nieśli oni tajemną a bardzo światłą radę, że nieźle byłoby zrzucić z tronu i Ottona i całą saską dynastję. Posłowie mieli zapewnić Henryka, że jeśli w Niemczech przyjdzie do wojny domowej, to Mieszko zawsze po stronie słusznych praw stanie.

* * *

Rozpoczęła się gorsza od wojny łupież, straszliwsza od walki otwartej wojna podjazdowa i rabunek kraju. Resztki armji margrafów rozbiegły się po słowiańskich ziemiach, rozbitki złączyły się z legjonem łotrów, kryjących się po lasach, niosąc postrach i zniszczenie. Bandy rabusiów dopuszczały się najdzikszych okrucieństw, nie było zbrodni, którejby się nie dopuszczono, tępiono całe sioła, palono całe wsie. Kraj, w którym płonęły pochodnie pożarów, wyglądał nocą jakby wielkie święto czerwcowe, palono straszliwe sobótki wojny.

Z jednej wielkiej armji margrafów zrobiło się sto armji zbójeckich, które kraj plądrowały, wspierani w niecnych czynach przez grodna i miasta obsadzone cesarskiem wojskiem. I czego hasła walki o wolność dokazać nie zdołały, tego dokazały doznane krzywdy: cały lud pieśniarzy powstał, kraj się w jeden płomień wojny zamienił. Na mord odpowiedziano mordem, za zbrodnię odpłacono zbrodnią. Motłoch pozbył się wszystkich uczuć ludzkich, tak jak ludzkich uczuć nie miały hordy margrafów, grasujące tu od czasów Gerona i Wichmana. Cichy, łagodny lud rolny, naród gęślarzy, którzy broni grzypasywać nie umieli, zmienił się w czerń dyszącą zemstą, żądzą krwi.

Rozdzielił swe wojska Niebora na legje, aby wytępić grasujących zbójów, aby odebrać grodna, które dotąd zajmowały cesarskie załogi. W Bryzewicach natknął się na legjon łotrów, jął go przez lasy i bagna ścigać, dopadł go przed Starogardem, którego załoga dla zbójców otwarła bramy, Nieborę zaś z wałów gradem strzał i kamieni przywitała. Otoczyły twierdzę dokoła wojska obotryckie, jęły dobywać warownego grodna, śmiałek za śmiałkiem z żagwią do drewnianej warowni leci, aby podpalić twierdzę, aby ogniem zniszczyć schronisko wojsk niemieckich. Jeden za drugim leci i jeden za drugim marnie ginie.

Na całą Słowiańszczyznę w Starogrodzie jest sławna świątynia Jessego, z całego kraju ludzie tu modlić się schodzili, stu gęślarzy przed posągiem boga śpiewało. Dziś święte miejsce w rękach niemieckich żołnierzy. Dziś wyznawców Światowida Starogród gradem kamieni wita, każdy atak Niebory żelazna ręka odpiera, śmiech triumfu z częstokołów leci, w nocy, gdy wojsko oblegające śpi, rycerstwo margrafów wycieczki na obóz hawelański czyni.

Gęsto sukmany chłopskie na zielonych wałach starogrodzkich się bielą, Niebora do Tarnowa i Retry wysyła gońców po posiłki, nadzieja słabnie w szeregach, wróg zwycięski urąga. — A jako upał słonecznego dnia pary z wód wabi, aby czarnemi tumanami niebo zakryły, cieniem nocy świat zawlekły i piorunową burzę zrodziły, tak triumf wojsk cesarskich zrodził własny ich upadek, śmiech w łzy i rozpacz zmienił. Rozpacz w sercach lutyckich zrodziła czyny rozpaczy.

Gdy pewnego ranka nadciągnął Sobieta, wiodąc tysiąc ludzi, wojskom słowiańskim przedstawił się na wałach widok straszny. Przez noc dwadzieścia szubienic wystawiono, wróżbitów słowiańskich z piwnic wywlekają, na stryczkach kapłani Jessego wiszą, wymordowani gęślarze, którzy w obronnej twierdzy koło ołtarza Jessego czuwali. Odar, dowódca twierdzy wśród oprawców biega, stryczki kapłanom sam na szyję zakłada, za nogi powieszonych ciągnie, wiedzionych na szubienicę gęślarzy policzkuje. Przyskoczył do skazańca, kijem w twarz go uderzył, po siwej brodzie polała się krew... Na białych słupach huśta się w wichrze dwadzieścia ciał niewinnie pomordowanych ludzi... A pod szubienicami stoi Odar; wsparł się pod boki, szatańskim śmiechem się chichocze, okropnym głosem wołając:

— Patrzcie! Wasi kapłani, jak psy wiszą...

Zawrzało wściekłością wojsko, ławą straszliwą na palisady idzie, Sobieta chłopstwo zbrojne kosami prowadzi, nowe siły złamały szereg żelaznego rycerstwa, okropna rzeź we wyłomie. — Knechty z wałów na Hawelan ciężkie głazy rzucają... oto kilku niesie ogromny, długi kamień, złożyli go na ziemi, pchnęli z urwiska na dół...

Leci calizna głazu, ciała ludzkie druzgoce, obryzguje krwią.

— Co to?!

— Posąg święty!

— Bożyszcze pohańbione.

— Z kamienia wykuty Światowid.

— Naszą krwią czerwony.

— Czy widzisz, Boże?

— Pomścij!!

— Przekleństwo świętokradzcom!!!

Błyskawiczna wieść o pohańbieniu bóstwa przeleciała przez chłopstwo. Zakipiała krew, zdwoiły się upadające siły.

— Zemsta im i śmierć!!

— Wywieszani kapłani!!

— W naszej krwi nasz Bóg!

— Krwi ich!! Krwi!!!

I rozjuszony widokiem szubienic, widokiem pomordowanych kapłanów, wiszących na st.yczkach gęślarzy, hańbą świętego posągu lud jak burza na wały warowni leci.

Podpalono budynki.

Rzuconą na warownię żagiew rozdmuchał wiatr, zajęły się belki, strzechy goreją, pożoga gnana wiatrem chmury dymu i iskier na szeregi cesarskie niesie. Z chmurą ognia, idzie chmura czerni ludzkiej. Złamano opór, osaczono oblężonych, ze wszech stron dokoła wali się chłopstwo, pies żywy wyjść nie może, pod cepami rozszalałego tłumu pada wszystko, co żyje. Napróżno knecht przebaczenia żąda, na klęczkach o litość prosi. Przypadł żołnierz, toporem rozbił łeb, leci dalej na jatki, od których zapach ciepłej krwi ludzkiej zalatuje. Świeżyzną ludzkich ciał czuć pole mordu...

Wysieczono zbrojnych, chłopi Odara szukają, ten jakby znikł pod ziemię, jakby wzleciał w powietrze i przepadł bez śladu. Uderzono na dom biskupi, sądząc, że tam się schował, nie znaleziono go, znaleziono jednak tłum księży...

Stała się rzecz straszna. Próżno Niebora wołał, próżno Sobieta czerń okropną wstrzymywał...

Szaleństwem byłoby tamować górski wezbrany potok, szaleństwem wstrzymywać chłopstwo, któremu kapłanów wywieszano...

Straszliwa pomsta...

Sześćdziesięciu księży bez litości wyrżnięto. Patrząc w niebo umierali, konali z modlitwą na ustach, psalmy śmiertelne odmawiając. Wymarli pod toporami tłumu prałaci i bogobojni zakonnicy, czerń z ich trupów okropny szereg formuje, do kościoła krwawe ciała wnosi, od wielkiego ołtarza aż do chóru je układa, na widok publiczny zwłoki sług Bożych wystawia*).

Na wieży kościelnej złapano krwawego Odara, ciemięzcę, który z Geronem razem ręce chłopstwu obcinał, mężczyzn trzebił, ciężarnym kobietom żywoty rozpruwał... Toć to on, uniesiony nienawiścią do bałwochwalczej wiary, kapłanów Jessego na wałach twierdzy wywieszał, wszak na jego rozkaz pohańbiono świątynię, zwalono ołtarze, posągi bóstw na głowy oblegającego chłopstwa rzucono.

Bladego jak giezło**) mordercę ściągnięto z dzwonnicy, sznurem od dzwonów spętano mu ręce i przywleczono go do kościoła na stopnie wielkiego ołtarza.

— Mnie go wydajcie! Mnie! — wołał kmieć, którego dzieci Odar pomordował.

— On do mnie należy! — wołał syn kapłana, powieszonego w Retrze na posągu Trzygłowa.

Tłum rzucił się na Odara. Wie wódz cesarski co go czeka, modlitwy za konających odmawia, żegna się krzyżem świętym, wołając:

— Jezus! Jezus! Jezus!

Śmieje się motłoch szydersko...

— Znakiem krzyża się żegna! Patrzcie! Krzyża mu trzeba! Krzyża!

— Krzyż na nim wypiszem!

W ognisko rzucono żelazne narzędzie, do białości je rozpalono, dymiące do głowy skazańca przyłożono...

— Boże! Boże!...

Na głowie Odara białym żelazem wypisują krzyż...

Ciągną je od czoła wstecz, aż do krzyżów, od ucha przez łeb aż do drugiego ucha, dymi i syczy włos, skwierczy mięso,

---

*) Adam Bremeński, tom II, str. 30 (przyp. autora).

**) Giezło, gzło — koszula.

po gołej czaszce żelazo jedzie—wyziębło—na nowo je rozpalono straszny znak krzyża na głowie kaci rysują, bielą czaszki i rubinem krwi krzyż widać, mózgu się dobierają*).

Wije się w straszliwym bólu Odar, bólem bez granic płacąc za swe zbrodnie, dreszczem gra ciało w strasznej konwulsji, odór mięsa pieczonego, dym palonych włosów, jak straszliwa kadzielnica przed ołtarzem swąd roznosi... Przyszła wreszcie nieprzytomność i strata zmysłów, niebo ją zesłało, aby odebrać czucie człowiekowi, który straszliwe cierpiał męczarnie...

Uspokoił wreszcie zawzięty tłum Niebora, zaprzestano rzezi, związano w powrozy resztę chrześcijnan, na plecach krępując im ręce. „I po Słowiańszczyźnie od miasta do miasta wleczono wyznawców Chrystusa, bijąc ich kijami tak długo, póki ducha nie wyzionęli**).

* * *

„Zebrało się więcej niż trzydzieści legji słowiańskich". Z gęślarzami na czele, niosąc chorągwie i w ślad za niedobitkami margrafów kraj wojska przelatywały, oddziały nieprzyjacielskie znoszą, załogi cesarskie w miastach i grodnach biją. Na nic się nie zdały, próżne były usiłowania, aby ruch powstańczy słumić, panowanie rzymskie przywrócić. Ostatnie wysiłki uczyniło cesarstwo, kilka pułków za Łabę śląc; biskupi Gizyler i Hilliward służbę bożą porzucili, miasto księgi świętej, miecz w rękę wzięli, na koń siedli, rycerstwo prowadząc, męstwem swem wojsku przykład dając. Nie dotrzymali miejsca chłopstwu najprzewielebniejsi, Gizyler z placu boju uciekł, biskup zaś Hilliward krwią nieprzyjacielską zlany, mało się nie dostał w ręce pogan. Taki sam los spotkał margrafów, którzy z cesarstwa nad Łabę przybyli...

„Rygdad, Odon, Binizon i mój ojciec Zygfryd—mówi Thiethmar—zgromadzili się nad Łabą, słuchaniem mszy świętej i przyjęciem Ciała Pańskiego gotowali się do walki". Rydgada pobito. Odon pierzchnął, przezacny zaś Zygfryd Thiethmar, który po Mieszkowem zwycięstwie pod Cydyną na nogę wielce nie domagał, tył podał, aby ratować życie... Tak oprócz dwóch lub trzech twierdzi wszystkie załogi niemieckie rozpędzono, wojska w pień

*) Adam Bremeński, tom II, str 30 (przyp. autora).
**) Tamże (przyp. autora)

wycięto, rozpierzchłemi po puszczach łotrami przydrożne ustrojono drzewa.

„A gdy wszystkich cudzoziemców po części wymordowano, po części za Łabę wyrzucono*), jęli rozzuchwaleni zwycięstwem poganie przyległe ziemie za Łabą plądrować.

Tak po całej pustosząc Słowiańszczyźnie, poobalono wszystkie domy Boże i z ziemią je zrównano. Wyginęli wszyscy księża i ani śladu chrześcijaństwa nie pozostało nad Łabą... I działy się wtedy takie w krainach słowiańskich rzeczy, które ponieważ nie pisane, za bajki dziś uchodzą. I namnożyło się więcej męczenników chrześcijańskich, niż ich wszystkie żywoty świętych pomieścić mogą**).

A pierwszym skutkiem okropnej klęski, jaką poniosło cecarstwo, było oburzenie całego rzymskiego imperjum na wschodniego margrafa i krewnego jego, saskiego Bernarda. Wszak Dietrich zdzierstwem swem, okrucieństwem i zbrodniami rozdrażnił spokojny, cichy lud, on spowodował powstanie, on przelaną krwią wywołał rozpacz, która pchnęła Hawelan do walki.

Dowiedział się o gniewie cesarza Bernard saski, uciekł z marchji i cesarstwa, Bóg wie, gdzie się kryje w świecie, pomsta dosięgnąć go nie może. Dietrich pozostał, na Dietricha głowę spadają gromy i wszystkie nieszczęścia.

Na dworze zausznicy cesarza jemu winę przypisywali, na nim zemścił się Otton.

Próżno broniło go rycerstwo w oczach monarchy, odwagę i męstwo jego wysławiając. Cesarz pozbawił go urzędu i skazał na wygnanie.

— Wilczą głową go obwołać***). Niechże siodło w ręku przed pachołkiem niesie, jeśli wróci do kraju, niech obwożą go po grodach na koniu bez strzemion****).

. . . . . .

Cesarz śmiertelnie chory kazał się w Rzymie wynieść z pałacu na słonko, wzrokiem łzawym na północ patrzy, stara się rozerwać widokiem olbrzymiego teatru kolumnad, które po starych świątyniach rzymskich pozostały. Patrzy nieszczęśliwy monarcha

*) Thiethmar, tom III, str. 11 (przyp. autora).

**) Adam Bremeński (przyp. autora).

***) Wygnać z kraju (przyp. autora).

****) Wówczas największa hańba dla rycerza (przyp. autora).

na cyprysy i pinje, rosnące na ruinach, smutna myśl wraca, oko biegnie na północ, gdzie zagrożone cesarstwo, gdzie płomieniem powstania zajęte dzierżawy.

Wybuchem łez powitał poselstwo Mieszkowe.

— Opuścił mnie, zawiódł me nadzieje!

Uspokoiła cesarza zebrana rada, z głębi swego przekonania Mieszka tłumacząc, potwierdzając słowa Sieciecha, że polski książę nie mógł w ohydnych czynach Dietricha współdziałać i musiał na poskromienie jego wpłynąć.

W ślad za poselstwem Mieszkowem poseł za posłem do Rzymu leci, wieść o potyczkach i bitwach przynosząc.

— Retra się poddała!

— Wojska pobite pod Kolnem*).

— Księża w Poddębiu wycięci!

— Kościoły w Dziewinie spalono!

— Klasztor w Kalwie zdobyty i w ruinę zamieniony!

Straszne wieści, a przecie w chorych oczach cesarza nadzieja i pogoda.

— Minie burza — pocieszał się Otton — słonko jasno nad świętem cesarstwem zaświeci.

Przed majestatem stanął nowy goniec.

— Co mi masz powiedzieć?

Goniec stał blady przed cesarzem. Milczał...

— Czy nowa klęska?

— Słowiańszczyzna stracona!!!

Chwycił się Otton za piersi, zbladł i runął na ziemię. Blada twarz otoczona czerwonym zarostem, miała siny i zielony kolor morza.

Rzuciło się rycerstwo, podniosło monarchę.

— Co ci jest panie? Czego ci trzeba?

— Tchu!!! Tchu!!!

Chwilę oddychał cesarz głośno, szeroko otwarte oczy patrzą na Colloseum, oblane zachodem słońca, niby krwią. Wnet przyszedł zaduch straszny na nowo i cesarz umarł. Zabiła go wieść, że lutycka ziemia zmartwychpowstała.

. . . . . .

Jako iskra żarzy się w spalenisku, choć ogień dawno wygasł a pogorzela pokryła się pyłem popiołów, taki też był opór,

*) Dziś Berlin. Stolica Prus zbudowaną jest na gruntach wsi słowiańskiej Kolno (przyp. autora).

który stawiają niedobitki wojsk cesarskich, błąkające się między Odrą i Łabą. Jeszcze się trzyma kilka twierdz, oblężeni przymierają głodem, bronią się, byleby się nie poddać, uratować życie, nie iść pod nóż zwycięzców, nie sprzedać się na pewną zagładę.

Najdłużej w całej wojnie opierał się nawale Kamień*). Kilka razy napróżno oblegali go Słowianie, zamachy ich rozbijały się o warownię potężną, o opór zrozpaczonych żołnierzy, którzy mieli wieści z kraju, wiedzieli więc, jaki koniec, jaka straszliwa zemsta ich czeka. Lutycy, nie mogąc warowni siłą zdobyć, otoczyli ją ze wszech stron, aby miasto wziąć głodem. Obozy naokoło rozłożono, na szerokiej Łabie łódki rybackie czuwają, dostępu do twierdzy bronią, okruszyny chleba przywieźć zgłodniałym obrońcom nie pozwolą, do Braniboru i Tarnowa gońce lecą, aby chłopstwo przyszło pod Kamień z pomocą...

Idzie na Kamień z wojskiem Mściwoj. Sobieta go prowadzi. Sobiety rozkazów zbrojny lud słucha, księciu szalonemu nie ufając. Coraz bardziej w straszną zadumę dusza jego zapada, coraz częściej widać obłąkanie z jego oczu, coraz mniej przytomności i chwil jasnych. Widok pożogi, widok bitwy pomięszany rozum zapala, gdy poczuje ludzką krew, cudów siły, cudów męstwa dokazuje szaleniec, na oślep w tłum wroga leci, jakby śmierci szukając... Z ogniem rozmawia, do płonących chat się śmieje, w tumanach dymu, w płomieniach ognia widzi zmarłych ludzi, z którymi rozmawia jego duch...

Ciągle wspomina Bognę, ciągle ze śmiechem szczczęścia na ustach opowiada o Adelajdzie... Chwilami zdaje się, że on do niej z Włoch jedzie, że tysiąc mil przejechał, aby widzieć swe kochanie, czasem każe pachołkom znosić odświętną odzież, kwiaty w lesie zrywać, aby się ustroić na ślub... na wesele...

— Ślub mój w Braniborze... moje szczęście...—szepce śmiejąc się głupkowato.

W ostatnich dniach nowy mrok padł na duszę jego. Gdy zdobył Kalwę, gdy wojsko hawelańskie klasztor paliło i kościół rabowało, on sam rzucił się na relikwje świętego Wawrzyńca tam złożone, w całem cesarstwie słynne. On złamał i skruszył szczerozłoty relikwiarz, kosztowny kruszec pachołkom rzucił, święte prochy zbezcześcił, po kościele rozsypał. Gdy wyszedł z kościoła, strach padł na duszę, ciągle przekleństwa słyszy, w huku

*) Hamburg (przyp. autora).

wiatru szumią złorzeczenia, staje przed nim święty męczennik, na sąd Boga go wzywając.

. . . . . .

Gdy smutek i zaduma duszę odleci, Mściwoj jak szalony na bój idzie, wojskom drogę torując. Znają jego strój, jego miecz chłopskie pułki, on męstwem i zapamiętałością ducha szeregom dodaje.

Gdy przypadł pod Kamień, w oblegające wojska życie i otucha wstąpiły. Ławą poszło za nim wojsko, pokryły się wały tłumem zbrojnego ludu, na widok bijącego się Mściwoja, nawet chory rzuca barłóg i resztką sił za wojskiem bieży. Mrowisko ludu porzuciło obóz i na oślep za nim pognało.

Nie wytrzymała warownia strasznego natarcia, pod toporami obrońcy padają, zrobiono wyłom w częstokole; tłumy zwycięskie pchają się do wnętrza miasta. Straszna walka na klepiskach grodna się toczy, zewsząd wpadają chłopskie pułki, rzeź okropna parę i zaduch krwi czuć w powietrzu.

Niedobitki wojsk cesarskich do pałacu arcybiskupiego uciekły, wszystkie okna obsadzono, z okien warczą kamienie rzucane z proc, sypią się strzały na hawelańskie wojska. Na ganek wyszedł bogobojny arcybiskup z krzyżem w ręku, zachęca do walki swych obrońców, poganom pomstą niebios grozi...

Śmiech okropny, huragany wycia modły arcypasterza przerywają...

— Widzicie?

— Modli się!! Ha, ha. ha!

— Zgnieciem was!

— Do nogi wybijem!

— Podpalić ich! Podpalić!

O caliznę*) ścienną oparto drabinę, wśród gradu kamieni jeden i drugi pachołek z żagwią płonącą na dach leci, choć jeden z rozbitym łbem na dół spada, drugi świecę chwyta i zażarcie do góry się wspina, reszta snopki żytnie znosi, drewnianą budowlę słomą suchą otacza. Rozpala się zwolna stóg niewymłóconego zboża, na dachu zjawił się język płomienia, dwadzieścia kosmyków ognistych ku niebu strzela, jako trupia twarz cesarza, sina w płomiennych włosach, tak wygląda poczerniały ze starości pałac modrzewiowy. Ogień od krokwi do krokwi bieży,

*) Calizna — twarda ziemia.

dziesięć, sto płomyków na wierzchu drewnianej budowli się zjawia, cały czub jej stoi w w płomieniach...

A chłopstwo ze stodół rozbitych snopy słomy, snopy pszenicy, wiązki siana znosi, pożar podsyca, aby budowa do zrębu zgorzała, z górnych pięter okropny krzyk ludzi słychać, zajmują się zwolna ściany.

W straszliwym gorącu pożaru ścichła obrona, każdy chce życie ratować... Hawelanie otoczyli dookoła pałac, przy każdym oknie dziesięciu ludzi stoi, kto skoczy z okna, na oszczep się nabija, przebity włócznią ginie, grad kamieni lecących na drzwi, obrońców do środka pałacu wpycha.

Okropny trzask słychać...

— Boże!!!

Zawalił się płonący dach na górne piętro, duchowieństwo w ogniu kona, arcybiskup padł zabity spadającą krokwią, cały pałac to straszna pochodnia, w której ludzie mrą...

Ludzkie usta nie powiedzą, co się tam dzieje. Jedni na oślep w okna lecą i giną pod toporami tłumu, drugich chwycił się ogień, płoną szaty, smaży się ludzkie ciało, strasznym zaduchem zarażając powietrze. Ten i ów, stojąc w obliczu strasznej śmierci, nie wiedząc jaki wybrać skon, topi w piersi własny miecz...

Oszalało kilku z rozpaczy, śmieją się obłąkani ludzie, rychotem śmiechu witają nadchodzącą śmierć...

Pałac cały to już jedna wielka pochodnia. Tam trzystu ludzi pali się żywcem... Wśród nawałnicy jasnych płomieni słup czarnego ohydnego dymu widać. Smolne snać goreje paliwo, to ludzie...

Wiatr zawiał. Dom arcybiskupi żagwie na miasto rzuca, na twierdzę wiechcie ogniste niesie, na dziesięciu już dachach języki ogniste widać, całe miasto płonie, w kilku pacierzach całe miasto straszliwem morzem ognia się stało.

Mściwoj wlepił oczy w płonący Kamień, głupkowato do ognia twarz wykrzywił, wnet śmiech uciekł z ust, strach w jego źrenicach, usta drżą, cały drży, jakby zimnica ciałem jego trzęsła. Zakrył oczy rękami, zdaje mu się, że przez ręce widzi, że przez miąż rąk idzie do mózgu ten straszny obraz...

— Sobieto!! Sobieto!!

— Czego chcesz?

— Czy widzisz?!

— Widzę, zaiste okropne morze płomieni.

— Nie, nie... w środku płomieni...
— Żagwie pod niebo lecą.
— Nie żagwie... Tam na środku morza...
— Widzisz?!...

Rzucił się Mściwoj w ramiona Sobiety, kurczowo ręce jego ciało objęły, jakby chciał w jego pierś wejść... krzyczy okropnym głosem:

— Ratuj mnie!!! Ratuj!!

Otoczyła go gromada kmieci.

— Czego chcesz? Czego się boisz?
— Tam... Tam... Wy nie widzicie...
— Prócz morza ognia nic niema.
— Ślepi!!
— Szalejesz książę...

Zakrył się Mściwoj płaszczem Sobiety, aby nie widzieć strasznego zjawiska.

— Patrzeć się nie mogę!.. Patrzeć...
— Co tam widzisz, Mściwoju?
— Złota prawica, szczerozłota... z nieba leci! Palce rozpostarte!... Rozpostarte jako orle szpony...
— Gdzie?
— Leci!! Widzicie?!! Widzicie?!! Leci złota ręka, w płomienie spada... podniosła się, do góry wraca, do nieba... Straszny znak pomsty Bożej.

Upadł Mściwoj na ziemię, ciało jego rzucało się jakby szatan w nim zamieszkał, oczy w słup stanęły, z otwartych ust ciekła ślina, toczyła się piana...

Przestrach padł na pogańskie wojska.

— Bóg chrześcijan mści się na nim.
— Zemsta Jezusa za spalone kościoły...
— Za wymordowanych księży...
— Nie, nie! Ich Bóg, Chrystus, jest Bogiem miłości, mścić się nie może...
— Mściwoj Kalwę pohańbił...
— Szaleństwo na umysł jego padło.
— Patrzcie!!! sto ludzi otoczyło przerażonego wodza...— —

Spojrzał Sobieta w pożogę i zbladł...

— Co to?! Tam nad pożogą...
— Rękę złotą w płomieniach widać.

Popłoch padł na pospólstwo. Zdumione wojsko patrzyło na cud, który pozostanie na zawsze w pamięci ludzkiej.

„Jaki to cud Chrystus tam uczynił, posłuchajcie wszyscy wierni chrześcijanie. W sam środek pogorzeliska spadła z nieba prawica, z rozpostartemi palcami i wobec wszystkich widzów napowrót w górę wróciła".

„Zdumiało się wojsko, osłupiał Mściwoj. Relikwje świętych same się w górę wznosiły i wrogów straszyły, do ucieczki zmuszały"*).

Wyniesiono szalonego Mściwoja za miasto na pole. Ponieważ okropnie się rzucał, ludzi chciał szarpać i zabijać, pachołka w głowę zranił, przywiązano go do drzewa jako dzikie zwierzę...

— Ratować się musimy!...
— Rozszarpie nas!!
— Bronić się przed nim trzeba!
— Nieszkodliwym go uczynić!
— Leczyć go trzeba.
— Przecie to nasz książę, nasz druh, nasz wódz...

Rozpoczęły się rady, jak go od choroby uwolnić, jak mu w nieszczęściu pomóc. Gdy gusła, zaklęcia, zamawiania kapłanów i zioła lecznicze nic nie pomogły, przeprawiło się dwóch młodzieńców za Łabę, aby prosić chrześcijańskich księży o pomoc i ratunek. Przypłynął pobożny zakonnik Avico, przyjaciel i towarzysz Thiethmara i jął się nad nieszczęsnym szaleńcem modlić gorąco. Poświęcił sadzawkę, do której Mściwoja wrzucono, aby święcona woda uwolniła go od szatańskiej choroby: książę nie odzyskał jednak przytomności, ani zdrowej duszy.

Oczy błędne, usta zsiniałe szepcą:

— Święty Wawrzyniec mnie zapalił**).

* * *

W przepaściach boru spotkało się dwóch nieszczęśliwych ludzi. Przedzierając się przez ożynami podbite lasy, podarli odzienie, w oczach ich strach, wnętrzności żre i targa głód. Jeden z nich nie żali się już, rozum ma pomięszany, nie wie o świecie, nie dba o to, co się z nim stanie. Łachman odzienia

---

*) Thiethmar, tom III, str. 11 (przyp. autora).

**) Sanctus Laurentius me incendit! Thiethmar, tom III, str. 11 (przyp. autora).

na nim, przez plecy przewieszona gęśl. Drugi starzec nad grobem przeklina chwilę, w której się narodził...

Ludzkim obyczajem, słabością i płytkością ludzkiej natury nie chce żyć, a... boi się umrzeć... Boi się śmierci i ucieka przed nią. Dziesięć razy mieczem zamierzył się w pierś własną, dziesięć razy opadła ręka, choć wie, że celem, do którego las go wiedzie, jest haniebna śmierć... Jest to margraf Dietrich, dla którego niema już ratunku i ocalenia. W cesarstwie czeka go hańba, da gardło za klęski, jakie na monarchję rzymską sprowadził. Jeszcze straszniejszy skon czeka go, jeśli wpadnie w ręce Słowian, w których krwi się skąpał...

Błądząc po lasach napotkał szalonego Mściwoja.

Przeraził go kochanek Adelajdy okropną twarzą obłąkańca, chciał zrazu uciec przed jego strasznemi błędnemi oczami. Wnet zrozumiał, że towarzystwo obotryckiego księcia może zdobyć dla niego względy czyhających na jego życie Słowian, że za cenę przyjaźni z nim okupi swe marne życie. Poznał zresztą, że chory na duszy człowiek nie zagraża jego istnieniu, że to szał cichy, że Mściwoj to chodzące po ziemi ciało, z którego duch uleciał w straszną jakąś krainę wspomnień... Idzie przez puszczę z nim razem uciekają, gdy posłyszą ludzkie kroki kryją się w gęstwinie razem, szukają ciemnego jaru lub jaskini, gdzieby na noc głowę do snu złożyć...

Zbiera Dietrich dla opętańca jakoby brusznic, rwie koszyczki niedojrzałych jeszcze orzechów laskowych, cierpka zielona grusza, oto ich pożywienie, ich strawa i chleb. Głód, wilgoć, strach wyniszczył ich ciała, gorączka je straszna trawi, a przecie szaleniec śmiechem dzień wita, tęskną piosenką zachodzące słonko żegna.

Oto siedzi Mściwoj wśród paproci pod ogromną sosną; bluszcze, które pień drzewa spowiły, spadają girlandami na jego czoło, plączą się z długim jego włosem. Spogląda wdal jakby w przeszłość daleką a minioną patrzył, śpiewa:

Bóg zaczyna i Bóg kończy,
Kochające serca łączy.
Tobie wstążka i pierścionek,
A mnie wianek z trzech równianek.

— Mściwoju!— wołał Dietrich — Mściwoju!!

Kochanek Adelajdy nie słyszy głosu margrafa, zapatrzył się w ożyny i wymawia ze strachem brzmienia nierozumne, słowa bez związku, śmieje się...

— Mściwoju!!
— Toś ty! Chodź do mnie! Chodź!
— Idę.
— Słyszałeś?
— Co mam słyszeć?
— Leszczyna się żali.
— Leszczyna?
— Płacze skarłała. Potoczył wiatr laskowy orzech i porzucił go w cień, pod koronę rozłożystego dębu.
— Co ty mówisz?
— Co ja mówię? Wszystkie leszczyny są sobie równe. Ale jedno nasienie Dziedzilja rzuci w cień, roślina męczy się, karleje, drugie wpada na słonko, wydarzy się, buja. I dorasta pełnej wysokości, jaką Bóg dał leszczynie, sośnie i jasnocie. Jeśliś talentem, bogactwem czy znaczeniem wyrósł ponad tłum sosen, nie mów, że to twoja zasługa, żeś ty więcej od innych wart. Boś ty podła sosna, jak każda inna. A jeśli bliźni twój przepłakał życie i zmarniał, nie mów, że to jego wina, że on mniejszy od ciebie. Szalona ręka rzuci, a cię w słonko, tamtego wściekły los poronił w cień...
Sądzisz zatem...
— Wszystkie leszczyny są sobie równe. Słyszysz! Leszczyna się żali.
— Obudź się, Mściwoju.
— Żali się, że ją opętał chmiel.
— Szalejesz.
— Opowiem ci dzieje łzy...
— Tyś chory.
— Nie chcesz posłuchać?
— Mów.
— Rosła dziewanna w złote kwiaty kowana, chwiała się z wiatrem i wolnością cieszyła. Promienie słońca życie w ziarnku powoju zrodziły, wybiegł pęd na słońce, popatrzył na dziewannę, zakochał się w dziewoi. Spowił łodygą jej stopy, w liście zielone jej stopy stroi, o miłość ją prosi, płacze u jej stóp. Zlitowała się krasawica, serce za serce oddała, powój objął jej postać, spowił ją całą, zielonemi oplótł wężami, węże puszczają listki, zielenią się pokrywają, wszystkie promienie słońca zakochanej dziewannie zabrały. Kocha krasawica, usycha z miłości, kona w uścisku... Kochanka umiera, a powój tęczą kwiatów się korył... Śmiertelny uścisk miłości... Zbrodnia...

— Co ty mówisz, Mściwoju?

— Zbrodnia! Okropna zbrodnia! Uschła dziewanna, obalił ją wiatr, a powój się zieleni, pełza po ziemi, nowej ofiary szuka, nowej kochance uściski ofiaruje...

— Kopnij ohydne zielsko nogą.

Mściwoj szeroko wystraszone otworzył oczy.

— Słyszysz?

— Jakiś ty straszny...

— Bogna umarła...

— Umarła?! Wojewodzianka?! Skąd wiesz o tem?

— Skąd wiem? Słuchaj!... dowiesz się i ty... Przyłóż ucho... tu...

— Do pnia sosny?

— Nie, nie, do bluszczu, który tak pięknie w girlandach spada.

— Wyzdrowiej...

— Jasno widzę. Posłuchaj gęśli...

— Tyś oszalał. Lutnia twoja niestrojona, nie śpiewa, lecz wyje...

— Wyje, mówisz? Prawda. Ona wyje. Wyje jako dusza rozpaczą... Lutycka gęśl! Gęśl nasza, to jedna barwa tęczy naszego istnienia, to usta, któremi spowiada się dusza. Dusza płacze, to gęśl nasza płacze, wesele, którego nie potrafią wypowiedzieć usta, gęśl wyśpiewa. Kamień, rzucony z procy sięgnie tam gdzie ręka ludzka nie sięga, gęśl powie to, na co ustom braknie słów...

— Głód! Głód! Chodź! Głod żre wnętrzności moje.

— Głód?! Błazeństwo! Człowiek to zwierzę nienasycone. Ohydny ludzki głód!

— Co ty mówisz?

— Co ja mówię? Słuchaj. Czy chciałbyś ty dziś wiedzieć, co było przed naszemi urodzinami, co będzie po naszym zgonie.

— Chcę.

— Jesteś głodnym świadomości. Głupcze! Powiedz mi coby było, gdybyśmy, my ludzie, głowami przerastali dęby?

— Na świecie nie byłoby dla nas cienia.

— Nie byłoby gdzie złożyć zeznojonej głowy...

— Wieczna spiekota słońca...

— Niechciej więc przerastać głową dębów, nie chciej przerastać myślą karlej małostki ludzkiego ducha.

— Twe słowa żądają...

— Abyś był szczęśliwym!! Szczęśliwym jesteś, że głową sosen nie przerastasz, szczęście to wielkie, że nie jesteś zdolen wyścibić łba poza granice ludzkiej zdolności pojmowania. Poco ci wiedzieć, co niesie śmierć?! Nie wystawiaj łba poza marną skorupę—w którą Wszechmoc włożyła plwocinę, zwaną ogromem ludzkiego ducha.

— Głód!

— Głodnyś?! Dokąd chcesz iść?

— Las opuścić. Lepsza śmierć niż męka. Do wsi... na jasność dniową...

— Chcesz iść na jasność! Robakowi, który siedzi w kałuży, zachciało się raz iść na szlaki, którędy ludzie chodzą. Wiesz co się z nim stało?

— Rozdeptano go.

— Człowiekowi, który ma pięć marnych zmysłów, zachciało się raz iść na szlaki, którędy wyższe duchy, jestestwa o stu zmysłach chodzą. Wiesz, co się z nim stanie?...

— Idź precz. Ty szalony. Idę!

— Czekaj i ja z tobą pójdę! Wezmę lutnię moją—o! struna dźwięczy...

— Chodź!

— Słyszysz, ta struna mówi, że Bogna umarła... Ona dziś umarła.

— Chodź! Śmierć z głodu...

— Na mogiłę idę... Idziem na mogiłę... Gęślarz na mogile śpiewa...

— Zabiją mnie, tem lepiej...

— Chodź! Na mogiłę!... Na śmierć... Chodź!...

* * *

Jezioro ogromne, na jeziorze wyspa i białe domy zbudowane nad wodami. Ziemia grzęska i błotnista nie wytrzyma ciężaru budowli, wbito więc słupy we wodę, na palach dębowych tramy położono, na przyciesiach wystawiono dom, wiszący nad jeziorem. Tak od wiek wieków budują chaty na Pomorzu i pojezierzach, tak zbudowaną jest Retra bogom poświęcona, gdzie króluje Radegast, w grodzie, który ma dziesięć bram, a do każdej bramy ogromne mosty przez jezioro prowadzą*). Cała wieś na wodzie stoi, pod chatami fala szeleści, święte nawet uroczysko zbudowano na drewnianym pomoście, z pomostu rybak do

*) Adam Bremeński (przyp. autora).

wody sieć zarzucił, z podrywką*) na szczupaka czyha, zmiarkował zdradę rozbójnik wodny, pod chatę ucieka. Tam w ciemności, wśród lasu pali dębowych ryba jest zupełnie bezpieczna.

Przy każdej chacie łódź rybacka i prom stoi, dziecko nawet zrosłe z żywiołem, wychowane na wodzie, chwyta wiosło i zręcznie po falach szybuje. Na wodach jest bezpiecznym człowiek od dzikiego zwierza, gdy wojna wybuchnie zburzony most drogę do wsi nieprzyjacielowi odcina.

Oto most na milę długi**) prowadzi do wioski nawodnej. Białe przęsła sosnowe ciągną się bez końca, w ciemną noc, przy wejściu na most kroki ludzkie słychać. Przywlekli się podróżni, oparł się jeden z nich o poręcz, aby nie upaść, aby podtrzymać głodem i chorobą zeznojone ciało.

— Chodź, chodź!

— Dokąd?

— W daleką drogę idę...

— Szalony!

— Do Rudnic! Ona umarła...

— Na nogach ledwie stoisz. Dziesięć mil...

— Wiatr mię zaniesie, głosem mej gęśli popłynę.

— Upadasz z trudu i głodu. Czekaj, wstąpię do chaty, o chleb dla ciebie poproszę. Zabiją?! Jedna tylko śmierć... Już nie dbam. Czekaj... Stój... Nie zajdziesz...

— Popłynę z liściem jesiennym, który wicher niesie, stanę się nicią pajęczą, która w jesienny dzień, Bóg wie, dokąd leci...

— Chory jestem, śmierć nadchodzi, śmierć straszna z głodu... Ratować się... jeść... Gdy się pożywimy, pójdziem w świat daleki. Pójdę do mej córki Ody na dwór polski, ona da mi chleba...

— Wstąpię do tej chaty... Tam bracia moi... oni za podłość chlebem mi zapłacą... dadzą chleba, rzucą mi kość, jak zgłodniałemu psu...

Zerwał się Msciwoj, aby wbiec na most, na progu drewnianej budowli nogi służbę wypowiedziały, runął na ziemię, zadudniały deski mostu, zajęczały struny rozbitej gęśli, szaleniec stoczył się z progu na ziemię. Stracił przytomność i leży bez ducha.

---

*) Podrywka—mała sieć do łowienia ryb.

**) Most taki opisuje Al. Bekri w X wieku na pograniczu Prus wschodnich i zachodnich (przyp. autora).

Opuścił go Dietrich. Chwiejnym krokiem przez most idzie, most długi jakby końca nie miał. Straszny pochód, rozpaczliwa droga. Głód i wycieńczenie niosą sen, senny człowiek idzie. Śpi, nogi błędnie idą—zachwiał się, upadł na poręcz... Zatrzeszczało przęsło, ale nie pękło, żerdź wstrzymała ciało wiszące nad wodą. Runął Dietrich na belki, poranił sobie głowę, rana go zbudziła, idzie dalej.

— Jeść! Jeść!

Co chwilę margraf staje, o poręcz się opiera, ręką pierś przyciska, aby stłumić okropnie bijące serce, aby złapać krztę tchu... Brak tchu... serce okropnie bije...

Kilka razy utknął, kilka razy przewrócił się, płuca ciężko pracują, aby złapać powietrze, usta bełkocą i szepcą:

— Boże, daj śmierć.

* * *

Macierzanka we wieńcu,
Dokądże ją nieść mamy,
Gdy drożeńki nie znamy.
Wynieście mnie dzieweczki
Tu na te pagóreczki,
Potem wrzućcie do wody,
O... do głębokiej wody.

A Sobieta patrzy na urodę swej żony, słucha pieśni, które krasne jej usta śpiewają, zdjął z głowy hełm żelazny, położył na stole w rzemienie spowity miecz.

Śliczna dziecina o białych lnianych włosach, o bławatkowych oczach wyciąga rączki do żelaza, oczy dziecka pochwa rzemienna, złotemi gwoździami nabijana, zwabiła...

— Lestek chce miecza...

— Nie, nie. Z posoki jeszcze nie otarty. Na brzeszczocie zeschła krew.

— Spieszyło ci się do domu?—zapytał Cichost.

— A komuż się do szczęścia, do żony, do ukochanej dzieciny nie spieszy?

Sławotka przerwała piosenkę, spojrzała na męża, na ustach jej zjawił się uśmiech pełen czaru, pełen miłości... Jakby te zakochane żonine usta chciały powiedzieć:

— Jestem ci rada...

— Będzie nam dobrze w twej ojcowiźnie. Chata na dębowych palach postawiona, zbudowana pięknie, tam wilk się nie wedrze do obory, ryb w wodzie poddostatkiem.

— Jutro stanie nad brzegiem jeziora telega, jutro zacznę stroić moją chatę. Mam kobierce, zdobyte w Kamieniu, mam z Dziewina bławat i złotogłów, w który ciebie Sławotko ustroję.

Dziaduś Cichost przerwał mowę Sobiety smutnem westchnieniem:

— Bądźcie szczęśliwe moje dzieci drogie, jako ja jestem szczęśliwy. Niechże wam da Jesse to, czego mnie odmówił.

— Nie żal się dziadziu. Ptasiego mleka ci u nas ojcze nie zabraknie. Jasna przed tobą przyszłość...

— Jasna, mówisz zięciu? Będzie jasną, jeśli moją przeszłość zatrzeć i zmazać potrafisz, jeśli we mnie zabijesz pamięć...

— O czem mówisz, ojcze?

— O zamordowanych dzieciach moich.

— Zapomnij!

— Do śmierci nie zapomnę!

— Pociesz się...

Cichost pochylił głowę ku ziemi, zamyślił się.

— Pociesz się — rzekł — zapomnij, łatwo to mówić, łatwo z ust idą słowa puste, jak bańki mydlane.

— I mnie — rzekła Sławotka — serce się krwawi wspomnieniem.

— Boże! Gdy on mordował moje dzieci, gdym związany patrzył w oczy mordercy...

— O Dietrichu mówisz?

Stary Cichost wzniósł łzawy wzrok do nieba...

— Niechże temu mordercy Bóg przebaczy, jako ja mu przebaczyć nie mogę!

— Ktoś we drzwi kołace.

— Jakby w sieni o drzwi ciężar wielki uderzył.

— Zaklekotały wrzeciądze...

* * *

Podróżny wszedł do sieni, wpełzł, ściany się trzymając. — Resztka ducha w tym ciele, skóra na twarzy tak wyschła, że widać czaszkę: dookoła oczów takie rysy, jakby widać było ciemne doły, które się ostaną, gdy zgnije w grobie człowiek...

Nędzarz plezie się ku drzwiom i plezie. Słyszy głos z izba—śpiew.

Wynieście mnie dzieweczki
Tu na te pagóreczki,
Potem wrzućcie do wody,
O, do głębokiej wody.

Oparł się o ścianę, zasłuchany...

— Piosnkę tę lutycką słyszałem...

Myśli Dietrich...

— Wiem. Słyszałem wtedy...

Tchu mu brak. Tak osłabiony, że słów swych dokończyć nie może... — —

— Gdym mordował dzieci... —

Wszedł włóczęga do izby. Drzwi się trzyma, na nogach ustać nie mogąc. Chciał krok naprzód postąpić, mało nie runął na ziemię, bezwładnie do ściany przypadł, na której się opiera...

— Kto to?

— Nędzarz jakiś, błędnie przed siebie patrzy...

— Podróżny.

Cichost wstał od stołu, postąpił kilka kroków, wpatrzył się w twarz gościa...

— Margraf Dietrich!!! — krzyknął okropnie.

Sobieta porwał miecz, Sławotka rzuciła kądziel na ziemię i z krzykiem do męża pobiegła, tuląc się...

Cichost przetarł powieki, źrenicom nie wierzy. Czy wzrok go uwodzi?

— Czego ty chcesz ode mnie? — zapytał margrafa Cichost.

— Chleba—zabełkotały trupie usta.

— Za pomordowane moje dzieci żądasz...

— Chleba.

Margraf stracił siły, nogi się pod nim zgięły, jął opadać na ziemię. Ujął go wpół ciała Cichost i posadził na ławie.

— Przynieś tu córko wina, chleba...

Otoczyli wszyscy chorego, błędnie patrzącego, piersiami ciężko pracującego człowieka. Do nóg jego przypełzło śliczne dziecko Sobiety, ujęło go za kolana, stanęło na nogi, trzymając się jego sukni przykroczyło do boku, błyszczącym mieczem Dietricha się bawi...

Wnet wybiegła z komory Sławotka, niosąc czarę wina. Wypił ją łakomie Dietrich, jął szybko a krótko oddychać, chwycił się za serce, które okropnie biło... Wino rozbudziło, zaburzyło krew, miasto wzmożenia sił, przyniosło śmierć...

Wstał nagle margraf, obrócił się ku wschodowi słońca i ostatniej siły zebrawszy, jął się urywanym głosem modlić do Boga po niemiecku. Szepcą prośbę zsiniałe usta, myśl szuka słów... przerwał wnet modły, wyzionął straszne i harde przekleństwo...

Poczem upadł na ziemię i skonał.

* * *

Stos ogromny na środku kościelca w Rudnicach ustawiono, z wieczora zwłoki Bogny na nie złożono. Znaleziono Bognę na mogile dziecka bez tchu, bez życia. Kwiatki na grobie dziecka całą wiosnę sadziła, łzami je podlewając, każdy kwiateczek rośnie jej łzą, ziemia śle roślinie pokarm, bo ją łza Bogny zrosiła. Zabrano z mogiłki wojewodziankę w czystą koszulkę ją odziano, kwiatami z pól i łąk ustrojono. Późnym wieczorem do sąsiedniego opola po kapłanów posłano, po gęślarzy, aby wczas rano przyszli, pieśń pożegnania na harfach zagrali.

Rosa opadła na białe czoło dziewczyny, sładła brylantami na kwiatach, które stroją jej skroń, rosa zeszła wilgotnym całunem na białe jej szaty. Księżyc jasny wszedł na niebo, zaiskrzył się brylantami na strojnej w łzy niebieskie dziewannie, przyszła mgła i stos pogrzebowy wstęgą modrą naokół opasała. Jakby na tumanie chmur ten stos leży, jakby te mgły niosły dziewczynę w krainę szczęścia, którego na świecie nie masz.

* * *

A przez las idzie do kościelca człowiek. Jest tak słaby, że przy każdej sośnie przystanie, od drzewa do drzewa idzie, stoi i spoczywa, jest tak strudzony, że gałęzi świerkowej zagradzającej drogę usunąć nie może. Resztek sił dobyć musi... Ranią jego wynędzniałe ciało ożyny, kolczaste gałązki czepiają się jego łachmanów, chwytają się strun rozbitej gęśli, kolce targają, struny skrzeczą, te struny pieśń śmierci, nicości, pogrzebu, żałoby grają...

Przywlókł się, mokrem okiem na stos patrzy...

— Umarł ktoś.

Zaśmiał się szaleniec. Wykrzywione usta szepcą:

— Gdy człowiek kona, musi zdechnąć i jego zgryzota. He-he-he...

Chce Mściwoj iść do stosu, chce oderwać się od jodły, na której jest wsparty, stracił podporę, poślizgnął się, upadł na ziemię. Sił niema...

A przecież coś ciągnie go do kwiatów, do jasnej istoty, którą bluszcze stroją. Czołga się po ziemi, plezie się do ściętych pni sosnowych, wypełzał na stos, ogarnął go wzrokiem...

. . . . . .

Strumień łez popłynął z oczu.

— Bogna—zaszeptał—Bogna!

Po wychudłych, wynędzniałych licach Mściwoja łzy płyną. Sine usta drżą, jakby słowa jakieś wyrzec, wyszeptać chciały. — Szepcą biedne sine wargi, śpiewają jękiem i płaczem:

Bóg zaczyna i Bóg kończy
Kochające serca łączy.

Upadł Mściwoj do białych Bogny stóp.

O wschodzie słońca zgromadzili się gęślarze, kapłani, dziewoje i całe opole.

— Co to?

— Na stosie człowiek jakiś.

— Mściwoj!

— Siny!

— Serce już nie bije:

— Umarł!

— Usnął u jej stóp.

— Całując jej stopy białe.

Zagrali gęślarze na harfach, zaśpiewały płaczki pieśni pogrzebowe, kapłan wziął w rękę żagiew i podpalił stos. Zajęły się smolne świerczyny, trzeszczą suche gałęzie, tuman dymu dwoje zwłok zakrywa, coraz większy płomień bucha, rozgrzewa grube pnie sosnowe, na wylot je wnet język ognia wierci, stos zamienia się w ogromną pochodnię, która w niebo bije. Syk płomienia, łopot trzeszczących w ogniu polan zagłuszył dźwięczny głos harf...

Na kwietnym kościelcu była zielona mogiłka dzieciny. Tam leży syn Mściwoja i Bogny.

Dwa kamienne żale*) ustawiono po prawej i lewej stronie maleńkiej, dziecinnej, mogiły... Urny z prochami wstawiono do grobów, pokryto głazem kamiennym i zasypano ziemią.

. . . . . .

Bujne lato zielenią świeże żale pokryło.

Na grobach wyrosły powoje. Sławne w lutyckiej pieśni powoje, śpiewa o tym powoju słowiańska pieśń gminna. Jeśli, mówi piosenka, zazieleni się nim mogiła kochanki, to pędy jego na grób kochanka pełzną, aby się złączyć girlandami**) z mogiłą wybranego. Grób młodzieńca śle zasię ku niej swe liście...

Zeszły na mogiłach, białym i niebieskim zajaśniały kwieciem, grób dziecka serdecznemi sploty spowiły, uścisnęły te powoje ukochaną mogiłę...

Wśród bluszczów i powoi siada chłopię małe i na ligawce gra pieśń o szalonym księciu Mściwoju i kochance jego, Bognie. Podanie o nieszczęsnej miłości żyło długo w pieśni gminnej w krainie słowiańskich mogił. Wreszcie umarło, bo na świecie nie został nikt z narodu Lutyków, nie stało na ziemi ust, któreby o Bognie pieśń śpiewały...

ZAKOŃCZENIE.

Po kilku latach ciszy i swobody, żerwała się znowu wichura, cesarstwo niemieckie nowy zamach na wolną połabską Słowiańszczyznę wykonało. Aby wyprawie dodać uroku, aby rycerstwo do boju zachęcić, przywieziono przed Branibor młodego Ottona III, mającego wówczas sześć lat. Pacholę miało majestatem swem rzucić trwogę na pogan, skłonić ich do pokory i poddania się. Oprócz armji cesarskiej, przybył pod Branibor książę polski Mieszko „z wielkiem wojskiem", z niezmierną mnogością ludu zbrojnego", „z wielbłądem, którego cesarzowi w darze przy-

---

*) Mogiłę nazywali Słowianie „żalem" (przyp. autora).

**) Girlanda—wieniec.

prowadził“ *). Hawelanie nie przelękli się jednak ani wielbłąda, ani sześcioletniego dziecka wcale, co do Mieszkowego zaś „niezmiernego“ wojska, to historja zupełnie milczy o jego działalności. Niezbyt ono jednak zaciężyło na bratniej Słowiańszczyźnie, niezbyt ciężka była ręka Mieszka dla braci, niezbyt wrogo przeciw niej występowało polskie rycerstwo, skoro cesarz musiał Słowiańszczyznę i Branibor opuścić, haniebnie się cofając.

Jedynym zyskiem, jaki Otton III miał z tego napadu, był, jak się zdaje, ów wielbłąd, o ile nie zdechł w dalszej podróży do Niemiec...

. . . . . .

I znowu w pięć lat nowa wyprawa i znowu morze wojska stolicę hawelańskiej ziemi, Branibor otoczyło.

Dziesięć szturmów podjęto, tysiące napastników marło na wałach grodna, z bohaterstwem Lutycy swej ojcowizny bronili. Rozpacz chwytała doradców cesarza, ręce bezsilnie opadały, głód i pomór dziesiątkował wojsko, z której strony atak się pojawił, odpierał go Kiza na czele hawelańskiego chłopstwa.

Przypomniano sobie w cesarskim obozie tego wodza Słowiańszczyzny, wszak on wiarą ni językiem do narodu Hawelan nie należy, szpiegom znającym hawelańską mowę udało się oszukać straże, wkraść się do twierdzy i ująć naczelnego lutyckiego wodza.

— Słowa przebaczenia ci niesiem.

— Zapomni cesarz przeszłość, za pomoc zapłaci.

— Poddaj się.

— Złotem cię rzymski tron obsypie.

— Chrześcijanin jesteś, stań po stronie chrześcijan.

— Mam zdradzić mój lud?

— Jakto twój?

— Księciem obotryckim jestem!

— Jeśli nam kraj oddasz, zostaniesz nim dalej. Ale już nie z łaski motłochu, lecz z ramienia cesarza...

— Dotrzymacież wiary?

— Cesarz przez usta me mówi.

Wysłuchał Kiza słów poselstwa, huraganem radości ozwały się obietnice w sercu jego żony. Pod pozorem zwiadów noc-

*) Ann. Quedlinb. pod rokiem 985 i 986 (przyp. autora).

nych poszedł Kiza do obozu i stanął przed obliczem cesarskiej rady.

— Przysięgniecie?!

— Przysięgamy!!

Wrócił Kiza do grodna.

Nikczemny sprzedawczyk, „pochlebstwy ułaskawiony, siebie i miasto królewskiej poddał władzy“.*) Zdrada otwarła wojsku rzymskiemu bramy. Kiza miasto bronić, sam na Hawelan z rycerstwem niemieckim uderzył. W strasznej nocy, gdy twierdza spała, wziął ją Otton tak nagle, że gromady obrońców ledwie życie uratować mogły. Zdrajca nie zdobył za to ani majątku, sławy ni znaczenia, wywieziony wraz z żoną Edytą w głąb Niemiec, na szubienicy nędzne swe zakończył życie.

Pokonani Lutycy z tem większą złością i wściekłością uderzyli teraz na Branibor, aby go odebrać. Rozpoczęło się oblężenie straszne. Cesarz Otton, wówczas bawiący w Dziewinie, wysłał twierdzy na odsiecz margrafa Ekkiharda i trzech wujów Thiethmara, Odona, Henryka i Siegfrieda, tudzież przezacnego kronikarza, hrabiego Fryderyka Thiethmara**). Ale odwaga nie była snać cnotą dziedziczną w szanownej familji Tiethmarów. — Łacniej im szło obdzierać bezbronnych, zdobywać łupy w hawelańskich wsiach lub kraść kielichy opatom z grobowców. Wszyscy przezacni Tiethmarowie, tak wujowie jak i stryjowie znakomitego uczonego, napadnięci przez Słowian, jak jeden mąż uciekli z placu boju.

Gdy wojska prowadzone przez nich poszły w rozsypkę, wysyła cesarz nowe pułki. Po strasznym oporze ustępują Hawelanie. Radość ogromna w mieście panuje, na widok odsieczy wojsko na kolana pada. Kyrie elejson żołnierze śpiewają, wchodząc do miasta wojsko cesarza, pieśń pobożną słysząc, samo wraz z oblężonemi „Kyrie elejson“ śpiewa. Pułki weszły do miasta i wzmocniły wycieńczoną załogę. Trzeba prawdziwego nieszczęścia, że cesarz znowu krewnemu Thiethmara, margrabiemu Lotarowi, Branibor powierzył, niepomny na to, że Thiethmarowie nigdy do Słowiańszczyzny szczęścia nie mieli. Z dworu cesarskiego ruszył Lotar za Łabę, aby dowództwo objąć z rąk arcybiskupa Gizylera, który tymczasem sprawował w Braniborze obowiązki namiestnika cesarza. Zanim Lotar do Braniboru przybył, stało

*) Thiethmar, tom IV, str. 15 (przyp. autora).

**) Dzieje tej wojny w kronice Thiethmara (przyp. autora).

się okropne i straszne nieszczęście. Lutycy pomni, że stolicę ich wziął cesarz przez zdradę Kizy, taką samą miarką odmierzając, takim samym pieniądzem zdrady płacąc, zdradą gród Gizylerowi odebrać postanowili.

Udali skruchę wielką, żal nieutulony i wysłali do arcybiskupa poselstwo, że chcą się wszyscy przechrzcić... Bogobojny mąż uradowany niezmiernie, że tyle nowych owieczek prawdziwej wierze przybywa, wyruszył natychmiast z Braniboru na czele pułkowników i kwiatu rycerstwa, z gronem kapłanów, aby chrzcili lud pogański. Gdy atoli doszedł do obozu Hawelan, przywitała go czerń bałwochwalcza śmiechem szatańskim, przekleństwami bezbożnemi i gradem kamieni. Już ruszyło pogańskie chłopstwo aby go powiesić, gdy arcypasterz zdołał znaleźć dobrego konia, na którym umknął ku Łabie „niewielu ze swoich przy życiu uwodząc".*) Tymczasem czerń pogańska huraganem na wały Braniboru leci, gród podpala, obrońców morduje... Spotkał się po drodze arcybiskup z Lotarem, ten jednak widząc, że wszystko stracone, „smutny odszedł do domu".**)

* * *

Na odwiecznym uroczysku w grodzie braniborskim posągi bogów postawiono, wschodnie kobierce, chorągwie słowiańskie boży przybytek stroją. Na tle zieleni drzew stoi kamienny posąg Światowida, patrzy na cztery strony świata, w ręku dzierży puhar z winem, przy nim rzeźbiony rumak — na którym w cichą letnią noc pan nieba cały świat objeżdża. W bluszcze, zieleń i wszelakie kwiaty spowity posąg Dziedzilji, dziewczęta w wieńce posąg Łady ustroiły, żałoba patrzy z kamiennej twarzy Marzanny, strachem przejmuje Pojata, który uciętą, własną głowę w rękach trzyma.

Gęślarz i kapłan Zdzieszko do bogów się modli, w oczach jego łzy radości i pogoda ducha. Wianek dziewcząt go otacza, w rąbkach sukienek kwiaty polne niosą, posągi bogów jaskrem, makiem i bławatkami obsypują. Dwaj staruszkowie ręce Zdzieszka podtrzymują, Niebora i Cichost od posągu do posągu sędziwego kapłana prowadzą, słowa jego modlitwy z wiarą powtarzają.

---

*) Thiethmar (przyp. autora).
**) Tamże, tom IV, str. 25 (przyp. autora).

— O ty Pogodo! Tumany chmur boską twą ręką rozpraszasz, wkładasz pęta na wyjącą burzę, wdziewasz kaganiec wichrom szalejącym po puszczach i borach... Ty rajska lazurowa żywicielko w krasę siedmiobarwnej tęczy strojna, ty zwiastunko gwiazd i wysłanniczko złotego słonka, bądź pochwalona.

Niebora i Cichost skłonili przed posągiem głowy.

— Strzeż naszej roli!

— Ty, który wiedziesz rycerstwo nasze na obronę zagród naszych, bądź pochwalon, Trzygłowie!

— Cześć ci wiekuista!

— Ty, co w majowe noce łączysz uściskiem kochanków, coś stworzyła czar miłości i życie ludzkie nim okrasiła, cześć ci składamy, o Dziedziljo! Uroda dziewic naszych, krasa ich lic, białość ich piersi, słodycz ich ust, to twoje dzieło krasawico!

— Kwiecie rzucamy u twych stóp!

— Niewiasty i dziewice nasze stroją twój posąg Dziewanno w wieńce ze zboża, w girlandy kwiatów rolnych. Promykiem jasnym w czarną ziemię wchodzisz, ciepłem nasiona wzywasz: chodź do bytu! Chodź! Posłuchało głosu twego wszelakie jestestwo, oto twą siłą wiosna się zieleni, oto twą łaską zakwita świat! Ty, coś zbudowała kwiecie bławatka z dziewięciu lazurowych koron. Ty, coś uprzędła srebrne kwiecie mietlicy i prześliczny dzwonek leśny zbudowała. Ty, coś stworzyła kielich lilji, bądź pochwalona!

— Spójrz matko na naszą ziemię, łaską otocz pola i łany, obsyp pszenice nasze kłosem i plennym zrób nasz jęczmień, Żywie!

— Chroń matko od głodu dzieci twoje!

— Ty widzisz, o Prowe, bezbożne zbrodnie, których ofiarą padają słabi tego świata. Ty przecie widzisz, czem jest ziemski byt! Oto ze ziela porwał wiatr dwa nasiona, jedno na urodzajną ziemię niesie, drugie na fale roni... na wodę, która z biednem jestestwem do morza spłynęła. Czemuż o sprawiedliwy Boże jedno rośnie i buja, a drugie marnie ginie?! Czemu? Oto zwierzę z zwierzęciem żyje, czemu człowiek człowieka pożera?!

— Czemu, o Prowe, istnienie to łańcuch, którego każdem ogniwem jest zbrodnia, krzywda i śmierć cudza?! Obojętnie patrzysz—gdy huragan lasy łamie, gdy zaraza pomorem przez wsie i miasta leci! Gdzies ty, o Boże sprawiedliwości — gdy łotr triumfuje, gdy sprawiedliwy głodem mrze i we łzach tonie? Gdzieś ty, o Prowe?

— Odpowiedz!!

— Nie dlatego wołam twej pomocy, ty Czarnyboże i ty Perunie, iżbym chciał mścić się i pragnąc odwetu na wrogu mej wiary i ziemi. Przecież wołam was, wy wysłannicy nieszczęścia i gniewu Jessego, wy moce piekła i zniszczenia, spadnijcie miljonem jadowitych żmij na najeźdźców mej ziemi.

— Opuść Marzanno szeregi naszych wojsk, a idź między wrogów, zbroczonych naszą krwią!

— Policz ich zbrodnie, policz nasze łzy!

— Czy nie ścichnie nasz płacz? Czy nie wyschną nasze łzy? Jeśli tobie, Wszechmocny Boże, jeszcze raz spodoba się zesłać zbójców na nasz kraj, to we drzwiach naszych domów, w bramach naszych ty zarazą stań Nijo! o wielki boże nicości!...

— Niechże nie zazna ich nasz kraj!

— Teraz ciebie wołam Światowidzie! *Tobi juz ca pot pesnai!**) Bądź pochwalon wolnością mego ludu, bądź pochwalony

---

*) „Tobie ja chcę pieśń śpiewać!" Język wymarłych dziś doszczętnie Połabian, najbliższym ze słowiańskich był językowi polskiemu. Rękawica zwie się po połabsku rokavaica, slavaika słowik, ruguznik rogożnik, rudeny rodzony, rug róg, slepaica kura, sveca świeca, pulnuci północ, plic plecy, prnedela poniedziela, pójak pająk, pajdesot pięćdziesiąt, jobluna jabłoń, gjozda gwiazda, gram grom, drabranka żołądź, carkvaica kaplica i t. d. Z zachowanych ułomków języka Połabian pozostała przytoczona powyżej pieśń ludowa i Ojcze nasz: tai ne mas met dzeudzich buguv likam mane, nie masz mieć cudzych bogów przed obliczem mojem; sjote mo bayt tujn jajma, święte twoje imię. Zapisane są w słownikach frazesy połabskie np.: Tai mos vaipit kunvaicia palwo, ty masz wypić koneweczkę piwa, prid knaza przed kniazia, ne buli mne nic nie boli mnie nic ito.

Resztki języka i narodu połabskiego wygasły w drugiej połowie XVIII wieku. Dr. Jan Henryk Jungler, fizyk ziemski w Lueneburgu pisze: „W r. 1751 nie było nikogo w naszej okolicy, ktoby po wendyjsku umiał. Atoli lat temu kilka żyli jeszcze starzy ludzie w niektórych wsiach koło Drzewian (Draveny?) (im Dravaen), którzy umieli po wendyjsku. Na początku roku 1798 umarł gospodarz w Kremelinie nazwiskiem Warratz, który odmawiał po wendyjsku Ojcze nasz, choć pytaniem jest czy go zrozumiał. Jan Parum Schultze pisze w roku 1725: „Wendyjska mowa trudna jest (dla Niemca) do wymawiania i pisania. Mój dziadek mówił językiem Wendów. Wielu ludzi, wyłącznie jednak ze starej generacji, ci którzy z narodu Wendów pochodzili, mówili pół po połabsku, pół po niemiecku. Siostra moja o 5 lat młodsza ode mnie, rozumie trochę po połabsku, ale mój o ośm lat młodszy brat nic nie rozumie. Jeśli z tej wsi jeszcze trzy osoby przeniosą się do wieczności, to nikt nie będzie napewno wiedział, jak się po połabsku pies nazywa".

Dziwny zaprawdę zbieg okoliczności. Gdy powstało państwo polskie, twórcy jego Mieszko i Bolesław ustawicznie wojny wiodą o połabski

naszą radością i weselem. Patrz, o Najwyższy! Kraj nasz dziś wolny! Wolnością oddycha mój lud! Tobie za to cześć i chwała! Echo mej pieśni leci przez szeroki kraj: Tobie, cześć chwała, szepcą szumy pól, Twoja cześć, chwała, wiosenny szczebioce wiatr, to słowiki naszej ziemi, oto skowronki pod niebem grają, oto szumy naszych wód śpiewają ci, Najwyższy.

— Ziemia nasza to harfa ogromna... gra ci i śpiewa... kłaniają ci się pszenice... Wolność!... Widzisz? Słoneczko pięknie świeci... Patrz, Ojcze ukochany — oto kwiaty barwniej kwitną... boś się zlitował...

Starzec przerwał modlitwę. Usta nie mogły mówić, głos zamarł łzami. Łzami radości, wesela, płaczem szczęścia łkali staruszkowie Cichost i Niebora.

Płakał lud.

Harfiarze grają, naród gęślarzy pieśń dziękczynną niebu śpiewa.

* * *

Minęły wieki... zmarła pieśń... wyginął naród lutycki do jednego. Śladu po nich niemasz. Zachód wytępił ich do nogi. Wytępiła ich cywilizacja i kultura, którą przyniósł ze sobą legjon łotrów, opisywany przez Widukinda i Thethmara, niemieckich kronikarzy.

I niemasz Wilców na świecie.

A przecież dobry połabski lud zasłużył zaprawdę na to, aby żył. Wszak wróg pisze o nich, ze chociaż żyją w pogaństwie, co do obyczajów i gościnności nie znalazłbyś narodu, któryby zacniejszym był i dobrotliwszym.

Niemasz zacnego i dobrotliwego narodu gęślarzy, który broni przypasywać nie umiał. Wymordowano go, bo marzył o gę-

---

kraj, o wydarcie Niemcom słowiańskiego dziedzictwa o posiadanie brzegu słowiańskiej Łaby, w którą Chrobry żelazne słupy graniczne wbija... — W chwili, gdy Polska politycznie umierała, fizycznie i niepowrotnie wymarli ostatni, którzy połabskim językiem mówili. Wszak w roku 1798 umarł ostatni człowiek, który po wendyjsku mówił Ojcze nasz...

O wymarłym narodzie i języku Połabian czytaj: „Pomniki Połobian Słowiańsciny" zhromadził a wujaśnił Pr. Dr. Pfuhl (Matica serbska). — Dr. J. J. Hanus in Prag: „Zur Literatur und Geschichte der slavischen Sprachen in Deutschland". Gramatyka wymarłego narodu: „Laut und Formenlehre der polabischen Sprache" von August Schleicher St. Petersburg 1871" (przyp. autora).

śli, a broni przypasywać nie umiał. Idź tam, gdzie grają surmy zwycięskie, idź tam, gdzie triumfuje Brandenburg, Potsdam, Berlin!! Idź i słuchaj... W szumie trzcin na bagnach Braniboru dosłyszysz echa słowiańskiej pieśni, szelest kosaćców na błotach Haweli opowie ci o narodzie, który umarł...

Wicher jesienny wyje głosem mordowanych przed tysiącami lat ludzi...

Do wszystkich zacnych i poczciwych rzekł Jehowa przez usta proroka: „I otworzę groby wasze i wywiodę was z grobów waszych, ludu mój“...

— Kłamstwo!!!

Bluźnijcież usta!! Oni nad Łabą nie powstaną. Nie otworzą się groby ich, nie wywiedzie nikt z grobu ludu swego...

Nie wywiedzie! Ich niemasz!! W spalenisku nie rozdmuchasz ognia, bo tam, w popiołach nad Hawelą jednej iskry niema... Ani jednej! Zagasły!! Ludy wybite!! Zginęli Lutycy!! Umarli na wieki!!! Urny*) tam tylko z narodu zostały, popielnice, łzawnice i groby...

Brandenburg, kraj nad Łabą, to wielki grób narodu, który wymarł. Mogiły z narodu pozostały, prochy...

Gliniane łzawnice i kości...

Exoriare ex ossibus ejus ultor!!!**)

Wysłuchaj Boże!!! Wysłuchaj!!!

KONIEC.

---

*) Urna—naczynie do przechowywania popiołów zmarłych.

**) Exoriare ex ossibus ejus ultor — niech wstanie z kości jego mściciel.